

david Wróblewski:

historia edgara:

Z języka angielskiego przełożył

Witold Kurylak

WYDAWNICTWO

SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

THE STORY OF EDGAR SAWTELLE

Copyright © 2008 David Wróblewski

Copyright © 2009 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2009 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

W książce wykorzystano fragmenty Księgi dżungli

w przekładzie Józefa Birkenmajera

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie autora: © Marion Ettliger

Redakcja: Bożena Sęk

Korekta: Mariusz Kulan, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7508-208-1 (oprawa twarda)

ISBN: 978-83-7508-184-8 (oprawa broszurowa)

Sprzedaż wysyłkowa:

www.merlin.com.pl

www.empik.com

www.soniadruga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

Arthurowi i Ann Wróblewski

Skład i łamanie:

DT Studio s.c, tel. 032 720 28 78, fax 032 209 82 25

Katowice 2009. Wydanie I

Drukarnia:

Legra Sp.z O.O.

Wzniosły zaiste jest to pogląd, że Stwórca natchnął życiem kilka form lub jedną tylko i że gdy planeta nasza, podlegając ścisłym prawom ciężenia, dokonywała swych obrotów, z tak prostego początku zdołał się rozwinąć i wciąż się jeszcze rozwija nieskończony szereg form najpiękniejszych i najbardziej godnych podziwu.

Karol Darwin, O powstaniu gatunków

Pusan, Korea Południowa, 1952

Po zapadnięciu zmierzchu ponownie się rozpadało, ale on już postanowił iść, a poza tym i tak padało od tygodni. Pomachał na pożegnanie zgromadzonym przy nabrzeżu kulisom i kierując się otrzymanymi wcześniej skąpymi wskazówkami, na piechotę pokonał całą drogę od bazy marynarki przez zatłoczone targowisko Kweng Li. Mijał przekupniów sprzedających koguty w prymitywnych klatkach z ratanu, świńskie łby i leżące na półkach, sprawiające wrażenie trujących niebieskie wypatroszone ryby, mijał szare ośmiornice w słojach i stare kobiety handlujące kimchi i bulgoki, aż w końcu na moście Nieszczęść, ostatnim znanym mu punkcie orientacyjnym, przekroczył rzekę Naktong.

Mętna woda w dzielnicy knajp połyskiwała czerwono i zielono pod rozciągniętymi między dachami transparentami. Choć szedł już dłuższy czas, wypatrując szyldu przedstawiającego żółwia z dwoma wężami, nie napotkał żadnego innego wojskowego czy żołnierza żandarmerii wojskowej. Ulice ciągnęły się bez końca, żaden z szyldów nie przypominał poszukiwanego i żaden z rogów nie miał kąta prostego. Po pewnym czasie deszcz przekształcił się w postrzępioną i poszarpaną mgiełkę. Szedł jednak dalej, metodycznie skręcając, dwa razy w prawo, a potem dwa razy w lewo, wciąż nie ustając w swoich poszukiwaniach, chociaż wielokrotnie zdążył już stracić orientację. Dopiero po północy w końcu

11
się poddał. Wracął, krocząc ulicą, którą dwukrotnie wcześniej przemierzył, gdy wreszcie dostrzegł ten szyld, mały, żółty, zawieszony wysoko na rogu knajpy. Jeden z węży wywijał się w tył, chcąc ugryźć ogon żółwia. Zgodnie z tym, jak opisywał to Pak.

Polecono mu szukać uliczki naprzeciw szyldu i rzeczywiście zauważył ją tam — wąska, wilgotna, tylko częściowo wybrukowana, opadała w kierunku portu, oświetlona jedynie przez szyldy naprzeciwko i blask z kilku rozrzuconych wzdłuż niej okien. Oddalił się od głównej ulicy, podążając za własnym cieniem. Teraz powinien znaleźć drzwi z latarnią — czerwoną latarnią. Sklep zielarski. Spojrzał ponad budynki i zauważył wylewające się znad dachów podświetlone chmury. Z okna obskurnej łaźni dobiegł go pisk kobiety i śmiech mężczyzny. Gdzieś igła gramofonu opadła na płytę i po zaułku rozległ się drżący głos Doris Day:

I'm wild again, beguiled again,

A simpering, whimpering child again.

Bewitched, bothered, and bewildered am I.

Przed nim zaułek skręcał w prawo. Za zakrętem dostrzegł latarnię, tykwę

rubinowego szkła oplecioną czarnym drutem, a podobny róży płomień w jej wnętrzu podskakiwał i lizał gardziel szkła, rzucając przekrzywione cienie żeber na drzwi. Wąski daszek ganku przykrywał wejście. W samotnym bladym oknie zauważył poplamioną od dymu jedwabną zasłonę z wyszytymi postaciami zwierząt pokonujących rzekę wlekkiej łodzi. Popatrzył w dalszą część zaułka, a potem na przebytą drogę. Zastukał w drzwi i w oczekiwaniu na odpowiedź postawił kołnierz dwurzędowej marynarskiej kurtki, przytupując równocześnie, jakby zmarzł, chociaż wcale nie było zimno, jedynie wilgotno.

Drzwi otworzyły się szeroko. Wyszedł przez nie starzec ubrany w spodnie z surowej bawełny i prostą szatę z tego samego szorstkiego materiału, niewiele różniącego się od tkaniny workowej. Twarz miał ogorzalą i brunatną, a oczy tkwiły w origami zmarszczek twarzy. Na sznurkach wewnątrz sklepienia wisały całe rzędy mlecznych korzeni żeń-szenia, kołysząc się wahadłowym ruchem, jakby przed chwilą głaskane.

Mężczyzna w marynarskiej kurtce spojrzał na niego.

— Pak powiedział, że mówi pan po angielsku.

— Trochę. Pan mówi wolno.

Starzec zamknął drzwi za sobą. Mgielka ponownie przeszła w deszcz. Trudno byłoby powiedzieć, kiedy to się zaczęło, ale obecnie deszcz padał już od wielu dni, tygodni, i dźwięk płynącej wody do tego stopnia stał się nieodłącznym elementem otaczającego świata, że przestał go już słyszeć. Suchość miała charakter tylko tymczasowy; świat był miejscem, które spływało wodą.

— Ma pan lekarstwo? — zapytał starzec. — Mam pieniądze, żeby zapłacić.

— Nie potrzebuję pieniędzy. Pak chyba mówił to panu?

Starzec westchnął i pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

— Nie powinien być o tym mówić. Proszę, pan powie, czego chce.

Za plecami mężczyzny w marynarskiej kurtce po zaułku kuśtykał
bezpieński pies, dzielnie radząc sobie na trzech nogach i przyglądając
się mężczyznom. Jego mokra sierść połyskiwała jak skóra fok.

— Powiedzmy, że mamy szczury — odezwał się mężczyzna. — I są
z nimi problemy.

— Wasza marynarka może pozabijać kilka szczurów. Nawet szyper
najbiedniejszej dżonki codziennie to robi. Użyjcie arszeniku.

— Nie. Ja... my... potrzebujemy sposobu. Tego, o czym mówił Pak.
Czegoś, co zadziała natychmiast. I co nie wywoła bólu brzucha u szczu-
ra. Ani bólu głowy. Inne szczury powinny myśleć, że jeden z nich tylko
zasnął i nie obudził się.

— Jakby Bóg zabrał go w jednej chwili.

— Właśnie. Żeby inne szczury nie pomyślały, że tamtemu przyda-
rzyło się coś nienaturalnego.

Starzec pokręcił głową.

— Wielu chciało czegoś takiego. Ale to, czego pan szuka... je-
śli w ogóle istnieje... osoba posiadająca taką moc jest prawie równa
Bogu.

— Co pan ma na myśli?

— To Bóg daje życie i śmierć, prawda? Jeśli ktoś potrafi w jednej
chwili wezwać kogoś innego do Boga, dysponuje połową jego mocy.

— Nie. Wszyscy dysponujemy taką mocą. Tylko sposób jest inny.

— Kiedy jakiś sposób przypomina prawdziwe boskie wezwanie,
sprawa wygląda inaczej — odparł zielarz. — To coś więcej niż sposób.

12

13

Te rzeczy powinny się dziać brutalnie i być oczywiste. To dlatego ży-

jemy w pokoju. - Starzec uniósł rękę i wskazał na zaułek za gościem.

— Pański pies?

— Pierwszy raz go widzę.

Zielarz cofnął się do sklepienia, pozostawiając otwarte drzwi. Za wiszącymi żeń-szeniami, pod półką z karafkami, leżała splątana sterta poroży. Po chwili powrócił, w jednej dłoni niosąc mały gliniany garnek na zupę, a w drugiej jeszcze mniejsze bambusowe pudełko. Postawił garnek na bruku. Z pudełka wyjął szklaną butelkę przypominającą kształtem flakonik perfum lub atramentu. Szkło było nieoszlifowane i powykrzywiane. W szyjce tkwił korek, a jej nieregularna górna krawędź zaklejona była woskiem. W środku widać było jakąś ciecz, przejrzystą jak woda, ale tłustą i oleistą. Zielarz paznokciem zdjął wosk, po czym kciukiem i palcem wskazującym chwycił korek. Nieoczekiwanie w jego dłoni pojawiła się długa cienka trzcinka z ukośnie przyciętą końcówką, zaostrzoną jak czubek igły. Zanurzył trzcinkę w butelce. Kiedy ją wyjął, wewnątrz trzciny pozostała zassana odrobina płynu, a na samym jej końcu połyskiwała kropla. Zielarz wychylił się na ulicę i gwizdnął przenikliwie. Kiedy nic się nie wydarzyło, zaczął cmokać, aż mężczyznę przeszły ciarki. Trzynogi pies przykuśtykał w ich stronę, wymachując ogonem w deszczu, obwąchał gliniany garnek i zaczął z niego chłeptać.

— To nie jest potrzebne — odezwał się mężczyzna.

— A skąd pan będzie wiedział, co dostaje? — zapytał zielarz. Trudno byłoby szukać uprzejmości w tonie jego głosu.

Opuścił zaostrzony koniec trzcinki, aż znalazł się mniej więcej szerokość dłoni nad kłębem psa, i delikatnie poruszył nadgarstkiem w dół. Opadający czubek trzcinki ukłuł psa i zaraz ponownie się uniósł. W pierwszej chwili pies chyba nawet tego nie zauważył.

— Na miłość boską, przecież powiedziałem, że to nie jest potrzeb-

ne.

Zielarz nic na to nie odpowiedział. Pozostało więc tylko spokojnie patrzeć, stojąc w padającym deszczu, prawie niezauważalnym z wyjątkiem tych chwil, kiedy wiatr nim zacinał.

Pies leżał nieruchomo, a zielarz ponownie umieścił korek w butelce i mocną ją zakręcił. Dopiero teraz mężczyzna dostrzegł okalającą szyjkę buteleczki zieloną wstążeczkę, na której widniał sznureczek czarnych liter alfabetu hangyl. Mężczyzna nie znał tego alfabetu, ale nie miało to żadnego znaczenia. I tak wiedział, co te litery znaczą.

Zielarz wsunął buteleczkę do bambusowego pudełka. Trzcinkę wyrzucił na uliczkę i kopniakiem posłał za nią garnek na zupę. Rozbił się o bruk, a deszcz zaczął wymywać jego zawartość.

— Nikt nie może z tego jeść. Ryzyko jest niewielkie, ale zawsze istnieje. Lepiej to rozbić, niż wziąć do domu. Rozumie pan?

-Tak.

— Dzisiejszej nocy namoczę ręce w ługu. To pan rozumie?

Mężczyzna skinął głową. Wyjął z kieszeni fiolkę.

— Penicylina — powiedział. — To nie jest pewne lekarstwo. Niczego nie można zagwarantować.

Zielarz wziął fiolkę z rąk mężczyzny. Trzymając ją w krwawym świetle latarni, zagrzechotał zawartością.

— Bardzo mało — powiedział.

— Jedna tabletką co cztery godziny. Pański wnuk musi wziąć je wszystkie, nawet jeśli poczuje się lepiej przed skończeniem wszystkich tabletek. Rozumie pan? Wszystkie.

Starzec skinął głową.

— Trudno coś zagwarantować.

— Na pewno pomoże. Ja nie wierzę w przypadki. Sądzę, że to co

robimy, to wymiana jednego życie za drugie.

Zielarz wyciągnął przed siebie bambusowe pudełko. Ręka drżała mu, jakby była porażona, choć może po prostu był wyczerpany nerwowo. Trzymając wcześniej trzcinkę, sprawiał wrażenie spokojnego. Mężczyzna wsunął bambusowe pudełko do kieszeni marynarskiej kurtki. Bez słowa pożegnania odwrócił się i ruszył uliczką, mijając łaźnię, z której w nocne powietrze nadal sączył się głos Doris Day. Odruchowo włożył rękę do kieszeni kurtki i chociaż wiedział, że nie powinien tego robić, przesunął palcami po krawędziach pudełka.

Dotarłszy na główną ulicę, zatrzymał się i zamrugał oślepiony blaskiem wielobarwnych szyldów nad barami, a potem po raz ostatni się odwrócił. W oddali majaczyła w deszczu postać starego zielarza: pochylony powłóczył nogami po kamieniach i błocie na wpół wybrukowanego zaułka. Chwyciwszy psa za tylne łapy, gdzieś go odciągał, ale dokąd, tego mężczyzna nie wiedział.

14

15

CZEŚĆ I

DZIECI FORTEA

Garść liści

roku 1919 dziadek Edgara, człowiek obdarzony przez naturę wyjątkową fantazją, kupił ich ziemię wraz ze wszystkimi stojącymi tam zabudowaniami od mężczyzny, którego nigdy na oczy nie widział, niejakiego Schultza, który z kolei pół dekady wcześniej rozstał się z brygadą pracującą przy wyrębie, kiedy zobaczył, jak puszczają łańcuchy na saniach do pełna załadowanych balami drewna. Dwadzieścia ton toczących się klonowych bali pogrzebało mężczyznę w miejscu, w którym chwilę wcześniej stał sam Schultz. Pomagając rozebrać stos kłód, żeby wydobyć szczątki nieszczęśni-

ka, Schultz przypomniał sobie o pięknym kawałku ziemi widzianym kiedyś na północny wschód od Mellen. Tego samego ranka, zaraz po podpisaniu odpowiednich papierów, na jednym ze swoich kuców pojechał drogą zrywki drewna na teren swojej nowej posiadłości, gdzie wybrał miejsce na polanie u stóp wzgórza, i zanim zapadł zmrok, stała tam gotowa do użytku stajnia z drągów. Następnego dnia zabrał też drugiego kuca do zaprzęgu, załadował wóz zapasami i w trójkę ruszyli w drogę powrotną do tego prymitywnego gospodarstwa, Schultz pieszo, z lejcami w dłoniach, a za nim kuce w uprzęży, wspólnie ciągnąc wóz i słuchając skrzypienia wysuszonej ośki. Przez kilka pierwszych miesięcy Schultz spał wraz z kucami w stajni z drągów i niejednokrotnie w swoich snach słyszał trzask łańcuchów pękających na ładunku klonowych bali.

19

Robił, co mógł, żeby zarobić na życie, prowadząc gospodarstwo mleczne. Przez pięć lat pracował na roli, jedno pole o powierzchni dwudziestu pięciu akrów oczyścił, a drugie osuszył, z własnoręcznie ściętych drzew postawił budynek gospodarczy, stodołę i dom, w tej właśnie kolejności. Żeby nie musieć wychodzić z domu po wodę, wykopał sobie studnię w zagłębieniu, które później miało stać się piwnicą domu. Pomagał stawiać stodoły od Tannery Town aż do Park Falls w nadziei, że kiedy i na niego przyjdzie czas, nie zabraknie mu pomocnych rąk. Dniami i nocami wyciągał z ziemi pniaki. Pierwszego roku z tuzin razy grabił i bronował południowe pole, aż nawet kuce zdawały się tym znużone. Kamienie układał na skrajach pól w długich garbatych sterach, a pniaki palił w ogniskach, które widać było aż z Popcorn Corners, najbliższego miasteczka - jeśli można je było określić tym mianem — a nawet z Mellen. Postawił także mały silos z kamieni i betonu wyższy od stodoły, lecz nigdy nie udało mu się go przykryć. Zmieszawszy mle-

ko, olej lniany, rdzę i krew, pomalował na czerwono stodołę i budynek gospodarczy. Na południowym polu zasiał siano, a na zachodnim kukurydzę, ponieważ zachodnie pole było wilgotne i kukurydza miała tam szybciej rosnąć. Podczas ostatniego lata spędzonego na tej farmie zatrudnił nawet dwóch mężczyzn z miasteczka. Ale kiedy na horyzoncie pojawiła się jesień, coś się wydarzyło — nikt nie wiedział, co takiego — tak że Schultz zebrał mizerne wczesne zbiory, wyprzedał cały żywy inwentarz i narzędzia rolnicze, po czym wyniósł się, uwinąwszy się z tym wszystkim w zaledwie kilka tygodni.

W tym czasie John Sawtelle podróżował na północ, bynajmniej nie zamierzając kupować farmy. W rzeczywistości spakował swój sprzęt wędkarski do kissela i powiedział swojej żonie, Mary, że jedzie zawieźć szczeniaka pewnemu człowiekowi, którego spotkał podczas ostatniej podróży. Co do pewnego stopnia było prawdą. Nie powiedział jej natomiast, że w kieszeni ma zapasową obrożę.

Tej wiosny Violet, ich dobra, ale dzika z natury suka, będąc w okresie rui, wykopała dziurę pod ogrodzeniem i gnała po ulicach, myśląc jedynie o amorach. Skończyło się na tym, że na podwórzu za domem biegali za miotem siedmiu szczeniaków. John Sawtelle mógłby rozdać te wszystkie szczeniaki obcym ludziom i podejrzewał nawet, że tak właśnie będzie musiał zrobić, lecz pojawił się pewien problem — polubił towarzystwo tych szczeniaków. Polubił je w sposób pierwotny, wręcz obsesyjny. Violet była jego pierwszym psem i te szczeniaki były pierwszymi, z jakimi miał okazję spędzać czas, a one szczekały, gryzły sznurówki i patrzyły mu w oczy. Wieczorami łapał się na tym, że siedząc na trawie za domem i słuchając płyt, uczy szczeniaki starych sztuczek, które wkrótce zapominały, kiedy pogrążał się w rozmowie z Mary. Byli wówczas jeszcze prawie nowożeńcami. Potrafili siedzieć tam całymi go-

dzinami i dla niego był to najwspanialszy okres w dotychczasowym życiu. W tamte noce czuł jakąś łączność z czymś starożytnym i ważnym, czego nie potrafiłby nazwać.

Dręczyły go myśli, że zupełnie obcy człowiek może nie zechcieć jednego ze szczeniaków Vi. Najbardziej odpowiadałoby mu, gdyby mógł porozmieszczać je wszystkie gdzieś w sąsiedztwie i mieć na oku, obserwować, jak dorastają, choćby tylko z daleka. W najbliższej okolicy z pewnością było z pół tuzina dzieciaków, które chciały mieć psa. Ludzie mogliby się trochę dziwić, ale przecież nie przeszkadzałoby im, gdyby raz na jakiś czas poprosił, aby pozwolili mu popatrzeć na psiaki.

Pewnego dnia wraz z kumplem wybrali się do Chequamegon i choć podróż trwała długo, warto było ją odbyć ze względu na możliwość łowienia ryb. Ponadto domagająca się prohibicji organizacja Anti-Saloon League nie przeniknęła jeszcze do lasów północy i mało było prawdopodobne, że kiedykolwiek jej się to uda, co stanowiło kolejny powód, żeby polubić ten teren. Zatrzymali się w Dziupli w Mellen i zamówili piwo, a kiedy ze sobą rozmawiali, do baru wszedł mężczyzna, a za nim pies, wielki pies, szarobiały z brunatnymi łatami, mieszaniec husky i owczarka lub coś podobnego, prawdziwa bestia o potężnej klatce piersiowej i królewskiej postawie, poruszająca się żwawo i radośnie. Wyglądało na to, że wszyscy tu znają tego psa, który truchtał po barze, witając się ze stałymi klientami.

— Piękne zwierzę — zauważył John Sawtelle, patrząc, jak pies kręci się w tłumie, otrzymując orzeszki i suszone mięso. Chcąc bliżej poznać psa, zaproponował jego właścicielowi piwo.

— Nazywa się Kapitan — powiedział mężczyzna, dając znak barmanowi, żeby do nich podszedł. Trzymając piwo w ręce, gwizdnął krótko i pies podbiegł do niego. — Kap, przywitaj się z panem.

20

21

Kapitan podniósł wzrok i łapę do przywitania.

W pierwszej chwili największe wrażenie na dziadku Edgara zrobił potężny wygląd psa. Drugą cechę trudniej byłoby określić — było coś w jego wzroku, w tym, jak pies spojrzął mu w oczy. I kiedy John Sawtelle chwycił łapę Kapitana, naszedł go pewien pomysł. Jakaś wizja. Tak wiele czasu spędził ostatnio ze szczeniakami, że patrząc teraz na Kapitana, również tego psa wyobrażał sobie jako szczeniaka. Po chwili pomyślał o Vi — będącej najlepszym psem, jakiego dotychczas widział — oraz o Kapitanie i Vi połączonych w jednego psa, jednego szczeniaka, choć zdawał sobie sprawę z absurdalności tego pomysłu, zważywszy na to, że już teraz miał na głowie zdecydowanie zbyt dużo psów. Kiedy w końcu puścił łapę Kapitana, pies odbiegł truchtem, a John Sawtelle, starając się pozbyć tej wizji z myśli, ponownie odwrócił się w stronę baru z pytaniem, gdzie tu się chodzi na szczupaki. Nie brały na jeziorze Clam. A w okolicy było tak wiele małych jezior.

Nazajutrz powrócili do miasteczka na śniadanie. Tania restauracja w Mellen mieściła się naprzeciw ratusza, ustawionej frontem do drogi wielkiej kanciastej budowli zwieńczonej niezwykle kopułą. Przed budynkiem stał biały trypoziomowy wodotrysk z wodą pitną, wyposażony w jedną miseczkę na wysokości człowieka, niżej umieszczoną drugą dla koni i małe naczynie na ziemi, którego przeznaczenie trudno było od razu odgadnąć. Właśnie mieli wejść do restauracji, kiedy zza rogu wyszedł pies i minął ich nonszalanckim truchtem. To był Kapitan. Jak na tak potężnie zbudowanego psa poruszał się wyjątkowo zwinnym krokiem, unosząc i opuszczając łapy, jakby były podwieszane na niewidzialnych sprężynach, a on tylko wymachiwał nimi, sterując w odpowiednim

kierunku. Dziadek Edgara zatrzymał się w drzwiach restauracji i obserwował psa. Kapitan dotarł przed budynek ratusza, skręcił w stronę wodotrysku i zaczął chleptać wodę z najniższej miski.

— Chodź — odezwał się kolega dziadka. — Umieram z głodu.

Z biegnącej za ratuszem alejki wyszedł inny pies, suka, a za nią z pół tuzina szczeniaków. Suka i Kapitan wykonali skomplikowany taniec, wolnym krokiem obchodząc się, obwąchując sobie nawzajem zady i wciskając nosy w futro na grzbiecie, a szczeniaki pętały się im pod łapami. Kapitan schylił się do małych i po kolei je przewracał, wsuwając nos pod ich brzuchy. Po chwili pognał ulicą, lecz przystanął, odwrócił się i zaszczekał. Szczeniaki rzuciły się w ślad za nim. Po kilku minutach ponownie zagonił je do wodotrysku, biegnąc za nimi w kółko, podczas gdy ich matka wyciągnęła się na trawniku i z wywieszonym językiem obserwowała je.

Z restauracji wyszła kobieta w fartuchu, przecisnęła się obok dwóch mężczyzn stojących w drzwiach i wyjrzała na dwór.

— To Kapitan ze swoją panią — powiedziała. — Już od tygodnia każdego ranka spotykają się tu z dzieciakami. Od kiedy dzieciaki Violet są na tyle duże, żeby mogły same biegać.

— Czyje dzieciaki? — zapytał dziadek Edgara.

— Jak to czyje? Violet. — Kobieta spojrzała na niego jak na wariata. — Mamuśki. Tej suki tutaj.

— Mam sukę, która wabi się Violet — powiedział. — I właśnie teraz ma szczeniaki mniej więcej w tym samym wieku.

— Co pan powie?... — odparła kobieta, nie wykazując żadnego zainteresowania.

— Czy nie wydaje się pani, że to dziwny zbieg okoliczności? Że spotykam psa, który nazywa się tak samo jak mój i ma szczeniaki w tym

samym wieku?

— Trudno powiedzieć. Być może tego typu rzeczy często się zdarzają.

— A u mnie co rano jest taki zbieg okoliczności — wtrącił jego kumpel. — Budzę się, jestem głodny, jem śniadanie. Zdumiewające.

— To idź jeść — odrzekł John Sawtelle. — Ja i tak nie jestem głodny. — Mówiąc te słowa, zszedł na pokrytą kurzem ulicę i ruszył w stronę ratusza.

Kiedy w końcu zasiadł do śniadania, do ich stolika podeszła kelnerka z kawą.

— Jeśli interesują pana te psy, Billy może panu jednego sprzedać

— powiedziała. — Tu jest tyle psów, że niełatwo mu porozdawać szczeniaki.

-A kto to jest Billy?

Odwróciwszy się, kelnerka wskazała w stronę miejsc przy barze.

A tam na jednym z wysokich stołków siedział właściciel Kapitana, popijając kawę i czytając „Sentinela”. Dziadek Edgara zaprosił go do sto-

22

23

lika. Kiedy już usiedli, zapytał Billy'ego, czy rzeczywiście szczeniaki należą do niego.

— Część — odparł Billy — skoro Kap tak urządził starą Violet. Powinienem znaleźć nowe domy dla połowy miotu. Ale szczerze mówiąc, myślę, że je zatrzymam. Kap bardzo o nie dba, a odkąd zeszłego lata uciekł mój Scout, mam tylko jednego psa. Kapitan czuje się samotny. Dziadek Edgara opowiedział o własnych szczeniakach i o Vi, rozwodząc się nad jej zaletami, a potem przedstawił propozycję wymiany szczeniaka za szczeniaka. zaproponował Billy'emu, że wybierze sobie

psa z miotu jego Vi, co więcej - sam zdecyduje, którego psa z miotu Kapitana da dziadkowi Edgara w zamian, chociaż on wolałby samca, gdyby nie robiło to różnicy. Po chwili zastanowienia zmienił propozycję: weźmie najbystrzejszego ze szczeniaków, z którymi Billy zdecyduje się rozstać, obojętne, czy to będzie pies czy suka.

— Wydawało mi się, że chodziło ci o to, żeby zmniejszyć całkowitą liczbę psów w waszym domu? — zapytał jego kumpel.

— Powiedziałem, że znajdę szczeniakom dom. To nie to samo.

— Nie sędzę, żeby Mary podzieliła twoje zdanie. Tak mi się tylko wydaje.

Billy powoli sączył kawę i stwierdził, że chociaż ta propozycja go interesuje, nie jest przekonany do pomysłu podróży przez całe praktycznie Wisconsin tylko po to, żeby wybrać sobie szczeniaka. Ich stolik znajdował się w pobliżu wielkiej szyby i John Sawtelle ze swojego miejsca widział, jak Kapitan i jego potomstwo tarzają się po trawie. Przez chwilę je obserwował, po czym odwrócił się do Billy'ego i obiecał wybrać najlepszego szczeniaka z miotu Vi — samca albo samicę, jak sobie Billy będzie życzył — i przywieźć go tu. A jeśli Billy'emu taki układ nie odpowiada, to nie wymienią się i sprawa będzie zamknięta.

I w ten właśnie sposób John Sawtelle znalazł się we wrześniu w samochodzie, jadąc do Mellen ze szczeniakiem w pudle i wędką na tylnym siedzeniu, pogwizdując „Shine On, Harvest Moon”. Zdążył już nazwać nowego szczeniaka Gus, jeśli tylko imię będzie pasować.

I Billy, i Kapitan z miejsca polubili szczeniaka Vi. Mężczyźni udali się na tyły domu Billy'ego omówić zalety poszczególnych szczeniaków z miotu Kapitana, a kiedy po chwili jeden z psiaków przytoczył się w ich stronę, sprawa była jasna. John Sawtelle nałożył zapasową ob-

rozę szczeniakowi i spędził z nim całe popołudnie, łowiąc ryby w jeziorze. Gus zjadał upieczone na kiju kawałki samogłowa, a potem John kawałkiem sznurka przywiązał obrożę do swojego paska i razem spali przy ogniu.

Następnego dnia, przed wyruszeniem w drogę powrotną do domu, dziadek Edgara postanowił pojeździć po okolicy. Krajobraz stanowił ciekawą mieszankę: wyrąbane części były brzydkie jak noc, natomiast te ładne były wyjątkowo ładne. Jak na przykład wodospady. Oraz części terenów rolniczych na zachodzie. A przede wszystkim porośnięte lasami wzgórza na północ od miasteczka. Ponadto odczuwał wyjątkową przyjemność, prowadząc swojego kissela po tych starych bocznych drogach.

Późnym rankiem znalazł się na mocno poślubionej koleinami drodze gruntowej. Konary drzew splatały się nad głową. Na prawo i lewo gęste podszycie zasłaniało wszystko w odległości dwudziestu metrów w głąb lasu. Kiedy w końcu droga wyprowadziła go na polanę, przed oczami Johna Sawtelle'a otworzył się widok na leżące na zachodzie pasmo Penokee i na nieprzerwany szmaragdowy las ciągnący się daleko na północ — zdawało się, że aż po granitowy skraj Jeziora Górnego. U stóp wzgórza stał wiejski domek i gigantyczna czerwona stodoła. Przed stodołą przycupnęła magazyn na mleko, a z tyłu stał silos bez dachu. Na znaku przy drodze prymitywny napis obwieszczał: „Na sprzedaż”.

Skręcił w zryty koleinami podjazd. Zaparkował samochód, wysiadł z niego i zaczął zaglądać przez okna salonu. W domu nie było nikogo. Wnętrze sprawiało wrażenie niewykończonego. Z Gusem na rękach poczłapał przez pola, a kiedy wrócił, przysiadł na stopniu kissela i obserwował unoszące się w górze jesienne obłoki.

John Sawtelle był miłośnikiem pisania listów oraz czytania. Szcze-

gólnie upodobał sobie gazety z odległych miast. Ostatnio trafił na artykuł opisujący pewnego człowieka, niejakiego Gregora Mendla — co ciekawe, czeskiego mnicha — który wykonał bardzo interesujące doświadczenia z grochem. Na początek wykazał, że jest w stanie przewidzieć wygląd potomstwa hodowanych przez siebie roślin — kolory kwiatów i tak dalej. Nazwano to mendelizmem: nauką o dziedziczeniu. W artykule rozwodzone się nad zdumiewającymi konsekwencjami, jakie to odkrycie ma w hodowli bydła. Dziadek Edgara tak był tym zafascynowany, że po-
25

szedł do biblioteki i znalazłszy książkę o Mendlu, przeczytał ją od deski do deski. A potem wyczytane tam wiadomości raz na jakiś czas do niego powracały, zajmując mu myśli. Wspominał wizję (jeśli mógł tak to nazwać), jaka go naszła, kiedy trzymał łapę Kapitana w Dziupli. Był to jeden z tych rzadkich dni, kiedy wszystko w życiu człowieka zdaje się łączyć z sobą w całość. Choć miał dwadzieścia pięć lat, w ostatnich latach jego włosy zmieniły kolor na stalowoszary. To samo przydarzyło się jego dziadkowi, ale ojciec Johna Sawtelle'a zbliżał się do siedemdziesiątki z kruczoczarną grzywą. Nic takiego nie przytrafiło się żadnemu z jego starszych braci, choć jeden był łysy jak kolano. Odtąd ilekroć John Sawtelle spoglądał w lustro, sam czuł się jak groch Mendla.

Usiadł teraz w słońcu i obserwował Gusa, który niezdarnie stał na grubych nogach i przyciskał konika polnego do ziemi, patrzył, jak dotyka go mordą, a potem kręci łbem z obrzydzeniem i oblizuje sobie pysk. Psiak właśnie miał przydusić konika polnego bokiem szyi, kiedy nagle dostrzegł obserwującego go dziadka Edgara, który stał z piętami mocno wbitymi w ziemisty podjazd i palcami u stóp skierowanymi w niebo. Szczeniak bryknął, udając zaskoczenie, jakby nigdy wcześniej nie widział tego człowieka. Zaczął człapać do przodu, dwa razy wywijając

orła po drodze.

John Sawtelle pomyślał, że to naprawdę piękny zakątek.

Zupełnie nie martwił się tym, jak wyjaśni żonie obecność Gusa.

I rzeczywiście, awantura szybko ucichła. Gdy mu na tym zależało, dziadek Edgara umiał emanować uroczym entuzjazmem, zresztą już od samego początku ta właśnie cecha pociągnęła w nim Mary. Potrafił pięknie opowiadać o tym, jak będzie wyglądać przyszłość. Poza tym już od ponad roku mieszkali w domu jej rodziców, toteż Mary, podobnie jak jej mąż, chciała w końcu pójść na swoje. Zakup ziemi sfinalizowali za pomocą poczty i telegrafu.

O tym wszystkim mały Edgar dowiedział się z zawartości skrzynki na amunicję, umieszczonej z tyłu bieliźniarki w sypialni, ponieważ jego rodzice właśnie tam przechowywali najważniejsze dokumenty. Skrzynka była w szarym wojskowym kolorze, z boku miała czarne zamki i była wykonana z metalu, a zatem zabezpieczona przed myszami. Kiedyś gdy był sam, wyniósł ją ukradkiem i przejrzał jej zawartość. Znalazł tam ich metryki urodzenia, a obok leżał akt małżeństwa oraz akt własności i historia posiadania ich ziemi. Jednak najbardziej zaniepokoił go telegram — gruby pożółkły kawałek papieru z nagłówkiem Western Union. Zawarta w nim wiadomość składała się tylko z sześciu słów, wydrukowanych na paskach papieru naklejonych na podkładkę: OFERTA PRZYJĘTA ADAMSKI ZAJMIE SIĘ DOKUMENTAMI. Adamski był prawnikiem pana Schultza; jego podpis widniał na kilku dokumentach w skrzynce. Przytrzymujący te słowa klej wysechł przez lata i za każdym razem gdy Edgar ukradkiem wyciągał telegram, spadało kolejne słowo. Najpierw DOKUMENTAMI, potem SIĘ, a później ZAJMIE. W końcu przestał wyjmować telegram, obawiając się, że kiedy na kolana sfrunie mu słowo PRZYJĘTA, jego rodzina straci prawo do ziemi.

Nie wiedział, co ma zrobić z uwolnionymi słowami. Wydawało mu się, że nie należy ich wyrzucać, więc wsadził je do skrzynki na amunicję w nadziei, że nikt tego nie zauważy.

Całą swoją wiedzę o Schultzu, a nie było tego wiele, nabyli, mieszkając w postawionych przez niego zabudowaniach. I tak ponieważ Sawtelle'owie wprowadzali wiele przeróbek, dowiedzieli się na przykład, że Schultz pracował bez poziomnic i węgielnicy i nie znał starej zasady cieśli o wyznaczaniu kąta prostego na bazie trójkąta o bokach trzy, cztery i pięć. Dowiedzieli się, że kiedy ciął drewno, robił to tylko raz i jeśli było za krótkie, korygował podkładkami i gwoździami, a jeśli było za długie, wbijał je pod kątem. Dowiedzieli się, że był oszczędny, bo ściany piwnicy postawił z kamieni, chcąc oszczędzić na koszcie cementu, toteż każdej wiosny woda sączyła się przez szczeliny, po kostki zalewając piwnicę. I stąd też, jak stwierdził ojciec Edgara, dowiedzieli się, że Schultz nigdy wcześniej nie robił wylewki w piwnicy.

Dowiedzieli się też, że Schultz żywił szacunek dla gospodarności — musiał ją szanować, żeby przeżyć w lesie — ponieważ postawiony przez niego dom stanowił miniaturową wersję stodoły, której wszystkie wymiary podzielono przez trzy. To podobieństwo najlepiej widać było z południowego pola, gdy stało się w pobliżu kępy brzoź ze znajdującym się przed nią małym białym krzyżem. Jeśli tylko pominęło się wprowadzone przez Sawtelle'ów niewielkie zmiany — rozbudowaną kuchnię, dodatkową sypialnię, biegnący wzdłuż zachodniej ściany ganek z tyłu —

26

27

wystarczyło trochę wyobraźni i można było zauważyć, że dom ma taki sam stromy mansardowy dach, z którego tak łatwo w zimie zsuwa się śnieg, i że okna w domu wycięto dokładnie w tym miejscu, gdzie na koń-

cu stodoły mieściły się wrota z dzielonymi poziomo skrzydłami. Szczyt dachu zwieszał się nad podjazdem na podobieństwo małego stryszku na siano, uroczo, choć zupełnie bezużytecznie. Przysadziste i przyjaźnie wyglądające budynki przypominały krowę leżącą z cielakiem na pastwisku. Edgar lubił przyglądać się ich podwórzu; taki sam widok roztaczał się codziennie przed Schultzem pracującym na polu, kiedy wybierał kamienie, wrywał pniaki czy też zaganiał na noc swoje stado.

Jednak ta wiedza nie pozwalała udzielić odpowiedzi na niezliczone pytania. Czy był tu pies, który zaganiał krowy? Bo w takim razie byłby to pierwszy pies, który mógłby nazwać to miejsce swoim domem, a Edgar chciałby poznać jego imię. Co Schultz robił wieczorami bez telewizora i radia? Czy uczył swojego psa, jak się zdmuchuje świeczki? Czy jedząc rano jajka, pieprzył je prochem strzelniczym, jak podróżnicy? Czy hodował kury i kaczki? Czy nocami siedział ze strzelbą na kolanach, gotów strzelać do lisów? Czy w środku zimy biegł, głośno krzycząc, wyboistą drogą w stronę miasteczka, pijany, znudzony i oszalały od nieustających dźwięków harmonijki, które przynosił wiatr przez otwierane pionowo okno? Zdobyć fotografie Schultza wykraczało poza wszelkie marzenia, jednak chłopiec, od dziecka żyjący we własnym świecie, wyobrażał go sobie wychodzącego z lasu, jakby czas zatrzymał się w miejscu, gotowego po raz ostatni spróbować zająć się gospodarstwem — krępy poważny mężczyzna z podkreślonymi do góry wąsami, gęstymi brwiami i smutnymi piwnymi oczami. Idąc, kołysałby się na boki po wielu godzinach spędzonych na kucach, otoczony jakimś szczególnym urokiem. Zatrzymując się, żeby nad czymś pomyśleć, brałby się pod boki i pogwizdywałby, przytupując nogą wspartą na pięcie.

Kolejne ślady po Schultzu: po rozebraniu fragmentu ściany w celu wymiany zgniłego okna znaleźli na drewnie zrobiony ołówkiem od-

ręczny napis:

25 V4 + 3 V4 = 28 V2

A na innej belce nagryzmołoną listę:

słonina

mąka

5 galonów smoły

zapałki

kawa

2 funty gwoździ

Edgar był zdumiony, kiedy znalazł słowa w ścianie ich domu nabazgrane przez człowieka, którego nikt nigdy nie widział. Zapragnął rozebrać wszystkie ściany i sprawdzić, co może być napisane przy suficie, pod schodami, ponad drzwiami. Z czasem, korzystając jedynie z wyobraźni, Edgar stworzył sobie obraz Schultza tak dokładny, że nawet nie musiał mrużyć oczu, żeby go przed nie przywołać. Co najważniejsze, zrozumiał, dlaczego Schultz w tak tajemniczy sposób porzucił to gospodarstwo — musiała do cna opanować go samotność. Po czwartej zimie Schultz nie mógł już tego znieść, sam ze swoimi kucami i krowami, nie mając do kogo ust otworzyć, nie mając nikogo, kto by zobaczył, co on zrobił, czy też wysłuchał, co się wydarzyło — zupełnie nikogo, kto mógłby być świadkiem jego życia. W czasach Schultza, podobnie jak i w czasach Edgara, w całej okolicy nie było żadnych sąsiadów. Noce tu musiały być przerażające.

I dlatego Schultz wyprowadził się stąd, może na południe, do Milwaukee, lub na zachód, do St. Paul, w nadziei że znajdzie żonę, która by tu z nim wróciła, pomogła mu oczyścić resztę ziemi, założyć rodzinę. Jednak coś stanęło na drodze jego powrotowi. Może jego narzeczona nie znosiła życia na wsi. Może ktoś zachorował. Choć nie mógł się tego

dowiedzieć, Edgar był przekonany, że Schultzem targały wątpliwości, kiedy przyjmował ofertę jego dziadka. I właśnie to, jak sobie wyobrażał, było prawdziwą przyczyną odpadania słów z tego telegramu.

Oczywiście nie było żadnych powodów do zmartwień i Edgar o tym wiedział. To wszystko wydarzyło się czterdzieści lat przed jego narodzinami. Dziadek i babcia przeprowadzili się na gospodarstwo bez żadnych kłopotów, a w czasach Edgara była to farma Sawtelle'ów, jak daleko sięgano pamięcią. John Sawtelle dostał w miasteczku pracę w zakładzie produkującym fornir, a oczyszczone przez Schultza pola wydzierzawił. Gdy tylko spotykał psa, który mu się spodobał, schylał

28

29

się i starał się zajrzeć mu w oczy. Czasami dobijał targu z właścicielem psa. Po przerobieniu ogromnej stodoły na psiarnię dziadek Edgara zaczął doskonalić tam swój dar do hodowania psów, psów tak różnych od pasterskich, gończych, od aportujących i zaprzęgowych, z których korzystał, dobierając założycielskie linie, że stały się znane po prostu jako psy Sawtelle'a.

John i Mary Sawtelle wychowali dwóch chłopców, różniących się od siebie jak noc i dzień. Jeden z synów został na ojcowiznie, kiedy owdowiały dziadek Edgara przeniósł się na emeryturę do miasteczka, a drugi wyniósł się, jak sądzono, na zawsze.

Ten, który został, Gar Sawtelle, był ojcem Edgara.

Jego rodzice pobrali się w późnym wieku. Gar był już po trzydziestce, Trudi kilka lat młodsza, a opowieść o ich pierwszym spotkaniu zmieniła się w zależności od tego, kogo Edgar pytał i kto akurat mógł to słyszeć.

— To była miłość od pierwszego wejrzenia — mówiła jego matka

podniesionym głosem. — Nie potrafił oderwać ode mnie wzroku. To było aż krępujące. Wyszłam za niego z litości.

— Nie wierz w to — krzyczał ojciec z drugiego pokoju. — Gonila za mną jak wariatka! Rzucała mi się do stóp, kiedy tylko miała okazję. Lekarze powiedzieli, że może sobie zrobić krzywdę, jeśli jej nie przygarnę. Edgar nigdy nie słyszał dwa razy tej samej historii. Raz spotkali się na tańcach w Park Falls. Innym razem zatrzymała się, żeby pomóc mu naprawić przebitą oponę w ciężarówce.

Nie, proszę, dajcie spokój, błagał Edgar.

Podobno od dawna ze sobą korespondowali. Spotkali się w gabinecie lekarskim, oboje obsypani plamkami odry. Spotkali się w Boże Narodzenie w domu towarowym, gdy oboje sięgali po ostatnią zabawkę na półce. Spotkali się, kiedy Gar oddawał psa komuś w Wasau. Zawsze ze sobą rywalizowali, rozbudowując te swoje historie w rodzaj jakiejś fantastycznej przygody, w której z bronią w ręku musieli wymykać się niebezpieczeństwom, uciekając do kryjówki Dillingera w lasach na północy. Edgar wiedział, że jego matka dorastała na granicy stanu Minnesota nad Jeziorem Górnym, przechodząc od jednej przybranej rodziny do drugiej, ale to było wszystko. Nie miała ani braci, ani sióstr i nigdy nie odwiedzała ich żaden krewny z jej rodziny. Z rzadka nadchodziły adresowane do niej listy, lecz nigdy nie spieszyła się z ich otwarciem.

Na ścianie saloniku wisiało zdjęcie jego rodziców zrobione w dniu, w którym sędzia w Ashland udzielił im ślubu: Gar w szarym garniturze, Trudi w białej sukience do kolan. Trzymali między sobą bukiet kwiatów i mieli tak poważne miny, że Edgar nie potrafił ich rozpoznać. Ojciec poprosił doktora Papineau, weterynarza, żeby zaopiekował się psami, kiedy wraz z Trudi wybrali się na miesiąc miodowy do hrabstwa Door. Edgar widział zdjęcia wykonane ojcowskim aparatem marki Kodak

Brownie: siedzieli oboje na nabrzeżu, w tle było jezioro Michigan. I to już było wszystko, wszystkie ślady: akt ślubu w skrzynce na amunicję i kilka fotografii z falistymi krawędziami.

Po powrocie Trudi zaczęła pomagać w psiarni. Gar skupił się na krzyżowaniu, szczenieniu się suk i szukaniu miejsca dla psów, a Trudi zajęła się szkoleniem — bo w tej dziedzinie, jakkolwiek się spotkali, naprawdę błyszczała. Ojciec Edgara chętnie przyznawał się do swoich treserskich braków. Miał za dobre serce, był nazbyt skłonny pozwalać psom na niestaranne wykonywanie poleceń. Szkolone przez niego psy nigdy nie nauczyły się, jaka jest różnica między komendami „waruj”, „siad” i „zostań” — z grubsza rozumiały, że powinny zostać tam, gdzie akurat były, ale czasami osuwały się na podłogę lub robiły kilka kroków i potem siadały, podnosiły się, kiedy powinny były dalej leżeć, albo siadały, kiedy powinny były stać nieruchomo. Gara zawsze bardziej ciekawiło, co psy same zdecydują się zrobić, a to upodobanie odziedziczył po swoim ojcu.

Z przyjściem Trudi wszystko się odmieniło. Jako treserka była nieustępliwa i drobiazgowa, a jej ruchy charakteryzowały się oszczędną efektywnością, jaką Edgar zauważył u nauczycieli i pielęgniarek. Potrafiła też w niesamowity sposób reagować — przywoływała do porządku psa na smyczy tak szybkim ruchem, że na sam ten widok człowiek wybuchął śmiechem. Jej ręce błyskawicznie unosiły się w górę i opadały, powodując, że obroza psa zaciskała się i ponownie się luzowała, wydając tylko krótki brzęk, równie szybko, jakbyś oglądał kuglarską sztuczkę. Malujący się na pysku psa wyraz zaskoczenia świadczył o tym, że zwierzę nie ma pojęcia, kto pociągnął za smycz. W zimie tresurę prowadzili w przedniej części przepastnego strychu na siano, w którym poukładane

bele siana służyły za przeszkody, ćwicząc z psami w zamkniętym świecie ograniczonym porozrzucanymi źdźbłami słomy pod nogami i z grubsza ociosaną belką kalenicy nad głową, z sękatymi deskami w dachu tworzącymi ciemną kopułę poprzebijaną gwoździami przytrzymującymi gont i punkcikami światła dziennego oraz siatką krokwi unoszących się w połowie wysokości, a cała tylna część stodoły zapełniona była dziesięcioma, jedenastoma czy dwunastoma warstwami beli słomy. Pozostała wolna przestrzeń wciąż była ogromna. To właśnie tam, tresując psy, Trudi wyglądała najbardziej charyzmatycznie i władczo. Edgar widział ją, jak szybkim krokiem przechodzi przez stodołę, chwytając psa, który nie wykonał polecenia „leżeć”, i kładzie go na ziemi, a wszystko jednym, wręcz tanecznym, kolistym ruchem. Nawet na psie zrobiło to wrażenie — podskoczył, odwrócił się i polizał jej twarz, jakby specjalnie dla niego dokonała jakiegoś cudu.

I chociaż rodzice Edgara żartowali sobie, udzielając wymijających odpowiedzi na temat ich spotkania, na inne pytania zawsze odpowiadali wprost. Czasami przechodzili do opowieści o samym Edgarze, o jego narodzinach, o tym, jak martwili się o jego głos, jak on i Almondine bawili się razem, zanim jeszcze potrafił wyjść z łóżeczka dziecinnego. A ponieważ codziennie pracował z rodzicami w psiarni — szczotkując psy, nadając im imiona i zajmując się nimi, kiedy podczas tresury czekały na swoją kolej — miał wiele okazji do zadawania im pytań za pomocą języka migowego, a potem czekania i słuchania. Gdy mieli trochę więcej spokoju, rozmawiali też o smutniejszych wydarzeniach z przeszłości. Najsmutniejsza była opowieść o tym krzyżu stojącym pod brzoza-
mi na południowym polu.

Chcieli mieć dziecko. Była jesień 1954 roku, już od trzech lat byli małżeń-

stwem. Przekształcili jeden z pokoi w pokój dziecienny, kupili fotel bujający, kołyskę z wiszącą nad nią karuzelą i komódkę, wszystko wymalowane na biało, a swoją sypialnię przenieśli na piętro, do pokoju po drugiej stronie korytarza. Tej wiosny Trudi zaszła w ciążę. Po trzech miesiącach poroniła. Kiedy nadeszła zima, ponownie zaszła w ciążę i znowu poroniła w trzecim miesiącu. Wybrali się do Marshfield do lekarza, który wypytał ich, jak się odżywiają, jakie biorą lekarstwa, ile palą i piją. Lekarz zbadał krew matki i stwierdził, że stan jej zdrowia jest doskonały. Nie-
32

które kobiety są po prostu bardziej na to narażone, powiedział. Proszę wstrzymać się na rok. Poleciał, aby się zbytnio nie wysilała.

Pod koniec roku 1957 matka zaszła w ciążę po raz trzeci. Odczekała z ujawnieniem tej nowiny, aż nabrała pewności, a potem jeszcze trochę, żeby zrobić to w Boże Narodzenie. Dziecko, jak przypuszczała, powinno urodzić się w czerwcu.

Pamiętając o zaleceniach lekarza, wprowadzili zmiany w codziennych zajęciach w psiarni. Matka nadal sama opiekowała się młodszymi szczeniakami, ale na zajęcia z roczniakami, na tyle nieposłusznymi i silnymi, że mogłyby ją przewrócić, do stodoły przychodził ojciec. Dla obojga nie było to łatwe. Trudi musiała tresować psy „za pośrednictwem” Gara, który stanowił marną namiastkę smyczy. Siadała na belsiana i krzyczała: „Teraz! Teraz!” sfrustrowana, gdy nie zauważał potrzeby skorygowania psa, co często się zdarzało. Po jakimś czasie psy nastawiały uszu w stronę Trudi, nawet kiedy Gar trzymał je na smyczy. Nauczyli się tresować trzy psy naraz: dwa stały obok matki Edgara, kiedy ojciec przypinał trzeciemu smycz i prowadził go przez przeszkody, kazał mu aportować, stać w miejscu czy ćwiczyć równowagę. Nie mając innego zajęcia, matka zaczęła wykonywać z czekającymi psami pro-

ste ćwiczenia łapania i przytrzymywania, żeby nauczyć je delikatnego chwytu pyskiem. Po takich dniach wychodziła ze stodoły wymęczona, jakby pracowała tam sama. Ojciec zostawał w psiarni i zajmował się wieczornymi obowiązkami. Zima była wyjątkowo mroźna i czasami więcej czasu zajmowało jej opatulenie się niż przejście z psiarni na ganek z tyłu domu.

Wieczorami zmywali naczynia - ona myła, on wycierał. Czasami zarzucał ścierkę na ramię i obejmował żonę, przyciskał dłonie do jej brzucha w nadziei, że wyczuje rosnące w środku dziecko.

— Proszę — mówiła, wyciągając rękę z parującym talerzem. — Nie przeszkadzaj. — Ale w oszronionej szybie nad zlewem dostrzegł jej uśmiech.

Pewnego lutowego wieczoru Gar poczuł, że jej brzuch drga pod jego dłonią. Jakby poczuł wezwanie z jakiegoś innego świata. Tej nocy wybrali imię dla chłopczyka i imię dla dziewczynki, oboje w pamięci odliczając dni w tył i myśląc, że udało im się przekroczyć tę trzymiesięczną granicę, jednak nie śmiejąc wyrazić tego na głos.

33

W kwietniu przez pola przesunęła się szara kurtyna deszczu. Śnieg rozkisnął i rozpuścił się w ciągu jednego dnia, w powietrzu zaczęły się kłębić zapachy roślin. Zewsząd docierały odgłosy kapiącej z okapu wody. Pewnej nocy ojciec obudził się i zobaczył odrzucone koce i łóżko przemoczone w miejscu, w którym leżała jego żona. W świetle lampy dostrzegł szkarłatną plamę na pościeli.

Znalazł Trudi w łazience, skuloną w wannie na lwich łapach. W ramionach trzymała idealnie ukształtowanego chłopczyka o skórze jak z błękitnego wosku. Cokolwiek się wydarzyło, nie trwało długo i nie przyniosło wielkiego bólu i chociaż drżała, jakby płacząc, siedziała w milcze-

niu. Słyszeć było tylko odgłos przypominający ssanie, kiedy jej wilgotna skóra odrywała się od białej porcelany. Gar przykląkł przy wannie i chciał objąć żonę ramionami, ale Trudi, wciąż dygocząc, odtrąciła jego dłoń, więc siadł na wyciągnięcie ręki, czekając, czy ostatecznie przestanie łkać czy wybuchnie głośnym płaczem. Jednak ona tylko odkręciła kurek i trzymała palce pod wodą, aż uznała, że płynie dostatecznie ciepłym strumieniem. Siedząc w wannie, umyła noworodka. Czerwona plama na jej koszuli nocnej zaczęła zabarwiać wodę. Trudi poprosiła Gara, by przyniósł koczek z pokoju dziecinnego, i zawinąwszy w niego nieruchome ciało, podała mu je. Kiedy już miał odejść, położyła mu rękę na ramieniu, więc czekał, to patrząc, kiedy uznał, że patrzeć powinien, to odwracając wzrok, kiedy było inaczej, widząc, jak Trudi powoli, stopniowo dochodzi do siebie, aż w końcu odwróciła się i popatrzyła na niego w sposób, który świadczył o tym, że udało się jej to przetrwać.

Tylko jakim kosztem! Chociaż dzieciństwo spędzone u kolejnych przybranych rodziców wyczuliło ją na straty rodzinne, od samego początku odczuwała potrzebę utrzymania własnej rodziny. Każda próba wyjaśnienia tego, co stało się później, w oparciu o jakieś pojedyncze wydarzenie stanowiłaby odrzucenie tendencji czy też mocy świata do dalszego rozwoju. W jej głowie to dziecko już zaczęło żyć i oddychać (a przynajmniej żyły nadzieje i marzenia, które je dla niej stworzyły), pojawiła się w niej przestrzeń, która nie mogła tak po prostu zniknąć wraz ze śmiercią dziecka. Trudi nie mogła pozostawić tej przestrzeni pustej ani też szczelnie jej zamknąć i traktować, jakby nigdy nie istniała. Toteż w niej pozostała jako odrobina ciemności niczym czarne ziarno, jako pustka, w którą można na zawsze się zanurzyć. To był ten koszt, z którego tylko Trudi zdawała sobie sprawę, choć nawet ona nie wiedziała, co to może znaczyć teraz albo w przyszłości.

Została z martwym niemowlęciem w salonie, kiedy Gar poszedł z Almondine do warsztatu. Psy stały w kojcach po obu stronach przejścia. Włączył światło i próbował naszkicować plan na kawałku papieru, ale ręce mu drżały i nie potrafił zachować odpowiednich wymiarów. Zaciał się piłą, zrywając skórę na dwóch kłykciach, lecz nie wrócił do domu, tylko opatrzył je bandażem z apteczki w stodole. Aż do późnego ranka składał skrzynię i krzyż. Nie pomalował ich, ponieważ w panującej deszczowej pogodzie farba musiałaby przez kilka dni schnąć. Zabrał łopatę, przez południowe pole przeszedł do małej kępy brzoź połyskujących olśniewającą bielą wiosennej kory i tam wykopał grób. W domu dno trumienki wymościli dwoma kocami i do środka włożyli opatulonego noworodka. Dopiero wówczas pomyślał o szczelnym zamknięciu trumienki. Spojrzał na Trudi.

— Muszę ją zabić gwoździami — powiedział. — Pozwól, że zabiorę ją do stodoły.

— Nie - odparła. — Zrób to tutaj.

Poszedł do stodoły, wziął młotek oraz osiem gwoździ i przez całą powrotną drogę rozmyślał nad tym, co teraz go czeka. Postawili trumienkę na środku salonu. Ukłękł przed nią. Zrobił ją najlepiej, jak tylko potrafił, ale i tak wyglądała jak skrzynia transportowa. Wbił po gwoździu we wszystkie narożniki i właśnie miał umieścić po jednym w środku każdego z boków, gdy nagle poczuł, że nie może tego zrobić. Chciał przeprosić za użycie przemocy. Oparł głowę na szorstkiej powierzchni drewnianej trumienki. Trudi bez słowa przesunęła dłonią po jego plecach.

Chwyciwszy trumienkę, zaniósł ją pod kępę brzoź i tam opuścili ją do dołu, a potem zasypali ziemią. Almondine, wówczas będąca jeszcze szczeniakiem, stała przy nich w deszczu. Gar wyciął łopatą kawałek darni w kształcie półkola i obuchem młotka wbił krzyż w ziemię. Pod-

niósł wzrok i zobaczył, że Trudi leży nieprzytomna na świeżo zazielenionej łące.

Ocknęła się, gdy byli już na północ od Mellen, pędząc po czarnej drodze. Za oknami pikapu wiatr smagał padającym deszczem i zawiąjał nim w nieokreślone kształty, migoczące i wirujące nad rowami. Zamknęła oczy. Tę noc spędziła w szpitalu w Ashland, a kiedy następnego dnia po południu wracali do domu, deszcz wciąż padał i te same kształty nadal tańczyły.

Tak się składało, że granica ich posiadłości biegła dokładnie wzdłuż strumienia płynącego na południe przez las Chequamegon. Przez większość roku strumień miał niewiele ponad pół metra szerokości i był tak płytki, że można było podnieść z jego dna kamień, nawet nie mocząc nadgarstka. Kiedy Schultz stawiał ogrodzenie z drutu kolczastego, skrupulatnie wbił paliki w samym środku strumienia.

Edgar czasami chodził tam z ojcem w zimie, kiedy ze śnieżnych zasp wystawały same czubki palików i słychać było szmer przeciekającej między kamykami wody, bo strumień nie był na tyle szeroki ani bystry, żeby rozpuścić pokrywający go śnieg, ale też nie zamarzał. Pewnego razu Almondine przechyliła łeb i zaczęła nasłuchiwać tych dźwięków, a kiedy zlokalizowała ich pochodzenie, wpakowała łapy w śnieg, zanurzając je w lodowatej wodzie. Edgar roześmiał się, jak zawsze milcząc, a ona położyła uszy po sobie. Unosiła łapy jedną po drugiej, gdy wycierał je po kolei swoją czapką i rękawicami, a w drodze powrotnej czuli taki sam piekący ból w rękach i łapach.

Każdej wiosny strumień na kilka tygodni przekształcał się w niemrawą rzekę, toczącą swoje wody w kolorze gliny przez leśne poszycie, rozlaną na szerokość trzech metrów z jednej i drugiej strony palików ogrodzenia. Kiedy rzeka wylewała, mogło w niej płynąć wszystko —

puszki po zupie, karty z wizerunkami bejsbolistów, ołówki — wszystko tajemniczego pochodzenia, ponieważ w górze strumienia rósł tylko las. Wrzucone z powrotem przez Edgara do oleistego nurtu podskakiwały i odpływały, może nawet aż do samej Missisipi, jak marzył sobie Edgar, podczas gdy jego ojciec wsparty o drzewo wpatrywał się w linię palików.

Raz zobaczyli wydrę: unosząc się brzuchem do góry na wodzie zalewu z tylnymi łapkami skierowanymi w dół rzeki, czyściła futerko na piersiach — wyglądała jak samowystarczalny zwierzęcy kajaczek. Mijając ich, wydra zauważyła, że jest obserwowana, i uniosła łebek. Miała okrągłe ślepka, błyszczące i czarne. Nurt rzeki unosił ją w dal, a Edgar i wydra, w równej mierze zaskoczeni, nie potrafili oderwać od siebie oczu.

Po powrocie ze szpitala Trudi całe dni spędzała w łóżku, obserwując wzory kreślone na szybie przez krople deszczu. Gar przyrządzał posiłki i podawał jej. Odzywała się niewiele, zaledwie po to, żeby go uspokoić, a potem odwracała się i tylko wyglądała przez okno. Po trzech dniach deszcz ustąpił, ale szare chmury wciąż wisiały nad ziemią. Od czasu urodzenia martwego dziecka na niebie nie zagościło ani słońce, ani księżyc. W nocy Gar obejmował ją ramionami i szeptał jej do ucha, aż sam, wyczerpany i rozczarowany, zapadał w sen.

Pewnego ranka Trudi w końcu wstała z łóżka, zeszła na dół, pozmywała naczynia i przygotowała śniadanie w kuchni. Wciąż jeszcze była blada, jednak już nie tak zamknięta w sobie. Na dworze zrobiło się ciepło, więc po śniadaniu Gar wyciągnął na ganek wielki wyścielany fotel i namówił ją, żeby w nim usiadła. Przyniósł jej też koc i kawę. Poprosiła go, najgrzeczniej jak potrafiła, żeby zostawił ją samą, że ma się dobrze i tylko chce pobyć sama. Zostawił więc Almondine na gan-

ku, a sam udał się do psiarni.

Uporawszy się z porannymi obowiązkami, zabrał pędzel oraz puszkę białej farby i poszedł pod brzozy. Pomalował krzyż, a potem rękami rozrzucił ziemię w miejscach, gdzie skapnęła farba. Powolne ruchy pędzla po drewnie nie wywoływały w nim żadnych emocji, ale kiedy dotykał gleby, ogarniało go przygnębienie. Wolał, żeby Trudi nie widziała go w tym stanie. Zamiast wrócić do psiarni, poszedł przez las wzdłuż południowego ogrodzenia. Po wielodniowych opadach deszczu strumień wezbrał i zalał już drugi poziom drutu kolczastego. Gar oparł się o stojące w pobliżu drzewo i w zamyśleniu liczył kolejne wiry tworzące się za palikami ogrodzenia. Nie potrafiłby powiedzieć dlaczego, lecz ten widok przynosił mu jakieś ukojenie. Po pewnym czasie dostrzegł coś, co w pierwszej chwili wziął za kupkę wirujących zwiędłych liści, brązowych na tle brunatnej wody. Jednak już po chwili ze zdumieniem zauważył, że to wcale nie są stare liście, tylko jakieś zwierzę, charczące i zmagające się z wodą. Zniesione w wir zniknęło pod powierzchnią, a kiedy ponownie się wynurzyło, do uszu Edgara doszło słabe, ale wyraźne kwilenie.

Gdy dotarł do ogrodzenia, woda w strumieniu sięgała mu już powyżej kolan — była cieplejsza, niż się spodziewał, jednak najbardziej zaskoczyła go siła prądu. Musiał się chwycić palika w ogrodzeniu, żeby

36

37

utrzymać równowagę. Zwierzę nadpłynęło w jego pobliże, w tym momencie sięgnął i wyłowił je z wody. Uniósł je do góry, chcąc mu się przyjrzeć, po czym wsadził pod kurtkę, starając się ogrzać w dłoniach, i ruszył prosto przez las na pole przed domem.

Siedząca na ganku Trudi obserwowała Gara wyłaniającego się z lasu. Kiedy

mijał kępę młodych drzewek osikowych, zdawał się mienić wśród pni jak duch tulący rękę do piersi. W pierwszej chwili pomyślała, że jest ranny, lecz nie będąc na tyle silna, żeby wyjść mu na spotkanie, czekała tylko i patrzyła.

Po wejściu na ganek ukląkł i wyjął coś z za pazuchy, pokazując, co przyniósł. Wiedział, że zwierzątko żyje, ponieważ przez całą długą drogę przez pole lekko gryzło go w palce. W dłoniach trzymał szczeniaka — najprawdopodobniej wilczka, chociaż od lat ich tu nie widziano. Mokry szczeniak cały drżał, kolorem przypominał garść liści i był niewiele większy od jego dłoni. Na tyle powrócił do życia, żeby zacząć się bać. Wyginał grzbiet w łuk i piszczał, sapał i skrobał tylnymi łapami o stwardniałe dłonie Gara. Almondine wcisnęła pysk nad ramieniem Gara, ogarnięta przemożną chęcią, by sprawdzić, co to jest, ale Trudi stanowczo poleciła jej usiąść i wzięwszy szczeniaka na ręce, przyglądała mu się przez chwilę, a później przycisnęła go do szyi.

— Cichutko — powiedziała — Cii. — Podała mu swój najmniejszy palec do ssania.

Szczeniak był samcem, wyglądał na trzy tygodnie, chociaż mogli tylko zgadywać, porównując go z psem, bo niewiele wiedzieli o wilkach. Gar zaczął wyjaśniać, jak go znalazł, lecz zanim zdążył dokończyć swoją opowieść, szczeniakiem zaczęły targać drgawki. Wnieśli go do domu, wytarli ręcznikiem i potem leżał, patrząc na nich. Przygotowali mu legowisko z kartonowego pudełka, które ustawili na podłodze obok kratki kominowej. Almondine próbowała wcisnąć pysk nad krawędzią pudełka. Nie miała jeszcze roku i wciąż była niezdarna, a do tego często też głupiutka. Obawiali się, że może nadepnąć na szczeniaka czy też przycisnąć go nosem i śmiertelnie wystraszyć, więc po jakimś czasie postawili pudło na kuchennym stole. Trudi próbowała mu podać mleko w proszku, ale szczeniak wziął tylko kropelkę i odepchnął smoczek przednią łapką, niewiele większą od kciuka

Trudi. Próbowwała go nakarmić krowim mlekiem, a potem miodem rozpuszczonym w wodzie, podając mu krople spływające z czubków jej pal-

38
ców. Wyszukała fartuch z szeroką kieszenią z przodu i w ten sposób nosiła szczeniaka, sądząc, że maluch będzie mógł tam usiąść i rozglądać się, ale on wciąż leżał na grzbiecie i patrzył na nią posępnym wzrokiem. Ten widok wywoływał uśmiech na jej twarzy. Przesuwała palcem po futerku na jego brzuchu, a on wił się pod jej dłonią, żeby stale widzieć jej oczy.

Przy kolacji usiedli i rozmawiali o tym, co mają zrobić. Widywali matki odrzucające swoje dzieci zaraz po urodzeniu, chociaż wydawało się, że wszystko jest w porządku. Czasami, jak zauważył Gar, w takiej sytuacji wystarczy oddać sieroty innej karmiącej matce. Ledwo zdążył to powiedzieć, porzucili talerze na stole i zanieśli szczeniaka do psiarni. Jedna z suk warknęła, czując zapach szczeniaka. Inna odepchnęła go i nosem narzuciła na niego trochę słomy. Szczeniak nie reagował, tylko leżał zupełnie nieruchomo. Choć nie było powodu do irytacji, Trudi wpadła we wściekłość. Zdecydowanym krokiem weszła do domu, tuląc szczeniaka w dłoniach. Zrobiła kulkę z kawałka sera, obracając ją w palcach tak długo, aż zrobiła się ciepła i miękka. Następnie podała szczeniakowi skrawek pieczeni wołowej ze swojego talerza. Nie przyjął ani jednego, ani drugiego.

Gdy zbliżała się północ, wyczerpani zabrali znajcę na piętro i ułożyli go w dzieciennym łóżeczku, stawiając obok spodeczek z rozpuszczonym mlekiem w proszku. Almondine próbowała wcisnąć nos między prętami łóżeczka i głośno węszyła. Szczeniak przyczołgał się w stronę tego dźwięku, zamknął oczy i leżał z tylnymi łapkami odwróconymi do góry i wyciągniętymi przy akompaniamencie dzwonków karuzeli nad łóżeczkiem.

Tej nocy Trudi się obudziła i dostrzegła Almondine przechodzącą przez sypialnię. Leżący w łóżeczku szczeniak patrzył szklistym wzro-

kiem, widać było, że nie ma siły podnieść łebka. Przyciągnęła bujany fotel do okna i usiadła ze szczeniakiem na kolanach. Chmury ustąpiły i w świetle półksiężyca futerko mieniło się srebrzystymi końcówkami. Almondine przesunęła pyskiem po udzie Trudi i przez dłuższą chwilę chłonęła zapach szczeniaka. W końcu się położyła, a cień bujanego fotela przesuwiał się po jej ciele tam i z powrotem.

Kiedy nadeszła ostatnia godzina szczeniaka, Trudi szepnęła mu do ucha o tym tkwiącym w niej czarnym nasieniu, jakby rzeczywiście mógł cokolwiek zrozumieć. Głaskała meszek na jego piersi, a on wpatrywał się w nią swoimi oczami i siedząc tak w nocy, zawarli między sobą układ, że jedno odejdzie, a drugie zostanie.

39

Gar po przebudzeniu dokładnie wiedział, gdzie znajdzie Trudi. Tym razem to on płakał. Pochowali szczeniaka pod brzozaami w pobliżu grobu noworodka — dwa bezimienne groby, tyle że ten najświeższy nieoznaczony — a zamiast deszczu świeciło słońce, niosąc swoją odrobinę słonecznej pociechy. Uporawszy się z tym wszystkim, rodzice Edgara powrócili do psiarni i zabrali się do pracy, do tej swojej pracy, która nigdy się nie kończyła, bo psy były głodne, jedna z suk się rozchorowała i trzeba było własnoręcznie karmić szczeniaki, a roczniaki, niesforne i uparte, koniecznie wymagały tresury.

Tego wszystkiego Edgar nie dowiedział się od razu. Składał tę opowieść z drobnych kawałków, zadając pytanie w języku migowym i uzupełniając ją o kolejny fragment. Czasami oświadczała, że nie mają ochoty o tym rozmawiać, albo zmieniali temat, być może próbując ochronić go przed rzeczywistością, w której nie wszystkie historie kończyły się szczęśliwie. Ale też nie chcieli go okłamywać.

Nadszedł wreszcie dzień (dzień straszny), kiedy ta historia została

opowiedziana prawie w całości, kiedy jego matka postanowiła ujawnić wszystko od początku do samego końca, powtarzając nawet te fragmenty, które już znał, nie wspominając jedynie o tym, o czym sama zapomniała. Edgar był wstrząśnięty niesprawiedliwością tych wydarzeń, lecz nie okazał, co czuje, obawiając się, że matka upiękoczy prawdę, jeśli będzie zadawał kolejne pytania. Dotychczas sądził, że wie coś o tych wydarzeniach, coś o świecie w ogólności — liczył na istnienie jakiejś równowagi w tej całej historii, na choćby niewielką rekompensatę za stracone dziecko. Gdy matka powiedziała, że szczeniak zmarł jeszcze pierwszej nocy, początkowo myślał, że się przesłyszał, i kazał jej to powtórzyć. Później doszedł do wniosku, że być może była w tym jakaś rekompensata, jakkolwiek okrutna, chociaż trwała przez tylko jeden dzień.

Jego matka ponownie zaszła w ciążę i tym razem ją donosiła. On był tym dzieckiem, urodzonym o szóstej rano trzynastego maja 1958 roku. Na imię dali mu Edgar po dziadku ze strony ojca. I chociaż ciąża przebiegła bez żadnych problemów, komplikacje pojawiły się zaraz po tym, jak po raz pierwszy zaczerpnął powietrza, żeby krzyknąć. Dopiero po pięciu dniach spędzonych w szpitalu w końcu przywieźli go do domu.

Almondine

Ostatecznie zrozumiała, że dom ma przed nią jakąś tajemnicę. Przez całą zimę i całą wiosnę Almondine wiedziała, że coś wisi w powietrzu, ale chociaż wszędzie szukała, niczego nie mogła znaleźć. Czasami, wchodząc do pokoju, miała wrażenie, że to co miało się wydarzyć, właśnie przed chwilą tu było, zatrzymywała się więc, dysząc i rozglądając się wokół, a tymczasem uczucie ulatniało się równie tajemniczo, jak się pojawiło. Całe tygodnie mijały bez jednego znaku, potem nagle nadchodził wieczór, kiedy leżąc pod oknem w kącie kuchni z nosem

wtulonym w ogon, słuchając szmeru rozmowy oraz chlupotania wody i brzęku mytych naczyń, ponownie wyczuwała coś w tym domu i jakby w zamyśleniu długimi uderzeniami ogona zamiatała po listwach przypodłogowych, cicho podnosiła się i czekała. Kiedy po półgodzinie nic się nie wydarzyło, mruknęła, sapnęła i położyła się na boku, czekając, czy się nie dowie, że to tylko jej się przyśniło.

Zaczęła sprawdzać najbardziej nieprawdopodobne zakamarki: za lodówką, gdzie pod jej oddechem odwieczne warstwy kurzu wirowały jak szalone; w płataninie nóg, tych od krzeseł i żywych, pod kuchennym stołem; wewnątrz botków i butów stojących sflaczałym rzędem za drzwiami ganku na tyłach domu — nigdzie niczego nie znajdując, chociaż za różnymi urządzeniami, poza zasięgiem jej delikatnego, wścibskiego nosa, pojawiły się pułapki na myszy ze świeżo założonymi przynętami.

Pewnego razu, gdy rodzice Edgara zostawili otwarte drzwi do swojej szafy, cały poranek spędziła przyczajona na podłodze sypialni, przekonana, że w końcu udało jej się osaczyć to wśród bezładnego stosu butów i zasłon. W końcu straciła cierpliwość, podeszła do progu, węsząc

40

41

w zatęchłej ciemności, i kiedy już była gotowa na dobre rozpocząć poszukiwania, z podwórza dobiegło ją wołanie Trudi, więc musiała wszystko zostawić. Później tego samego dnia przypomniawszy sobie o szafie, lecz już tam tego nie było i nie miała pojęcia, gdzie teraz się znajdowało.

Czasami kiedy już przeprowadziła poszukiwania i nie udało jej się znaleźć tego, co ma się wydarzyć, stawała przy matce lub ojcu Edgara w nadziei, że oni to przywołają. Ale oni musieli o tym zapomnieć — choć może bardziej prawdopodobne było, że nigdy o tym nie wiedzieli. Jak zdążyła zauważyć, istniały pewne rzeczy, rzeczy oczywiste, z któ-

rych oni nie zdawali sobie sprawy. Miło jej było, gdy przesuwali dłońmi po jej boku i drapali ją po grzbiecie, tyle że ona przede wszystkim pragnęła mieć jakieś zadanie do wykonania. Była już w tym domu od prawie roku, z dala od braci i sióstr ze swojego miotu, z dala od dźwięków i zapachów psiarni, a jej jedynym zajęciem była codzienna tresura. Obecnie nawet to stało się już rutyną, a ona nie należała do psów, które potrafią trwać w bezczynności przez dłuższy czas i nie być z tego powodu nieszczęśliwymi. A jeśli oni nic o tym nie wiedzieli, to jeszcze ważniejsze było, żeby ona to znalazła i pokazała im.

W kwietniu zaczęła budzić się w nocy i wędrować po domu, zatrzymując się przy pustej kanapie oraz dmuchających ciepłem kratkach kominowych i pytając je, czy coś wiedzą, lecz nigdy jej nie odpowiadały. Być może coś wiedziały, ale nie mogły się tą wiedzą podzielić. Te swoje nocne obchody w świetle księżyca zawsze kończyła w pokoju z łóżeczkiem dziecinnym (gdzie od czasu do czasu spotykała Trudi przekładającą rzeczy w szufladach komody albo głaskającą zawieszoną nad łóżeczkiem karuzelę). Kiedy stała w drzwiach, jej uwagę przykuwał fotel bujany, skąpany w bladym nocnym świetle sączącym się przez zasłonięte okna. Wspominała dawne czasy, kiedy spała przy fotelu, na którym Trudi kołysała się w ciemnościach. Podchodziła zatem do fotela, wsadzała nos pod siedzisko i lekko je unosiła, zachęcając go do wspomnień i do podzielenia się z nią tym, co jeszcze wiedział, ale on tylko w ciszy chwiał się w jedną i drugą stronę.

Bez wątplenia sekret znało łóżko, lecz nic nie mówiło bez względu na to, ile razy je spytała; pewnej nocy rodzice Edgara obudzili się i zastali ją, jak w porywie mściwości ściągała z łóżka narzutę. Rankami trącała nosem pikapa — podróżnika, jak o nim myślała — skamie-

niałego na podjeździe, ale również on nie zdradzał się z sekretami i nie udzielał jej odpowiedzi.

Dlatego też pod koniec tego okresu oczekiwań mogła już tylko współczuć Trudi, która teraz najwyraźniej równie mocno jak Almondine pragnęła to znaleźć i która z niewiadomych powodów zaczęła spędzać czas w łóżku, zamiast chodzić do psiarni. Wyglądało na to, że trzeba zupełnie zaprzestać poszukiwań i tylko czekać, aż dom sam ujawni swój sekret.

Nadszedł wreszcie ranek, kiedy oni się obudzili, chociaż na dworze wciąż jeszcze panowały ciemności. Gar zaczął biegać po całym domu, zatrzymując się tylko na chwilę, podczas której odbył dwie krótkie rozmowy telefoniczne. Wrzucił jakieś rzeczy do walizki i zaniósł ją do pikapu, ale po chwili wniósł ją z powrotem do domu i dorzucił tam jeszcze trochę rzeczy, a tymczasem Almondine obserwowała Trudi, która ubierała się powoli, z namaszczeniem. Gdy była gotowa, usiadła na skraju łóżka i powiedziała: „Spokojnie, Gar, mamy dużo czasu”. Razem zeszli po schodkach, Almondine odprowadziła ich do pikapu. Kiedy Trudi usadowiła się w kabinie, Almondine obeszła samochód od tyłu i czekała na opuszczenie tylnej klapy, jednak Gar nic takiego nie zrobił, tylko zaprowadził ją do psiarni i otworzył drzwi do pustego kojca.

Stała w przejściu i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Wchodź — powiedział.

Przez chwilę patrzyła na kusząco otwarte wrota stodoły. Poranne światło wlewało się zza sylwetki Gara, a jego cień kładł się na suchej, zakurzonej betonowej posadzce i na samej Almondine. Ostatecznie pozwoliła mu wziąć się za obrozę i zaprowadzić do kojca, bo nic mądrzejszego nie mogła zrobić. Po chwili rozległ się dźwięk uruchamianego silnika i chrzęst opon na żwirze. Kilka psów z przyzwyczajenia szczeka-

niem zareagowało na ten hałas, ale Almondine była zbyt oszołomiona, żeby robić coś więcej, niż tylko stać na słomie w oczekiwaniu na powrót samochodu i na to, że Gar wbiegnie do kojca i zabierze ją stąd. Kiedy w końcu się położyła, zrobiła to tak blisko drzwi, że przez druciane kratki wystawały kłaczki jej futra.

Tego wieczoru przyjechał doktor Papineau i podał psom jedzenie i wodę, a potem zajął się szczeniakami. Następnego dnia wrócił Gar, który tylko pośpiesznie zajął się codziennymi obowiązkami, zostawiając

43
Almondine w kojcu. Wieczorem ponownie pojawił się doktor Papineau. Po zapadnięciu zmroku Almondine stanęła na wybiegu zagrody, słuchała rzekotek rozpoczynających swój kakofoniczny koncert oraz przemykających nad głową nietoperzy i patrzyła na zmrozone oko księżycy, coraz wyżej wznoszące się nad drzewami i rzucające błękitny blask na pola. Było na tyle chłodno, żeby jej oddech mógł ukazać się jasnym obłokiem, i przez dłuższy czas nie ruszała się z miejsca, ziewając i próbując wyobrazić sobie, coż takiego właśnie się wydarzyło. Również kilka innych psów przecisnęło się przez drzwiczki do swoich wybiegów i stanęły wraz z nią. W ciemnościach nad nimi majaczył stary kamienny silos. Po pewnym czasie zrezygnowana wcisnęła się z powrotem do kojca i zwinąwszy się w kącie, wlepiła wzrok w nieruchome wrota stodoły.

Minął następny dzień, a potem dwa kolejne. Rankiem Almondine dosłyszała odgłosy wjeżdżającego na podwórze pikapa i jakiegoś drugiego samochodu. Kiedy do jej uszu dotarł głos Trudi, oparła łapy na drzwiach zagrody i po raz pierwszy, od kiedy tu się znalazła, przyłączyła się do powszechnego szczekania. Gar wszedł do stodoły i otworzył jej kojec. Zakręciła się w przejściu psiarni, rzuciła w kierunku schodków prowadzących na ganek, a tam odwróciła się i dysząc, czekała, aż Gar

do niej dojdzie.

Trudi siedziała w swoim fotelu w salonie i trzymała w ramionach biały kocyk. Na kanapie rozsiadł się doktor Papineau, trzymając kapelusz na kolanach. Almondine, drżąc z zaciekawienia, podeszła bliżej. Ostrożnie przesunęła pyskiem po ramieniu Trudi, zatrzymując się zaledwie kilka centymetrów od kocyka, i zmrużywszy oczy, kilkanaście razy pospiesznie odetchnęła. Z fałd materiału dobiegały słabe odgłosy sapania i po chwili wyłoniła się stamtąd delikatna różowa rączka. Pięć palców, najpierw rozcapierzonych, a po chwili rozluźnionych, wyraziło gest ziewania. To wówczas Almondine po raz pierwszy zobaczyła dłonie Edgara. W pewnym sensie był to też pierwszy raz, kiedy zobaczyła pokazywane przez niego znaki języka migowego.

Miniaturowa dłoń była tak wilgotna, różowiotka i interesująca, że trudno było oprzeć się pokusie.

Almondine przesunęła nos do przodu o kolejnych kilka milimetrów.

— Nie liź — szepnęła jej do ucha Trudi.

Almondine zaczęła poruszać ogonem, początkowo wolno, później nieco szybciej, jakby coś długo powstrzymywanego nieruchomo w jej wnętrzu nabrało dostatecznego impetu, żeby wreszcie się uwolnić. Poruszający się ogon powodował, że również jej pierś i barki chwiały się jak przeciwwaga. Wycofała pysk sprzed piersi Trudi i wyciągnąwszy język, polizała powietrze, jakby tym drobnym żartem wyzbywając się powściągliwości, przypadła do ziemi i cicho szczeknęła. Skończyło się na tym, że kazali jej usiąść, lecz jej to nie przeszkadzało, dopóki mogła tu zostać i patrzeć.

Doktor Papineau został jeszcze mniej więcej godzinę. Prowadzili rozmowę głosami cichymi i poważnymi. Almondine doszła do wnio-

sku, że martwią się o to niemowlę, że coś z nim jest nie w porządku.

Ale przecież sama widziała, że dziecko ma się dobrze: kręciło się, oddychało, spało.

Kiedy doktor Papineau przeprosił i wyszedł, Gar wybrał się do sto-
doły, żeby po raz pierwszy od czterech dni porządnie wykonać codzienne
prace, a matka, wyczerpana, patrzyła przez okno, kiedy dziecko spało.

Było wiosenne popołudnie, jasne, zielone i chłodne. Dom w ciszy skła-
niał się nad nimi wszystkimi. Po chwili, wciąż wyprostowana w fotelu,
Trudi zapadła w sen.

Leżąc na podłodze, Almondine obserwowała ją i nad czymś się za-
stanawiała: gdy Gar otwierał wówczas drzwi do psiarni, była przekonana,
że za chwilę dom ujawni swoją tajemnicę — że teraz ona wreszcie odnaj-
dzie to, co miało się wydarzyć. Kiedy zobaczyła kocyk i poczuła zapach
dziecka, pomyślała, że może właśnie o to chodziło. Jednak teraz miała
wrażenie, że to jeszcze nie jest to. Tajemnica z pewnością miała jakiś
związek z dzieckiem, jednak nie był to tylko sam fakt jego narodzin.
Almondine wciąż jeszcze nad tym rozmyślała, kiedy do jej uszu do-
tarł jakiś dźwięk—jakby ochryply szept, nawet dla niej ledwo słyszalny.
W pierwszej chwili nie potrafiła pojąć, co to może być. Gdy wcześniej
weszła do pokoju, od razu usłyszała dobywające się z kocyka odgłosy
oddychania, prawie równomierne z oddechem matki, i teraz dopiero
zrozumiała, że w tym nowym dźwięku rozbrzmiewa jakieś cierpienie
— zdała sobie sprawę, że ta prawie idealna cisza jest dźwiękiem zawo-
dzenia dziecka. Czekwała, kiedy ten dźwięk się skończy, ale ciągnął się
nieprzerwanie, cichy jak szmer świeżych liści na jabłoniach.

Zdała sobie sprawę, że właśnie o to się martwiono.

Dziecko nie mówiło. Nie potrafiło wydawać z siebie dźwięków.

Almondine zaczęła dyszeć. Przenosiła ciężar ciała z jednego biodra na drugie i kiedy tak patrzyła — widząc wciąż śpiącą matkę dziecka — w końcu zrozumiała, co się wydarzy: oto skończył się czas jej tresury i teraz, nareszcie, czekało ją zadanie do wykonania.

Podniosła się i ruszyła z miejsca.

Podeszła do fotela, w tym właśnie momencie stając się rozważnym psem, którym już na zawsze miała pozostać, bo nagle nabrało znaczenia, żeby tak się zachowywać; a kiedy patrzyła na tę dwójkę, jedno w niemym krzyku, drugie wdzięcznie wyczerpane i rozłożone na fotelu, wypełniła ją jakaś pewność, jak światło poranka wlewające się do pokoju po północnej stronie domu. Przeciągnęła językiem po twarzy matki noworodka, tylko raz, bardzo powoli, i cofnęła się. Matka niemowlęcia obudziła się przestraszona. Po chwili uniosła kocyk wraz z zawartością, poprawiła bluzkę i wkrótce wydawane przez dziecko szmery zastąpiły inne dźwięki, znane Almondine, równie ciche, ale już pozbawione tego tonu cierpienia.

Almondine powróciła na miejsce, w którym polecono jej siedzieć.

To wszystko trwało nie dłużej niż chwilę, może dwie, i przez poduszki łap wyczuwała jeszcze ciepło pozostawione na dywaniku przez jej ciało. Długo stała, wpatrując się w tę dwójkę. Dopiero później położyła się i wsunąwszy nos pod koniec własnego ogona, zasnęła.

Miganie

Cóż można było robić z takim malutkim niemowlakiem, jak nie martwić się o niego? Gar i Trudi martwili się, że dziecko nigdy nie odzyska mowy. Lekarze martwili się, że nie może zakaszleć. A Almondine po prostu martwiła się, gdy tylko traciła chłopczyka z oczu, choć nigdy nie

znikał na długo.

Dosyć szybko odkryli, że nikt nie rozumie przypadku Edgara. Takie dzieci istniały tylko w podręcznikach, ale nawet tam opisane różniły się tysiącami szczegółów od tego niemowlaka, który poruszał wargami, kiedy chciał ssać pierś, wymachiwał rączkami, kiedy rodzice zmieniali mu pieluchy, pachniał delikatnie jak świeża mąka i smakował jak morze, który spał w ich ramionach, a gdy się budził, ze zdumieniem przedstawiciela innego świata porównywał ich twarze, równie milczący w radości, jak i w cierpieniu.

Lekarze świecili w niego swoimi lampkami i snuli domysły. Kto jednak był z nim przez cały czas, rano i wieczorem? Kto nastawiał budzik, żeby przyjrzeć mu się w świetle księżyca? Kto każdego ranka zakradał się, żeby zobaczyć pędraka ze skórą przejrzystą jak pelur, szeroko otwartymi oczami spoglądającego z dziecinnego łóżeczka? Lekarze snuli domysły, ale Trudi i Gar codziennie obserwowali dowody normalności i wyjątkowości, wyciągając własne wnioski. A przecież wszystkie noworodki, czy to szczeniaki czy dzieci, wrzeszczące czy nieme, mają te same proste potrzeby. I tej prawdy starali się trzymać: przynajmniej na razie nie miało znaczenia, co w tym dziecku jest wyjątkowe, a co typowe. Żyło. Istotne było, że każdego ranka otwiera oczy. W porównaniu do tego milczenie nie miało żadnego znaczenia.

47

Z nadejściem września Trudi miała dość tych wszystkich poczekalni, wykresów i badań, nie mówiąc już o ponoszonych kosztach i czasie, jaki trzeba było spędzić z dala od psiarni. Przez całe lato wmawiała sobie, że musi czekać, że lada dzień jej dziecko zacznie płakać i gaworzyć jak inne. Jednak robiło się coraz trudniej. Czasami te wszystkie kłębiące się jej w głowie myśli nie pozwalały zasnąć w nocy. Bo skoro nauki

medyczne nie są w stanie udzielić odpowiedzi, być może uda się czegoś dowiedzieć w jakiś inny sposób. Pewnego wieczoru powiedziała Garowi, że brakuje jej mleka w proszku, po czym opatuliła Edgara, włożyła go do pikapu i pojechała do Popcorn Corners. Liście na drzewach mieniły się wszystkimi odcieniami czerwieni i żółci, a w kurzu drogi Town Line kłębiły się pogniecione brunatne śmiecie wzbijane w powietrze przez tworzące się za pikapem gwałtowne wiry.

Zaparkowała przed walącym się sklepem spożywczym i nie wysiadając z auta, wpatrywała się w jarzący się w witrynie sklepu pomarańczowy neon z napisem OTWARTE. Wnętrze było jasno oświetlone, ale zupełnie puste, jeśli nie liczyć siedzącej jak żuraw za ladą siwowłosej staruszki ze staromodnym obliczem. Była to właścicielka sklepu, Ida Paine. W sklepie cicho grało radio. Dźwięki skrzypiec były ledwo słyszalne w szmerze poruszanych nocnym wiatrem liści. Trudi zaparkowała samochód dokładnie naprzeciw wielkiej tafli szkła z przodu sklepu i Ida Paine z pewnością zdawała sobie sprawę z jej obecności, lecz staruszka siedziała, jakby stanowiła element wyposażenia, z rękami złożonymi na kolanach i z papierosem tłącym się gdzieś poza zasięgiem wzroku Trudi. Gdyby Trudi nie obawiała się, że zaraz ktoś nadejdzie, mogłaby tak czekać w samochodzie przez bardzo długi czas, ale tylko odetchnęła głęboko, wzięła Edgara na rękę i weszła do sklepu. Jednak znalazłszy się tam, zupełnie nie wiedziała, co ma z sobą począć. Uzmysłowała sobie, że radio przestało grać, i na moment straciła zdolność mówienia. Ida Paine spoglądała na nią ze swojego miejsca. Ogromne okulary powiększały jej oczy, które nieustannie mrugały za grubymi szklami. Trudi popatrzyła na trzymanego na ręku Edgara i doszła do wniosku, że jej przyjazd w to miejsce nie był dobrym pomysłem. Już miała się odwrócić i odejść, kiedy Ida Paine przerwała

panującą ciszę.

— Niech spojrzę — odezwała się.

Ida nie wyciągnęła rąk, nie wyszła też zza lady, a w jej głosie trudno by się doszukiwać babcinego tonu. Jeśli w ogóle można coś powiedzieć o tonie jej głosu, to był obojętny i znużony, choć łagodny. Trudi zrobiła krok do przodu i położyła Edgara na ladzie między nimi, na drewnianej powierzchni gładko wypolerowanej od nieustannego głaskania przez puszki i słoiki z ogórkami. Kiedy cofnęła ręce, Edgar zaczął fikać nóżkami i chwytać powietrze w dłonie, jakby było zrobione z jakiegoś elastycznego materiału, którego żadna z nich nie potrafiła wyczuć. Ida pochyliła się i badawczo przyjrzała się mu szeroko rozwartymi oczami. Z jej nozdrzy wytrysnęły dwie smugi dymu z papierosa. Uniosła poznaną niebieskimi żyłkami rękę, wyciągnęła przed siebie mały palec, przypominający oskubany czubek skrzydełka kurczaka, i dźgnęła nim udo Edgara. Oczy niemowlaka rozszerzyły się. Zaszły łzami, a z jego ust wydobyło się leciutkie sapnięcie.

Trudi widziała już kilkunastu lekarzy szturchających jej syna, bez zmrużenia oka obserwowała ich poczynania, ale tego teraz nie mogła znieść. Wyciągnęła ręce, by zabrać dziecko.

— Zaczekaj — odezwała się Ida. Nachyliła się niżej, skłoniła głowę i wsunęła swój ptasi mały palec w dłoń niemowlaka. Malutkie paluszki zamknęły się kurczowo wokół jej palca. Wydawało się, że Ida Paine stoi tak całymi godzinami. Trudi na chwilę zupełnie wstrzymała oddech, po czym głośno wypuściła powietrze i chwyciwszy Edgara w ramiona, cofnęła się od lady.

Na zewnątrz, przy skrzyżowaniu dróg równorzędnych, pojawiła się para reflektorów samochodowych. Ani Trudi, ani Ida nie ruszyły się z miejsca. Neon z napisem OTWARTE pociemniał, a chwilę póź-

niej zamrugały i zgasły świetlówki na suficie. W ciemnościach Trudi widziała wiedźmowatą sylwetkę Idy i jej uniesioną dłoń, z tym małym palcem, w który kobieta wciąż się wpatrywała. Za reflektorami ukazał się samochód kombi, który wtoczył się na ziemisty parking, zatrzymał i przyspieszywszy, ponownie wyjechał na asfalt.

— Nie — burknęła Ida dosyć stanowczym tonem.

— Nigdy?

— Może używać rąk.

Świst opon zdążył już utonąć w ciszy nocy. W rurkach napisu OTWARTE ponownie zaczęły płynąć i pełzać pomarańczowe robaki plazmy. Stateczniki świetlówek zamruczały pod sufitem, lampy zamrugały i po chwili zapaliły się. Trudi czekała, że Ida powie coś więcej, ale szybko się zorientowała, że przed nią stoi wyjątkowo lakoniczna wyrocznia.

— To wszystko? — Tylko tyle miała jeszcze do powiedzenia Ida Paine. — Coś jeszcze?

Miesiąc później odwiedziła ich jakaś kobieta. Trudi w kuchni przygotowywała późny obiad, a Gar w psiarni zajmował się młodym miotem szczeniaków. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Trudi wyszła na ganek i zobaczyła tęgą kobietę ubraną w kwiecistą spódnicę i białą bluzkę, ze stalowoszarymi lokami po trwałej ondulacji. Mocno trzymając torebkę, oglądała się przez ramię w stronę psiarni, w której psy podniosły alarm.

— Dzień dobry — odezwała się kobieta z niepewnym uśmiechem.

— Obawiam się, że może pani uznać moją wizytę za niestosowną. Widzę, że psy z pewnością są takiego zdania. — Przyglądała przód spódnicy. — Nazywam się Louisa Wilkes — ciągnęła — i... prawdę mówiąc, tak naprawdę nie wiem, dlaczego tu przyjechałam.

Trudi poprosiła kobietę, żeby weszła do domu, jeśli nie przeszkadza

jej obecność Almondine. Pani Louisa Wilkes powiedziała, że psy zupełnie jej nie przeszkadzają pod warunkiem, że są najwyżej dwa. Usiadła na kanapie, a Almondine zwinęła się przed łóżeczkiem dla noworodków, w którym spał Edgar. Patrząc na nieco sztywny sposób chodzenia tej kobiety i na to, jak składała ręce, Trudi pomyślała, że pani Wilkes pochodzi z Południa, choć mówiła bez właściwego Południowcom akcentu.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytała Trudi.

— Jak już powiedziałam, sama nie wiem. Przyjechałam tu z wizytą do mojego bratanka i jego żony... do Johna i Eleanory Wilkes.

— Tak, oczywiście — odparła Trudi. Wydawało się jej, że nazwisko Wilkes z czymś jej się kojarzy, choć nie potrafiła sprecyzować z czym.

— Od czasu do czasu widzimy Eleanorę w miasteczku. Ona i John opiekują się jednym z naszych psów.

— Tak, na to w pierwszym rzędzie zwróciłam uwagę. Na wasze psy. Ich Ben to wspaniały zwierzak. Ma takie jasne oczy — powiedziała, patrząc na Almondine — jak ten tu. I też tak samo patrzy na człowieka. W każdym razie, namówiłam ich, żeby pożyczyci mi dziś rano samochód, bo chciałam obejrzeć okolicę. Zdaję sobie sprawę, że to trochę dziwne, ale bardzo lubię spokój panujący w samochodzie, kiedy sama nim jadę. Jakiś czas temu trafiłam do sklepiku na zupełnym odludziu. Miałam nadzieję kupić tam kanapki, ale niczego takiego nie było. Kupiłam więc tylko krakersy i wodę sodową. Sklep prowadzi najdziwniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam.

— Pewnie mówi pani o Popcorn Corners — powiedziała Trudi. — To sklep Idy Paine. Ida potrafi być nieco przerażająca.

— Zdążyłam zauważyć. Kiedy już zapłaciłam, ta kobieta oświadczyła, że chcę pojechać jeszcze kawałek dalej główną drogą, a potem skręcić w tę boczną i poszukać psów. Bardzo to dziwne... Wcale jej nie pytałam o dro-

gę. A do tego ona właśnie tak powiedziała: nie mówiła, że mogłabym czy też powinnam, tylko że c h c ę to zrobić. Powiedziała mi to przez siatkę w oknie, kiedy już szłam do samochodu. Zapytałam ją, co ma na myśli, ale siedziała tam w milczeniu jak mumia. I choć zamierzałam wrócić tą samą drogą, którą przyjechałam, zaciekawilo mnie to. Znalazłam tę boczną drogę dokładnie w opisanym przez nią miejscu. Kiedy zobaczyłam państwa psy... — urwała. — Cóż, to wszystko. Zaparkowałam przy drodze i przyszedłam tu, chociaż czuję się jak wariatka. - Louisa Wilkes rozejrzała się po salonie, bawiąc się trzymaną w ręce torebką. — Mam jednak wrażenie, że powinniśmy porozmawiać. Pani jest młodą matką — stwierdziła. Podeszła do łóżeczka, a Trudi podążyła za nią. — Ma na imię Edgar.

Dziecko było rozbudzone. Chłopczyk zmarszczył brwi, widząc smutny obraz pochylającej się nad nim kobiety, która nie była jego matką, i szeroko rozciągnął usta, wydając z siebie ciszę. Kobieta zmarszczyła brwi i spojrzała na Trudi.

— Tak. Nie używa głosu. Ma wszystko co należy, ale kiedy płacze, nic nie słyhać. Nie mamy pojęcia, dlaczego tak jest.

Na te słowa Louisa Wilkes wyprostowała się.

— Ile ma miesięcy?

— Prawie pół roku.

— Czy może też być głuchy? To bardzo łatwo sprawdzić, nawet u niemowlaka, wystarczy...

— Klasnąć w ręce i popatrzeć, czy zareaguje. Tak, od samego początku widzieliśmy, że nie ma żadnych problemów ze słuchem. Kiedy

50

51

leży w łóżeczku, ajazaczynam mówić, rozgląda się. Dlaczego pani pyta?

Słyszała pani może o podobnym przypadku?

— Z pewnością nie, pani Sawtelle. Nigdy o niczym takim nie słyszałam. Natomiast wiem... ale najpierw chciałabym pani powiedzieć, że nie jestem pielęgniarką, a tym bardziej nie jestem lekarzem.

— Miło mi to słyszeć. Nie mam już cierpliwości do lekarzy. Mówili nam tylko o tym, co u Edgara nie jest uszkodzone, czyli w zasadzie wszystko poza głosem. Sprawdzali, jak szybko rozszerzają mu się źrenice. Zbadali jego ślinę. Pobrali mu krew. Nawet zrobili mu EKG. Wręcz niewiarygodne, co potrafią wykluczyć u noworodka, ale w końcu musiałam powiedzieć: dość, nie pozwolę, żeby moje dziecko było torturowane przez cały okres niemowlęctwa. A przecież wystarczy spędzić z nim kilka minut, żeby zauważyć, że jest zupełnie normalnym dzieckiem.

Almondine podniosła się i z równą uwagą obwąchiwała łóżeczko i gościa. Pani Wilkes spojrzała na nią.

— Benny to naprawdę wyjątkowy zwierzak — powiedziała. — Nigdy jeszcze nie widziałam psa, który by tak doskonale rozumiał prowadzoną rozmowę. Mogłabym przysiąc, że zawsze odwraca się w moją stronę, kiedy uważa, że mam coś powiedzieć.

— Tak — odparła Trudi. — One rozumieją więcej, niż nam się wydaje.

— Och, to mało powiedziane. Widziałam różne psy: psy, które układają się człowiekowi na kolanach i zasypiają, psy szczekające na każdego przechodzącego obcego, psy przysiadające na podłodze i patrzące na człowieka, jakby zobaczyły dawno niewidzianego kochanka. Ale nigdy nie widziałam psa zachowującego się w taki sposób.

Louisa Wilkes spojrzała na leżącego w łóżeczku Edgara. Nagle odwróciła się i uniosła ręce, zaczęła nimi poruszać w powietrzu, przez

cały czas uważnie wpatrując się w Trudi. Ruchy jej rąk były płynne i pełne ekspresji, a jednocześnie niesamowicie ciche. Przerwała na dłuższą chwilę, chcąc się upewnić, że Trudi zdaje sobie sprawę z tego, co widzi, choć może nie potrafi zrozumieć znaczenia znaków.

— Właśnie powiedziałam: „Jestem dzieckiem dwójki zupełnie głuchych rodziców”. - I znowu szybka gestykulacja. — Nie jestem głucha, ale uczę języka migowego w szkole dla niesłyszących. I zastanawiam się, pani Sawtelle, co będzie, kiedy się okaże, że poza umiejętnością mówienia pani synowi niczego więcej nie brakuje.

Trudi zauważyła, jak zręcznie Louisa Wilkes formułuje pytania, dostrzegła też jakąś surowość pojawiającą się z chwilą, gdy kobieta posługiwała się językiem migowym. Było w tym coś pierwotnego. Louisa Wilkes niczego nie owijała w bawełnę, a to spodobało się Trudi, która wciąż pamiętała orzeczenie wydane tamtego jesiennego wieczora przez Idę Paine: „Może używać rąk”. Wówczas Trudi pomyślała, że zdaniem Idy Paine Edgar będzie mógł posługiwać się tylko rękami, będzie mógł wykonywać tylko fizyczne prace, a z tym Trudi nie potrafiła się pogodzić. Bardzo się zdenerwowała tamtym wydarzeniem, kładąc je na karb głupoty — własnej głupoty. Nigdy nie wspomniała o tym Garowi. Jednak obecnie Trudi zaczęła podejrzewać, że opacznie zrozumiała Idę Paine.

— On sobie poradzi, pani Wilkes. Sądzę, że okaże się, iż Edgar niczym nie różni się od innych. Być może z wiekiem pojawi się też jego głos. Skoro nie wiemy, dlaczego go nie ma, skąd możemy wiedzieć, że nie jest to tylko stan przejściowy?

— Nigdy nie wydał żadnego dźwięku? Ani razu?

— Nie, nigdy.

— A co lekarze radzili? Co państwo mają robić, zanim się okaże, czy wasz syn odzyska głos?

— Ich rady były mało budujące. Mówili rzeczy najbardziej oczywiste. Żebym do niego mówiła, co oczywiście robię, bo jeśli otworzy się przed nim jakaś możliwość, będzie naśladował matkę.

— Czy zalecili jakieś ćwiczenia? Coś, co mogłaby pani z nim robić?

— Nie, nic. Snuli rozważania na temat tego, co będziemy mogli zrobić za kilka lat, jeśli nic się nie zmieni, ale na razie tylko radzili, żeby go obserwować. Zajmiemy się tym, jeśli... gdy coś się zmieni.

Rezerwa pani Wilkes, szybko topniejąca, odkąd rozmowa przeszła na głuchotę, na te słowa zupełnie już ustąpiła.

— Pani Sawtelle, proszę mnie teraz wysłuchać. Nie zamierzam snuć tu żadnych przypuszczeń i zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie to co zamierzam teraz powiedzieć, pani już pewnie czytała lub słyszała... chociaż z tego co widzę, spotkani przez panią lekarze wykazali się skandaliczną ignorancją, co też mnie wcale nie dziwi. Nigdy nie jest za

52

53

wcześnie na to, żeby zacząć przekazywać dar mowy dzieciom, bo przecież możliwości przyjmowania przez nie wiedzy nie są tak naprawdę określone. Nikt nie jest w stanie z całą pewnością stwierdzić, od jakiego momentu dzieci zaczynają się uczyć języka. Mam na myśli to, że nie wiemy, na jak wczesnym etapie życia rozumieją, że mogą i że powinny mówić, że dzięki mowie będą wieść spełnione życie. Z drugiej strony jednak istnieją dowody na to, że mniej więcej pod koniec pierwszego roku życia dar mowy zaczyna zanikać, jeśli nie jest odpowiednio pielęgnowany. Historia zna przypadki głuchych dzieci, którym coś takiego się przytrafiło, i jest to prawdziwa tragedia: dzieci uznane za opóźnione w rozwoju, pozostawione samym sobie... Mówię tu o bardzo inteli-

gentnych i zdolnych dzieciach, które zostały pominięte, bo nic nie wiedziały o istnieniu dźwięków. A niby skąd miały wiedzieć? Zanim się zorientowano, że brakuje im tylko zmysłu słuchu, już na zawsze pozostały upośledzone.

— Ale pani wciąż mówi o dzieciach niesłyszących, nie o dzieciach, które nie są w stanie wydawać dźwięków. A przecież nie ma wątpliwości, że Edgar słyszy.

— A czym jest tak naprawdę mowa? Człowiek komunikuje się zarówno odbierając, jak i nadając, wyrażając to, co znajduje się wewnątrz. Niemowlaki uczą się tego, kiedy płaczą: uczą się, że skupianie na sobie uwagi w nawet najbardziej prymitywny sposób zapewnia im ciepło, jedzenie i wygodę. Martwię się o pani dziecko, pani Sawtelle. Zastanawiam się, w jaki sposób może się czegoś takiego nauczyć. Proszę pozwolić mi opowiedzieć o sobie. Kiedy się urodziłam, rodzice stanęli przed poważnym problemem: jak nauczyć mnie mówić? Oni w dzieciństwie nie mieli okazji się nauczyć, a gdy byli nastolatkami, okazało się, że jest już za późno, więc udało im się opanować wszystko oprócz generowania zrozumiałej mowy. A teraz mieli córkę i niczego bardziej na świecie nie pragnęli jak tego, żeby normalnie mówiła.

— I co zrobili?

— Doszli do wniosku, że uczę się nawet wtedy, kiedy zdaję się nic nie robić. Puszczali mi więc płyty z rozmowami, chociaż sami niczego nie słyszeli. Kupili radiodbiornik i poprosili słyszających przyjaciół, żeby powiedzieli im, na jakie stacje mają nastawiać radio i o jakich porach. Obserwowali moje usta, żeby zobaczyć, czy wydaję dźwięki. Organizowa-

54

wali mi spotkania z ludźmi, którzy mogli się ze mną bawić i rozmawiać. Krótko mówiąc, pani Sawtelle, zapewnili mi dostęp do języka mówio-

nego na wszelkie sposoby, jakie tylko potrafili sobie wyobrazić.

— Ale to musiało być za mało. Jak reagowali, kiedy wypowiadała pani pierwsze słowa? Jak mogli panią zachęcać, kiedy nie słyszeli tego, co pani mówi?

Pani Wilkes zaczęła opowiadać o gotowości małych dzieci do nauki języka, o tym, że nie da się tego powstrzymać, jeśli tylko dostępne są odpowiednie wzorce. Przytoczyła przykłady żyjących w izolacji bliźniąt, które potrafiły wymyślić własny język. Przez dłuższy czas o tym opowiadała. Pracowała kiedyś z grupą dzieci, w której były zarówno dzieci głuche, jak i słyszące dzieci głuchych rodziców, i zauważyła wówczas prostą zasadę: dziecko odczuwa wewnętrzną potrzebę komunikowania się. Będzie się uczyć wszystkiego, co zostanie mu przedstawione jako przykład, obojętne, czy będzie to język angielski, francuski, niemiecki, chiński czy migowy. Ona jako dziecko z łatwością nauczyła się zarówno mówić, jak i migać. I właśnie ta ostatnia uwaga, jak powiedziała pani Wilkes, ma kluczowe znaczenie dla dziecka państwa Sawtelle.

— Ale w jaki sposób mogę go nauczyć języka migowego? — zapytała Trudi. — Przecież ja go nie znam.

— W takim razie będziecie się uczyć razem — odparła pani Wilkes.

— Na początek musi pani poznać tylko tyle, żeby móc się porozumieć z Edgarem w najprostszy sposób.

— To znaczy w jaki sposób?

— To znaczy w taki, który powie mu, że pani go kocha. Powie mu: tu jest jedzenie. Pozwoli nazwać różne rzeczy: to jest pies, ptak, tatuś, mamusia, niebo, chmura. Jak z każdym dzieckiem. Pokaże mu pani, jak ma prosić o różne rzeczy, w odpowiedni sposób ruszając dłońmi. Pokaże mu, jak ma prosić o więcej — mówiąc te słowa, zaczęła energicznie poruszać czubkami palców, składając je razem, aby zademonstrować

znak — a kiedy nadejdzie czas na formułowanie zdań, już zdąży się pani nauczyć, jak to robić.

Ich rozmowa przeciągnęła się do późnego wieczoru. Kiedy Gar powrócił z psiarni, pani Wilkes zabrała się za prezentację podstawowych znaków. Powiedziała, że jest w stanie w ciągu jednego wieczoru wyjaśnić kilka znaków oraz nieskomplikowaną składnię, po czym zaczęła

55
od prostych słów i prostych zdań. Zaprezentowała im zdanie złożone z formy podmiot-orzeczenie-dopełnienie: „Trudi kocha Gara”. Objasniła, w jak niezwykle sposób używane są zaimki. Zademonstrowała im użycie przymiotnika.

Trudi była zafascynowana, powtarzała kolejne znaki i skrupulatnie stosowała się do uwag poprawiającej ją pani Wilkes. Również Gar starał się to robić, chociaż brakowało mu koordynacji ruchowej i gracji Trudi. Dochodziła już północ, kiedy pani Wilkes w końcu odjechała — dawno już minęła pora, o której zazwyczaj kładli się spać. Tego wieczoru Edgar budził się kilka razy i kiedy wzięli go na ręce, pani Wilkes zademonstrowała, jak należy mówić „jedzenie”, posługując się w tym celu rączkami Edgara. Było to o tyle trudniejsze, że należało wykonać znak w przeciwną stronę, niemniej wykonalne. Wówczas Trudi zdała sobie sprawę z ogromnych możliwości, jakie zdeterminowanemu nauczycielowi dają ćwiczenia.

Edgar

To miało być jego najwcześniejsze wspomnienie.

Czerwone światło, światło poranka. Nad głową wysoki, ukośnie ścięty sufit. Leniwe stukotanie pazurów po drewnie. Między pomalowane na miodowy kolor listwy łóżeczka wsuwa się wąsaty pysk, głęboko, aż policzki odsuwają się na listwach w tył, i w komicznym uśmiechu ob-

naża się rząd drobnych przednich zębów.

Nos drży. Aksamitny pysk marszczy się.

W całym domu panuje cisza. Nie rusz się. Nie ruszaj się.

Gładkie ciemne futerko na pysku. Czarny nos, koronkowe zmarszczki skóry, nozdrza w kształcie przecinka poruszającego się z każdym oddechem. Lekki wiatr tłumi dźwięki z pola i wdmuchuje wydęte żagle zasłon do wnętrza. Rosnąca przy kuchennym oknie jabłoń pieści dom, cichutko tykając, tik-tak, tik-tak. Najwolniej jak tylko potrafi, wypuszcza powietrze, udając, że wciąż śpi, ale pomimo starań jego oddech jest nierówny. Pysk orientuje się natychmiast, że on się obudził. Pysk prycha. Kręci się w prawo i lewo. Wycofuje się. Przed łóżeczkiem pojawia się przednia część ciała Almondine, z cofniętym łbem i sterczącymi do przodu uszami.

Oko w wiśniowe cętki napotyka jego wzrok.

Teraz świst jej ogona.

Nie rusz się. Nie ruszaj się.

Pysk ponownie zaczyna szperać, wciska się pod jego kocyk, pod rolników, świnki, kurczaczki i krówki namalowane na tym całym bawelnianym świecie. Jego dłoń podnosi się na paluszkach i przez zaskoczonych mieszkańców wiejskiego podwórka rusza jak pajak na spotkanie

57

intruza. Staje się ptakiem szybującym przed ich oczami. Kciuk i palec wskazujący zaciskają się na pomarszczonym czarnym nosie. Z pyska wyskakuje różowa strzała języka, ale ptak odlatuje, zanim Almondine zdąży go polizać. Ogon zaczyna poruszać się mocniej w jedną i drugą stronę. Jej ciało kołysze się, a oddech go spowija. Kiedy on ciągnie za najczarniejszy wąsik w jej brodzie, jej język niezwykle delikatnie dotyka jego dłoni. On rzuca się na bok, wyciera dłoń w kocyk i dmucha w jej

pysk. Uszy Almondine cofają się gwałtownie. Ciężko przestawia jedną łapę. Kiedy on ponownie dmucha, Almondine cofa się, skłania, a z jej piersi wydobywa się cichutkie szczeknięcie, cichutkie i płynące gdzieś z głębi, jak niepowstrzymane bicie serca. Słyszając to, on zapomina się i przyciska twarz do szczebelków, chcąc zobaczyć ją całą, chłonąć oczami, lecz nim jeszcze zdąży się ruszyć, jej język już przesuwa się po jego nosie i czole! On przyciska dłoń do twarzy, ale jest za późno — już jej nie ma, kręci się, goniąc własny ogon, tańczy w wypełnionym drobinkami kurzu świetle słonecznym wlewającym się przez szybę.

Podsakkuje na biodrze matki idącej środkiem psiarni. Psy wbiegają przez umieszczone w ścianie stodoły płócienne klapy, przyglądają się mu, obwąchują. Matka woła do nich śpiewnym głosem.

Ojciec siedzący przy kuchennym stole nad rozłożonymi papierami. Obrazy psów. W uszach cichy głos ojca gniewnym tonem mówiącego przez telefon. W palcach trzyma certyfikat rodowodu.

Pędzi przez podwórze, obok dawnego magazynu na mleko, zamykając w biegu bramę ogrodzenia, zanim Almondine zdąży go dogonić. Kuca w wysokiej trawie i patrzy. Ona uwielbia skakać. Almondine zwalnia kroku i szybuje nad ogrodzeniem. Chwilę później jest już przy nim, dysząc głośno. On zaciska pięści i udaje gniewną minę. Kiedy Almondine odwraca wzrok, on ponownie rzuca się do biegu. Mija pędzące za nim chwasty i już po chwili jest w sadzie, jak małpka wspina się po gałęzi, na to jedyne miejsce, gdzie ona nie może za nim iść, i opuszczając się w jej stronę, zwiesza rękę, jakby z niej drwił. Nagle przed jego oczami cały świat odwraca się do góry nogami. Kiedy uderza w ziemię, w jego piersiach rozlega się łomot. Zaczyna płakać, ale jedynym słyszalnym dźwiękiem jest szczekanie Almondine — i po chwili wszystkich psów

z psiarni.

Na najdalszej jabłoni wisi opona zamocowana na włochatym, brunatnym od moli sznurze. Wie, że ma się do tego nie zbliżać, lecz już nie pamięta dlaczego. Przeciska ramiona przez oba kręgi gumowej obręczy, odwraca się, wierzga nogami. Jabłonie wokół niego gną się jak szalone. Już po minucie gęsty rój pszczół wylania się i z cienia, i ze słońca, a on znajduje się w pułapce rozhuśtanej opony. Kłują go raz w kark, raz w ramię. Rozgrzane świetlne punkciki. Almondine kłapie pyskiem w powietrzu, skowyczy i przeciera pysk łapą. I już biegną do domu. Drzwi na ganku zatrząskują się za nimi. We dwójkę czekają i patrzą, czy pszczoły nadciągną za nimi, czy zaroi się od nich na siatce w drzwiach. Przez chwilę Edgar gotów jest uwierzyć, że te pszczoły nigdy nie istniały. Ale moment później użądłone miejsca zaczynają pulsować.

Włóczy się po psiarni z książką Kubuś Puchatek w ręce. Otwiera kojec małych szczeniaków i tam siada. Szczeniaki rzucają się w jego stronę po poszyciu z luźnej słomy, wzbijając po drodze drobny biały kurz. Chwyta je między nogi i czyta im, poruszając dłońmi przed ich zadartymi pyskami. Na widok zbliżającej się matki zerkają w jej stronę jak kurczaki. Ona zabiera jednego po drugim i odnosi do boksu, w którym się szczeniła, zwisają z jej pyska jak czarne fasolki. Kiedy już ostatni trafia na miejsce, staje nad nimi i z wyrzutem patrzy na Edgara.

Na migi pokazuje jej, że „one chciały słuchać”, ale matka kładzie się obok szczeniaków dopiero po jego wyjściu.

Kubuś Puchatek to odpowiednia historia dla szczeniaków.

Gdyby tylko pozwoliła mu ją opowiedzieć.

Ojciec czyta mu do poduszki cichym głosem, w szklach jego okularów odbija się żółte światło lampy. Ta opowieść to Księga dżungli. Edgar

chce zasnąć, myśląc o Mowglim i Bagheerze, pragnie, aby ta opowieść przeniknęła ze światła lampy do jego snów. głos ojca urywa się, a on siada wyprostowany.

Więcej, pokazuje, składając razem czubki palców.

59

Ojciec zaczyna czytać następną stronę. Edgar kładzie się i porusza dłońmi w ślad za dźwiękiem głosu ojca. Myśli o słowach. O kształcie słów.

Z szeroko otwartymi ustami siedzi na szarej skóropodobnej poduszce na kozetce u lekarza. Twarz lekarza zbliża się do niego i stara się zajrzeć mu do środka.

Po chwili lekarz kładzie na stole płytki z literami alfabetu. Każe mu ułożyć słowo „apple”, ale jest tylko jedno „p” i nie można zrobić tego poprawnie. Lekarz sięga do swojego notesu i coś zapisuje, podczas gdy Edgar próbuje odwrócić „d” do góry nogami, żeby je jakoś dopasować.

— Chciałbym zatrzymać go tu na kilka dni — mówi lekarz. Matka kręci głową i marszczy brwi.

Lekarz przyciska mu do gardła jakiś brzęczący przedmiot w kształcie latarki.

— Oddychaj — mówi. — Odciągnij wargi w tył. Dotknij językiem podniebienia. Ułóż wargi w kółko.

Edgar wypełnia polecenia i z jego ust wypływa słowo: „Illuuuuu”.

Dźwięk jest okropny, z hukiem uderza o szyby w oknie.

Proszę tego nie robić.

Początkowo lekarz nie rozumie. Edgar, korzystając z liter alfabetu, powoli mu to tłumaczy. W drodze powrotnej do domu zatrzymują się w restauracji sieci Dog'N'Suds i piją piwo korzenne z waniliowymi

lodami. Na twarzy matki maluje się jakiś szczególny wyraz. Smutku? Złości?

Siedzi w kojcu małych i obserwuje nowy miot szczeniaków tarzających się po ziemi. Szczeniaki mają dopiero pięć dni i są za młode, żeby nadawać im imiona, ale stało się to już jego obowiązkiem.

Jeden ze szczeniaków próbuje się wdrapać po innych, przepychając się do sutka matki. Widać, że to będzie zabijaka. Na imię dostanie Hektor, postanawia Edgar. Nie jest łatwo wybierać imiona. Wieczorami rozmawia o tym z matką i ojcem. Jest jeszcze bardzo młody i dopiero teraz zaczął korzystać ze słownika, w którym wyszukuje imiona i zapisuje je na marginesie.

il

Lekarz przyprowadza kogoś nowego, nieznanego mężczyznę z brodą i czarnymi, opadającymi na ramiona włosami. Mężczyzna wita się z nim w języku migowym, przykładając i szybko odsuwając dłoń od czoła, a potem o coś go pyta. Edgar nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś tak szybko migał, trudno mu rozróżnić, kiedy jeden znak się kończy, a zaczyna następny.

Za szybko, daje znak.

Chwyta nadgarstek mężczyzny i każe mu powtórzyć znaki.

Mężczyzna odwraca się do lekarza, mówi do niego kilka słów, na co lekarz kiwa głową.

Śmiesznie pan mówi, miga Edgar. Mężczyzna śmieje się, ale nawet ten śmiech jest jakiś dziwny.

Naprawdę? robi kolejny znak. Jestem głuchy. Nigdy nie słyszałem swojego głosu.

Edgar wpatruje się w niego, jakby nie wiedział, że człowiek głuchy może wyglądać tak samo jak inni. Za plecami mężczyzny matka marsz-

czy brwi i kręci głową.

Ile masz lat? pyta mężczyzna w języku migowym.

Prawie cztery, odpowiada. Podwijając kciuk, podnosi cztery palce i dwa razy uderza ręką w serce, pokazując „ja”.

Świetnie sobie radzisz. Kiedy ja miałem cztery lata, nie potrafiłem się porozumiewać językiem migowym.

Jestem odwrotnością pana. Ja dobrze słyszę.

Tak. Dobrze, że obaj potrafimy migać.

Potrafi pan rozmawiać językiem migowym ze swoimi psami? Moje nie zawsze mnie rozumieją.

Mój pies nigdy mnie nie rozumie, miga mężczyzna, uśmiechając się.

Almondine rozumie, kiedy mówię jej coś takiego. I Edgar wykonuje znaki, które tylko on i Almondine znają. Obaj patrzą, jak Almondine podchodzi.

Mężczyzna przerywa i patrzy na lekarza.

Stoi w przejściu pośrodku stodoły. W jednym z kojców siedzi ojciec i głaszcze uszy suki. Suka jest tak stara, że nawet ogon jej posiwiął. Leży na boku i dyszy. Ojciec pokazuje na biegnące prostopadle do główne-

60

61

go przejścia belki sufitowe i mówi, że pochodzą z drzew ściętych przez Schultza w lesie rosnącym za stodołą.

— Pierwszej wiosny te belki puściły liście — mówi, a Edgar dopiero teraz po raz pierwszy widzi sęki i nacięcia, widzi ukryte w każdej belce drzewo i widzi też Schultza, jak wraz ze swoimi kucami dźwiga je przez pole. Wzdłuż przejścia w stodole biegnie sznur gołych żarówek, zwisających z co drugiej belki.

— Trzymaj się, ślicznotko — mówi ojciec, odwracając się tyłem do suki.

Kiedy przyjeżdża doktor Papineau, Edgar prowadzi go do stodoły.

— Tutaj, Page — woła ojciec Edgara.

Doktor Papineau wchodzi do zagrody i przykłada. Przesuwa dłonią po brzuchu suki i przykłada uformowaną w kształt monety końcówkę stetoskopu do jej piersi. Po chwili wychodzi do swojego samochodu i przynosi torbę.

Ojciec odwraca się do Edgara.

— Idź teraz do domu — mówi.

Doktor Papineau wyciąga z torby butelkę i strzykawkę.

Południowe pole ograniczają dwa pofałdowane wzgórza, jedno w pobliżu ich podwórka, drugie kawałek dalej. Pośrodku znajduje się sterta kamieni, mała kępa brzoź i krzyż. Rośliny łąkowe układają się falami targane sierpniowym wiatrem. Edgar przedziera się przez pole, próbując zgubić Almondine. Jak zawsze bawią się. Pokonuje stertę kamieni, nurkuje pod brzozę i leży tam, starając się zachowywać jak najciszej. Zerka na biały krzyż, stojący samotnie między nim a podwórzem, i po raz kolejny zastanawia się, co on może oznaczać. Jest tak zwyczajny, prosty i równoramienny, a zupełnie niedawno otrzymał świeżą warstwę lśniącej białej farby.

Po chwili żdźbła trawy rozchylają się i podbiega do niego Almondine, dysząc głośno. Kładzie się i przyciska łapę do jego piersi, jakby chciała powiedzieć: Nie rób tego więcej. Jest za gorąco na takie zabawy. Ale on zrywa się i ucieka, a ona jest tuż za nim z pyskiem otwartym w uśmiechu.

I znowu ona biegnie przodem.

I znowu czeka na niego, kiedy on dociera na miejsce.

Późnowiosenne popołudnie. Edgar z matką siedzą na kanapie w salonie. Na ekranie telewizora szare zakłócenia, a z głośnika dobiega syczenie. Wszystkie rolety są podniesione. Niebo nad polami posiniaczone płynącymi obłokami. Na dworze rozbłyska skwiercząca błyskawica. W kuchni słychać trzask, z gniazdka sypią się iskry. Edgar liczy: raz, dwa, trzy, aż usłyszy dźwięk grzmotu przetaczającego się w ich stronę znad wzgórz. — W ziemi jest żelazo, które ściąga pioruny — powiedział jego ojciec. — Widzisz, jak czerwona jest ziemia? To tu zaczyna się Mesabi Iron Range.

Targane podmuchami sosny wywijają gałęziami niczym pływacy zmagający się z wiatrem. Edgar podchodzi do okna, chcąc zobaczyć, czy czubki drzew rzeczywiście przebijają się przez chmury. Porozrywane na strzępy białe opary nad rozchwianymi czubkami drzew przesuwają się w kierunku przeciwnym do burzy.

— Odejdź od okna — mówi matka.

W szyby uderzają ciężkie krople deszczu. Na dworze rozbłysk olśniewającego światła, a w kuchni z gniazdek ponownie idą skry. Jednak grzmot nie nadciąga, a przedłużająca się cisza robi niesamowite wrażenie.

Czy to był zimny piorun?

— Być może.

Powiedziała mu kiedyś, że istnieją pioruny zimne i gorące. Tylko gorące pioruny wywołują grzmoty. Ważna jest różnica między nimi: osoba uderzona przez gorący piorun smaży się na miejscu. A uderzenia zimnego pioruna człowiek może w ogóle nie poczuć.

Matka siedzi na krześle i obserwuje chmury.

— Twój ojciec mógłby już przyjść.

Pójdę po niego.

— Nie, nie pójdiesz. Zostaniesz tu ze mną. — Patrzy na niego w sposób świadczący o tym, że nie czas na żarty.

Jestem już wyższy od ciebie, miga do niej, starając się ją uspokoić. Ostatnio zaczął żartować z tego, że ona jest najmniejsza w rodzinie. Matka uśmiecha się do niego zaciśniętymi wargami i odwraca się w stronę telewizora. Edgar niezupełnie zdaje sobie sprawę z tego, czego mają szukać, wie tylko, że to będzie oczywiste. Z artykułu w „Reader's Digest” dowiedziała się o metodzie Wellera, która pozwala wykryć nad-

63
chodzące tornado na ekranie telewizora, i teraz próbują ją zastosować. Telewizor nastawiony jest na kanał 2 i przyciemniony, tak że zakłócenia stają się prawie czarne.

— Mamy obserwować ekran — wyjaśniła mu. — Jeśli nadciągnie tornado, ekran zrobi się biały od pola elektrycznego.

Dziela uwagę między falowanie na kineskopie i zbliżający się wał chmur. Matka potrafi jak z rękawa sypać anegdotami meteorologicznymi: o piorunach kulistych, tornadach, huraganach. Jednak dzisiaj, podobnie jak podczas tych wszystkich strasznych burz, z jej twarzy nie schodzi wyraz udręczenia, a on zdaje sobie sprawę, że te opowieści kłębią się w jej głowie jak chmury na niebie. Telewizor syczy i trzeszczy. Ale matka trzyma się nieźle aż do momentu, gdy Almondine podchodzi do niej i opiera się o nią w poszukiwaniu otuchy.

— Dobra — mówi matka. — Schodzimy.

Schody do piwnicy znajdują się na ganku z tyłu domu. Przez siatkę w drzwiach widzą ojca, który z włosami potarganymi przez wiatr stoi u wrót stodoły. Opiera się o ościeżnicę, jakby nonszalancko, z twarzą zwróconą ku niebu.

— Gar! — krzyczy matka. — Chodź tu. Idziemy do piwnicy.

— Zostanę tutaj — woła w odpowiedzi. Jego głos na wiejącym wietrze jest brzękliwy i cichy. — Zanosi się na niesamowitą burzę. Schowajcie się.

Matka kręci głową i sprowadza ich po schodach.

— Już, już — mówi. — Chodźmy.

Almondine zbiega po schodach przed nimi. Na dole są zamknięte na zasuwkę drzwi i Almondine czeka z nosem przyciśniętym do szpary, obwąchując ją. Po wejściu do piwnicy spod przymrużonych powiek obserwują chmury widoczne za zakurzonym oknem ze szprosami. Jeszcze nie pada — widać tylko miotane ukośnie w powietrzu krople i pęcherze wody.

— Co on tam chce zdziałać? — mówi matka, kipiąc złością. — Też coś, żeby oglądać burzę!...

Masz rację. Nic nie robi, tylko stoi tam w drzwiach.

— Psy same potrafią zadbać o siebie. A jego obecność je denerwuje.

Wydaje mu się, że może ochronić stodołę. To śmieszne.

Błyskawica uderza w pobliskie pole. Dom aż drży od grzmotu.

— O Boże — mówi matka.

Po tym ostatnim uderzeniu pioruna również jego serce zaczyna łomotać. Edgar pędzi po betonowych schodach, chcąc coś zobaczyć. Dociera na samą górę, w tym momencie widzi błysk, niebiesko-biały oślepiający błysk, i już po chwili zbiega z powrotem po schodach, ale zdążył jeszcze zobaczyć to na własne oczy: obraz ojca nadal stojącego zjedną ręką wspartą o wrota stodoły, gotowego rzucić wyzwanie burzy.

Dopiero teraz wyraźnie widać, że dotychczas wszystko było tylko wstępem. To już nie są podmuchy czy porywy wiatru, tylko jego nieprzerwane wycie, dźwięk, który skłania Edgara do zastanowienia się,

kiedy okna roztrzaskają się pod takim naciskiem. Almondine skomli, więc Edgar przesuwa dłońią po jej grzbiecie i zadzie. Drewno jęczy w ścianach. Matka zebrała ich w południowo-zachodnim kącie piwnicy, rzekomo najbezpieczniejszym, jeśli tornado uniesie dom z fundamentów, jak w Czarnoksiężniku z krainy Oz. Wiatr wieje bardzo długo, tak długo, że zaczyna być to śmieszne. Jednocześnie dzieje się coś przedziwnego: wśród rozszalałej wichury przez okna ze szprosami zaczyna się sączyć światło słoneczne. To pierwszy znak, że burza kiedyś ustąpi. Dopiero po dłuższym czasie potężny ryk powietrza zaczyna słabnąć, opadając kolejnymi oktawami, aż w końcu pozostaje już tylko ironiczny letni wiaterek.

— Nie ruszaj się — mówi matka.

Edgar zdaje sobie sprawę, że ona myśli o oku cyklonu, ale już po chwili na podwórzu rozbrzmiewa głos ojca: „To było prima!”. Po wyjściu na dwór nie sposób najpierw nie spojrzeć w niebo, na którym w kierunku zachodnim ciągnie się całe pole letnich cumulusów, białych i niewinnych. Po drugiej stronie drogi burzowe chmury wiszą złowrogo nad czubkami drzew. Dom i stodoła wyglądają na niepoknięte. Sosny stoją ciche i całe, jabłonie na pierwszy rzut oka nie naruszone, dopiero po chwili widzi, że całe kwiecie zniknęło, wiatr porwał wszystkie płatki. Deszczu spadło tyle co na lekarstwo, toteż nasycone kurzem powietrze staje się duszne. Edgar i Almondine krążą po domu, włączając do kontaktu kuchenkę, toster, suszarkę, zainstalowany w oknie salonu klimatyzator. Listonosz zatrzymuje samochód obok skrzynki na listy i po chwili odjeżdża, machając im na pożegnanie. Edgar biegnie po podjeździe i wyjmuje jej zawartość,

jeden list odręcznie adresowany na ojca. Na stemplu widnieje napis
Portsmouth, Wirginia.

Właśnie sięga po klamkę u drzwi na werandzie, kiedy za stodołą
rozlega się krzyk ojca.

W czwórkę stoją w chaszczach za stodołą i patrzą w górę. Z okapu, jak
spłacheć kruchej skórki, zwisa najeżony gwoździami postrzępiony ka-
wał gontu wielkości podłogi w salonie. Trzecia część dachu, szara i naga,
jest zupełnie odkryta. Na ich oczach stodoła zmieniła się w odwrócony
do góry dnem wrak statku.

Ale największe zdumienie, powodujące, że stoją z otwartymi usta-
mi, budzi w nich to, że w pobliżu szczytu dachu od krokwi oderwało się
tuzin gontowych desek, które zwinęły się w długie, obłędnie wyglądające
kręgi, które tworzą prawie idealne pierścienie. Najbardziej efektowne
wykręcają się w górę, jakby jakaś gigantyczna dłoń chwyciła je i zwinęła
między palcami. W miejscach, w których deski zostały oderwane, prze-
ziera żebrowanie stodoły, dawno temu niedbale sklecone i połączone na
czopy przez Schultza. Wiatr grzechocze gontem jak kośćmi. Ze stryszku
na siano wymykają się wiotkie literki żółtego kurzu ze słomy i lecą nad
długim grzbietem stodoły.

Po chwili Edgar przypomina sobie o liście.

W zamyśleniu unosi go.

Podaje ojcu.

Wszystkie zakamarki

Wczesny ranek tydzień po tym, jak burza dokonała tych osobliwych
zniszczeń na dachu stodoły. Edgar i Almondine stanęli u szczytu
schodów prowadzących do sypialni i oboje bacznie przyglądają się dwuna-
stu opadającym stopniom, ich powierzchniom z wypolerowanymi piaskiem
na gładko sękami, poprzecinanym szparami na tyle szerokimi, że można by

włożyć w nie pionowo pięciocentówkę, i tak grubo polakierowanym przez Schultza, że poza mocno wytartym środkiem wciąż jeszcze prawie całe połyskiwały rdzawoczerwonym blaskiem. Zdradliwe dla osób noszących pończochy i irytujące dla czworonogów. Jednak na Edgarze największe wrażenie robił nie ich wygląd, lecz dar wydawania dźwięków—wszelakich, od jęków po odgłosy przypominające przesuwanie paznokciem po tablicy, a także wielu innych, w zależności od dnia tygodnia, wilgotności czy też od tego, jaką książkę akurat się niosło. Tego ranka wyzwaniem było zejść po cichu — i to nie tylko dla Edgara, ale dla Edgara z Almondine.

Na pamięć znał układ cichych miejsc. Na dwunastym i jedenastym stopniu daleko z prawej, dziesiąty i dziewiąty wszędzie bezpieczne, ósmy cichy po lewej, szósty i piąty stabilne pośrodku, skomplikowane przejście z prawego krańca czwartego nieco na lewo od środka trzeciego i tak dalej. Jednak na siódmym stopniu zawsze czekało ich stęknienie czy trzask jak wystrzał z karabinu. Już od dłuższego czasu nie zajmował się zagadką tego stopnia, lecz widok obłądnego gontu na stodole przypominał mu, że drewno pod każdą postacią może być pełne tajemnic, i postanowił jeszcze raz spróbować.

Pokonał pierwsze cztery schody i odwrócił się. Tędy, pokazał Almondine, wskazując na miejsce na stopniu. Tutaj. Tutaj. Za każdym

67

razem stawiała szeroką łapę na miejscu, którego dotknęły jego palce, i cisza trwała. Po chwili dotarł do ósmego stopnia, stanął na jego krawędzi, a Almondine czekała z nosem wciśniętym w jego plecy.

Jak różdżkarz poszukujący wody przesunął stopą nad siódmym stopniem. Po prawej stronie trzeszczało, o tym wiedział. W samym środku wydawało dźwięk przypominający skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Jego stopa unosiła się i krążyła nad drewnem. W końcu zawisła nad

sowim okiem słoików przy ścianie po lewej. Ostrożnie obciążył nogę.
Cisza.

Kiedy szybko zszedł po szóstym i piątym stopniu, wziął w rękę łapę
Almondine i pogłaskał ją.

Postukał w sówie oko słoików. Tutaj.

Ruszyła w dół.

Tak, grzeczna dziewczynka.

W końcu stanęli u stóp schodów, zszedłszy w absolutnej ciszy. Przez moment trwali w milczeniu wspólnego uniesienia, po czym ruszyli do kuchni. Nie zamierzał nikomu mówić, że udało mu się znaleźć tę cichą drogę po schodach. Stanowili małą rodzinę żyjącą w małym wiejskim domu, nie mieli żadnych sąsiadów ani też czasu czy miejsca dla siebie. Gdyby mógł dzielić jakąś tajemnicę z ojcem, inną z matką, a jeszcze inną z Almondine, ten świat zdawałby się dużo większy.

Nie powiedzieli, gdzie ojciec się wybiera, tylko że dopiero po całym dniu jazdy autem wróci z Claude'em. Był koniec maja, trwał jeszcze rok szkolny, chociaż już się kończył, więc kiedy Edgar spytał, czy mógłby też pojechać, wiedział, że się nie zgodzą. Tego ranka on, Almondine i matka patrzyli za pikapem wspinającym się na wzgórze drogą Town Line, a potem udali się do stodoły, by dopełnić porannych obowiązków. Dolną półkę w warsztacie zajmował stos używanych płyt długogrających i stary walizkowy gramofon. Do ramienia gramofonu taśmą przyklepione były dwie jednocentówki, które zakrywały błyskawicę litery Z w wytłoczonym w żłobkowanym metalu napisie „Zenith”. Przez osłonę głośnika widać było włókna połyskujące pomarańczową barwą wulkanu w srebrzystych kopułkach rurek. Matka wyjęła z okładki jedną ze swoich ulubionych płyt i położyła ją na talerzu gramofonu. Edgar sprzątał psiarnię przy akompaniamencie głosu Patsy Cline. Kiedy

już uporał się z tym zajęciem, odnalazł matkę w kojcu małych szczeniaków. Przyglądała się trzymanemu na wyciągniętych rękach psiakowi, równocześnie podśpiewując, że jest „crazy for tryin', crazy for cryin', crazy for loving it”.

Kiedy po południu wysiadał ze szkolnego autobusu, samochodu ojca nadal nie było. Matka poprosiła Edgara o pomoc w zdejmowania pościeli ze sznura na bieliznę.

— Czyż nie pachną wspaniale? — odezwała się, trzymając materiał przy twarzy. — Tak miło znowu je wywiesić.

Wspięli się po schodach do pokoju gościnnego położonego naprzeciwko sypialni Edgara, po drugiej stronie korytarza. Jeszcze tego ranka wypełniony był stosami czasopism „Dog World” i „Field and Stream” oraz całą stertą niepotrzebnych mebli, popsutych urządzeń i wielu innych dobrze znanych przedmiotów. Składane łóżko z prążkowanym materacem zamykającym się jak małż w skorupie. Zestaw kuchennych krzeseł z podartymi siedzeniami. Dwie mosiężne lampy stojące, które chwiały się jak długonogie ptaki. I przede wszystkim niezliczone kartonowe pudła, w których grzebał całymi popołudniami w nadziei, że wykopie jakiś stary album rodzinny. Mieli zdjęcia wszystkich hodowanych psów, ale ani jednego, które przedstawiałoby ich rodzinę. Liczył na to, że może jedno z tych pudeł skrywa jakiś wyblakły obraz, który ujawni mu, jak doszło do spotkania matki i ojca.

Matka teatralnym gestem otworzyła szeroko drzwi.

— I co myślisz? — zapytała. — Podpowiem ci. Szczerze mówiąc, sama nie jestem w stanie uwierzyć w tę odmianę.

Miała rację. Pokój przeszedł całkowitą przemianę. Gdzieś zniknęły stare pudła. Szyby lśniły czystością. Drewniana podłoga została zamieciona i umyta, składane łóżko stało rozłożone, a umieszczony obok

węzłowia mały stoliczek, nigdy wcześniej niewidziany, pełnił rolę stolika nocnego. Ciepły wiatr przyciągał świeżo wyprane firanki do siatki w oknie, by po chwili ponownie wdmuchiwać je do wnętrza, a cały pokój pachniał jak cytrynowy sad.

Wspaniale, pokazał. Jeszcze nigdy nie było tu tak ładnie.

— Oczywiście, że nie, przecież był zupełnie zagracony! A wiesz, co w tym jest najzabawniejsze? Twój ojciec mówi, że kiedy byli dziećmi, to był pokój Claude'a. Wyobrażasz to sobie? Masz, chwytaj za ten ko-

68

69

niec. — Rozwinięte przez nią prześcieradło wyduło się jak żagiel i zaczynając od stóp łóżka, zabrali się za wciskanie krawędzi pod materac. Każde z nich oblekło po poduszce. Podczas pracy matka nie spuszczała z niego wzroku. W końcu przerwała i wyprostowała się.

— Co się dzieje?

Nic. Sam nie wiem. Urwał i rozejrzał się. Co z tym wszystkim zrobiłaś?

— Znalazłam różne zakamarki. Dużo rzeczy trafiło do piwnicy.

Pomyślałam, że w ten weekend moglibyście z ojcem wywieźć te stare krzesła na śmietnisko.

Przeszła na język migowy, migając niespiesznie i z wielką precyzją.

Czy chciałeś zapytać mnie o Claude'a?

Widziałem go kiedyś? Jak byłem mały?

Nie. Ja sama widziałam go tylko raz. Zaciągnął się do marynarki wojennej rok przed tym, jak poznałam twojego ojca, i wrócił tylko raz, na pogrzeb twojego dziadka.

Dlaczego zaciągnął się do marynarki wojennej?

Nie wiem. Czasami ludzie to robią, żeby zobaczyć trochę świata.

Twój ojciec mówi, że nie zawsze dobrze się układało między Claude'em

i twoim dziadkiem. Czasami taki powód też wystarczy do zaciągnięcia się do marynarki. Choć może nie chodziło ani o jedno, ani o drugie.

Na jak długo do nas przyjeżdża?

Na jakiś czas. Dopóki nie znajdzie sobie czegoś własnego. Od dawna tu nie był. Być może w ogóle tu nie zostanie. To miejsce może być dla niego za ciasne.

Czy on się zna na psach?

Roześmiała się. On tu dorastał. Pewnie nie wie tyle co twój ojciec, już nie wie. Po śmierci dziadka swoje udziały w psiarni odsprzedał twojemu ojcu.

Edgar skinął głową. Gdy skończyli rozmowę, odczekał, aż matka czymś się zajmie, i przyniósł do swojego pokoju lampy z piwnicy. Ustawił je po dwóch stronach regału na książki, a potem całe popołudnie wraz z Almondine spędzili na zdejmowaniu książek z regału i wertowaniu ich.

Było już dawno po zmroku, kiedy światła reflektorów pikapu omiotły ściany salonu. Edgar, matka i Almondine czekali na ganku z tyłu domu, kiedy ojciec zawracał autem koło stodoły. Światło na ganku odbiło się w przedniej szybie samochodu, który zakołysał się i stanął. Ojciec wysiadł z kabiny z miną poważną, a nawet jakby zagniewaną, która jednak natychmiast złagodniała na ich widok. Skinął im ręką w milczeniu, podszedł do tyłu samochodu, otworzył budę i wyjął samotną walizkę. Claude przez chwilę jeszcze nie wysiadał z kabiny, tak że widać było tylko zarys jego postaci. Wyciągnął szyję, rozglądając się wokół. Po chwili drzwi po stronie pasażera otworzyły się, Claude wysiadł i ruszył w stronę domu, a Gar do niego dołączył.

Nie sposób było uciec od porównań. Brat ojca miał na sobie niedopasowany garnitur z serży, w którym musiał czuć się nieswojo i wyglądał beznadziejnie oficjalnie. Zwisał na nim w sposób świadczący o tym, że to Claude jest chudszy z braci. Włosy ojca były częściowo przyprószone

siwizną, a Claude'a wciąż całe czarne. Stał lekko pochylony, co mogło wynikać z długiej podróży samochodem, trudno zatem było powiedzieć, który z nich jest wyższy. A do tego Claude nie nosił okularów. W pierwszej chwili Edgar odniósł wrażenie, że ten człowiek wyraźnie różni się od jego ojca, ale kiedy Claude odwrócił się, żeby spojrzeć na stodołę, natychmiast uwidoczniły się podobieństwa w ich profilach — w kształcie nosa, podbródka i czoła. A kiedy razem wchodzili na podwórze z boku domu, poruszali się identycznym krokiem, jakby wszystkie przeguby w ich ciałach skonstruowane były w dokładnie taki sam sposób. Nagle nasza Edgara dziwna myśl: „To tak wygląda, kiedy ma się brata”!...

— Niewiele się tu zmieniło — mówił Claude. głos miał niższy niż Gar i nieco chropawy. — Chyba spodziewałem się jakichś zmian.

— Jest więcej zmian, niż ci się wydaje — odparł ojciec. Nawet stojąc po drugiej stronie podwórza, Edgar słyszał irytację w jego głosie.

— Kilka lat temu odmalowaliśmy wszystko, ale zostaliśmy przy białym kolorze. Ramy w dwóch oknach od frontu zbutwiały, więc wymieniliśmy je na to wielkie okno panoramiczne. Zobaczysz, gdy wejdiesz do środka. A do tego sporo zrobiliśmy przy instalacjach wodno-kanalizacyjnych i w okablowaniu, a tego nie widać.

— To jest nowe — zauważył Claude, wskazując głową na stojący obok domu bładozielony zbiornik na płynny gaz.

— Już prawie dziesięć lat temu pozbyliśmy się pieca węglowego

— odpowiedział ojciec. Delikatnie położył dłoń na plecach Claude'a, a jego głos ponownie przybrał przyjazny ton. — Chodźmy do środka. Później się rozejrzysz.

70

71

Poprowadził Claude'a w stronę ganku. Podeszli do schodów i Claude

ruszył po nich pierwszy. Trudi przytrzymała otwarte drzwi, a Claude przekroczył próg i odwrócił się.

— Cześć, Trudi — rzekł.

— Cześć, Claude — odparła. — Witaj w domu. Miło, że jesteś z nami.

— Objęła go na moment, zaciskając ramiona w uścisku, który był zarazem przyjacielski i lekko oficjalny. Następnie cofnęła się, a Edgar poczuł na ramieniu jej dłoń.

— Claude, przedstawiam ci Edgara — powiedziała.

Claude oderwał wzrok od Trudi i wyciągnął rękę. Edgar uściskał ją, ale wyszło mu to dosyć niezręcznie. Zaskoczył go mocny uścisk Claude'a, powodujący, że nagle poczuł wszystkie kości w ręce, oraz to, jak bardzo dłonie Claude'a były stwardniałe. Edgar miał wrażenie, że chwycił rękę zrobioną z drewna. Claude zmierzył go wzrokiem z góry do dołu.

— Spory z ciebie chłop, prawda?

Nie takich słów spodziewał się Edgar. Zanim zdążył odpowiedzieć, Claude ponownie przeniósł wzrok, tym razem na Almondine, stojącą z boku i niecierpliwie wymachującą ogonem.

-A to?

— Almondine.

Kiedy Claude przykląkł, od razy widać było, że wiele czasu spędził z psami. Zamiast ją pogłaskać czy podrapać pod szyją, najpierw wysunął dłonie do przodu, podając jej kłykcie do obwąchania. Następnie ściągnął wargi i cicho zagwizdał, nucąc modulowanym głosem, jednocześnie wysokim i niskim. Almondine usiadła prosto, kręcąc łbem w lewo i prawo. Po chwili zrobiła krok do przodu i dokładnie obwąchała Claude'a. Kiedy Edgar podniósł wzrok, na twarzy ojca dostrzegł wyraz przerażenia wywołanego jakimiś wspomnieniami.

— Cześć, panienko — odezwał się Claude. — Ależ piękność. — Dopiero kiedy Almondine skończyła go obwąchiwać, Claude pozwolił sobie dotknąć jej. Poglaskał Almondine po zadzie, podrapał po piersiach pod łokciami i przeciągnął dłonią po jej brzuchu. Zamknęła pysk i wygięła grzbiet w łuk w geście pobłażliwego zadowolenia.

— O rany, to tyle... — Claude'owi zabrakło słów. Nadal głaskał sierść Almondine. Przełknął ślinę, głęboko odetchnął i podniósł się. — Już zapomniałem, jakie one są — powiedział. — Tyle czasu upłynęło, odkąd mogłem dotknąć psa w ten sposób.

Zapadła kłopotliwa cisza i po chwili ojciec Edgara zaprowadził Claude'a na górę, do odnowionego pokoju gościnnego. Czekali na nich z kolacją i teraz Edgar zabrał się za nakrywanie do stołu, a matka wyciągnęła szynkę z lodówki i kroїła resztki ziemniaków, żeby je podsmażyć. Pracowali w milczeniu, przysłuchując się rozmowie na górze. Jakby chcąc się wytłumaczyć ze swoich wcześniejszych uwag, Claude wskazywał na różnice, duże i małe, między tym, jak wszystko teraz wyglądało, a jak on zachował to w pamięci. Kiedy zeszli na dół, obaj stanęli w szerokim korytarzu między kuchnią a salonem.

— Co powiesz na kolację? — zapytała Trudi.

— Świetny pomysł — odparł Claude. Nagle jakby poblądł, jak ktoś zaniepokojony czymś, co niedawno zobaczył, czy też ostatnio przywołanym wspomnieniem, i to niezbyt radosnym. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Trudi spojrzała na braci.

— Momencik — powiedziała. — Nie ruszajcie się. Edgarze, stań obok ojca. No rusz się!

Podszedł do drzwi. Cofnęła się od patelni, zostawiając na niej skwierczące ziemniaki, i wsparłszy się pod boki, zmrużyła oczy, jakby przyglądała się miotowi szczeniaków, chcąc znaleźć wśród nich przy-

czynę kłopotów.

— Wielki Boże, ależ ci mężczyźni Sawtelle'ów są do siebie podobni!

— powiedziała, kręcąc głową. — Wy trzej jesteście jak z jednej formy.

Musiała zobaczyć trzy zawstydzone uśmiechy, bo wybuchnęła śmiechem i po raz pierwszy od przybycia Claude'a atmosfera w domu rozluźniła się.

Zanim kolacja dobiegła końca, wyraz udręczenia na twarzy Claude'a złagodniał. Dwa razy wychodził na ganek zapalić papierosa i wydmuchiwał dym przez siatkę w drzwiach. Edgar siedział przy stole i do późna w nocy przysłuchiwał się rozmowie: o psiarni, domu, nawet historiom o sobie. Nauczył Claude'a kilku znaków w języku migowym, które Claude błyskawicznie zapomniał. Almondine zaczęła się opierać o gościa, kiedy ją czochrał, a Edgar patrzył na to z zadowoleniem. Wiedział, jak bardzo ten jej gest odpręża ludzi. Długo siedział i słuchał, aż w końcu matka przyłożyła mu dłoń do czoła i powiedziała, że jest śpiący.

72

73

Mgliste wspomnienie wspinania się po schodach. Tej nocy śnił, że pozostał przy stole. Claude mówił głosem niskim i cichym, jego twarz rozdzielała pofałdowana linia dymu z papierosa, a wypowiedane przez niego słowa układały się wbezsensowny bełkot. Ale kiedy Edgar spojrział w dół, zauważył, że stoi w kojcu małych szczeniaków otoczony przez tuzin psiaków, walczących ze sobą i gryzących się nawzajem; a po chwili, gdy tylko zapadł w głęboki, głuchy sen, szczeniaki stały z nim nad strumieniem i po kolei wchodziły do płytkiej wody, gdzie porywał je nurt. Edgar otworzył oczy w ciemnościach. Przy oknie dostrzegł sylwetkę Almondine ciężko oddychającej, co oznaczało, że jest skupiona na czymś niezwykle zajmującym lub niepokojącym. Wygramolił się z łóżka i klęk-

nał przy niej, krzyżując ramiona i opierając się na parapecie. Almondine machnęła ogonem, szturchnęła Edgara nosem i ponownie zaczęła wyglądać przez okno.

W pierwszej chwili nie zauważył niczego niezwykłego. Tuż za gan-kiem stał klon okryty świeżym listowiem, w docierającym z sadu żół-tych blasku podwórzowego światła liście zdawały się czarne. W psiarni panował spokój, psy nie szczekały w swoich kojcach. Ogród tonął w cie-niu domu. Edgar sądził nawet, że dojrzy gdzieś jelenia podkradającego sadzonki — latem często pojawiał się taki intruz, a Almondine regular-nie budziła Edgara z tego właśnie powodu. Dopiero kiedy Claude się poruszył, Edgar zauważył, że stryj stoi oparty o pień klonu. Miał na so-bie dzinsy i flanelową koszulę Gara, a w jego dłoni połyskiwała butelka. Podniósł ją do ust i pociągnął łyk. Sposób, w jaki trzymał ją po odjęciu od ust, świadczył o jej zarówno cennej, jak i wyjątkowej zawartości.

Po chwili Claude podszedł do podwójnych wrót stodoły. Skrzydła pod-parte były ciężkim metalowym drągiem, jak zawsze kiedy brali pod uwagę możliwość nadejścia burzy. Claude zatrzymał się i przyjrzał tej konstruk-cji. Nie otworzył jednak wrót, tylko obszedł silos i zniknął. Z położonych z tyłu zagród podniosło się ujadanie, które zaraz ucichło. Po chwili Claude pojawił się na południowym krańcu stodoły i przykucnął przy najdalszej zagrodzie. Nocne powietrze przeszył jego modulowany gwizd. Jedna z suk przecisnęła się przez płócienną klapę i pobiegła w jego stronę. Claude po-drapał ją w szyję przez druty ogrodzenia. Przeszedł wzdłuż całego rzędu zagród, odwiedzając wszystkie psy po kolei, po czym wrócił przed stodo-łę, odstawił na bok podtrzymujący wrota drąg i otworzył je. Gdyby wszedł tam od razu, jako ktoś obcy, psy podniosłyby raban, natomiast teraz, kiedy w psiarni zapaliły się światła, rozległo się tylko kilka płaczliwych szczęk-nięć i zapanowała cisza. Wrota zamknęły się i Edgar z Almondine widzieli

już tylko podwórze, na którym pozostały same cienie.

Małe okno w warsztacie rozjarzyło się światłem. Po chwili ze środka dobiegł głos Patsy Cline. Po kilku taktach melodia zajęczała i urwała się. Roger Miller zaczął śpiewać King of the Road. Właśnie opowiadał, co dają dwie godziny wywijania miotłą, kiedy również jemu przerwano. Następnie popłynęły narastające dźwięki orkiestry. A po nich jakiś big-band. Łańcuszek ciągnął się dalej, każdy utwór odtwarzany na tyle długo, żeby zdążył się rozkręcić, po czym milkł. W końcu muzyka zupełnie ucichła.

Almondine sapnęła w reakcji na tę ciszę.

Edgar wciągnął džinsy i wziął do ręki tenisówki. Lampa w pokoju gościnnym rzuciła przyćmione światło na korytarz, więc otworzył drzwi i zajrzał do środka. Krawędzie wysuszonej na sznurze pościeli były mocno wsunięte pod materac. Strzepnięte poduszki leżały na wezgielisku składanego łóżka. O obecności Claude'a w tym pokoju świadczyła jedynie zniszczona walizka, szeroko otwarta na podłodze, i rysująca się obok niej plama jego garnituru. Walizka była prawie pusta.

Zeszli po schodach. W ciemnościach Edgar musiał zgadywać, gdzie jest sowa, ale udało im się w idealnej ciszy dotrzeć na sam dół i wymknąwszy się przez drzwi na ganek z tyłu domu, pobiegli do stodoły. Edgar przyłożył oko do szpary między podwójnymi skrzydłami wrót. Nie zauważył żadnego ruchu, obrócił zasuwkę i wsunął się do środka, a tuż za nim Almondine.

Kilka psów stało w swoich kojcach. Większość leżała zwinięta na słomie, lecz wszystkie patrzyły. Drzwi do znajdującego się w pobliżu warsztatu były otwarte. Na drugim końcu stodoły w pomieszczeniu medycznym paliło się światło. Wyglądało to tak, jakby Claude wszystko tam przejrzał i wyszedł. Edgar podszedł do kojców małych szceniaków i uchylił drzwi, zaglądając do środka. Następnie wraz z Almondine

wspięli się, znów zachowując ciszę, po schodach biegnących wzdłuż tylnej ściany warsztatu. U góry był skonstruowany ze sklejki nieoświetlony przedsionek z drzwiami, które miały zapobiegać powstawaniu przeciągów w zimie. Stojąc w cieniu, zajrzeli na strych. Między krokwiami

74

75

wisiały cztery zapalone gołe żarówki w oprawkach. Potężna sterta beli słomy na końcu strychu — bezpośrednio pod dziurą w dachu — pokryta była brezentem na wypadek deszczu. Po podłodze wałała się luźna słoma i porozrzucane resztki żółtych beli. Od kołków w przedniej ścianie przez bloki w krokwiach biegły linki wędkarskie, które kończyły się zatraskami zwisającymi kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą.

Pośród tego wszystkiego leżał Claude na prowizorycznym łóżku z beli, jedna ręka zwisała bezwładnie nad podłogą, dłonią do góry i z palcami częściowo zwiniętymi obok butelki po alkoholu. Każdy jego kolejny oddech następował po długiej przerwie.

Edgar już miał się odwrócić i sprowadzić Almondine z powrotem w dół po schodach, ale w tym momencie Claude cicho zachrapał, doszedł więc do wniosku, że skoro stryj i tak śpi, mogą przejść wzdłuż przedniej ściany i lepiej mu się przyjrzeć. Przesuwali się powoli. Edgar usiadł na beli słomy. Pierś Claude'a unosiła się i opadała. Chrząknął, podrapał się w nos i coś wymamrotał. Podeszli o jedną wiązkę bliżej. Kolejne chrząknięcie, na tyle głośne, żeby odbić się echem w olbrzymiej przestrzeni.

Chwilę później Edgar i Almondine stanęli nad Claude'em.

Czarne włosy. Twarz zryta głębokimi zmarszczkami.

Edgar właśnie się zastanawiał nad różnicami między jego ojcem i stryjem, kiedy Claude, nie otwierając oczu, odezwał się:

— Wiecie, że macie tu dziurę w dachu?

Edgar sam nie wiedział, czego bardziej się wystraszył — tego, że Claude nie spał, czy tego, że zaczął się uśmiechać, zanim jeszcze otworzył oczy. Almondine cicho szczerknęła i odskoczyła na bok. Edgar cofnął się niezgrabnie, potknął o leżącą belę słomy i rozłożył jak długi.

Claude ziewnął i usiadł. Oparł stopy na podłodze stryżku i zauważył butelkę z alkoholem. Na jego twarzy odmalował się wyraz miłego zaskoczenia. Podniósł ją, spojrzał na patrzącą na niego dwójkę i wzruszył ramionami.

— Pożegnalny prezent od przyjaciół — powiedział. — Nie pytaj mnie, jak to załatwili. Podobno było to niemożliwe.

Uniósł butelkę do ust i pociągnął z niej długi leniwy łyk. Wyglądało na to, że nie spieszy mu się z dalszą rozmową, więc Edgar usiadł, starając się na niego nie patrzeć. Po chwili Claude ponownie na niego spojrzał.

— Późno już. Twój rodzice wiedzą, że tu jesteś?

Edgar pokręcił przecząco głową.

— Tak też myślałem. Ale z drugiej strony, ja cię rozumiem. Pojawia się jakiś facet, który w środku nocy wędruje do twojej psiarni, więc chcesz sprawdzić, co się dzieje, nie? Sam bym tak zrobił. Prawdę mówiąc, i ja, i twój ojciec nieźle potrafiliśmy wymykać się z domu. Jak prawdziwi Houdini.

Claude na chwilę nad czymś się zadumał.

— Dużo trudniej było wrócić. Wyszedłeś przez okno czy szedłeś przez... och, mniejsza o to — urwał, kiedy jego wzrok spoczął na Almondine. — Pewnie wymknąłeś się z tyłu. Stara i sprawdzona metoda. Znasz już drogę przez daszek nad gankiem?

Nie.

— Tato ci nie pokazał?

Nie.

— Słusznie, nie powinien tego robić. I tak sam do tego dojdiesz.

A kiedy już ci się uda, pamiętaj, że to my z twoim starym przetarliśmy ten szlak. — Claude rozejrzał się po strychu. — Może i wiele innych rzeczy się zmieniło, ale ta stodoła wygląda tak samo jak w przeszłości. Twój tato i ja znaleźliśmy jej wszystkie zakamarki. Chowaliśmy tu papierosy, a nawet alkohol i latem w środku dnia wymykaliśmy się tu, żeby sobie golnąć. Nasz stary wiedział, że chowamy to gdzieś na strychu, ale był zbyt dumny, żeby szukać. Jestem pewien, że gdybym tylko trochę poszperał, znalazłbym z pół tuzina luźnych desek.

Niektórych ludzi krępowała rozmowa z Edgarem, uważali, że przez cały czas powinni stawiać mu pytania, żeby mógł im odpowiadać, kiwając lub kręcąc głową czy też wzruszając ramionami. Tych samych ludzi irytowało to, w jaki sposób Edgar na niech patrzył. Claude'owi zupełnie to nie przeszkadzało.

— Chciałeś o coś zapytać — odezwał się — czy po prostu szpiegowałeś?

Edgar podszedł do znajdującego się w przedniej części strychu stołu warsztatowego i wrócił z kawałkiem papieru i ołówkiem.

Co ty tu robisz? napisał.

Claude rzucił okiem na papier i pozwolił, żeby spadł na podłogę.

— Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć. To znaczy, potrafię wytłumaczyć, ale nie wiem, czy będę potrafił tobie wytłumaczyć. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

76

77

Spojrzenie Edgara najwyraźniej niewiele powiedziało Claude'owi.

— No dobra, twój ojciec prosił mnie, żebym nie wdawał się zbyt w szczegóły, ale... no, powiedzmy, że ostatnio dużo czasu przebywałem w zamkniętym pomieszczeniu. I naprawdę mam już dość ciągle-

go siedzenia w pomieszczeniach. Mały pokój, mało słońca, tego typu sprawy. Kiedy więc dziś wieczorem wszedłem do tego pokoju, to chociaż był tak schludny i starannie urządzone przez twoją matkę, odniosłem wrażenie, że wcale nie jest większy od tamtego pomieszczenia, w którym ostatnio mieszkałem. I wydało mi się, że nie jest to najlepszy pomysł na spędzenie pierwszej nocy na... — Przez jego twarz przemknął wyraz zmieszania. — Mojej pierwszej nocy w domu. Pomyślałem, że mógłbym przespać się na trawie, a nawet na pace samochodu. Żeby oglądać wschód słońca. Ale chodzi o to, że na zewnątrz jest tak diabło dużo miejsca. Rozumiesz coś z tego? Kiedy spędzisz dużo czasu w zamknięciu, po wyjściu na zewnątrz w pierwszej chwili czujesz się jakoś dziwnie.

Edgar skinął głową. Ułożył dwa palce na dłoni drugiej ręki i machnął nimi nad głową.

— Właśnie tak. Szust. — Również Claude machnął ręką nad głową.

— Wiesz, co to jest szkocka? — zapytał.

Edgar wskazał na butelkę.

— Dobrze. Wygląda na to, że większość ludzi w końcu zaczyna się interesować alkoholem i albo sami po niego sięgają...

Butelka szkockiej przechyliła się kusząco w jego stronę. Edgar pokręcił głową.

— Nie chcesz, co? To też dobrze. Chociaż wcale bym ci nie pozwolił na dużo. Chciałem tylko zobaczyć, czy cię to interesuje.

Claude odkręcił zakrętkę, pociągnął łyk i spojrzał Edgarowi prosto w oczy.

— Ale będę ci wdzięczny, jeśli to pozostanie między nami. Ja tu nie robię nic złego, zgadza się? Odpoczywam sobie, rozmyślam, cieszę się tym miejscem. Twoi starzy pewnie zaczęliby się martwić zupełnie bez

powodu. A tak nie będą wiedzieć, że ty wymykasz się w nocy, i nie będą też wiedzieć, że ja wyszedłem sobie na spacer.

Edgar doszedł do wniosku, że uśmiech Claude'a tylko w niewielkim stopniu przypomina uśmiech jego ojca.

— A teraz lepiej już zmykaj do domu. Jak znam twojego ojca, bladym świtem pobudzi wszystkich do pracy.

Edgar skinął głową i podniósł się. Właśnie miał uderzyć ręką w udo i przywołać Almondine, kiedy uzmysłowił sobie, że suka już stoi w przed-sionku, zerkając w dół schodów. Ruszył w jej kierunku i dołączył do niej.

— Mogę ci dać przydatną wskazówkę — odezwał się Claude, mówiąc już do jego pleców. — Znasz ten skrzypiący stopień w schodach? Mniej więcej w połowie drogi? Spróbuj go przejść po lewej. Tam jest jedno ciche miejsce, trudno je znaleźć, ale można. Jeśli uda ci się wejść bez trzaskania drzwiami, swobodnie znajdziesz się w domu.

Edgar odwrócił się i spojrzał na strych.

Wiem o tym miejscu, pokazał na migi. Znaleźliśmy je dziś rano.

Ale Claude już go nie widział. Leżał rozwalony na beli z palcami splecionymi pod głową, wpatrzony w nocne niebo wyczierające przez szparę w gonce. Nie wyglądał na sennego, raczej na człowieka pogrążonego w myślach. Nagle Edgar pomyślał, że Claude wcale nie spał, kiedy oni się zbliżali, chcąc lepiej mu się przyjrzeć. Droczył się z nimi, a może ich sprawdzał, chociaż Edgar nie miał pojęcia z jakiego powodu.

Kiedy nazajutrz Edgar zszedł na dół, zobaczył stryja siedzącego przy kuchennym stole. Miał przekrwione oczy i mówił chrapliwym głosem. Nie skomentował ich nocnego spotkania, poprosił natomiast Edgara, żeby pokazał mu znak w języku migowym oznaczający kawę. Edgar obrócił jedną pięścią nad drugą, jakby kręcił korbką młynka. Po chwili na ganek wszedł Gar, Claude podszedł do niego i zaczęli rozma-

wiać o dachu stodoły.

— Mogę się tym zająć — powiedział Claude.

— Kładłeś kiedyś nowy dach na stodole?

— Nie. Na domu też nie. Czy to trudne?

— Nie wiem. Dlatego pytam.

— Poradzę sobie.

Po południu Gar i Claude wrócili ze składu budowlanego w Park Falls z nową drabiną, przywiązaną do paki pikapu, i platformą samochodu wypełnioną sosnowymi deskami, smołowanym papierem i długimi, płaskimi skrzyniami gontu asfaltowego. Ułożyli te materiały w stos na trawie za wybiegami z tyłu stodoły i przykryli wszystko nowym brunatnym brezentem.

78

79

Bezpański pies

Każdego ranka Claude wychodził na ganek, popijając kawę i trzymając na dłoni balansujący talerzyk ze śniadaniem. Po kolacji siadał na schodkach i palił. Czasami rozwijał kostkę mydła, obracał ją w dłoni i po chwili zabierał się za ścinanie wiórów scyzorykiem. Pewnego ranka, wkrótce po przyjeździe Claude'a, Edgar, biorąc mydło z łazienki, odkrył, że z jednego końca wyziera łeb żółwia.

Przez długi czas po skończeniu porannych obowiązków, zanim słońce zdążyło wysmażyć całą wodę z trawy, a powietrze zgęstniało od kurzu i pyłków kwiatowych, Edgar z ojcem chodzili na rytualny spacer wzdłuż ogrodzenia. Czasami towarzyszyła im Almondine, ale robiła się już coraz starsza i najczęściej gdy Edgar mówił jej, że wychodzą, tylko odwracała się na grzbiet i składała łapy na piersi jak do modlitwy. Ojciec nigdy nie zapraszał Claude'a na ich spacer, nawet w te pierwsze

tygodnie lata, zanim na wszystkim cieniem położyły się ich kłótnie. Trasa zaczynała się za ogrodem, gdzie płot biegł tuż za linią lasu. Następnie wzdłuż strumienia poznaczonych słupkami podążali w najdalszy kąt ich posiadłości, gdzie stał wiekowy, obumierający dąb, tak potężny i gęsto porośnięty splątanymi gałęziami, że jego czarne konary głębokim cieniem okrywały poprzecinaną korzeniami ziemię. Wokół drzewa utworzyła się mała polanka, jakby las cofnął się nieco, robiąc mu miejsce na jego ostatnie chwile. Stamtąd kierowali się na wschód, teren wznosił się, przecinając sumaki, dzikie jeżyny i spłachcie ziemi porośnięte roślinami łąkowymi w kolorze cytryny. Ostatnie ćwierć mili szli drogą. Ojciec często potrafił całą trasę przejść w milczeniu i w tej ciszy każdy krok stawał się krokiem z jakiegoś wcześniejszego spaceru

80

(prysznic drobnych kropelek z drzewa laurowego, unoszący się spod ich stóp stęchły zapach gnijących liści, nawzajem strofujące się na polach wrony i dzięcioły), a w myślach Edgara pojawiało się wspomnienie — choć może tylko sobie to wyobrażał — w którym jako małe dziecko niesiony był wzdłuż tego strumienia, a z przodu podskakiwała Almondine, mężczyzna, chłopiec i pies przedzierający się przez las jak prawdziwi podróżnicy.

Właśnie tego lata, w ciemny poranek podczas jednego ze spacerów, po raz pierwszy zobaczyli bezpańskiego psa. W nocy biały przypływ pochłonął całą ziemię. O wschodzie słońca z mgły wyłaniał się najbliższy narożnik magazynu na mleko, ale i stodoła, i silos zniknęły zupełnie, a las stał się krainą bliskiego otoczenia, w której jeśli Edgar coś widział, to niezwykle szczegółowo, natomiast cała reszta przestała istnieć. Strumień płynął znikąd donikąd. Konary umierającego dębu zwisały nad głową niczym cienie. Słońce na niebie skurczyło się do ma-

leńskiego szarego krążka.

Już zbliżali się do domu, krocząc drogą w świat zbudowany z waty, kiedy coś przykuło uwagę Edgara. Zatrzymał się przy wąskim zagajniku wcinającym się w południowe pole na szczycie wzgórza. W tym miejscu z ziemi wylaniał się granitowy występ, szary, wąski i gdzieś tam porośnięty mchem, wznosząc swój garb między drzewami i zanurzając się przed drogą na podobieństwo wieloryba przełamującego powierzchnię ziemi. Ojciec szedł dalej, natomiast Edgar wkroczył w dziką gorczycę i sorgo i zatrzymał się tam ciekaw, czy ziemia może zmarszczyć się i za sklepi nad znikającym olbrzymem. Nic takiego się nie stało, ale na samym końcu skalnego występu zamajaczył jakiś cień. Po chwili cień przekształcił się w psa, który poruszał się z nosem opuszczonym do pokrytego mchem grzbietu lewiatana, jakby węszył stary trop. Kiedy pies dotarł na grzbiet skały, podniósł wzrok i z uniesioną łapą znieruchomiał.

Stali tak, patrząc na siebie. Zwierzę zrobiło krok do przodu, żeby lepiej mu się przyjrzeć, jakby w nadziei, że go rozpozna. W pierwszej chwili Edgar pomyślał, że to pies z ich psiarni, który wymknął się na nielegalne polowanie. Był odpowiedniej wielkości, linia grzbietu wydawała się znajoma, a jasna pierś, ciemny pysk i czarna łata w kształcie siodełka nie były rzadkością u psa Sawtelle'ów. Ale miał zbyt duże uszy i zbyt wywinięty ogon, poza tym było coś jeszcze — jakby wada

81

w proporcjach, Edgar nie widywał tak kanciastych kształtów. Poza tym gdyby to był jeden z ich psów, z pewnością prawie każdy z nich, z wyjątkiem może tych najbardziej krnąbrnych, natychmiast rzuciłby się w jego stronę.

Ojciec zniknął już na drodze, lecz w pewnym momencie odwrócił się i Edgar podniósł rękę, wskazując na psa. Widok Edgara nie wystraszył

zwierzęcia, uczynił to natomiast ten ruch ręki. Pies odwrócił się gwałtownie i pomknął w pole, z każdym krokiem stając się bardziej szary i widmowy, aż w końcu mgła zamknęła się wokół niego i zniknęła zupełnie.

Edgar pobiegł drogą w stronę ojca.

Tam był pies, pokazał na migi.

W psiarni musieli wiedzieć, co się dzieje z każdym psem. Z powrotem przecięli pole, zmierzając w kierunku wąskiego zagajnika w nadziei, że ponownie ujrzą psa. Kiedy stanęli na drodze w miejscu, w którym Edgar dostrzegł go po raz pierwszy, ojciec zauważył psie odchody.

— Popatrz — powiedział, szturchając kijem nędzną kupkę. Była w tym samym rdzawopomarańczowym kolorze co powierzchnia drogi. Dopiero w tym momencie Edgar zrozumiał, dlaczego tak dziwne wydawały mu się kształty psa kroczonego po grzbiecie wielorybiej skały. Nigdy wcześniej nie widział głodującego psa.

Powiedzieli Trudi, że widzieli bezpańskiego psa, który jadł żwir, na co tylko pokręciła głową. Nie było w tym nic dziwnego. Ludzie często zajeżdżali do nich, licząc, że Sawtelle'owie przyjmą szczeniaki gramolące się jeden przez drugiego na tylnym siedzeniu, że może nawet będą je tresować wraz ze swoimi psami. Gar tłumaczył, że nie na tym polega praca hodowców, ale i tak przynajmniej raz do roku jakiś samochód zatrzymywał się z chrzęstem w pobliżu sadu i na żwirze lądowało tekturowe pudło. Najczęściej psy porzucano tak, żeby nikt tego nie widział, po drugiej stronie wzgórza, a potem znajdowali psiaki przytulone gromadką do wrót stodoły, wyczerpane, przerażone i merdające kusymi ogonkami. Ojciec nigdy ich nie dopuszczał w pobliże własnych psów. Zamykał je w zagrodzie na podwórzu i po załatwieniu prac domowych wiózł do schroniska w Park Falls, a kiedy wracał, był posępny i milczący. Edgar już dawno się nauczył, że w takich sytuacjach należy ojca zo-

stawić samego.

82

Dlatego tym razem też się spodziewali, że bezpański pies wkrótce, może nawet jeszcze tego samego ranka pojawi się na ich podwórzu. Okazało się jednak, że zniknął na kilka dni, a kiedy w końcu znowu go zobaczyli, tylko mignął im w przelocie. Almondine, Edgar i ojciec szli wzdłuż ogrodzenia. Kiedy się zbliżali do starego dębu, coś ciemnego przemknęło przez sumak, jednym susem pokonało strumień i przedarło się przez zarośla. Edgar chwycił ramionami Almondine, żeby nie rzuciła się w pogoń. Miał wrażenie, że próbuje powstrzymać tornado — w piersi jej huczało od ciężkiego oddechu i szarpała mu się w ramionach, a później, w nocy, szczekała i wierciła się przez sen.

Ojciec odbył parę rozmów telefonicznych. Nikt nie szukał zagubionego psa, doktor Papineau nic o tym nie wiedział. To samo usłyszał w schronisku dla zwierząt, a także od George'a Geary'ego na poczcie i od telefonistek. Przez kilka następnych dni nie zabierali Almondine na spacer, mając nadzieję, że zwabią bezpańskiego psa. Kiedy doszli do starego dębu, Gar wyjął plastikowy worek i w pobliżu poskręcanych korzeni drzewa wysypał z niego resztki z kolacji.

Czwartego dnia zwierzę czekało na nich przy dębie. Pierwszy zauważył je ojciec. Położył dłoń na ramieniu Edgara, a on natychmiast podniósł wzrok. Od razu rozpoznał jasnowłosą pierś i ciemny pysk, czarne siodełko i ogon. Przede wszystkim jednak ten kościsty wygląd. Tylne łapy psa drżały, ze strachu czy też osłabienia albo z obu tych powodów. Po chwili odwrócił się do nich bokiem, położył uszy, opuścił łeb i chyłkiem zbliżył się do pnia dębu.

Gar wydobył z kieszeni kawałek mięsa. Zamachnął się i mięso wyładowało na ziemi między nimi a psem. Zwierzę rzuciło się w tył, za-

trzymało się i przyglądało darowi.

— Cofnij się — powiedział cicho ojciec do Edgara. — O trzy kroki.

Powoli się odsunęli. Pies uniósł nos i zadrzał, ale Edgar nie potrafił odgadnąć, czy to z powodu zapachu jedzenia czy ludzi. Sam czuł, jak trzęsą mu się kolana. Pies podbiegł do przodu, jakby chciał porwać mięso, jednak w ostatniej chwili odwrócił się gwałtownie i wycofał, zerkając nad barkiem wstecz. Stali naprzeciwko siebie, obserwując się z większej odległości.

— Ziewnij — szepnął ojciec Edgarowi.

Edgar jak najwolniej uniósł ręce, na migi zadając pytanie.

83

Co?

— Ziewnij. Tak porządnie — powiedział ojciec. — Jakbyś był znużony. I nie patrz na jedzenie.

Pootwierawszy usta, gapili się na wróble przeskakujące między gałęziami w koronie ginącego dębu. Po chwili bezpański pies przysiadł, podrapał się w bark i też ziewnął. Gdy tylko spoglądał na mięso, Edgar wraz z ojcem natychmiast jak urzeczeni śledzili ruchy wróbli. W końcu bezpański pies podniósł się, podszedł powoli ścieżką, w ostatniej chwili przyspieszając, żeby porwać mięso i zanurkować w zarośla.

Ojciec i syn wypuścili powietrze.

— To rasowy owczarek niemiecki — stwierdził ojciec.

Edgar skinął głową.

— Jak myślisz, ile może mieć lat?

To roczniak.

— Zdawało mi się, że jest młodszy.

Nie, to roczniak, pokazał na migi. Spójrz na jego pierś.

Ojciec skinął głową, podszedł do podnóża drzewa i rzucił tam pozo-

stałe resztki z kolacji. Zajrzał w zarośla po drugiej stronie strumienia.

— Ładnie zbudowany — powiedział w zamyśleniu. — I nie taki głupi.

I piękny, na migi pokazał Edgar, szeroko rozpościerając ręce.

— Tak — odparł ojciec. — Wystarczy dać mu trochę jedzenia i będzie też piękny.

Claude zabrał się do naprawiania szkód wyrządzonych przez burzę na tylnej połaci dachu stodoły — wszędzie słychać było uderzenia młotka odbijające się echem od ściany lasu, jęki gwoździ wyciąganych ze starego drewna, stęknienia, kiedy sam się kaleczył.

— Odchodzą, aż miło — powiedział przy kolacji, biorąc z talerza w dwa palce wyimaginowany gont i z wdziękiem go unosząc. Twarz miał spaloną słońcem, a jedną dłoń zabandażowaną w miejscu, gdzie wbił sobie drzazgę wielkości wykałaczki. — Niektóre deski z pokrycia dachowego są w niezłym stanie, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że gont przepuszczał tak dużo wody. Ale jest też dużo zbutwiałych.

Claude zaprowadził ich na strych stodoły i pokazał poczerńiałe deski, a potem w półmroku wszedł na drabinę i zrzucił gont. Gdyby nie zdecydowali się położyć nowego, powiedział, musieliby od nowa kłaść cały dach, wraz z belkami i tak dalej, w każdym razie mogłoby to potrwać kilka lat. I jakkolwiek całą robotę podzielić, zajmie mu to sporą część lata. Zamknęli psiarnię i poszli w kierunku domu. Edgar wszedł do środka, a rodzice z Claude'em zostali na podwórzu. Podczas rozmowy ich ściszone głosy docierały przez siatkę w drzwiach, więc Edgar stanął w kuchni tak, żeby go nie widziano, i przysłuchiwał się.

— To niedobrze — mówił Claude. — Pewnej nocy w końcu trafi na podwórze, dostanie się do stodoły i wda się walkę z jednym z naszych psów.

— Niedługo sam do nas przyjdzie.

— Po tak długim czasie samotnego biegania na wolności? Ten kto go wyrzucił, na pewno go bił. Ten pies najprawdopodobniej jest zły jak diabeł. Gdyby miał tu przyjść, już dawno przybiegłby, sikając pod siebie.

— Daj mu tylko trochę czasu.

— Sam wiesz, że one tam giną z głodu. Nie wiedzą, jak polować, i całe szczęście, że nie wiedzą. Lepiej go zastrzelić.

Cisza. W tym momencie odezwała się Trudi:

— On ma rację, Gar. W przyszłym miesiącu trzy nasze suki będą miały ruję.

— Przecież wiesz, że tego nie zrobię.

— Wszyscy o tym wiemy — odezwał się Claude. — Takiego uparciucha jak Gar Sawtelle świat nie widział. W takim razie niech będzie strychnina. — Claude spojrział na ganek. Wyraz jego twarzy zdawał się skrywać uśmiech, a potem powiedział coś, co zabrzmiało jak szyderstwo, choć Edgar nie rozumiał, czego miało dotyczyć. — Przecież już to robiłeś, Gar. Zrobiłeś to z bezpańskim psem.

Zapanowała cisza ciągnąca się tak długo, że w końcu Edgar odważył się wyjrzeć przez okno. Chociaż ojciec stał do niego profilem, częściowo odwrócony w stronę pola, Edgar dostrzegł malującą się na jego twarzy złość. Jednak kiedy odpowiedział, mówił głosem spokojnym.

— Słyszałem — odparł. A potem, najwyraźniej zamykając dyskusję, dodał: — Zawozimy je teraz do Park Falls. — Wszedł po schodkach na ganek i z poczerwieniałą twarzą wkroczył do kuchni. Wziął do ręki leżące na zamrażarce księgi hodowlane, porozkładał je na stole i przez pozostałą część wieczoru nad nimi pracował.

Claude wszedł do salonu jakby nigdy nic i zajął się kartkowaniem jakiegoś czasopisma, a następnie udał się na górę. Przez cały ten czas

dom pogrążony był w ciszy tak głębokiej, że kiedy w ołówku ojca zła-
mał się grafit, Edgar dosłyszał, jak ojciec klnie pod nosem i rzuca ołów-
kiem przez pokój.

Przez kolejne dni bezpański pies nie pokazywał się. Almondine czasami
przystawała i wpatrywała się w drugą stronę strumienia, ale ani Edgar,
ani jego ojciec nic nie widzieli, więc po chwili Edgar przywoływał ją do
nogi. Lubił wyobrażać sobie, że wyczuła zapach bezdomnego psa, lecz
Almondine często patrzyła w ten sposób w zarośla kuszona nieznany-
mi ludzom egzotycznymi zapachami.

Pewnej nocy obudziło Edgara wycie rozchodzące się po polach, dłu-
gie, samotne „uuuuuuuhr-uhr-uuh” kończące się przenikliwym skrze-
kiem. Usiadł w ciemnościach i słuchał, zastanawiając się, czy mu się to
przypadkiem nie przyśniło. Ale po dłuższej chwili absolutnej ciszy do-
szedł go kolejny skowyt, tym razem bardziej oddalony.

A co będzie, jeśli tu przyjdzie? zapytał nazajutrz ojca.

— On sobie poszedł, Edgarze. Gdyby miał tu przyjść, już by to zro-
bił.

Ale ja go słyszałem dziś w nocy. Słyszałem, jak wył.

— Jeśli się tu pojawi, zawieziemy go do Park Falls — odrzekł oj-
ciec. Jednak gdy podniósł wzrok i dostrzegł wyraz twarzy Edgara, do-
dał: — Być może.

Wieczorem Edgar wyprowadził dwa roczniaki na środek psiarni
i przygotował zestaw do szczotkowania. Kiedy skończył swoje zadanie,
zachodzące słońce skąpało już szkarłatem tyły domu. Na ganku stał
Claude i palił papierosa. Kiedy Edgar wspinał się po schodach, Claude
uniósł papierosa do ust, zaciągnął się i wskazał żarzącą się końcówką
na pole.

— Spójrz tam — powiedział.

Edgar odwrócił się. Na skraju lasu trzy jelenie szybowwały nad polem w parabolicznych susach. Za nimi w posępnym pościgu sunęła mała, przykuta do ziemi postać bezpańskiego psa. Kiedy jelenie zniknęły między osikami, pies zatrzymał się i zaczął kręcić w kółko, jakby zziębnięty czy zdezorientowany. Po chwili również on zniknął między drzewami. W ostatnich promieniach chowającego się za horyzontem słońca Claude zgasił papierosa w popielniczce.

— Czyli w ten sposób utrzymuje się przy życiu — powiedział. Na dworze poszarzało i Claude, odwróciwszy się, wszedł do kuchni. Późną nocą wybuchła kłótnia. Ze swojej sypialni Edgar słyszał tylko jej urywki. Claude powiedział, że nie mają już wyboru — jeśli zaczął gończyć za jeleniami, z pewnością sam do nich nie przyjdzie. Ojciec stwierdził, że nie ma zamiaru go zastrzelić, jeśli tylko istnieje inna możliwość. Nie widzieli powalonego jelenia. A potem dodał coś, czego Edgarowi nie udało się zrozumieć.

— A co będzie, jak wejdzie na czyjąś ziemię? — odezwała się jego matka. — Wówczas nas obarczą winą, nawet jeśli to nie nasz pies. Dobrze wiesz, że tak będzie.

Spierali się tak do późna, ich głosy przez deski podłogowe docierały przytłumione i syczące. I w końcu zapadła cisza bez porozumienia. Trzask sprężyny w drzwiach ganku. Odgłosy kroków na podjeździe. Stukot wrót stodoły wiszących na starych zawiasach.

Nazajutrz ojciec wręczył Edgarowi stalową miskę najedzenie z wywierconą w krawędzi dziurką i kawałek cienkiego łańcucha. Do miski wrzucił dwie garści grubo mielonego ziarna. Zapięli łańcuch wokół pnia dębu. Następnego dnia miska była pusta. Przenieśli ją dwadzieścia metrów bliżej, napełnili ponownie i przypięli łańcuchem do brzozy.

Okazało się, że naprawa dachu stodoły to wymarzona praca dla Clau-

de'a. Bardzo szybko dawało się zauważyć, jak okrutnie jest samotny. Po dniu spędzonym na wdrapywaniu się na drabinę i zrywaniu ze starych desek pokrytego smołowanym papierem gontu czuł się rażno i aż pogwizdywał. Czasami balansował na długim szczycie stodoły i obserwował ich, gdy pracowali przy psach. Z jednej strony zarabiał na swoje utrzymanie, z drugiej dach stodoły stanowił dla niego wygodny punkt obserwacyjny, z którego oglądał ich całe oddalone od świata małe królestwo. Spoglądając w górę, Edgar wielokrotnie widział Claude'a, który właśnie ponownie zabierał się do pracy.

Jednak gdy tylko sytuacja wymagała współdziałania Claude'a z bratem, wybuchały kłótnie, zupełnie niezrozumiałe i irytujące. Choć za każdym razem chodziło o coś innego, Edgar nabrał przekonania, że

86

87

Claude i jego ojciec nieświadomie wpadli w niepowstrzymany rytm drwiących zaczepki i odpowiedzi, skrywających aluzje nazbyt subtelne i osobiste, żeby można je rozszyfrować. Z jemu tylko znanych powodów Claude nie znosił też innych rzeczy. Podczas wspólnych rozmów wyglądał na znużonego albo jakby uczestniczył w nich z przymusu. Szukał pretekstów, żeby nie zasiadać razem z nimi do kolacji, a kiedy już musiał, siedział jak na szpilkach, jakby gotów natychmiast odejść, gdy sprawy potoczą się nie po jego myśli. W rzeczywistości jednak nigdy nie wstał od stołu. Siedział, odpowiadał na pytania półsłówkami lub skinieniem głowy, przez cały czas tylko patrząc i słuchając.

Trudno byłoby jednak powiedzieć, że nie lubi rozmawiać. Najwyraźniej wolał rozmawiać z kimś sam na sam, lubił też opowiadać o dziwnych wydarzeniach, których był świadkiem, chociaż sam rzadko występował w tych historiach. Pewnego wieczoru, kiedy Edgar nakłonił niedawno

oszczenioną sukę, by wyszła z kojca małych szczeniaków, i zajął się jej szcztokowaniem, Claude wślizgnął się do stodoły i podszedł do niego wolnym krokiem. Przykląkł i chwyciwszy ucho psa między kciuk a palec wskazujący, zaczął je głaskać.

— Twój tato miał kiedyś psa — odezwał się. — Nazwał go Forte.

Opowiadał ci o tym?

Edgar pokręcił przecząco głową.

— To było zaraz po tym, jak skończyliśmy szkołę średnią, zanim jeszcze wstąpiłem do marynarki. Twój dziadek wymyślił to imię, bo pies był naprawdę wielki. Tamten pies też był bezpański i tylko częściowo oswojony po długim czasie spędzonym w lesie. Ale to był, prawdziwy pies, rozumiesz? Takiego spryciarza nigdyśmy jeszcze nie widzieli. Mocna budowa, mocne kości, a jak był dobrze wykarmiony, ważył pod sześćdziesiąt kilo. Gdy twój dziadek zobaczył, jaki skarb mu się trafił, bez wahania wykorzystał go jako reproduktora. — Claude opowiadał, jak silny i szybki był Forte, że jego jedyną wadą była skłonność do walki, mówił też o tym, że dziadek oddał Forte'a pod opiekę ojca Edgara, ponieważ jak powiedział Claude, „pies bardzo przypominał Gara”.

Na te ostatnie słowa zaskoczony Edgar podniósł wzrok.

— Ależ tak. W dawnych czasach z twojego ojca był niezły ancymon. Wraczał pijany do domu, a czasami w ogóle nie wracał. Ci dwaj byli dla siebie stworzeni. Twój ojciec nauczył go sztuczki polegającej na tym, że kiedy zagwizdał, pies wskakiwał mu na ręce, waląc się na niego całą masą swoich sześćdziesięciu kilogramów. Jeździli do Park Falls, gdzie twój ojciec wystawiał Forte'a do walki z innym psem, a ponieważ Forte oczywiście taką walkę wygrywał, najczęściej właściciel tamtego psa wszczynał kłótnię i kończyło się na tym, że obaj, twój ojciec i pies, walczyli jeden obok drugiego. Wracali do domu zakrwawieni i nazajutrz spali

do późna, dopóki twój dziadek nie wpadł we wściekłość i nie wykopał ich z łóżka.

Edgar nigdy nie widział, żeby jego ojciec podniósł rękę w gniewie, ani na psa, ani na człowieka. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby pozwalać na walki psów. Ale Claude tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokręcił głową, jakby czytał Edgarowi w myślach.

— Trudno w to uwierzyć, prawda? Patrząc na mnie, też pewnie byś nie uwierzył, że to ja starałem się wówczas wszystko ratować, ale tak właśnie było. W każdym razie twój ojciec zakochał się w tym psie, chociaż ten w ogóle nie chciał go słuchać. Pewnego wieczoru wyciągnął mnie i samochodem pojechaliśmy z Forte'em do Dziupli. Gar wypił sporo piwa i wkrótce przyplątał się jakiś facet, który powiedział, że słyszał o Forte'em, i ani się obejrzałem, a już podskakiwaliśmy na wybojach jakieś bocznej drogi spowici kurzem wzbijanym przez pikapa tego gościa. Twój ojciec siedział za kierownicą, lawirując po drodze, co i tak nie miało większego znaczenia, ponieważ byliśmy głęboko w lesie i w okolicy nie było nikogo.

— Zatrzymujemy się przed domem tego gościa — ciągnął — jak się okazało, nędzną budą. W okolicy żadnych świateł. Twój ojciec nie wyłączy reflektorów, siedzimy tak i patrzymy, a facet idzie do szopy i chwilę później wyłazi z niej największy i najczarniejszy mastyf, jakiego w życiu widziałem. Zwierzę opiera przednie łapy o maskę samochodu i przygląda się nam, śliniąc się jak niedźwiedź. Twój ojciec pchnął drzwi od strony pasażera, otwierając je szeroko, ale Forte zauważył już tego potwora i chyba doszedł do wniosku, że nie ma z nim żadnych szans, bo aniśmy się obejrzel, a on już leży na kolanach twojego ojca. Mastyf zdejmuje łapy z maski i podchodzi do otwartych drzwi. Ponieważ ja siedzę najbliżej tamtej strony, próbuję zamknąć drzwi, ale nim zdążyłem to zrobić, łeb

mastyfa znalazł się między mną a klamką. W mgnieniu oka pies odchylił się do tyłu, a ja już nie byłem w samochodzie: włókł mnie po trawie za 89

jedną nogę. Drugą miałem wolną, tyle że bałem się, że jeśli go kopnę, wgrzyzie się w moją stopę, więc tylko krzyknąłem do twojego ojca.

— A tymczasem ten facet stoi w świetle reflektorów. Trzyma strzelbę na ramieniu i zgina się wpół ze śmiechu. Twój ojciec próbuje wysiąść z samochodu, ale jest zbyt pijany, żeby szybko się poruszać, do tego na jego kolanach leży wielki pies. W końcu wyrzuca Forte'a z auta i wyobraź sobie, pies nie zdążył jeszcze dobrze dotknąć ziemi, jak już znalazł się z powrotem w kabinie i wszystko zaczęło się od nowa. Tymczasem od dobrej chwili mastyf ciągnie mnie do swojej zagrody, żeby tam mnie pogryźć.

— Twój ojciec w końcu przestaje zmagać się z Forte'em i wypada z auta przez drzwi po stronie kierowcy, co w innej sytuacji mogłoby być nawet zabawne, aleja w tym momencie zajęty jestem wołaniem o pomoc. Twój ojciec wstaje, wyrywa facetowi z rąk strzelbę, biegnie w moją stronę i wciska lufę broni między zębra mastyf a, który jednak zupełnie na to nie zwraca uwagi. Po ponownym szturchnięciu pies w końcu go zauważa i puszcza moją nogę. Zanim zdążyłem się pozbierać, już przyparł twojego ojca do ściany szopy. Gar krzyczy: „Jak go przywołujesz? Jak go przywołujesz?”. Facet nie przestaje się śmiać. „Nie mam pojęcia!”, mówi, ale w tym momencie pies rzucił się do przodu, rozległ się huk strzelby i zanim zdążyliśmy się zorientować, co się dzieje, mastyf leżał na ziemi.

Edgar odprowadził wyszczotkowaną sukę do kojca małych szczeniaków. Powróciwszy, zastał Claude'a czekającego na niego.

— Ten gość wpadł we wściekłość — ciągnął. — Bierze strzelbę od

twojego ojca i mówi: „Zabieraj swojego psa z samochodu, inaczej zastrzelę go tam, gdzie siedzi”. I widać, że facet wcale nie żartuje. Twój ojciec idzie do pikapu i wyciąga z niego Forte'a. Trzeba go zrozumieć, był wściekły na Forte'a, że tam się kulił. Facet unosi strzelbę, ale twój ojciec mówi: „Zaczekaj”. A teraz najdziwniejsze: bierze strzelbę od faceta, robi to z łatwością. Obaj są pijani, chwieją się na nogach w światłach reflektorów. Ale zamiast przyłożyć temu facetowi i wyrzucić strzelbę w zarośla, on przywołuje do siebie Forte'a i sam do niego strzela. Zastrzelił własnego psa! A potem odrzucił strzelbę i jednym ciosem ogłuszył faceta.

Nie, na migi pokazał Edgar. Nie wierzę.

90

— Wsadziłem Forte'a na platformę pikapu i zabrałem nas stamtąd. Zakopałem go w lesie po drugiej stronie drogi. Później to ja musiałem powiedzieć twojemu dziadkowi, że Forte uciekł, bo twój ojciec nie był w stanie po pijaństwie zejść po schodach, a tym bardziej wytłumaczyć, co się stało. A poza tym zupełnie tego nie pamiętał. Musiałem mu wszystko opowiedzieć. Początkowo pytał mnie na przykład, dlaczego nie zrobił tego czy tamtego, ale wydaje mi się, że w końcu sobie przypomniał. Wysłuchał mnie, przewrócił się na drugi bok i przestał się odzywać. Prawie trzy dni stamtąd się nie ruszał, zanim w końcu mógł z kimś się zobaczyć.

Edgar pokręcił głową i precyzyjnie się obok Claude'a.

— Widzisz więc, jak to jest? — rzekł Claude do jego pleców. — On teraz nie jest w stanie tego zrobić, nawet jeśli jest to konieczne.

Almondine poszła za Edgarem do jego pokoju i razem położyli się na podłodze, przepychając się łapami i rękami. Starł się zapomnieć o tej opowieści Claude'a. Był przekonany, że nie jest prawdziwa, choć

nie wiedział, skąd ma taką pewność, ani też dlaczego Claude miałby mu coś takiego zmyślać. Kiedy Almondine znudziła się zabawą, wyjrzał przez okno. Na schodach ganku siedział Claude, zapatrzony w gwiazdy palił papierosa.

Każdego kolejnego dnia ponownie napełniali miskę i przesuwali ją coraz bliżej podwórza, początkowo o metr czy dwa, a później coraz bardziej, starając się w ten sposób zwabić bezpańskiego psa. Przynajmniej mieli nadzieję, że rzeczywiście jest to ten pies: miska zawsze była wylizana do czysta. W końcu ustawili ją tak blisko domu, że Edgar widział błysk metalu za ogrodem, jednak nazajutrz po raz pierwszy znaleźli karmę nietkniętą. Gdy przy kolacji zaproponował, żeby dodali obfitą porcję pieczeni, którą właśnie jedli, matka zaprotestowała, mówiąc, że trzeba skończyć z wyrzucaniem jedzenia ze stołu i dać sobie spokój z tą jałmużną.

Rano zauważył z pół tuzina wiewiórek, które obsiadły miskę i czarnymi paluszkami toczyły w łapkach kulki z kawałków pokarmu. Przegonił je, zabrał zbezczeszczone jedzenie i pomaszerował do warsztatu. Ojciec stał przy szafkach zajęty układaniem ksiąg hodowlanych, które wcześniej zabrał do domu.

91

Wiewiórki wyjadają z miski, na migi wyraził swoje oburzenie.

Ojciec poprawił okulary i zajrzał do naczynia.

— Zastanawiałem się, kiedy do tego dojdzie — odezwał się. — Nie ma już sensu wystawiać jedzenia. Jak już raz je znalazły, nigdy nie dadzą spokoju.

Słyszając to, Edgar poczuł wściekłą frustrację. Czy nie moglibyśmy go jakoś złapać? zapytał na migi. Zwabić do zagrody? Gdybyśmy nad nim popracowali, na pewno by się uspokoił, jestem o tym przekonany.

Mógłbym się tym zająć.

Ojciec popatrzył na niego przeciągle.

— Być może dałoby się to zrobić. Ale nawet gdybyśmy go tu zwabili, znowu by uciekł. Sam o tym wiesz. — Westchnął i przeciągnął dłonią po włosach. — Kiedy tylko pomyślę o tym psie, przychodzą mi do głowy słowa twojego dziadka. On nie cierpiał rozstawać się ze szczeniakami, wręcz nienawidził tego. Dlatego też trzymał je, dopóki nie skończyły roku. Powiadał, że większość ludzi nie ma pojęcia, jak sobie radzić ze szczeniakami, i psują psy, jeszcze zanim skończą sześć miesięcy. Pamiętam, jak pewnej nocy, usłyszawszy o nowym właścicielu, który nie dawał szczeniakowi jeść, wsiadł do samochodu, żeby pojechać tam i ukarać tego człowieka. Nazajutrz szczeniak był z powrotem w psiarni.

Nie mieli do niego o to pretensji?

Ojciec uśmiechnął się.

— Myśleli, że pies uciekł. A też nie był to pierwszy pies zabrany z powrotem. Gdyby ci ludzie wykazali zainteresowanie i skontaktowali się z dziadkiem, powiedziałałby im, że pies pojawił się tu ni z tego, ni z owego, dałby im nauczkę i być może zwróciłby psa. Najczęściej wysyłał im tylko czek i radził kupić beagle'a. W każdym razie chciałem ci powiedzieć, że on nie cierpiał wybierania nowych domów dla psów. Uważał, że to jak wróżenie z fusów. „Dowiemy się, czy dobrze zrobiliśmy, dopiero gdy one same sobie wybiorą”, mawiał.

Przecież to bez sensu.

— Też tak myślałem. Pytałem go, co ma na myśli, ale tylko wzruszał ramionami. Podejrzewam, że sam nie wiedział. Jednak teraz zastanawiam się, czy ten bezpański pies nie dokonuje właśnie takiego wyboru, o którym mówił dziadek. Mówimy o dorosłym psie, o psie, który od dawna żyje w lesie i zastanawia się, czy może nam zaufać czy nie. Czy

rzeczywiście tu jest jego miejsce. A dla niego jest to istotne: wolałby umrzeć z głodu, niż podjąć złą decyzję.

On się po prostu boi.

— Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale jest na tyle bystry, że jakby chciał, poradziłby sobie z tym.

A co będzie, jeśli przyjdzie?

— Cóż, jeśli tak wybierze, wówczas... może... będziemy mieli psa, którego warto zatrzymać. Być może nawet warto będzie włączyć go do linii hodowlanej.

Użyłbyś go jako reproduktora, gdyby tu przyszedł?

— Trudno powiedzieć. Najpierw czekałoby nas wiele pracy. Musielibyśmy poznać jego naturę. Zobaczyć, czy można go ułożyć. Poznać go. Ale to nie jest jeden z naszych psów.

— A jak sądzisz, Edgarze, w jaki sposób doszło do tego, że nasze psy stały się naszymi psami? — zapytał ojciec, uśmiechając się szelmowsko. — Twój dziadek nie zwracał uwagi na rasę. Był zdania, że gdzieś tam istnieje jakiś lepszy pies. Przekonany był natomiast, że na pewno nie znajdzie takiego na wystawie, i dlatego przez większość życia rozmawiał z ludźmi o psach. Gdy tylko jakiś pies mu się spodobał... i nie miało znaczenia, czy widywał go na co dzień, czy usłyszał, że taki jest na drugim końcu stanu... dobijał targu, żeby go skrzyżować ze swoją linią hodowlaną w zamian za jednego szczeniaka z miotu. Od czasu do czasu nie cofał się też przed oszustwem.

Oszustwem? Co masz na myśli?

Ojciec nie udzielił mu odpowiedzi, odwrócił się tylko do szafy na dokumenty i zaczął wodzić palcami po księgach.

— Może innym razem. Twój dziadek skończył z tym, kiedy byłem

jeszcze dzieckiem, chociaż dokładnie pamiętam, że wówczas pojawił się u nas nowy pies, a może dwa. W każdym razie chciałem powiedzieć, że musimy uzbroić się w cierpliwość. Ten pies sam musi zdecydować, czego chce.

Edgar skinął głową, jakby się z nim zgadzał. Ale słowa ojca nasuwały mu pewien pomysł.

Tego wieczoru wyniósł na ganek śpiwór oraz latarkę i książkę. Kiedy już rozwiązał i rozłożył śpiwór przed pokrytymi siatką przeciw owa-

93

dom drzwiami i ułożył się do czytania, Almondine wcisnęła się w wąską przestrzeń między Edgarem a drzwiami. Szturchnął ją w bok, wybierając miejsce, w którym miała łaskotki, więc podniosła się, mrużąc ostentacyjnie, przekroczyła jego ciało i ponownie się położyła, tym razem przykrywając mu twarz ogonem.

Dobra, rozumiem, pokazał na migi zirytowany, ale z uśmiechem na ustach. Zmusił ją, aby się podniosła, tym razem delikatniej, wkładając jej dłonie pod brzuch, i przesunął śpiwór. Kiedy już się ułożyli, oboje wygodnie mogli wyglądać przez siatkę w drzwiach, chociaż Edgar musiał wyciągać szyję, by dostrzec miejsce za ogrodem, gdzie stała miska. Almondine oparła łeb na łapach i z zadowoleniem dyszała, obserwując Edgara brązowymi plamiastymi oczami. Przeciągnął palcami po miękkiej sierści na jej uszach, potem po grzywie, i wkrótce leniwie zamknęła oczy, a oddech stał się głębszy. Patrzył na nią, kręcąc głową. Potrafiła być tak impulsywna, ale gdy wszystko układało się po jej myśli, była delikatna i przychylna, emanująca jakąś pewnością, że wszystko na świecie jest w jak najlepszym porządku. Po chwili wsparł się na łokciach. W blasku latarki przekartkował Księgę dżungli, aż znalazł fragment, który tego dnia wielokrotnie do

niego powracał.

Mowgli wyciągnął brązową krzepką rękę i tuż pod jedwabistym podbródkiem Bagheery, gdzie olbrzymiefalujące muskuły kryły się za osłoną gładkiego owłosienia, namacał skrawek skóry całkowicie wyliniały.

— W całej dżungli nikt nie wie, że ja, Bagheera, noszę to piętno... ten ślad obroży. A przecie, Mały Bracie, jam urodziła się między ludźmi i moja matka zmarła pomiędzy ludźmi... w królewskim zwierzyńcu w Udajpurze. To było powodem, że zapłaciłam okup za ciebie na Wiecu Wilczej Gromady, gdy byłeś malutkim голуśkim szczeniakiem. Tak jest, ja także urodziłam się pomiędzy ludźmi. Wówczas to ani razu nie widziałam dżungli; poprzez kraty podawano mi jadło na żelaznej misie. Pewnej nocy poczułam, że jestem panterą — Bagheerą — a nie zabawką ludzką. Jednym ciosem łapy skruszyłam słabą kratę i uciekłam... a ponieważ nauczyłam się ludzkich fortelów, stałam się większym postrachem dżungli niżli Shere Khan.

Nie jest że to prawdą?

— Tak jest — odpowiedział Mowgli. — Cała dżungla boi się Bagheery... wyjątkiem jest tylko Mowgli.

Wyłączył latarkę i położył głowę obok łba Almondine. Zastanawiał się, czy podobnie nie było z tym bezpańskim psem, czy po jakimś strasznym doświadczeniu nie nabrał przekonania, że nie jest ludzką zabawką, czy też rzeczywiście było to jakieś połączenie przestachu i obłędu, jak sugerował Claude. Telewizor ucichł i Claude udał się na górę. Matka wychyliła się przez drzwi.

— Dobranoc, Edgarze — powiedziała.

Dobranoc, odpowiedział na migi z nadzieją, że sprawia wrażenie

sennego. Czuł, że matka stara się ocenić sytuację na ganku.

— Co robisz?

Na górze jest gorąco. Wolimy spać tutaj, bo tu trochę wieje.

Kiedy dom od dłuższego czasu tonął w ciszy, a on nie mógł już tego wytrzymać, usiadł, otworzył drzwi i wyslizgnął się na dwór. Almondine ruszyła za nim, lecz Edgar zamknął jej drzwi przed nosem. Czasami potrafiła je otworzyć, chwytając zasuwkę pazurami od dołu — ale tym razem tak długo patrzył jej w oczy, aż w końcu zrozumiała i uspokoiła się. Podeszedł do klombu pod kuchennym oknem, zabrał stamtąd ukryty między zielonymi pasmami irysów worek na chleb, przeszedł przez ogród i wysypał do miski karmę, którą wcześniej napełnił górną część worka. Na koniec usiadł na schodkach ganku i czekał oparty o krzyżak w drzwiach. Po chwili jego wzrok powędrował w stronę gwiazd.

Obudziła go Almondine, ochryple sapiąca w jego bark zza drzwi z siatką. Podwórze tonęło w powodzi księżycowego światła. W pierwszej chwili nie potrafił skojarzyć, jak tu się znalazł. Wodził wzrokiem po sznurze do bielizny, ciągnącym się od domu i ginącym gdzieś w cieniu klonu. Z tej zadumy wytrąciło go dopiero grzechotanie karmy po stalowej misce. Wyprostował się gwałtownie. Za polem obsadzonym wspartymi o paliki sadzonkami bezpieczeństwa pies, z piersią srebrzącą się w świetle księżycy, łakomie wyjadał zawartość miski wpatrzony w Edgara.

Edgar powolutku podniósł się, zaniósł ciężki zimny worek w cień klonu i przyklęknął. Z otwartego worka uniosła się trącaca żelazem woń

94

95

krwi — mielona wołowina, po południu skradziona z zamrażarki. Utoczył w dłoni kulkę mięsa i cichutko zagwizdał. Pies uniosł łeb, spojrzał na Edgara. Po chwili odwrócił się z powrotem do miski, wylizał resztki

karmy i stanął na trzech nogach, czwartą, tylną, drapiąc się po piersi. Edgar opuścił dłoń i od dołu rzucił kulkę mięsa, tak jak robił ojciec na leśnej ścieżce. Blade zwierciadła psich oczu rozbłysły. Pies wyszedł z zarośli i zaczął węszyć w nocnym powietrzu. Kolejny kawałek mielonej wołowiny przeciął powietrze i zaszeleścił liśćmi pomidorów. Zwierzę zaczęło ostrożnie przechodzić między rzędami pnączy, sadzonek i trzydziestocentymetrowymi łodygami kukurydzy, zatrzymując się najpierw przy pierwszym darze, a potem przy następnym.

Edgar podzielił pozostałe mięso na dwie tłuste bryły. Pierwsza wylądowała w połowie drogi między nimi, w odległości najwyżej dziesięciu metrów. Pies podszedł do niej, obwąchał i jednym kłapięciem połknął mięso, po czym uniósł łeb i oblizał pysk. Edgar trzymał w dłoniach ostatni kawałek mięsa. Przez dłuższą chwilę obaj stali nieruchomo. Edgar nachylił się i położył mięso na trawie. Pies zbliżył się, wziął mięso, przełknął je i stał przed Edgarem, dysząc i patrząc na niego. Czoło przecinało mu rozcięcie zmierzwionego futra, a z sierści wystawały rzepy. Kiedy Edgar wyciągnął przed siebie rękę, pies ostrożnie podszedł do niego i w końcu zlizął krew i tłuszcz z jego palców. Edgar przesunął wolną ręką po kryzie psa. Wiedział, że można go zupełnie oblaskawić. Nie tej nocy oczywiście, ale taka możliwość istniała. Pies nie był oblakany. I nie stracił jeszcze całego zaufania do ludzi. Po prostu był niezdecydowany. On ich obserwował, lecz to co zobaczył, wciąż jeszcze nie wystarczało, żeby mógł wybrać, czy ma zostać czy odejść. Tak jak sądził ojciec.

Kiedy Edgar zastanawiał się, co powinien teraz zrobić, dosłyszał skowyt Almondine skaczącej na drzwi ganku. Bezpański pies czterema susami przeciął ogród i zniknął. Zanim Edgar zdążył dotrzeć na ganek, jeden z psów w stodole przecisnął się na swój wybieg, głośno ujadając,

a za nim podążał już drugi. Edgar kazał Almondine siedzieć cicho i odwrócił się w stronę psiarni.

Spokój, polecił na migi.

Psy przestały ujadać i ziewnęły, ale dopiero po prawie dziesięciu minutach przestały wiercić się w miejscu i ponownie się położyły.

Kiedy nazajutrz otworzył oczy, tuż przed schodkami ganku dostrzegł brudnobiałe żłobkowane kółko. Usiadł na śpiworze i przetarł oczy. Leżący przedmiot przypominał filtr do kawy — rozmiękły papierowy filtr do kawy z brunatnymi plamami. Wstał, żeby to sprawdzić, Almondine jednak była szybsza, precyzyjnie się obok niego i ku jego zaskoczeniu, nasikała na to. Następnie z nosem opuszczonym do ziemi zniknęła za narożnikiem domu.

Na podwórzu przed domem leżał plastikowy worek na śmieci, wyraźnie rozszarpany zębami, a dookoła wałała się jego zawartość — puste puszki po zupach, pudełko po płatkach śniadaniowych, kawałki opakowań, gazety, karton po mleku. Kiedy pochylił się i przyjrzał gazecie, zauważył krzyżówkę, a w niej własne pismo. Gazeta pochodziła sprzed trzech dni. Na śmietnik wyrzucili ją wczoraj.

Przy śniadaniu dyskutowali, w jaki sposób znalazły się tam te śmieci. Claude sądził, że to psikus pijanych smarkaczy. Trudi pierwsza doszła do wniosku, że musiał to zrobić ten bezpański pies. Wysypisko znajdowało się jakieś ćwierć mili dalej wzdłuż drogi Town Line, przy wąskiej gruntowej drodze kończącej się w półkolistej przyźnie śmieci oraz wraków kuchenek i lodówek.

— Na Boga, po cóż miałby ciągnąć tu ten cały śmietnik aż z wysypiska? — zapytał Claude.

Matka wyglądała na zamyśloną.

— Może aportuje? — powiedziała.

— Aportuje? Ale dlaczego?

— Nie wiem — odparła. — Z wdzięczności za jedzenie? Może myśli: „Popatrz, chyba coś zgubiłeś, myślałem, że może ci się to jeszcze przydać”.

Miała rację, o czym Edgar wiedział od razu, choć tylko on w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co znaczyły te wysiłki psa. Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć im o wydarzeniach ubiegłej nocy, lecz wówczas musiałby też wyjaśnić zniknięcie pół kilograma mielonej wołowiny.

Nazajutrz na podwórzu przed domem znalazły się jego dawno wyrzucone dzinsy, starannie porozkładane, jakby chłopiec przed chwilą z nich wyparował. Następnego ranka pojedyncza tenisówka, szara i pomięta. Ojciec śmiał się, natomiast Claude nie ukrywał złości. Gniewnym krokiem ruszył do pracy na dachu.

96

97

— Wyobraź sobie, że pies rozrzucił śmieci po salonie — powiedziała matka Edgarowi, gdy ją o to zapytał. — Claude właśnie tak to odbiera. Dla niego ten pies jest winny naruszenia cudzej własności.

Kiedy w końcu pies, prawdopodobnie zauważywszy, że jego wysiłki są niedoceniane, przestał przynosić swoje podarki, Claude zaczął już forsować swój pomysł. Wybuchwały zaciekle spory, Claude stanowczo opowiadał się za zastrzeleniem psa, Gar nieugięcie odmawiał. Matka próbowała ich pogodzić, ale również ona uważała, że psem należy się zająć. Kiedy dwie noce później w psiarni podniósł się rwetes, całą czwórką musieli wybiec w piżamach na dwór i uspokajać psy. Nie zauważyli niczego dziwnego. Zdaniem Claude'a sprawa była jasna. Bezpański pies próbował się wdrapać do jednej z zagród. Na myśl o tym Edgara ogarnęły autentyczne obawy. Nie chciał, żeby psa złapano, jeśli miało

to oznaczać wywiezienie go gdzieś samochodem. Tyle że jeśli zrobi się jeszcze bardziej zuchwały, z pewnością wydarzy się coś złego.

Był też jeszcze jeden problem: otóż Edgar zaczął się zastanawiać nad imieniem. Nic na to nie mógł poradzić, w końcu takie miał zadanie, nawet jeśli zdawał sobie sprawę z niefortunności tego pomysłu. I tylko jedno imię wydawało mu się odpowiednie. Miał wrażenie, że powrócił ten pierwszy Forte.

W sobotę rodzice zabrali trójkę roczniaków do Phillips na odbywający się tam festyn Dni Epoki Lodowcowej, żeby psy oswoiły się z tłumem. Początkowo Claude zamierzał wybrać się z nimi, jednak później postanowił kontynuować pracę na stodole, wykorzystując okres dobrej pogody.

Edgar i Almondine przez całe rano zajmowali się trzymiesięcznymi szczeniakami. Po ćwiczeniach szalonego chodzenia przy nodze, które nauczyły je, że ludzie są nieprzewidywalni i należy ich obserwować, Edgar kazał im stanąć w miejscu i zaczął rzucać piłkę do Almondine. Doskonale wykonywała ćwiczenia, które miały rozpraszać uwagę szczeniaków, i z zapałem połykała nagrody, rzucając łbem w obie strony. Kiedy szczeniaki grzecznie nie ruszyły się z miejsca, Edgar policzył do dziesięciu i ruchem ręki zakończył ćwiczenie, a one zaczęły jak oszalałe przepychać się jeden przez drugiego. Co jakiś czas Claude wspinał się na kalenicę stodoły i siedział na górze, połyskując śliskimi od potu brązowymi plecami.

Po lunchu Edgar zasnął na kanapie przy oglądaniu telewizji i czytaniu. Gdzieś w oddali słyszał, jak Claude wchodzi do domu i po chwili ponownie wychodzi, ale nie zwracał na to uwagi. Kiedy się obudził, jabłonie kołysały się targane wiatrem. Na dworze znalazł Almondine, która stała przy silosie i z opuszczonym ogonem wpatrywała się w zachodnią część pola.

Na łące pasły się dwa jelenie i jelonek, w oddali rysowały się ich ciemnobrązowe figurki. W pewnej odległości od nich czaił się ustawiony z wiatrem nieruchomy Forte. Z kolei Claude ulokował się z wiatrem w stosunku do Forte'a, w pobliżu ściany lasu smaganej podmuchami wiatru. W jego rękach spoczywała długa czarna strzelba.

Jelenie machnęły niespokojnie ogonami i pobiegły wzdłuż lasu.

Forte z nisko opuszczonymi biodrami potruchtał za nimi, ale nie zaatakował jeleni, tylko chyłkiem wskoczył między drzewa i zniknął. Gdy jelenie stanęły i zaczęły się paść, również Claude skrył się w lesie, tak powoli stawiając kroki, że Edgar ledwo dostrzegał jego ruchy.

Odwróciwszy się, nakazał Almondine wrócić na ganek, po czym zamknął za nią drzwi i puścił się pędem w kierunku ścieżki za ogrodem. W połowie pola, przy stercie głazów, ścieżka zakręcała wokół kępy dereni i tam znalazł Claude'a stojącego na polance i patrzącego znad wzniesionej lufy strzelby. Na samym skraju lasu, w odległości niecałych trzydziestu metrów, stał Forte. Edgar nie widział psa w dziennym świetle od tamtego spotkania pod starym dębem. Spod sierści wystawały mu żebra, a brzuch wznosił się stromym łukiem w stronę kręgosłupa. Uszy nastawił do przodu i widać było, jak szybko i głęboko oddycha.

Edgar podszedł do Claude'a i położył dłoń na łożu strzelby. Claude odtrącił drobną rękę Edgara.

— Zjeżdżaj stąd — mruknął. — Zjeżdżaj do domu.

On już dwa razy prawie do nas przyszedł, pokazał na migi, zdając sobie sprawę, że w najlepszym wypadku Claude może jedynie z grubsza go zrozumieć. Ten pies ich nie złapie, nie jest w stanie sam tego zrobić.

Ponownie wyciągnął rękę do strzelby. Tym razem Claude odwrócił się i złapał go za koszulę z przodu, a Edgar poczuł, że traci równowagę

i lada moment upadnie na plecy w suche liście i zarośla. Starał się zachować równowagę, jednocześnie licząc na to, że narobi dość hałasu, żeby

98

99

zwrócić uwagę Forte'a. Ale między wierzchołkami drzew szalał wiatr, a bezpański pies pochłonięty był obserwowaniem ruchów jelonka.

Edgar nie słyszał nadejścia Almondine. Nagle tuż obok niego rozległo się ciężkie sapanie i wyrosła jak spod ziemi, ziejąc wściekłością, z oczami utkwionymi w bezpańskim psie.

Edgar przesunął dłonią przed jej oczami.

Zostań.

Zauważyła, że Edgar chce wydać jej polecenie, i próbowała uciec wzrokiem, ale udało mu się przyciągnąć jej uwagę i powtórzył rozkaz. Posłusznie usiadła. Kiedy się odwrócił, Claude właśnie opierał strzelbę o ramię. Edgar widział palec pociągający za spust, lecz nic się nie wydarzyło, nie było ani odrzutu broni, ani huk. Claude nerwowo przesunął dłonią po łożu w poszukiwaniu bezpiecznika.

Już kiedy były szczeniakami, psy Sawtelle'ów uczono, że „zostań” oznacza nie tylko pozostanie nieruchomo, ale też cicho — że skomlenie i szczekanie także są formą nieposłuszeństwa. Dlatego Almondine posłusznie wykonała polecenie.

Edgar odwrócił się do niej i dotknął dłonią swojej skroni.

Patrz na mnie.

Wielki łeb obrócił się w jego stronę.

Biegnij.

Zamierzał złapać ją, nim suka się ruszy, lecz nie zdążył jeszcze dokończyć wydawanego gestem polecenia, jak jej zad podniósł się z ziemi. Mógł tylko rzucić się i zacisnąć palce na śródstopiu jej tylnych łap.

Z głośnym skowytym upadła jak długa na ścieżce.

Jednak to wystarczyło, żeby Claude odwrócił wzrok od przyrzędów celowniczych strzelby. Chwilę później Almondine znowu była na nogach i posuwając się do przodu, powoli ciągnęła Edgara po ścieżce. W końcu udało mu się znaleźć przed nią i chwyciwszy jej pysk w dłoń, zmusić ją, by spojrzała mu w oczy.

Daj głos, nakazał gestem.

Almondine natychmiast zaczęła ujadać.

Tym razem Forte nie mógł pomylić dźwięków docierających z tyłu z wiatrem. Jednym ruchem odwrócił się i dostrzegłszy ich, odskoczył. Claude przesuwając strzelbę w ślad za uciekającym psem, ale mógł tylko mierzyć do kołyszących się gałęzi.

Almondine już była daleko, sadząc susami po ścieżce, zanim Edgar zdał sobie sprawę, że popuścił chwyt na jej obroży. Przebiegła przed Claude'em. Na moment lufa strzelby opadła i powędrowała w ślad za nią, a po chwili, nie zatrzymując się, Claude odwrócił się w stronę pola i strzelił w mniejszego jelenia, który właśnie wyciągał szyję i z szeroko otwartymi oczami gotował się do ucieczki. Drugi jeleni zaryczał wysokim głosem, wykonał trzy zwinne skoki i zniknął w lesie, a tuż za nim pognął jelonek.

Edgar przedarł się na pole. Leżąca na ziemi łania wierzgała w konwulsjach. Krew łukiem płynęła z rany na jej szyi. Zwierzę przewróciło oczami i spojrzało na niego. Idący obok Edgara Claude opuścił lufę strzelby w kierunku piersi zwierzęcia i pociągnął za spust. Jeszcze zanim wybrzmiał powracający od wzgórz huk, Claude odwrócił się i ruszył w stronę domu ze strzelbą wiszącą wzdłuż nogi jak kawałek patyka.

Edgar stał przez dłuższą chwilę i patrzył na jelenia — na brunatną skórę, na uszy z czarnymi koniuszkami. Po chwili szkarłatna krew

przestała sączyć się z ran. Na skraju pola pojawiła się Almondine, dysząc ciężko. Podbiegła w jego stronę, ale w pewnym momencie znieruchomiała i powoli, krok po kroku, zbliżyła się do leżącego zwierzęcia. W głowie Edgara bezustannie przewijał się obraz tej chwili, kiedy Almondine przesuwała się przed lufą strzelby.

Chodźmy, pokazał. Zostaw to.

Po drodze spotkali Claude'a wracającego na pole i niosącego ze sobą myśliwski nóż i łopatę.

— Zaczekaj — rzekł Claude.

Edgar stanął na moment, po czym ruszył dalej.

— Zrobisz, jak chcesz, ale musisz szybko podjąć decyzję — powiedział do jego pleców Claude. — Możemy sobie nawzajem pomóc, ale to od ciebie zależy.

Cały wieczór spędził z Almondine w stodole, czesząc psy, aż ręce go rozboleły. Claude raz do niego zajrzał, lecz Edgar odwrócił się do niego plecami. Słońce już zaszło i na niebie rozbłyły pierwsze gwiazdy, kiedy na podjazd wjechał pikap.

Z dolnego konaru klonu zwisało, przywiązane za tylną nogę, martwe ciało jelenia. Ojciec zaczął zadawać pytania, nim jeszcze wysiadł

100

101

z samochodu. Claude wyszedł im na spotkanie. Forte w końcu dorwał jelenia, powiedział. Widział to z dachu stodoły, zanim jednak zdążył wziąć strzelbę, jelen leżał już na ziemi, a bezpański pies dobierał się do niego, więc Claude tylko strzelił, żeby go odstraszyć.

— Łania jeszcze żyła, ale była mocno pokiereszowana. Nie miałem wyboru, trzeba było ją zastrzelić. Nie chciałem jej tam zostawiać, więc oporządziłem ją i przywiozłem tutaj, oddawszy obgryzioną przez psa

nogę — powiedział.

To kłamstwo nie zaskoczyło Edgara, zdziwiło go jednak następne.

Spodziewał się, że Claude wróci do starej kłótni i będzie nalegał, żeby Forte'a zwabić i zastrzelić lub otruć. I tym razem najprawdopodobniej wygrałby spór. A tu Claude nieoczekiwanie stwierdził, że powinni dać sobie spokój z Forte'em.

— Jeśli chodzi o tego psa — rzekł — nie sędzę, żebym go trafił, ale jestem przekonany, że napędziłem mu niezłego stracha. Zwiewał tak szybko, że nawet nie zdążyłem drugi raz przymierzyć. Już go tu nie zobaczymy.

Mówiąc to, patrzył na Edgara, który w pierwszej chwili nie rozumiał, o co mu chodzi. Trudi zauważyła spojrzenie Claude'a i zwróciła się do syna.

— A gdzie ty wtedy byłeś? — zapytała.

W świetle lampy na ganku muchy kreśliły cienie na martwym ciele jelenia. Również ojciec odwrócił się w stronę Edgara. Twarz stojącego z tyłu między nimi Claude'a wyrażała rosnącą pewność siebie. Kąciki ust ułożyły się w uśmiech.

Claude dawał Edgarowi możliwość wyboru, a Edgar to dostrzegał.

Ta cała opowieść o przegonieniu Forte'a służyła jedynie wyraźnemu przedstawieniu warunków umowy. Claude proponował, że zapomni o bezpańskim psie, zostawi go w spokoju. Ceną miało być milczenie. Edgar spojrział na zwłoki jelenia i przeniósł wzrok na rodziców.

Spałem w salonie, pokazał na migi. Nic nie widziałem.

Jeśli rzeczywiście zawarli tamtego wieczoru umowę z Claude'em, na zawsze miała pozostać niewypowiedziana. Claude już nigdy więcej nie proponował, żeby poszukać i zabić Forte'a, a Edgar nie wyjawiał ojcu prawdy o jeleniu. Jeśli mógł zrobić to dyskretnie, Edgar napełniał sta-

lową miskę karmą i stawiał ją w ogrodzie. Rano znajdował ją pustą, jednak nie miał pojęcia, czy to Forte wylizał ją do czysta czy też splądrowały ją wiewiórki.

Pewnego wieczoru, tuż po zachodzie słońca, gdy przez rozciągnięte chwile całe światło pozostaje zamknięte w niebie, idąc przez trawnik dostrzegł Forte'a patrzącego z drugiej strony ogrodu. Edgar zatrzymał się w nadziei, że pies w końcu przybiegnie na podwórze, lecz on tylko powoli się wycofał. Edgar wrócił do stodoły. Nappełnił stalową miskę karmą i ruszył starannie opielonymi zagonami groszku pachnącego, kukurydzy i kantalupy, aż znalazł się o krok od psa. Ale nawet wówczas Forte nie chciał do niego podejść. W końcu zatem Edgar zrobił ten ostatni krok, wychodząc z ogrodu i wkraczając na dziką trawę porastającą skraj lasu. I tam Forte, dygocząc, zjadł karmę z ręki Edgara, a później pozwolił mu położyć dłoń na swoim barku. W ten sposób zrodził się rytuał, który miał trwać przez całe lato aż do jesieni. Czasami mijał tydzień, zanim bezpański pies ponownie się pojawił. Edgar wynosił jedzenie, a kiedy pies jadł, czyścił mu sierść z rzepów. Edgarowi nigdy nie udało się dokończyć tej czynności, bo Forte zawsze wcześniej zaczynał dyszeć, odwracał się i odchodził na skraj lasu, gdzie układał się do snu, błyskając oczami odbijającymi światła domu. A jeśli Edgar starał się zbliżyć do niego, wstawał, wykonywał gwałtowny zwrot i truchtał do lasu, nawet na moment nie zatrzymując się, żeby spojrzeć za siebie czy wydać jakiś dźwięk.

102

Miot

Tego dnia obudził się w pustej sypialni, jak przez mgłę przypominając sobie obraz Almondine wyskakującej z łóżka w szarym świetle poranka. Miał zamiar pójść w jej ślady, ale jeszcze się położył, gdy zaś ponownie

otworzył oczy, słońce świeciło jasno, a zasłony wydęte do wnętrza pokoju jak żagiel niosły ze sobą podwojoną echem kanonadę uderzeń młotka — to Claude pracował na dachu stodoły od strony pola. Edgar odrzucił kołdrę, ubrał się i zszedł po schodach z tenisówkami w ręce. Almondine leżała wyciągnięta w jasnym prostokącie światła na ganku. Ojciec i matka przy kuchennym stole wymieniali się stronami czasopisma „Mellen Weekly Record”. Poranne prace domowe zostały już zakończone i dwa psy z psiarni, na które tym razem wypadła kolej spędzenia nocy w domu, wróciły do swoich kojców.

Edgar jadł tost na ganku, patrząc na pola. Almondine przewróciła się na grzbiet, rozwalona jak rozleniwiony krokodyl, i wlepiała wzrok w jego talerz. Spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się.

Przykro mi, pokazał na migi, przeżuwając jedzenie.

Almondine zwilżyła pysk językiem i przełknęła ślinę.

— Edgarze, kiedy kończycie szkołę? — dobiegł go głos ojca z kuchni.

Edgar przyjrzał się ostatniemu kawałeczkowi tostu. Krawędzie pokryte masłem, na wierzchu sterta malinowego dżemu. Odgryzł kawałek skórki i cmoknął. Almondine uniosła się nieco na grzbiecie, żeby lepiej się przyjrzeć. Starym zwyczajem wyciągnął dłoń z tostem, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym tak, że jej wąsy muskały mu dłoń. Podniosła się na łapy i obwąchała podarek, udając niezdecydo-

104
wanie, niby to zastanowienie, po czym delikatnie chwyciła tost małymi przednimi zębami i wyjęła z jego dłoni.

Edgar wszedł do kuchni i odstawił talerz na stół.

W piątek jest ostatni dzień, pokazał na migi.

— Przyjrzałem się dzisiaj rano Iris. Już bardzo nisko nosi szczenia-

ki — odezwał się ojciec. Edgar zauważył, że przygląda mu się poważnym wzrokiem. Czyżby pojawił się jakiś problem? Czy jest jeszcze za wcześnie dla Iris? Próbował przypomnieć sobie, czy poprzedniego dnia ją czesał, czy w ogóle jej dotykał. — A co byś powiedział na to, żeby to był twój miot?

Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie słów ojca. Zamrugał i spojrzał w stronę stodoły. Linie biegnące przez czerwone deskowanie stodoły pulsowały z powodu fali w szybie okna ganku.

— Odbierzesz poród. Będę przy tobie, ale to będzie twój obowiązek. A potem będziesz zajmował się szczeniakami — rzekł ojciec. — Codziennie. Jeśli któryś się rozchoruje, ty się nim zaopiekujesz, obojętne, czy ci się to podoba czy nie. I zajmiesz się tresurą, wszystkim, aż po umieszczenie ich w nowych domach, nawet już po rozpoczęciu roku szkolnego.

Edgar skinął głową. Uśmiechał się głupio, lecz jakoś nie potrafił zachować powagi.

— Z moją pomocą — odezwała się matka. — Jeśli będziesz chciał. Roześmiała się cicho, dotknęła jego ręki i usiadła. Ojciec trzymał na kolanach złożoną gazetę. Sprawiali wrażenie ogromnie zadowolonych, a on nagle zrozumiał, że już od dawna o tym rozmawiali, obserwowali go, starając się ocenić, czyj miot może być dla niego najlepszy. Nigdy o nic takiego nie prosił. Z reguły to ojciec nadzorował nowo narodzone szczeniaki. Kiedy już podrosły, przechodziły pod opiekę Trudi. Ona zajmowała się tresurą, a ojciec szukał dla nich nowych domów. Już teraz Edgar miał mnóstwo obowiązków w psiarni, pomagając i ojcu, i matce. Dawał psom jedzenie i wodę, czyścił ich zagrody, a także je czesał, co było jego specjalnością. Pomagał też przy tresurze, prowadząc szczeniaki podczas ćwiczeń szalonego chodzenia przy nodze, ucząc je zwracania uwagi, na co on patrzy, albo odwracając ich uwagę, kiedy matka chcia-

ła je na to uodpornić. Ale teraz sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Oni chcieli, żeby Edgar zajął się wszystkimi szczeniakami z jednego miotu, od narodzin aż do momentu opuszczenia przez nie psiarni.

105

— Przy odrobinie szczęścia Iris może się oszczeniść dopiero po zakończeniu szkoły — powiedział ojciec. — Ale musimy mieć ją na oku. Nigdy nic nie wiadomo. — Wziął do ręki gazetę, złożył ją na pół i obrzucił Edgara spojrzeniem. — Rzeczywiście wyglądasz, jakbyś zaraz miał mieć szczeniaki — dodał.

Edgar wybuchnął śmiechem. Almondine przysła z ganku sprawdzić, co tu się dzieje, i z położonymi po sobie uszami wachlowała się ogonem. Obeszła stół dookoła, wciskając nos w ich dłonie.

Dziękuję, pokazał na migi Edgar. Opuścił ręce i ponownie je uniósł, ale ponieważ nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć, na powrót je zwiesił. Podeszedł do lodówki, nalał sobie mleka do szklanki i wypił je, nie zamykając drzwi. Z głębi lodówki wyjął opakowanie serowych przekąsek. Jeden smażony serek zjadł na oczach rodziców, a pozostałe ukrył w dłoni i wyszedł na olśniewające światło letniego dnia.

Znajdujące się na końcu stodoły i otoczone ścianami z grubych desek pomieszczenie z kojcami małych szczeniaków były najcieplejszym, najciemniejszym i najcichszym miejscem w całej psiarni. Drewno ścian cuchnęło odorem narodzin: krwią, łożyskiem, mlekiem, potem. Kojce były dwa razy mniejsze od normalnych, bez wyjścia na dwór, aby utrzymać stałą temperaturę. Ojciec musiał chodzić zgarbiony pod obniżonym sufitem. Słabe żarówki rzucały blade światło, w którym oczy szczeniaków migotały, a w każdym kojcu wisiał staromodny termometr ścienny — jeden na tle butelki pepsi-coli, drugi z niebiesko-białą etykietą oleju Valvoline, na obu czarna kreska zaznaczała dwadzieścia siedem stopni.

Wiszący w przejściu zegar ścienny na baterie cichutko tykał, przesu-
wając sekundową wskazówkę.

Pierwszy kojec zajmowała suka z miesięcznym miotem, jej szcze-
niaki wyrosły dopiero na tyle, żeby wymykać się z boks, w którym się
oszczeniła. Przewracały się jeden przez drugiego i przeciskały płaskie
czarne pyszczki przez druty, skubiąc palce Edgara, żeby zaraz po chwi-
li, bez żadnego widocznego powodu, przestraszone gramolić się z po-
wrotem.

Iris leżała w najdalszym kojcu, dysząc cicho, tyłem odwrócona do
przygotowanego dla niej w kącie boks. Edgar przykląkł przy niej, a ona
przesunęła językiem po jego nadgarstku. Jedną dłoń położył na rozgrza-
nym naleśniku jej brzucha, w drugiej pojawił się smażony serek. Iris
zlizwała przysmak z dłoni Edgara, następnie obwąchała dotykane przez
niego miejsce na brzuchu.

Już niedługo czeka cię ciężka praca, pokazał jej na migi. Chyba
o tym wiesz, prawda?

Iris przełknęła i popatrzyła na niego wilgotnymi w jaskiniowym
świetle oczami. Sięgnął do kieszeni i podał jej kolejny kawałek serka.
Śniło mu się, że gdzieś pędzi, głośno tupiąc i ciężko oddychając. W tych
snach zawsze dobiegał za późno. Trzeciej nocy obudził się ogarnięty
niepokojem, gotów biec i sprawdzić, co się dzieje u Iris, dopiero przy
drzwiach kuchennych zreflektował się, że to nie jest najlepszy pomysł.
Przy śniadaniu obrał jajko, a później wraz z ojcem udali się do stodo-
ły. Miał już przeciwioną wymówkę, żeby nie iść do szkoły, lecz ojciec,
nim jeszcze dotknął Iris, stwierdził:

— Jeszcze nie dzisiaj.

Edgar przykucnął, pogłaskał sukę po pysku, podzielił jajko na ka-
wałki i kiedy ją nimi karmił, ojciec tłumaczył, skąd o tym wie.

— Spójrz na jej oczy — powiedział. — Czy łzawią? Czy Iris kręci się w kółko? — Obmacał krzywiznę wielkiego brzucha Iris, jej zad, przyjrzał się jej dziąsłom, zmierzył temperaturę. Wszystko potrafił wytłumaczyć, ale w rzeczywistości Edgar podejrzewał, że ojciec po prostu to wie, choć może nie potrafiłby powiedzieć skąd. Przejrzeli historię porodów Iris: pierwszy miot sześciu szczeniaków urodziła sześćdziesiątego drugiego dnia, następnych pięć szczeniaków w sześćdziesiątym czwartym dniu. Sześćdziesiąty drugi dzień wypadł w piątek.

Na koniec Edgar założył Iris obrozę, przypiął smycz i pozwolił jej poprowadzić się na spacer, tam gdzie sama chciała. Ruszyła w stronę wysokiej trawy za stodołą, potem skierowała się na koniec sadu, do jabłoni rosnących nad Wolf River. Idąc, stawiała tylne łapy na boki jak kaczka. Kiedy Almondine, poważna i pełna szacunku, zbliżyła się do niej, Iris zatrzymała się i stanęła do przeglądu.

Zrozpaczony Edgar wszedł do szkolnego autobusu. Dziesięć tysięcy godzin później ten sam autobus ponownie zatrzymał się przed podjazdem ich domu. Otwierając drzwi do kojca małych szczeniaków, miał wrażenie, że nieomal unosi się w stanie nieważkości. Rozdęta Iris leżała samotnie. Spała. W piątek ledwie zauważył, że to ostatni dzień szkoły. Po prostu mijał kolejny dzień, w którym z pewnością Iris się oszczeni pod jego nieobecność w domu.

Kiedy zajrzał do niej w sobotę, zobaczył, że podściółka w boksie zgarbięta jest w stos. Tym razem Iris nie leżała w swojej ciężowej pozie, tylko chodziła, sapiąc. Ociężałym krokiem podeszła do Edgara. Gdy wyszli na zewnątrz, pociągnęła go na pole roślin pastewnych, zmierzając w stronę kępy leszczyn.

— Ciekawe... — rzekł ojciec wymijająco, kiedy Edgar w końcu znalazł go w warsztacie.

Razem udali się do pomieszczenia dla rodzących suk. Iris znowu siedziała w boksie.

— Jak się masz, panienko? Nadszedł czas? To dzisiaj?

Spojrzała na niego i uderzyła ogonem o deski. Ojciec włożył ręce do kieszeni, oparł się o ścianę i patrzył na Iris.

— Jeszcze nie teraz — odezwał się po chwili — choć na pewno dzisiaj. Chciałbym, żebyś zaglądał do niej co pół godziny. Ale nie wchodź do kojca. Musimy tylko wiedzieć, co ona robi: śpi, chodzi czy robi coś innego. Zostanę tu i będę czekał.

— Nie. Masz tu spędzać tylko tyle czasu, ile to niezbędne. Kiedy tu będziesz przychodzić, zachowaj ciszę i poruszaj się powoli. Iris się niepokoi i martwi, jak ochronić swoje dzieci. Może wpaść w panikę, jeśli zbyt często będziemy ją denerwować. Rozumiesz? Jest w stanie nawet zjeść szczeniaki, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Dobrze, pokazał na migi. Nie to chciał usłyszeć, lecz zrozumiał wyjaśnienie.

— Trzeba zwrócić uwagę, kiedy zacznie się lizać albo chodzić po boksie. Jak już zacznie się tak zachowywać, musimy zabrać się do roboty. Od tej chwili czas zaczął gęstnieć jak mokry beton. Ze swojej komody wygrzebał zegarek kieszonkowy, który kiedyś otrzymał na Boże Narodzenie, nakręcił go, ustawił godzinę i potrząsnął nim, żeby sprawdzić, czy na pewno chodzi.

Wraz z Almondine podążyli ścieżką prowadzącą do strumienia, ale nim przeszli połowę drogi, zawrócił i pędem puścił się z powrotem,
108

na przełaj przedzierając się przez paprocie. Przybyli pięć minut przed porą kolejnej kontroli. Usiadł oparty plecami o wąskie przednie koło ciągnika, a Almondine, irytująco odprężona, drzemała w chłodnej tra-

wie. Kiedy nadszedł czas, zastał Iris leżącą w boksie z pyskiem opartym na złożonych przednich łapach; zauważywszy go, podniosła łeb. Szczeniaki z sąsiedniego kojca rzuciły się do drzwi i próbowały przegryźć gumę na palcach jego tenisówek, kiedy oparł je o druty. Poszedł do domu, spojrzął na zegarek i porównał z godziną na kuchennym zegarze. Wziął wielki słownik *The New Webster Encyclopedic Dictionary of the English Language* i otworzył go na chybił trafił. Rozbiegane oczy wychwytywały słowa. Intake. Intangible. Intarsia. Przerzucił plik stron. Perilous. Perimeter. Perimorph. Śmieszne nazwy, zupełnie nie nadające się na imiona dla psów. Palce u nóg mu drżały, a pięty stukały o podłogę. Zatrzasnął słownik, ukląkł przed telewizorem i przełączał kanały na stacje Wausau, Eau Claire, Ashland.

Ojciec przydzielił mu drobne zadania, choć Edgar podejrzewał, że wymyślił je bardziej z litości niż z potrzeby: ułożyć gazety przy drzwiach do kojca, położyć ręczniki na gazetach, poprawić podściółkę, umyć w warsztacie stalowy garnek, napęłnić go wodą i postawić na kuchence; włożyć do garnka nożyczki i kleszczyki hemostatyczne i zagotować wodę; położyć na ręcznikach butelkę środka dezynfekującego; przygotować nici i jodynę; przynieść krótką smycz.

Po kolacji, kiedy minęło już kolejne pół godziny, Edgar wstał od stołu i wyszedł do stodoły. Ojciec powiedział kiedyś, że poród prawie zawsze zaczyna się w porze kolacji. Psy stały w swoich kojcach, powoli odwracając pyski za przechodzącym Edgarem.

Wystarczył jeden rzut oka. Nie chcąc wzbudzać zamieszania, starał się spokojnym krokiem przejść przez całą stodołę, ale gdy tylko otworzyło się nad nim wieczorne niebo, nogi same podjęły decyzję i poniosły go pędem w stronę domu.

— Pamiętasz, co ci mówiłem o jej zdenerwowaniu? Będzie spokojna,

jeśli zobaczy, że my zachowujemy spokój, więc staraj się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Ona ma doświadczenie w tych sprawach. My musimy tylko patrzeć i trochę jej pomóc. Nic więcej. Całą robotę wykonuje Iris. My jej tylko towarzyszymy.

109

Edgar dreptał za ojcem, niosąc w rękach miskę chlupoczącej ciepłej wody.

Dobrze, skinął głową. Wciągnął powietrze, po chwili je wypuścił. W zachodzącym słońcu cień ojca kładł się na podjeździe za jego plecami.

— Sprawdźmy — powiedział Gar — jak ona się ma.

Iris stała w małym kojcu i z opuszczonym łbem kopała jak szalona.

Kiedy weszli do zagrody, na moment przerwała swoje zajęcie, popatrzyła na nich i powróciła do pracy.

— Ruszaj — rzekł ojciec, wskazując na drzwi.

Edgar wszedł do kojca i postawił miskę w kącie. Ojciec podał mu gazety, ręczniki i wszystkie zgromadzone po południu akcesoria. Iris przestała kopać, podeszła do drzwi. Ojciec przykucnął, pogłaskał ją po łbie i piersi, czubkiem palca przesunął wzdłuż jej dziąseł i przyłożył dłoń do nabrzmiałego brzucha, a wtedy napała na niego tak mocno, aż jedna łapa znalazła się za progiem drzwi do kojca. Gar położył dłonie na jej barkach i delikatnie wepchnął ją z powrotem do środka. Polecił Edgarowi założyć haczyk na kółko po wewnętrznej stronie drzwi, Iris wróciła do boksu i położyła się.

Co teraz? spytał na migi Edgar.

— Czekamy.

Mniej więcej po dwudziestu minutach Iris podniosła się i zaczęła kręcić w miejscu. Przez chwilę skomlała i dyszała, poczym usiadła. Kilka minut później ponownie wstała. Zadrzała, odwróciła do tyłu łeb,

sięgając aż do samego zadu, i polizała sobie biodro. Przez jej ciało ponownie przebiegł dreszcz.

Czy nie powinna leżeć? zapytał Edgar.

— Siedź spokojnie — odparł ojciec. — Ona wie, co robi.

Iris opuściła się prawie do samej ziemi, jej biodra zawisły tuż nad podściółką. Całe ciało sukki dygotało szarpane spazmami. Cichutko zaskowyczała, stęknęła, uniosła biodra i odwróciła się, spoglądając za siebie. Na szarej podściółce leżał nowo narodzony szczeniak, ciemny i połyskujący w pęcherzu płodowym.

— Umyj ręce — powiedział ojciec. Zamknął oczy i odchylił głowę w tył, opierając ją o ścianę. — Użyj środka dezynfekującego.

Szorując dłonie w wodzie, Edgar usłyszał pisk docierający z boksu.

Iris zdążyła już rozerwać pęcherz i przewróciła szczeniaka na grzbiet.

110

Przesuwała językiem po jego łebku, brzuszku i tylnych łapkach. Sierść mu lśniła, wierzgał tylnymi łapkami i ponownie zapiszczał.

— Odgryzła pępowninę? — spytał ojciec.

Edgar skinął głową.

— Namocz mały ręcznik, weź też jeden suchy i kilka arkuszy gazety. Przykleknij i nachyl się nad boksem. Powoli. Wymyj szczeniaka mokrym ręcznikiem. Trzymaj maleństwo tuż przy Iris, żeby widziała, co robisz. Dobrze. Ona tylko cię pilnuje; nic się nie stanie, jeśli maluch trochę popłacze. Upewnij się, że ma czysty nos i mordkę. Chwyć go lewą ręką, do drugiej weź suchy ręcznik i powycieraj go. Możesz trochę potrzebować. Śmiało. Dobrze, masz go porządnie powycierać. A teraz połóż go przed nią.

Edgar wykonywał wszystkie czynności zgodnie z poleceniami. Ojciec siedział oparty plecami o ścianę i z zamkniętymi oczami mówił

głosem cichym i spokojnym, jakby opowiadał sen, w którym rodziły się psiaki. Kiedy Edgar położył szczeniaka, Iris znowu zaczęła go lizać. Edgar odetchnął głęboko i słuchał głosu ojca, który teraz kazał mu związać pępowinę nitką, a końcówkę przetrzeć jodyną.

— A teraz znajdź popłód. Wiesz, o czym mówię? Czy już cały z niej wyszedł? Przejrzyj pępowinę, żeby sprawdzić. Włóż to do gazety, zwiń i połóż przy drzwiach. Nie wykonuj zbyt szybkich ruchów. A teraz wróć do szczeniaka. Weź go w ręce. W obie. Pamiętaj, żeby pochwalić Iris, kiedy skończymy, świetnie się spisuje. Bardzo elegancko. Nie przestrasz się, jeśli złapie cię za rękę; to tylko znaczy, że nie jest jeszcze gotowa pozwolić ci dotykać jej szczeniaka. Kiedy będziesz go trzymać, ona nie spuści z ciebie wzroku; staraj się trzymać go w jej zasięgu i niech nigdy nie traci go z oczu. Przyjrzyj się mu. Czy wygląda normalnie? Najpierw obejrzyj mu pyszczek. W porządku? Dobrze. Teraz połóż go tak, żeby łebek miał przy jej sutku. Dobrze. Popatrz przez chwilę. Sięga po sutek? Przysuń go trochę bliżej. A teraz? Chwyta sutek? Dobrze.

Iris leżała z półprzymkniętymi oczami i szyją płasko ułożoną na podściółce. Jej pierś unosiła się poruszana przypominającymi westchnieniami oddechami. Edgar zauważył, że przez gromkie łomotanie w uszach docierają do niego słabiutkie odgłosy ssania szczeniaka. Cofnął się gwałtownie i oparł o ścianę. Wziął głęboki spazmatyczny oddech i spojrzał na ojca.

111

— Zapomniałeś ją pochwalić — powiedział ojciec tak cicho, że Edgar ledwo go słyszał. Ponownie otworzył oczy i uśmiechnął się. — Ale teraz zaczekaj chwilę. Ona chce odpocząć.

Szczeniaki przychodziły na świat mniej więcej co pół godziny. Kiedy trzeci ssal pierś, Gar pozbierał nagromadzone przy drzwiach gazety i wy-

szedł z kojca. Wrócił z garnkiem ciepłego mleka. Edgar trzymał garnek, z którego Iris chleptała mleko, na koniec włożył palce do miski i dał jej ostatnie krople do wylizania, po czym podał jej miskę z wodą. Odwróciła się do szczeniaków, przewracając je i liżąc, aż zaczęły popłakiwać, a potem usatysfakcjonowana opuściła pysk na podściółkę.

Czwarty szczeniak wyglądał zupełnie normalnie, lecz kiedy Edgara podnosił, zwiotczał mu na rękach. Ojciec przycisnął bezwładne ciało do ucha i wstrzymał oddech. Machnął szczeniakiem wysoko w górę i szybko w dół, nastawił ucha i ponownie zrobił to samo. Po chwili pokręcił głową i odłożył martwego szczeniaka na bok.

Czy coś źle zrobiłem? zapytał na migi Edgar.

— Nie — odrzekł ojciec. — Czasami psiak nie jest dość silny, żeby przeżyć poród. To wcale nie oznacza, że ty coś źle zrobiłeś, i nie znaczy też, że jakieś kłopoty pojawią się z resztą miotu. Ale teraz Iris przydałby się mały spacer. Niech się odpręży, zanim dalej będzie się szcenić.

— Edgar skinął głową, wziął krótką smycz i delikatnie uderzył dłonią w udo, żeby wywabić Iris z kojca. Pochyliła łeb do szczeniaków i polizowała je, odsuwając od siebie. Zaczęły piszczeć jak kurczaki. Pozwoliła Edgarowi wyprowadzić się na podwórze. Noc była bezchmurna, obserwująca ich z ganku Almondine cichutko zaskowyczała.

Jeszcze nie, pokazał jej. Wkrótce.

Iris doszła na koniec sadu, oddała mocz i ciężkim krokiem ruszyła w stronę stodoły. Kiedy zamykał wrota, a oświetlająca rosnący naprzeciwko las smuga żółtego światła stopniowo się zwężała, dostrzegł błysk oczu, dwa bladozielone kręgi, które zniknęły, aby zaraz ponownie się pojawić. Forte, pomyślał. Żałując, że nie ma czasu, aby teraz wyjść na dwór i upewnić się, odwrócił się i poprowadził Iris do kojca. Drzwi do zagrody były otwarte. Ojciec zniknął, a wraz z nim martwy psiak. Iris

stanęła nad szczeniakami i zaczęła je lizać po kolei, po czym położyła się i wcisnęła je w półkole swoich łap.

112

Tej nocy urodziły się jeszcze cztery szczeniaki. Edgar każdego umył i zbadał, podając Iris wodę i jedzenie, kiedy uznawał, że może mieć na to ochotę. Ojciec siedział pod ścianą, wsparty łokciami o kolana, i tylko ich obserwował. Po ósmym szczeniaku obmacał brzuch Iris. Chyba już koniec, powiedział, ale powinni jeszcze poczekać. Edgar wyczyścił sierść na łapach Iris oraz wszystkie tylne części jej ciała i wytarł ją świeżym ręcznikiem. Jeszcze raz nakłonił ją do wyjścia na ciepłe nocne powietrze. Po powrocie Iris skierowała się prosto do boksu i tak jak przedtem zagoniła maluchy do swoich sutków.

Jest dobrą matką, pokazał na migi Edgar.

— Zgadza się — odrzekł ojciec. Wyprowadził Edgara z kojca. Widząc mocno podkrążone oczy ojca w jasnym świetle psiarni, Edgar zastanowił się, czy i on wygląda na równie zmęczonego.

— Chciałbym, żebyś został dziś na noc w stodole, tylko nie zbliżaj się do jej kojca, jeśli nie będzie to konieczne. Ale najpierw pójdziemy do domu, żebyś się wymył.

Razem udali się do ciemnej kuchni. Kuchenny zegar wskazywał 2.25. Almondine leżała przy drzwiach ganku. Sennym krokiem podszła do Edgara, obwąchała mu nogi i ręce i oparła się o jego kolano. W drzwiach sypialni pojawiła się Trudi w szlafroku.

— I co? — spytała.

Trzy suczki, cztery psy, pokazał na migi. Szerokim, zamaszystym gestem wykonał też znak oznaczający „piękne”.

Uśmiechnęła się, obeszła stół i uścisnęła go.

— Edgarze... — wyszeptała.

Zrobił sobie kanapkę z szynką i wszystko jej opowiedział. Niektóre wydarzenia zaczęły już mylić mu się w głowie; nie pamiętał, czy martwy narodził się czwarty czy piąty szczeniak. W pewnym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, stracił wątek i nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Mogę już wracać?

— Tak — odparła. — Idź.

Ojciec wstał i położywszy rękę na ramieniu Edgara, spojrział na niego. Po chwili Edgar speszył się i spuścił wzrok.

Dziękuję, pokazał na migi.

Ojciec uniósł czubki palców do ust i przytrzymał je w tej pozycji.

Wciągnął powietrze, odchylił dłonie na zewnątrz.

113

Proszę bardzo.

Almondine przecisnęła się przed nim przez prowadzące na ganek drzwi i dała nura w dół po schodach. Nawet jedna chmurka na niebie nie skrywała gwiazd ani wspartego o horyzont sierpa księżyca. Im dłużej patrzył, tym więcej widział gwiazd. Było ich nieprzebrane mnóstwo. Pomyślał o Claudzie i o tym, jak bardzo poruszyło go niebo tamtej pierwszej nocy w domu.

„Szust”, powiedział wówczas. Jakby człowiek mógł wpaść w coś tak wielkiego.

W stodole zatrzymał się, żeby zabrać z pomieszczenia medycznego czysty ręcznik, a z szafy na dokumenty słownik The New Webster Encyclopedic Dictionary of the English Language, i poszedł do kojca, w którym oszczeniła się Iris. Suka leżała na boku, oddychając równomierne, szczeniaki ssały pierś, popiskując i stękając.

Musi wyszukać teraz imiona, i to wyjątkowo dobre imiona. Zrobił sobie poduszkę z ręcznika, wyciągnął się na ziemi w przejściu i otwo-

rzył słownik. Almondine węszyła w powietrzu i z opuszczonym ogonem zaglądała do kojca. Iris otworzyła oczy, uniosła łeb. Po chwili Almondine przeszła nad Edgarem i ułożyła się obok niego. Kiedy przewrócił ją na bok, zaczęła wymachiwać łapami w powietrzu, po czym cicho sapnęła i wspólnie patrzyli przez siatkę zagrody. Niska barierka boks skrywała szczeniaki, ale gdy tylko Edgar zamknął oczy, natychmiast mu się ukazywały, lśniące czarne półksiężycy wciśnięte w puch matczyego brzucha.

Istota

Październik. Suche liście szemrzące pod jabłoniami. Przez trzy kolejne noce perłowe płatki śniegu materializowały się przed Edgarem i Almondine, kiedy wracali z psiarni do domu. Almondine szturchała nosem zjawę własnego oddechu, a Edgar patrzył na rozpuszczający się w powietrzu płatek śniegu, najpierw jeden, a potem drugi. Docierające do ziemi śnieżynki drżały na źdźbłach trawy i po chwili więdły atramentowymi kroplami. Dotarłszy na ganek, odwrócili się i spojrzeli na ślady swoich nóg, parę ciemnych, biegnących przez trawnik tropów.

Do późna w nocy w czwórkę rozgrywali zawile partie kanasty. Edgar w parze z matką — oboje lubili blokować karty na stosie, spowalniać grę, pozwalać, żeby napięcie rosło wraz rosnącym stosem zrzuconych kart. Szybko można się było zorientować, jakich kart gracz potrzebuje i jakie gromadzi. Czasami ktoś był zmuszony dokonywać wręcz niemożliwych wyborów. Ojciec szperał za kartami o niskiej wartości, układając na stole kolejne meldunki. Claude wolał trzymać karty w ręce, rozkładał je w szeroki wachlarz, przekładał w dłoni, przeliczał palcem, aby w odpowiednim momencie, bez żadnego ostrzeżenia, uzbierawszy dwie lub trzy kanasty, wyłożyć je i wstać od stołu. Podczas gry przekomarzali się.

— Claude, twoja kolej — mówił Gar.

— Czekaj, przygotowuję rewolucję.

— Cisza, bez porozumiewania się przy stole.

— Wcale się nie porozumiewamy. Chcę tylko, żeby mój partner się ode mnie odczepił.

— Ale mnie i Edgarowi to się nie podoba. Skąd możemy wiedzieć, jakie sygnały obmyśliliście sobie?

115

— Dobra, proszę, rzucam kartę. Możesz ją wziąć.

— Fuj! Czy ten twój śmietnik nigdy się nie skończy? A oto karta dla mojego kochanego męża.

Ojciec rzucił okiem na leżącą kartę i przejrzał swoje meldunki.

— Boże, Gar. Grasz jak wieśniak.

— A co ci to przeszkadza? Powinieneś być mi wdzięczny. To też twoje plony.

— Jaki jest wynik?

— Trzy tysiące dwieście trzydzieści do dwóch tysięcy ośmiuset sześćdziesięciu. Przegrywacie.

— To tylko różnica jednej dobrej wziętki.

— No, teraz to już na pewno się porozumiewacie.

— Ja tylko mówię prawdę. Za każdym razem kiedy Edgar drapie się w ucho, z pewnością informuje cię o wszystkich swoich kartach. Tylko popatrz na tę chytrą minę. A co znaczy, kiedy ziewa? „Mam dwa dzokery i w następnej kolejce wykładam się?”

— Jak sobie chcesz. Ale podejrzewam, że teraz utknęliśmy na dobre.

— To ty zablokowałaś kupkę. No, Edgarze, co będzie?

Zaczekaj, pokazał na migi jedną ręką.

— O, widzisz? Co to teraz miało znaczyć?

— To znaczy, że zastanawia się, którą kartę ma wyrzucić.

Edgar zadumał się. Klepnął dłonią w udo, a kiedy Almondine podeszła do niego wolnym krokiem, wyciągnął w jej stronę dwie zakryte karty. Możesz wybrać jedną, pokazał na migi. Obwąchała pierwszą kartę, potem drugą. Trąciła nosem tę pierwszą. Na stosie odkrytych kart położył dziesiątkę kier.

— Dobra, świetnie. Czyli twój pies zagląda w karty. Przypomnijcie mi, żebym schował karty, kiedy stanie za mną. Podaj popcorn. Muszę się zastanowić.

Claude żuł kukurydzę i popatrzył na siedzącego po drugiej stronie stołu Gara. Telefon na ścianie zabrzączał cicho, jak chrząszcz trzepoczący o szybę.

— Co to było? — zapytał Claude.

— Och, ja już nie zwracam na to uwagi. Odkąd odłączyli nas od telefonu towarzyskiego, raz na jakiś czas tak pobrzękuje, ale po podnie-

116
sieniu słuchawki słycać tylko sygnał zgłoszenia. Dzwonimy w tej sprawie, mówią, że naprawili, a potem znowu brzęczy.

— Uhm. Zamierzacie podłączyć telefon w stodole?

— Nie. Zaczynij w końcu grać.

Claude przeliczył karty.

— O Boże, grajmy — powiedziała matka.

— Przy następnym rozdaniu chcę zmienić partnera. Mojemu bratu brakuje już szczęścia. Wie tylko, jak zacząć meldunek. A poza tym jeśli będę w parze z Edgarem, będę miał dodatkowego gracza.

— Nie będziesz z nim grał. Ja zawsze gram z Edgarem. Kolejna czarna trójka? Ile ich jeszcze masz?

— Niedługo się dowiesz. Dla cierpliwych zawsze jest nagroda, a ja

mam zamiar sprawdzić twoją cierpliwość. Edgarze, posłuchaj stryjaska Claude'a. W życiu możesz wszystko osiągnąć, jeśli tylko jesteś gotów powoli do tego dążyć. Pamiętaj o tym. To święte słowa.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś osobą wolno myślącą?

— Może myślę wolno, ale błyskotliwie.

Ojciec rzucił damę pik i spojrzał znad okularów na Edgara.

— Jeśli jesteś porządnym synem, na jakiego cię wychowywałem, nie weźmiesz tego.

Edgar trzymał dwie karty, lecz żadna z nich nie była damą. Uśmiechnął się i wyciągnął damę ze stosu zakrytych kart, po czym odrzucił nową kartę na kupkę zrzuconych. Claude sięgnął po kolejną kartę ze stosu, przez chwilę stukał nią w stół, aż w końcu zniknęła w wachlarzu w jego dłoni. Popatrzył na brata.

— Skoro tak wolno myślę, skąd mógłbym wiedzieć, że to jest szósta dama w tym stosie? I właśnie dlatego mogę wyrzucić tę piękną damę, łamiąc w ten sposób serce Trudi.

Cisnął kolejną damą na kupkę kart i uśmiechnął się.

Trudi wyjęła parę dam i położyła je na stole.

— A niech mnie szlag trafi — rzekł Claude.

— W tym domu nie używamy takich słów — powiedziała drwiąco przez zęby, przysuwając do siebie kupkę odkrytych kart.

— Miałem powód. Chyba mogę rozprostować nogi.

Rozdzieliła zdobycz, składając dwa meldunki i rzucając zebrane karty w stronę Edgara.

117

— Mogę wyjść, partnerze? — zapytała.

— Widzisz to? I to robi twoja własna żona.

— To chyba było niepotrzebne, prawda? — odezwał się ojciec, ale

na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Matka popatrzyła to na jednego, to na drugiego.

— W miłości i w kartach wszystko ma być uczciwe — rzekła.

Claude przeliczył swoje karty.

— Trzymałeś w ręce dwieście dwadzieścia punktów? — ze zdziwieniem stwierdził ojciec.

-No.

— Chyba niezbyt to się opłacało, co?

— Ty sobie graj w ten swój wieśniaczy sposób, a ja się zajmę pokazaniem klasy.

— Niezły pomysł, tylko że jesteś moim partnerem.

— Wynagrodzę ci to, braciszku. Czyż nie tak zawsze było?

Ojciec nic na to nie powiedział. Odliczył karty ze swoich meldunków, żeby zbilansować straty Claude'a, potem wziął bloczek papieru i zanotował wyniki. Telefon ponownie zabrzączał. Claude pokręcił głową, pozbiierał karty i zaczął je tasować.

Edgar zabrał Almondine do psiarni. Jego czteromiesięczne szczeniaki były niezdarnymi wesołymi zwierzakami o przydługich nogach i wąskich klatkach piersiowych. Zwisające po bokach uszy prostowały im się tylko wówczas, gdy ich właściciele czemuś się bacznie przyglądali. Prawie dwa tygodnie zajęło Edgarowi wybranie imion ze słownika, przymierzał i odrzucał kolejne pomysły, myślał o nich nawet podczas snu, a i tak na-
zajutrz po podjęciu ostatecznej decyzji budził się z wyrzutami sumienia. Obecnie miał już wrażenie, że szczeniaki urodziły się z tymi imionami, a on tylko niepotrzebnie się miotał, dopóki się nie ujawniły.

baboo, babu, hinduska forma zwracania się z szacunkiem do wysoko urodzonego mężczyzny odpowiadająca zwrotowi pan, sir.

essay i. Starać się coś zrobić, podjąć próbę zrobienia czegoś, próbować, usiłować coś zrobić, poddać coś próbie. 2. Wysilek podjęty w celu dokonania czegoś; próba, staranie, dążenie, test lub eksperyment. 3. Forma literacka mająca na celu udowodnienie określonego punktu lub zilustrowanie określonego tematu, nie mająca wagi poważnego traktatu; krótka rozprawa na temat gustu, filozofii lub codziennego życia.

finch, przedstawiciel dużej, obejmującej trznadle, jaskółki i szczygły rodziny niewielkich ptaków (Fringillidae - łuszczeniaki) o melodyjnym głosie i ze stożkowym dziobem przystosowanym do rozłupywania nasion.

pout, wyduć wargi, np. w posępności, pogardzie lub niezadowoleniu; również okazywać niezadowolenie; nadymać się; wystawać, odznaczać się.

opal, kamień szlachetny występujący w różnych kolorach i odmianach, najcenniejsze charakteryzują się efektowną grą barw (opalizacja), dawniej uważano, że posiadają magiczną moc.

tinder, łatwopalna substancja zazwyczaj składająca się z nadpalonego płótna, służąca do rozniecania ognia za pomocą krzesiwa.

umbra, całkowity cień Ziemi lub Księżyca podczas zaćmienia, także ciemny stożek rzucany przez planetę lub satelitę na stronę przeciwną od Słońca; ciemna, centralna część plamy na Słońcu otoczona jaśniejszym pierścieniem.

Po podjęciu decyzji powrócił do tych wszystkich haseł w The New Webster Encyclopedic Dictionary of the English Language i na marginesie wpisał ołówkiem numer psa, numer miotu i datę urodzin:

P1114

M 171

3/6/72

118

119

Niewielkie marginesy wypełnione były uwagami i musiał pisać starannie, a nawet na ukos, jeśli słowo znajdowało się w środkowej z trzech kolumn definicji. Na koniec odłożył słownik na miejsce, na szafkę na dokumenty obok rejestru miotów.

Baboo był największy z całego miotu. Bez trudu kładł przednie łapy na ramionach Edgara i lizał mu twarz. Essay, dzikuska i prowodyrka, lubiła bawić się w sztuczki. Tinder, widząc, że któryś szczeniak z jego rodzeństwa zasnął, rzucał się na niego i warcząc zmuszał go do zapasów; jedynie Opal potrafiła zagonić go do kąta. Pout był zamyślony, poważny i ostrożny, z kolei Finch stanowił żywy przykład żarliwej impulsywności. Umbra, czarna od łba po palce u łap, była obserwatorką gotową w każdej chwili schować się w kącie. Wszystkie były niewiarygodnie niezdyscyplinowane i zapominalskie, ale równocześnie przyjazne, a do tego tak słodko wyglądały. I — przynajmniej przez krótki czas — uwielbiały ćwiczenia.

Dach stodoły już dawno został ukończony, kolejny miot urodził się i otrzymał imiona. W ramach swoich obowiązków szamana psiarni (jak zaczęła go nazywać Trudi) Claude wziął pod opiekę najmłodszy miot. Gar wykorzystywał dodatkowy wolny czas na szukanie domów dla roczniaków i na planowanie nowych miotów, całe dni spędzając przy telefonie, pisząc listy i ślęcząc nad kartotekami. Zanim jednak wszyscy zdążyli się przyzwyczaić do nowego podziału pracy, między Garem i Claude'em zaczęły wybuchać kłótnie.

— Nie jestem jakimś pieprzonym bezpańskim psem, którego udało ci się zwabić — powiedział Claude podczas szczególnie ostrej wymiany zdań na temat jego niefrasobliwego podejścia do harmonogramu zajęć przy szczeniakach.

— Oczywiście, że nie — odrzekł ojciec Edgara. — Chyba mnie znasz. Zastrzeliłbym cię, gdyby tak było.

Najspokojniejsze chwile były zasługą matki: wyśmiewała się i drwiła z ich kłótni albo wtrącała się w nie i flirtowała; a kiedy istniało zagrożenie, że ostra dyskusja przerodzi się w gwałtowną wymianę zdań, kładła rękę na przegubie dłoni Gara, a on patrzył na nią zaskoczony, jakby właśnie coś sobie przypomniał. A potem następowały dni przyjacielskich przekomarzanek, wizyty doktora Papineau, wieczory spędzane na oglądaniu telewizji. Ale gdy tylko doszło do kolejnego incydentu, Edgar wiedział o tym zaraz po przekroczeniu progu domu. Zgarbiony przy kuchennym stole ojciec patrzył gniewnym wzrokiem w swoje papiery. Kiedy jeden z braci wchodził do pokoju, drugi pod byle pretekstem z niego wychodził, a Trudi wzdychała ze złością. Mimo to już Ppo dwóch dniach przy śniadaniu znowu z sobą rozmawiali jakby nigdy nie. Pewnego ranka ojciec oświadczył, że powinni zebrać drewno na opał, zanim spadnie śnieg, który wszystko przykryje na zimę. Zajmowali się tym każdej jesieni, tnąc sagi osiki i brzozy poukładane wiosną wzdłuż biegnącej przez las starej drogi zwózki drewna.

Mogę prowadzić? zapytał Edgar.

Myślał o kierowaniu Alicją, ich starym pomarańczowym ciągnikiem Allis-Chalmers C, z wykrzywionymi błotnikami i belką wczepową w kształcie półksiężyca. Zamiast kubelkowego siedziska Alicja miała płaską wyściełaną ławeczkę, na której siedzieć mogły dwie osoby, lecz pasażer jedną ręką musiał obejmować kierowcę, a drugą trzymać

się jednego ze słupków. Z czasem Edgar przeszedł kolejne stopnie wtajemniczenia, od dodawania gazu przez kierowanie z ręką ojca spoczywającą na kierownicy po zmianę biegów i ostatnio operowanie sprzęgłem i hamulcem.

Spotkali się z ojcem za stodołą i razem poszli do Alicji. Edgar usadowił się za kierownicą, a ojciec poszedł do przodu z korbą włożył ją do szczeliny pod kratownicą wlotu powietrza i zakręcił. Z silnika dobył się stłumiony trzask, komin wypluł kłęb pełnego sadzy dymu, ale silnik pozostał nieruchomy. Ojciec jeszcze raz spróbował. Następnie Poszedł do magazynu na mleko i wrócił z puszką eteru w ręce. Uniósł zamocowaną na zawiasie klapkę w gaźniku Alicji i prysnął płynem do środka. Ponownie poszedł na przód ciągnika. Dotknął daszka czapki, zatarł ręce i zakręcił korbą. Głośno strzeliło i rączka gwałtownie szarpnęła w tył. — Hej! — powiedział. - Obudziła się. Dodaj jej trochę.

Edgar skinął głową i przesunął dźwignię przepustnicy. Tym razem Alicja ryknęła, a z jej komina wydobyła się czarna chmura spalin. Dzień był gorący. Od horyzontu po horyzont ciągnął się wał szarych chmur i przedzierające się przez nie światło nie dawało żadnego cienia na ziemi. Edgar wycofał traktorem na skraj południowego p^olacu do staroświeckiego wozu na żelaznych kołach. Ojciec założył dyszel i wsadził

120

121

kołek zaczepu na miejsce, po czym wsunął się na miejsce obok kierowcy. Perkocząc, wyjechali przed Stodołę, gdzie Claude wrzucił na wóz piłę łańcuchową i benzynę, a sam wszedł na dyszel.

- Jazda! - krzyknął i ruszyli w drogę.

U stóp wznoszącego się za stodołą wzgórza ojciec wyciągnął rękę i trącił drążek przepustnicy, przesuając go o trzy pozycje. Edgar prze-

łknął ślinę, chwycił kierownicę i przemknęli obok świstaków stojących rzędem na stercie kamieni, z łapkami złożonymi jak do modlitwy na tłustych brzuskach. Ojciec uchylał czapki przed każdym kolejnym zwierzakiem, krzycząc: - Witam panią- Witam panią. Witam panie... - Wtym momencie Claude chwycił po drodze w dłoń grudę ziemi i rzucił nią nad głowy, a matrony czmychnęły do skalnych szczelin.

Przecięli pole. Dwie olbrzymie brzozy na skraju lasu wskazywały miejsce, w którym zaczynała się droga zwózki drewna. Ziemię pod nimi przykrywał żółto-brązowy dywan liści, białe pnie brzoź przystrojone były nakrapianymi zawijasami papieru- Edgar zdławił silnik, gotów przekazać ojcu kierownicę, ale on tylko pokazał, żeby jechał dalej. Claude wychylał się zza ich siedziska i patrzył na otwierający się przed nimi szlak. Kiedy zobaczył, co ich czeka, zeskoczył dyszla i ruszył piechotą obok ciągnika. Edgar zmniejszył gaz i poprowadził Alicję przez fale brunatnych, oszronionych paproci spadających kaskadą na drogę. Próbując wycofać pod pierwszy, długi na ponad dwa metry sąg drewna, za bardzo zarzucił przyczepą. Kiedy próbował ją wyprostować, zgasł mu silnik.

Ty to zrób, pokazał na migi-

- Spróbuj jeszcze raz - odrzekł ojciec. Poszedł przed Alicję i zakręcił korbą, ponownie budząc ją do życia. Edgar z chrzęstem wrzucił wsteczny bieg i pocąc się, słuchał ojca i wuja pokrzykujących i dających mu wskazówki.

- W lewo. Jedź w lewo, to się wyprostuje.

- Nie w lewo. W prawo.

- Jego lewo, nie moje.

- Wystarczy. Hola, hola!

- Dobra, jeszcze trochę. Stop- Jeszcze kawałek. Stop. Dobra.

Edgar pstryknął przełącznik, żeby wyłączyć silnik, i zeskoczył na

ziemię. Claude sięgnął na przyczepę i zdjął z niej piłę łańcuchową oraz puszkę z benzyną. Zabrali się do pracy przy stosie drewna. Robota, choć monotonna, była przyjemna. Edgar wyciągał kłodę, Claude odcinał kawałek o rozmiarze odpowiednim do kominka i Edgar ponownie przekładał kłodę. Unoszące się trociny odświeżały powietrze. Pograżony w marzeniach Edgar rozglądał się dookoła i zastanawiał, czy Schultz ścinał kiedyś drzewa w tej części lasu i jaką część domu lub stodoły można by z takiego drewna zbudować. Gdy stos pociętych pniaków robił się już duży, Claude odchodził na bok z piłą pracującą na biegu jałowym, a Edgar z ojcem wrzucali klocki na wóz.

Kiedy dotarli do połowy pierwszego stosu, zaczęło mżyć, ale tak lekko, że zaledwie czuli łaskotanie na karku. Jednak nie przestawało padać, toteż ojciec krzyknął na Claude'a. Claude odwrócił się na moment, lecz zaraz powrócił do piłowania, a Edgar podsuwał kłodę. Kiedy skończył, powietrze wypełniło się drobną chłodną mgiełką poprzetykaną skroploną parą, która opadała z podniebnych gałęzi.

— Ładujemy i wracamy — powiedział Gar. Zaczął podnosić i wrzucać pocięte kawałki na wóz, który brzęczał i huczał przy każdym uderzeniu. Edgar i Claude przyłączyli się do niego, ale gdy już kończyli, Claude spojrział na wierzchołki drzew i otarł twarz rękawem koszuli.

— Przechodzi — powiedział. — Nie musimy się jeszcze zbierać.

I nagle zniknęła ta cała beztroska, która pozwalała im żartować i machać do świstaków. Ojciec zacisnął zęby. Kiedy ponownie się odezwał, mówił, jakby już doszło do kłótni, jakby już obwarowali się na swoich pozycjach i doszło do impasu, a wszystko to odbyło się w jakiejś przestrzeni ukrytej przed oczami Edgara.

— Drewno jest mokre i śliskie — rzekł ojciec. — I piła też. Możemy wrócić tu jutro i nie będziemy musieli się martwić, że ktoś się zrani.

Przez chwilę w trójkę wpatrywali się w lśniący od wilgoci sąg drewna. Claude wzruszył ramionami.

— Rób, jak uważasz — odparł i wsparłszy piłę łańcuchową o kłodę, szarpnął za sznur uruchamiający urządzenie. Silnik zacharczał i zaskoczył.

Ojciec krzyknął coś do Claude'a, który tylko bezgłośnie powiedział: — Co? — i zwiększył obroty silnika, tak że odpowiedź Gara utonąła w ryku piły. Po chwili krzyknął: — Co? — Ojciec połknął haczyk, a Claude ścisnął przepustnicę i piła łańcuchowa zawyła w jego rękach. Ojciec pobladł z wściekłości. Twarz Claude'a rozpromieniła się uśmie-

122

123

chem, odwrócił się, opuścił prowadnicę piły na kłodę i na ziemię posypał się grad mokrych wiórów.

Ojciec podszedł do Edgara i przyłożywszy dłonie do ust przy jego uchu, powiedział:

— Wsiadaj na ciągnik.

Edgar wgramolił się na siedzenie ciągnika i włączył przełącznik zapłonu. Ojciec zakręcił korbą, wskoczył na siedzenie po stronie kierowcy, dodał gazu i wyjechali z lasu, podskakując po drodze z kłodami grzechoczącymi i wypadającymi z tyłu przyczepy.

Kiedy układali stos drewna w kącie ganku, towarzyszyło im nieustanne, przeszywające mżawkę wycie piły łańcuchowej, z daleka przypominające brzęczenie owada.

Po zakończeniu rozładunku Edgar zaparkował Alicję obok stodoły.

Almondine powitała go w drzwiach i jak opiekunka szła za nim po schodach. Przebierając mokre ubranie, słyszał rozmowę ojca i matki.

— Co ci przeszkadza, że on chce pilować drewno w deszczu? — za-

pytała. — Pozwól mu.

— A co będzie, jeśli przejedzie sobie piłą po nodze? Albo w zimie piła zardzewieje, bo teraz jest mokra?

— Masz rację, Gar. Ale nie możesz tak nim dyrygować. Jest dorosły.

— Właśnie o to chodzi. On wcale nie jest dorosły. Ma nie więcej rozumu niż dwadzieścia lat temu! Wbiję sobie coś do głowy i cokolwiek bym powiedział, zrobi mi na przekór.

— Jest dorosły — powtórzyła matka. — Nie możesz za niego decydować. Nie mogłeś w przeszłości i teraz też nie możesz.

Odgłos kroków i trzask wieczka puszek z kawą. Kiedy Edgar i Almondine weszli do kuchni, matka stała za plecami męża, obejmując go za szyję. Ojciec wypił łyżeczek kawy, podał kubek matce i spojrzał przez okno w stronę lasu.

— Nie widziałaś go, jak zwiększał obroty piły, gdy tylko próbowałem mu coś wytłumaczyć. Jak dziecko — powiedział. — To było niebezpieczne.

Trudi nic nie odpowiedziała. Masując plecy Gara, stwierdziła, że trzeba wybrać się na zakupy do sklepu. Zanim wrócili, Claude przyniósł już wszystko z lasu, wyczyścił i naoliwił piłę, po czym położył się spać w swoim pokoju.

124

Tydzień przed Świętem Dziękczynienia Claude pojechał pikapem do miasta. Kiedy wrócił późnym wieczorem, nawet wniesione przez niego do domu zimne porywy wiatru nie mogły ukryć zapachu piwa i dymu z papierosów. Rzucił na stół torbę z zakupami i spojrzał na brata.

— Ojej, jego eminencja wygląda na niezadowolonego. — Pijackim krokiem powlókł się do salonu, ale po chwili odwrócił się. — Spójrzcie na me dzieło, o wielcy, i porzućcie nadzieję! — krzyknął gromko cyta-

tem z Shelleya, szeroko rozpościerając przy tym ręce i kłaniając się, aż o mało się nie przewrócił.

W ciepłe dni Edgar przebywał na dworze, wraz z Almondine przeczesując las w poszukiwaniu purchawek i strzałek wodnych. Jednocześnie szukali śladów Forte'a, który od końca września się nie pokazywał. Pewnego dnia znajdziemy jego kości, pomyślał ze smutkiem. Poszli do wielorybiego głazu i usiedli na skraju wąskiego zagajnika, obserwując dym kłębiący się z komina. Almondine zapadła w drzemkę. Brązowe liście opadały z drzew i jej skóra drgała, gdy na niej osiadały. Po kolacji wymknął się, żeby przeciwwić polecenie „zostań” z Tinderem, który przede wszystkim chciał podskakiwać i biegać.

Zaryglował od wewnątrz wrota stodoły, wypuścił szczeniaki, które natychmiast zaczęły biegać tam i z powrotem wzdłuż całego przejścia w psiarni, a sam zajął miejsce na beli słomy. Baboo przysiadł obok niego, natomiast Essay od razu zaczęła szukać guza. Tarzały się na grzbietach i wymachiwały łapkami przed Almondine, która przyglądała się im, ale je ignorowała. Edgar wyjął z warsztatu kilka piłeczek tenisowych i rzucał nimi o drzwi. Po chwili przejście zamieniło się w masę szalejących hałaśliwych zwierzaków, a kiedy już się zmęczyły, zaprowadził je na strych i tam im czytał, migając w żółtym blasku supernowej, które biło od zwisających z krokwi żarówek.

Tej jesieni Edgar po raz pierwszy usłyszał o Osadzie Gwiazdnych Dzieci i o Aleksandrze Honeywell, której długie proste włosy rzeczywiście miały kolor miodu. W wiadomościach telewizyjnych ukazywały się relacje na temat tej społeczności zamieszkałej na kanadyjskim brzegu Jeziora Górnego w pobliżu Thunder Bay. Reporterzy stali przy Aleksandrze Honeywell na skraju leśnej polany, na tle domu i jaskrawożółtych jesiennych liści. Czasami odpowiadała na pytania reporterów, a czasami patrzyła

wprost w kamerę i nakłaniała ludzi, żeby tam przyjechali i pomogli. „To miejsce służące pokojowi! Przyjedźcie do Gwiazdnych Dzieci! Potrzebni nam ludzie obdarzeni talentem; ludzie, którzy chcą pracować! Nie ma znaczenia, czy jesteś studentem, muzykiem czy żołnierzem. Rzuć wszystko! Potrzebujemy silnych rąk i odważnych serc!”

Aleksandra Honeywell była piękna. Edgar wiedział, że właśnie dlatego tak często pojawiała się w telewizji. Jeśli był akurat w swoim pokoju i usłyszał zwiastun wiadomości o Gwiazdnych Dzieciach, schodził do salonu, siadał i wpatrywał się w nią, a jego rodzice tylko wymieniali spojrzenia. Claude aż cichutko gwizdnął, kiedy ją zobaczył.

Święto Dziękczynienia minęło równie szybko, jak nadeszło. Pewnej nocy Edgar obudził się, słysząc dźwięk przypominający wystrzał, ale już zrzucając z siebie koce, wiedział, że musiał to być trzask uderzających o futrynę zamykanych drzwi ganku. Almondine podniosła się ociężale ze swojego miejsca przy drzwiach i razem wyjrżeli przez okno. Lampa na ganku świeciła. Ziemia przykryta była cienką warstwą śniegu, a wiatr ciskał siwymi od szronu płatkami o szyby. Przed prowadzącymi na ganek schodkami zobaczył ojca i Claude'a. Jak zapaśnicy obejmowali się ramionami za szyje, rzucając w stronę pola czarne wydłużone cienie. Claude trzymał zaciśniętą pięść ojca, jakby starał się ją otworzyć, obaj w milczeniu przepychali się i stękali, zapierając się jeden o drugiego i dygocząc z wysiłku w padającym śniegu, który osiadał na ich barkach i włosach.

W końcu przerwali klincz i rozdzielili się, w zimnym powietrzu wypuszczając szare obłoki oddechów. Ojciec Edgara uniósł dłoń i wyciągnął palec w stronę Claude'a, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Claude rzucił się na niego i pociągnął go na ziemię. Okulary Gara skrzyły się w pół-

mroku. Zaczął uderzać Claude'a po plecach i po głowie. Claude rozluźnił uchwyt, Gar zerwał się na nogi. Również Claude starał się podnieść, lecz poślizgnąwszy się, upadł ciężko i zanim zdążył się pozbierać, ojciec Edgara stanął już nad nim i zamachnął się nogą. Claude rozpaczliwie zasłonił ramionami twarz i na podwórzu rozległ się krzyk.

Przez moment obaj nie ruszali się i nawet padający śnieg zdawał się zamarzać w powietrzu. W końcu Gar zaczerpnął powietrza. Postawił nogę na ziemi. Pogardliwym gestem rzucił coś w śnieg. Kluczyki do samochodu. Odwrócił się i wszedł do domu, a po chwili światło na ganku zgasło.

Edgar i Almondine dyszeli zgodnym głosem, ich oddechy zastygały na oknie. Z piersi Almondine dobywał się cichy pomruk, lecz Edgar dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę i przyglądał jej zjeżoną na grzbiecie sierść. Przetarł mokry szlak na zamglonej szybie. Claude pozbierał się i nachylił, żeby podnieść kluczyki. Słabe światło w kabinie na moment oświetliło go, kiedy otwierał drzwi samochodu, z trudem wsiadał do środka i zatrząskiwiał drzwiami. Rozrusznik zamruczał. Światła stopu rozbłyskiwały raz po razie, jakby Claude naciskał na hamulec. Kłęby spalin spowijały pikapa. W końcu auto potoczyło się w stronę stodoły i tam zawróciło. Reflektory omiotły tę część podwórza, na której Gar i Claude ze sobą walczyli, ich zmagania odcisnęły ślady na śniegu, który przez chwilę jarzył się na biało, potem na czerwono, aż ponownie ściemniał, gdy pikap z rykiem mijał dom i zniknął na drodze Town Line.

126

Słabe westchnienie

Przykląkł przy oknie, pozwalając, by obrazy ponownie się odtworzyły. Śnieg leżał poźółkły w świetle podwórza i cień domu kładł się na nim niczym sadza w lampie, nigdzie nienaruszony z wyjątkiem pojedynczego

przekrzywionego prostokąta jarzącego się w jego centrum. Światło z kuchennego okna. Schwytane w niego płatki śniegu opadały na ziemię jak popiół. Z dołu przez kratkę kominową docierał głos ojca, brzękliwy i urywany. Edgar podszedł do łóżka i uderzył dłonią w materac Almondine, żeby ją przywołać, ale leżała w drzwiach i nie chciała się podnieść. W końcu sam zaciągnął do niej koc i ułożył się na deskach podłogi. Przewróciła się na bok i oparła o niego wyprostowanymi nogami.

Po chwili wszystkie głosy ucichły. Światło na dole schodów przygasło. Leżeli razem na pachnącej kurzem podłodze, wsłuchani w trzeszczące i stękające belki w konstrukcji domu. Gdy tylko Edgar przymknął powieki, przed jego oczami zaczęło się kłębić bezkształtne światło. A potem się obudził. Wsunął dłoń pod brzuch Almondine, która wstała, wyciągnęła łapy do przodu i tak mocno wygięła grzbiet w łuk, aż wyrwał się jej piskliwy skowyt, i razem zeszli po omacku po schodach. Malutka lampka z abażurem w salonie rzucała niewiele światła, jedynie tyle, żeby wydobyć z ciemności zarysy krzesel.

Sądził, że w kuchni będzie panował bałagan, ale stół stał prosto, a krzesła były równo wsunięte pod blat. Wszędzie jawiły się tylko cienie i zarysy. Obszedł stół dookoła, dotykając po kolei krzesel jak punktów orientacyjnych. Rozległ się stukot włączającej się sprężarki w zamrażarce, a po nim cichy elektryczny warkot; kiedy mijał kratkę kominową, poczuł przez skarpetki na nogach powietrze wydmuchiwane przez wentylator. Na nagwintowanej końcówce kranu zakwitła srebrna kropelka i po chwili opadła w pustkę. Dokręcił kurki.

Od drzwi sypialni rodziców dobiegł go szept matki.

— Edgarze, czego szukasz?

Odwrócił się i pokazał jej na migi, ale w ciemnościach nie mogła go zrozumieć. Wszedł do salonu i stanął obok lampki, a matka pode-

szła do niego, przepasując szlafrok paskiem. Usiadła na skraju swojego krzesła, spojrzała na Edgara. Almondine stanęła tuż przy niej i dopiero kiedy matka przeciągnęła dłonią po jej boku, opadła na podłogę między nimi. Porozumiewali się językiem migowym, a ich cienie poruszały się po ścianach i oknach salonu w niesamowity sposób.

Czy tato czuje się dobrze?

Ma rozciętą wargę. Stracił okulary. Jest mu wstyd.

Co się stało?

Naprawdę... Przez moment zastanawiała się i zaczęła od nowa. Naprawdę trudno powiedzieć.

Czy on wróci?

Pokręciła głową. Oczywiście, że nie. Po tym co się wydarzyło, nie wróci.

A co będzie z samochodem?

Nie wiem.

Edgar wstał i pokazał na drzwi. Widziałem, gdzie upadły okulary.

Chciałem po nie pójść.

Będziesz rano wiedział?

Chyba tak.

W takim razie zaczekaj do jutra. Ojciec obudzi się, słysząc otwarcie drzwi.

Dobrze.

Edgar podniósł się i ruszył w stronę schodów.

— Edgarze? — szepnęła matka.

Obejrzał się na nią.

— To do czego doszło między twoim ojcem i Claudeem... to stara sprawa, z czasów ich dzieciństwa. Podejrzewam, że sami tego nie rozumieją. Wiem, że ja nie rozumiem. Należy tylko pamiętać, że jest już po

wszystkim. Próbowaliśmy pomóc Claude'owi, ale nie udało się.

Skinął głową.

128

129

— I jeszcze coś.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Co?

— Wydaje mi się, że ojciec nie będzie chciał odpowiadać na zbyt wiele pytań w tej sprawie.

Jej lekki uśmiech spowodował, że i on się uśmiechnął. Czuł jakąś nieokreśloną serdeczność wobec ojca, kiedy tak o nim rozmawiali w ciemnościach. Śmiech wezbrał w nim jak czkawka. Skinął głową i uderzył dłonią w nogę, po czym wraz z Almondine wspięli się po schodach, na powrót jedyni właściciele górnego piętra. W nocy śnił o świecie nieuporządkowanym, gdzie barwa i dźwięk pozbawione były treści, a w tym śnie wszystko do siebie idealnie pasowało, fragmenty mozaiki przeplatały się w dostojnym, cudownym tańcu.

Następnego dnia doktor Papineau odwiózł im samochód. Gar zapakował rzeczy Claude'a na pikapa — oprócz walizki, z którą przyjechał, było tego niewiele: pudło czasopism, koszule i spodnie, para butów roboczych i znoszona dwurzędowa marynarska kurtka. Po pewnym czasie dowiedzieli się, że Claude zatrudnił się w niepełnym wymiarze godzin w fabryce forniru, ale też dorabiał na boku. Jak się okazało, pracował u doktora Papineau. Później załadowali na pikapa składane łóżko oraz mały stolik i lampę i również te rzeczy zawieźli do miasta.

Tego roku śniegu nie było aż do grudnia, lecz jak już zaczął padać, zdawało się, że nigdy nie przestanie. Gdy Edgar z ojcem odśnieżali podjazd, płatki śniegu zasypywały im czapki. Gar wiedział, jak należy zbierać śnieg, żeby nie naruszyć leżącego pod spodem żwiru.

— Może byś tak zostawił trochę tego na podjeździe? — mówił, przypominając Edgarowi o tym, jak leżące w trawie kamyki wystrzelują spod kosiarki podczas pierwszego wiosennego koszenia.

Edgar wyprowadzał swój miot na śnieg parami lub trójkami, Tindera, Essay i Finch, następnie Pout i Baboo, a potem Umbra i Opal. Psia-ki goniły się, ślizgając się na przednich łapach, zawracając, wycofując i biegając z nosami przy ziemi, ryjąc blade ślady w puchu i zatrzymując się tylko, żeby go obwąchać. Pierwszy śnieg nie chciał się lepić. Kiedy w końcu Edgarowi udało się zrobić śnieżkę, rzucił nią w Tindera. Zniknęła w pysku psa, który oblizwał mordkę i zaczął szukać jej na ziemi.

Na sobotę przed Bożym Narodzeniem zaplanowali zakupy w Ashland, ale opady były tak intensywne, że matka zaczęła się obawiać o powrotną drogę. Zostali więc w domu i oglądali kosmonautów jeżdżących łażnikiem po księżycu. Ojciec stwierdził, że wyglądają, jakby się przygotowywali do siania kukurydzy. I co tydzień pojawiały się nowe relacje na temat Aleksandry Honeywell i Osady Gwiazdnych Dzieci. Zrobiło się zimno i jak sama przyznała, niektórzy mieszkańcy opuszczali kolonię, lecz na ich miejsce przybędą natchnieni. Stojąc w śniegu przed kamerą, czytała wiersze i mówiła o traperach. Te relacje często nadawano po prognozie pogody. Edgar zawsze był w salonie, gdy tylko usłyszał zapowiedź pogody.

Na sylwestra matka upiekła kaczkę. Przed wybiciem północy nalali trzy kieliszki szampana i stuknęli się nimi. W telewizji odliczono sekundy do północy i kiedy rozbrzmiały dźwięki Auld Lang Syne, matka zerwała się na nogi i wyciągnęła rękę, prosząc go do tańca.

Nie potrafię, pokazał na migi.

— To czas się nauczyć — stwierdziła, siłą podnosząc go z kanapy.

Chociaż byli sami w domu, miała na sobie czarno-białą suknię, czarne

pantofelki z paskami z tyłu i nylonowe pończochy. Pokazała mu, jak powinien objąć ją w talii i jak wyciągnąć drugą rękę, na której położyła swoją dłoń.

— Tak będą na ciebie patrzeć dziewczyny, kiedy będziesz z nimi tańczył — powiedziała i spojrzała mu prosto w oczy, aż się zaczerwienił. Nie wiedział, jak ma stawiać stopy. Nie mógł nawet wytłumaczyć jej swojego problemu, bo trzymała mu ręce, lecz sama się domyśliła.

— Popatrz: jakbyś chodził po kopercie — powiedziała. Zatrzymała się, kazała mu szeroko rozłożyć ręce otwartymi dłońmi w dół i zaczęła nimi poruszać, pokazując, co powinny robić stopy. Następnie ponownie do niego podeszła. W pokoju było ciemno, w szybach skrzyły się lampki na choince. Kiedy wsparła głowę na jego ramieniu, owiało go gorąco. W ustach czuł słodki posmak cydru z szampana, otaczał go zapach perfum matki i już wówczas wiedział, że do końca życia nie zapomni tej chwili.

Kiedy piosenka się skończyła, matka szepnęła mu:

— Szczęśliwego Nowego Roku.

130

131

Ojciec stał oparty o futrynę kuchennych drzwi. Kiedy orkiestra zaczęła kolejny utwór, podszedł do nich i powiedział:

— Przepraszam, odbijany.

Matka wysunęła się z ramion Edgara i znalazła się w objęciach jego ojca. Edgar patrzył na tę parę tańczącą w rytm rozbrzmiewającej w domu muzyki, a po chwili otworzył lodówkę, wyjął paczkę serowych przysmaków i włożył buty oraz kurtkę. Próbował powiedzieć im, gdzie się wybiera. Mimo że piosenka już się skończyła, dalej tam stali, kołysząc się, a ich sylwetki odcinały się na tle choinkowych lampek.

Wraz z Almondine przebiegli przez noc, czarną i przenikliwie zimną. W stodole włączył światła i na starym gramofonie puścił śpiewaną przez Patti Page piosenkę The Tennessee Waltz. A potem rozdał wszystkie serki psom, częstując nimi nawet szczeniaki, i każdemu na migi składał życzenia szczęśliwego Nowego Roku.

Styczniowa odwilż. Rozrzucony na podjeździe popiół rozpuścił śnieg w szare kałuże, tylko nad ranem kandyzowane lodem. Ubrany w kurtkę i zimowe buty usiadł w salonie, wypatrując między nagimi drzewami żółtej gąsienicy szkolnego autobusu. Popołudniami słońca było tylko tyle, żeby zdążyć wyprowadzić swój miot na podwórze i przed kolacją przećwiczyć z psami przywoływanie i cierpliwe stanie na śniegu. Obecnie szybko się uczyły. Prowadził je po trzy do brzóz na południowym polu, potem biegł na podwórze i przywoływał je zamaszystym gestem, żeby dobrze go widziały na tle nieba, a one mknęły przez pole jak trójka wilków, wyciągając ciała nad białymi śnieżnymi zaspami.

Również on czuł się coraz lepiej. Ćwicząc z pojedynczym psem, potrafił nie gorzej niż matka korygować jego zachowanie za pomocą smyczy, powstrzymując go, gdy dopiero miał zrobić pierwszy ruch, gdy dopiero zdecydował się ruszyć; jeśli robił to poprawnie, pies siadał z powrotem, zanim tak naprawdę zdążył oderwać zad od ziemi.

Jednak w jego ruchach nie było tej łatwości, z jaką matka to robiła.

W takich momentach musiał być w pełni skoncentrowany. Nauczył się rzucać obrozę łańcuchową na ich zady, jeśli nie przychodziły podczas ćwiczeń przywołania z użyciem długiej smyczy, ale nie zawsze robił to dokładnie. Ponadto wykonywał zbyt duży zamach ręką i psy zauważały ten ruch. Ćwiczył na beli słomy. Matka potrafiła przez pół strychu skarcić wałęsającego się psa, wykonując jedynie nieznaczny ruch nadgarstka. Kiedy się tego nie spodziewał, jemu też rzuciła

kiedyś obrożą w tyłek. Aż podskoczył, zaskoczony brzękiem i uderzeniem.

— Tak się to robi — powiedziała, uśmiechając się. — Nieźle działa, prawda?

Tymczasem jego psy robiły się coraz mądrzejsze — rozumiały, czego się od nich wymaga, i wymyślały sposoby, jak sobie z tym radzić. Niedługo miały skończyć siedem miesięcy, sierść zgęstniała im na zimę i zrobiła się lśniąca. Osiągnęły już pełny wzrost, ale ojciec mówił, że klatki piersiowe wypełnią się im dopiero w lecie.

Podczas swoich odwiedzin doktor Papineau nie potrafił ich rozróżnić, lecz zdaniem Edgara różniły się między sobą bardzo i trudno nawet było uwierzyć, że pochodzą z tego samego miotu. Rozpoznawał je po samych ruchach, po odgłosach stąpania. Essay zawsze starała się sprawdzić, jak wiele może jej ująć na sucho, i tylko czekała, żeby czmychnąć, kiedy on się odwróci. Najhałaśliwszy z całego miotu Tinder potrafił się poruszyć, choć polecono mu siedzieć, tylko dlatego, że któreś z jego rodzeństwa popatrzyło na niego w nieodpowiedni sposób. Baboo przeciwnie: jeśli miał siedzieć, mógł siedzieć w nieskończoność. Swoją opieszalność w reakcjach na przywołania z użyciem długiej smyczy nadrabiał umiłowaniem aportowania. Truchtał do Edgara raz po raz z aportowanym przedmiotem w pysku, wstydliwie kołysząc zadem jak panienka.

Każdy z nich był błyskotliwy, irytujący, uparty i kapryśny. A Edgar mógłby cały dzień patrzeć, jak się poruszają — wystarczyłoby mu samo obserwowanie ich ruchów.

Z niskich, okrytych flanelą chmur spadały lodowe ziarna, suche i białe. Wiatr je zbierał i zamiatał nimi po podwórzu jak falą. Kiedy Edgar otworzył wrota stodoły, po betonowej posadzce wsunęły się śnieżne

szcypce skorpioną i rozproszyły pod nogami Almondine. Ojciec klęczał w ostatnim kojcu małych szczeniaków, gdzie na srebrnej szalce wagi wił się i kwilił jeden z psiaków, ze zwiniętymi uszami wyglądający jak wydra. Edgar obserwował ojca, który pokołysał malucha w dłoniach, po czym ułożył obok matki.

132

133

— Olbrzymy — powiedział, zapisując uwagę w rejestrze. — I zawzięte. Jeszcze nie zdążyły otworzyć oczu, a już się przepychają. Możesz być wdzięczny, że nie przypadła ci ta partia.

Zabieram swoje na górę, pokazał na migi Edgar.

Ojciec skinął głową i odwrócił się z powrotem do szczeniaka.

— Chciałbym powynosić te wiadra z warsztatu, zanim mama wróci z miasta. Jak skończysz, przyjdź do mnie, dobrze?

Dobrze, pokazał na migi. Wiedział, o jakich wiadrach ojciec myśli

— pod schodami warsztatu stał ich cały rząd, w różnych rozmiarach, niektóre wcale nie przypominały wiader, bo były pozbawionymi wieczek starymi dziesięciogalonowymi bańkami po mleku, po brzegi wypełnionymi złodem, starymi gwoździami, zawiasami, wkrętami i śrubami. Odkąd Edgar pamiętał, ojciec odgrażał się, że albo je wszystkie wreszcie przejrzy, albo wrzuci do silosu.

Edgar wyciągnął Fincha i Essay z kojców, żeby przeciwiczyć wydawane na odległość polecenie „siad”. Psy jak burza wpadły do warsztatu i wbiegły po schodach na górę. Wchodząc wraz z Almondine na strych, Edgar widział, jak psy warczą i mocują się w słomie. W powietrzu widział swój oddech. Zamknął drzwi do przedsionka. Almondine, niemająca w tym momencie żadnych obowiązków związanych z tresurą, znalazła sobie wygodny kąt, z którego mogła wszystko obserwować. Edgar

posadził jednego psa, dając mu odpocząć, a do obroży drugiego przypiął długą linkę i kazał mu stać w miejscu. Przy każdej próbie unosił rękę nad głowę, w ten sposób kazał psu usiąść, po czym w nagrodę tarmosił go po kryzie, a jeśli nie wykonał polecenia, mocno ciągnął za długą linkę, przewleczoną przez umieszczoną w podłodze śrubę z oczkiem, żeby szarpnięcie działało w dół, a nie do przodu. Kiedy udało mu się nauczyć go reagować na wybraną odległość, odchodził krok dalej.

Essay od razu pojęła, o co chodzi w ćwiczeniu, a także jak udaremnić jego wykonanie. Czekwała, aż Edgar zacznie do niej podchodzić — a wtedy najtrudniej było ją ukarać — i wstawiała, zanim jej pozwolił, dysząc radośnie. Albo kładła się i natychmiast zaczynała się tarzać. Dwa razy, kiedy czekała na swoją kolej, zauważył, że szturcha bele słomy, jakby zamierzała się na nie wspiąć. Z kolei Finch nigdy nie spuszczał oczu z Edgara. Problem natomiast polegał na tym, że Finch ciągle stał i tylko patrzył, kiedy Edgar dawał mu znak, żeby usiadł. Po trzecim powtórzeniu komendy Finch zaczął sprawiać wrażenie zaniepokojonego. Edgar zrugął się za powtarzanie poleceń i ruszył w stronę psa, ale widok zbliżającego się Edgara najwyraźniej podziałał na niego jak przyływ natchnienia i pies osunął się na podłogę. Postanowiwszy zrobić przerwę w ćwiczeniach, Edgar rzucił psom w najdalsze kąty strychu piłki tenisowe i wirujące wieczka od puszek po kawie. Tupot łap po podłodze rozbudził psy znajdujące się na dole w psiarni, skąd dobiegło stłumione szczekanie. Później zaczął z dwoma psami ćwiczyć przytrzymanie aportu — kazał im trzymać przedmioty w pysku przez sekundę lub dwie — kiedy zauważył, że psy na dole wciąż szczekają. Zdziwił się, bo oba jego psy teraz siedziały cicho. Edgar otworzył drzwi do przedsionka, przez chwilę nasłuchiwał, po czym ruszył po schodach. Finch i Essay przepchnęły się obok niego i stukając pazurami, zbiegły po drewnianych stopniach.

Trzeba będzie się tym zająć, pomyślał.

Właśnie miał postawić nogę na ostatnim stopniu, kiedy zobaczył ojca leżącego nieruchomo na posadzce przy wejściu do warsztatu. Miał na sobie zimową kurtkę, jakby właśnie wychodził. Leżał twarzą do ziemi.

Edgar stanął jak sparaliżowany. Po chwili rzucił się po schodach w dół i ukląkł przy ojcu, a Essay i Finch zaczęły kręcić się wokół, próbując wetknąć między nich pyski. Potrząsnął ojcem, wbił palce w gruby materiał jego kurtki, żeby przewrócić go na plecy, i zajrzał mu w twarz.

Co się stało? Co się stało?

Oczy ojca mrugnęły za szklami okularów. Jakże powoli śledziły dłonie Edgara. Próbował podnieść głowę, jednakże ledwo dźwignął ją z podłogi. Przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. Edgar wsunął mu dłoń pod głowę, zanim z powrotem opadła na beton.

Ogarnęło go szaleństwo. Jak najdelikatniej cofnął rękę i spojrzał na palce, czy nie są zakrwawione, lecz nic nie zauważył. Zerwał z siebie sweter, zwinął go i podłożył ojcu pod głowę.

Usta ojca rozwarły się.

Widzisz mnie? zapytał Edgar na migi. Jednym szarpnięciem rozpiął zamek błyskawiczny u kurtki ojca i popatrzył na znajdującą się pod spodem roboczą koszulę w kratę. Obmacał go od szyi aż po pas. Ani śladu krwi, żadnej rany.

Co się stało? Upadłeś? Widzisz mnie?

Ojciec nie odpowiadał. Nie patrzył też na niego.

134

135

Chwilę później Edgar gnał przez mróz, a przed oczami podskakiwał mu obraz domu. Smugi śniegu spowijały prowadzące na ganek stopnie.

Wpadł jak bomba do kuchni i zerwał słuchawkę telefonu z widełek. Przez

moment stał, nie wiedząc, co ma zrobić. Wykręcił zero na tarczy telefonu i czekał. Almondine stała obok niego w kuchni, nie pamiętał, że biegła obok niego do domu ani nawet tego, że zeszła za nim ze strychu.

Po drugim sygnale w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

— Centrala.

Już próbował ułożyć słowa. Poruszał wargami. Z jego ust wyszło słabe suche westchnienie.

— Tu centrala. W czym mogę pomóc?

Serce podeszło mu do gardła. Starał się wydać jakiś dźwięk z ust, ale dobywał się z nich jedynie odgłos sapania, kiedy wydychał powietrze. Wziął szeroki zamach i z całych sił uderzył się w piersi, równocześnie usta układając w słowa.

— Czy coś się stało? — zapytała telefonistka.

Ponownie uderzył się pięścią w piersi. I jeszcze raz. Każde kolejne uderzenie wydobywało pojedynczy ton z jego ciała.

— A-n-a-a-a.

— Proszę powiedzieć, kto dzwoni — rzekła telefonistka.

Almondine cofnęła się o krok i zaczęła szczekać, głęboko i chrapliwie, gwałtownie uderzała ogonem w lewo i prawo i biegła do drzwi i z powrotem.

— Nic nie rozumiem. Skąd jest telefon?

Edgar stał w miejscu, dysząc ciężko. Zaczął uderzać słuchawką telefonu o kuchenny blat, aż rozpadła się na części, wówczas zostawił ją zwisającą na sznurze i wybiegł z domu, kierując się po podjeździe na drogę w nadziei, że zobaczy matkę nadjeżdżającą w pikapie albo jakiś przejeżdżający samochód, jakkolwiek samochód. Almondine biegła wraz z nim. Las zniknął w sypiącym śniegu, jabłonie zupełnie się rozmyły. W odległości stu metrów wszystko tonęło w jednostajnej pustce tak

białej, że aż oczy bolały. W takiej burzy nie nadjedzie żaden samochód. Obejrzał się w stronę stodoły i dostrzegł Essay i Fincha, które zbliżały się do niego przez podwórze. Stali potem w czwórkę, Edgar patrzył to w jedną, to w drugą stronę drogi. Ponownie pobiegł do domu. Z roztrzaskanej słuchawki docierał jakiś głos.

136

— Proszę nie ruszać się z miejsc. Ja już...

Podskakujące psy plątały mu się pod nogami, kiedy szedł do stodoły. Wybiegając, zostawił wrota otwarte i zimne powietrze przez cały ten czas wpływało do środka. Zatrzasnął wrota, pchnął zasuwkę i ukląkł przy ojcu.

Jak się czujesz, jak się czujesz, jak się czujesz.

Ojciec nie spojrzał na niego.

Nie spojrzał na niego.

Edgar pobiegł na tyły stodoły do pomieszczenia medycznego i zaczął szperać po regale. Bandaże i tabletki sypały mu się pod nogi, kiedy przewracał wszystko do góry nogami. Wrócił z pustymi rękami. Musisz zadbać, żeby było mu ciepło, pomyślał. Ściągnął zapasową kurtkę z haka w warsztacie i okrył nią piersi ojca.

Ciało Edgara dygotało od wstrząsającym nim dreszczy. Almondine podeszła do ojca i przyłożyła nos do jego policzka. W tym momencie jej tylne łapy zadrżały, jakby wyczuła coś przerażającego i niesamowitego. Rozzłoszczony tym widokiem Edgar poderwał się i skoczył do niej. Umknęła w najdalszy kąt stodoły, skąd obserwowała go, gdy chwiejnym krokiem wracał do warsztatu. Przykląkł i zajrzał ojcu w twarz. Przyłożył dłonie do jego piersi. Sądził, że zauważy, jak ojciec wciąga powietrze, ale wyczuł tylko pojedynczy długi wydech. Z otwartych ust ojca wydobył się jęk, beznamiętny i mechaniczny, słabnący. A potem już zupełnie nic

— ani ruchu, ani wciągania powietrza, ani drgnienia powieki. Tylko ta zapaść, jakby na oczach Edgara rozpuszczała się woskowa figura. Pobiegnął wzdłuż rzędu kojców, uderzając po drodze w siatkę. Psy stanęły na tylnych łapach i zaczęły wyć i ujadać, a ich zawodzenie wznosiło się na podobieństwo hymnu. Jednak mimo tego hałasu słyszał szept śniegu przesączającego się pod drzwiami, kłębiącego się po podłodze w kierunku ojca, który leżał na betonie nieruchomy, patrząc w nicość i nie oddychając. Posadzka zatrzęsa się, jakby coś uderzyło w ziemię. Edgar uzmysłowił sobie, że siedzi. Powoli, chwytając kratkę po kratce w drucianych drzwiach zagrody, podniósł się i stanął. Po chwili psy ucichły, a on ponownie znalazł się przy ojcu. Przydreptała Almondine, trąciła Edgara nosem w dłoń i usiadła przy nim. Pozostałe psy skryły się na drugim końcu psiarni, skąd patrzyły, ciężko dysząc.

I tak razem czekali.

137

Edgar potrafił tylko stać przed tym starszym człowiekiem, dygocząc na całym ciele. Zęby mu dzwoniły, mięśnie twarzy drżały mimowolnie. Nagle noga ugięła się pod nim i opadł na śnieg, widząc jeszcze tylko biegnącego doktora Papineau.

Burza

Kiedy zamknął powieki, przed jego oczami rozkwitło coś okropnego, Jakiś niesamowity kształt otoczony czarnymi płatkami, kipiący i bezustannie przelewający się na zewnątrz. Chociaż ciałem był przy ojcu, miał wrażenie, że wstaje i wychodzi ze stodoły. Na dworze był letni wieczór. Słońce zaszło, ziemia była ciemna. Przeszedł przez podwórze do domu, podniósł niezniszczoną słuchawkę telefonu i zaczął mówić. Nikt nie odpowiadał. Ponownie znalazł się na dworze. Zaczął padać deszcz, nie poruszany nawet jednym podmuchem wiatru, a wraz z nim nadciągnęła noc.

Kroczył drogą, przemoczone ubranie wisiało na nim, i tak szedł godzinami w panującej wokół ciszy.

Usłyszał jakiś dźwięk: stłumiony chrzęst opon na oblodzonym podjeździe. Psy zaczęły szczekać. Niektóre rzuciły się do pozamykanych wyjść na wybiegi. Męski głos coś krzyczał. Trzask drzwi na ganku. Te wszystkie dźwięki sprowadziły go z powrotem do stodoły i znowu siedział przy ojcu. Próbował wstać, ale nie udało mu się. W ostatniej chwili całym ciężarem rzucił się na bok i zaczął pełzać po posadzce stodoły, starając się nie dotknąć ojca. Leżał i dyszał. Nieoczekiwanie gdzieś z okolicy szaf na dokumenty pojawiła się Almondine i tak długo trącała go nosem w dłoń, aż zmusił się do powstania. Podszedł do wrót stodoły i otworzył je na oścież. Niebieski śnieg. I cienie w jeszcze intensywniejszym niebieskim kolorze. Już dochodził do domu, kiedy w drzwiach ganku ujrzał doktora Papineau.

— Edgarze, drzwi do domu były szeroko otwarte... — zaczął, lecz zaraz urwał. Jego spojrzenie powędrowało w stronę stodoły. — Co się dzieje? — powiedział. — Gdzie rodzice?

138

Obudził się w sypialni rodziców. Leżał na boku, twarzą do drzwi. Obok niego była Almondine. Oparty o kuchenne szafki doktor Papineau stał tyłem do Edgara i rozmawiał przez zniszczony telefon.

— Tak — mówił. — Oczywiście. Dobry Boże, Glen, Gar Sawtelle leży w stodole, a jego syn jest w jakimś szoku. Nie. Nie. Nie wiem. Ręce ma posiniaczone i poranione. Dobrze. W porządku. Tak, to na pewno on. Kiedy tu przyszedłem, była rozbita na kawałki i zwisała z widełek. To cud, że w ogóle działa.

Zapanowało milczenie.

—W wytwórni paszy—powiedział. — Może w sklepie spożywczym. Chy-

ba że jest już w drodze powrotnej do domu. Postaraj się ją złapać, zanim... Jeździ pikapem. Brązowym... hm, chevroletem z paką. Uhm. Uhm. — A potem stwierdził: — Nie. — W tym słowie zawarta była jakaś nieodwracalność.

Odwiesił słuchawkę, przeciągnął dłońmi po siwych włosach, wyprostował się, odwrócił i wszedł do sypialni.

— Synu? — odezwał się. — Edgarze?

Edgar popatrzył na niego i spróbował usiąść. Stary mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu.

— Leż spokojnie — powiedział. — Wiesz, co się stało?

Nie powinienem go zostawiać. Będzie mu zimno.

— Edgarze, nie rozumiem twojego języka. — Doktor Papineau podniósł się i odwrócił do kuchni. — Przyniosę ci papier i ołówek.

Ledwo wyszedł z pokoju, Edgar zerwał się i rzucił do kuchni, ale zawiódł go zmysł równowagi, wpadł na stół i przewrócił się. Zanim się pozbierał i otworzył drzwi na ganek, doktor Papineau zdążył chwycić go za ramię. Przez moment wisiał w pół kroku nad tylnymi schodkami, w końcu doktor Papineau nie mógł dłużej go trzymać i Edgar wpadł w śnieg tuż obok ganku. Zanim się ruszył, Papineau był przy nim.

— Zaczekaj — powiedział. — Nie chcę, żebyś tam szedł. Nic tam teraz nie pomożesz, a oglądanie go w tym stanie może ci tylko zaszkodzić.

Chodź do domu i poczekaj ze mną, dobrze?

139

Jak na starszego człowieka doktor Papineau był zaskakująco silny. Chwycił Edgara za koszulę na plecach i wyciągnął ze śniegu. Starając się stanąć na nogi, Edgar czuł, że zaraz trzasną mu guziki z przodu koszuli.

— Możesz iść?

Skinął głową. W miejscu, w które wpadł, śnieg był poplamiony na

czerwono od skaleczeń i rozcięć na jego rękach. Papineau mocno trzymał Edgara za ramię, gdy wchodzili do domu. Edgar usiadł przy stole i wlepił wzrok w weterynarza, aż w końcu starszy mężczyzna odwrócił oczy, wstał i zabrał się za parzenie kawy. Edgar poszedł w kąt kuchni i usiadł na podłodze przy kratce nawiewu powietrza, czując, jak ciepło dmucha mu po stopach. Uderzeniem dłoni przywołał Almondine. Podeszła, stanęła obok i sapiąc, oparła się o niego. Skaleczenia na rękach paliły go jak ogień.

— Jest kawa — po chwili odezwał się doktor Papineau.

Kiedy Edgar nie zareagował, wyjął z szafki kubek, napełnił go i ponownie usiadł przy stole. Popatrzył na telefon, na zegar i na chłopca.

— Bardzo mi przykro, że tak się stało, Edgarze — w końcu powiedział. — Ale po wielu latach pracy jako weterynarz nauczyłem się jednego, mianowicie tego, żeby zajmować się żywymi. Twój tato został tam i bardzo mi przykro, że nic nie możemy dla niego zrobić, ale nikomu nic nie da, jeśli tam pójdziesz i doprowadzisz się do szaleństwa. Wiem, że to trudne, z czasem jednak zrozumiesz, że tak to już jest. Każdy kogoś traci. Rozumiesz? To okropne. Prawdziwa tragedia dla takiego chłopca jak ty, kiedy musi stawić czoło czemuś tak strasznemu, ale teraz ani ty, ani ja, ani nikt inny nie możemy zrobić nic innego, jak czekać na ludzi, którzy wiedzą, jak się tym zająć.

Doktor Papineau mówił głosem spokojnym, lecz jego drżący kciuk bez przerwy stukał w stół, tak że musiał położyć jedną rękę na drugiej, by nad nim zapanować. Edgar zamknął oczy, pozwalając, aby wirował przed nimi ten kształt z czarnymi płatkami. Po chwili znowu szedł ciemną drogą, padał deszcz, a im dłużej szedł, tym droga była węższa i bardziej zarośnięta, aż w końcu przyniosła ukojenie.

Almondine uniosła łeb, a on usłyszał dźwięk syreny, początkowo słaby,

z każdą chwilą jednak głośniejszy, kiedy zbliżała się do szczytu wzgó-
rza. Popatrzył na swoje dłonie. Obie miał owinięte białymi bandażami,
porządnie zaklejonymi plastrem. Doktor Papineau musiał założyć mu
opatrunki, choć Edgar tego nie pamiętał. Wszedł do salonu i zastał we-
terynarza stojącego przy oknie. Zobaczyli karetkę wjeżdżającą na pod-
jazd, a za nią pikapa. Matka siedziała na miejscu pasażera. Kiedy pikap
mijał dom, odwróciła się i spojrzała przez szybę z twarzą zubożoną
po doznanym szoku.

Edgar poszedł do kuchni i ponownie usiadł przy kratce nawiewowej.
Doktor Papineau otworzył drzwi do kuchni i wyszedł na dwór. Edgar
usłyszał męskie głosy. Chwilę później matka klęczała przy nim.

— Popatrz na mnie — odezwała się ochryłym głosem.

Odwrócił się, lecz przez długą chwilę nie potrafił spojrzeć jej
w oczy.

— Edgarze — powiedziała — jak długo tam byłeś? — Gdy nie odpo-
wiadał, dodała: — Około drugiej ktoś dzwonił na centralę, ale nikt się
nie odezwał. To ty dzwoniłeś?

Skinął głową. Obserwował jej twarz, chcąc zobaczyć, czy matka już
odgadła rozmiar jego winy, ona jednak tylko pochyliła czoło, przywie-
rając nim do jego głowy, i objęła go ramionami. Pod jej dotykiem za-
płonął w nim ogień, pożerając go żywcem, a kiedy wreszcie zgasł, Edgar
siedział jak wypalony w objęciach matki.

— Wiem, co myślisz, Edgarze — szepnęła. — Spójrz na mnie. To
nie stało się przez ciebie. Nie wiem, co się wydarzyło, ty będziesz musiał
mi wszystko opowiedzieć, choćby to było coś najgorszego. Rozumiesz?
Mogę czekać całą noc, jeśli będziesz chciał, i możemy siedzieć razem,
ale zanim pójdziemy spać, musisz mi powiedzieć, co się stało.

Dopiero kiedy uniosła głowę, zdał sobie sprawę, że własną głowę

objął ramionami. Na twarzy czuł ciepło jej rąk. Chciał wszystko jej powiedzieć, natychmiast, i nie chciał mówić nic, nigdy. Już uniósł ręce, żeby zacząć pokazywać, kiedy uzmysłowił sobie, że nie ma pojęcia, co chce powiedzieć. Jeszcze raz spróbował.

Jeśli tego nie powiem, to nie będzie prawdą.

Spojrzała na jego zabandażowane ręce i wzięła je w dłonie.

— Ale wiesz, że to nieprawda? Nie możemy nic zrobić, żeby on wrócił. — Twarz jej się pomarszczyła i matka się rozplakała. Objął ją ramionami i mocno przycisnął.

140

141

W tym momencie w drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna, potężny, barczysty mężczyzna, olbrzym, nieomal dokładna młoda kopia doktora Papineau. Glen Papineau, szeryf Mellen. Matka podniosła się. Glen położył jej dłoń na ramieniu, poprowadził ją do stołu i wysunął spod niego krzesło.

— Usiądź, proszę — powiedział. Również sobie przysunął krzesło i usiadł, jego zimowa kurtka szeleściła przy każdym ruchu, a krzesło skrzypiało pod jego ciężarem. — Z tego co widać, niósł coś ciężkiego, kiedy to się stało. Wiadro ze złomem — rzekł. — Trudi, to prawdopodobnie był udar.

Nastało długie milczenie.

— Może zadzwonić do kogoś?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się doktor Papineau:

— Glen, zostanę tu na noc. Jeśli trzeba będzie do kogoś zadzwonić, zajmę się tym.

Szeryf przeniósł spojrzenie z poważnej starej twarzy na Trudi, która skinęła głową, patrząc nieobecny wzrokiem.

— Trudi, będę musiał porozmawiać z... z twoim synem, prędzej czy później, żeby spisać raport. Wiem, że pora nie jest najlepsza, ale trzeba to zrobić szybko. Najlepiej teraz.

— Nie — odrzekła. — Nie dzisiaj.

— Dobrze. Ale najpóźniej jutro. I chyba będę potrzebował twojej pomocy. On porozumiewa się tylko językiem migowym, tak?

— Oczywiście. Dobrze o tym wiesz.

— Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli nie czujesz się na siłach, może mógłbym załatwić tłumacza — wyjaśnił Glen. Mówił, jakby ton głosu Trudi, wyrażający zarówno znużenie, ból i zniecierpliwienie, zupełnie zbił go z tropu.

— Ja muszę tłumaczyć.

— Dlaczego?

— Używane przez Edgara znaki są... częściowo wymyślone przez niego. Gar i ja potrafimy je zrozumieć... Potrafiliśmy... Potrafimy. Normalny tłumacz języka migowego niewiele z tego rozumie. Moglibyśmy wszystko spisać albo przynieść jego starą tablicę z literkami, ale to zajęłoby zbyt dużo czasu. Poza tym nie pozwoliłabym ci przesłuchiwać go pod moją nieobecność.

142

— Dobrze, dobrze — zgodził się Glen. — Po prostu myślałem, że tak będzie ci łatwiej. Zajrzyjcie do mojego biura rano, kiedy poczujecie się już na siłach.

Odwrócił się i wyszedł z domu. Za nim podążył doktor Papineau.

Ściszonymi głosami rozmawiali na dworze, stojąc na ganku. Nagle Trudi poderwała się i ruszyła do drzwi.

— Do diabła, Glen! — krzyknęła głosem tak podniesionym, że Edgar usłyszał echo odbijające się od ściany stodoły. — Jeśli trzeba się czymś

zająć, rozmawiaj ze mną. Ze mną, rozumiesz? Page, bardzo ci dziękuję, że tu jesteś. Ale ty i twój syn nie będziecie za nas decydować. To jest nasz dom. Glen, masz rozmawiać ze mną.

— Wybacz, Trudi — odparł Glen. — No wiesz... właśnie mówiłem tacie, że poprosiłem Johna i Ala o zabranie Gara do zakładu Brentsona. I żeby ktoś z was, albo ty, albo on, zadzwonił tam i porozmawiał z Burtem, co i jak trzeba załatwić. Gdybyś wolała, żeby kto inny się tym zajął, on może to zorganizować. To wszystko. Nie chcieliśmy niczego przed tobą ukrywać. Chcieliśmy tylko pomóc.

—Wiem, że robicie to, co uważacie za słuszne. Aleja nie jestem bezradną osobą. Nie oczekuję, że to będzie łatwe, i nie oczekuję, że będę musiała przez to przejść samotnie, oczekuję natomiast, że wszelkie decyzje, które trzeba będzie podjąć, będę podejmować ja i tylko ja, rozumiecie? Jeśli będę potrzebowała pomocy, poproszę o nią. A jeśli chodzi o zakład Brentsona, Glen, nie mam nic przeciwko temu. Byłabym wdzięczna, gdybyś mógł poinformować pana Brentsona, że skontaktuję się z nim rano. Do ciebie też zajrzę rano. A teraz, Page, chodź do środka, bo złapiesz zapalenie płuc. Zapadła cisza i po chwili pożegnali się. Doktor Papineau wszedł do domu, a Trudi udała się do salonu, skąd obserwowała karetkę i samochód policyjny wyjeżdżające z podjazdu i kierujące się w stronę pokrytego ubitym śniegiem wzgórza, a potem dalej, do Mellen.

Kiedy zniknęły tylne światła pojazdów, Trudi weszła do kuchni.

— Page, mógłbyś zrobić coś na kolację? Cokolwiek, na co masz ochotę. My musimy iść do psiarni i...

— Zaczekaj moment — łagodnym tonem odezwał się doktor Papineau. — Nie wolałabyś raczej, żebym ja wziął na siebie te obowiązki? Dzięki temu moglibyście porozmawiać sobie z Edgarem.

— Nie, powinniśmy zjeść kolację, a jej przygotowanie to zbyt spokojne zajęcie i dla niego, i dla mnie. Edgar pójdzie ze mną do stodoły, a kiedy wrócimy, nic nam się tak nie przyda jak gotowa kolacja. Zakładając, że będziemy mieli apetyt.

Odwróciła się do Edgara.

— Edgarze? Pójdiesz ze mną do psiarni i pomożesz mi?

Chociaż na samą myśl o tym, że ma iść do stodoły, zakręciło mu się w głowie, Edgar podniósł się. Jego kurtka leżała na podłodze w sypialni. Zanim wyszli z domu z towarzyszącą im Almondine, doktor Papineau zdążył już wyjąć z lodówki zawinięty przez rzeźnika w biały papier kawałek mięsa i wlepił wzrok w szafki.

Kiedy znaleźli się na dworze, Trudi zatrzymała się, chwyciła Edgara za rękę i objęła go ramionami. Szepnęła mu do ucha:

— Edgarze, jeśli chcemy zatrzymać ten dom i to wszystko, musimy wyglądać jak ludzie, którzy dadzą sobie radę, i to od samego początku. Nie wiem, czy powinnam cię o to prosić, ale i tak to zrobię. Posłuchaj, kochanie. Czy jesteś w stanie pójść teraz ze mną do stodoły? Zrobimy to razem. Wiem, że to nie będzie łatwe, i jeśli nie możesz, nie zrobimy tego, dobrze? Ale uwierz mi, im szybciej tam pójdziesz, tym lepiej będzie dla ciebie.

Odchyliła się i spojrzała na niego. Skinął głową.

— Na pewno?

Nie. Uśmiechnął się nieznacznie, a ona odpowiedziała tym samym i nagle oczy jej zwilgotniały.

Bez ciebie na pewno nie mógłbym tego zrobić.

— Jak długo będzie to potrzebne, nie będziesz musiał chodzić tam beze mnie.

Doszedłszy do stodoły, od razu zdjęła zasuwkę i szeroko otworzyła wrota; światło w przejściu, tak słabe za dnia, rozlało się po powierzch-

ni śniegu, a cienie Edgara i jego matki położyły się na leżących za nimi zaspach śniegu. Almondine wbiegła do środka pierwsza. Nie zastanawiając się ani przez chwilę, Edgar wszedł, odwrócił się i zamknął za sobą wrota, skupiając wzrok na blasku oświetlającym drzewa naprzeciwko, zanikającym wraz zamykaniem drzwi.

Stanęli w trójkę w przejściu psiarni. Psy były tak cicho, że słyszał swój i matki oddech. Drzwi do warsztatu stały otworem. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł w środku, była przewrócona matowoszara bańka na mleko i pokryty pomarańczowym pyłem rdzy drobny złom małych śrub, nakrętek, zawiasów, gwoździ i podkładek rozsypanych półkolem na ziemi. Jak przez mgłę przypominał sobie tę bańkę. Matka chwyciła pojemnik za brzeg i zaparła się, odchylając do tyłu. Edgar pomógł jej i bańka z łoskotem stanęła na ziemi. Pozbierali złom i powrzucaли go do środka. Rdza pozostawiła pomarańczowe plamy na bandażach spowijających ręce Edgara. Kiedy już wszystko wyzbierali, wzięli miotłę i szufelkę, pozamiatali i wrzucili śmieci do tej samej bańki na mleko, a potem razem wtaszczyli ją pod prowadzące na strych schody. Pomyślał, że zamietli i włożyli do tego pojemnika coś, co trudno byłoby nazwać, i zawarli niemą umowę, że nigdy tego nie ruszą, nigdy nie opróżnią, nigdy nie dotkną.

Dali psom jeść i pić, posprzątaли kojce i rozrzucaли świeżą słomę. Edgar nabrał pełną puszkę po kawie wapna niegaszonego ze stojącego przy tylnych drzwiach worka i wywiózł na taczce obornik. Wysypał obornik na końcu ścieżki, posypał go wapnem. Po powrocie zastał matkę w kojcu małych szczeniaków. Jeden z nowo narodzonych szczeniaków zmarł, prawdopodobnie przerażony całym tym zamieszaniem. Chociaż może matka malucha wpadła w panikę i na niego nadepnęła. Trudi głaskała go dwoma palcami. Wraz z Edgarem zanieśli go do pomieszczenia me-

dycznego i włożyli do jednego z przechowywanych tam grubych plastikowych worków. Edgar wziął worek ze szczeniakiem i wyniósł na dwór, by zakopać. Przez plastik wciąż czuł ciepło ciała, jakby matka psiaka leżała przy nim nawet po jego śmierci.

Trudi już czekała na Edgara, kiedy wrócił do stodoły. Odezwała się drżącym głosem, kładąc mu ręce na ramionach tak, żeby nie mógł się odwrócić:

— Chcę, żebyś mi powiedział, co tu się stało. Zrób to teraz, jeśli możesz. Zanim wrócimy do domu.

Zaczął migać. Opowiedział jej prawie wszystko — o tym, jak znalazł leżącego tu ojca, jak wykręcał numer telefonu i zostawił wiszącą słuchawkę. Nie powiedział jej jednak o tym, że o mało nie zrobił sobie krzywdy, starając się uderzeniami wydobyć głos z piersi. Nie powiedział jej o tym, co kipiało i wirowało, kiedy zamykał oczy, ani o tym, jak chodził po drodze, ani też o deszczu. Kiedy skończył, matka cicho

144

145

szlochała. Stali blisko siebie, obejmując się ramionami. W końcu włożyli kurtki i wyłączyli światła. Śnieg przestał już padać, ale wiatr uderzał w ściany stodoły, wzbijając w powietrze suche płatki układające się w polarne galaktyki. Chmury wiszące nisko nad drzewami tworzyły szarą barykadę na niebie.

Udali się do domu. Almondine szła obok, sapiąc. Za półprzezroczystym, zaparowanym kuchennym oknem na moment pojawiła się sylwetka stojącego przy zlewie doktora Papineau, lecz po chwili zniknęła z pola widzenia. Dotarłszy przed ganek, zatrzymali się na moment, żeby strząsnąć śnieg z butów, i weszli po schodach do domu.

Pogrzeb

Przy kuchennym stole siedział doktor Papineau, znów ten sam siwo-włosy, wąski w ramionach starszy człowiek, którego Edgar znał od urodzenia, wyglądający na równie wstrząśniętego i oszołomionego jak on. Patrząc teraz na niego, trudno było uwierzyć, że tak niepozorna postać mogła podnieść Edgara ze śniegu, chwyciwszy za koszulę na plecach. Z drugiej strony trudno było uwierzyć w cokolwiek, co się wydarzyło tego popołudnia.

Na kuchence stały dwa garnki, a spod szczękających pokrywek wydobywały się obłoki pary. Edgar zrzucił z siebie kurtkę. Matka wsparła się na jego ramieniu, żeby nie stracić równowagi przy rozwiązywaniu butów. Po chwili stanęli i popatrzyli na siebie. W końcu Papineau przerwał ciszę.

— To nic specjalnego — powiedział, wskazując ręką na rozstawione na stole talerze i miski. — Zupa i ziemniaki. Marny ze mnie kucharz, ale potrafię otwierać puszki i zagotować wodę.

Trudi przeszła przez pomieszczenie i uścisnęła starego mężczyznę.

— W porządku, Page — stwierdziła. — Dziś nie potrzeba nam niczego więcej.

Edgar wysunął krzesło i usiadł. Almondine wepchała mu się między kolana, przycisnęła łeb do jego brzucha i oparła się o niego, a Edgar

149

wsparł głowę na rękach i wdychał zapach kurzu z jej grzywy. Przez dłuższą chwilę miał wrażenie, że kuchnia wokół nich wiruje. Kiedy w końcu uniósł głowę, na stole przed nim parowała miska z zupą, a doktor Papineau zdejmował z kuchenki garnek z ugotowanymi poćwiartowanymi ziemniakami. Nałożył je na talerze i sam usiadł do stołu.

Edgar popatrzył najedzenie.

Jeśli możesz, zjedz, pokazała na migi Trudi.

Dobrze. Chyba nie wypada teraz być głodnym.

Jesteś głodny?

Tak. Sam nie wiem. Mam wrażenie, jakby ktoś inny był głodny.

Przyjrzała się bandażom na jego rękach.

Boli?

Dłonie mu drżały, w lewym kciuku czuł pulsowanie, choć nie pamiętał, kiedy mógł go nadwerężyć. Sprawy zbyt błahe, żeby o nich mówić.

Weź aspirynę.

Wiem. Wezmę.

Zanurzyła łyżkę w zupie, uniosła ją do ust, przełknęła i ponownie spojrzała na niego. W jej oczach dostrzegł determinację, więc w akcie solidarności wtoczył do zupy kawałek ziemniaka i zaczął dzielić go na mniejsze części.

Doktor Papineau odchrząknął.

— Jutro nie otwieram gabinetu.

Trudi skinęła głową.

— Możesz spać w pokoju gościnnym, pościel jest w łazience. Pościelę ci po kolacji.

— Sam sobie pościelę. Nie martw się tym.

Zapadła cisza przerywana tylko brzękiem sztućców. Po chwili przed Edgarem stał pusty talerz, chociaż nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie o smak zupy. Matka przestała już nawet udawać, że je.

— To są naprawdę wstrząsające chwile — odezwał się doktor Papineau. Powiedział to ni z tego, ni z owego, więc trudno było cokolwiek dodać. — Kiedy umarła Rose, sądziłem, że jakoś sobie radzę. Chociaż miałem złamane serce, starałem się trzymać. Ale przez kilka pierwszych dni nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Musicie oboje uważać, słyszycie? Pierwszej nocy o mało nie spaliłem domu. Postawiłem czaj-

nik elektryczny na kuchence i włączyłem palnik.

150

- Masz rację, Page. Dzięki, że nam przypominasz.

Weterynarz spojrział na Edgara, a potem na jego matkę. Miał bardzo poważną minę.

- Jest kilka spraw, o których powinniśmy jeszcze dziś porozmawiać... - zabrakło mu głosu.

- W porządku, Page - powiedziała Trudi. - Edgar uczestniczy we wszystkim, co się teraz dzieje, czy nam się to podoba czy nie.

„Niemusisz niczego owijać w bawełnę.

- Mógłbym zatelefonować w kilka miejsc. Edgar będzie musiał przez kilka dni opuścić lekcje w szkole. Nie wiem, czy chcesz porozmawiać z Claude'em, powiadomić go o tym, co się stało. Może są też inni ludzie, do których chciałabyś zadzwonić. Krewni czy ktoś taki.

Mógłbym pomóc ci sporządzić listę.

Matka Edgara spojrzała na doktora Papineau i skinęła głową.

- Tak. Ale wolałabym sama zatelefonować. Moglibyście posprzątać ze stołu?

Odsunęli krzesła i wstali. Doktor Papineau włożył resztki do lodówki, a Edgar wstawił stos talerzy do zlewu, z ulgą witając możliwość ruszenia się z miejsca. Odkręcił wodę i patrzył na wzbierającą na talerzach pianę z płynu do mycia naczyń. Doktor Papineau podał mu ścierkę i powiedział, że z tymi jego rękami lepiej będzie, jak zajmie się wycieraniem.

Trudi podeszła do blatu, otworzyła książkę telefoniczną i zaczęła wypisywać z niej jakieś numery na skrawku papieru. Popatrzyła na rozbitą słuchawkę na widelkach telefonu, przypominającą ptaka ze złamaną szyją, po czym ustawiła aparat na blacie i wybrała numer. Trzymając w dwóch rękach słuchawkę przy twarzy, zapytała, czy rozmawia z dy-

rektorem szkoły. Poinformowała go o śmierci ojca Edgara.

- Dziękuję - powiedziała. - Nie. Jestem wdzięczna. Tak. Dziękuję. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę na blat, opuściła ręce i odetchnęła głęboko.

Odłożona słuchawka zaczęła buczeć, więc nacisnęła na widelki, przerywając ten sygnał, i wykręciła kolejny numer.

- Claude? — zapytała. - Muszę ci coś powiedzieć. Wydaje mi się, że powinieneś o tym wiedzieć. Chodzi o Gara. Dzisiejszego popołudnia pracował w psiarni i miał... miał pewien problem. Chyba jakiś atak. On... Nie. Nie. Jeszcze nie wiemy. Tak. Tak. Tak.

151

Zapadła długa cisza.

— Przykro mi, Claude. Nie sądzę, żeby teraz to było odpowiednie.

Nie można nic... Tak. Jest tu Page. Dzięki Bogu, że go mamy. W porządku. Dobrze. Do widzenia.

Następnie wybrała trzeci numer i monotonnym głosem poprosiła o połączenie z Glenem. Umówiła się z nim nazajutrz w jego biurze, a potem przez dłuższy czas milczała, słuchając tego, co mówił. Do Edgara z rozbitej słuchawki docierał tylko szelest ropy, a nie słowa. Natomiast jego matka zdawała się zapadać jak wosk rozmiękczony przez słońce, aż jej czoło prawie dotknęło leżących przed nią papierów.

— Czy to konieczne? — wyszeptała. — Czy nie ma innej... ? Tak. Tak, oczywiście. Wiem. Ale...

I znowu szelest ropy.

— W porządku — powiedziała.

Brzmienie jej głosu spowodowało, że nogi ugięły się pod Edgarem.

Doktor Papineau zapytał go o coś. Edgar pokręcił tylko głową, nic nie rozumiejąc. Weterynarz podszedł do Trudi i położył jej rękę na ramie-

niu. Ponownie się wyprostowała.

— Wystarczy — odezwał się doktor Papineau, kiedy skończyła rozmowę. Wyjął słuchawkę z jej rąk i położył do góry nogami na widełkach.

— Wystarczy jak na jeden wieczór.

Ze ściągniętymi kącikami ust i błyszczącymi oczami spojrzała na starego mężczyznę.

— Dobrze — odrzekła. — To było... trudniejsze, niż się spodziewałam.

Obeszła stół do miejsca, w którym siedział Edgar, i oparła się na jego barkach, tak żeby miał przed oczami jej ręce pokazujące mu znaki języka migowego.

Dobrze się czujesz?

Próbował odpowiedzieć, ale nagle poczuł, że nie jest w stanie tego zrobić.

Chciałabym, żebyś poszedł teraz spać.

A ty?

Chcę chwilę posiedzieć w ciszy. Idź. Nic więcej nie można zrobić.

Miała rację, wiedział o tym. Jego matka była osobą praktyczną, być może za sprawą tych wszystkich lat spędzonych na tresowaniu psów.

A może taka była z natury. Ścisnął jej przedramię, aż poczuł pod palcami jej puls, a potem uniósł dłoń, w milczeniu przekazując doktorowi Papineau życzenia dobrej nocy.

I on, i Trudi spali w salonie, chociaż wcale się nie umawiali. Zniósł z góry koc i poduszkę, a kiedy usiadł na kanapie, nie miał już sił, żeby jeszcze raz pójść na górę i przebrać się. Naciągnął brzeg koca na ramiona, podkulił kolana i zamknął oczy. W uszach rozległo się dzwonienie — które prawdopodobnie przez cały czas gdzieś tam się czaiło, ale ujawniło się dopiero wówczas, gdy koc przytłumił jego zmysły. Pograżył się w drzem-

ce. Matka i doktor Papineau wyłączyli światła, zapadła cisza i zaczęły napływać kolejne obrazy, wskrzeszone przez obserwującą wszystko wro-
nim okiem część jego umysłu, zawieszoną gdzieś między jawą i snem.
Poszarpane emocje na zmianę go opanowywały i opuszczały, wyciąga-
ne jak części garderoby z szafy i odrzucane jedna po drugiej. A w głębi
chaos wyobrażeń i wspomnień, coś tak w nim usilnie tłumionego, że
prawie tego nie pamiętał: myśl, że wszystko, co niegdyś było na świecie
prawdziwe, odeszło już w przeszłość, a wraz z tym przepadło tysiące no-
wych możliwości. I zaraz potem fala przytłaczającego wstydu.

Po jakimś czasie otworzył oczy. Matka zawinęła się w koc i tak opa-
tulona siedziała wciśnięta w kąt fotela. Jak przez mgłę przypominał so-
bie, że klęczała przy nim i przesuwiała ręką, ciepłą i gładką, po jego czo-
le, najpierw dotykając brwi, a potem wsuwając palce w jego włosy. Nie
otworzył wówczas oczu. Jej dotknięcie uwolniło jakieś drobniutkie po-
kłady gnieźdzącej się w nim trucizny, która w miarę upływających dni
miała rozwinąć się w smutek. I gdy już te wszystkie myśli przetoczyły
się przez jego głowę, sam nie wiedział, czyjej pieszczoty rzeczywiście
miały miejsce, czy też on sam z konieczności je wyprodukował.

Kiedy w końcu zasnął, pograżył się we śnie czarnym, pozbawionym
jakichkolwiek obrazów. Na dźwięk szmeru śniegu po oknie podrywał się
i wspierał na łokciu, żeby zaraz ponownie zapaść się w sen, zawieszony
między jednym światem a drugim. Papineau chrapał na piętrze w po-
koju, który kiedyś przygotowali dla Claude'a. Przez sufit salonu prze-
nikał dźwięk podobny muczeniu bydła na dalekim pastwisku: muuu!
muuu! Edgar obudził się ponownie, czując, że Almondine gdzieś idzie.
W ciemnościach patrzył, jak przyciska nos do koca opatulającego mat-

kę, obwąchując ją równie delikatnie, jak przed chwilą musiała obwąchiwać Edgara. Przez chwile lam postąła, lekko dysząc, po czym wróciła na środek pokoju. Zakręciła się w miejscu, położyła i wtedy spotkały się ich spojrzenia. Postawiła uszy do przodu. Oczy się jej zwężyły, zaraz potem otwarły szeroko, ponownie się zwężyły, tym razem mocniej, w ciemnościach ich kryształowy blask wzmagał się i słabł. Na koniec westchnęła i zasnęła.

Kiedy wstał nowy dzień, w jego pamięci pozostała noc spędzona na obserwowaniu innych. I każde z nich — pies i chłopiec, matka i stary człowiek — miało takie samo wrażenie.

O brzasku poszli do stodoły. Zimno było przerażające, niebo nad głowami jaśniało upstrzone punkcikami gwiazd. Po wejściu do psiarni zauważyli, że potrzebują więcej słomy, więc Edgar przeszedł przez warsztat, wspiął się na strych i włączył światła. Ściana beli ułożonych przed nim warstwami przypominała ziggurat. Był dopiero początek zimy, toteż w niektórych miejscach bele sięgały jeszcze sufitu. Na gwoździu wbitym we frontową ścianę wisiał hak z czerwoną rączką służący do przenoszenia słomy. Przyciągnął dwie bele na środek strychu, chwycił za małe kółko i uniósł klapę w podłodze. Spojrzał w dół i zobaczył czekającą poniżej Trudi.

— Rzucaj — powiedziała.

Przepchnął bele przez otwór i patrzył za nimi, jak wykonują półobrót i z łomotem uderzają o zakurzony beton.

Przy użyciu wideł i taczki posprzątał kojce, po czym rozrzucił wapno niegaszone po nagiej posadzce. Przeciął szpagat, bele słomy rozwinęły się w złote snopy. Z tylnej kieszeni wyciągnął zgrzebło i pospiesznie zabrał się za rozczesywanie sierści psów. Kiedy Edgar pracował, do stodoły wszedł doktor Papineau, oświadczając, że zajrzy do szczeniaków, i znik-

nał za drzwiami do ich zagrody. Edgar udał się do swojego miotu. Finch i Baboo, chociaż najmniej pobudliwe, tuliły się do niego z dwóch stron. Essay próbowała wspiąć się na niego z przodu. Uspokoił je, przykładając im dłonie do brzuszków i mordek, a potem, w miejsce prawdziwej tresury, kazał im siadać i wykonywać inne proste czynności.

Kiedy już skończyli, Edgar, Trudi i weterynarz razem przeszli na podjazd. Doktor Papineau obiecał zadzwonić później i skierował się do swojego samochodu, po czym odjechał. Kiedy Edgar przebrał się i zszedł na dół, zobaczył matkę stojącą przy blacie z rozbitą słuchawką w dłoni. Czekał w salonie, kiedy rozmawiała z firmą telekomunikacyjną w sprawie naprawy aparatu. Skończywszy, weszła do salonu.

— Nie musisz tam iść — odezwała się. — Mogę zadzwonić do Glena i powiedzieć mu, że jeszcze nie jesteś gotowy.

Nie możesz iść sama do zakładu Brentsona.

— Mogę pójść z Page'em.

Nie.

Już miała coś odpowiedzieć, skinęła jednak tylko głową. Almondine stała przy kuchennych drzwiach, kiedy Edgar wkładał kurtkę, potem zbiegła po schodach i stanęła przy pikapie. Miał wrażenie, że w kabine jest jeszcze zimniej. Winyłowe fotele wyginały się jak blacha. Trudi wrzuciła bieg i wyprowadziła samochód długim, nachylonym podjazdem pod górę, a potem jechali w ciszy, słuchając chrzęstu lodu pod kołami. Cały świat lśnił przejrzystym błękitem. W ich kierunku pędziły słupy telegraficzne, błyskawicznie odchylające się na boki i znikające, falujące druty to wznosiły się, to opadały w równomiernych odstępach.

W Mellen Trudi zaparkowała samochód przed zwieńczonym kopułą ratuszem i w trójkę podążyli za wymalowanymi na ścianach korytarza strzałkami, aż dotarli do biura szeryfa. Nawet w pomieszczeniu

ich oddechy tworzyły widoczną parę. Cały budynek wypełniała woń palonych włosów. Za biurkiem siedziała blondynka ubrana w zimowy płaszcz i rękawice z jednym palcem. Przed nią, na środku biurka, stał mikrofon na podstawce. Popatrzyła na nich, podniosła się i zerknęła zza barierek na Almondine.

— Poproszę Glena. Radzę nie zdejmować okryć — powiedziała. — Popsuło się ogrzewanie. Czekamy na fachowca z Ashland.

Dziewczyna podeszła do znajdujących się za jej biurkiem drzwi i zapukała. Po chwili wyłonił się z nich Glen Papineau w niebieskiej służbowej kurtce i kapeluszu, a jego pojawienie się spowodowało, że pokój natychmiast się skurczył. Nawet bez rękawiczek jego dłonie wyglądały jak talerze. Edgar przez chwilę zastanawiał się, czy doktor Papineau też kiedyś był tak wielki, ale zaraz odsunął od siebie tę myśl. Wiedział, że z wiekiem ludzie się kurczą, lecz nikt nie mógłby zmniejszyć się aż do tego stopnia.

154

155

— Trudi, Edgar, proszę, wejdźcie. Przepraszam za to zimno. Mamy problemy z kotłem. Szkoda gadać. Jestem tu od szóstej. To cud, że żadne rury jeszcze nie popękały. Czy ktoś napije się kawy? Albo gorącej czekolady?

Trudi spojrzała na Edgara. Pokręcił przecząco głową.

— Nie trzeba, Glen — odezwała się.

— Annie, jednak proszę, przynieś. Może choć trochę biuro się rozgrzeje. Dla mnie ze śmietanką i cukrem.

Poprowadził ich do biura, osobliwie oszczędnego i zagraconego równocześnie. Na biurku piętrzył się stos papierów i notatników, ściany natomiast były gołe z wyjątkiem wiszącego tam oprawionego dyplomu

i zdjęcia młodego Glena w trykocie zapaśnika szkoły średniej w Mel-
len, przyciskającego do maty jakiegoś nieznanego olbrzyma zwiniętego
w pozycji płodowej. Na zdjęciu Glen opierał się na palcach u nóg, jego
sztywne jak kłoda ciało wisiało nieomal równolegle do maty, a na udach
rysowały się nabrzmiące żyły jak u konia pociągowego. Obok rozmyta
ręka sędziego uderzająca w matę.

Glen postawił przed biurkiem trzy składane krzeselka i gestem
wskazał Trudi i Edgarowi, żeby usiedli, a potem sam zajął miejsce. Al-
mondine podeszła do niego i obwąchała mu kolano i but.

— Cześć, mała — powiedział i dodał: — Aha — widząc Annie wno-
szącą trzy papierowe kubki. Ruchem przedramienia oczyścił kawałek
biurka. Sterta papierów z drugiej strony spadła na podłogę. Na twarzy
Glena pojawił się wymuszony uśmiech. — To moje noworoczne posta-
nowienie. Jak co roku.

— W tym jest gorąca czekolada — odezwała się Annie. Postawiła
kubki na oczyszczonej powierzchni i z nieszczęśliwą miną ułożyła zrzu-
cone papiery z powrotem na biurku.

— Zapraszam — rzekł Glen, wskazując na parujące kubki. Z na-
maszczeniem otworzył notes i pstryknął w końcówkę długopisu. — No
tak... Naszym zadaniem jest spisać to, co się wydarzyło. Takie są pro-
cedury. Chcemy zrobić to jak najszybciej, zanim coś umknie z pamię-
ci. Chciałbym was za to przeprosić. Wiem, że to nie jest przyjemne.
Prawdę mówiąc, tatko przyszedł do mnie dziś rano i zrobił mi piekło...

— Urwał, a Edgar pomyślał, że chyba się zawstydził, że o swoim ojcu
powiedział „tatko”.

— Nie ma sprawy, Glen — odezwała się Trudi. — Po prostu pytaj.
Edgar będzie mi udzielał odpowiedzi językiem migowym.

— W takim razie dobrze. Trudi, o której pojechałaś do miasta?

— Wyjechałam około jedenastej trzydzieści.

Glen zapisał coś w notesie.

— A ty, Edgarze, przez cały dzień byłeś w domu?

Skinął głową.

— Kiedy przyszło ci do głowy, że coś się stało?

Edgar na migi udzielił odpowiedzi.

— Pracował na strychu i zauważył, że psy szczekają — powiedziała matka. — Kiedy zszedł po schodach, Gar... leżał na posadzce.

— Byłeś na strychu?

— Gdy jest zimno, tam ćwiczymy z psami — niecierpliwie odparła Trudi, zanim Edgar zdążył udzielić odpowiedzi. — Przecież o tym wiesz. Sam tam byłeś.

— Tak, to prawda. Chcę tylko zebrać kompletne informacje. Byłeś tam z psami?

Tak. Z dwoma psami z mojego miotu.

— A te szczekające psy były na dole?

Tak.

— Jak długo przebywałeś na strychu?

Godzinę. Może dłużej.

— Nosisz zegarek?

Mam zegarek kieszonkowy. Ale nie miałem go ze sobą.

— Czy na strychu jest zegar?

Tak.

— Czy wiesz, o której godzinie to się stało?

— Przecież na pewno powiedziała ci to telefonistka — zauważyła Trudi.

— Tak. To jest zarejestrowane. Jednak sądzę, że skoro już to robimy, dobrze będzie, jeśli wszystko spiszemy.

Nie zwracałem na to uwagi. Wiem, że było po pierwszej.

— Co takiego robiłeś z psami?

Przywołania. Ćwiczyliśmy komendy „stój”, „nie podchodź”. Ustawiałem im przeszkodę.

— Czy to hałaśliwe ćwiczenia?

156

157

Raczej nie.

— Czy twój ojciec mógł słyszeć was z dołu?

Mógł słyszeć bieganie psów. I moje kroki.

— A czy ty mogłeś go słyszeć?

Co pan ma na myśli?

— Czy słyszałbyś, gdyby coś krzyknął?

— Usłyszałby krzyk — ponownie wtrąciła się Trudi. — Bardzo często się tam wołamy. Jeśli drzwi są zamknięte, czasami trzeba kilka razy powtórzyć. Przy otwartych wszystko dobrze słychać.

Glen spojrzał na Edgara.

— Drzwi były zamknięte?

Tak.

— A gdyby ktoś mówił tam normalnym głosem?

— Przy zamkniętych drzwiach nic nie słychać — stwierdziła Trudi.

— Jeśli drzwi są otwarte, słychać rozmowy w warsztacie.

— Jednak ty nie usłyszałeś żadnego krzyku? Tylko szczekanie psów?

Edgar zawahał się. Pokręcił głową.

Glen coś zapisał i przewrócił kartkę.

— Dobrze, teraz muszę zadać ci trudne pytanie i chciałbym, żebyś opowiedział wszystko, co pamiętasz. Ćwiczyłeś z psami na strychu. Usły-

szałeś szczekanie, otworzyłeś drzwi, zszedłeś na dół. Co zobaczyłeś?

Edgar zastanawiał się przez moment.

Nie pamiętam, odparł na migi.

Matka spojrzała na niego. Nie pamiętasz?

Nie.

Przecież opowiadałeś mi to zeszłej nocy.

Tak, wiem, że kiedy zszedłem na dół, zobaczyłem, że on tam leży, ale nie pamiętam tego. Po prostu wiem, że tam leżał. Jakby ktoś mi o tym opowiedział, a nie dlatego, że sam to widziałem.

Odwróciła się do szeryfa.

— Glen, on niewiele pamięta. Tylko tyle, że Gar leżał na posadzce.

— W porządku. Czasami tak się zdarza. Co dalej pamiętasz?

Biegłem do domu.

— To wtedy zadzwoniłeś na centralę?

Tak.

— Ale nic to nie dało?

Nic.

— Co zrobiłeś później?

Pobiegłem z powrotem do stodoły. Nie, zaraz... Pobiegłem na drogę. Pomyślałem, że może ktoś będzie przejeżdżał i pomoże porozmawiać przez telefon. Ale nikt nie nadjechał.

Matka powtórzyła jego wypowiedź.

— To było po tym, jak poszedłeś do domu?

Chyba tak.

— Nie jesteś pewien?

Nie. Ale wydaje mi się, że wróciłem do domu.

— Jak to się stało, że telefon był roztrzaskany?

Ponownie zawahał się. Nie pamiętam.

— Tatko mówił, że kiedy tam wszedł, słuchawka wisiała w kawałkach.

Tak. Chyba ja ją roztrzaskałem, ale nie pamiętam kiedy.

— Dobrze, już dobrze. Połączyłeś się z centralą, ale nie mogłeś powiedzieć, co się stało. Trudi, czy omawialiście kiedyś z Edgarem, jak mógłby wezwać pomoc, gdyby zaszła potrzeba?

— Nie, prawdę mówiąc, nie. Zakładaliśmy, że zawsze ktoś z nas, Gar albo ja, będzie na miejscu. Najbardziej martwiliśmy się, że Edgar może zrobić sobie krzywdę, będąc sam w polu lub w lesie. Ale zawsze jest przy nim Almondine, która pilnuje go od urodzenia. I dlatego... nie. — Oczy zaczęły jej lśnić, więc szybko spuściła wzrok. — O tak wielu ewentualnościach myśleliśmy... Gdy tylko to było możliwe, nauczyliśmy go, jak się pisze jego imię i nazwisko, adres i numer telefonu, na wypadek gdyby gdzieś się zgubił. Zawsze martwiliśmy się o... stale myśleliśmy o tym, co będzie, jeśli...

Pochyliła głowę i zamknęła oczy. Glen wyjął pudełko z chusteczkami higienicznymi, wzięła jedną, zgniotła ją w dłoni i nabrała powietrza.

— Baliśmy się, żebyśmy nie zostali rozłączeni z Edgarem. Zwłaszcza kiedy był jeszcze mały. Szczęśliwie nigdy do tego nie doszło. A on był taki bystry. Mówimy o dziecku, które zaczęło czytać w wieku trzech lat. Przez ostatnich kilka lat nie trzeba było już się martwić. On wie, jak sobie radzić wśród ludzi, którzy nie znają języka migowego... ba, nie tylko sobie radzi: w jego klasie połowa uczniów potrafi zrozumieć, co Ed-

158

159

gar pokazuje. On przez całe życie uczy ludzi. Dobrze sobie z tym radzi. Bardzo dobrze. Poza tym gdyby miał jakieś problemy, zawsze może napisać, co chce powiedzieć. Ale coś takiego jak... to... nigdy nam przez

myśl nie przeszło.

Urwała i objęła się ramionami. Patrząc na matkę i obserwując, jak próbuje się pozbierać, Edgar aż zadrżał. Nieomal widział, jak Trudi sięga do wnętrza samej siebie, żeby coś w sobie uspokoić, pochwycić rozlatujące się kawałki porcelany. Almondine podniosła się i nosem trąciła dłoń Trudi, która w odpowiedzi pogłaskała ją po grzbiecie.

— Przepraszam — powiedział Glen. Najwyraźniej spieszył się. —

Nie chciałem insynuować, że popełniliście jakiś błąd. Ja tylko staram się opisać wydarzenia zgodnie z tym, co widział Edgar. Za kilka minut skończymy, i to raz na zawsze, obiecuję. Uwierz mi, proszę, wolałbym, żebyśmy nie musieli o tym rozmawiać, ale nie mam wyboru. Edgarze, jak się trzymasz?

Edgar skinął głową.

Glen oparł się na krzesło i uderzył dłońmi w szerokie kolana.

— No dobrze, pozwólcie, że teraz zadam wam obojgu pytanie: czy Gar skarżył się na coś, co mogłoby wskazywać, że nie jest w pełni zdrowy? Jakież bóle głowy? Uczucie zmęczenia? Cokolwiek nietypowego?

— Nie, nigdy — odparła matka Edgara, który tylko skinął głową na potwierdzenie. — Zeszłej nocy wiele o tym myślałam. Nawet jeśli nie czuł się dobrze, nic nie powiedział.

— A powiedziałaby?

— Może nie. Nie cierpiał chodzić do lekarza. On mówi... — urwała na moment i poprawiła się: — To znaczy, mówił, że lekarze nigdy niczego nie naprawiają. Po takiej wizycie człowiek czuje się jeszcze gorzej.

— Kto jest waszym lekarzem?

— Jim Frost. Pewnie jak i wszystkich okolicznych mieszkańców.

— Czy mógłby dostarczyć mi informacji na temat chorób Gara?

— Tak. Ale niewiele tego jest. Jedyne problem, jaki w ogóle można

powiązać z medycyną, to konieczność noszenia okularów.

— Uhm. Dobrze. — Również to Glen odnotował. — W porządku...

Edgarze, chciałbym, żebyś mi teraz powiedział, co pamiętasz z tego momentu, kiedy zszedłeś na dół do stodoły i zobaczyłeś ojca. Chciałbym się dowiedzieć, czy był świadomy, czy rozmawiałeś z nim, cokolwiek.

160

Był świadomy, kiedy wróciłem.

— Rozmawiałeś z nim?

Nie. Ale oddychał.

— Mógł mówić?

Nie.

— Co wtedy pomyślałeś? Że co się stało?

Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Tata zamierzał wynieść wiadra ze złomem spod schodów w warsztacie. Kiedy zszedłem ze strychu, leżał na środku warsztatu. Myślałem, że uderzył się w głowę, ale okazało się, że nie. Rozpiąłem mu kurtkę. Niczego nie zauważyłem.

— Co było potem?

Potem przestał oddychać.

W biurze zapadła cisza. Glen spojrzał na Edgara i mruknął współczująco:

— To wszystko?

Tak.

— Później zjawił się mój tatko.

Chyba tak.

— Nie pamiętasz?

Nie.

— A co później pamiętasz?

Obudziłem się w domu. Doktor Papineau rozmawiał przez tele-

fon.

— Nie pamiętasz, jak szedłeś z powrotem do domu?

Nie.

— Czy pamiętasz coś jeszcze, co robiłeś po powrocie do stodoły, poza siedzeniem przy ojcu?

Nie.

— Masz poranione ręce. Czy skaleczyłeś się wtedy, kiedy został rozbity telefon?

Nie. Waliłem w drzwi kojców, żeby psy zaczęły szczekać.

— Dlaczego?

Żeby narobić hałasu.

— Gdyby ktoś przejeżdżał?

Gdyby przyjechała karetka, od razu wiedzieliby, że trzeba szukać w psiarni.

161

— Dobrze. — Przez chwilę zapisywał coś w notesie. — Sprytnie.

Musisz wiedzieć, że telefonistka wciąż była na linii, kiedy to robiłeś.

Opowiadała, że coś słyszała, jakby szczekanie psów.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i stłumiony głos

Annie:

— Glen, przyszli fachowcy do kotła.

— Dobrze — powiedział głośno. — Niech zejdą na dół, dobrze?

Przyjdę za kilka minut. Zwrócił się znowu do nich: — Wśród moich szczytnych obowiązków jest również nadzorowanie pewnych kwestii gospodarczych. — Uśmiechnął się. — Ale na razie nie każą mi zmywać naczyń. Zapisał coś w notesie i podniósł wzrok. — Wiem, że macie teraz dużo na głowie. Ale jeszcze tylko kilka formalności i sprawa będzie załatwiona. Trudi, zanim skończymy, czy moglibyśmy porozmawiać

na osobności?

Spojrzała na Edgara.

— Możesz zaczekać na zewnątrz?

Skinął głową. Wraz z Almondine wyszli do pustego holu. Gdzieś z głębi budynku docierały odgłosy uderzeń młotków o rurę i przeciągłe „iiiiiiii” przekręcanych zardzewiałych gwintów. Popatrzył na starannie uporządkowane biurko Annie — mikrofon, kwiatek, pojemnik z ołówkami, tacka z formularzami — jednak nie potrafił na niczym skupić wzroku.

Almondine powoli wyszła na korytarz i skierowała się w stronę wyjścia, więc poszedł za nią. Na ulicy za ich pikapem stała zaparkowana ciężarówka z napisem „Ogrzewanie i serwis LaForge, Ashland, WI”. Ociepliło się i ulice zalała brunatna breja. Z okapu nad restauracją blade sople uwalniały sznury kropel wody. Otworzył drzwi samochodu i wsiadł do środka, obok niego ulokowała się Almondine.

Zza rogu wyłonił się doktor Frost. Wszedł do ratusza przez te same drzwi, przez które oni właśnie wyszli. Edgar odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i zdjął rękawiczki, by jego obolałe ręce mogły skostnieć na zimnie. Matka wsiadła do samochodu, włączyła zapłon, lecz nie ruszyli, tylko siedzieli przy silniku pracującym na jałowym biegu. Po Main Street przejechała ciężarówka z naczepą, rozbryzgując fontannę pośniegowej brei. W pobliżu na tle nieba wznosiła się mała biała iglica kościoła prezbiteriańskiego. Trudi położyła dłonie na kierownicy i wyprostowała łokcie.

— Doktor Frost... — zaczęła, ale urwała i wzięła drżący oddech.

Powiedz.

— Zgodnie z prawem, jeśli ktoś umiera nagle, muszą przeprowadzić autopsję, żeby poznać przyczynę śmierci. Wiesz, co to jest autopsja?

Edgar skinął głową. W filmach detektywistycznych prawie co wieczór coś takiego robili.

Matka westchnęła. Zauważył jej obawę, że będzie musiała mu to tłumaczyć.

— Najważniejsze, że twojego ojca nie bolało. Doktor Frost powiedział, że go nie bolało. Doktor wytłumaczył mi, że jest takie miejsce w głowie, które nazywa się koło tętnicze Willisa. Znajduje się w mózgu, bardzo głęboko. Twój ojciec miał w tej okolicy tętniaka. To oznacza, że jedno z naczyń krwionośnych było słabe i pękło. I to słabe miejsce było tak ważne, że on... już potem nie mógł żyć.

Edgar ponownie skinął głową. Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć; to brzmiało tak ostatecznie. Była nawet nazwa na to miejsce, gdzie wszystko się popsuło: koło tętnicze Willisa.

— Doktor Frost powiedział, że wszyscy rodzimy się z małymi wadami w tętnicach i żyłach. To takie nasze słabe punkty. Zazwyczaj ludzie przez całe życie nigdy się o tym nie dowiadują. Te wady mieszczą się w mało znaczących miejscach: w ramionach, w nogach... U niektórych ludzi takie wady pojawiają się w niebezpiecznych miejscach, ale nawet oni mogą przejść przez życie bez problemów. Jednak są tacy ludzie, którzy mają słabe punkty w ważnych miejscach, i jeśli te słabe punkty zawodzą, czasami ci ludzie umierają. Nikt nie wie, dlaczego jednym to się przytrafia, a innym nie.

Matka siedziała wpatrzona w przednią szybę samochodu. Położyła dłoń na karku Almondine, pogładziła jej sierść i przeniosła rękę na ramię Edgara.

Dziękuję, że mi powiedziałaś, pokazał na migi.

Odwróciła się i popatrzyła na niego, po raz pierwszy od wyjazdu z domu rzeczywiście skupiła wzrok na nim.

— Tak mi przykro — powiedziała. Nie sprawiała wrażenia osoby, która zaraz się rozplacze, wyglądała raczej na osłabioną, wyczerpaną

162

163
i zdeterminowaną. — Wydaje mi się, że lepiej wiedzieć, co się stało — stwierdziła. — A ty jak sądzisz?

Tak.

— Ale to wcale nie znaczy, że coś podobnego może się przytrafić tobie lub mnie. Mamy takie same wady jak wszyscy, tyle że nie są ulokowane w ważnych miejscach. — Tym razem jej słowa zabrzmiały stanowczo i nieodwołalnie.

Tak.

— Muszę teraz pojechać do zakładu Brentsona. Na pewno chcesz jechać tam ze mną?

Już wcześniej powiedział, że chce, i tak też myślał. Nie bał się przygotowań do pogrzebu. Bał się natomiast siedzieć sam w domu, wiedząc, że sił fizycznych i psychicznych ma tylko tyle, żeby wyglądać przez okno i rozmyślać. Nie chciał ponownie oglądać tego rozkwitającego przed oczami kształtu. Bał się pozostawić ważne sprawy na głowie matki; uważał, że wszystko powinni robić wspólnie, przynajmniej na razie, choćby oznaczało to coś najgorszego. Podejrzewał, że w przyszłości pewnie spróbują żyć osobno. Jednak nic takiego nie powiedział, tylko skinął głową, a Trudi wrzuciła bieg i zawiozła ich do zakładu pogrzebowego Brentsona, gdzie Edgar usiadł obok i tylko się przysłuchiwał się, kiedy przedstawiała swoje życzenia.

W półmroku matka położyła dłoń na jego ramieniu.

— Śniadanie — powiedziała.

Podniósł się i usiadł na sofie, przecierając oczy.

Jak długo spałaś? zapytał na migi.

— Trochę. Chodź.

Almondine wstała, przeciągnęła się i ruszyła za Trudi do kuchni. On poszedł na górę do swojego pokoju, przebrał się i wyjrzał przez okno, obserwując Almondine kręcącą się po podwórzu w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby oddać moc. Zszedł na dół, w skarpetkach wkroczył na mroźny ganek i otworzył drzwi. Nad głową otwierało się sklepienie rozmytego błękitu, a w nim pochwycone Wenus i Gwiazda Polarna. Almondine zamaszystym ruchem tylnej łapy zagarnęła puszysty śnieg i stojąc na trzech nogach, patrzyła na niego z radośnie rozwartym pyskiem.

164

Chodź, zawołał ją na migi. Jest za zimno.

Drżał na całym ciele, a ona rozglądnęła się i powoli wspięła po drewnianych stopniach. Opuścił dłoń na jej grzbiet, gdy go mijała. W kuchni strząsnęła zimno z sierści i zajęła się pić wody, chlepcząc głośno. Termostat pieca pstryknął i popłynęło ciepłe powietrze.

Edgar wyjął kubek z szafki i podszedł do stojącej na kuchence zaparzarki do kawy. Napełnił kubek do połowy, uniósł go do ust. Chyba się przy tym skrzywił.

— Dolej mleka — powiedziała Trudi. — I najpierw daj dużo cukru.

Dobrze.

Siedzieli, czekając, aż słońce wzniesie się wyżej. Po chwili Trudi zrobiła jajecznicę i przygotowała tosty.

— Mógłbyś przed południem wyciąć kawałek ogrodu? — rzuciła mu pytanie przez ramię. — Tam gdzie mówiliśmy? Potrzebna jest nam ścieżka do brzoź, więc muszą wiedzieć, gdzie mają odśnieżyć. Zaj-

mij się tym z samego rana. Nie wiem, kiedy przyjadą.

W warsztacie sprawdził szczypce do drutu, mocno ściskając rączki, aż połówki włożonego między ostrza gwoździa z brzękiem spadły na posadzkę. Na ubrane w rękawiczkę palce założył obrozę treserską i wyprowadził Tindera z kojca. Wsunąwszy pętlę na łeb psa, poprowadził go przy nodze na warstwę świeżego śniegu tak zwiewnego, że podnosił się spod ich nóg.

Po odśnieżonej w nocy drodze nie jechały żadne samochody. Z pewnością z daleka by je zobaczyli lub usłyszeli, ale na drodze panował absolutny spokój. Na szczycie wzgórza zatrzymał się, oczekując od Tindera, że do niego dojdzie i usiądzie. Kiedy pies, skupiony na czymś w oddali, minął go i poszedł dalej, Edgar powtórzył ćwiczenie. Po dwóch powtórzeniach pies usiadł w końcu przy nodze. Edgar puścił go wolno i zaczęli brnąć przez śnieg w stronę ogrodzenia. Wyciągnął szczypce z kieszeni, przeciął drut kolczasty i zawinął końcówki wzdłuż pozostałej części ogrodzenia, po czym ruszyli dalej, wydeptując ścieżkę w głębokim do kolan śniegu. Wytopiona słońcem polewa pokrywająca zaspę łamała się pod ich stopami w popękane płytki. W drodze powrotnej Tinder rzucił się na ziemię i zaczął wymachiwać łapami oraz ryć pyskiem pod śniegiem, patrząc durnowatym wzrokiem na Edgara.

165

Co jest w tej pogodzie? na migi zapytał Edgar. Wszyscy od niej szalejecie.

Dopiero kiedy przykląkł i przyłożywszy usta do uszu psa uformował wargi w słowa, Tinder pozwolił, żeby Edgar go podniósł. Pies stanął na nogi, cofnął się i przez chwilę biegł w miejscu, rzucając łbem na boki i gryząc smycz. Edgar tylko westchnął i czekał. Po dziesięciu krokach Tinder ponownie zaczął wyczyniać fanaberie. Tym razem Edgar poddał

się, odpiął smycz i zniechęcony podrzucał w powietrze garście śniegu, do których Tinder, z położonymi uszami i wyprostowanym, sterczącym w tył ogonem, podskakiwał, zataczając ósemki po śniegu i zawracając tak nieprzytomnie, że aż zadem szorował po ziemi. Kiedy wyczerpały się jego pokłady szaleństwa, przytruchtał z powrotem. Zanim wrócili do stodoły, Tinder bezbłędnie trzymał się jego nogi, a kiedy Edgar zatrzymał się przed skrzydłami wrót, pies przysiadł jak należy przy jego kolanie.

Ciężarówka z założonym pługiem minęła ich podjazd, zatrzymała się, wycofała i zakręciła w stronę domu. W kabinie siedziało dwóch mężczyzn w kurtkach z postawionymi kołnierzami i zimowych czapkach. Kierowca podniósł się w kabinie i nachylił nad otwartymi drzwiami, a Trudi wyjaśniła mu, co jest do zrobienia.

— Zamknij że te drzwi, na litość boską — krzyknął mężczyzna siedzący na miejscu pasażera. Był dużo starszy od kierowcy, który tylko machnął ręką, jakby odganiał muchę, i dalej rozmawiał. Starszy mężczyzna nachylił się, wypchnął kierowcę z kabiny i zatrzasnął drzwi.

Wyjścia skrzynią biegów ciężarówka wycofała po podjeździe. Starszy z mężczyzn pokazywał, gdzie mają jechać, najwyraźniej bardzo irytując tym kierowcę. Kiedy już znaleźli się na drodze, Edgar i Trudi wspięli się na platformę samochodu. Po dojechaniu na miejsce, w którym Edgar przeciął druty ogrodzenia, Trudi zastukała w tylne okienko kabiny. Kierowca ustawił ciężarówkę bokiem do drogi i mężczyźni wyciągnęli dwie szufle do śniegu, żeby odrzucić zrobioną przez pług zaspę, a potem auto przejechało przez przecięte ogrodzenie, zostawiając za sobą odkryty pas suchej trawy w kolorze miodu.

Ciężarówka zatoczyła koło przy brzozech i pojechała z powrotem w górę wzgórza. Mniej więcej w połowie dzielącego ich od drogi dystansu uzbrojone w łańcuchy koła straciły przyczepność, więc mężczyźni wy-

cofali samochód i spróbowali jeszcze raz. Za drugim razem się udało, a kiedy zatrzymali ciężarówkę i przytupując nogami i pocierając ręce, stanęli przed Trudi, wytłumaczyła im, co teraz należy zrobić.

Obaj przez cały ranek pracowali kilofami i łopatami. Odgłosy ich kłótni niosły się po polach jak gęganie gęsi. Po południu ciężarówka ponownie wtoczyła się na podjazd i mężczyźni weszli na ganek, wciąż sprzecząc się zachrypniętym szeptem. Trudi otworzyła drzwi i wpuściła ich do kuchni.

— Mamy problem, proszę pani — powiedział starszy.

— O co chodzi?

— Ta ziemia jest twardsza niż beton. Naszymi narzędziami nie da rady w niej kopać.

— Trudno się dziwić, że jest twarda — odparła matka. — Przecież to środek zimy. Ziemia jest zamrznięta. Gdy wcześniej rozmawialiśmy, mówiliście, że już to robiliście.

— Ale nigdy w zimie. Nigdy w zamrzniętej na kość ziemi.

— Nigdy nie robiliście tego w zimie?

— Prawdę mówiąc, zajmujemy się odśnieżaniem. Czasami robimy coś dodatkowego, ale głównie odśnieżamy. Pracowaliśmy tylko przy kilku takich domowych pochówkach, że tak powiem, i to było w lecie.

— To dlaczego, do licha, powiedzieliście, że możecie to zrobić?

Starszy mężczyzna pokiwał głową, jakby właśnie miał zadać takie pytanie.

— To nie ja powiedziałem, tylko mój durny syn. — Gniewnym wzrokiem spojrzał na syna, który w milczeniu uniósł ręce. — Naprawdę przykro mi. Kiedy się o tym dowiedziałem, chciałem, żeby do pani zadzwonił, ale mnie przekonał, żebyśmy spróbowali. Mówił, że przebijemy się

przez zmarzlinę. A ja, głupi, dałem się namówić. Ale to tak, jakbyśmy kopali w stalowej płycie.

— Co zatem zrobimy?

Stali obaj w milczeniu i tylko na nią patrzyli.

— Jutro mamy pogrzeb — powiedziała. Edgar widział, że matka zaczyna się złościć. — Mamy pochować mojego męża. I nie chcę martwić się tym problemem. Czy panowie mnie rozumieją? Czy któryś z was choć przez chwilę się zastanowił, co będzie, jeśli nie uda wam się tego zrobić?

167

Starszy pokręcił głową i powiedział:

— Nie wiem, jak mógłbym panią przeprosić. Ale nie mamy odpowiedniego sprzętu do skruszenia takiej ziemi.

Przez dłuższą chwilę wszyscy stali w miejscu, nie ruszając się. Zza pleców mężczyzn Edgar widział twarz matki, jaką oni musieli oglądać, jednocześnie przerażającą i władczą.

Moglibyśmy rozpaść ognisko, pokazał na migi.

Zmarszczyła brwi i ponownie spojrzała na mężczyzn.

— Nie potraficie tego zrobić.

— Nie, proszę pani. Grabarze muszą mieć jakieś specjalne narzędzia. Może oni by pomogli.

— Dobrze — stwierdziła. — Proszę za mną. — Porwała kurtkę z wieszaka, wyszła z domu i w gasnącym świetle popołudnia poprowadziła ich do leżącego za rogiem stosu drewna. — Chciałabym, żeby panowie załadowali to na ciężarówkę i zawieźli na pole. Co do jednego patyka. Edgar pokaże panom, gdzie jest taczka. A potem proszę pojechać do miasta, do Gordy'ego Howe'a, załadować tam kolejną ciężarówkę i przywieźć ją tu. Zaraz do niego zadzwonię.

Starszy mężczyzna podrapał się w głowę i popatrzył na nią.

— Tyle wystarczy? — zapytała.

— Tak, proszę pani, chyba tak. Nawet z tym może to zabrać trochę czasu, ale wydaje mi się, że wystarczy.

— I pomogą mi panowie?

Uśmiechnął się i skinął głową.

— Och, pomożemy, jak najbardziej. Zostaniemy tu, aż ziemia rozmarznie. — Odwrócił się do młodszego mężczyzny. — Prawda, synu?

— powiedział.

Ogień płonął na zaśnieżonym polu przez całą noc. Gdy mężczyźni wrzucali w płomienie kolejną kłodę, w górę wzbijały się wstęgi iskier. Górujące nad tym wszystkim brzozy jarzyły się pomarańczowym kolorem. Nawet stodoła nabrała barwy od tego światła. Edgar wraz z matką patrzyli z salonu. Edgar myślał o ogniskach, jakie musiał wzniecać Schultz, żeby spalić wielkie sterty pniaków i korzeni.

Dwa razy szli na pole zanieść mężczyznom jedzenie i kawę. Matka musiała pukać w zamgloną szybę ciężarówki, żeby ją zauważyli. Za-

168

prosiła ich do domu, by tam się ogrzali, jednak odmówili, choć poczęstunek przyjęli. Za drugim razem przynieśli im koce i poduszki. Stos drewna znajdował się między ciężarówką i płomieniami, a ogień wyznaczał prostokąt u stóp brzóz. Płomienie okalała naga mokra trawa. Trudi zbliżyła się do ognia i zapatrzyła w rozżarzone węgle. Edgar podszedł do niej. Żar parzył go w twarz. Kiedy dym zawiał w ich stronę, matka zakaszła, lecz nie ruszyła się z miejsca. Edgar wdychał go, nie czując najmniejszego swędzenia w gardle.

Po raz trzeci pościelili sobie na noc w salonie i obserwowali łunę nad polami. Żadne z nich nie mogło zasnąć. Prowadzili urywane roz-

mowy przerywane długimi okresami ciszy.

Dzisiaj ja śpię na fotelu. Ty śpij na kanapie.

— Nie, mnie jest tu dobrze.

Czego tam szukałaś?

— Gdzie?

W ogniu. Wyglądało, jakbyś czegoś tam szukała.

— Nie wiem. Niczego nie szukałam. — Przeszła na język migowy.

Mogę cię o coś zapytać?

Tak.

Boisz się?

W związku z pogrzebem?

W związku z tym wszystkim.

Nie. Nie boję się. Ale nie wiedziałem, że tak będzie.

Ja też nie.

Obserwowali pomarańczowy blask ognia tańczący na konarach jabłoni.

Sądysz, że się uda?

Tak.

Cieszę się, że ziemia będzie ciepła.

Spojrzała na niego. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Czy nie powinnaś powiedzieć mi, że wszystko będzie dobrze?

Roześmiała się cicho. Czy to chciałbyś usłyszeć?

Chyba nie. Nie wiem, czybym ci uwierzył, gdybyś to zrobiła.

Wiele osób będzie tak mówić. Jeśli chcesz, ja też mogę to powiedzieć.

Nie. Nie musisz.

169

Siedzieli w ciszy, wciąż patrząc w okno.

Pamiętasz swojego ojca? To znaczy, tego prawdziwego.

Nie, niewiele pamiętam. Rzadko go widywałam... Urwała i poprawiła się na krześle, żeby na niego spojrzeć. O czym myślisz? Chyba nie martwisz się, że będziesz musiał iść do rodziny zastępczej?

Nie.

To dobrze. Bo do niczego takiego nie dojdzie. Nic mi się nie przydarzy. Ani tobie, skoro już o tym mówimy.

A jednak wszystko może się zdarzyć.

Tak, teoretycznie wszystko może się zdarzyć. Ale prawie zawsze zdarzają się tylko rzeczy normalne, a ludzie wiodą szczęśliwe życie.

Byłaś szczęśliwa, zanim go spotkałaś?

Przez chwilę się nad tym zastanawiała.

Nie wiem. Czasami byłam szczęśliwa. Natomiast wkrótce po spotkaniu z nim wiedziałam, że bez niego jestem nieszczęśliwa.

To jak się spotkaliście?

Uśmiechnęła się. W odpowiedni sposób. Rozczarowałyby cię szczegóły.

Nigdy mi nie powiesz, co?

Jeśli musisz wiedzieć, to ci powiem.

W tym momencie pomyślał o tych przeróżnych historiach, które rodzice snuli, o tym, jak jego ojciec, zazwyczaj tak poważny, cieszył się tą grą i jak jemu samemu też się podobała. Świadomość, że jedna z tych opowieści jest bliższa prawdy niż pozostałe, mogłaby sprawić, że tamte wszystkie chwile utraciłyby swoją realność. I może nawet lepiej, że poznali się wiele razy, w wielu różnych okolicznościach.

Nie, po chwili pokazał na migi. Nie mów mi. Wskazał w stronę pomarańczowej łuny na polu. Mamy tam coś jeszcze zanieść?

Sądzę, że niczego im już nie brakuje.

W takim razie dobranoc.

— Dobranoc — szepnęła matka. Potem już się nie odzywali.

W przedniej części kaplicy stała trumna i gdy tylko Edgar ją zobaczył, stracił świadomość kolejności wydarzeń. Monotonny szmer wygłoszanego przez pastora kazania. Płonące świece. Siedzący wraz z nimi z przodu doktor Papineau. W pewnym momencie Edgar odwrócił się,

170

żeby rzucić okiem na siedzących w ławkach żałobników, ze trzydziestu lub czterdziestu porozrzucanych po całej kaplicy. Nie dostrzegł wśród nich twarzy Claude'a. Później wsiedli do samochodu doktora Papineau i podążali za karawanem główną drogą, wjechali na County Road C, na koniec skręcając w górę drogi Town Lane i przejeżdżając pod baldachimem drzew. Zatrzymali się w miejscu, w którym poprzedniego dnia Edgar wyciął kawałek ogrodzenia. Wśród osób niosących trumnę był Glen Papineau, a także jeden z mężczyzn pracujących w wytwórni paszy. W sumie przez pole szło dwanaście osób. Kiedy stanęli nad grobem, mężczyzna z zakładu pogrzebowego wygłosił przemowę. Od ścian stodoły powracały echem porwane strzępy wypowiedzi, jakby zatwierdzając tylko część jego słów.

W pewnym momencie między nagimi drzewami błysnęły światła reflektorów. Podjechał samochód i na końcu ścieżki pojawił się Claude. Długim sznurem nadciągnęły kolejne auta i pikapy. Ceremonia została przerwana, wszyscy odwrócili się w stronę nadjeżdżających. Słysząc było otwieranie i trzaskanie drzwi, metaliczny dźwięk głosów w mroźnym powietrzu. Claude przywołał kogoś ręką. Podszedł jakiś mężczyzna z psem. To był Art Granger i Yonder, obaj kulejący od artretyzmu. Za nimi mieszkający w Haze państwo McCullough ze swoim trzecim psem od Sawtelle'ów. Potem pani Santone i jej Deary. Dalej samotna

kobieta ze swoim psem, połączeni luźno zwisającą smyczą. Jakaś młoda para z chłopcem i psem. Opary wydychanego przez psy powietrza unosiły się białym pióropuszem, kiedy szły przez pole. Jeszcze przez długi czas na końcu ścieżki pojawiały się kolejne osoby — treserzy, którzy brali do siebie roczniaki, ludzie, których głosy biegły po liniach telefonicznych podczas rozmów z ojcem Edgara — a prowadził ich tu Claude. Edgar rozpoznał wśród nich człowieka z Wyoming, był też mężczyzna z Chicago. Jednak większość pochodziła z okolicy, z domów, w których zajmowano się psami od Sawtelle'ów. Claude stał na drodze i kierował ich na ścieżkę, aż minęła go ostatnia osoba i wszyscy stanęli szerokimi łukami wokół brzoź.

Edgar popatrzył na psy, a potem na pola i dom. Trudi objęła go ramionami i szepnęła: — Nie, proszę, zostań — jakby sądziła, że zamierza przed tym wszystkim uciec. Ale źle go zrozumiała, a on nie mógł jej tego teraz wytłumaczyć. Wysunął się z jej objęć i popędził przez zaspę

171

w kierunku domu. Nie słyszał żadnych dźwięków, jedynie dudniący ryk w uszach. Dwa razy się przewrócił, lecz szybko się pozbierał, nawet na moment nie odwracając się.

Otworzywszy drzwi, zobaczył czekającą na niego Almondine. Ukląkł i pozwolił, aby jej pierś wypełniła obręcz jego ramion, a potem razem wrócili do brzoź. Almondine kroczyła ścieżką, którą wcześniej przetarł w skorupie śniegu, mijając kolejne szeregi ludzi, aż stanęli nad samym grobem. Edgar podszedł do matki, objął ją ramionami i wspólnie oddali się wyjącemu nad nimi i tylko nad nimi nieziemskiemu wiatrowi, natomiast mądra Almondine usadowiła się pod brzozami i razem patrzyli na opuszczaną trumnę.

Trudi skinęła głową.

— Weźcie sobie później coś do jedzenia — odrzekła. — Tak dużo zostało... — Ale kiedy już skończyli pracę w psiarni, całą trójką poszli na podjazd. Rozbłysły światła dwóch par reflektorów. Edgar patrzył za odjeżdżającymi samochodami. Wspiął się po schodach do swojego pokoju, zdjął ubranie i padł na łóżko, mając ledwo tyle siły, żeby uderzyć dłonią w materac i przywołać Almondine. Gdy tylko usadowiła się przy nim, zasnął jak kamień.

Przywieźli ze sobą duszone potrawy i paszteciki, pokrojony ser i szynkę, miski czarnych i zielonych oliwek, słodkie korniszony, miniaturowe kromki chleba rozłożyli jak karty do gry w wachlarze przy spodeczkach z musztardą i majonezem. Ludzie kłębili się wokół Edgara i Trudi, szepcząc słowa pociechy i kładąc im ręce na ramionach. Almondine przechodziła przez tłum, w milczeniu zaznaczając swoją obecność. Wielu właścicieli psów pozostało ze swoimi ulubieńcami na zewnątrz. Claude i doktor Papineau przytrzymywali smycze, kiedy ci ludzie wchodzili do domu, by nalać sobie kawy i porozmawiać z Trudi. Przybyłym z daleka proponowała pokój, w którym mogliby się zatrzymać, jednak nikt nie przyjął zaproszenia. Nie zdejmując rękawiczek, brali w ręce kubki z kawą i wychodzili z domu, zatrzymując się przed otwarciem drzwi, by założyć kapelusz. Zainteresowanych Claude prowadził do stodoły, żeby pokazać im psiarnię.

Mężowie zaczęli wchodzić do domu i informować żony, że samochody już się grzeją. Ostatnie kobiety zmywały i wycierały naczynia, auta zawracały na podjeździe, światła reflektorów omiatały ściany salonu. Ktoś przyszedł zapytać o przewody rozruchowe. Kobiety powycierały dłonie w ścierki do naczyń i zabrały płaszcze z leżącego na łóżku stosu odzieży. Na koniec pozostali tylko trzej goście: doktor Papineau, Glen i Claude. Stali na ganku za domem w błękitniejącym świetle zmierzchu.

Doktor Papineau otworzył kuchenne drzwi.

— Zajmiemy się psami — odezwał się. — I nie dyskutuj. Idź się położyć.

172

Listy z Fortunate Fields

Każde z nich miało teraz dni dobre i złe i często składało się tak, że chwile najlepsze dla Edgara pokrywały się z najgorszymi dla matki.

Potrafiła całymi dniami tryskać energią i humorem, aż pewnego poranka schodził na dół i zastawał ją skuloną nad kuchennym stołem, wymizowaną i z zaczerwienionymi oczami. Gdy już raz wpadła w taki stan, nie było w stanie jej z niego wyrwać. Podobnie działo się z Edgarem. Kiedy wydawało się, że normalne życie staje się wyobrażalne — kiedy świat zdawał się w jakiś sposób uporządkowany, pojawiał się w nim sens, a nawet piękno (mgiełka światła rozszczepionego przez pryzmat sopła, kojący spokój wschodu słońca), wystarczyło, że jakiś drobiazg nie zagrał i zasłona optymizmu rozpadała się w drobny mak, obnażając wszystko. Jednak wspólnie uczyli się przeczekiwać takie chwile. Nie mogli się spodziewać żadnego lekarstwa, żadnej odpowiedzi, żadnego zadośćuczynienia.

Pewnego dnia w marcu po powrocie do domu zastał matkę w jej sypialni. Z włosami zmierzwionymi i mokrymi od potu, głośno i nierówno sapiąc, ciężko pracowała. Obok piętrzył się cały stos pozamykanych pudeł, a ona składała parę spodni Gara i wrzucała je do kolejnego kartonu. Ledwo spojrzała na Edgara, kiedy wchodził do pokoju. Później sprawdził, co zniknęło. Szuflada, w której w przeszłości leżały paski i krawaty ojca, zappełniła się rękawiczkami i chustami matki. Na komodzie została tylko jej uboga biżuteria i nakręcany budzik. Spakowała nawet fotografię, na której ona i jego ojciec jako nowożeńcy siedzą na molo w hrabstwie Door.

Pewnego ranka obudził się opętany złudną myślą, że gdyby udało mu

się choć na sekundę — choć na pół sekundy — uchwycić nieruchome drzewa w sadzie, gdyby przez najkrótszą chwilę stały zupełnie bez ruchu, wszystko co dotychczas się wydarzyło, okazałoby się nieprawdą. Drzwi do kuchni otworzyłyby się z trzaskiem i do domu wszedłby ojciec z poczerwieniałą od mrozu twarzą zabijając ręce, zacząłby opowiadać o jakimś nowo narodzonym szczeniaku. Edgar zdawał sobie sprawę, że to dziecinada, jednak nie miało to znaczenia. Cała sztuka polegała na tym, żeby nie skupiać się na żadnym określonym fragmencie jakiegoś drzewa, ale patrzeć przez nie wszystkie, gdzieś w dal za nimi. To zadanie tylko z pozoru było proste. Nawet w najspokojniejszych chwilach zawsze coś małego zadrżało i cały obraz ulegał zniszczeniu.

Ileż popołudni spędził na tym zajęciu? Ileż razy stał o północy w pokoju gościnnym, patrząc na drzewa drżące w świetle księżyca? Mimo to znowu patrzył jak zahipnotyzowany. W końcu rumieniąc się, bo przecież było to beznadziejnie głupie, zmusił się do odejścia.

Kiedy mrugał, pod powiekami pozostawał powidok idealnego bezruchu.

Nie mógł znieść myśli, że może się to wydarzyć, gdy on akurat nie będzie patrzył.

Zawrócił, zanim jeszcze doszedł do drzwi. Za szybą kilkanaście drzew trącanych jak struny zimowym wiatrem, szkielety tańczące w parach, palce wzniesione ku niebu.

Przestań, powiedział sobie. Daj spokój.

Ale patrzył dalej.

Czekała ich przeogromna praca.

Najprostszą sprawą było utrzymanie samej psiarni: czyszczenie kojców, karmienie i pojenie psów, odśnieżanie wybiegów i niezliczone drobne naprawy urządzeń w psiarni. Do tego dochodziły obowiąz-

ki związane z pielęgnacją: zagładanie do ciężarnych suk, mycie sutków matek karmiących i tych, którym szczeniaki odstawiano już od piersi, mierzenie temperatury i wagi noworodków. Zajmując się ślepyimi i głuchymi noworodkami, trzeba było kierować się precyzyjnymi procedurami dotyku i zapachu, starannie wypisanymi ręką Gara na pożółkłym papierze przybitym do ściany ich kojca. Dla szczeniaków, które dopiero zaczynały otwierać oczy, stworzony był harmonogram doświadczania kolejnych wrażeń, od brzęczenia kluczykami samochodu do prezen-

174

175

tacji starego rowerowego klaksonu, który mogły obwąchiwać, dopóki Edgar nie nacisnął gumowej gruszki, a następnie sprawdzał, po jakim czasie zaczęły chyłkiem powracać. Kawalek dywanu, po którym zaczynały chodzić. Rura. Pniak. Papier ścierny. Lód. Cotygodniowe procedury turlania ich i przytrzymywania, aż zaczynały wierzgać i skowyczeć, a on przez cały czas pilnie śledził wskazówkę sekundową na zegarze. Spotkania z ciociami i wujkami, nauka manier, kiedy matka odpoczywała. W rejestrze wszystko miało swoją pozycję, oznaczone krytyczne punkty, zapisy reakcji, uaktualniane tablice genealogiczne, tworząc pełny zapis każdego życia. Wykonane na filmie Kodaka Tri-X fotografie w wieku czterech, sześciu, ośmiu i dwunastu tygodni, a potem sześciu, dziewięciu, dwunastu i osiemnastu miesięcy psów ustawionych na tle wyskalowanej siatki namalowanej na ścianie pomieszczenia medycznego: z przodu, z tyłu, z boku, a także ich uzębienia. W nocy szczeniaki na zmianę sypiały w domu, dwójkami lub trójkami, do tego dochodziło szukanie partnerów o odpowiednich rodowodach, odwiedziny reproduktorów, harmonogram rui suk, poszukiwanie domów dla psów i negocjacje z potencjalnymi właścicielami.

Jednak najbardziej pochłaniała ich tresura. Maluchy musiały się nauczyć najprostszych rzeczy: patrzeć, słuchać, obserwować, czekać. Osiemnastomiesięczne psy powinny już kończyć ćwiczenia i należało je ocenić. A wyrostki — te złodziejaszki, rabusie, rozbójnicy, zabijaki, które dokładnie wiedziały, czego się od nich chce, i z pełnym poświęceniem robiły wszystko na przekór — wymagały każdej wolnej minuty, a i tego było za mało.

Pewnego wieczoru kiedy już wrócili z psiarni, matka poprosiła go, żeby usiadł z nią przy stole. Na kartce narysowała tabelkę z harmonogramem, w której jedna kolumna nosiła tytuł „Edgar”, a druga „Trudi”.

— Musimy podzielić się pracą — stwierdziła. — W tej chwili oboje zajmujemy się wszystkim. Pielęgnacją się nie martwię, Pearl to doświadczona matka i nie trzeba się nią zbytnio zajmować. Martwię się natomiast szukaniem nowych domów dla psów. Twój ojciec wiele czasu poświęcał na telefonowanie. Mam sporo do nadrobienia.

Urwała i głęboko westchnęła.

— Ale to wszystko odbije się na tresurze. Pozytywne w sumie jest tylko to, że dla całego najstarszego miotu są już wyszukane nowe domy. Dzięki temu mamy kilka miesięcy, żeby się pozbierać. Następny będzie twój miot. Nie sądzę, żeby były już jakieś ustalenia w tej sprawie.

Spojrzała na niego, chcąc się upewnić, czy się nie myli. Edgar skinął głową. Ojciec nie poruszał tematu domów dla miotu Edgara, a on sam też się do tego nie palił.

— Mamy więc kilka miesięcy. Będę musiała przyjrzeć się liście kontaktów. Z tego co wiem, Gar zawarł z tymi ludźmi ustne umowy. Mam nadzieję, że nie będę musiała nigdzie jeździć, w przeciwnym razie nie wiem, jak sobie poradzimy.

Myślała na głos. Nie przeszkadzał jej, tylko słuchał. W pewnym

momencie urwała i spojrzała na niego.

— Jest jeszcze inna możliwość, Edgarze, o której powinniśmy porozmawiać. Możemy sprzedać hodowlę i zamknąć psiarnię. Po rozmieszczeniu psów z tych miotów będziemy gotowi. Jeśli się postaramy, prawdopodobnie przed końcem lata możemy znaleźć im domy. Moglibyśmy przenieść się do miasta. Jestem pewna, że mogłabym...

Edgar już zaczął kręcić przecząco głową.

—Ależ posłuchaj. Musimy się nad tym zastanowić. Czeka nas tak ciężka praca, że na nic innego nie będzie czasu. Czy zastanowiłeś się, jak będzie wyglądać twoje życie? Za jakiś rok zechcesz wybrać się na boisko czy pobiegać. Teraz może o tym nie myślisz, ale kiedy inni chłopcy będą to robić, nie będziesz chciał siedzieć tu, zajmując się psami od rana do wieczora. Boję się, że nadejdzie taki moment, gdy z niechęcią będziesz wsiadał do autobusu wiozącego cię do domu. A kiedy do tego dojdzie, ja to zauważę.

Ale tak nie będzie, pokazał na migi. Nie chcę mieszkać gdzie indziej.

— To inna kwestia. Nie będziesz tu mieszkał w nieskończoność.

Za cztery lata skończysz szkołę. Sama pewnie nie będę w stanie prowadzić psiarni, a nawet jeśli będę mogła to robić, nie zamierzam żyć tu sama jak palec. Tak czy owak, pięć lat nie ma aż tak wielkiego znaczenia, Edgarze.

Dla mnie ma. A poza tym skąd wiesz, że stąd odejdę?

— Nie bądź śmieszny. Pójdiesz na studia.

Nie pójdę. Nawet nie myślałem o uniwersytecie.

— Pójdiesz — powiedziała matka. — Musisz poznać inne możliwości. Powinieneś poszerzyć swoje horyzonty. Pozostanie tu i ćwiczenie

psów może okazać się czymś najtrudniejszym, a nie najłatwiejszym czy też najlepszym. Edgarze, jako treser nie wykazujesz się wyjątkowymi zdolnościami. A spanie z nimi na strychu niewiele ci przyniesie, choćby nie wiem jak było mile.

Edgar poczuł, że się czerwieni.

— Nietrudno odgadnąć, co tam się dzieje, kiedy całymi godzinami na górze jest cicho, a potem schodzisz ze słomą we włosach. Sama wiem, jakie to kuszące. Ja też to robiłam.

Sypiasz na strychu?

Wzruszyła ramionami, nie chcąc zbaczać z tematu.

— Chodzi mi o to, że być może masz inne uzdolnienia — powiedziała. — Och, ależ oczywiście, że dobrze sobie radzisz z psami, nie bądź taki urażony. Twoją największą wadą przy tresurze jest duma, Edgarze. Jeśli zamierzasz naprawdę zająć się tą psiarnią, będziesz musiał wiele się nauczyć. I bardzo poważnie do tego podejść. Na razie poznałeś podstawy. Dotychczas tylko ćwiczyłeś ze szczeniakami i pomagałeś ojcu. Tresowanie roczniaków jest dużo bardziej wymagające. A ja nie mogę się nimi zajmować, robiąc jednocześnie wszystko inne. To niemożliwe.

Aleja chcę się uczyć! Mogę ci pomagać.

— A jeśli powiem, że nie mam pewności, czy potrafię nauczyć cię tego wszystkiego, co powinieneś poznać?

Potrafisz. Wiem, że potrafisz. Całe życie cię obserwuję.

— Tak, obserwujesz. Powiedz mi więc, dlaczego Tinder, mając już dziewięć miesięcy, ucieka ci, gdy tylko ma okazję?

To niesprawiedliwe!

— Czy ktoś coś tu mówił o sprawiedliwości? — głos matki załamał się lekko na ostatnim słowie.

Wiedział, o czym pomyślała: czy w odniesieniu do ich sytuacji można w ogóle używać słowa „sprawiedliwość”? Ponadto miała rację w ocenie jego umiejętności treserskich. Był leniwy i pobłażliwy; tak naprawdę podobało mu się zainteresowanie okazywane przez szczeniaki, a nie ich tresowanie. Był niekonsekwentny. Wykonywał z nimi ćwiczenia, które już opanowały, unikając trudniejszych. A co najgorsze, zdawał sobie sprawę, że powinien robić coś więcej, lecz nie miał pojęcia, co by to miało być, i z tego też powodu odczuwał wstyd.

— Musisz uświadomić sobie, że to normalny biznes, jak sklep spożywczy czy stacja benzynowa. Wkrótce zauważysz, że jest to diablo bezduszne podejście. Skoro chcesz być współnikiem w tym interesie, będziesz musiał traktować to miejsce przede wszystkim jako źródło dochodu, a dopiero potem jako plac zabaw z psami.

Nie rozmawiaj ze mną jak z głupkiem. Przecież wiem, czym się zajmujemy.

— Tak sądzisz? To powiedz, co twoim zdaniem sprzedajemy?

Popatrzył na nią, jakby zwariowała.

Psy. Oczywiście psy.

— Błąd. Widzisz, Edgarze? To nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Każdy może sprzedawać psy. Ludzie je rozdają. Czy wiesz, ile u nas kosztuje jeden pies?

Nie wiedział. Ojciec negocjował te sprawy i niewiele o tym opowiadał.

— Tysiąc pięćset dolarów za wytresowanego półtorarocznego psa.

Tysiąc pięćset dolarów?

— Tak — potwierdziła. — Twój miot może być wart dziewięć do dziesięciu tysięcy dolarów. Jeszcze nie w tej chwili, ale taką wartość

może osiągnąć.

To dlaczego nie jesteśmy bogaci?

Roześmiała się.

— Ponieważ większość tych pieniędzy idzie najedzenie, lekarstwa i pokrycie kosztów. Zwracamy koszty ludziom, którzy zajmują się starymi psami. Jeśli uda nam się sprzedać dwadzieścia psów rocznie, a tak mniej więcej średnio nam wychodzi, jakoś wiążemy koniec z końcem. I wcale nie jest łatwo znaleźć dwadzieścia osób, które są gotowe zapłacić tak dużo za dorosłego psa. Sam wiesz, że większość ludzi woli kupować szczeniaki.

Skinął głową. Czy inne psy też są takie drogie?

— Niektóre. Są też takie, które kosztują więcej, zazwyczaj pochodzące z miotów wystawowych czempionów. — Przewróciła oczami, mówiąc „wystawowych”: jej stosunek do hodowli psów wystawowych graniczył z całkowitą pogardą. — Ale przeważająca większość psów jest tańsza. Dużo tańsza.

178

179

Dlaczego możemy tyle żądać za nasze psy?

— I tego właśnie, Edgarze, musisz się nauczyć. Gdy poznasz odpowiedź na to pytanie, dowiesz się jednocześnie, dlaczego w ogóle możemy sprzedawać nasze psy, nie mówiąc już o cenie. Wówczas zrozumiesz, c o tak naprawdę sprzedajemy.

Nie możesz mi po prostu tego powiedzieć?

— Mogę spróbować, ale pewnych rzeczy nie da się opisać słowami, Edgarze. Pozwól, że zadam ci pytanie. Widziałeś wiele psów w miasteczku. Czy one przypominają nasze psy? Są innej maści, innej rasy, ale czy pod innymi względami są takie same?

Niezupełnie.

— Jakby postrzelone, co?

Tak. Ale większość z nich nie jest tresowana.

— Sądziś, że to jedyna różnica? Nasze szczeniaki wolniej dojrzewają, nie wiem, czy rozumiesz, o czym mówię. Pierwszej rui dostają dopiero w wieku dwóch lat. A kiedy są malutkie... sam wiesz, jak potrafią człowieka denerwować. Popatrz na taką Essay. Miała już sześć miesięcy, a my wciąż staraliśmy się wpoić jej proste posłuszeństwo, podczas gdy każdy przeciętny kundel dawno by to pojął. Ale spróbuj tylko wykonać z nimi ćwiczenie, w którym miałyby zwrócić uwagę, na co ty patrzysz, a zobaczysz, co będzie.

Przecież to takie proste!

Roześmiała się, wstała i włączyła radio na ulubioną stację z muzyką country, a potem razem posprzątała ze stołu. Nuciała sobie coś pod nosem, kiedy myli naczynia, lecz w tych dźwiękach nie wyczuwało się radości — zachowywała się raczej jak człowiek, który śpiewa, żeby odsunąć od siebie inne myśli. Zanim Edgar położył się do łóżka, matka powiedziała coś jeszcze:

— Edgarze, zastanów się nad tym, o czym rozmawialiśmy. Nie musisz się spieszyć. A potem będziemy musieli wybrać jedno z dwóch rozwiązań. Albo tu zostajemy i doprowadzimy do tego, że psiarnia będzie w pełni funkcjonować, co oznacza, że będziesz musiał nauczyć się wszystkiego o tresurze, albo powoli zaczynamy likwidować psiarnię. Żadne pośrednie rozwiązania nie wchodzą tu w rachubę.

Edgar skinął głową. Jej słowa brzmiały bardzo rozsądnie, a przedstawiona alternatywa była jasna i wyraźna. Wiedział, czego sam chce, już w momencie kiedy matka zadała to pytanie, wiedział też, co ona chce, żeby on chciał, chociaż próbowała spojrzeć na wszystko obiektywnie.

Nie potrafił sobie wyobrazić życia w inny sposób. Dopiero dużo później miał sobie uświadomić, że tamtego wieczoru oboje z matką kusili się nawzajem — kusili się tym, aby uwierzyć, że zdają sobie sprawę z wszystkich kosztów i konsekwencji tego, czego pragnęli. Że gdyby nawet mieli popełnić jakąś pomyłkę, to i tak nie mogłaby się równać z tym, co już się stało. Że ten ich spokój nie jest tylko pozorny.

Skoro już byli w mieście, Trudi postanowiła, że zjedzą obiad w restauracji Mellen Diner. Ledwo zdążyli usiąść, z drugiej strony sali pomachał do nich doktor Papineau, więc Trudi do niego podeszła. Edgar siedział przy stoliku, słuchał gwaru obiadowej pory i wyglądał przez okno. Z narożnego boksu obserwowała go jakaś dziewczynka. Chwilę później przemaszerowała obok niego, cicho coś sobie podśpiewując, i zniknęła za drzwiami toalety. Kiedy odwrócił wzrok od witryny, zobaczył ją stojącą obok jego boksu.

— Cześć — odezwała się. Mogła mieć z pięć lat, miała na sobie błękitny jednoczęściowy kombinezon z tęczowym słoniem na karczku, włosy opadały jej żółtymi splątanymi puklami. Nachyliła się do niego konfidencjonalnie. — Mama powiedziała, że nie potrafisz mówić — wyseplenila. — To prawda?

Popatrzył na nią i kiwnął głową.

— Nawet szeptać nie możesz?

Pokręcił przecząco głową.

Cofnęła się i zmierzyła go wzrokiem.

— A dlaczego? — zapytała.

Ponownie pokręcił głową i wzruszył ramionami. Dziewczynka obejrzała się w stronę swojej rodziny — zupełnie nie zwracającej uwagi na jej nieobecność — i zmrużyła oczy.

— Mama powiedziała, że powinnam się tego od ciebie nauczyć, ale

ja nie potrafię. Próbowałam, ale to wszystko samo ze mnie wychodzi!
Powiedziałam, że jak ktoś może mówić, to powinien mówić. Zgadzasz się ze mną?

Skinął głową.

— Moja babcia jest taka jak ja. Wiesz, co mówi moja babcia?

Nabrał już pewności, że nie zna tej dziewczynki i nie wie, kim są jej matka i babcia. Jednak im bardziej przyglądał się jej buzi, tym bardziej wydawała mu się znajoma, jakby widywał ją często, choć na odległość. Rzucił okiem w stronę narożnego stolika. Jej rodzina nie miała od nich psa, w przeciwnym razie natychmiast by ich rozpoznał.

— To chcesz wiedzieć czy nie? — zapytała dziewczynka, tupiąc nóżką w linoleum.

Ponownie wzruszył ramionami. Dobra. Jasne.

— Babcia mówi, że zanim się urodziłeś, Bóg powierzył ci tajemnicę, której inni mają nie znać.

Popatrzył na nią. Niewiele można było odpowiedzieć na takie stwierdzenie. Zastanowił się, czy nie przygotować jej kartki z informacją: „Ale mogę to napisać”. Doszedł jednak do wniosku, że nie o to jej chodzi, a poza tym prawdopodobnie jest za mała, żeby umieć czytać. Bardzo chciał jej powiedzieć, że nie musi szeptać. Ludzie często popełniali błąd — mówili wyjątkowo głośno albo się denerwowali. Tymczasem dziewczynka w ogóle się nie denerwowała. Zachowywała się, jakby znali się od urodzenia.

Kiwnęła na niego palcem. Kiedy się pochylił, przyłożyła dłoń do jego ucha.

— Mnie możesz wyjawić tę tajemnicę — szepnęła. — Nikomu nie powiem. Obiecuję. Czasami łatwiej jest, gdy ktoś inny jeszcze o tym wie. Początkowo stała spokojnie i patrzyła na niego szeroko otwarty-

mi oczami. Edgar usiadł prosto i spojrział na nią. W tym momencie jej oczy zmrużyły się w kształt półksiężyca, a wargi ściągnęły w małe gniewne kółko.

— Nie pamiętasz, co? — przyganiła mu, teraz już nie szepcząc. —

Aha, zapomniałeś!

Trudi przerwała prowadzoną po drugiej stronie sali rozmowę z doktorem Papineau i odwróciła się.

Nie patrz na mnie, pokazał jej Edgar na migi. Nawet nie wiem, kto to jest.

Dziewczynka odwróciła się raptownie i uciekła. Dopiero po pięciu czy sześciu krokach okręciła się na pięcie i ponownie na niego spojrziała. To dziecko wykazywało niesamowite aktorskie zacięcie, a Edgar miał okazję zobaczyć, co musi się dziać w jej domu. Można było podej-

182
rzewać, że podobne sceny robi zawsze przy jedzeniu warzyw i oglądaniu telewizji.

Zmarszczyła twarz, jakby zastanawiając się nad zawiłym problemem.

— A powiedziałbyś mi, gdybyś pamiętał?-w końcu zapytała.

Tak.

Twarz rozjaśniła się jej uśmiechem, wydawała mu się dziwnie znajoma, jednak nie potrafił skojarzyć skąd może ją znać.

— Och — powiedziała tylko. — Dobral-i oddaliła się w podskokach. Zanim dotarła do narożnego boksu, zainteresowała się niemowlęciem siedzącym na wysokim krzeselku przy stole, zatrzymała się, żeby szturchnąć dziecko, i o coś zapytała, kiedy zareagowało płaczem.

— O co chodziło? — zapytała Trudi, gdy już zajęła miejsce w boksie.

Nie wiem.

— Może masz wielbicielekę — stwierdziła.

I po raz trzeci od wejścia do restauracji nie potrafił wymyślić w odpowiedzi nic lepszego, jak tylko wzruszyć ramionami.

Oboje bardzo się starali, żeby poprawić sobie nawzajem humor, gdy tylko zauważali nadciągające posępne myśli. Edgar pociągnął Trudi do kuchennego stołu, gdzie grali w warcaby i zajadali popcorn. Z kolei ona pewnej nocy chyłkiem, starając się go nie obudzić, sprowadziła do domu cały jego miot. Kiedy rano otworzył oczy, osiem psów uniosło łby i popatrzyło na niego.

Edgar otworzył Księgę dżungli i zauważył że po raz pierwszy od pogrzebu jest w stanie skoncentrować się na czytaniu. A właśnie czytanie przynosiło mu największą pociechę. Mjucia Kaa. Opowieści z Bandar-Log. Nie miało znaczenia, co czyta. Książki pachniały starym życiem, życiem z przeszłości. Oglądał telewizję w oczekiwaniu na relacje o Aleksandrze Honeywell i Osadzie Gwiazdnych Dzieci, również w tym odnajdując pewną ulgę. Jednak budząc się czuł przygniatający ból w klatce piersiowej, jakby ktoś w nocy położył na niej kowadło.

Nieco pociechy przynosiły mu wizyty małych szczeniaków.

A także w warsztacie mimo tego, co tam się stało. Ale właśnie rząd szaf z dokumentami, pokrytych łuszczącą się farbą i jak wartownicy strze-

183

gących tylnej ściany warsztatu, najbardziej go pociągał. Na szafach stał mały podręczny księgozbiór. Psy robocze autorstwa Humphreya, Warnera i Brooksa. Genetyka w rolnictwie Babcocka i Clausena. Weterynaria w gospodarstwie Wilsona i Bobrowa. Genetyka i zachowania społeczne psów Scotta i Fullera. I oczywiście The New Webster Encyclopedic Dictionary of the English Language. Leżał tam też rejestr

miotów — całe rzędy powpisywanych imion i numerów miotu, po jednej linijce na każdego psa Sawtelle'ów, od czasów jego dziadka począwszy. Setki, a może nawet tysiące razy patrzył, jak jego ojciec przesuwiał palcem po jakiejś stronie, a potem wyszarpywał z szuflady wypchaną teczkę. W metalowych szufladach mieszkały całe pokolenia psów. Kiedy się okazało, że jakaś teczka zaginęła, ojciec powiedział, że to tak, jakby stracili samego psa, i nie ustawał w poszukiwaniach, mówiąc: „Te rejestry to nasza biblia. Bez nich nie moglibyśmy planować następnego miotu. Nie wiedzielibyśmy, jakie znaczenie miał dany pies”.

W dolnych szufladach najstarszych szaf mieścił się kram z artykułami prasowymi i listami, w większości adresowanymi do dziadka Edgara. Był tam list od pewnego człowieka z Ohio, którego własny pies uratował przed utonięciem. Inny, od kobiety ze stanu Waszyngton, opisywał interwencję jej psów, kiedy została zaatakowana przez pumę. Niektóre listy były spięte spinaczem z artykułami wyciętymi z gazet wydawanych w odległych miastach. „The Boston Globe”. „The New York Times”. Nawet londyński „Times”. Wyraźnie rysował się pewien schemat: dziadek pisał do ludzi, których psy zrobiły coś wyjątkowego, o czym doniesiono w gazecie.

Szczególnie jeden list przykuł uwagę Edgara. Nosił stempel New Jersey, a nazwisko, Brooks, zdawało się znajome. Po przeczytaniu kilku pierwszych linijek Edgar wstał, sprawdził grzbiet książki *Psy robocze*, i powrócił do czytania:

2 maja 1934

Morristown, New Jersey

Szanowny Panie Sawtelle,

dziękuję bardzo za zainteresowanie naszą pracą. Ogrom-

nie cieszy mnie, że książka *Psy robocze* może być Panu pomoc-

na i nie stanowi tylko efektu bezużytecznej pracy dokumenta listy. Niestety, w związku z tym, że obecne zajęcia wymagają mojej obecności na miejscu, w najbliższej przyszłości nie przewiduję wyjazdu do Wisconsin. Mam nadzieję, że jako człowiek pracujący przy psach rozumie pan moją sytuację.

W pierwszej kolejności chciałbym odpowiedzieć na Pańskie pytania. Nie staramy się szkolić naszych psów do podejmowania złożonych wyborów między obiektami treningu. Psy oczywiście każdego dnia wielokrotnie dokonują poważnej oceny sytuacji, zarówno podczas tresury, jak i pracy, lecz intencja polecenia zawsze jest jednoznaczna i wyraźna. Na przykład przywoływany pies za każdym razem powinien przyjść. Kiedy otrzymuje polecenie „zostań”, zawsze powinien zostać. Nie wyobrażam sobie żadnej korzyści, jaka mogłaby płynąć z proszenia psa, żeby „ewentualnie” przyszedł, kiedy zostaje wezwany. Węszenie podczas tropienia wymaga dokonywania wyboru na wyższym poziomie, ale są to decyzje innego rodzaju niż ten, o którym Pan pisze. W tym zakresie zachowujemy nadzwyczaj praktyczne podejście. Naszym celem jest wyhodowanie jak najlepszych psów roboczych, a przewidywalność ich zachowania jest przez nas konsekwentnie podkreślana. Nawet nie będę próbował odgadnąć, czy stanowiące przedmiot Pańskiego pytania zachowanie, bazujące na dokonywaniu wyboru, może być wyćwiczone lub dokładnie sprawdzone czy też jest dziedziczne. I nie przychodzą mi także na myśl skuteczniejsze metody ćwiczeń niż proponowane przez Pana. Kwestia dokonywania wyboru stała się tematem moich jałowych

rozważań przez ostatnich kilka wieczorów, a nawet zacząłem ją omawiać z kolegami. Wydaje się, że zgadzamy się co do tego, iż gdyby nawet było to możliwe, z takich psów roboczych niewielki byłby pożytek.

Po drugie, z przyczyn mam nadzieję dla Pana zrozumiałych, nie możemy brać pod uwagę wymiany psów. Sześć linii hodowlanych stanowiących program Fortunate Fields składa się z psów o dokładnie zbadanych rodowodach. W celu wybra-

184
nia podstawowych reproduktorów, w liczbie dwudziestu jeden zwierząt, zbadaliśmy rodowodowe dane setek kandydatów, w przypadku każdego psa biorąc pod uwagę tytuły uzyskane na wystawach i za inne osiągnięcia. W efekcie nasze wszystkie psy wykazują się sprawdzonym rodowodem, który skutkuje zarówno ich doskonałym dostosowaniem, jak i wspaniałymi sukcesami w pracy. Dlatego też nawet nie można rozważać wprowadzania nieznanego czynnika do linii hodowlanej.

Chciałbym również podzielić się dwoma spostrzeżeniami.

Po pierwsze, rozpoczynając swoją hodowlę w oparciu o psy, które uznał Pan za „wyjątkowe pod względem temperamentu i budowy”, ale pochodzące od nierodowodowych reproduktorów, ogromnie utrudnił Pan postawione sobie zadanie, którego — muszę przyznać — do końca nie rozumiem. Choć prawdziwie jest, że ostateczny dobór naszych owczarków niemieckich był w zasadzie przypadkowy, jednak początkowy wybór z dobrze udokumentowanej linii hodowlanej nie był dziełem przypadku. I tak na przykład wiemy, że nasze psy już od pięciopokoleń charakteryzują się mocną budową. Jeśli pojawiają

się pytania związane z dziedzicznością określonych cech, możemy się skontaktować z właścicielami przodków tych psów, sięgając dwie, a nawet trzy generacje wstecz. Takie możliwości i wiedza są bezcenne, gdy celem jest wychowanie naukowo zbudowanego psa roboczego. Bez takich informacji można się spodziewać, że pierwszy tuzin pokoleń będzie wykazywać krańcowe zróżnicowanie; a w celu uporządkowania takiego chaosu należałoby agresywnie prowadzić hodowlę wsobną, co jak wiadomo, wiąże się ze wzmocnieniem zarówno cech niepożądanych, jak i pożądanych.

Czuję się również w obowiązku podkreślić, że ogromną naiwnością jest sądzić, iż w ogóle można stworzyć rasę psa. Czynienie tego przez dobór wyjątkowych egzemplarzy na podstawie arbitralnej oceny — wybierając psy, które akurat wpadną hodowcy w oko — i krzyżowanie ich we własną linię hodowlaną da w rezultacie bezładną mieszaninę i równie dobrze może spowodować przyście na świat niezdrowego i niezdolnego do pracy potomstwa. Chciałbym ostrzec Pana przed takim postępowaniem. Odnoszę wrażenie, że zdaje Pan sobie sprawę z zasad rządzących dziedziczeniem i tym bardziej dziwią mnie Pańskie oczekiwania. I Pan, i gatunek psi, i nasza społeczność więcej by skorzystały, gdyby zaakceptował Pan realia rządzące hodowlą zwierząt. Cechuje Pana typowa próżność, która zdarza się każdemu hodowcy w chwilach słabości — jednak najlepsi odsuwają od siebie takie pokusy i myślą o tym, co jest odpowiednie dla rasy. Mam nadzieję, że również Pan wkrótce tak postąpi. W istocie Pańskie próby stoją w sprzeczności z naszymi dążeniami i nie mogę ich uznać za

godne polecenia.

W tekście pojawiło się puste miejsce, a pod nim ciąg dalszy listu:

Panie Sawtelle,

po napisaniu ostatniego fragmentu listu musiałem go odłożyć na kilka dni, gdyż byłem zbyt poirytowany, żeby dokończyć. Miałem wrażenie, że powinienem napisać go od nowa, w bardziej uprzejmym tonie, albo go po prostu nie wysłać. Chociaż nie zmieniłem stanowiska w tej sprawie, w ostatnich dniach dowiedziałem się, że będę jechał do Minneapolis. Dla mnie samego jest to dziwne i nieoczekiwane, ale kiedy przyjrzałem się mapie, doszedłem do wniosku, że w drodze powrotnej będę miał trochę czasu, żeby zboczyć z drogi i osobiście przekonać Pana o szaleństwie tego pomysłu. Ponadto, jako naukowiec, czuję się w obowiązku przyjrzeć się Pańskiej hodowli, ponieważ zawsze istnieje szansa, choć niewielka, że może być dla nas przydatna. Moja podróż odbędzie się za sześć tygodni i z Minneapolis będę wracał około 15 czerwca.

Z poważaniem,

AB.

Ten list zaciekał go bardzo. Edgar od lat czytywał *Psy robocze* i wiedział, że Brooks był jednym z hodowców zakładających projekt

186

187

Fortunate Fields. W stojącej na szafach podręcznej biblioteczce znajdowało się kilka książek na ten temat, a także artykuły o najslynniejszym z tamtejszych psów, suce Buddy. Fortunate Fields zostało zainicjowane dzięki działalności dobroczynnej pewnej kobiety o nazwisku Dorothy Eustice, autorki pomysłu, żeby wyhodować psy, które mogłyby pomóc

ludzkości — w szczególności jako przewodnicy dla niewidomych. W celu wprowadzenia w życie tej idei powołana została specjalna instytucja o nazwie „The Seeing Eye”.

Fortunate Fields stanowiło bardzo ciekawy projekt, ponieważ pies przewodnik dla niewidomych powinien mieć określone usposobienie: trudno go wyprowadzić z równowagi, łatwo się uczy i lubi pracować. To wykluczało psy, które na przykład denerwowały się w nowym otoczeniu lub były zbyt mało komunikatywne i trudno było liczyć na to, że będą mogły stale pracować. Zgodnie z legendą Sawtelle'ów — zdaniem Edgara niewykraczającą poza obszar mitu — jego dziadek na początku skontaktował się z hodowcami w Fortunate Fields, a jeden z nich zgodził się nawet doradzać dziadkowi w sprawach hodowli i tresury. Mówiono też, że psy Sawtelle'ów mają w sobie również krew Buddy.

Edgar wertował listy. Znalazł jeszcze kilka od Brooksa. Następny był datowany dwa miesiące później.

2 lipca 1934

Morristown, New Jersey

Panie Sawtelle,

przepraszam za tak pospieszny wyjazd. Pańska gościnność przekroczyła moje oczekiwania — aw zasadzie przekroczyła to, na co powinienem sobie pozwalać. Zobaczywszy Pańskie psy, zmuszony jestem przyznać, że w pełni rozumiem Pański entuzjazm. Jednak muszę powtórzyć, że niemożliwym jest, abyśmy mogli z nich skorzystać w hodowli Fortunate Fields.

Przeglądnięcie Pańskich rejestrów pozwoliło mi zrozumieć, że różnica między naszymi podejściami leży w filozofii, a nie w technice. Na swój sposób jest Pan równie staranny w doborze jak my w Fortunate Fields (przepraszam, jeśli po-

wtarzam coś, co już mówiłem podczas odwiedzin u Pana —
188

nie wszystko dokładnie pamiętam). Nie wydaje mi się, żeby miał Pan szansę odnieść sukces, chociaż w Pana przypadku określenie, co jest sukcesem, nie jest tak precyzyjne jak w naszej hodowli. Być może jest to podejście bardziej praktyczne, jak sam Pan dowodził, jednak nie jest naukowe, a w nauce z istoty rzeczy postęp jest powolny.

Nie mogę również wyrazić zgody na przysłanie tutaj suki do pokrycia. Chociaż osobiście jestem po Pańskiej stronie, moi koledzy nie są przekonani do tego pomysłu.

Mogę natomiast poinformować Pana w zaufaniu, że pewien dżentelmen mieszkający w pobliżu Minneapolis, niejaki Conrad McCalister, już od dwóch lat jest w posiadaniu jednego z naszych psów, Amosa. Amos jest bratem Buddy i równie wspaniałym psem jak ona. Uważamy Amosa za jedno z naszych największych osiągnięć, chociaż to Buddy uzyskała wielki rozgłos. Sądzę, że przy moim poparciu Conrad zgodziłby się, żeby Amos spłodził miot z wybraną przez Pana suką. Mogę dopilnować, by uzyskał Pan naszą pełną dokumentację na temat Amosa, co pozwoli Panu w pełni docenić, jakie to miało znaczenie.

Na koniec chciałbym poruszyć sprawę osobistą, wyrażając równocześnie pragnienie, aby nigdy więcej nie była dyskutowana. Nasz wieczór w Dziupli (o ile dobrze pamiętam nazwę tego lokalu) zakończył się dosyć niefortunnym — aw zasadzie głupim — incydentem. Otóż przedstawiona mi przez Pana młoda dama wysłała na mój domowy adres już kilka listów,

z których wynika, że ona raczej nie jest skłonna nabrać do tego odpowiedniego dystansu. Zapewniam Pana, sprawdziłem, że to tylko kwestia źle ulokowanego uczucia niemająca nic wspólnego z medycyną. Jak sędzę, znają Pan, chyba że moja pamięć o tamtej nocy została zupełnie zniszczona przez zawartość wypitych szklaneczek (nazwa „Leinenkugel” już zawsze będzie przyprawiać mnie o mdłości. Dziękuję Bogu, że w naszych stronach nie sprzedają tego alkoholu).

W każdym razie zaproponowałem tej kobiecie, że najlepszym rozwiązaniem będzie przekazanie jej subtelnej pamiątki

189

w postaci szczeniaka spokrewnionego ze słynną Buddy, którego mogłaby od Pana otrzymać. Wyjaśniłem jej, że byłby to bratanek lub bratanica Buddy ze strony ojca, ale jak sam Pan doskonale zdaje sobie sprawę, osoby niezwiązane z hodowlą zwierząt nie interesują się specjalnie kwestią pochodzenia i nie przywiązują do tego zbyt dużej wagi. W każdym razie z największą przyjemnością wyślę do Conrada list z poparciem dla tej krzyżówki, gdyby Pan mógł się na to zgodzić. Zaskarbiłby Pan sobie też moją głęboką wdzięczność.

Uważam, Panie Sawtelle, że podjął się Pan wyjątkowo interesującego zadania. A jeśli mój poprzedni list brzmiał zbyt obcesowo, proszę przyjąć moje przeprosiny.

Oczekując z niecierpliwością Pańskiej odpowiedzi, pozostaję z poważaniem

Aluin Brooks

PS. Jeśli chodzi o nazwę, nie widzę żadnego powodu, żeby nie nazywać ich „psami sawtelle”, lub po prostu „sawtelle'ami”.

A gdyby się okazało, że są czymś więcej niż tylko dobrze wytresowanymi kundlami, będą przecież efektem Pańskiej wizji.

I trzeci list, datowany pięć lat później.

18 listopada 1938

Morristown, New Jersey

Johnie,

osobiście nie podzielam tego pragnienia do filozofowania na temat natury ludzi i psów. Prowadzi to do dyskusji, które w najlepszym wypadku są mało naukowe, a w najgorszym prostym marnotrawieniem zdolności intelektualnych. To rozmowa o religii, a nie o nauce.

Jednak przyznaję, że pewien fragment Twojego listu zaintrygował mnie — chodzi o Twoje rozważania na temat *Canis posterus*, tych „następnych psów”, jak je nazywasz. Znam

190
teorię o takzwanym wilku strasznym, *Canis dirus*, gigantycznym przodku wilków biegającym po prehistorycznej ziemi.

Podobnie jak Ty jestem zdania, że nasze współczesne psy wywodzą się ze starożytnych wilków, być może sprzed stu tysięcy lat. Jak sam mówisz, daje nam to trzy punkty — czyli więcej niż trzeba, żeby wyznaczyć przebieg linii — jeśli rzeczywiście należą do tej samej gałęzi ewolucyjnej gatunku. To znaczy, wilk straszny może być czymś zupełnie odmiennym od *Canis lupus*, może stanowić alternatywną formę, którą siły doboru naturalnego się bawiły, a potem ją odrzuciły.

Zanim przejdę dalej, chciałbym coś jeszcze wyjaśnić. Piszesz o doborze naturalnym i ewolucyjakby były tym samym, lecz dobór naturalny — bezkierunkowe przetrwanie jednostki

czy jednostek — jest zaledwie jednym z mechanizmów ewolucji, lecz nie jedynym. Innym mechanizmem jest na przykład mutacja — jedna z dróg, na których wprowadzana jest zmiana. Jak dobrze wiesz, sumiennie prowadzona hodowla pełni tę samą funkcję wśród zwierząt domowych co dobór naturalny w warunkach naturalnych.

Ale jeśli w geometrii, mając dwa punkty, można poprowadzić przez nieprostą, to być może podobne prawo ma zastosowanie w biologii. Załóżmy, że tymi dwoma punktami są wilk i pies domowy. A to sugerowałoby, że wzdłuż tej samej linii będzie coś jeszcze — „następny pies”, jeśli tak chcesz go nazwać.

Jednak tutaj w swoim myśleniu schodzisz na manowce, ponieważ dalsze punkty leżące na wszystkich takich liniach biologicznych nie są bardziej rozwinięte niż wcześniejsze, są tylko lepiej przystosowane. Czyli ewolucja i stopień zaawansowania niekoniecznie muszą oznaczać to samo. Dlatego też Twoje nieustające spekulacje na temat natury *Canis posterus* i tego, jak to następna mała zmiana pozwoli im być lepszymi pracownikami (co jest moim marzeniem) lub towarzyszami (Twoje marzenie), są daremne, ponieważ siły doboru naturalnego musiałyby albo wcześniej wiedzieć jaka modyfikacja jest potrzebna, albo być w stanie rozpoznać ją, kiedy zupełnie

191

nieprzypadkowo się wydarzy. To ostatnie rozwiązanie jest zupełnie nierealne — mutacje w każdej populacji zdarzają się wyjątkowo rzadko i choć istnieje oczywiście szansa na wystąpienie określonej mutacji, która lepiej przystosowywała-

by psa dopełnienia roli towarzysza... cóż, jest to możliwe, ale statystycznie mało prawdopodobne.

W związku z tym pozostaje Ci tylko niewiele obiecujące spekulowanie na temat zmiany, która nie może się wydarzyć, chyba że z góry wiesz, czego miałyby dotyczyć (albo dysponujesz tak długim czasem jak dobór naturalny). Na tym właśnie polega główny problem laika w zrozumieniu kwestii ewolucji: okres jej działania zdecydowanie wykracza poza ludzkie doświadczenia i trzeba nauczyć się myśleć w kategoriach całych wieków, a nie dziesięcioleci. Pracując w Fortunate Fields, starannie określiliśmy obiektywne — znane z góry — kryteria, zgodnie z którymi nasze zwierzęta mogą być oceniane pod względem przydatności; dokładnie wiemy, pod kątem jakich zachowań mamy prowadzić selekcję. Dlatego chociaż nasze postępy z natury rzeczy muszą być powolne, jesteśmy przekonani, że będą systematyczne i stałe.

Skoro jednak nalegasz na prowadzenie spekulacji, odpowiem w ten sposób. Istnieją pewne granice tego, co może osiągnąć nawet najbardziej rygorystycznie prowadzony naukowy program hodowlany — i to nie tylko wynikające z podstawowego inwentarza rozplodowego oraz ograniczeń naszej dokładności w ocenie psów, ale wynikające z naszych ograniczeń — innymi słowy, z ograniczeń naszej wyobraźni i nas jako moralnych istot ludzkich. Ażeby bowiem ostatecznie stworzyć lepsze psy, będziemy musieli stać się lepszymi ludźmi.

I właśnie to, mój drogi Panie, jest na ten temat ostatnim rozważaniem, jakie ode mnie usłyszysz.

W liście były jeszcze inne wiadomości, wymiana informacji o meto-

dach prowadzenia psiarni, wyjaśnienia dotyczące wcześniejszych listów. Edgara bardzo zaciekawiła forma, jakiej użył Alvin Brooks, podpisując list. Przemiana tak oficjalnego początkowo człowieka od pierwszej, pełnej oburzenia odpowiedzi do tej, którą zakończył sformułowaniem „Twój oddany”, musiała odbywać się przez dziesiątki, jeśli nie setki wymienianych listów. Dlaczego zachowały się właśnie te, a nie inne z tak wielu przesyłanych? Zdawał sobie sprawę, że mogła to być kwestia przypadku. Mimo to ponownie zaczął grzebać w szafach z dokumentami, ciekaw, co jeszcze uda mu się znaleźć, otwierając listy jeden po drugim i odkładając je na bok.

Pod wpływem tej lektury zaczął rozmyślać o prowadzonych przez nich rejestrach. Dokumentacja psa nie kończyła się z chwilą opuszczenia przez niego psiarni. Na prośbę ojca nowi właściciele co kilka miesięcy przysyłali listy, w których opisywali, jak radzą sobie przyjęte przez nich psy. Kiedy pies kończył pięć lat, ojciec kontaktował się z jego właścicielem w celu wypełnienia kolejnego formularza. A kiedy pies kończył żywot, wypełniano jeszcze inny formularz, rejestrując wiek, przyczynę śmierci, zachowanie w ostatnim okresie życia i tego typu informacje. Zdarzało się, że Gar kontaktował się nawet z weterynarzem leczącym danego psa. Dlatego też teczki wszystkich psów z czasem rozrastały się, aż były wypchane notatkami, listami, fotografiami.

„Miot — jak kiedyś powiedział ojciec Edgarowi — jest jak zdjęcie rentgenowskie rodziców i dziadków, ale takie zdjęcie, którego wywoływanie trwa całe lata, choć i tak nigdy nie jest zupełnie wyraźne. Im większą liczbą takich promieni rentgenowskich dysponujesz, tym lepszy uzyskasz obraz”.

Brzmiało to rozsądnie. Pies może spłodzić z pół tuzina miotów, a w każdym po sześć lub siedem szczeniaków. A to oznacza czterdzieści

lub nawet więcej szczeniaków, które odzwierciedlają cechy ojca. Jeśli w krańcowym przypadku w każdym miocie pojawi się rozszczep podniebienia — a to oznaczało, że szczeniaki nie będą hodowane — wiadomo, że ojciec miał skłonność do rozszczepu podniebienia (oczywiście jeśli ojciec więcej niż raz spłodził szczeniaki z rozszczepem podniebienia, nie jest już używany do rozmnażania, ateczka takiego psa zostaje przekreślona na czerwono).

Tuż przed opuszczeniem psiarni pies był oceniany po raz ostatni.

Mówili na to „końcówka”. Podczas końcówki nie było żadnych specjalnych badań, to samo co zawsze, te same ćwiczenia, te same pomiary.

Różnica polegała na tym, że tym razem rezultaty były wyrażane w formie

192

193

liczbowej, reprezentującej dorosłego psa. Ten ostateczny wynik stanowił najlepszą miarę tego, co przekazali jego przodkowie — najwierniejszy obraz zdjęcia rentgenowskiego.

Po wyznaczeniu końcowego wyniku Gar przeliczał końcowe wyniki wszystkich przodków danego psa, cofając się o pięć pokoleń. W ten właśnie sposób dokumentowano, na ile pies jest dobrym reproduktorem rasy, w jakim stopniu przekazuje dobre czy złe cechy następnym pokoleniom. Druga liczba stanowiła informację, ilu potomków danego psa miało swój wkład w główny wynik — wskaźnik zaufania. W przypadku dwóch psów o prawie identycznych końcowych wynikach przy planowaniu miotów wybierany był pies o wyższym współczynniku zaufania - czyli ten, który był dokładniej przebadany. Tak wyglądał system opracowany i dopracowany przez dziadka Edgara, najwyraźniej po długich dyskusjach z Brooksem, później używany, modyfikowany i udoskonalany przez ojca Edgara.

Nie był to oczywiście system doskonały. Chociaż końcowy wynik dawał pewien obraz wyników badań psa, trzeba było też brać pod uwagę kwestie niemierzalne. I nie chodziło tu o temperament, który był rozkładany na pojedyncze formy zachowania i oceniany, ani o cechy fizyczne, które łatwo można było zmierzyć, ale o to, jak pies to wszystko w sobie łączył, ponieważ pies jako całość zawsze był czymś więcej niż tylko sumą poszczególnych części. Niektóre na przykład potrafiły zachowywać się jak natchnione: łatwiej niż inne psy chwytaly nowe sposoby wykonywania różnych czynności. Tego nie dało się zmierzyć. Dochodziła jeszcze osobowość psa, niekoniecznie związana z jego temperamentem. Pies z dużym poczuciem humoru zawsze znajdzie jakiś sposób, żeby sobie z tobą pożartować, i praca z nim może sprawiać przyjemność. Są też psy poważne i zamyślane, które mają inne zalety.

Gar czasami narzekał, że tylko zajmuje się obserwacją psich błędów, w rzeczywistości chciał przez to powiedzieć, że nawet najlepsze rejestry na świecie nie są w stanie uchwycić pełnego obrazu psa. Można w nich zapisać tylko to, co daje się zmierzyć. A pomiary i badania psów, późniejsze kontrolne rozmowy telefoniczne i listy oraz ponowne ocenianie przodków psa umieszczonego w jakimś domu, to wszystko miało na celu przypominać ojcu Edgara całościowy charakter tego psa. Kiedy nadchodził czas planowania miotu, wszystkie te wyniki i liczby stanowiły jedynie wskazówki. Nieraz zdarzało się, że wyboru dokonywał wbrew liczbom, bazując tylko na intuicji.

Narzekania ojca wskazywały również na to, że rejestry miały przede wszystkim zapobiec błędnemu dobieraniu par — krzyżowaniu na przykład dwóch psów, które mogły dać słabe potomstwo. Na tym polegał ciekawy aspekt planowania krzyżówek. Nie można było krzyżować dwóch wspaniałych psów, jeśli istniało ryzyko, że urodzi się miot obciążony

wadą prostych stawów kolanowych i psy będą kalekami, zanim osiągną pięć lat. Dlatego też przy planowaniu par pierwszym pytaniem nie było, jak wspaniałe będzie potomstwo, tylko jakie problemy może przynieść skojarzenie danej pary.

Dopiero gdy Edgar nad tym wszystkim się zastanowił, zaczął rozumieć, o czym myślała matka, twierdząc, że nie da się słowami opisać tego, co stanowi o wartości ich psów. Po części była to kwestia tresury. Wiele godzin spędzali na ćwiczeniach szalonego chodzenia przy nodze, stania, a później puszczenia psów wolno, na uczeniu ich patrzenia w tę samą stronę co treser i wielu podobnych zajęciach, aż szczeniaki zaczęły uważać na to, gdzie ich opiekunowie idą i gdzie patrzą; uczyły się rozumieć, że określony wyraz twarzy człowieka oznacza, że coś interesującego znajduje się za nimi albo winnym pomieszczeniu. Dotychczas uważał to za rzecz oczywistą, ale gdy teraz matka o tym powiedziała, zauważył, jakie to jest wyjątkowe.

A zatem wartość psa brała się z tresury i z hodowli. Edgar sądził, że mówiąc o hodowli, ojciec miał na myśli rodowód — określone psy wśród przodków — a także wszystkie informacje zebrane w szafach na dokumenty. Ponieważ te teczki, wypchane zdjęciami, pomiarami, uwagami, wykresami, odnośnikami i wynikami, opowiadały im historię psa — jak to ojciec określił — znaczenie danego psa.

Czasami, kiedy Edgarowi przychodziła do głowy jakaś myśl, natychmiast na swoje miejsce wskakiwało szereg innych, jakby tylko czekały stłoczone w zakamarku jego umysłu, czekając, aż otworzy się droga. I nagle zrozumiał, że tresura, dobór hodowlany i prowadzenie rejestrów działają wspólnie, że tresura sprawdza psy pod względem ich przymiotów, ich zdolności do uczenia się różnych form pracy. A to tłumaczyło wszystkie procedury ćwiczeń, a także to, dlaczego Sawtelle'owie musieli

wychowywać psy, aż osiągną dojrzałość: gdyby sprzedawali szczeniaki,
194

195

nigdy by się nie dowiedzieli, jakie psy z nich wyrosną. Natomiast dzięki szkoleniu wszystkich psów mogli je porównywać. I dlatego końcowy wynik psa mógł zmienić wyniki jego przodków, a to z kolei miało wpływ na psy wykorzystywane do następnej krzyżówki. Jakby każdy pies miał coś do powiedzenia w selekcji następnych pokoleń.

Edgar zamknął oczy i czekał, aż to wszystko poukłada mu się w głowie. Gdy już się z tym uporał, tak bardzo zapragnął zapytać o to ojca, chcąc mieć pewność, że wszystko poprawnie zrozumiał, że o mało się nie rozpląkał. Ale teraz pozostała mu już tylko droga przez rejestry. Jednak podświadomie wyczuwał też — wyczuwał, choć nie potrafiłby tego nazwać — że jest jeszcze coś więcej, co przydaje wartości tym psom, coś, co nie mieści się w tym nieoczekiwanym potoku myśli. Żałował, że nie może przeczytać listów pisanych w tej korespondencji przez swojego dziadka, aby zrozumieć, co dziadek miał na myśli, mówiąc o „następnym psie”.

Niezależnie od tego, jak bardzo naiwne czy niedorzeczne mogły się wydawać Brooksowi słowa jego dziadka, Edgar uważał, że wizja Johna Sawtelle'a wcale nie musiała być tak idealistyczna.

I co więcej, miał wrażenie, że wizja ta może właśnie się realizuje.

Lekcje i marzenia

Kilka tygodni po pogrzebie, kiedy już ustąpił szok i na powrót podjęli AXprzynajmniej niektóre z codziennych zajęć w psiarni, zaczęły się sny Edgara. W tych snach ojciec wykonywał najnormalniejsze rzeczy — szedł po podjeździe, żeby odebrać pocztę, czytał w fotelu, w przyćmionym świetle kojca małych szczeniaków unosił noworodka, żeby lepiej mu się przyj-

rzyć... Edgar próbował się doszukać jakichś związków między ostatnimi myślami na jawie i tym, co widział po zaśnięciu. Pewnej nocy ujrzał siebie wraz z ojcem idących wzdłuż potoku, pośród zielonych i bujnych jak w dżungli sumaków i czeremch wirginijskich, chociaż nawet śniąc, wiedział, że pola za oknem są pokryte grubymi zaspami śniegu. W pewnym momencie ojciec odwrócił się i powiedział coś ważnego. Po przebudzeniu Edgar leżał nieruchomo, próbując utrwalić te słowa w pamięci, ale zanim ospałym krokiem dotarł do kuchni, nie pamiętał już nawet, czy ojciec do niego mówił czy na migi pokazywał mu słowa.

Trudi spojrzała na niego znad kubka z herbatą.

— Co się stało? — odezwała się.

Nic.

— Coś ci się śniło? — zapytała. — Ojciec?

Zaskoczyła go swoją domyślnością i nie wiedział, co odpowiedzieć.

Czy ona też miała podobne sny? Wydawało się to możliwe — czasami rano przypominała słabowite piskłę. Wyraźnie widział, że próbuje ochronić go przed trapiącymi ją złymi przeczuciami. Wieczorami długo nie kładła się spać, do późna siedziała przy kuchennym stole, udając, że pracuje. To on zazwyczaj przygotowywał dla niej kolację, bo matka zdawała się zapominać, że trzeba jeść. W zamyśleniu przesuwiała tylko

197

jedzenie po talerzu, po czym wstawiała i zabierała się do mycia naczyń.

Rozmawiając z ludźmi w miasteczku, sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej (choć wyglądała na zmęczoną), ale Edgar wyczuwał, że coś w jej wnętrzu pękło.

Dostrzegał też w sobie jakieś egoistyczne podejście do tych swoich snów. Choć pojawiające się w nich wspomnienia mogły być fałszywe,

to jednak były wspomnieniami, przedłużeniem szczęścia. Dlatego teraz tylko wzruszył ramionami i wziął się do porannych obowiązków. Nie oszukał jej, lecz nie musiał z nią o tym rozmawiać i to mu odpowiadało - przynajmniej na razie.

Trudi poleciła mu ustawić na strychu niską barierkę — dwa stojaki z wystającymi kołkami przypominające skocznnię wzwyż z kijem w charakterze poprzeczki, z której zwisała prowizoryczna zasłona z czerwonej wstążki. Następnie kazała mu przyprowadzić jednego psa. W pierwszej chwili zamierzał wziąć Essay, która uwielbiała się wspinać i skakać. Ale przypomniał sobie uwagę matki na temat wykonywania z psami opanowanych już przez nie ćwiczeń i wybrał Fincha. Polecił psu zostać po jednej stronie barierek, a sam podszedł do Trudi stojącej po drugiej stronie.

— Każ mu przeskoczyć przez barierkę — powiedziała.

Nie wymagała niczego trudnego: kij leżał na najniższych kołkach, piętnaście centymetrów nad ziemią. Finch bez wysiłku mógł go przekroczyć. Edgar przywołał go i Finch ruszył do przodu. Obwąchawszy stojaki, obszedł je, nie przechodząc przez kij. Truchtem pokonał pozostały dystans i stanął przed Edgarem, wymachując ogonem i patrząc to na niego, to na Trudi.

— Co o tym sądzisz? — spytała matka.

Źle to zrobił, pokazał na migi Edgar.

— Dobra, zapytam inaczej. Co ty zrobiłeś źle?

Nic. Dokładnie wiedział, czego od niego chce. Musiał nadłożyć drogi, żeby ominąć przeszkodę.

— To wszystko?

Edgar popatrzył na Fincha, który stał z lekko rozchylnym pyskiem, sterczącymi prosto uszami i figlarnie błyszczącymi oczami. Finch oczywiście wiedział, że powinien przeskoczyć przez barierkę — on nie tylko

widział, jak robią to inne psy, ale sam też wielokrotnie ją przeskakiwał, nawet gdy była dużo wyżej ustawiona (choć Edgatf musiał przyznać, że nigdy nie można było mieć do niego pełnego zaufania). Finch z pewnością nie bał się barierki, jak czasami zdarzało się psom. A przede wszystkim była to najkrótsza droga.

Tak, pokazał na migi. Sama widziałaś.

— Dobrze — powiedziała Trudi. — Na moment pomińmy to, że kiedy do ciebie doszedł, nie pochwaliłeś go. Tak przy okazji, on nadal na to czeka, ale to cierpliwy pies. Wie, że w końcu to zrobisz. Być może nawet będzie jeszcze pamiętał, za co go chwalisz. Może jednak tymczasem zaprowadziłbyś go z powrotem? Powtórzmy to ćwiczenie i zobaczymy, w czym tkwi problem.

Zmieszany Edgar podrapał Fincha w pierś i przyglądał sierść na czole psa. Włożył palce pod jego obrozę, ale zanim zdążył ruszyć z miejsca, Trudi powiedziała: — Stój!

Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Dlaczego teraz pochwaliłeś Fincha?

Roześmiał się milcząco, tak że tylko ramiona mu się zatrzęsły. Wyglądało na to, że matka postanowiła zadawać absurdalne pytania.

Ponieważ przyszedł na wezwanie.

— Naprawdę? — Sprawiała wrażenie zaskoczonej. — Dobrze. Niech będzie. — Uniosła rękę i lekkim gestem dłoni, jak królowa odprawiająca dworzan, poleciła im ruszać. — Zaczynaj.

Poprowadził Fincha na drugą stronę strychu, z daleka omijając stojaki, żeby przez przypadek nie wpoić mu złego nawyku. Gdy byli w połowie drogi do miejsca rozpoczęcia ćwiczenia, matka ponownie krzyknęła: — Stój!

Zatrzymali się. Bariierka znajdowała się na wyciągnięcie lewej ręki

Edgara. Trudi, stojąca w oddali, w pobliżu drzwi na strych, targała włosy palcami jak wariatka, jakby własnym oczom nie mogła uwierzyć.

— Co ty wyprawiasz? — zapytała.

Wiedział, że matka udaje, i ponownie się roześmiał.

Prowadzę Fincha na miejsce.

— Nie przeszedłeś przez barierkę!

Nie mówiłaś, że mam iść przez barierkę.

— No właśnie — powiedziała. — Rozumiesz? Nie możesz tresować psa do robienia czegoś, jeśli sam nie wiesz, co on ma zrobić. Kie-

198

199

dy przywołałeś Fincha, nie wiedziałeś, czego chcesz. Skąd o tym wiem?

Ponieważ powiedziałeś mu jedno, a oczekiwałeś czegoś zupełnie innego, podobnie jak ja. Gdybym wiedziała wcześniej, czego od ciebie chcę, poprosiłabym cię o to. Ale nie wiedziałam, dopóki nie minąłeś barierki.

Ale teraz już wiem, czego chcę. Wróćcie tu. Udzieliliście mi lekcji i teraz wiem, czego chcę.

Posłusznie przyprowadził do niej Fincha.

— Dziękuję — powiedziała, lekko się skłaniając.

Proszę bardzo, pokazał na migi i odpowiedział ukłonem. Z trudem powstrzymywał uśmiech.

— Kto w tej sytuacji był nauczycielem?

Pokazał na nią.

— Naprawdę?

Aha. To ja cię nauczyłem.

— Czyli kto był nauczycielem?

Ja.

— Zgadza się. Co się mówi, kiedy ktoś stara się, żeby cię czegoś

nauczyć?

Dziękuję?

— Właśnie. Dlaczego wcześniej pochwaliłeś Fincha?

Bo mnie czegoś nauczył?

— Pytasz mnie czy informujesz?

Informuję. Bo mnie czegoś nauczył.

— Tak jest.

Kiedy matka porzuciła w końcu tę teatralną pozę i uśmiechnęła się, Edgar sam nie wiedział, skąd w jego oczach pojawiły się łzy. Nie było mu smutno — a nawet się śmiał — ale nagle cały obraz mu się rozmył. Łzy musiało wywołać to poruszające odkrycie, że choć całe życie spędził w psiarni, wciąż nie rozumiał tak podstawowych spraw. A do tego siła jej osobowości była wręcz przytłaczająca. Odwrócił się i szybko przeciągnął rękawem po twarzy, zanim wydarzyło się coś, co jeszcze bardziej by go zawstydziło.

Przez chwilę przyglądała się mu.

— Och, Edgarze — rzekła. — Nie chciałam być dla ciebie surowa.

Chcę tylko, żebyś coś zauważył. Pamiętasz, jak mówiłam, że nie potrafię wyjaśnić, za co dokładnie ludzie nam płacą? I nie była to żadna fałszywa skromność. Musisz się między innymi nauczyć* że tresura prawie nigdy nie sprowadza się do słów. Mogę próbować wyjaśniać, o co chodzi, ale słowa niewiele tu będą znaczyć. Miałaś teraz dobry przykład: na samym początku użyłam słów, żeby wyjaśnić ci tę ideę, ale to wcale nie znaczyło, że zrozumiałeś. Może jednak teraz dostrzegasz już, dlaczego ktoś jest gotów zapłacić za wyszkolonego psa, zamiast wziąć szczeniaka?

Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, po czym skinął głową.

— A zwłaszcza inny treser?

Ponownie skinął głową.

— To może byś tak zabrał tego wybitnego nauczyciela o imieniu Finch z powrotem przez barierkę i posadził go po drugiej stronie, bo spróbujemy jeszcze raz.

Tym razem kazała mu stać po drugiej stronie strychu obok Fincha, z krótką smyczą przyczepioną do jego obroży, a sama przywołała psa. Edgar biegł obok Fincha i pilnował, żeby pies przeskoczył przez barierkę—w trzech próbach tylko raz trzeba było go poprawić. Następnie zamienili się miejscami i przy trzech kolejnych próbach ona biegła przy psie, a Edgar go wołał.

Za każdym razem dziękował Finchowi, że czegoś go nauczył. W odpowiedzi pies błyskał oczami i próbował położyć łapy na piersi Edgara, żeby polizać mu twarz. Edgar dość ochoczo mu na to pozwolił.

Kilka dni później przyjechał do nich na kolację doktor Papineau.

— Proszę bardzo — oświadczył od progu. Przyniósł ze sobą podmuch zimnego powietrza i białe pudełko z ciastkarni, niesione wysoko, jakby wnosił nagrodę. Doktor Papineau, stary wdowiec, był stałym bywalcem wszystkich restauracji i ciastkarni od Park Falls po Ashland. Doskonale wiedział, gdzie serwują jego ulubione potrawy, od smażonych z dwóch stron jajek sadzonych po sernik truskawkowy.

— Cytrynowe ciasto z bezą — oświadczył. — Własnoręcznie kupione. — Również ten dowcip stanowił część tradycji. — Powiedziałem Betsy z ciastkarni Mellen Bakery, żeby odłożyła mi najlepsze. I tak też zrobiła. Mam wrażenie, że ona trochę na mnie leci, odkąd dzielnie usunąłem jej kotu kamienie nerkowe.

200

201

Trudi wyjęła pudełko z rąk doktora.

— Ale i tak będzie musiała ustawić się w kolejce za kelnerkami z Park Falls — odparła z uśmiechem na ustach. — Page, temperatura wystarczająco niska jak na twoje wymagania?

— Nie — odrzekł wesoło. — Wolałbym, żeby było zimniej.

— Naprawdę? — zapytała. — A dlaczego?

— Bo gdy się wygrzewam w słońcu Florydy, lubię czytać gazety i sprawdzać, jaka jest tutaj pogoda. Jeśli nie widzę trzaskających mrozów, czuję się oszukany.

— Ach, rozumiem. Czas na doroczną migrację.

— Tak jest. Z każdym rokiem bardziej mi się to podoba.

Przy kolacji rozmawiali o psiarni. W tym tygodniu Trudi wybrała się do doktora Papineau z jednym ze starszych psów i doktor rozpoznał niedoczynność tarczycy. Rozmawiali o odpowiedniej kuracji. Potem, czyniąc wyraźną aluzję do ich zmęczonego wyglądu, zapytał, jak ona i Edgar sobie radzą. Trudi zbyła go, mówiąc, że choć nie jest łatwo, panują nad wszystkim. Nawet opracowali harmonogram zajęć.

Nieco ubarwiła ich sukcesy. Bo chociaż rzeczywiście ich życie powoli powracało do normalności, nierzadko przesiadywała w stodole do dziewiątej wieczorem, a potem jeszcze godzinę ślęczała nad papierami przy kuchennym stole. Również Edgar pracował wieczorami, wyprowadzając psy na szcztokowanie i ćwiczenia. Starał się wynegocjować możliwość spędzania z nimi wieczorem dwóch godzin; Trudi stwierdziła, że musi mieć czas na odrabianie lekcji i półtorej godziny w zupełności wystarczy na ćwiczenia, jeśli będzie pracował efektywnie. Wyjątkiem były soboty — spali, jak długo chcieli, a potem załatwiali sprawy w miasteczku. Ale nawet w te dni, jeśli udało mu się wstać pierwszemu, Edgar wymykał się do stodoły i zabierał za obowiązki w nadziei, że przy-

najmniej raz matka po przebudzeniu nie będzie musiała niczego robić. Często jednak nim minęło dwadzieścia minut jego pracy, wrota stodoły otwierały się i wchodziła matka, z zapuchniętymi oczami, znużona i z tygodnia na tydzień coraz chudsza. A na dodatek nabawiła się kaszlu, od którego czasami aż zginała się wpół.

— Dokonujecie tu w dwójkę cudów — powiedział doktor Papineau.

— Wprost nie mogę uwierzyć, jak szybko stanęliście na nogi. Pamiętam, jak to było ze mną, kiedy zmarła Rose. Całymi miesiącami do niczego się nie nadawałem. — Jakby się zamyślił na chwilę. Zastanawiam się tylko, czy uda się wam utrzymać to tempo.

— A niby dlaczego miałoby nam się nie udać? zapytała Trudi.

— Już niedługo pogoda się zmieni i będzie nam łatwiej, bo ćwiczyć będziemy na dworze. A potem zaczną się szkolne wakacje. To też dużo zmieni.

— A kilka miesięcy później wszystko zacznie się od początku — stwierdził Papineau. Wiedząc, gdzie są talerze i sztućce, sam podzielił ciasto na kawałki. Lubił osobiście podawać przyniesiony przez siebie deser.

— A co innego mamy zrobić? — zapytała matka najwyraźniej rozłoszczona. — Jesteśmy tu tylko we dwójkę. Może odpuścimy jesienny miot. Nie będzie łatwo, ale przyjrzałam się naszym funduszom i uda nam się jakoś powiązać koniec z końcem. Przykro mi, jeśli przez to twoje udziały nieco się zmniejszą, ale w tej chwili nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić.

Papineau machnięciem widelca zbył jej uwagę.

— Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy pomyślałaś o tym, że optymalnie jest, gdy zajmują się tym trzy osoby.

— Co masz na myśli?

— Mam na myśli to, że w miasteczku jest chłopak z rodziny Sawtelle'ów, który zna psiarnię od podszewki.

— Trudno o Claudzie mówić jako o chłopcu — odparła Trudi. —

A sam dobrze wiesz, do czego doszło między nim i Garem.

— Było, minęło, nie sądzisz? Trudi, on pomagał mi w gabinecie i muszę ci powiedzieć, że nadal ma talent. Pamiętam, jaki był dwadzieścia lat temu.

— I oboje wiemy, jak tego wszystkiego się nauczył. Nie nauczysz się dobrze pielęgnować pokiereszowanych psów, jeśli nie będziesz miał z nimi częstego kontaktu.

— Dobrze, już dobrze. Nie przyszedłem tu rozmawiać o przeszłości Claude'a. Rzecz w tym, Trudi, czy w tym waszym harmonogramie jest jakiś luz. Nie ma w nim czasu na cokolwiek, co mogłoby się nie udać, a przecież zawsze coś w końcu nie ułoży się tak, jak powinno. Spójrz na zeszły rok. Ile rzeczy się wydarzyło, na które nie byłaś przygotowana? I nie mówię tu o Garze, tylko o samej psiarni. W twoją stodołę uderzy-

202

203

ło tornado. Czy spodziewałaś się tego? () ile dobrze pamiętam, w zeszłym roku przynajmniej jedna z karmiących suk miała zapalenie sutka, a oboje wiemy, jak czasochłonne jest karmienie z butelki. Czy byłaś na to przygotowana?

— W porządku, Page, w takim razie ja też zadam pytanie: założmy, że weźmiemy kogoś do pomocy. Z czego mam mu zapłacić? Ja nie mam pieniędzy. Ledwo wiążemy koniec z końcem. Mamy bardzo niewielkie oszczędności. To wszystko. Ten nasz pikap już długo nie pociągnie, a kiedy trzeba będzie kupić nowy, nie chciałabym nikogo zwalniać, żeby móc to zrobić. Nawet nie zamierzam zaczynać.

— Trudi, to był tylko pomysł — odparł doktor Papineau. — Staram się pomóc.

— To był zły pomysł — stwierdziła. — Po to tu przyjechałeś? Żeby dbać o swoją inwestycję?

W końcu Edgar zaczął pojmować, czego dotyczyły aluzje do „udziałów” doktora Papineau. Zadał matce pytanie na migi, lecz ze złością pokręciła tylko głową, wstała i sztywnym krokiem obeszała stół. Dotarłszy do blatu, na którym leżała pozostawiona przez doktora Papineau foremka po cieście, zatrzymała się i szybkim ruchem wyrzuciła ją do śmieci.

— Nie urodziłam się tu, ale to wcale nie znaczy, że po dwudziestu latach nie wiem, co tu się dzieje. Po tych dwudziestu latach, jeśli mogę ci przypomnieć, podczas których Claude'a na pewno tutaj nie było.

Trudi miała czterdzieści jeden lat. Edgar wiedział, że jeśli jej na tym zależy, potrafi doskonale skrywać uczucia, zwłaszcza gdy niektóre psy specjalnie zachowywały się niesfornie, żeby wywołać jakąś reakcję, i nie obchodziło je, czy to będzie zadowolenie czy gniew. Często dopiero dużo później Edgar zauważał, że któryś pies zaszedł matce za skórę. Z pewnością była też w stanie opanować się podczas rozmowy przy kolacji, mimo to stała, pozwalając, żeby złość ją ogarniała, wręcz upajając się nią. Gdzieś zniknęły ciemne obwódki pod oczami, barki opadły w zrelaksowanej gotowości, jej postawa nabrała gibkości i elastyczności, jak u tancerki czy lwicy. Sprawiała wrażenie, jakby równie łatwo mogła teraz wskoczyć na stół, jak i zwinąć się w kłębek i zasnąć. Częściowo z wyrachowania, jak podejrzewał, aby wyglądać jak najmniej bezradnie, jak osoba w pełni panująca nad swoim losem, a częściowo również poddając się własnemu uporowi. Pomyślał, że ten jej władczy przyływ złości powinien go przerazić, ale chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się bezpieczniej.

Z kolei doktor Papineau zupełnie stracił rezon. Wychyliwszy krzesło na tylnych nogach, uniósł ręce do góry.

— Hola — powiedział. — To twoja decyzja. Nie chcę ci proponować niczego, co uważasz za niesłuszne. Ale proszę, pomyśl o tym, że w końcu coś się nie uda. I co wówczas zrobisz? Tylko tyle chcę wiedzieć: co zrobisz?

— Tak — powiedziała Trudi po wyjściu doktora Papineau. — On ma udziały w psiarni. Dziesięć procent.

Ktoś jeszcze? zapytał Edgar.

— Nie. Przed laty, kiedy było u nas krucho z pieniędzmi, Page nam pomógł. W tamtych czasach nie można było uzyskać kredytu, a on dał nam pięć tysięcy dolarów w zamian za udziały w psiarni. Ale ma też swoje zobowiązania.

To dlatego nigdy nie płacisz mu za usługi weterynaryjne.

— Zgadza się.

A co z Claude'em?

— Po śmierci twojego dziadka Claude sprzedał swoje udziały w psiarni twojemu ojcu.

Edgar chciał jeszcze zadać inne pytania, lecz matka nagle zaczęła sprawiać wrażenie wyczerpanej, doszedł więc do wniosku, że rano będzie miał wiele sposobności do porozmawiania.

Edgar od czasu do czasu wracał do listów od Brooksa. Stanowiły dla niego zagadkę do rozwiązania. Brooks wyraźnie się lubował w składaniu oświadczeń i złowieszczych ostrzeżeń. Stawiane argumenty miały na celu obronę lub atak w dyskusji na temat tego, jakie znaczenie ma chód, pięta, bok czy ogon psa, optymalny kąt śródrecza, jak wielkie pod tym względem mogą być różnice między psami z Fortunate Fields i psami Sawtelle'a; czy należy odróżniać chęć do pracy od ogólnie pojętej inteligencji; czy fizyczna wrażliwość jest wyuczona czy też dziedziczna.

Argumentacja często wkraczała w sferę teorii, a Brooks wypowiadał się jak człowiek wprowadzający Johna Sawtelle'a w epokę nauki.

„Jestem w tej korzystnej sytuacji, że wiem - pisał - iż długo po moim odejściu wyniki mojej pracy będą stanowić fundament, na którym

204

205

mogą bazować przyszłe pokolenia psów, hodowców i treserów. Umiejętności i talent to za mało. Jeśli są one ograniczone tylko do Ciebie samego, a nie zawarte w danych i precyzyjnie zarejestrowanych procedurach, cóż przyjdzie z Twoich wysiłków? Zaledwie kilka psów — kilka odniesionych sukcesów — a potem już nic więcej. Tylko króciutki błysk światła w ciemności”,

W 1935 roku pojawiły się jakieś komplikacje, ale Edgar nie był w stanie stwierdzić, co się wydarzyło — być może przez psiarnię przeszła jakaś choroba lub wystąpił jakiś dramatyczny błąd w tresurze. W każdym razie było to na tyle poważne, że Brooks zmienił ton, już nie dyskutując, a raczej dodając otuchy. „Nie pozostaje Ci teraz nic innego, jak podsumować swój kapitał dokonań - pisał. - Obecnie twoje rejestry muszą zastąpić Ci psy. Wczytaj się w nie. Spójrz, ile Twoich psów odniosło sukces w świecie. Twoje rejestry są historią Twoich dokonań, Johnie. To one pokażą Ci, dlaczego w ogóle podjąłeś się tej pracy”.

Edgar nigdy nie widział, żeby jego ojciec pod wpływem chwili podejmował decyzję o wyborze reproduktora, ale w tamtych początkowych latach jeszcze nie istniało nic, co można by nazwać psem sawtelle — były tylko psy Johna Sawtelle'a. Natomiast Brooks nie mógł znieść myśli, że dziadek Edgara, widząc jakiegoś psa na ulicy, potrafił uznać, że ma on w sobie niezbędne przymioty. Płynące z New Jersey odpowiedzi często przybierały formę głośnego protestu: „Johnie, czyż już wielokrotnie

o tym nie dyskutowaliśmy? Za każdym razem gdy robisz coś takiego, wprowadzana przez Ciebie zmienność w linii rodowodowej jest zdecydowanie większa od potencjalnej korzyści, jaką mógłbyś kiedykolwiek odnieść. Powiedz, dlaczego ufasz przypadkowi?"

Edgar poukładał chronologicznie listy od Brooksa. Ostatni zdawał się ostatecznie zamykać dyskusję.

16 grudnia 1944

Morristown, New Jersey

Johnie,

jesteś chyba najbardziej upartą osobą, jaką znam. Pozwól, że po raz ostatni spróbuję obalić Twoje tezy, chociaż szczerze mówiąc, obawiam się, że nikt nie jest w stanie przekonać Cię

206

do zmiany stanowiska w tej sprawie. W jednym przynajmniej jesteśmy zgodni, mianowicie że dzięki starannemu dokumentowaniu fenotypu można zwiększyć lub zmniejszyć przewagę jakiejś cechy, pod warunkiem że jest to oceniane w sposób obiektywny i utrwalane przez wiele pokoleń na drodze odpowiedniego doboru hodowlanego. Nawet najbiedniejszy rolnik o tym wie i z tego korzysta: w zależności od własnych potrzeb wybiera bydło rasy hereford, holstein lub guernsey. Sam najlepiej wie, czy w jego zaprzęgu ma stanąć perszeron czy koń brabancki.

W podobny sposób naukowe zasady dziedziczenia stosujemy w celu udoskonalenia rasy, dzięki czemu nie tylko jeden pies na dwa mioty jest w stanie spełniać nasze oczekiwania, ale dziewięćdziesiąt procent wyhodowanych psów. W jaki sposób to osiągamy? Określając i mierząc te cechy, które sta-

nowią o tym, że pies nadaje się do pracy. I właśnie w tym miejscu nasze stanowiska się różnią. Twoim zdaniem nie ma potrzeby wybierania a priori określonych cech, wierzysz raczej, że doskonałe cechy po prostu same się wyłonią, jeśli do linii hodowlanej wprowadzone zostaną, ogólnie rzecz biorąc, najlepsze osobniki.

Posłużmy się tu metaforą soli. Nie widzimy soli w szklance wody, lecz możemy wyczuć jej smak. Jeśli zmieszamy dwie szklanki lekko słonej wody, apotempołowę odparujemy, uzyskamy wodę bardziej słoną. Przy odpowiednich proporcjach to co niewidoczne, stanie się widoczne: pojawią się kryształki soli. I chociaż naszym zamiarem mogło wcale nie być utworzenie kryształków soli, uzyskaliśmy je mimo wszystko. Analogicznie wygląda Twoja propozycja. W inteligentny sposób przygotowałaś stężoną solankę. Jeszcze nie wiesz, co otrzymasz, dalej prowadząc destylację, jedynie że „będzie bardziej słona niż poprzednio”. I w ten sposób, zupełnie na wyczucie, decydujesz się na taką a nie inną krzyżówkę.

Z kolei my w Fortunate Fields nie tylko wiemy, że chcemy wytworzyć kryształki soli, ale znamy również oczekiwany rozmiar, kształt i kolor tych kryształków, starannie do-

207

kumentując zasolenie reproduktora i matki każdego miotu, a także ich potomstwa.

Przejrzawszy Twoje rejestry, muszę przyznać jednak, że Twoje postępowanie jest prawie równie skrupulatne jak w Fortunate Fields. Nie będę ukrywał, że narzucony rygor i drobiazgowość czasami mnie nużą. Nie twierdzę, że nasz

proces jest prosty. Wręcz przeciwnie — gdyby było to łatwe, już dawno ktoś by to zrobił. Uważam natomiast, że to jedyna metoda służąca otrzymaniu wiarygodnych rezultatów.

Koniec końców, różnica między Tobą i mną sprowadza się do różnicy między artystą i rzemieślnikiem. Artysta nie wie, czego chce, ale szuka porządnych farb, porządnych pędzli i dobrego płótna. Wierzy, że talent jest w stanie przynieść pożądaną efekt. Niestety w większości przypadków to się nie sprawdza. Rzemieślnik zaś mówi tak: co mogę zrobić, żebym był pewien efektów mojej pracy? Być może nie będzie to ideał, lecz muszę zagwarantować moim klientom, że przy każdym zakupie otrzymają dokładnie ten sam produkt. Bo rzemieślnik ma ważny powód, żeby wyżej cenić przewidywalność od „zwykłej” doskonałości — czy robiłbyś zakupy w piekarni, w której jedno ciasto na dziesięć jest natchnione, a pozostałych dziewięciu nie da się zjeść?

Zdaję sobie sprawę, że w ten sposób Twoja osoba jawi się jako romantyczna postać, a ja staję się człowiekiem oddanym mrówczej pracy. I być może uważasz, że to przynosi mi ujmę. Jednak ja tak nie sędzę. Wystarczy zmienić naszą analogię z chleba na lekarstwa i natychmiast uznasz, że mój niepokój jest usprawiedliwiony. Być może gotów jesteś ryzykować upieczenie nietypowego ciasta, ale jeśli zachoruje twoje dziecko, wybierzesz lekarstwo, którego działanie zawsze da się przewidzieć. Japoświęcam nadzwyczajność, aby dać ludzkości porządne lekarstwo.

Nikt nie jest w stanie zagwarantować, że jesteś osobą, która dysponując porządnymi farbami, porządnymi pędz-

lami i dobrym płótnem, stworzy coś lepszego niż rzemieślnik. Coś takiego wykracza, i zawsze wykraczało, poza ramy nauki. Masz w sobie coś z marzyciela. I dlatego też nie mam już serca dłużej o tym dyskutować — wiem, że to beznadziejne zadanie. A dla takiego prostego rzemieślnika jak ja jasne jest, że należy zrezygnować z wysiłków, gdy tylko wykazana zostanie ich bezsensowność. W takiej sytuacji wyłącznie artysta może trwać przy swoim.

Chciałbym na koniec postawić Ci jeszcze jedno pytanie.

Założmy, że kierując się intuicją, uda Ci się uchwycić tę poszukiwaną wielkość. Mniejsza o to, że w kategoriach naukowych nie da się określić „wielkości”. Na jakiej podstawie sądzisz, że uda Ci się ją rozpoznać, kiedy już ją osiągniesz? Niektórzy uważają, że całościowe zachowanie zwierząt można rozłożyć na zestaw prostych, niepodzielnych cech i że tylko wielorakość i mnogość sposobów, w jakie te cechy się łączą, tworzy iluzję złożoności. Założmy, że natkniesz się na jedną drobną zmianę niosącą dziesiątki konsekwencji w całościowym zachowaniu zwierzęcia. Skąd będziesz wiedział, co zrobiłeś? I w jaki sposób uda Ci się to powtórzyć?

Malarz, który stworzy arcydzieło i potem już nic nie namaluje, i tak zyskuje sławę. Jeśli odniesiesz sukces, najprawdopodobniej będzie on pojedynczy. Tylko czy Ty, Johnie, będziesz tym usatysfakcjonowany?

Almondine

Jego zapach i pamięć o nim były dla niej jednym. Tam gdzie wciąż był najsilniejszy, odległa przeszłość powracała do niej - jak tamten ranek, kiedy wyjmował z jej pyska martwego wróbla, bo wówczas jeszcze nie umia-

ła ukrywać takich rzeczy. Albo jak położył ją na podłodze, zginał jej kolano aż dotknięte artretyzmem stawilo opór, wtedy gorąca strona jego dłoni dotknęła jej żeber, żeby sprawdzić oddech i dowiedzieć się, skąd pochodzi ból. I żeby przynieść jej ulgę. Było to na tydzień przed jego odejściem. Odszedł, wiedziała o tym, ale jakaś jego cząstka wciąż tkwiła w listwach przypodłogowych. Czasami podłoga drżała pod jego krokami. W takich chwilach podnosiła się i węszyła po kuchni, toalecie i sypialni — a zwłaszcza w szafie — chcąc przycisnąć pysk do jego dłoni, przesunąć nim wzdłuż jego ud, poczuć przez materiał ciepło jego ciała.

Miejsca, chwile, pogoda — to wszystko powodowało, że powracał. Szczególnie zaś deszcz padający za podwójnymi drzwiami psiar- ni, w których stał podczas tak wielu burz, a przed nim spadały krople rozrzucające dziesiątki swoich kopii przy uderzeniu w rozmokłą ziemię. W miejscu, gdzie spotykała się spadająca i unosząca się woda, powstawało coś na kształt oczekiwania, przestrzeń, w której mógłby się pojawić i przejść dalej, stawiając wielkie kroki, milczący, nie wykonując żadnych gestów. Bo ona też miała własne egoistyczne pragnienia: utrzymać wszystko w bezruchu, zmierzyć się z tym i w ten sposób poczuć swoją obecność, wiedzieć, że żyje właśnie dlatego, że on nie musi zwracać na nią uwagi, kiedy ją przypadkiem mijają; być może ta całkowita niezmiennność zwycięży, jeśli ona dostatecznie starannie zaopiekuje się światem. A jeśli już nie niezmiennność, to przynajmniej wystąpią tylko

210
te zmiany, których pragnęła, a nie te, które ją osłabiały i powodowały, że czuła się zagubiona.

Szukała więc dalej. Patrzyła na jego trumnę opuszczaną do ziemi, na tę skrzynię wytworzoną przez człowieka, w równej mierze niepodobną do niego jak te kołyszące się na zimowym wietrze drzewa. W jej

rozumieniu nie mieściła się możliwość przyznania mu tożsamości poza tym światem. Ogrodzenie, wzdłuż którego chodził, i łóżko, w którym spał — w tych miejscach żył i one go pamiętały.

A jednak go nie było. Tę nieobecność najdotkliwiej dostrzegała w osłabieniu poczucia własnej istoty. Jej życie opierało się o strawę i pokrzepienie zapewniane przez określone osoby - on był jedną z nich, drugą Trudi, a Edgar trzecią i najważniejszą, ale w rzeczywistości cała ta krzyżująca się w niej trójka stanowiła całość, bo każde z nich w inny sposób pobudzało jej serce. Każde z nich miało inne obowiązki, i względem niej, i z nią, i czegoś innego od niej potrzebowało, a jej dzień składał się z wypełniania tych obowiązków. Nie potrafiła wyobrazić sobie, że jakaś jej część nigdy nie powróci. W jej przypadku to nie była kwestia nadziei czy tęsknoty — to było poczucie życia uboższego teraz o tę część jej ducha, która oddana była jemu.

Wraz z nastaniem wiosny jego zapach zaczął zanikać. Przestała już go szukać. Całymi dniami spała przy jego fotelu, oświetlona słonecznym blaskiem przesuwanym się od wschodniej strony do zachodniej, poruszając się tylko na tyle, żeby ulżyć kościom spoczywającym na podłodze.

Pogrążeni w żałobie Trudi i Edgar chyba zapomnieli, że powinni troszczyć się o siebie nawzajem, nie mówiąc już o niej. A nawet jeśli pamiętali, zbyt byli przytłoczeni żalem i cierpieniem. Tak czy owak, niewiele mogliby zrobić poza wyniesieniem jego koszuli, żeby mogła się na niej położyć, albo przespacerowaniem się z nią wzdłuż ogrodzenia, na którym wisały pozaczepiane odłamki czasu. I jeśli nawet zauważali jej żal, nie zdawali sobie sprawy, że powinni coś takiego zrobić. A ona nie znała języka, w którym mogłaby o to poprosić.

Walka

Każdego ranka matka bardzo kasłała, ale nim dokończyli codzienne obowiązki, kaszel ustępował. Pewnego popołudnia został wezwany w szkole do sekretariatu. Dzwoniła matka. Powiedziała, że odbierze go z kolistego podjazdu przed budynkiem. W pierwszej chwili uważał to za coś zupełnie normalnego, czasami sprawunki pokrywały się z końcem lekcji. Czekał przed wejściem pod długim daszkiem, a stojące na podjeździe autobusy zwiększały obroty silników i powoli zaczynały toczyć się do przodu. Dopiero kiedy odjechały, dostrzegł pikapa. Matka siedziała w kabinie z głową odchylną do tyłu, lecz już po chwili skuliła się nękana atakiem kaszlu. Podbiegł chodnikiem wpatrzony w auto kołyszące się na resorach, a kiedy otworzył drzwi, poczuł gorące powietrze bijące z nadmuchu. Co się stało? zapytał na migi. Strasznie wyglądasz.

— Sama nie wiem. Pracowałam na strychu i zaczęło mi się kręcić w głowie, więc poszłam do domu położyć się. To mnie...

Lekko uderzyła się w piersi, prowokując atak kaszlu. Skrzyżowawszy zaciśnięte w pięści ręce, zgięła się wpół, po czym oparła dłonie na kierownicy. Kiedy ponownie spojrzała na niego, twarz lśniła jej od potu.

— Zadzwoniłam... — zaczęła, ale zaraz przeszła na język migowy.

Zadzwoniłam do doktora Frosta.

Kiedy może cię przyjąć?

Spojrzała na zegarek. Dziesięć minut temu.

To jedź, polecił jej gestem. Jedź!

Praktyka doktora Frosta mieściła się w zaadaptowanym do tego celu domu położonym na wschód od miasta. W poczekalni stało z pół tuzina krzeseł i mały stolik ze starymi numerami „National Geographic”.

W tylnej ścianie wycięto wysokie wąskie okienko dla rejestratorki. Zanim jeszcze zdążyli usiąść, pojawił się lekarz, o włosach rudawozłotych, w drucianych okularach, i zaprowadził Trudi do gabinetu. Edgar usiadł

na kanapie i wyrzwał przez okna. Słońce chowało się za wierzchołkami drzew. Wśród sosen pokrzykiwały na siebie dwie sójki, nurkując i wykonując karkołomne pętle. Z gabinetu docierały dźwięki niewyraźnej rozmowy.

— Proszę jeszcze raz — usłyszał doktora Frosta, a po nich kolejny napad kaszlu.

Chwilę później lekarz pojawił się w oknie rejestratorki.

— Ed garze — odezwał się. — Może byś przyszedł i przyłączył się do nas?

Trudi siedziała na krześle w kącie gabinetu. Doktor Frost zapraszająco klepnął dłonią w czarną leżankę i poprosił Edgara, żeby rozpiął koszulę, a potem przyłożył mu do żeber stetoskop.

— Odkasznij — powiedział.

Edgar wydał z siebie ciche stęknienie.

— Czysto — szepnął lekarz. Zanotował coś na bloczku, odwrócił się i wcisnął kciuki w miękką skórę pod zuchwą Edgara, nieobecny wzrokiem patrząc w przestrzeń, następnie zajrzał Edgarowi do gardła, korzystając z małego podświetlonego wziernika.

— Powiedz: „A”.

A-A-A-A-A-A, pokazał na palcach.

Doktor Frost spojrzał na matkę Edgara.

— On tylko powiedział „a” — wyjaśniła słabym głosem i uśmiechnęła się.

— W porządku, poczucie humoru w idealnym stanie — stwierdził lekarz. — Jednak spróbuj.

Później klepnął Edgara w ramię i polecił mu pozapinać się. Oparł skrzyżowane ramiona na podkładce do pisania i popatrzył na nich.

— Płuca Edgara są czyste. Nie nabawił się tego co ty, Trudi, czyli za-

palenia płuc. Muszę jeszcze oddać tę próbkę plwociny do laboratorium, ale raczej nie mam wątpliwości: szmery w prawym płucu są wyraźne.

Kusi mnie, żeby wysłać cię do Ashland na prześwietlenie, jednak wstrzymam się, dzięki czemu może zaoszczędzisz trochę pieniędzy. Na razie

212

213

stan jest niegroźny, jesteś młoda i wczesnie to wykryliśmy. Dostaniesz antybiotyki i szybko sobie z tym poradzimy. Tylko jest pewne ale...

— Stan jest niegroźny? — wtrąciła Trudi.

— Względnie, choć wolałbym, żebyś do mnie przyszła trzy lub cztery dni wcześniej. Z tym choróbskiem nie ma żartów. Nie chcę cię straszyc, ale zależy mi na tym, żebyś zrozumiała, że zapalenie płuc jest niebezpieczne. Ludzie na to umierają. Wystarczy, że stan tylko trochę się pogorszy, i będę musiał wysłać cię do szpitala.

Matka Edgara pokręciła głową i już miała coś powiedzieć, lecz zanim zdążyła się odezwać, mocno się rozkaszała. Doktor Frost poma-chał ręką.

— Wiem, wiem, tego chcemy uniknąć. Dlatego zrobisz dokładnie to, co ci zalecę. Zgoda?

Skinęła głową. Doktor Frost długo patrzył na Edgara, aż on w końcu też pokiwał głową.

— Podzielę się z wami moimi obawami. Odruch kaszlowy u Edgara nie jest prawidłowy. Kaszel wiąże się ze zwieraniem strun głosowych, a jak wiemy, w jego przypadku jest to utrudnione. Przy zapaleniu płuc kaszel ma swoje złe i dobre strony. Przeszkadza, bo męczy organizm. Ale też pomaga, bo pozwala pozbyć się paskudztwa z płuc. Jeśli Edgar się zarazi, wydzielina będzie się zbierać w jego płucach, ponieważ on z natury ma mniejszą skłonność do kaszlu. Przez to będzie w gorszej sytuacji

niż każda inna normalna osoba. W dużo gorszej. Rozumiecie?

Ponownie oboje skinęli głowami. Doktor Frost spojrział na Trudi.

— Najlepiej byłoby, gdyby Edgar mógł na tydzień zamieszkać w innym miejscu.

Pokręciła głową.

— Nie ma innego miejsca.

— Nie ma? A co z Claude'em?

Wybuchnęła chrapliwym śmiechem i przewróciła oczami, ale jednocześnie jej twarz rozbłysła gniewem. Edgar wiedział, co pomyślała: „Małomiasteczkowa wścibskość!”.

— To nie wchodzi w rachubę.

— Niech będzie, w takim razie przez najbliższe dziesięć dni musimy ograniczyć do minimum wasze kontakty. Żadnych wspólnych posiłków, żadnego wspólnego siedzenia w salonie przy telewizji, żadnych uścisków i pocałunków. Czy możecie wydzielić jakąś część domu na okres kwarentanny? Jakies miejsce, w którym Edgar mógłby spać i mieszkać za zamkniętymi drzwiami?

— Niezupełnie. Mogę zamknąć drzwi do mojego pokoju. Ale on wychodzi na kuchnię i mamy tylko jedną łazienkę.

— Niezbyt mi się to podoba, ale będzie musiało wystarczyć. Wiem, że proponuję wam zastosowanie wyjątkowych środków, bo i sytuacja jest wyjątkowa. — Odwrócił się do karty pacjenta i coś nagryzmolił.

Kiedy skończył, podniósł wzrok. — Jeszcze jedno, Trudi. Musisz leżeć w łóżku. I nie próbuj oszukiwać.

— Jak długo?

— Tydzień. A najlepiej dziesięć dni. Przez najbliższy tydzień masz jak najwięcej spać.

— Chyba żartujesz.

— W najmniejszym stopniu. Posłuchaj mnie, Trudi, nie lekceważ tego. Antybiotyki nie są cudownymi lekami. Nic ci nie pomogą, jeśli sama się wykończysz. - Zwrócił się do Edgara: — Edgarze, gdybyś poczuł nieżyt dróg oddechowych, gdybyś miał trudności z oddychaniem, powiedz o tym Trudi. Czasami ludzie nie chcą się przyznać, że źle się czują. Ale jeśli ty tak postąpisz, będą z tego poważne problemy. Rozumiemy się?

Doktor Frost wyszedł z nimi do poczekalni. Kilka minut później pojawił się w okienku rejestratorki, trzymając w ręce receptę i fiolkę tabletek. Podał Trudi papierowy kubek z wodą i kazał jej na miejscu połknąć pierwszą dawkę.

Siedząc w pikapie, Edgar słuchał świszczącego oddechu matki, która po chwili zmarszczyła brwi i włączyła radio.

— Wyzdrowieję — powiedziała. — Przestań się martwić.

Jechali przy akompaniamencie trzeszczącej muzyki płynącej z samochodowego głośnika.

— Sam będziesz musiał zajmować się psiarnią.

Wiem.

W domu Trudi udała się do sypialni, zdjęła buty i opatulila się kocami. Edgar stał w drzwiach, obserwując ją.

— W przyszłym tygodniu macie ferie wiosenne?

214

215

Tak.

— Zadzwoń do szkoły i zwolnij cię do ferii.

Dobrze.

— Może nauczyciele mogliby ci podawać przez kierowcę autobusu zadania do odrobienia.

Dobrze.

— A teraz jeśli chodzi o psiarnię. Zajmuj się tylko codziennymi obowiązkami. Co rano i co wieczór zagłądaj do szczeniaków. A tresurą się nie przejmuj.

Mogę trochę z nimi poćwiczyć.

— W takim razie przede wszystkim zajmuj się swoim miotem. I bez żadnych cudów. Psy mają się poruszać pojedynczo. Pamiętaj o tym.

Dobrze, dobrze.

— I jak najwięcej czasu spędzaj w psiarni. Zabierz tam książki. Do domu przychodź tylko jeść, spać albo... — Gwałtowny kaszel poderwał jej ramiona z łóżka, zanim dokończyła. Kiedy ustąpił, leżała wsparta na ręce, ciężko dysząc.

A jeśli będziesz czegoś potrzebowała?

— Niczego nie będę potrzebowała. Sama mogę zrobić sobie zupę i tost. A i tak przede wszystkim będę spała. Teraz proszę, zamknij drzwi.

Stał, starając się zapamiętać jej rysy w żółtym świetle lampy.

Pokazała na drzwi.

— Zjeżdżaj — powiedziała bezgłośnie.

Kiedy wraz z Almondine wrócili tego wieczoru do domu, drzwi do sypialni były zamknięte, a na kuchennym stole stał nakręcany budzik matki. Edgar wyłączył światło w kuchni i przyłożył budzik do ucha, a potem przyjrzał się zielonym plamkom radu jaśniejącym na końcówkach wskazówek. Spod drzwi sypialni sączyło się żółte światło. Delikatnie uchylił drzwi. Matka leżała z zamkniętymi oczami zwinięta w pozycji embrionalnej na łóżku. Oddychała troszkę lżej niż po południu. Przez długą chwilę stał i wpatrywał się w nią. Almondine przepchnęła się obok niego do pokoju, obwąchała jej wiotką rękę, bezwładnie spoczy-

wającą na prześcieradle otwartą dłońią do góry, i powróciła do niego. Zamknął drzwi sypialni i przez chwilę nie ruszał się z miejsca, obracając

216

w dłoni budzik i namyślając się. Następnie poszedł na górę, zabrał koce z łóżka, wcisnął poduszkę pod pachę i zaniósł to wszystko do stodoły. W przejściu między kojcami ułożył cztery bele słomy, jedną obok drugiej, rozłożył na nich koce, usiadł, rozwiązał buty i spojrzał na rząd żarówek świecących nad przejściem. Na bosaka potruchtał do wrót stodoły i wyłączył światło. Trzask przełącznika pogrążył psiarnię w absolutnych ciemnościach. Ponownie nacisnął przełącznik i wzięwszy z warsztatu ocynkowane wiadro, ruszył wzdłuż przejścia, wchodząc po drodze na odwrócone wiadro i polizanymi palcami dotykając gorących żarówek. Odkręcił wszystkie z wyjątkiem jednej, wiszącej na samym końcu przy kojcu małych szczeniaków. W półmroku pokręcił gałką z tyłu zegara, ustawiając wskazówkę budzika na godzinę piątą, po czym postawił go na beli słomy przy poduszce i ułożył się do snu.

Almondine stała na betonowej posadzce i patrzyła na niego z wahaniem.

Chodź, dał jej znak, uderzając dłońią w bele. Tu jest jak w domu. Obeszła to zaimprovizowane legowisko, po czym wspięła się na nie i położyła, układając pysk przy jego twarzy. Wiatr szarpał drzwiami stodoły. Jakiś maluch zaskowytał w kojcu małych szczeniaków. Edgar położył dłoń na pluszowej piersi Almondine, czując, jak się powoli unosi i opada, unosi i opada.

Był autentycznie przerażony myślą, że mógłby się rozchorować. Już teraz dość kłopotów będzie z utrzymaniem matki w łóżku, a jeśli ona dojdzie do wniosku, że Edgar jest chory, sama zajmie się pracą w psiarni i z pewnością trafi do szpitala. Wbrew własnym obawom czuł jednak

podniecenie na myśl o samodzielnym prowadzeniu psiarni. Chciał udowodnić, że stać go na to, że wszystko będzie jak należy. A odkąd zaczął rozumieć, na czym polega prawdziwa tresura, podczas pracy z psami czuł, że otwierają się przed nim zupełnie nowe możliwości.

Towarzyszyło mu też jeszcze inne uczucie, mroczniejsze i trudniejsze do pojęcia, jakaś potrzeba przynajmniej częściowego oddalenia się od matki. Od pogrzebu ojca tak bardzo się od siebie uzależnili, że z ulgą przyjął tę swoją samotność, możliwość samodzielności. Może nawet wydawało mu się, że przez odsunięcie się od matki odsunie się też od faktu, jakim była śmierć ojca. Zdawał sobie sprawę ze swoich myśli, a także z tego, że są to tylko złudzenia, ale nawet ta świadomość nie zmieniała

217

jego samopoczucia. Obserwowany przez psy, leżał w psiarni z ręką na boku Almondine i rozmyślał o samotności.

Rano, kiedy przyszedł zjeść śniadanie, matka rozmawiała z nim przez zamknięte drzwi, niepokojąco często przerywając, żeby złapać oddech.

— Byłeś już w stodole?

Uchylił drzwi do połowy. Popatrzyła na niego szklistym wzrokiem.

Wszystko w porządku. A jak ty się masz?

— Bez zmian. Jestem bardzo zmęczona.

Brałaś lekarstwa?

— Tak — odparła. — To znaczy, jeszcze nie. Wezmę po śniadaniu.

Zrobię ci śniadanie.

Spodziewał się, że zaprotestuje, ale zrezygnowana skinęła głową.

— Sam tost z dżemem truskawkowym. I sok pomarańczowy. Zostaw to na stole, kiedy będziesz wychodził.

Zamknął drzwi do sypialni. Wymieszał sok pomarańczowy, opiekl

tost i nałożył na niego grubą warstwę dżemu, cały czas czując, jak serce wali mu w piersiach. Gdy zajął do niej ponownie, spała. Odczekał chwilę, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić, w końcu zapukał w drzwi.

— Nie śpię — powiedziała półprzytomnym głosem.

Śniadanie gotowe, pokazał na migi. Zajął do ciebie w południe.

Przez następne trzy dni jedynym znakiem, że matka się budzi, był brak przygotowanego śniadania, kiedy w porze obiadu przychodził do kuchni, oraz zjedzona zupa podczas wieczornych wizyt. Chyba zadzwoniła do szkoły, bo autobus nie zwalniał przy podjeździe do ich domu. Gdy do niej zaglądał, niezmiennie spała z książką rozłożoną na kołdrze poza zasięgiem czubków jej palców. Ilekroć ją budził, sprawiała wrażenie przestraszonej; dopiero po dłuższej chwili docierały do niej jego pytania. Pytał ją, jak się czuje; mówiła, że antybiotyki chyba działają. Z kolei ona pytała, czy ma jakieś problemy w psiarni; odpowiadał, że wszystko jest w porządku.

Oboje kłamali.

Wieczorami Edgar leżał, nie mogąc zasnąć, absurdalnie dręczony budzikiem, który nie tylko tykał, ale także grzechotał i zgrzytał, wydając dźwięki, jakich nigdy wcześniej Edgar nie zauważył. I Kiedy w końcu zasypiał, przy jego prowizorycznym łóżku pojawiał się ojciec, który stał tak blisko i był tak rzeczywisty, że dopiero siedząc i czując na twarzy język liżącej go Almondine, Edgar mógł uwierzyć, że to był sen. Czwartej rano po omacku uciszył terkoczący budzik i natychmiast ponownie zapadł w drzemkę, niezmiennie pełen obaw, że znowu przyśni mu się ojciec. I równie mocno bojąc się, że mu się nie przyśni. Ale tym razem śnił o tym, że potrafi bez wysiłku wypuszczać słowa w powietrze. Ta umiejętność nie pojawiła się ni z tego, ni z owego, lecz powróciła, jakby w łonie matki miał głos, który utracił, przychodząc na świat. I w tym

swoim śnie świadomie zdecydował się nie mówić do telefonu, nie wzywać karetki pogotowia, która mogłaby uratować ojcu życie.

Obudził się rozgorączkowany i zapłakany. Dopiero po dłuższej chwili był w stanie zebrać się na odwagę, żeby wziąć wdech, odpowiednio ułożyć usta i wypuścić powietrze.

Cisza.

Okropne było to, że we śnie jego głos brzmiał zupełnie nie tak, jak powinien — był niski, jak głos ojca, i chropawy. Ale przecież każdy głos dobywający się z jego ust brzmiałby nieodpowiednio, podobnie jak brzęczący dźwięk tego przypominającego latarkę przedmiotu, który lekarze przykładali mu do szyi. Pozwalało mu to wówczas uzyskiwać jakiś głos, choć w sumie marny był z tego pożytek. No chyba że by dysponował tym przedmiotem tamtego dnia, kiedy ojciec zasłabł w stodole.

Zaczął skracać codzienne zajęcia w psiarni. Chcąc ćwiczyć z wszystkimi psami, pobieżnie wykonywał obowiązki. Doszedł do wniosku, że jeśli podczas karmienia psów wysypie stertę karmy na betonową posadzkę, zdąży w tym czasie posprzątać trzy lub cztery kojce. Podświadomie czuł, że nie jest to dobry pomysł, choć niewątpliwie był skuteczny. Nocami psy były podenerwowane, ale to musiało wynikać ze zmiany harmonogramu — nikt wcześniej nie spał co noc w psiarni, a tym bardziej nie biegał po stodole, otwierając kojce, żeby psy mogły gonić za piłkami tenisowymi. Nocna tresura, jak sobie wmawiał, stanowiła doskonałą formę ćwiczeń w utrudnionych warunkach.

Czwartego dnia dopiero po północy wyciągnął się na belach słomy i naciągnął na siebie koce. Wyłączył wszystkie światła i ułożył się obok Almondine, kiedy usłyszał wyraźny kobiecy głos wypowiadający jego imię. Usiadł i słuchał. Doszedł do wniosku, że to tylko pisk wentylatora. Kilka minut później zaczęła go dręczyć natrętna myśl: a jeśli to wcale nie

był wentylator? A jeśli wołała go matka stojąca na tylnym ganku? Gwałtownym ruchem odrzucił koc i szeroko otworzył wrota stodoły, lecz jego oczom ukazało się tylko szare podwórze i ganek, ciemny i pusty.

W pewnym sensie lepiej byłoby, gdybym po antybiotykach zupełnie się rozłożyła, myślała Trudi. Tymczasem leżała w łóżku, to trzęsąc się z zimna, to rozpalona. Jedzenie jej zubożyło, ale zmuszała się, żeby coś zjeść. Zgodnie z obietnicą trzeciego dnia zadzwoniła do doktora Frosta, mając nadzieję, że mówi mu to, co doktor chciałby usłyszeć. Jest zmęczona, powiedziała, ale nie gorączkuje. Dużo śpi. To normalne, stwierdził doktor Frost. Musi uważać, żeby się nie odwodnić, i regularnie brać antybiotyki. Przez chwilę rozmawiali o Edgarze. Poinformowała lekarza, że nie zaczął kaszleć. Frost zapytał, czy uważa, że da radę pod koniec tygodnia przyjechać samochodem do miasteczka. Czy nadal kaszel jest mokry? I tak dalej. Nie wspomniała mu o nudnościach i zawrotach głowy pojawiających się, gdy tylko próbowała wstać, ani że tak jest otępiała, iż dwa razy zapomniała numer, kiedy go wykrecała. I że mijała się z prawdą, mówiąc o temperaturze. Jednak udało się jej na tyle skoncentrować, żeby przeprowadzić tę rozmowę, z czego była niemal dumna.

Odłożywszy słuchawkę, padła na łóżko. Czy już pora na następne tabletki? A może już je wzięła? Każde późne popołudnie przypominało poprzednie, ale była przekonana, że wzięła lekarstwo przed telefonem do Frosta. Po antybiotykach była niesamowicie śpiąca. Przypominała sobie Edgara, jak stoi w drzwiach do sypialni i mówi jej, że w psiarni wszystko przebiega normalnie. Od śmierci ojca bardzo spoważniał. Przewróciła się na drugi bok. Sen jest bardzo ważny. Jeśli wszystko przebiega jak należy, jutro powinna obudzić się w lepszym stanie. Gorączka powinna spaść, a ona może już usiądzie, trochę poczyta, zadzwoni w parę miejsc. Uporządkuje papiery.

Wzięła do ręki fiolkę tabletek z komody, wysypała je na koc i policzyla. Zdumiewające. Aż tyle jeszcze zostało.

Wieczorem piątego dnia Edgar wślizgnął się do domu, zjrzał do matki i zjadł kolację. Pozmywał naczynia i wraz z Almondine poszli do stodoły zająć się wieczornymi obowiązkami, ale kiedy tam doszli, wyczerpanie przygniotło go ołowianym kocem. Bele słomy wydały się tak wygodne, poduszka miękka jak puch i po raz pierwszy od dłuższego czasunicmu się nie śniło. Obudził się, czując na twarzy oddech Almondine. Budzik pokazywał godzinę drugą. Edgar usiadł i przetarł twarz ręką. Niewiarogodne - nie wykonał wieczornych obowiązków!

Nic wielkiego by się nie stało, gdyby poczekał z wszystkim do rana, ale nie chciał zostawiać psów bez wody, a jeśli już miał to zrobić, równie dobrze mógł je od razu nakarmić. Nabrał karmę i na środku przejścia usypał z niej kopczyk, po czym napełnił wiadro wodą z kranu w pomieszczeniu medycznym. Kiedy pootwierał zagrody, psy z jego miotu wyskoczyły, wpadając mu między nogi w drodze do jedzenia. Nasypał dostatecznie dużo, żeby wystarczyło dla całej psiarni, nie tylko dla psów z trzech czy czterech kojców, musiał więc szybko wszystkie wypuścić, żeby te pierwsze nie objadły się do niemożliwości, a ostatnie nie zostały głodne. Zanim dotarł do końca stodoły, po betonowej posadzce przepychało się już osiemnaście psów zaciekle walczących o pierwszeństwo. Edgar wszedł do jednej z zagród i zaczął napełniać koryto do pojenia.

Nie zauważył, kiedy rozgorzała walka. Usłyszał skowyt i kątem oka dostrzegł psa wyskakującego w powietrze. Finch. Upuściwszy wiadro z wodą, wyszedł z kojca i dopiero wówczas uzmysłowił sobie ogrom popełnionego błędu. „Psy mają się poruszać pojedynczo”, mówiła matka. Była to jedna z zasad panujących w psiarni, zasad, które nie zawsze

zdawały się rozsądne, a nawet istotne, dopóki nie wynikła sytuacja dowodząca ich słuszości.

Finch spadł na ziemię, obwąchał prawą tylną łapę i z opuszczonym łbem i wyszczerzonymi w złości zębami powrócił do kłębiącej się masy psów. Skierował się ku jednej ze starszych suk, Epi, największej w swoim miocie, dużo większej od Fincha i na pewno nie bojaźliwej.

W swoim życiu Edgar tylko raz widział prawdziwą walkę psów. Zakończyła się, kiedy jego rodzice polali przeciwników wodą i odciągnęli ich za ogony. Później ojciec powiedział mu, że nigdy, przenigdy, nie wolno wchodzić między walczące psy. Na potwierdzenie swoich słów podciągnął rękaw i pokazał Edgarowi biegnącą wzdłuż przedramienia pomarszczoną bliznę, postrzępioną i lśniącą. Walczący pies ukąsi, za-

220

221

nim zdąży zdać sobie sprawę z tego, co robi, powiedział. Może nawet nie chce cię zranić, ale zareaguje, widząc ruch.

Kilka psów ze zjeżoną sierścią cofało się przed Finchem i Epi. Edgar klasnął w dłonie, chwycił dwa psy i zaciągnął je do najbliższego kojca. Potem następną dwójkę. W jednej chwili hałas zrobił się wręcz ogłuszający. Edgar zamknął Tindera, Essay i Pouta. Baboo już sam zdążył schować się w swojej zagrodzie; Edgar wepchnął za nim Opal i Umbre i pobiegł wzdłuż przejścia, na siłę wpychając kolejno psy do kojców i zaszaskując za nimi drzwi.

Kiedy się odwrócił, w przejściu zostały już tylko trzy psy: Finch, Epi i Almondine. Finch leżał na grzbiecie. Epi stała nad nim z zębami zanurzonymi w futrze u nasady jego szyi. Na pysku suki widać było czerwoną plamę. Finch na przemian to leżał bezwładnie, to próbował się jej wyrwać. Almondine stała tuż obok i rozchyliwszy wargi, warczała groź-

nie, ale gdy tylko zrobiła krok do przodu, Epi puściła Fincha i kładąc uszy po sobie, błyskawicznie odwróciła mordę w jej stronę. Almondine poderwała pysk, lecz nie ruszyła się z miejsca.

Przede wszystkim trzeba było je rozdzielić. Edgar pobiegł w ich stronę, od tyłu zbliżając się do Epi. Przeszła mu przez głowę myśl, żeby ją kopnąć i w ten sposób odrzucić na bok, musiałby jednak uderzyć ją bardzo mocno, może nawet zranić, a tego nie potrafiłby zrobić. Poza tym i tak był już zbyt blisko i za szybko nadbiegał. Kiedy dopadł zadu Epi, po prostu rzucił się na nią.

Później próbował przeanalizować tę sytuację z punktu widzenia Epi. Ktoś pojawił się nad jej barkiem. Psie oko jest tak ustawione, że widzi głównie wzdłuż jego pyska, a widzenie obwodowe jest bardziej ograniczone niż u człowieka. Edgar zamierzał złapać palcami za obrożę i wykorzystując energię swojego upadku, przycisnąć Epi do ziemi, jak czasami robiła jego matka, gdy pies nie chciał się położyć. Gdyby mu się udało, suka leżałaby na ziemi, zanim zdążyłaby zareagować. Gdyby dostatecznie ją zaskoczył. Gdyby użył dostatecznie dużej siły. Gdyby dobrze chwycił za obrożę.

Nic z tego Edgarowi się nie udało.

Epi rzuciła się gwałtownie w bok, aż jej tylne łapy zaczęły się ślizgać na gładkim betonie. Mogła się odwrócić i uciec, ale była bojowo nastawiona i zanim Edgar zdążył przetoczyć się na bok, już stała nad

222
nim. Zdążył tylko przepleść dwa palce przez jej obrożę, jednak nie dysponując wolnymi rękami, nie mógł wydać jej polecenia, którego Epi i tak pewnie by nie posłuchała.

O ile wkraczanie w walkę psów było głupotą, o tyle samobójstwem było w nią wpadać. Leżał na plecach, pod wiszącym nad nim ciałem Epi,

naprężonym w łuki mięśni i futra, i zanim zdążył się ruszyć, cofnęła się, uniosła łeb i ugryzła go.

W rzeczywistości ukąszenia były dwa, błyskawiczne, jedno zaraz po drugim. Za pierwszym razem zęby ledwo dotknęły jego skóry, jakby tylko się przymierzała, za drugim ugryzła na serio, a Edgar w tym momencie już się nie bronił, nawet uważał, że suka ma prawo to zrobić. Zaskoczyło go jednak, że Epi się pohamowała, poskromiła siłę tego ataku, który z łatwością mógł zmiażdżyć kości jego przedramienia, powstrzymała skierowane do góry szarpnięcie, które przecięłoby ścięgna, mięśnie i naczynia krwionośne od nadgarstka aż po łokieć wzdłuż linii, jaką widział na przedramieniu ojca. W jej piwnych oczach pojawił się jakiś błysk, jakby coś rozpoznawała. Była dobrym psem, po prostu zaatakowanym i zdezorientowanym, i gdy tylko ostrza jej kłów wniknęły w jego ramię, znieruchomiła.

W tym momencie przed jego oczami z prawej strony pojawił się pysk Almondine. Nie zamierzała ryzykować, Epi była młodsza i silniejsza, a jeśli Almondine kiedykolwiek uczestniczyła w walce psów, było to tak dawno, że Edgar tego nie pamiętał. Teraz Almondine nie chciała z nią walczyć. Chciała tylko, żeby Epi z niego zeszła, żeby puściła jej chłopca. Nie szczekała ani nie warczała, nie próbowała ugryźć Epi w kark czy jakkolwiek skierować jej uwagę na siebie, byle puściła rękę Edgara.

W tym momencie Almondine kierowała się tylko jedną myślą: oślepić Epi.

Trudi usiadła na łóżku zdenerwowana i zdezorientowana. Śnił jej się Gar, był w telewizji i coś do niej mówił, więc już samo przebudzenie było dostatecznie okropne, a do tego zdała sobie sprawę, że obudziły ją psy, wszystkie bez wyjątku szczekające i wyjące. W pierwszej chwili pomyślała, że do stodoły dostało się jakieś zwierzę. Od czasu do cza-

su coś takiego się zdarzało, chociaż Bóg jeden wie dlaczego, skoro cała okolica musiała cuchnąć psami. Ale gdy już jakieś zwierzę znalazło się

223

w środku, stawało jak sparaliżowane albo wpadało w szaloną panikę od tych dźwięków. Kiedyś pojawił się szop; a innym razem, w co trudno uwierzyć, kot. Wrzawa, jaka się wówczas podniosła, brzmiała podobnie alarmująco jak hałas docierający do niej teraz ze stodoły.

Próbowała się podnieść, lecz zachwiała się i zaczęła kaszleć. Oczy zasnuła jej żółta mgła. Pod żebrami poczuła przenikliwy ból. Usiadła na rogu łóżka. W domu panowały egipskie ciemności. Próbowała zawołać Edgara, ale z jej ust wydobywał się zaledwie szept. Kiedy zebrała na tyle sił, żeby wreszcie się podnieść, powoli podeszła do schodów prowadzących na piętro.

— Edgarze? — powiedziała. — Edgar?

Czekała, aż zapali się światło w jego pokoju albo wychynie stamtąd Almondine. Ponieważ się nie doczekała, ruszyła po schodach. Dotarłszy na górę, zatrzymała się, żeby złapać oddech. Drzwi do pokoju Edgara były otwarte. Weszła do środka i włączyła górne światło.

Pościel była niedbale odrzucona, koce i poduszka zniknęły. Poruszając się powoli i bardzo ostrożnie, zeszła na dół. W stodole działo się coś złego. Nałożyła na nocną koszulę spodnie i bluzkę, wsunęła stopy w porozwiązywane buty i otworzyła drzwi.

Edgar utkwiał wzrok w odcisku szczęk Epi na przedramieniu, wpatrując się w pomiętą jak luźna pończocha skórę wokół śladu jej kłów. Jeszcze za wcześnie było na krew i ból, czuł tylko przechodzące po ręce pulsowanie.

Skupiwszy wzrok na swojej ręce, zobaczył jedynie niewyraźną plamę, a chwilę później koło oka Epi pojawiła się głęboka rana. Tuż przy

jej pysku dostrzegł rozwartą mordę Almondine i rozległ się dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał u psa — to nie było szczeknięcie, tylko prawdziwy wrzask, tak żywiołowy, dziki i okropny, że cała psiarnia, mimo że dotychczas rozbrzmiewająca ujadaniem i wyciem psów, równie dobrze mogła być pogrążona w ciszy.

Epi puściła jego rękę i cofnęła się pospiesznie. Zanim zdążył się ruszyć, Almondine stanęła nad nim okrakiem i kiedy próbował się podnieść, uderzyła go biodrem na tyle silnie, że opadł na ziemię jak szczeniak. Musiał się spod niej wyczołgać, żeby wreszcie stanąć na nogach. Czuł, jak jej skóra kurczy się, gdy jej dotykał.

Epi wycofała się do przedniej części stodoły, na zmianę warcząc i trącając nosem drzwi. Po betonowej posadzce ciągnęły się za nią paciorki czarnych kropel. Podrapała łapą po pysku i pokręciła łbem. Edgar zaprowadził Almondine do pomieszczenia medycznego i pospiesznie ją obmacał. Nie wyczuł żadnych ran ani krwi. Stanowczym gestem polecił jej zostać i wrócił do Fincha. Poprowadził go na środek psiarni, gdzie było najjaśniej. Finch nie potrafił obciążyć lewej przedniej łapy. Kiedy Edgar próbował obejrzeć ją, Finch wyszarpnął nogę, ale Edgar zdążył zobaczyć rozcięcie obok lewego łokcia połyskujące bielą przez zmierzwioną zakrwawioną sierść. Przesunął palcami po pysku i gardle Fincha. Poczował wilgoć na palcach, ale to nie była krew.

Do budy, pokazał na migi. Finch pokuśtykał do swojego kojca. Kiedy zasuwka trafiła na miejsce, Edgar zwrócił się w stronę Epi kręcącej się nerwowo przy wrotach stodoły. Gdy tylko ich spojrzenia się spotykały, sierść jej się jeżyła, a uszy kładły płasko na łbie. Jej policzek sprawiał wrażenie przeciętego nożem. Serce waliło mu jak młot na ten widok. Przykląkł i zaczął wabić Epi do siebie, ale w tym momencie wrota stodoły otworzyły się szeroko i na tle czarnej nocy stanęła oświetlo-

na postać matki. Epi rzuciła się na dwór, aż Trudi musiała się cofnąć i przytrzymać drzwi, żeby nie stracić równowagi. Popatrzyła za ginącą w ciemnościach suką, potem odwróciła się do Edgara.

Co ty tu robisz? jak oszalały zaczął pokazywać na migi.

— Co się dzieje?

Miałem problem. Psy walczyły.

— Przecież jest środek nocy. Twoja ręka... jesteś ranny?

Opuścił wzrok. Na rękawie widniały smugi krwi. Sam nie wiedział, czy to jego krew czy Fincha. Przycisnął rękę do boku, chcąc ukryć rozcięcie na przedramieniu.

Chyba nie. To nic takiego. Ale Epi ma rozcięty pysk. Trzeba będzie to zszyć. Almondine ją ugryzła. A Finch kuleje. Nie wiem, czy to poważne.

Matka zachwiała się, lecz już po chwili odzyskała równowagę.

Nie powinnaś wychodzić na dwór, pokazał na migi. Wracaj do domu.

Próbował odwrócić matkę w stronę wyjścia.

— O Boże — powiedziała. — Spójrz na swoją rękę.

Wracaj do domu. To jest najważniejsze.

— Edgarze, skoro już tu jestem, mogę zostać.

Nie! Doktor Frost powiedział, że możesz trafić do szpitala! Mówił, że możesz umrzeć!

Już miała coś mu odpowiedzieć, ale nagły atak kaszlu zgiął ją wpół.

Kiedy ustąpił, Edgar wyprowadził ją w ciemności nocy. Wiosenne powietrze nie było ani szczególnie chłodne, ani też ciepłe, toteż chciał, żeby matka jak najszybciej znalazła się w domu. W tym momencie przypomniał sobie o Almondine. Siedziała przed pomieszczeniem medycznym, patrząc na nich z przejścia między kojcami. Uderzył dłonią

w udo, lecz ani drgnęła.

Chodź, pokazał na migi. Chodź! Nie ma czasu na wygłupy.

Zrobiła kilka kroków przed siebie, nagle zachwiała się i opadła na beton.

Odwrócił się do matki. Idź do domu, pokazał jej na migi. Proszę.

Zanim do niej doszedł, Almondine ponownie stanęła na nogach i chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi. Edgar nerwowo kręcił się obok niej.

Co się dzieje? pytał na migi. Co? Co?

Kiedy zamykał za nią wrota stodoły, Almondine odzyskała już nieco równowagę i potruchtała za Trudi. Na schodkach ganku przynaglił je do pośpiechu. Znalazłszy się w domu, Almondine się położyła i tylko głośno dyszała. Edgar padł przy niej na kolana.

Coś się stało, pokazał na migi. Przewróciła się w stodole.

— Została pogryziona?

Nie. Sprawdzalem.

Wsunął dłoń pod brzuch Almondine i pomógł jej wstać. Unosił jej łapy i zginał stawy, obserwując, czy na jej pysku pojawi się jakiś grymas. Matka kazała mu opisać rany Fincha i Epi; nie pytała, jak do tego wszystkiego doszło i dlaczego Almondine w tym uczestniczyła. Przez cały czas tylko patrzyła na Edgara, jakby mówił bez sensu.

Trzeba do kogoś zadzwonić, pokazał na migi Edgar. Aż tupał nogą z gniewu.

Matka zaczęła na głos rozważać kolejne możliwości:

— Page jest na Florydzie do... — Spojrzała na kalendarz wiszący na ścianie. — Co dzisiaj mamy? Środe? Wróci dopiero w następnym poniedziałek.

Nie myślę o doktorze Papineau, pokazał na migi,

- Nie ma sensu teraz dzwonić do weterynarza w Ashland. Mamy

środek nocy. On na pewno...

Edgar kręcił przecząco głową.

- W takim razie co? - zapytała zdenerwowana. - Jeśli uda się nam wsadzić je do pikapu, mogę pojechać...

Podniósł słuchawkę telefonu i położył ją na blacie.

Zadzwoń do Claude'a, pokazał na migi. Natychmiast do niego dzwoń.

Opór Epi

Trudi siedziała przy stole i patrzyła, jak Edgar zamyka kuchenne drzwi i wychodzi na dwór poszukać Epi. Zdążyła już zaparzyć sobie kawę w nadziei, że nieco rozjaśni jej umysł, i ze stojącego przed nią kubka wydobywały się wstęgi pary. Kątem oka widziała migoczącą i skrzącą się lampę pod sufitem. Musiała mrużyć oczy i gdyby nie brak sił, a także pewnie i równowagi, podeszłaby do przełącznika, żeby zupełnie ją wyłączyć.

Coś się zmieniło. Trudno było ocenić, co dokładnie, lecz każdy ruch niósł w sobie ból. Mogła głęboko wciągnąć powietrze, ale kiedy je wypuszczała, w prawym płucu pojawiał się świst, dźwięk przekazywany następnie przez ciało i kości. Jednocześnie drżała na całym ciele i pocila się. To przez takie doznania ludzie zaczęli wierzyć w opętanie, pomyślała. I rzeczywiście miała wrażenie, jakby coś w niej się zadomowiło, coś ślepego i brutalnego opanowało ją, przywłaszczyło sobie prawa do niej. Co doktor Frost mówił o antybiotykach? Po jakim czasie zaczynają działać? Ściany kuchni zaczęły się niepokojąco oddalać. Miała wrażenie, że się rozdwiają, wciąż była w swoim ciele, a równocześnie unosiła się gdzieś w górze.

Zamknęła oczy, chcąc się od tego uwolnić. Po jakimś czasie drgnęła i obudziła się.

Tylko nie zaśnij, powiedziała sobie. Choć sama nie wiedziała dla-

czego.

Podniosła się z krzesła. Ruszyła w stronę sypialni, patrząc na wszystko z góry, na swoje sinawe pokurczone dłonie wyciągnięte do przodu i chwytające za blat, na leżącą przy lodówce na boku dyszącą Almondine, na kuchenny stół z wystygłym kubkiem kawy, na wiszący przy drzwiach

228
kalendarz z wytwórni paszy, przedstawiający zdjęcie jakiegoś gospodarstwa. Pełznące po kostkach jej palców żyłki sprawiały niesamowite wrażenie. Miała na sobie starą koszulę flanelową (Jara narzuconą na koszulę nocną. Włosy splątały się jej na głowie w jeden wielki kołtun.

Kiedy doszła do drzwi sypialni, zatrzymała się i spojrzała na Almondine. Edgar mówił, że w stodole coś jej się stało, lecz Almondine miała się dobrze. Leżała spokojnie, odpoczywając, i trudno byłoby doszukać się w niej apatyczności cierpiącego psa. Była już po prostu stara. Edgar powinien zacząć traktować ją jak małe dziecko i nie oczekiwać od niej energii, jaką miała pięć lat temu. Trudi przypomniała sobie pierwszą noc spędzoną przez Almondine w ich domu, nieporadne wówczas dziesięciodniowe szczenię. Pamiętała, że była burza z piorunami i Almondine przez pół nocy skomlała, przerażona i samotna bez rodzeństwa. Obecnie pysk miała już posiwiały i po długiej drzemce nie potrafiła szybko się podnieść. Ale jej spojrzenie było jak zawsze spokojne i otwarte. Właśnie to spojrzenie spowodowało, że wybrali ją spośród wszystkich innych szczeniaków. Obecnie te oczy zdawały się widzieć więcej, niż Almondine potrafiłaby wyrazić, i dlatego sprawiała wrażenie smutnej i zadumanej.

Trudi zamknęła za sobą drzwi sypialni. Naciągnęła na ramiona poskręcaną pościel i położyła się. Ktoś nadchodził. Page?... Nie, Claude. Doszło do walki psów. Kiedy Edgar odprowadzał ją do domu, próbowała nakłonić go, by opowiedział jej wszystko, ale oświadczył, że zrobi to

później, i nie miała sił z nim się kłócić. Coraz wyraźniej był nieodrodnym synem swojego ojca, nieugięte przekonany o swojej racji.

Rano zadzwoni do doktora Frosta i powie mu, że antybiotyki nie działają.

Tyle że gotów zabrać ją do szpitala.

Może zaczeka z tym jeszcze dzień.

Claude przyjechał w groźnie wyglądającym samochodzie z bardzo wydłużoną maską. Nad kratownicą widniały litery SS, a umieszczony na błękitnym wlocie powietrza przedniego błotnika emblemat informował o modelu: Impala. Z Mellen jechało się dwadzieścia minut, więc jeśli Claude nie czekał z kluczykiem w stacyjce na telefon matki, pomyślał Edgar, musiał bardzo szybko jechać. Claude zatrzymał samochód w pobliżu stodoły, gdzie wyglądał go Edgar.

229

— Twoja mama mówiła, że podobno doszło do walki? — zapytał

Claude. Smród piwa i papierosów otaczał go cuchnącą aureolą.

Edgar podał mu wiadomość, którą zawczasu przygotował.

Epi jest za stodołą. Nie mogę do niej podejść.

— Gdzie jest zraniona?

Przesunął palcem wzdłuż brwi.

Claude złożył dłonie przed ustami, zadrżał i spojrzał w nocne niebo.

W powietrzu bielił się jego oddech. Minął Edgara i wszedł do stodoły.

Przetrzęsął szafki w pomieszczeniu medycznym. Po zakończeniu poszukiwań wrócił z pustymi rękami.

— Macie jeszcze prestone w magazynie na mleko? — zapytał.

Edgar popatrzył na niego.

— No wiesz, ten płyn do uruchamiania silnika. Zeszłej jesieni używaliśmy go do ciągnika. Była wtedy prawie pełna puszka. Idź spraw-

dzieć, ile zostało.

Edgar wbiegł do magazynu na mleko i pociągnął za łańcuszek włączający żarówkę pod sufitem. Przejrzał plątaninę grabi, łopat i motyk opartych w kącie o ścianę. Glebogryzarka. Kosiarka do trawy. Piła łańcuchowa. W końcu obok rzędu puszek z olejem dostrzegł na półce czerwono-żółty aerozol, chwycił go i wyskoczył na dwór. Claude czekał na niego przy wrotach stodoły, trzymając pod pachą obrożę i treserską smycz, a w dłoni dużą plastikową torbę, do której wkładał szmatę zabraną z pomieszczenia medycznego, starannie poskładaną w kwadratową poduszeczkę. Edgar podał mu prestone.

— Ile tego jest? — Claude potrząsnął puszką i wsunął dłoń do torby. Zawinał wylot torby wokół nadgarstka i przycisnął otwór aerozolu do szmaty. Z torby wydobył się obłoczek mgły. — Dziewięćdziesięciodziewięcioprocentowy eter — stwierdził. Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zatroskania. — Nie palisz, prawda?

Edgar pokręcił głową, zanim jeszcze zdążył zrozumieć, że Claude nie mówi poważnie.

— Całe szczęście — powiedział. — W przeciwnym razie mielibyśmy tu wielki błysk, a ty mógłbyś opowiadać kolegom o swoim wujku Gaudzie, Człowieku Pochodni.

Kiedy syczenie z puszkii aerozolu ucichło, Claude wyjął rękę i uniośł torbę do góry. W jej wnętrzu ślizgała się oleista wilgotna szmata. Mach-
230

nął torbą przed nosem Edgara, który poczuł w zatokach słodkawą zapach, jakby cukru i benzyny. Z wrażenia włosy zjeżyły mu się na karku.

— Dobrze, że mamy zimną noc — powiedział Claude, również ostrożnie wachając. — W lecie połowa natychmiast by wyparowała.

W każdym razie lepiej trzymaj się pod wiatr. Ta torba nie jest zbyt szczelna.

Edgar poprowadził Claude'a na podwórze za stodołą, za ledwie w jednej czwartej oświetlone przez przesłonięte światło na podwórzu i lampę wystającą na wysięgniku nad drzwiami psiarni. Słyszając ich kroki, Epi zaczęła wycofywać się w przestrachu, aż zatrzymała się w pobliżu silosu, przed starą nieużywaną psią budą. Śnieg wokół niej poznaczony był plamami krwi.

— Jeśli wyjdziemy do niej razem, ucieknie — stwierdził Claude.

Uważnie wpatrywał się w leżący przed nim w odległości jakiegoś metra punkt na ziemi. — Obejdź silos z drugiej strony.

Edgar zawahał się.

— No idź — powiedział Claude. — Zanim Epi zdecyduje się pójść w tamtą stronę.

Edgar odwrócił się i obszedł kamienną konstrukcję, na moment wchodząc w krąg światła, zanim dotarł do grubego betonowego murku wysokiego na trzydzieści centymetrów i szerokiego prawie na metr, łączącego fundament stodoły z silosem. Między zabudowaniami widział psią budę, a za nią wybiegi psiarni oraz psy, stojące tam i obserwujące ich. Topniejąca z dachu woda wyłobiła bruzdę w skryształizowanej zaspię śniegu pod okapem.

Epi stała bez ruchu wpatrzona w Claude'a jak urzeczona. Edgar przykucnął na murku, gotów ją przechwycić, gdyby rzuciła się do ucieczki w jego stronę.

Nawet sam Claude nie pamiętał, kiedy to się zaczęło. Musiał być jakiś pierwszy raz, jakieś wydarzenie w psiarni, które wywarło na niego ogromny wpływ, kiedy szczeniak zranił się i wycofał w kąt, kryjąc się przerażony, a Claude wyszedł przed wszystkich i jakoś go zaczarował,

bo chyba nie można było tego inaczej nazwać. Instynktownie wiedział, jak powinien podejść, jak dotknąć, jak go zmylić i zabawić, żeby ten

231

pies, przestraszony czy nie, poddał mu się. Może ten pierwszy raz miał miejsce, gdy Claude był jeszcze bardzo młody. W każdym razie ta umiejętność towarzyszyła mu przez całe późniejsze życie.

Będąc w szkole średniej, Claude popołudniami i w weekendy pracował w lecznicy doktora Papineau. Początkowo wykonywał różne drobne prace — sprzątanie, naprawy, porządkowanie papierów, wyprowadzanie na spacer psów powracających do zdrowia. Podobał mu się panujący w tym miejscu zapach środków odkażających i rzędy dostępnych tylko na receptę lekarstw, poustawianych jak butelki z magicznymi napojami. Pomagał również przy zmianach opatrunków, zadając wiele pytań, co pochlebiało weterynarzowi, i zazwyczaj nie zapominając udzielanych odpowiedzi, co z kolei doktorowi imponowało. Z czasem Claude przekonał doktora Papineau, żeby dopuścił go do pomocy przy drobnych zabiegach. Weterynarz nauczył go podawania domięśniowych zastrzyków uspokajających, jak również dawnej umiejętności — już nawet w weterynaryjnej praktyce zanikającej — podawania eteru.

Czasami trafiał się pies oszalały z przerażenia. Doktor Papineau miał na takie okazje przygotowany kij z pętlą, ale ludzie nie mogli patrzeć, kiedy tego używał, a Claude nauczył się obywać bez tego urządzenia, wczołgując się na platformę pikapu — czy też gdziekolwiek taki pies się ukrywał — żeby po chwili wyłonić się z potulnym zwierzęciem i pustą strzykawką. Nieraz został pogryziony, lecz zawsze te powodowane przestachem ukąszenia były krótkie i powierzchowne, a Claude miał doskonały refleks. Po mistrzowsku potrafił ocenić, jak daleko można z określonym psem się posunąć. Doszło do tego, że dreszczu tych chwil

łaknął bardziej niż czegokolwiek innego.

W niedzielne popołudnia, gdy lecznica była zamknięta, Claude sprzątał i sam podawał zwierzętom lekarstwa; zawsze wiedział, gdzie może znaleźć doktora Papineau, gdyby coś się wydarzyło. I jeśli w którejś z takich niedziel w lecznicy przebywał pies, który nie spodobał się Claude'owi, po skończeniu obowiązków wypuszczał go na korytarz. Następnie włamywał się do biurka doktora Papineau po klucz do pomieszczenia z lekarstwami, obmyślał interesującą go danego dnia metodę uspokajania i zaczynał szperać. Kiedy pies był już nieprzytomny, zanosił go do kojca i sprawdzał godzinę. Obie metody były użyteczne, stwierdził, choć szybciej i lepiej radził sobie z igłą.

Ale nie doskonale. Śmierć pierwszego psa doktor Papineau przypisał szokowi pooperacyjnemu. Jednak drugi pies zupełnie zaskoczył weterynarza. Bardzo długo przepytывał Claudea na temat stanu, w jakim był pies tamtej niedzieli. Po tej rozmowie Claude był wstrząśnięty i incydenty w lecznicy urwały się raz na zawsze.

Jesień 1947 roku, późny wieczór. Claude stał oparty o ścianę w tylnej części od dawna opuszczonej stodoły, obserwując, jak tłum ludzi, samych mężczyzn, rozchodzi się w chłodną noc. Kilku mężczyzn prowadziło przy nodze psy na krótkich smyczach i w kagańcach. Kilku innych stało spowitych ciszą i aurą rozczarowania. Jakiś człowiek odliczał pieniądze i wkładał je do ręki drugiego. Tworzące ring sklejki z wystającymi gwoździami zostały już zdemontowane i w świetle dwóch białych gazowych lamp ktoś polewał deski wodą, żeby spłukać z nich krew. Na zewnątrz gorzkie żarty w atmosferze szyderczych aluzji. Po chwili wywiązała się kłótnia, szybko jednak uciszona.

W tym momencie do środka przepchnął się Gar. Zamrugał oślepiony światłem lamp. Już miał odejść, kiedy dostrzegł Claude'a i z groźną

miną ruszył w jego stronę.

— Chodź — odezwał się. — Wychodzimy.

— Sam tu przyszedłem, to i sam wrócę do domu.

— Jeśli ze mną wychodzisz z domu, to do cholery, ze mną też wrócisz. A teraz powiedz mi tylko, czy były tu jakieś nasze psy.

-Nie.

— Powiedz, które psy.

— Powiedziałem, że ich nie było. A jak myślisz, dlaczego ja tu jestem?

— Nie wiem, dlaczego tu jesteś. O tym porozmawiamy w drodze do domu.

Do stodoły wbiegł mężczyzna.

— Hej, Doc — zawołał, przywołując ręką Claude'a. Gar spojrzał na Claude'a, a potem na myjących sklejkę mężczyzn. Na widok wchodzącego brata Claude kopnął leżącą za nim torbę do tyłu, ale Gar i tak ją dostrzegł. Podniósł ją z ziemi i przyjrzał się wytłoczonym u góry inicjałom. Zajrzał do środka.

— Chyba sobie ze mnie żartujesz — stwierdził. — Co ty, łatasz je po wszystkim? O to chodzi?

232

233

Mężczyzna ponownie wezwał Claude'a, tym razem natarczywiej.

Claude chciał wziąć do ręki torbę, lecz Gar pchnął go na belkę stodoły.

— Zaczekaj — rzucił. Podszedł do tamtego mężczyzny. Claude nie słyszał ich rozmowy, ale widział, jak Gar kręci przecząco głową. Mężczyzna podniósł przed nim zgięte ramię i gdzieś pokazywał. Gar ponownie pokręcił głową. Na koniec przywołał Claude'a skinieniem ręki i w trójkę wyszli ze stodoły, Claude z torbą na ramieniu. Na drodze uruchamiano

silniki, koła toczyły się po chrzęszczącym żwirze, zezowate snopy światła reflektorów omiatały okoliczne drzewa. Claude dostrzegł na napiętych mięśniach przedramienia mężczyzny ślady po ugryzieniu.

Do przydrożnego drzewa stał przypięty łańcuchem kudłaty mieszaniec owczarka, mocno zbudowany i z tępą zakończonym pyskiem. Kiedy się zbliżyli, pies podniósł się, utykając, i zaczął ujadać, unosząc zakrwawioną tylną łapę nad ziemię.

— Cicho! — krzyknął mężczyzna.

Pies oblizwał pysk i zaczął kuśtykać przed siebie. Właściciel podszedł do niego, ale gdy tylko chciał wsunąć mu rękę pod boki, zwierzę sięgnęło pyskiem w kierunku jego ucha. Nawet z miejsca, w którym stał Claude, złowrogi pomruk w gardle psa był jednoznaczny.

— Widzicie? — rzekł mężczyzna, wycofując się. — Kiedyśmy tu przyjechali, wszystko z nim było w porządku. A teraz nie mogę wpakować go do auta.

Gar spojrzał na Claude'a.

— Możesz mu podać środek uspokajający?

Claude skinął głową.

Gar odprowadził mężczyznę na bok. Claude postawił torbę na ziemi, rozchylił ją od góry i wyjął butelkę ze strzykawką. Wciągnął płyn do strzykawki. Następnie podszedł do miejsca tuż poza zasięgiem łańcucha i zagwizdał świergotliwą melodyjkę na dwóch tonach — piip-piip.

Pies nachylił łeb z zaciekawieniem.

W ciemnościach za stodołą Claude stanął bokiem do Epi. Odwróciwszy wzrok i przycisnąwszy łokcie do boków, na zgiętych kolanach starał się jak najbardziej skulić, kiedy bokiem zbliżał się do niej, powoli stawiając nogi. Przez cały czas mamrotał monotonie jakieś absurdalne słowa, układające się w niekończący się, bezsensowny szmer.

— No, kochana — mówił. — Taka grzeczna dziewczynka. Boże drogi. Taka ślicznotka. — Pognieciony plastikowy worek trzymał z drugiej strony na biodrze, a w jego dłoni połyskiwał jakiś metaliczny przedmiot. Zrobił jeszcze krok i zatrzymał się, na tyle długo, że zdawał się kręcić bez celu w miejscu, każdy jego gest był tak lekki, opanowany i nieomal przypadkowy, jakby prawie w ogóle się nie poruszał, ani razu nie spojrział w jej stronę, ani razu nie podniósł głosu, tylko wciąż bliżej się przysuwał, przez cały czas bezsensownie paplając.

Epi cofnęła się w stronę pustej budy, szeroko otwartymi oczami rozglądając się na boki. Wiedziała już, że jest osaczona, odwróciła się, patrząc na Edgara. Przez chwilę myślał, że zdecyduje się podejść do niego, ale skowyty, błysk obnażonych kłów i pragnienie ucieczki zdominowały w jej łbie wszystko inne, toteż stała jak sparaliżowana. Edgar uniósł rękę, wydając jej polecenie „siad”. Widząc to, odwróciła się w stronę Claude'a i żałośnie opuściła łeb, z zamkniętym pyskiem i położonymi po sobie uszami. Rozcięcie na pysku ziało czernią i wilgocią. Epi przeciągnęła łapą po ranie i opadła na zimny śnieg, podkulając łapy pod siebie. Rozważała możliwość ucieczki obok Claude'a. Kiedy dzieliły go już od niej trzy małe kroki, schowała się do budy, z której po chwili dobył się cichy pomruk.

Claude otworzył plastikowy worek. Opary spłynęły na ziemię.

Claude wcisnął nasączoną szmatę w głąb psiej budy i odwrócił się szybko, blokując wejście swoimi plecami w kurtce.

— Zaczekaj — powiedział do Edgara. Przestał już paplać, zapadła absolutna cisza. Z wnętrza budy dochodził paniczny tupot łap Epi, za wszelką cenę starającej się znaleźć między szmatą a wyjściem. Claude siedział wpatrzony w pole. Minęła dłuższa chwila. W końcu podniósł się i cofnął od budy.

— Chodź, mała — powiedział. — Wychodź.

W otworze pojawił się pysk Epi. Zamrugła i wyszła na nocne powietrze. Zataczała się, niepewnie warczała. Claude zbliżył się do niej w dwóch szybkich krokach i lewą pięścią solidnie przywalił jej pod brodę, po czym cofnął się. Jej szczęki zatrzasnęły się z głuchym dźwiękiem.

— Nawet nie próbuj — powiedział.

Zupełnie zagubiona — po nocnych wydarzeniach, po oparach eteru i teraz po tym piorunującym ciosie zadany przez Claudea — Epi

234

235

bezwolnie opuściła grzbiet i rozwinęła ogon. Na moment uszedł z niej cały opór, jakby w końcu pozwalała się ostatecznie pokonać w jakiejś walce, którą wciąż toczyła w myślach. Chwilę później ręka Claude'a objęła grzbiet Epi, a dłoń przycisnęła jej brzuch. Zaskoczona szarpnęła pyskiem w jego stronę, ale już zdążył wbić między jej łopatki igłę, znówu coś do niej mówiąc, głosem niskim i cichym, a po odrzuceniu strzykawki nadal stał przy niej, głaszcząc ją i czekając.

— W porządku, moja droga — powiedział. — Edgarze, nie ruszaj się. Jeśli ją wystraszysz, ugryzie mnie. Czas się położyć i odpocząć, kochana. To była długa noc. Grzeczna dziewczynka.

Przesunął dłonią po grzbiecie Epi. Suka opadła na ziemię, ułożyła się, przez jej ciało przeszedł dreszcz.

— Przynieś smycz — polecił Claude. — Powoli... Załóż jej... Dobra — stwierdził. — Zobaczmy, co tu mamy. — Ukląkł i wsunąwszy jedną rękę pod mostek Epi, a drugą pod jej bok, uniósł ją w ramionach. Oczy Epi błysnęły białkami, ciało zwiotczało. Obeszli silos i kiedy Edgar szarpał się z zasuwką w drzwiach, Claude czekał pod przykrytym metalową osłoną reflektorem.

— W samochodzie jest torba — rzucił Claude, wchodząc do psiarni.
Na przednim siedzeniu. Przynies ją.

Kiedy Edgar wrócił, Claude był w pomieszczeniu medycznym. Epi leżała rozciągnięta na kozetce, bezwładna, lecz rozbudzona, słabo skowycząc, a Claude elektryczną maszynką golił bok jej pyska. Co chwilę przerywał golenie, żeby polać odsłonięty fragment różowej skóry środkiem odkażającym i spłukać luźne włosy z rany. Pod aksamitnym futrem jej skóra pokryta była piegami. Brunatny płyn spływał po sierści na szyi i gromadził się na kozetce.

Edgar postawił zniszczoną torbę pod ścianą. Wzdłuż górnej krawędzi torby biegły wytłoczone inicjały złożone z liter PP, których krzywizny i łuki wytarte już były do bladego filcu. Claude odłożył maszynkę, pogrzebał w torbie, wyjął czarną nić do zakładania szwów i igłę, po czym i jedno, i drugie zdezynfekował. Rozcięcie było mniejsze, niż Edgar się spodziewał, zaczynało się tuż pod okiem i kończyło przy kąciku pyska. Gdy Claude naciskał, krew sączyła się spomiędzy poszarpanych krawędzi, a Edgarowi na ten widok żółte koła zaczęły wirować przed oczami.

236

To przez ciebie się stało, pomyślał. Przestań. I Uważaj.

Zacisnął ręce do bólu i patrzył. Podczas zakładania szwów Claude dwa razy upuścił igłę w sierść Epi. Zaklął pod nosem i ponownie ją zdezynfekował.

— Czy jeszcze jakiś pies jest ranny?

Edgar skinął głową.

— Poszukaj w torbie buteleczki z napisem „Valium”.

Torba stała otwarta na ziemi. Edgar wyjął z niej buteleczki i przyj-

rzał się im, a potem jedną pokazał Claude'owi.

— To ta. Daj mu dwie tabletki i zaczekaj na mnie.

Claude ponownie zajął się szwami. Edgar wysypał dwie tabletki na rękę i poszedł do kojca Fincha. Pies wyszedł mu na spotkanie, kuśtykając na trzech łapach. Zanim Claude wyniósł Epi z pomieszczenia medycznego i ułożył ją w kojcu, opierając łeb na paru ręcznikach, Finch już spokojnie spał.

Szwy na pysku Epi, czarne i równe, wykonane były starannie. Edgar policzył je z góry do dołu: dwanaście. Claude posmarował ranę lśniącym balsamem. Edgar zamoczył trzy palce w wodzie i opuszczał kolejne krople na język Epi, słuchając trzaskania i buczenia golarki. Kiedy Claude wynosił Fincha, Epi rozbudziła się już na tyle, żeby unieść łeb i rozejrzeć się dookoła. Próbowwała podnieść się na nogi, ale Edgar przesunął dłońią po jej grzbiecie i skłonił ją, aby położyła się z powrotem.

Zaloty

Po powrocie do domu Claude przeszedł przez kuchnię i ze zwiniętą kurtką w ręce zapukał w zamknięte drzwi sypialni. Edgar ukląkł i pogłaskał Almondine po pysku.

Co się stało dzisiejszej nocy? zapytał na migi. Dlaczego nie potrafiłaś stać na nogach?

Przesunęła nosem wzdłuż jego ręki i nóg, obwąchując go, jakby chciała odgadnąć, co się działo, odkąd wyszedł z domu. Patrzyła na niego jasnymi oczami i dokładnie przyjrzała się jego twarzy. Kiedy już z zadowoleniem stwierdził, że Almondine czuje się dobrze, wstał i podszedł do drzwi sypialni, pod którymi wciąż czekał Claude.

— Trudi? — powiedział Claude, pukając po raz drugi.

Drzwi otworzyły się do środka sypialni i stanęła w nich matka Edgara, trzymając się framugi dla zachowania równowagi. Włosy mia-

ła zmierzwione i sklezione potem, a nad białymi jak kreda policzkami błyszcząły osadzone w zapadniętych kręgach oczy. Claude aż westchnął na jej widok.

— Na Boga, Trudi — powiedział. — Tobie potrzebny jest lekarz. Odwróciła się i usiadła na łóżku. Patrzyła gdzieś obok Claude'a, jakby nie zauważyła jego obecności.

— Edgarze? — odezwała się. — Jak się czuje Epi? Która jest godzina?

Zanim Edgar zdążył udzielić jej na migi odpowiedzi, Claude rzekł:

— Ma rozcięcie pod okiem, ale niegłębokie. Finch będzie utykać przez kilka dni i tyle. Jest lepiej, niż początkowo to wyglądało. Matka skinęła głową.

— Dziękuję, Gar. Masz rację, te antybiotyki chyba nie działają — powiedziała. — Mógłbyś zawieźć mnie do doktora Frosta?

Przez chwilę się nie odzywali. Początkowo Trudi nie zdawała sobie sprawy ze swojej pomyłki, ale nagle Claude wyprostował się, jakby położył dłoń na drucie niskiego napięcia. Twarz Edgara oblała się rumieńcem od mieszaniny wstydu, strachu i jakiegoś innego, bliżej nieokreślonego uczucia.

— Tak — odparł Claude. — Zawiozę cię.

Trudi przesunęła dłonią przed twarzą, jakby usuwała pajęczyny.

— Chciałam powiedzieć: Claude — poprawiła się. — Claude. Położę się teraz. Obudź mnie o ósmej, dobrze? Wtedy zadzwonię i umówię się na wizytę.

— Nie ma mowy — sprzeciwił się Claude. — Jedziemy od razu.

— Ale on w gabinecie będzie dopiero za półtorej godziny.

— Będzie wcześniej, jeśli do niego zadzwonię.

Uparła się, że Edgar ma nie zbliżać się do niej i zostać w domu. Choć niechętnie, zgodził się pozostać i dopilnować Epi, Fincha i Almondine. Claude wycofał samochód po podjeździe i skierował się w stronę miasteczka, wioząc skuloną i opartą o drzwi po stronie pasażera Trudi.

Edgar niemrawo zajął się porannymi obowiązkami. Powykładał kojce belami słomy, na których spał przed walką. Zajrzał do kojca małych szczeniaków, zważył je i zapisał wyniki w rejestrze, po czym usiadł na słomie w kącie kojca i zdrzemnął się. Szczeniaki zebrały się na odwagę i przeprowadziły skomasowany atak. Odsuwał je na bok, ale były nieustępliwe, gryzły go w palce, buty i szlufki w dżinsach, więc podniósł się i poszedł do kojca Epi.

Dużo później obwinał się, że nie przewidział tego, co się zdarzyło, jakby rzeczywiście mógł temu zapobiec, lecz przez następne kilka tygodni przede wszystkim myślał o zdrowiu matki i gojeniu się psich ran. Codzienne rano czyścił i nakładał balsam na szwy Epi i tak długo przykładał ciepłe kompresy, aż stygły mu w dłoniach, a kiedy jechał do szkoły, palce miał brązowe od środka dezynfekującego. Sierść zaczęła jej odrastać, ale Epi zrobiła się nieufna i płochliwa. Łapa Fincha szybko się goiła. A co najważniejsze, niesamowite zachowanie Almondine z psiarni więcej się nie powtórzyło.

238

239

Jednak leżąc już w łóżku, Edgar na nowo przeżywał wydarzenia tamtej nocy, za każdym razem zmieniając drobne szczegóły swojego zachowania, żeby zapobiec tamtym wydarzeniom.

„Gdybym tylko wypuścił mniej psów...”

„Gdybym tylko nie zasnął...”

„Gdybym tylko od razu je nakarmił...”

Czasami pozwalał sobie nawet na takie myśli, jak: „Gdyby tylko

ona nie zachorowała..." , „Gdybym mógł wydobyć z siebie dźwięk..." ,
„Gdyby on nie umarł..." .

Przyszłość, o której tylko z rzadka myślał, nie niosła w sobie żadnych specjalnych zagrożeń ani nadziei. Kiedy po południu impala wróciła pod dom, a matka, nie słaniając się już tak mocno, wysiadła z nową receptą w ręce, pomyślał, że już chyba więcej błędów nie mogą popełnić. Ona musi dojść do siebie. Ojciec zmarł w styczniu, teraz był dopiero koniec maja. Muszą trzymać się ustalonego w minionych miesiącach planu działań. Dzięki temu ich życie powróci do pierwotnej postaci, jak rozciągnięta w ciężkich czasach sprężyna, która zawsze w końcu kurczy się, na powrót przynosząc szczęście. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że świat już na stałe może pozostać bez sprężyny. I dlatego też przez bardzo długi czas zupełnie nie zważał na to, co się wokół dzieje, ponieważ gdy chodziło o matkę, pewne sprawy zdawały się równie niemożliwe jak to, że ona zacznie nagle latać w powietrzu.

Tempo pracy nie spadało. Najpierw szczeniaki, potem jedzenie, woda, sprzątanie, lekarstwa. Kiedy matka wciąż jeszcze dochodziła do zdrowia, Claude przyjeżdżał co rano, wyładowywał zakupy i pomagał przy codziennych pracach. Edgar prowadził Fincha po przejściu między kojcami, oceniając stopień powrotu psa do zdrowia. Później Claude zostawał tylko tak długo, żeby na stojąco, nie zdejmując nawet kurtki, wypić kubek kawy; Trudi rozmawiała z Claude'em o tym, co trzeba zrobić w psiarni, jakby już zdążyli ustalić, że będzie im pomagał. Następnie odstawiał kawę i szedł do samochodu.

Kiedy wreszcie stanęła na nogi, Claude przestał do nich rano przyjeżdżać. A ponieważ nie było go, gdy Edgar wsiadał do szkolnego autobusu, chłopiec nie miał powodu sądzić, że w ogóle tam przyjeżdża, dopóki któregoś popołudnia nie znalazł na schodkach ganku

kupki białych wiórów z mydła. Następnego wieczoru Claude pojawił się na kolacji. Gdy tylko wszedł, matka Edgara zaczęła poruszać się wolniej, bardziej ospale. W pewnym momencie rozmowa zeszła na Epi i Fincha i Edgar natychmiast się zorientował, że od ostatniego spotkania Claude był w psiarni wiele razy, nawet tego dnia. A minął już prawie miesiąc.

Po kolacji Edgar udał się na górę. Słuchał ich kroków, prowadzonej szeptem rozmowy, którą tylko częściowo tłumiły dźwięki z telewizora. Słowa matki sączyły się przez podłogę, kiedy leżał w łóżku.

— Och, Claude. Co my mamy zrobić?

Westchnęła, kończąc to pytanie.

Edgar przewrócił się na drugi bok w oczekiwaniu na sen. Słuchał, a jednocześnie nie słuchał.

„Gdyby tamtego dnia nie wyjechała...”

„Gdybym nie był na strychu...”

„Gdybym potrafił mówić...”

W środku nocy rozległ się chrapliwy warkot uruchamianego silnika impali. Kiedy rano Edgar stanął obok łóżka, klatkę piersiową rozrywały mu ogniste kolce.

Było już ciepło, przynajmniej w niektóre noce. Pewnego wieczoru wyszedł na ganek i usiadłszy okrakiem na starym kuchennym krześle, obserwował zachód słońca. Słoneczne dni rozpuściły śnieg na polach, a krótkotrwały deszcz wszystko wypłukał do czysta. Almondine znalazła sobie miejsce na starym dywaniku i zajęła się żuciem kości, chwytając jej pusty koniec rozwartym pyskiem. Po chwili otworzyły się drzwi kuchenne i dłonie matki spoczęły na ramionach Edgara. Razem słuchali kapiącej z drzew wody.

— Lubię ten dźwięk — odezwała się. — Zanim się urodziłeś, siady-

wałam tu i słuchałam wody spływającej z dachu.

Wiem, odparł na migi. Jesteś bardzo stara.

Bardziej wyczuł, niż usłyszał jej śmiech. Lekko wbiła palce w jego barki.

— Właśnie o tej porze roku twój ojciec znalazł to wilcze szczenię.

Pamiętasz, jak ci o tym opowiadaliśmy?

Częściowo.

240

— Widzisz tamte osiki? — Wyciągnęła rękę ponad jego ramieniem.

Zmrużył oczy i patrząc we wskazaną stronę, dostrzegł kępę drzew porastających najdalszy kąt pola. — Gdy tamtego dnia wyszedł z lasu, to były zaledwie młode drzewka. Większość pni można było objąć palcami. Dopiero zaczynały wypuszczać liście. Właśnie tam patrzyłam, gdy twój ojciec spomiędzy nich wyszedł. Widok był zdumiewający: jego mieniąca się postać jakby zmaterializowała się w powietrzu, tak wolno i ostrożnie stawiał kroki. W pierwszej chwili myślałam, że się zranił. Włosy mi się zjeżyły na karku od tego widoku.

Bo myślałaś, że jest ranny? Czy przez to, jak wyglądał?

— Chyba z jednego i drugiego powodu. Od razu powinnam była zauważyć, że niesie szczeniaka. Tak samo chodził, gdy nosił noworodka w psiarni.

Taki zgarbiony.

— Tak, ale z daleka tego nie rozpoznałam.

Dźwięk jej głosu był miły, a Edgar chętnie słuchał i wydawało mu się, że matka chce mówić. Znał fragmenty tej historii, odkąd sięgał pamięcią, lecz teraz opowiedziała mu o wcześniejszych poronieniach, o tej ostatniej wizycie w szpitalu i o kształtach w deszczu. Kiedy kończyła swoją opowieść, osiki na końcu pola rozplynęły się w zapadają-

cym zmierzchu.

Czy nazwałaś to dziecko?

— Nie — odpowiedziała po chwili zadumy.

A jakby przeżyło?

Matka odetchnęła głęboko.

— Chyba wiem, do czego zmierzasz, Edgarze. Błagam, nie proś mnie, żebym porównywała różne rodzaje żalu. Staram się powiedzieć ci, że po tym poronieniu zupełnie się zagubiłam. Mijał czas, ale w mojej pamięci niewiele pozostało z tego, co się wokół mnie działo. Nie potrafię dokładnie wytłumaczyć tamtych uczuć, za to pamiętam wściekłość, że nie dane mi było poznać tego dziecka, zanim umarło, nawet przez krótką chwilę. Pamiętam też, że wyobrażałam sobie jakieś miejsce, w którym do tego wszystkiego nie doszło, miejsce, w którym mogłam po prostu odpoczywać i spać.

Skinął głową. Przypomniawszy sobie, że gdy zamknął powieki tamtego dnia, czekając w stodole przy ojcu, przed jego oczami coś rozkwitło,
242

coś ciemnego i bezustannie zawijającego się do Środka. A także to, że po jakimś czasie znalazł się na drodze, to, jak jeden Kdgar został przy ojcu, a drugi szedł dalej drogą w czarnych jak atrament ciemnościach i w deszczu, który na niego padał i delikatnie nasączał wodą. Pamiętał też swoje ówczesne myśli, że dopóki idzie drogą, nic mu się nie stanie.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego teraz nic takiego mi się nie przydarzyło? — zapytała.

Dlaczego?

— Ponieważ dane mi było poznać twojego ojca. To wielka niesprawiedliwość, że umarł, i aż wyc mi się chciało z tego powodu, ale miałam szczęście znać go przez prawie dwadzieścia lat. To wciąż za mało. Nigdy

dostatecznie bym go nie poznała, nawet gdybyśmy oboje dożyli setki. Jednak coś mi pozostało i właśnie to coś ma znaczenie... — Ponownie urwała. — Edgarze, ty nie jesteś winny temu, co się stało z twoim ojcem.

Wiem.

— Nie, Edgarze, nie wiesz. Czy sądzisz, że nie potrafię cię przejrzeć? Uważasz, że nic nie widzę? Myślisz, że jeśli nie wyrazisz czegoś gestem, to nie jest to wypisane na twoim ciele? W tym, jak stoisz i chodzisz? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że bijesz się przez sen? Dlaczego to robisz?

Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie jej słów. Podniósł się, przewracając krzesło, które z łoskotem upadło na podłogę.

Co masz na myśli?

— Rozepnij koszulę.

Próbował odejść, lecz położyła mu dłoń na ramieniu.

— Zrób to, Edgarze. Proszę.

Rozpiął rząd guzików i pozwolił, żeby koszula się rozchyliła. Na środku jego piersi widniał siniak utworzony z niezdrowych, niebieskawozielonych plam.

Lodowaty kamerton uderzył gdzieś w srebrną sztabkę i dzwonił bez ustanku. Edgar poszedł do łazienki, stanął przed lustrem i czubkiem palca nacisnął siniak. Wzdłuż żeber rozszedł się pulsujący ból.

Od jak dawna budził się z tym ciężarem kowadła opuszczonego na jego piersi? Od tygodnia? Od miesiąca?

— Co jest? — odezwała się Trudi, gdy tylko wrócił do kuchni. — Do licha, Edgarze, co się z tobą dzieje? Tak się zamknąłeś w swoim smut-

243

ku, że zostawiłeś mnie zupełnie samą. Nie możesz tak robić. Nie możesz mnie odrzucać. Jakbyś tylko ty kogoś stracił. — Położyła mu dłonie na

ramionach. — Kiedy rano widzę cię kątem oka, jak wchodzisz do kuchni, wydaje mi się, że to on...

Bzdura. Zupełnie go nie przypominam.

— Właśnie że tak, Edgarze. Poruszasz się jak on. Chodzisz jak on. Obserwowałam cię, jak nosiłeś małe szczeniaki, robisz to dokładnie jak on, tak jak sam opisywałeś, ze zgarbionymi ramionami, ostrożnie stawiając nogi. Czy ty zdajesz sobie sprawę, że czasami po prostu muszę wyjść z domu, gdy jesteśmy tylko we dwojkę, bo patrząc na ciebie mam wrażenie, że on nie odszedł? W niektóre noce wracam ze stodoły i nie mogę się powstrzymać, żeby nie wejść na górę do twojego pokoju i na ciebie nie popatrzeć. Bo tylko w takich chwilach dopuszczasz mnie do siebie. Tylko w ten sposób mogę się zbliżyć. Do ciebie lub do niego.

Nie jestem nim. Nawet w połowie.

W tym momencie wstrząsnął nim nerwowy dreszcz. Przepchnął się obok Trudi i wyszedł na ganek, zapinając koszulę. Wcześniej chciał powiedzieć jej coś jeszcze, lecz kiedy ujrzał siniaka na piersiach, wszystko inne straciło znaczenie.

— Edgarze, doskonale zdaję sobie sprawę, co to znaczy pograć się się bez końca w ponurych myślach. Człowiekowi się wydaje, że jeśli bardziej się w to zagłębi, w końcu uda mu się przebić na drugą stronę i wszystko będzie w porządku, ale wcale tak nie jest. Musisz ze mną rozmawiać. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie opowiedziałeś mi wszystkiego, co się wydarzyło.

Powiedziałem. Wszystko ci powiedziałem. Zszedłem ze strychu, a on tam leżał. Musiałem czekać, aż ktoś tu się zjawi.

— Słuchawka telefonu była rozbita.

Dostałem szau i uderzyłem nią w blat. Mówiłem ci.

— Co jeszcze, Edgarze? Co jeszcze się stało?

Nic!

— W takim razie co to jest? — zapytała, wskazując na jego piersi.

Nie wiem! Musiałem się o coś uderzyć. Po prostu nie pamiętam.

— Edgarze, widziałam, jak to robisz przez sen. Uderzasz się w piersi. Próbujesz coś powiedzieć. Co takiego?

244

Nie potrafił odpowiedzieć sparaliżowany wspomnieniem okładania się pięściami. Gdy tylko o tym pomyślał, niemal drżał od tych uderzeń. Stał na ganku, jego szarpany oddech współgrał z sapaniem matki, aż w końcu przypomniał sobie, co chciał powiedzieć.

Claude też nie jest taki jak on.

Teraz z kolei ona umilkła. Patrzyła obok niego na pola, wreszcie ciężko westchnęła.

— Po ostatnim poronieniu chciałam się zoperować, żeby już nigdy nie zajść w ciążę. Spodobał mi się ten pomysł, dzięki temu już nigdy nie byłoby mi tak źle. Ale twój ojciec powiedział, że niepotrzebnie wyobrażam sobie tylko najgorsze. Jeszcze raz, powiedział. I nie dlatego, że nie będzie to okropne, jeśli ponownie się wydarzy, ale dlatego, że będzie wspaniale, jeśli się nie wydarzy. Twój ojciec miał rację, Edgarze. A następnym razem byłeś już ty. Nawet nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak by wyglądało nasze życie, gdyby twój ojciec tak mocno nie wierzył, że można jeszcze raz zacząć wszystko od początku.

Odwrócił się i wbił wzrok w ciemności.

— Edgarze, jest różnica między tęsknotą za nim a chęcią pozostawienia wszystkiego bez zmian — powiedziała. — Oni są zupełnie różni. A my nic nie możemy zrobić, ani w sprawie jednego, ani drugiego. Wszystko zawsze się zmienia. Gdyby twój ojciec żył, Edgarze, też wszyst-

ko by się zmieniało. Tak wygląda życie. Możesz z tym walczyć albo się z tym pogodzić. Różnica polega na tym, że jeśli pogodzisz się z tym, możesz zająć się czymś innym. Jeśli z tym będziesz walczyć, na zawsze już w tym utkwisz. Rozumiesz?

Czy jednak z pewnymi zmianami nie warto walczyć?

— Dobrze wiesz, że tak.

To jak jesteś w stanie rozróżnić, co należy robić, a czego nie?

— Nie potrafię powiedzieć tego z całą pewnością — odparła. — Stawiasz pytanie: „Dlaczego tak naprawdę z tym walczę?”. Jeśli odpowiedź brzmi: „Ponieważ boję się tego, co będzie”, zazwyczaj walczysz bez rozsądnego powodu.

A jeśli odpowiedź jest inna?

— Wówczas zapierasz się i walczysz ze wszystkich sił. Ale musisz być absolutnie pewien, że jesteś w stanie poradzić sobie z inną zmianą, ponieważ na koniec wszystko i tak się zmieni, tylko inaczej. Prawdę

245
mówiąc, jeśli rzeczywiście zaangażujesz się w taką walkę, można prawie na pewno powiedzieć, że zmiany są nieuchronne.

Edgar skinął głową. Chociaż zdawał sobie sprawę, że matka ma rację, nie potrafił się pogodzić z jej słowami. Człowiek może powstrzymać jakąś określoną rzecz, ale nie może zatrzymać zmian jako takich. Nie da się zawrócić biegu rzeki. A jednak miał wrażenie, że musi być jakieś inne wyjście, coś innego poza uporem i rezygnacją. Nie potrafił tego nazwać. Wiedział tylko, że żadne z nich nie zmieniło zdania i żadne nie potrafiło nic więcej powiedzieć. Stał na ganku, dopóki matka nie odwróciła się i nie weszła do kuchni, dopiero wówczas pchnął drzwi i udał się do stodoły. Po strychu walało się sporo sznurka do snopowiązałki. Po kilku próbach udało mu się sporządzić podwójną pętlę z końcówką, którą mógł

przywiązać do ramy łóżka i schować pod kocami, dzięki czemu matka niczego by nie zauważyła, nawet gdyby weszła w nocy do jego pokoju. Przełożył dłonie przez utworzone pierścienie. Teraz wystarczyło tylko je przekręcić, żeby nie wysunęły się podczas snu.

Późnym wieczorem ściany domu rozbrzmiały hurkotem tarczy telefonicznej. Dźwięki szarpnięcia cyfry zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, a później chrzęst tarczy powracającej na miejsce były dostatecznie głośne, żeby go obudzić. Gdy jakiś fragment rozmowy ulatywał nie w pełni wychwycony przez słuchawkę, porwany prądem powietrza rozchodził się po starym domu na podobieństwo szarego dymu tak drobnego, że wspinał się po schodach i przez kratki kominowe, a ocierając się o ścianę, zasłonę czy żarówkę, osypywał się pyłem osiadającym na wszystkim dookoła.

Rankiem wciskał sznurek w starą tenisówkę i przyglądał się odbiciu swojej klatki piersiowej w lustrze.

Sam był zaskoczony korzystnym efektem swoich starań.

Pierwsza wiosenna burza nadeszła w środku nocy, z błyskawicami rozdzierającymi niebo i grzmotami, od których szyby dzwoniły w oknach. Rankiem burza ustąpiła miejsca nieustającemu, wyzutemu z wszelkiego dramatyizmu deszczowi. Powolne, równomierne potoki deszczu zanikały na minutę lub godzinę, aby wkrótce powrócić wraz z pluskiem wody spływającej z okapu. Po dwóch dniach zaczęło zalewać piwnicę. Nie było to żadnym zaskoczeniem i nie stanowiło też wyjątkowego zagrożenia. Nogi stołów już od dawna stały w puszkach po kawie. Edgar obserwował wodę sączącą się między kamieniami, jeszcze przez Schultza włożonymi w piwniczne ściany. Woda w studziencie podnosiła się dwa razy na godzinę, po czym włączał się silnik pompy i w całym domu światła przygasały. Po chwili rozlegał się łomot, gdy słup wody uderzał

w kolanko rury przepływowej.

Świat wypełnił się bogactwem roślinnych zapachów, błotnistych i kwiecistych — powietrze tchnęło wonią starego siana, tamaryny, glonów, mchu, słodkich soków i zgniłych liści, żelaza, miedzi i robaków — jak piźmowe chuchnięcie wiszące na podwórzu.

Psy budziły go przez dwie noce z rzędu.

Odkąd zaczęli zostawiać na noc otwarte drzwi na wybiegi, psy spały z pyskami wspartymi o drewniane progi. Z okna swojego pokoju widział ich czarne nosy i błyszczące ślepia. Pierwszej nocy zlekceważył ich szczekanie, przewrócił się na drugi bok i zakrył głowę poduszką, jednak drugiej wyczuł w tonie ich głosów jakiś zapach, który rozbudził go zupełnie. W bębnieniu padającego deszczu rozróżnił głosy Essay i Opal. Wraz z Almondine ukląkł przy oknie. Psy mokły na deszczu w swoich wybiegach, radośnie wymachując ogonami.

Pewnie jelen w sadzie, pomyślał Edgar. Albo szop.

Zszedł do pokoju gościnnego, w którym okna wychodziły na sad i drogę. Nic jednak tam nie zobaczył. Kiedy wrócił do swojego pokoju, psy zdążyły już się uciszyć. Przyszło mu na myśl, że być może psy widziały Forte'a, i ucieszył się. Ten bezański pies mógł być na tyle przekorny, żeby powrócić tu po spędzeniu zimy u jakiejś przybranej rodziny.

Leżał z otwartymi oczami, mając nadzieję, że psy na nowo zaczną czekać. Albo że usłyszy wycie Forte'a. Mając tak bardzo skoncentrowaną uwagę, odniósł wrażenie, że słyszy jakiś głos — ten sam głos, który słyszał, śpiąc w stodole. Ten sam głos, który słyszał (przypomniawszy sobie teraz) poprzedniej nocy. Zawsze pomieszany z jakimś towarzyszącym mu innym dźwiękiem. Słyszał swoje imię, kiedy sprężyny w jego łóżku skrzypiały; słyszał nieme wołanie w uderzeniu wiatru o szybę. Usiadł i zdjął książki z regału, a potem przebiegał oczami po literach jak po ja-

kichś bazgrołach, aż rozjaśniło się niebo za oknem.

Przy śniadaniu czekał, kiedy matka wspomni o szczekaniu.

Czy psy zbudziły cię dzisiejszej nocy? w końcu sam zapytał.

— Nie. Szczekały?

Bardzo.

— To normalne — stwierdziła. — Podczas odwilży robią się nie-
spokojne.

Kiedy wieczorem uporał się już z obowiązkami w psiarni, był tak zmęczony, że tylko powłókł się na górę i padł na łóżko. W egipskich ciemnościach obudził go dźwięk jego imienia. Tym razem docierał przez chlupot deszczu w rynnie. Usiadł na łóżku, skrzyżował ręce na piersiach i nasłuchiwał. Po chwili psy znowu zaczęły swój koncert. Nie włączając światła, wyslizgnął się z łóżka, podniósł otwierane pionowo okno i wystawił głowę na zewnątrz. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie padał deszcz. Bezpośrednio pod swoim oknem dostrzegł zaparkowany na podjeździe samochód Claude'a.

We wszystkich zagrodach stały ujadające psy.

Włożył dzinsy, koszulę i byle jak zawiązał buty. Zszedł chyłkiem po schodach, trzymając rękę na grzbiecie Almondine, żeby zbytnio go nie wyprzedzała. W sypialni matki było ciemno. Zegar w kuchni wskazywał pierwszą trzydzieści.

Przykląkł przed Almondine.

Musisz tu zostać. Nie chcę, żebyś zmokła.

Otworzył drzwi na ganek i wyjrzał na dwór. Wiatr zmierzwił mu włosy. Nie było ani błyskawic, ani grzmotów, jedynie nieustanny szmer ciepłego deszczu, monotony jak szept strumienia — ten sam dźwięk, który przed laty skłonił Almondine do skoku na przykryty śniegiem potok, jakby spodziewała się coś tam znaleźć. Srebrzyste strugi deszczu

spływały do rynien otaczających dach domu.

W pobliżu drzwi znajdował się wyłącznik światła. Kiedy go nacisnął, włączył się reflektor umieszczony na wycięgnięciu nad wrotami stodoły, rzucając snop światła na nierówne deski obu skrzydeł drzwi. Podświadomie spodziewał się zobaczyć zmykającego świstaka lub lisa, ale ujrzał tylko błyski kropel deszczu wpadających w krąg światła. A jednak psy czekały, dziwnie, jakby równocześnie czegoś się bały i coś rozpoznawały, mokre i lśniące wpatrywały się w podwórze. Na moment coś zamigotało przed nimi w deszczu i zaraz zniknęło. Edgar miał już wrócić do domu, kiedy jego uwagę zwróciło coś przy wrotach stodoły. Przyjrzał się temu bliżej, lecz okazało się, że to tylko deszcz.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, psy ucichły. Zerwały się na swoje cztery łapy, otrząsnęły z wody i jeden po drugim potruchtały do wyjść umieszczonych z tyłu wybiegów, po czym przecisnęły się przez płócienne klapy i zniknęły.

Przyczyna ich szczekania, doszedł do wniosku Edgar, musi być wewnątrz psiarni. Stojąc na ganku, nigdy nie dowie się, co to jest. Jeszcze raz odwrócił się do Almondine i przykląkł, żeby nakazać jej ciszę. Następnie wyszedł na deszcz i ruszył przez podwórze.

248

W deszczu

Zanim dotarł do narożnika budynku, był przemoczony do suchej nitki.

Ten sam deszcz, tak ciepły na jego dłoniach, przesiąknął przez dzinsy i koszulę, nieprzyjemnie go chłodząc, ale nie było sensu wracać po kurtkę. Podeszedł do impali i przyłożył dłonie do maski. Silnik był zimny jak głaz. Wszedł na porośnięty zielskim garb pośrodku podjazdu, wokół którego płynęły błotniste potoki. W bladym świetle podwórzowej lampy świeżo zazieleniona trawa wyglądała jak czarna maź. Dwie drżące wysokie

sosny stały jak wartownicy, woda spływała kaskadami z kolejnych gałęzi. Nie dostrzegł nigdzie jelenia czy czerwonej plamy, która mogłaby być lisem, ani też błyszczących ślepiów szopa. Odwróciwszy się, ruszył w stronę opuszczonych wybiegów, ocierając dłonią spływającą wodą twarz.

W jednym z wyjść na wybieg pojawił się psi łeb i barki — to Essay obserwowała jego nadejście, wystawiwszy połowę ciała na zewnątrz kojca. Przykucnął i przełożył palce przez drucianą siatkę, a suka rzuciła się przez wybieg, wbiegła w jego cień i polizowała mu palce, mrugając pod kroplami deszczu. W jej zachowaniu dostrzegł zaciekawienie, ale bez śladu niepokoju, wyczekiwanie, lecz nie strach.

Co tu się dzieje? zapytał na migi. Gdzie byś poszła, gdybym otworzył drzwi? Za czym byś gonila?

Essay tylko zamerdała ogonem i spojrzała mu w oczy, jakby ona też chciała postawić mu to pytanie. Chwyciwszy się framugi drzwi, podciągnął się i wyprostował. Przesiąknięte wodą drewno zaskrzypiało. Odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie i sprawdzić, co psy mogły tam zobaczyć.

Podwórzowa lampa, umieszczona na szczycie słupa w sadzie, jak zawsze emitowała kulę żółtego światła. Ziemia przed nim wznosiła się

250

łagodnie, ciągnąc się pod drzewami sadu i wyrównując w pobliżu drogi. Stojący na granicy światła dom był jasno oświetlony od strony podjazdu i tonął w ciemnościach po stronie zwróconej do ogrodu. Na trawie kładły się cienie jabłoni. Za drogą majaczyła pofałdowana kurtyna szarości rosnącego tam lasu. Wysoko w powietrzu krople deszczu wpadały w światło lampy, a wiatr zamiatał nimi w powyginane kształty kołyszących się po podwórzu wierzb i unosił z powrotem w mrok nocy.

Gdy Edgar spojrzął za siebie, Essay wycofała się już do stodoły i spod płóciennych klap obserwował go rząd błyszczących oczu. Ruszył

wokół magazynu na mleko i przeszedł przez smugę światła pod reflektorem nad wrotami stodoły. Kiedy dotarł do silosu, próbował rzucić okiem na zachodnią część pola, ale oślepiony widział tylko zaczynający się kilka kroków od niego mrok. Wpatrywał się w ciemności pokrywające wybiegi z tyłu stodoły, lecz niczego nie dostrzegł, jedynie ginącą w mroku boczną ścianę silosu i zarys szerokiego dachu. Ponownie odwrócił się w stronę stodoły.

Po raz drugi tej nocy coś się poruszyło przed podwójnymi skrzydłami wrót. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co to mogło być. Jakaś zmiana w padającym deszczu. Chyba zaczął inaczej padać. Edgar podszedł, żeby lepiej się przyjrzeć, skupił wzrok na pojedynczej kropli wody wpadającej w światło. Tuż nad jego głową kropla deszczu zawisała, chwiejąc się w powietrzu jak przezroczysta perła, i dopiero po sekundzie zaczęła dalej opadać. Rozbryzgnęła się w kałuży u jego stóp. Otarł twarz i popatrzył w górę. Kolejna kropla zajęła jej miejsce, a potem i ona spadła, po niej nadeszła kolejna i kolejna. Nie widział niczego, co mogłoby je zatrzymać w powietrzu, a jednak każda z nich wisiała przez ułamek sekundy w powietrzu i dopiero później dalej opadała na ziemię. Widział to przynajmniej kilkanaście razy. Odruchowo wyciągnął rękę, żeby dotknąć tego miejsca, ale w ostatniej chwili zawahał się.

Cofnął się i zobaczył, że dokładnie to samo dzieje się wszędzie wokół niego, i u góry, i u dołu: setki — a nawet tysiące — kropel deszczu zawieszonych na mgnienie oka w świetle lampy. Coś mignęło mu przed oczami, lecz zaraz zniknęło. Mocno zacisnął powieki. Jakby obserwował sad, starając się przez jedną chwilę uchwycić wszystko nieruchome. Kiedy ponownie otworzył oczy, wszystkie krople widziane razem utworzyły przed nim obraz.

Zamiast kropli deszczu zobaczył człowieka.

Jego głowę, tułów. Ręce odsunięte od ciała. Wszystko to utworzone przez krople zawieszone w powietrzu i natychmiast zamienione przez następne. Nogi postaci strzępiły się przy ziemi w porwane mgiełki kropelek wody. Kiedy przez podwórze przeszedł podmuch wiatru, kształt zamigotał, a wiszące za nim gałęzie jabłoni wygięły się jak w obrazie załamany przez topniejące szkło.

Edgar pokręcił głową i odwrócił się. Niekończąca się kaskada kropli uderzyła go po ramionach, karku i twarzy. Ten sam wiatr, który powodował drganie postaci, gładził jego skórę, niosąc bagienną woń moczarów. Czuć było zapach psiarni, a także samej wody.

Nagle poczuł potrzebę dotknięcia czegoś realnego, czegoś na tyle stałego, że nie mogło istnieć we śnie. Potykając się, ruszył w kierunku stodoły. Przesunął dłoń po deskach. Drzazga zaczęła o skórę i weszła mu w ciało u nasady kciuka. Ból był krótki, ale ostry i bez wątpienia realny.

Rozejrzał się dookoła. Postać w deszczu odwróciła się i patrzyła na niego.

Ponownie wyciągnął ręce do stodoły, jak oszalały zaczął ją drobiazgowo badać. Czubkami palców wymacał zardzewiałe żelazne zawiasy drzwi i poszarpane szpary między deskami, tworzące cienie równie ostre jak linia dzieląca księżyc. Wiedział, że jeśli dostatecznie długo będzie czekał, zobaczy rzeczy szalone — rzeczy fantastyczne, niewytłumaczalne, nierealne — ale gdziekolwiek spojrzeł, wszędzie znajdował rzeczy najnormalniejsze na świecie. Pomalowane drewno. Powgniatane żelazo. Woda spadająca na ziemię z jego twarzy; gdy patrzył z góry, każda kropla zdawała się wisieć w powietrzu i kurczyć, dopóki nie uderzyła o ziemię. Zamknął oczy i słuchał własnego oddechu.

Kiedy się odwrócił, w świetle lampy padał równomierny deszcz. Edgar był sam. Rozejrzał się i zobaczył męską postać przy rogu magazynu na mleko. Gdy już raz go dostrzegł, nie mógł go nie widzieć. Mężczyzna wykonał jakiś ruch. Jego nogi rozmyły się w mgiełce deszczu i po chwili Edgar stracił go z oczu. Psy zaczęły szczekać.

Edgar ponownie zauważył go przed wybiegami. Wszystkie psy wyszły na dwór, wpatrywały się przed siebie zupełnie niewystraszone, a ich głosy rozbrzmiewały podnieceniem, jakby witały znajomego. Wyma-
252

chujące tam i z powrotem ogony rozrzucały fontanny wody. Mężczyzna odwrócił się w stronę Edgara, jego ręce wykonały jak i s znak. Powietrze przecinały strugi wody. Odległość i niewyraźny kształt postaci powodowały, że trudno było zrozumieć ten gest.

Edgar zrobił krok do przodu. Postać powtórnie wykonała ten sam znak.

„Wypuść psa”.

Edgar zamrugał w deszczu.

Dlaczego?

„Nie wierzysz, że ja naprawdę istnieję. Otwórz kojec”.

Edgar podszedł do zagrody Essay. Podniósł zasuwkę, chwycił palcami drucianą siatkę i otworzył drzwi. Essay natychmiast wyskoczyła na zewnątrz. Opuściła nos do ziemi w miejscu, w którym wcześniej stała ta postać, i przesunęła łapą po trawie. Popatrzyła na Edgara, a potem na podwórze. Ogonem radośnie merdała. Jeszcze zanim mężczyzna zdążył przywołać ją gestem, Essay sama przytruchtała do niego. Dobiegła, kilkakrotnie go okrążyła - jej kształt lekko się deformował, kiedy znajdowała się z tyłu - i na koniec usiadła po jego lewej stronie. Mężczyzna zrobił krok do przodu, mieniając się blaskiem wody, odwrócił

się i pokazał „leżeć”. Essay z miejsca położyła się na mokrej trawie. Postać nachyliła się i przesunęła dłońią po pysku psa. Struga wody spłynęła po mokrym policzku suki, która dyszała z zadowolenia, rozchyliła wargi w radosnym uśmiechu i polizała rękę postaci. Język Essay przeszedł przez strugi wody. Odruchowo zamknęła pysk, przełknęła i znowu zaczęła dyszeć.

Postać spojrzała w stronę stodoły, szerokim gestem wydała polecenie „siad” i wszystkie siedem psów za Edgarem opadły na zady. Kolejny sygnał zwolnił je z tego polecenia. Jeden po drugim psy się podniosły. Potruchtwały z powrotem do stodoły. Chwilę później płócienne klapy rozchyliły się i wychynęło z nich siedem pysków.

„Widzisz?”

Na koniec postać poleciła Essay wrócić do psiarni. Suka pobiegła do swojego kojca i zniknęła w stodole. Zanim Edgar zamknął za nią drzwi, zdążyła już dołączyć do obserwujących ich psów.

Edgar odwrócił się w stronę deszczu.

„Edgarze”.

253

Co... co pan tu robi?

„Nie poznajesz mnie?”

Wolę nie mówić. Nie jestem pewien. Może.

„A ileż to razy staliśmy tu i patrzyli na nasz dom? Ileż razy z tego miejsca liczyliśmy jelenie na polu? Ileż razy podnosiłem cię na rękach do gałęzi tych drzew, a ty zrywałeś jabłko? Popatrz na mnie, Edgarze.

Co widzisz?”

Nie wiem.

„Powiedz, co widzisz”.

Wiem, dlaczego przyszedłeś. Tak mi przykro. Tak bardzo się sta-

rałem.

„Wydaje ci się, że mogłeś mnie uratować”.

Nie wiedziałem, co mam zrobić. Próbowałem wszystkiego.

„I tak bym umarł”.

Nie. Tylko że nie mogłem nic im powiedzieć. A mogli przyjechać lekarze.

„Nic by nie poradzili”.

Aleja tam byłem. Tylko pogorszyłem sprawę!

Deszczowa postać pochyliła głowę. Dzieliła ich odległość mniej więcej metra. Po chwili postać spojrzała w górę i zrobiwszy krok do przodu, uniosła dłonie, jakby chciała go objąć.

Edgar nie potrafił się powstrzymać. Cofnął się. Natychmiast poczuł falę skruchy.

Przepraszam, pokazał na migi. Nie chciałem.

„Tamtego dnia nie zdawałeś sobie sprawy z tego, co widzisz”.

Postać odwróciła się i rozplynęła w deszczu przed stodołą, aby po chwili minąć narożnik starego magazynu na mleko. Edgar zawahał się i ruszył za nią. Mężczyzna stał przed wrotami do stodoły. W świetle reflektora łatwo można było odczytać jego znaki.

„Wejź do środka. Teraz. Zanim przestanie padać”.

I co mam tam zrobić?

„Szukaj”.

Czego?

„Tego, co on zgubił. Tego, co jego zdaniem na zawsze zginęło”.

Postać cofnęła się od drzwi. Edgar odchylił stary żelazny rygiel i przekręcił uchwyt zasuw. Wewnątrz panowały ciemności, ale było

254

sucho i ten nieoczekiwany brak opadów zupełnie go zaskoczył. Wyrzwał

za drzwi, lecz tam już tylko padał deszcz. Ani jeden pies nie szczekał, choć niektóre stały w kojcach i obserwowały go.

Mocnym pchnięciem otworzył drzwi do warsztatu i znieruchomiał, w pierwszej chwili nie będąc w stanie przekroczyć progu. Sięgnął do środka, włączył światło i przyjrzał się pomieszczeniu: po lewej stół warsztatowy, nad nim na ścianie tablica z ponawieszanymi narzędziami. Otwarte do połowy imadło. Tej zimy prawie niczego, poza szafami na dokumenty, tu nie dotykali, toteż stół pokrywał aksamitny szron słomianego pyłu. Przy ścianie naprzeciwko biegły schodki prowadzące na strych, a przed nimi stały regały z puszkami farby i kreozotu, z etykietami popstrzonymi plamami skapujących i spływających płynów.

Odetchnął i wszedł do środka. Zdjął puszki farby z półki i ustawił je na stole. Chociaż wszystko w warsztacie pokrywała warstwa kurzu, puszki wyglądały na czyste, leżała na nich tylko cieniutka warstewka, jakby ktoś niedawno je poprzestawiał. Kiedy już wszystkie zdjął, na końcu półki został tylko bezładny stos starych pędzli i wałków, które też zebrał i odłożył na stół.

Pod półkami, na ziemi, stały dwie ogromne bańki ze złomem, które ojciec tamtego dnia zamierzał wynieść, po brzegi wypełnione pogiętymi gwoździami, śrubami z zerwanym gwintem, częściami zamiennymi maszyn, wszystko upstrzone ciemnobrunatnymi plamami rdzy na częściach żelaznych i ciemnomatowymi na stali. Kucnął i spróbował odchylić bliższą bańkę od ściany. Po trzeciej czy czwartej próbie przyspawany metalowy uchwyt ułamał się i Edgar wywrócił się na plecy. Na czworakach wrócił do pojemnika, objął go i mocno pchnął. Pojemnik zachwiał się i przewrócił, a Edgar szybko go przetoczył, pozostawiając za sobą szlak pomarańczowego złomu. Ukląkł i rozsypał kawałki złomu po posadzce. Druga bańka już dawno straciła uchwyt. Na ziemię posypał się kolej-

ny grad złomu. W trakcie tych czynności coś ostrego rozcięło mu koniuszek palca. Krew zmieszała się na jego dłoniach z rdzą i zaczęła skapywać na ziemię. Ponownie opadł na kolana, ale zdał sobie sprawę, że zadanie jest beznadziejne, i usiadł na ziemi. Pod prowadzącymi na strych schodkami, w miejscu gdzie belki schodów łączyły się z podłogą, leżał wciśnięty w szczelinę bezładny stos zakurzonych drobiazgów — pędzel, który już dawno temu spadł z półki, pozwijana szmata, puszka z podkładkami...

255

Pospiesznie przerzucił to wszystko, po kolei ciskając na środek warsztatu. Pochwycona przez pajęczynę na ostatniej nici rdzawoczerwona kropla krwi drżała czernią w powietrzu. Wyciągnął rękę i zmiotł pajęczynę. I właśnie tam, pod samą ścianą, leżała plastikowa strzykawka. Wziął ją do ręki, zdmuchnął kurz i podniósł do światła. Tłoczek wciśnięty był do trzech czwartych długości, czarna podwójna uszczelka stykała się z ostatnią kreską skali na zbiorniczku. Światło odbijało się w igle długą czystą linią. Potrząsnął strzykawką. W zbiorniczku stuknęły dwa szkliste kryształki. Ze strzykawką w dłoni wyszedł na deszcz, na moment oślepiony światłem po mroku stodoły. Deszcz przeszedł w mżawkę i w pierwszej chwili nie potrafił dostrzec ojca. Ogarnięty paniką rozglądał się dookoła, zanim nie zdał sobie sprawy, że postać stoi dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją wcześniej widział. Deszcz siąpił już tak drobny, że kształt postaci był ledwo dostrzegalny.

Edgar wyciągnął dłoń ze strzykawką.

Leżało pod schodami.

„Tak”.

Co to oznacza?

„Widziałeś, jak on tego używa”.

Claude?

Edgar spojrział na stojącą na podjeździe impalę i na ciemny dom.

Wydawało mu się, że w oknach swojego pokoju dostrzega błysk ślepiów Almondine.

„Oświadczył się”.

Ona się nie zgodzi.

„Wyśmiała go. Ale zgodzi się. Jest sama, więc się zgodzi”.

Nie! Ona...

Zanim Edgar zdążył ponownie zaprotestować, ojciec położył dłoń na środku jego piersi. Cichy plusk wody na skórze. W pierwszej chwili sądził, że ojciec chce tylko położyć mu dłoń na piersiach w geście mówiącym:

„Nie ruszaj się i słuchaj”, lecz kiedy wyciągnął do przodu również drugą rękę, Edgar poczuł, że coś w niego wnika, a ojciec wykonał ruch, jakby tulił w dłoniach jego serce. Wrażenie było niesamowite i Edgarowi wydawało się, że serce zaraz mu stanie. Ojciec jednak wziął je tylko w ręce, jakby to był nowo narodzony szczeniak. W jego twarzy Edgar widział żal, złość i radość, przede wszystkim zaś jakiś niewypowiedziany smutek.

Już nie myślał, żeby protestować czy opierać się. Świat poszarzał.

Nagle opadła go kaskada wspomnień, uderzających w niego jak krople deszczu przechodzące przez postać ojca; obrazy widziane, gdy ojciec był niemowlęciem, małym chłopcem, młodzieńcem, dorosłym mężczyzną.

Wszystkie wspomnienia ojca w jednej chwili przekazane Edgarowi.

„Stoi nad łóżeczkiem dziecinnym i patrzy na niemego niemow-

laka poruszającego rączkami przed malutką klatką piersiową. Tru-

di jako młoda kobieta, roześmiana. Almondine, weterynarz, ślepy

szczeniak. Obraz młodego chłopca wraz z drugim, młodszym chłop-

cem, trzymają coś w powietrzu, coś zakrwawionego. Uśmiechają się.

Tysiąc psów w rubinowym świetle. I towarzyszące tym obrazom po-

czucie odpowiedzialności; potrzeba znalezienia się między Claude'em

i całym światem. Walczące psy. Burze nadciągające nad pola. Drzewa śmigające za oknami pikapu. Psy: śpiące, biegnące, chore, radosne, zdychające. Zawsze i wszędzie psy. A potem Claude wycofujący się z warsztatu, szukający czegoś na podłodze. Ciemność. I teraz stojący przed nim chłopiec czysty jak kryształ oraz jego Edgara serce bijące w złożonych dłoniach".

Edgar padł na kolana, sapiąc z wysiłku. Pochylił się i wypróżnił żołądek do kałuży deszczówki. Kątem oka dostrzegł leżącą w błocie strzykawkę, na igle połyskiwało światło.

Podniósł wzrok, nadal ciężko dysząc. Ojciec stał w tym samym miejscu.

„Zawsze brał to, co chciał, od dziecka”.

Powiem policji.

„Nie uwierzą ci”.

Edgar zaczął łkać.

Nie jesteś prawdziwy. Nie możesz być prawdziwy.

„Znajdź...”

Co? Czekaj! Nie rozumiem.

Ojciec ponownie wykonał te same znaki, palcami literując ostatnie słowo.

„Znajdź H-A-A...”

Nie potrafił tego odczytać. Dostrzegł H-A-A potem coś jeszcze i na końcu bardzo wyraźne I; H-A-A-coś-I.

Ja wciąż nie...

256

257

Mgła coraz bardziej się rozpraszala, tak że już ledwo widział ojca.

Ręce postaci rozbryzgiwały się targane porywami wiatru. W końcu zu-

pełnie zniknęła. Edgar już sądził, że ojciec odszedł na dobre, kiedy wiatr ucichł, a on ponownie się pojawił, klęcząc przed nim, z tak niewyraźnymi rękami, że Edgar z trudem odczytywał ich ruch.

Kciuk dotykający czoła.

Przyłożona do piersi ręka oznaczająca własną osobę.

„Pamiętaj o mnie”.

I wówczas ojciec po raz drugi wyciągnął przed siebie rękę.

Edgar miał wrażenie, że raczej wolałby umrzeć, niż jeszcze raz to przeżyć. Zaczął się cofać niezdarnie po grząskim błocie, aż oparł się plecami o ścianę stodoły i jak szalony zaczął migać w ciemnościach, krzyżując ręce nad głową.

Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie!

W tym momencie wszystko się uspokoiło i zapanowała absolutna cisza. Mgiełka była już tak delikatna, że opadając na ziemię, nie wydawała żadnego dźwięku, słychać było tylko kapanie wody z okapu. Dopiero kiedy to wszystko się skończyło, odważył się podnieść wzrok.

Zza pierzastej wyrwy w chmurach wyłonił się księżyc, lśniący kościsty sierp, ostry jak leżąca za Edgarem strzykawka. Drzewa na skraju lasu połyskiwały błękitem. Idąc po podjeździe, obejrzał się na stodołę. Psy siedziały przed swoimi kojcami w pozycji „zostań”, połyskując sierścią w kolorze rtęci. Ich pyski śledziły jego ruchy, kiedy się do nich zbliżał. Przymykały oczy i pochylały łby, najwyraźniej nie chciały już być na dworze. Jednak nie ruszały się.

Od chwili gdy po raz pierwszy otwierały oczy, psy uczono patrzeć, słuchać i ufać. Myśleć i wybierać. Każda minuta ich tresury zawierała tę naukę. Uczono je czegoś więcej niż prostego posłuszeństwa: uczono, że wszystko można powiedzieć przez tresurę. Również Edgar w to wierzył — wierzył, że mają prawo stawiać psom pewne wymagania. Ale im

usilniej się czegoś domagali, tym bardziej o tym musieli być przekonani, ponieważ psy podporządkują się im. Będą miały wątpliwości, będą czuły się nieswojo, będą przestraszone - niemniej posłuchają ich.

Rząd psów czekał, aż pozwoli im odejść.

Chmury rozchyliły się i nasunęły na siebie, zamykając księżyc za sobą.

Przebudzenie

Wynurzył się z ciemności, która nie była tylko snem, lecz czymś bardziej rozległym i pocieszającym, czernią rozmyślnej nieświadomości, a może tą nocą poprzedzającą pierwsze przebudzenie, jaką noworodki znają jeszcze w łonie, a potem już na zawsze zapominają. Na jego twarzy gorący powolny oddech Essay. Kiedy podniósł nieznacznie powiekę, tuż przed oczami ujrzał jej czarno obrożnięta mordę i zaciekawione oko, więc odepchnął ją, skłonił głowę do kolan i mocno zacisnął powieki. Ale nawet przez tę krótką chwilę zdążył zauważyć, że leży w zagrodzie położonej najdalej od drzwi, najbliżej kojca małych szczeniaków, i że stodoła oświetlona jest rzędem nagich żarówek. Na dworze padał deszcz, huk ulewy wstrząsał dachem. Edgar usłyszał szelest odsuwanej płóciennej klapy i zaraz przytruchtał kolejny pies, tym razem był to Tinder, który wcisnął pysk w szparę między brodą i piersią Edgara, sapnął i cofnął się, przekrzywiając łeb z cichym zaskoczonym mruknięciem.

Żdźbła słomy zaczęły drapać Edgara po karku. Koszula lepiła mu się do żeber, lodowata i wilgotna. Jego ciałem wstrząsnął spazm, po nim kolejny, i Edgar głęboko odetchnął, odruchowo wciągając w płuca powietrze przesiąknięte zapachami psiarni — potu i moczu, słomy i terpentyny, krwi i defekacji, narodzin, życia i śmierci — a wszystko to obce i gorzkie, jakby cała historia tego miejsca nagle rozwinęła się

261

w jego piersiach. Awraz z tym wszystkim, skrywane do ostatnich chwil,

wspomnienie wydarzeń ostatniej nocy.

W końcu Essay i Tinder zaczęły razem go zaczepiać. Miał tylko na tyle sił, żeby ze skrzyżowanymi nogami usiąść wsparty o drewnianą ścianę i z twarzą ukrytą w rękach, pośród dudniącego o dach stodoły deszczu, wsłuchiwać się w szuranie psów po słomie i próbować je w ten sposób policzyć. Kiedy ponownie uniósł głowę, Essay i Tinder śliniły się przed nim i pocierały szyjami o jego dłonie, kołysząc się na boki.

W końcu udało mu się wyprostować i wstać. Wilgotne ubranie z cichym sykiem odklejało się od jego skóry. Wymknął się z kojca, podszedł do dzielonych w połowie wrót i oparłszy jedną dłoń na zasuwce, słuchał wody spływającej kaskadą z okapu.

Odetchnął głęboko i szeroko otworzył wrota. Na szafirowym niebie unosiła się samotna mała chmurka zabarwiona przez wschodzące słońce na pomarańczowy kolor. Świeże liście na klonie dygotały; na tle nieba wróble fikały koziołki nad wilgotnym polem jak rzucone w górę trójkątne szklarskie podkładki, a gnieźdzące się pod okapem jaskółki nurkowały w powietrzu poranka. Dom odcinał się bielą na tle zielonego lasu. Impala jarzyła się neonowym błękitem. Natomiast nigdzie nie było widać potoków deszczu, nawet nie mżyło. Dźwięk padającego deszczu jeszcze przez chwilę nie odstępował Edgara, aż w końcu zaniknął.

Edgar zdążył już minąć magazyn na mleko, kiedy przypomniał sobie o strzykawce, odwrócił się więc i znalazł ją zmiażdżoną pośrodku kałuży w trawie, ze złamaną igłą oraz pękniętym i zalany wodą zbiorniczką. Ostrożnie pozbierał kawałki w dłoń, zaniósł do starego silosu i wrzucił je przez pordzewiałe żelazne pręty, słuchając, jak uderzają w daleką, zakrzywioną cementowo-kamienną powierzchnię z cienką jak papier obręczą. Następnie pomaszerował podjazdem, przyspieszając kroku przy domu, sady, skrzynce na listy. Dotarłszy do drogi,

zaczął po niej iść, ale zaraz zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku, rzucił się do biegu, aby już po chwili zwolnić i iść dalej, nerwowo powstrzymując się, żeby nie pobiec. Ponownie zawrócił. Po jakimś czasie zorientował się, że znowu znalazł się na podjeździe, i zaczął krążyć wokół domu tym samym niepewnym krokiem. Pięć razy dookoła, dziesięć, dwadzieścia, zaglądając w mrok za oknami. Najniższe gałęzie starej jabłoni zaczepiały go, gdy ją mijał, a on za każdym razem je odrzucał, aż w końcu, chwycony po raz enty, zatrzymał się, odwrócił i ciężko dysząc, spojrzał na nią.

Drzewo było stare, już kiedy przyszedł na świat, było stare, może nawet starsze od samego domu. Na wysokości oczu pień rozdzielał się na trzy grube prawie poziome konary, z których najdłuższy sięgał łukiem w stronę domu, kończąc się nieoczekiwanie gęstwiną woskowatych liści. Gałąź weszłaby przez okno do kuchni, gdyby nie została w połowie przycięta. Edgar dygotał z zimna, palce miał zgrabiałe, udało mu się jednak wdrapać na rozwidlenie drzewa, skąd zaczął się przesuwać po konarze. Po wielodniowych opadach kora drzewa zrobiła się oślizła. W połowie długości gałąź zaczęła się trząść i chybotać pod jego ciężarem. Przy każdym ruchu spadał na niego prysznic zebranej wśród świeżych liści deszczówki. Powoli posuwał się do przodu. Dotarłszy do uciętego końca, chwycił się dwóch rozchodzących się jak poroże gałązek, żeby złapać równowagę, i oparł się klatką piersiową o konar, leżąc wśród gałęzi wyciągnięty jak pływak.

Przed sobą miał zamknięte okno nad zlewem z rozsuniętymi na boki zasłonkami z kraciastej bawełny. Nikłe światło wczesnego poranka było za słabe, żeby oświetlić wnętrze, i w pierwszej chwili widział jedynie migoczącą pomarańczową lampkę zasilania u dołu zamrażarki. Gałąź drżała pod jego oddechem jak zbyt mocno naciągnięta struna

instrumentu; była nie szersza od jego dłoni, szorstka kora zaczęła się boleśnie wbijać mu w piersi. Sam nie wiedział, dlaczego znalazł się na drzewie i czego tak wypatruje, ale leżał i czekał. Z czasem boczna ściana stodoły zaczęła się jarzyć czerwienią. Jeden z psów wysunął się na wybieg, rozejrzał i z powrotem schował w psiarni. Poranne powietrze było jaskrawe i przesycone wilgocią. Gdzieś od pól dobiegło ćwierkanie sieweczki krzykliwej: kii-dii, kii-dii.

Do kuchni wsunęła się Almondine, cicho stawiając stare łapy. Zatrzymała się przy kuchence, obeszła stół dookoła i zniknęła. Po chwili pojawiła się matka Edgara w szlafroku z zawiązanym w talii paskiem. Stojąc tyłem do okna, włączyła ekspres. W oczekiwaniu na kawę podniosła związane włosy i wypuściła je na zewnątrz szlafroka. Napełniła kubek. Lubiała czarną kawę z odrobiną cukru — tej zimy wielokrotnie właśnie taką jej parzył. Patrzył, jak matka wyjmuje mokrą łyżeczkę z kubka i dwukrotnie wkłada ją do cukiernicy, a potem pije kawę ma-

262

263

łymi łyżkami. Okna w narożniku kuchni wychodziły na dwie strony. Stała do niego profilem i patrzyła na zachód, na kłębiące się nad polami opary. W końcu pojawił się Claude, ubrany, jakby dopiero co przyjechał. Podeszedł do niej od tyłu i oparł dłoń na jej ramieniu. Przygładził kołnierz jej szlafroka, podeszedł do zlewu i wypłukał kubek. Nie wyjrzał przez okno, tylko odwrócił się, nalał sobie kawę i usiadł na krześle najbliżej zlewu.

Przez szybę docierał tylko szmer ich rozmowy, tak że Edgar nie mógł rozróżnić słów. Po kilku minutach matka postawiła kubek na stole i udała się do łazienki. Claude siedział i obserwował przesuwaną się po polu siatkę geograficzną promieni słonecznych. Smugi mgły wirowały

i wyparowywały w budzącym się upale poranka. Oświetlone słońcem stado wróbli przepychało się przy karmniku na rogu budynku, tak blisko, że Edgar z łatwością mógłby jednego z nich chwycić.

Wciąż leżał na drzewie i obserwował. Claude był szczuplejszy od brata, ale chociaż młodszy od niego i nie tak zgarbiony od ślęczenia nad książkami, włosy miał przyprószone siwizną. Usiadł na krześle ojca Edgara, zacisnął usta i podniósł kubek z kawą do ust.

Edgar bał się, że zobaczy, jak oni się całują.

Almondine podeszła do Claude'a i podniosła łeb, a on przesunął otwartą dłoń po czubku jej łba. Matka Edgara wyszła z łazienki z ręcznikiem zawiniętym na głowie w turban. Zapalona w sypialni żarówka oświetlała kuchenny stół. Claude podniósł się, podszedł do zlewu, wypłukał kubek i w końcu wyjrzał za okno.

W pierwszej chwili może nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co widzi. Jego wzrok przemknął bez celu po drzewie i powędrował dalej. Edgar nie miał czasu zastanawiać się, czy świeże listowie stanowi dla niego dostateczny kamuflaż, ale wydawało się to raczej mało prawdopodobne, a poza tym nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Claude przetarł zmywakiem wnętrze kubka, sięgnął po ścierkę i zaczął go wycierać. Jednak gdzieś w głębi duszy coś musiało go zaniepokoić, jakieś dręczące uczucie, powidok, bo kiedy ponownie uniósł głowę, popatrzył wprost na Edgara, zadrżał i cofnął się od zlewu.

Krok w tył — niewielki ruch, zupełnie naturalny, jeśli w ogóle za naturalną można uznać jakąkolwiek reakcję, kiedy zdajesz sobie nagle sprawę, że ktoś wspinał się na drzewo za oknem i jak pantera obserwuje cię od nie wiadomo jak długiego czasu. Być może odkąd się obudziłeś. Pochylasz się do przodu. Z mokrych włosów chłopca spływa woda, jakby całą noc spędził tam na deszczu. Patrzy z zuchwałym wyrazem twarzy, jak-

by dzieląca was szyba mogła ochronić go przed czymś, ochronić przed wszystkim, a jeśli w ogóle mruga, ty tego nie widzisz. Długo się w niego wpatrujesz, chcąc mieć pewność, że to nie przywidzenie, i uświadamiasz sobie że chłopiec był tu przez cały czas — z pewnością usłyszałybyś szelest, nawet gdybyś przysypiał i nie zwracał specjalnej uwagi. A ptaki nie tłukłyby się niefrasobliwie w tak blisko położonym karmniku.

Przez chwilę zastanawiasz się, czy to nie dowcip. Odchylasz się do tyłu i próbujesz cicho się roześmiać, jakbyś w tym uczestniczył. Odwracasz się, stawiasz kubek po kawie na stole, po czym ponownie wyglądasz przez okno i na pozór spokojnie patrzysz na wgapionego w ciebie chłopca, zaciskającego ręce na gałęzi, na której balansuje. Jego matka podchodzi do ciebie z tyłu, odwracasz się do niej, całujesz ją. Całujesz bez żadnego skrępowania. Jej dłoń spoczywa na twoim ramieniu. Stoisz tyłem do okna, nie mówiąc, co przed chwilą widziałeś, kiedy ona zdejmuje kurtkę z wieszaka. Jeszcze coś do ciebie mówi i po chwili wraz z Almondine są już za drzwiami, zmierzając do stodoły.

Odwracasz się z powrotem do okna. Spodziewałeś się, że chłopiec obejrzy się za matką i psem idącymi przez podwórze, ale tego nie zrobił. Obojętną twarz wypełniają tylko oczy. Przez cały czas patrzy, zupełnie nie reagując. A cichy głos gdzieś w twojej głowie mówi, że to chłopiec, który całe dni spędza na obserwowaniu. Nie przetrzymasz jego wzroku.

Zaczynasz też zdawać sobie sprawę (kiedy on wciąż wpatruje się ze swojego mokrego punktu obserwacyjnego), że jeśli to rywalizacja o to, kto w końcu zmusi drugiego do odwrócenia wzroku, ty już przegrałeś, bo wiesz, że w momencie gdy zdałeś sobie sprawę z tego, co widzisz za oknem — gdy twoje oczy powiedziały ci, że tak jest, a twój umysł stwierdził, że to niemożliwe — w tym momencie, patrząc na to z punktu widzenia chłopca, wyglądałeś na przestraszonego. Cofnąłeś się wówczas od okna, od zniekształco-

nego obrazu jego ciała, znalazłszy się nagle w obliczu tej twarzy, tych oczu, zmierzwionych włosów opadających mu na czoło i ociekających wodą.

Cofnąłeś się i z szeroko otwartymi oczami podniosłeś wzrok. Teraz ponownie spoglądasz w górę, próbujesz się zdobyć na bezczel-

264

265

ny uśmiech, lecz przychodzi ci to z trudem. Wymuszony uśmiech już po chwili przygasa, jakby coś nagle poraziło mięśnie w twojej twarzy, a wszystko widzi ten chłopiec, który ani razu nie odwrócił wzroku i nie zdradził żadnych uczuć. Ale ty nie przejmujesz się tym, że nie udało ci się zdobyć na uśmiech. Ciebie martwi to, że chłopiec sprawia wrażenie, jakby czytał ci w myślach, jakby mógł je usłyszeć, w związku z czym zaczynasz się zastanawiać, co jeszcze mógł widzieć, co jeszcze może wiedzieć czy odgadnąć. I gdy tak nie odrywasz od siebie wzroku, gdy w końcu zmuszasz się do radosnego uśmiechu, żałując, że nie potrafiłeś wcześniej go przywołać, pojawia się coś, co ostatecznie wyprowadza cię z równowagi, zmuszając do odejścia, w tej chwili bowiem chłopiec, bez jednego ruchu mięśnia czy mrugnięcia okiem, zaczyna się uśmiechać w odpowiedzi.

Dym

Światło poranka zalało już podwórze, a trawnik zmienił się w sierść ozdobioną paciorkami wody. Edgar nieporadnie wycofał się po gałęzi jabłoni, zeskoczył na ziemię i pobiegł wokół schodków prowadzących na ganek. Matka zostawiła wrota do stodoły otwarte, haczykami mocując ich skrzydła do powkręcanych w czerwone deskowanie kółeczek. Już w drzwiach usłyszał jej głos. Była w jednym z kojców małych szczeniaków, zajęta uspokajaniem sukki i równocześnie badaniem jej szczeniaka. Edgar wszedł do warsztatu, w którym rozsypany złom tworzył na ziemi

pas w kolorze ochry. Z gwoździa nad stołem zdjął młotek ciesielski, ten, którego Claude używał ubiegłego lata przy naprawie dachu, ten pokryty cętkowaną patyną rdzy, bo sam nieraz gubił go w wysokiej trawie. Ważył ciężkie narzędzie w dłoni i już zamierzał wrócić z nim do domu, ale gdy się odwrócił, w drzwiach zobaczył Almondine. Stała ze wzrokiem utkwionym w Edgara, a powolne ruchy jej ogona przypominały niespieszny trzepot skrzydeł. Na jej widok Edgar zatrzymał się. Mocniej zacisnął dłoń na trzonku młotka, podszedł do niej, nachylił się i położył wolną rękę na jej piersi, chcąc cofnąć Almondine, lecz ona zamiast poddać się, wyciągnęła pysk do góry i przycisnęła nos do jego ucha, a potem szyi.

Nie ruszał się z miejsca. Z piersi wyrwało mu się drżące westchnienie. Spojrzał na patrzącą na niego Almondine, na jej tęczówki z czerwono-brunatnymi i czarnymi żyłkami, na otaczające pysk zwoje delikatnego brązowego futra, rombowa plamkę w kolorze kości słoniowej biegnącą po czole, między oczami i wzdłuż górnej części mordy. Wcisnął pazur młotka do kieszeni i tym razem oparł się o nią obiema rękami. Kiedy wypychał ją za drzwi, dotyk miękkiej sierści jakby coś w nim ostudził - Edgar opadł na kolana, a ona obwąchiwała jego mokre ubranie.

Z kojca małych szczeniaków wyłoniła się matka. Prowadziła młodego psa, który cały czas kręcił się w miejscu i gryzł smycz.

— Tu jesteś... — odezwała się i urwała, żeby przywołać szczeniaka do porządku. Gdy już to zrobiła, również ona uklękła i wbiła wzrok w Edgara. — Dobry Boże — powiedziała. — Jesteś zupełnie przemoczo-ny. Byłeś już w lesie?

Nie. Ja nie... Nie.

Wciąż jeszcze zastanawiał się, co ma powiedzieć, kiedy usłyszał, że drzwi na ganku otwierają się i zamykają z trzaskiem. Szczeniakowi

nie trzeba było więcej, natychmiast podskoczył i zaczął szarpać smyczą w pysku, jakby walczył z wężem. Trudi zręcznie usadziła psiaka i oplótlszy kciukiem i palcem wskazującym jego mordkę, pohamowała odruch kąsania.

— Te maluchy dostają wariacji — rzekła. — Dzięki Bogu, deszcz już przestał padać. Idź się przebrać, szybko. Zaraz będę potrzebowała twojej pomocy. — Przez cały czas uwagę miała skupioną na szczeniaku, czekając, kiedy ponownie okaże nieposłuszeństwo.

Edgar nie potrafił stwierdzić, czy matka celowo unika jego wzroku, więc tylko czekał. Dopiero gdy popatrzyła w jego stronę, zauważył, że niczego nie próbuje unikać.

— Co się dzieje? — zapytała.

Mógłby jej w tym momencie powiedzieć o tym, co zobaczył ubiegłej nocy, ale miał dziwne wrażenie, że matka klęczy w miejscu, które on widzi, do którego jednak jego słowa nie mają dostępu. Doszedł do wniosku, że jeśli zaczeka, ona w końcu sama zauważy tę różnicę w nim. A może i w samym świecie. Na zewnątrz rozległ się łomot zamykanych drzwi impali. Rozrusznik zakręcił się i silnik zaczął nierówno pracować na jałowym biegu. Klęcząc na ziemi, Edgar patrzył w stronę drzwi. Pazur młotka wbijał mu się w biodro. Wiedział, że jeszcze zdąży podejść do impali, szarpnąć za drzwi, otworzyć je szeroko i zacząć uderzać stalową główką młotka na lewo i prawo, lecz nagle odniósł wrażenie, jakby znalazł się w zupełnie innym miejscu, jakby jakiś drugi Edgar oddzielił się i wybrał inną przyszłość. Po chwili samochód toczył się już po podjeździe. Wjechał na drogę, zawarczał i wspiał się na wzgórze.

268

Edgar podniósł wzrok. Matka wciąż na niego patrzyła, ale nic jej nie odpowiedział. Wrócił do warsztatu, żeby odłożyć młotek, i udał się

do domu. Przebrał się, zszedł do salonu i spojrzał na leżący na kanapie pomięty koc i poduszkę. Kiedy ubiegłej nocy przechodził przez dom, Claude'a nie było na kanapie, a to niepotrzebne stwarzanie pozorów spowodowało tylko, że poczuł ogromną pustkę. Usiadł, dłoń trzymając na kryzie Almondine, i wpatrywał się w kanapę. W końcu się podniósł i wyszedł z domu.

Zdawać by się mogło, że to co teraz się wydarzyło, nie miało prawa się wydarzyć, a jednak tak się stało: minął zupełnie normalny poranek. Ale właśnie na normalność Edgar był najmniej przygotowany. Gdy tylko wszedł za drzwi, matka poprosiła go, żeby się zajął wyprowadzaniem psów z psiarni, po dwa bądź po trzy, zaczynając od najmłodszych. Zanim słońce znalazło się w połowie drogi do zenitu, normalność dnia wdzieriała się już ze wszystkich stron, a konkretny, namacalny i niezaprzeczalny świat uparcie twierdził, że ubiegłej nocy nie było. Wypełniające Edgara wspomnienia, tak żywe o wschodzie słońca, zaczęły się zacierać, aż pozostała z nich tylko cieniutka mgiełka w jego umyśle. Ten ranek nie różniłby się od każdego innego ciepłego letniego ranka, gdyby nie to, że gdy tylko Edgar zamykał oczy, w ciemnościach wisiała przed nim połyskująca kropla deszczu, a w niej uchwycone i odwrócone światło na podwórzu. Wraz ze zbliżaniem się południa miał wrażenie, że zaraz się załamie. W myślach czuł jeden wielki zamęt, ale było coś jeszcze, coś bardziej skomplikowanego. Kiedy matka poszła na obiad, powiedział, że nie jest głodny, odprowadził dwa ostatnie psy do stodoły, zamknął je w kojcu, po czym oparł głowę o drzwi i słuchał, jak chłopcą wodę. Poszukał rękawic roboczych, pozbiierał śmieci w warsztacie i wrzucił je do bańki po mleku, którą następnie zaciągnął na miejsce.

Gdy już z tym się uporał, wspiał się po schodkach na strych. Al-

mondine czekała tam na niego, stojąc w półmroku południa sączącego się przez dziury po gwoździach i szpary w dachu. Opadł na parę słomianych beli i podciągnął kolana do piersi. Zanim jeszcze wyciągnął do Almondine rękę, ogarnął go sen. Stojąc przy jego zwiniętym w kłębek ciele, przyłożyła nos do rozciętego w nocy palca. Po chwili zakręciła się w miejscu i położyła, nie spuszczając go z oka.

269

We śnie Edgar siedział u szczytu schodków prowadzących na strych i obserwował warsztat. Zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe — szorstka drewniana ściana przy schodkach powinna zasłaniać mu widok — ale w tym jego klarownym śnie ściana była przezroczysta jak szkło. Poniżej przy stole warsztatowym, zwrócony do niego plecami, stał ojciec. Edgar widział czarne zmierzwione włosy na czubku jego głowy i zauszniki okularów. Na stole leżały narzędzia rymarskie, obok puszka z pierścieniami wzmacniającymi, a ojciec trzymał w ręce smycz wystrzępioną w okolicach klamry. Edgar spojrzał na szafy z dokumentami i również tam zobaczył ojca - przesuwając palcami po leżących w otwartej szufladzie wypchanych szarych teczkach, podnosił którąś i szeroko otwierał. I jeden, i drugi pracowali w ciszy, każdy zaabsorbowany i nie zwracający uwagi na drugiego.

Spod stropowych belek zaczęła spływać smuga białego dymu. Nie widać było żadnych płomieni ani ognia, który należałoby ugasić. Edgar zszedł po schodach i stanął pośrodku warsztatu. Dym zgęstniał w szarą mgłę. Wciągnął w płuca nieco dymu i zakaształ, lecz ojciec, obaj ojcowie dalej pracowali, niczego nieświadomi. W jakiś trudny do pojęcia sposób Edgar zrobił się niesamowicie wysoki, głową niemal sięgał stropowych belek. Wiedział, że dysponuje mocą pozwalającą mu zachować normalny rozmiar, ale wówczas postaci ojca zniknęłyby i zostałby sam

w warsztacie.

Przesuwając dłońmi wzdłuż sufitu, wymacał zarys klapy do siana. Kiedy spróbował nacisnąć ją w górę, poczuł, że nie pozwala na to jakiś potężny ciężar — Edgar śpiący na belach. Oparł obie dłonie z jednej strony klapy i ponownie nacisnął, naprężając się z całych sił. W suficie pojawiła się szpara. Wstęgi dymu wystrzeliły do góry, wsysane przez otwartą tam przestrzeń, ale ciężar klapy przerastał jego siły, tak że musiał na powrót ją opuścić. W tym momencie w stodole pojawiła się kolejna smuga dymu, gęstego i czarnego, o smaku rozgrzanego do czerwoności metalu.

Nie minęła chwila i już sufit był poza zasięgiem Edgara, a on znajdował się w warsztacie. Zapadła noc. Światło z lampy wiszącej na wysięgniku nad frontowymi drzwiami wpadało przez małe okienko warsztatu i rzucało żółty wykrzywiony prostokąt na ścianę. Pojawiła się Almondine, prowadząc ze sobą Claude'a. Na twarzy Claude'a igrał wyraz niezdecydowania, lecz Almondine trąciła Claude'a nosem, popychając go do przodu. Claude minął Edgara i wziął do ręki wystrzępioną smycz. Jego dłonie zajęły się skórzanym paskiem i wkrótce smycz była naprawiona. Claude skinął głową, pogłaskał Almondine po grzbiecie. Również Edgar podszedł do Almondine i zaczął przesuwac dłoń wzdłuż jej boków.

Tego wieczoru stali obok siebie, przygotowując kolację. Edgar smażył pokrojone ziemniaki, a matka odwracała na patelni dwa kotlety schabowe, od czasu do czasu wyciągając rękę i dorzucając nieco smalcu do jego ziemniaków, jak stare małżeństwo rozmyślające o mijającym dniu przy strzelającym tłuszczu. Przygotowała sztucce, talerze, chleb i masło, przekroiła grejpfrut i posypawszy go cukrem, położyła w miseczkach połówki wierzchem do góry.

Zasiedli do jedzenia. Wciskał łyżeczkę pod skórę między cząstka-

mi grejpfruta i wyglądał za okno na poblekitniały świat. Błękitne niebo, błękitna ziemia, błękitne drzewa z błękitnymi liśćmi, jakby widziane przez przestwór ciągnącej się milami czystej wody.

— O czym myślisz? — w końcu zapytała.

Rozpaczliwie pragnął porozmawiać o nocnych wydarzeniach, ale nagle powróciły do niego dawne myśli towarzyszące mu w tamtych pierwszych tygodniach po pogrzebie, kiedy śnił o ojcu: jeśli tylko się odezwiesz, wszystko zapomnisz, zanim padną pierwsze słowa. Nie będziesz pamiętał dostatecznie długo, żeby to dokończyć. Przypominał też sobie, jak ojciec mówił: „Nie uwierzą ci”.

Czy wierzysz w niebo i piekło? zapytał na migi.

— Nie wiem. Na pewno nie w rozumieniu chrześcijan, jeśli to masz na myśli. Uważam, że ludzie mają prawo sami wybierać, w co chcą wierzyć. A ja po prostu nie wierzę.

Nie myślałem o Biblii. Chciałem zapytać, czy sądzisz, że z człowiekiem po śmierci coś się dzieje?

Wyjęła łyżeczką cząstkę grejpfruta.

— Chyba nie zastanawiam się nad tym dostatecznie dużo. Trudno uwierzyć, że to ma znaczenie, skoro tak czy owak jest jakaś praca do wykonania. Wielu ludzi jednak jest zdania, że to ważne pytanie, a jeśli tak uważają, to pewnie dla nich jest ważne. Ale sami muszą znaleźć odpowiedź.

270

271

A gdyby ktoś tu przyszedł i dał ci na to dowód, czy zachowywałabyś się inaczej?

Pokręciła głową.

— Chyba jest to równie prawdopodobne jak to, że ktoś powiedziałby

o tym tu miejscu, że jest jednocześnie niebem, piekłem i ziemią. Poza tym i tak nie wiedzielibyśmy, co można robić inaczej. Wszyscy jakoś brną przez to życie, starając się nie popełniać zbyt wielu błędów.

Podoba mi się to. Tu jest niebo, piekło i ziemia.

Kędy już posprząтали ze stołu i pomyli naczynia, poszli do stodoły i sprawdziwszy harmonogram domowej rotacji psów, wyciągnęli z kojców dwa roczniaki, żeby zabrać je do domu. Psy zaczęły szaleć po całej stodole. Kiedy znalazły się przy Almondine, nagle zatrzymały się i ustawiły przed nią.

— Chyba pamiętasz, że powinienes nazwać ten miot — odezwała się matka. — Psy mają już dwa tygodnie.

Mówiła tonem łagodnym, ale Edgar nagle poczuł pulsowanie w głowie, w której kręciło mu się od skłębionych uczuć złości, zakłopotania i niepewności — a przede wszystkim od przemożnego wysiłku, do jakiego zmuszał się, udając, że nic się nie zmieniło.

A co to za różnica? Możesz je ponazywać, jak chcesz. Możesz ich w ogóle nie nazywać.

Spojrzała na niego.

— Cały dzień snujesz się z miejsca na miejsce. Źle się czujesz?

Może tak, odparł na migi. Może mam już dość zapachu perfum.

— Przestań tak się zachowywać — odrzekła. Zarumieniła się. —

Martwisz się czymś?

Tresujemy je i tresujemy, a potem pewnego dnia po prostu przekazujemy obcym ludziom i wszystko zaczyna się od początku. To nigdy nie ma końca. I nie ma sensu. Nasze możliwości wyboru są równie ograniczone jak tych psów.

— Och, rozumiem. A znalazłeś jakieś inne wyjście?

Nie wiem. Może coś, co nie wiązałoby się z codziennym zamiata-

niem kojców psów. Coś, co nie będzie oznaczać, że cały dzień musimy spędzać w stodole. Coś, co moglibyśmy robić tylko we dwoje.

Nie zdawał sobie sprawy, że zamierza powiedzieć to ostatnie zdanie, i poczuł, że się czerwieni.

272

Przez długą chwilę przyglądała się jego twarzy, jednocześnie przeciągając dłońmi po swoich włosach, które przesypywały się przez jej palce jak pasma ciemnego szkła.

— Wiem, że nie będzie ci łatwo zrozumieć to, Edgarze. Postanowiłam nie poruszać z tobą tego tematu i teraz widzę, że popełniłam błąd. Przepraszam.

Przepraszasz? Można wiedzieć za co?

Teraz to ona się zarumieniła. Wyprostowała się na krześle, wyglądając w tej pozycji jak lwica prężąca grzbiet.

— Wiem, że widziałeś bójkę twojego ojca z Claude'em, ale nie wiedziałeś, że to są ich odwieczne bójki. Bójki, które ciągnęły się przez całe ich życie. Ja tego nie rozumiem i prawdopodobnie nikt tego nigdy nie rozumiał, ani Claude, ani nawet twój ojciec, gdyby jeszcze z nami był. Ale jedno wiem: jeśli nawet dwaj ludzie są bardzo porządni, możliwe jest, że obaj mogą nie mieć racji, kiedy się spotykają. Daj Claude'owi szansę. Ja tak zrobiłam i odkryłam zupełnie innego człowieka, niż się spodziewałam.

Zamknął oczy.

Innego człowieka.

-Tak.

Po czterech miesiącach.

— Edgarze, czy ty naprawdę sądzisz, że czas, przez który się rozpacza, stanowi miarę tego, jak bardzo się kogoś kochało? Nie ma zasad,

które regulowałyby te sprawy. — Roześmiała się gorzko. — Czyż to nie byłoby wspaniałe? Nie trzeba by podejmować żadnych decyzji. Wszystko byłoby tak jasne!... Ale tak nie jest. Chcesz poznać fakty, prawda? Zasady. Dowody. W tym właśnie przypominasz swojego ojca. Jeśli czegoś nie da się przyporządkować, zapisać w rejestrze i podsumować, to wcale nie znaczy, że coś takiego nie istnieje. Przez większość czasu tylko kochamy się w naszym wyobrażeniu jakiejś rzeczy, a nie w jej rzeczywistym kształcie. Ale czasami okazuje się, że jest inaczej. Musisz zwracać uwagę na to, co jest rzeczywiste, na to, co istnieje na świecie. Nie na jakieś wyimaginowane możliwości, jakby to od nas zależało, co wybierzemy.

Ale on nie odszedł.

Czuł dudnienie serca, kiedy pokazywał to na migi.

273

— Wiem. Pochowaliśmy go, mimo to on jest tutaj, prawda? W psiar-
ni, w domu, wszędzie. I dopóki na zawsze nie opuścimy tego miejsca,
każdego dnia będziemy z tym żyli. Rozumiesz mnie?

Nie, odparł na migi. A po chwili: Tak.

— Tylko czy gdybyśmy powiedzieli, że on żyje, to znaczyłoby to
samo? Czy możemy traktować to uczucie tak samo, jakby naprawdę
tu był?

Nie potrafił na to odpowiedzieć. A jeśli rzeczywiście uważa, że czas
trwania rozpaczy stanowi miarę tego, jak bardzo się kogoś kochało? Był
równie zakłopotany tym prostym faktem, że go o to zapytała, jak i tym,
że nie potrafił odpowiedzieć. Martwiło go coś jeszcze, coś, co się wyda-
rzyło podczas porannej tresury. Jeden ze szczeniaków był w przekornym
nastroju, który czasami je nachodził, kiedy ważniejsze dla nich stawało
się doprowadzanie do konfliktu niż pochwały. Szczeniak prowokował

Trudi, drwił z niej i zaczepiał ją na wszelkie możliwe sposoby, umyślnie błędnie odczytując jej polecenia, zaczepiając rodzeństwo — robiąc dosłownie wszystko, żeby wyprowadzić ją z równowagi. Ale nic to nie dało. Starannie dostosowany ton jej głosu i równie dostosowana postawa wyrażały jedynie lekceważącą obojętność. Dopiero kiedy Edgar wprowadził szczeniaka do kojca, powiedziała: „Jak jeszcze raz będzie tak się wygłupiał, skręcę mu kark”, a on uzmysłowił sobie, że podczas ćwiczeń rzeczywiście była rozzłoszczona. W zasadzie wściekła. Tylko czyż nie w tym właśnie celowała - w maskowaniu uczuć, które mogłyby przeszkadzać w tresurze? Skoro potrafiła zmylić go, kiedy chodziło o szczeniaka, to cóż mogła skrywać, kiedy rozmawiali o Claudzie?

A potem powiedziała, że za dzień lub dwa Claude przyjedzie ze swoimi rzeczami i zostanie w domu. Edgar zapytał matkę, czy kocha Claude'a, na co odparła, że nie tak jak jego ojca. Spytał jeszcze, czy zamierzają się pobrać. Kochanie, powiedziała, jeśli chodzi o mnie, to nadal jestem mężatką. Dodała też, że nie spodziewa się, żeby ludzie to zrozumieli, a zwłaszcza Edgar, bo sama zdaje sobie sprawę, że jedno z drugim może nie pasować, i nie potrafi inaczej tego wytłumaczyć, jak tylko mówiąc, że dla niej to nie jest pozbawione sensu. Wiedział, że matka jest osobą bezpośrednią i nie ma cierpliwości do udzielania wyjaśnień. Claude wracał na jakiś czas i chociaż tego nie powiedziała, należało się domyślać, że ten czas może być długi. Może na zawsze.

274

Chyba zaskoczył ją, wzruszając tylko ramionami. Zauważył, że w tej sprawie on nie ma nic do powiedzenia, i nie zamierzał z tym walczyć. Gdy jego matka zachowywała się w taki władczy sposób, dyskusowanie z nią stawało się bezcelowe. Choć można było do woli nie zgadzać się z jej słowami, jej stanowisko pozostawało niezłomne. Powiedział że

zostanie w psiarni, a ona wyprowadziła dwa psy na dwór. W drzwiach jeszcze na niego spojrzała, jakby miała coś dodać, ale po chwili chyba zmieniła zdanie i odwróciwszy się, poszła do domu.

Po jej wyjściu zaczepił na haczyk górną część drzwi psiarni, wpuszczając do wnętrza nocne powiewy wiatru, a potem otworzył kojce, żeby jego miot mógł pobiegać po stodole. Edgar przykląkł przy Almondine, wsunął dłonie w jej kryzę i po raz pierwszy tego dnia poczuł odrobinę spokoju.

Szkoda, że nie byłeś ze mną ubiegłej nocy. Przynajmniej miałbym pewność, że to się zdarzyło naprawdę.

Wspomnienia były na tyle żywe, że aż wnętrzności się w nim przewracały, ale były w nich też luki. Obudził się w stodole, w kojcu z Essay i Tinderem. Nie pamiętał, jak wszedł do środka i w ogóle niczego co wydarzyło się po tym, jak stał na deszczu. A rano połamana strzykawka leżała w trawie, jakby na nią nadepnął, choć tego też nie pamiętał.

Próbował uporządkować uczucia. Czuł pragnienie, żeby uciec, pragnienie, żeby pozostać i stawić czoło Claudeowi zaraz po jego powrocie, pragnienie, żeby przyjąć wyjaśnienia matki na wiarę, ale przede wszystkim pragnął zapomnieć o wszystkim, co się dotychczas wydarzyło, ogromnie pragnął powrotu wszystkiego normalnego i znanego, codziennych zajęć w psiarni, czytania wieczorami i przygotowywania kolacji, tylko we dwójkę, kiedy niemal mógł wierzyć, że ojciec wyszedł tylko na chwilę, by zajrzeć do nowego miotu, i zaraz wróci.

Podświadomie spodziewał się, że duch ojca nawiedzi go w stodole lecz nie pojawił się, tyć może dlatego, że nocne niebo było bezchmurne. Gdyby padał deszcz, Edgar nie odważyłby się zostać poza domem. Patrzył na Essay, która oparła przednie łapy na dolnej części drzwi i próbowała wyjrzeć nad nimi na podwórze. Kiedy jej się to znudziło, zaczęła para-

dować przed innymi psami, wymachując na lewo i prawo trzymanym w pysku kawałkiem sznurka i wykonując komiczne podskoki.

275

Przestań je drażnić, pokazał na migi. Chodź tu.

Polecił im stanąć nieruchomo i wyciągnął przybory do szczotkowania oraz cążki do pazurów. Psy okryły się już wiosenną sierścią, toteż zgrzeblem do podszerstka starał się usunąć resztki szarego puchu spod ochronnego włosia. Leżały kołem wokół niego, ziejąc i patrząc. Najpierw wyszczotkował Almondine, potem jednocześnie Opal i Umbre, po nich Fincha i Baboo. Tindera i Essay zachował na koniec, bo potrzebowały lekcji cierpliwości. Essay nie lubiła szczotkowania, czego Edgar nie potrafił zrozumieć. Mówił do niej i wysłuchiwał jej skarg, ale nie przerywał. Zawsze z czasem przekonywały się do czesania. Był z tego dumny. Jeśli nawet musiał dużo się nauczyć w zakresie tresury, jako stajenny sprawiał się na medal.

Przeciąganie szczotką od zadu do psich wąsów pomagało mu myśleć. Najbardziej nie rozumiał tej dziwnej zmienności w rozumowaniu matki. Raz prosiła go, żeby to on decydował o przyszłości psiarni, a potem sama postanawiała o życiu ich obojga. Nie był w stanie stwierdzić, co jej naprawdę chodzi po głowie. Przypomniało mu się sformułowanie, które kiedyś wyczytał w książce: lgnie do mężczyzny. Głupie, staromodne określenie. W książce brzmiało to jakoś prosto i wyraźnie. Lgnąć do kogoś. Czyn równie naturalny, jak włączać światło czy strzelać z karabinu, czyn niepodzielny.

A jednak było to tak skomplikowane, że nie potrafił tego wyrazić.

Miał wrażenie, że nic nie może zrobić, dopóki nie znajdzie odpowiednich słów, lecz te, które mu się nasuwały, oddawały jedynie to, co on myślał, ciągnąc za sobą prawdziwe myśli jak ogon komety. Już samo to stwier-

dzenie, że jego matka Ignie do mężczyzny: pomyślał o tym przecież kilka dni, a może nawet tygodni temu. Ale dopiero teraz te słowa zagotowały się w nim. Gdy po raz pierwszy przyszły mu do głowy, odrzucił je jako wymyślne i głupie, jak jakąś pozostałość dawnego rozumowania. Teraz myślał zupełnie inaczej i nie wiedział, czy w ogóle ktoś byłby w stanie wyrazić słowami takie myśli. Przerwał szczotkowanie Essay i próbował to wytłumaczyć, a psy przez długą chwilę leżały przed nim, obserwując, jak jego ręce podążają w powietrzu za myślami.

Tak czy owak, powiedział im, po spotkaniu z ojcem to wszystko nie ma już znaczenia. Zeszłej nocy znalazł strzykawkę w warsztacie. To było jego wspomnienie, przynajmniej tego był pewien. Potem ojciec go
276

dotknął i Edgara wypełniły ojcowskie wspomnienia, ale niczym niedokończonym naczyniem nie był w stanie w pełni ich uchwycić, a one zniknęły, prawie wszystkie, z wyjątkiem kilku poszarpanych szczątków. Jedną z takich pozostałości był obraz Claude'a, który przez wrota stodoły wycofywał się na zimny, biały świat.

Ojciec zmarł na tętniaka.

Słabość w pewnym miejscu noszącym nazwę „koło tętnicze Wil-
lisa”.

Tyle że on teraz w to nie wierzył. Tamtego dnia był tu Claude. Mógł zostawić ślady na śniegu. Czy Edgar widział ślady? Tak — własne, matki, ojca. Mogły tam też być ślady z pół tuzina innych ludzi, ale i tak by tego nie rozróżnił, bo przecież niczego takiego nie szukał. Nieustannie wiejący wiatr wydmą bieli zasypywał od zawietrznej wszystkie ślady stóp i opon. Czy ślady Claude'a prowadziłyby na podjazd? Przez pola? Do lasu? Jakoś musiał się tam dostać. Edgar pamiętał, że wówczas biegł w stronę drogi, lecz już po pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu metrach

wszystko rozmyło się w białej ścianie śniegu. Samochód Claude'a mógł być zaparkowany na grzbiecie wzgórza albo dwie mile dalej; w każdym przypadku był równie dobrze ukryty. Po raz pierwszy pomyślał o wyrazie twarzy Claude'a tego ranka, gdy zaglądał przez kuchenne okno. Czy dostrzegł zaskoczenie? A może poczucie winy?

A jeśli to rzeczywiście było poczucie winy, w takim razie co Edgar miał myśleć o tym pocałunku, który zaraz potem nastąpił, tak zdecydowanym i wyzywającym? Po co zadawać sobie trud i drażnić kogoś, kto może znać twoją straszliwą tajemnicę? Chyba że ktoś woli, pomyślał, żeby ta osoba była zaślepiona gniewem. Czyżby Claude tak szybko doszedł do wniosku, że jeśli przez Edgara przemawiać będzie szal zazdrości, wszystko inne, co może powiedzieć, zostanie uznane za niwiarygodne?

Popatrzył na psy porozkładane do snu w różnych pozycjach, wszystkie z wyjątkiem Almondine, która siedziała, wspierając się swoim ciężarem na jego udzie.

Będziemy siedzieć cicho, pokazał na migi. Musimy czekać.

Zaprowadził psy do kojców. Z każdym spędził jeszcze chwilę, kucząc przy nich w słomie, przesuwając dłonią po ich mordkach i wzdłuż krzywizny barków, bo chciał mieć pewność, że są spokojne. Następnie

277

wyłączył światła w przejściu między kojcami i wraz z Almondine wyszedł w ciemności nocy.

Na przyprószonym żwirem trawniku, w miejscu, gdzie w kałuży deszczówki uprzednio leżała zgnieciona strzykawka, jego uwagę przykuł wydłużony prostokąt trawy i chwastów. Przykucnął, żeby się temu przyjrzeć. Miejsce było wielkości jego dłoni. W pierwszej chwili pomyślał, że trawa po prostu zwiędła, ale okazało się, że jest inaczej. Była bujna i gę-

sta, a w bladym świetle księżycy była również bielutka jak kość.

Gra w szubienicę

Tej nocy leżeli oboje z Almondine w łóżku i wspólnie czekali na sen, który nie chciał nadejść. Na dworze wiał nocny wiatr i przez wysokie okna do jego pokoju nieustannymi falami docierał szelest jabłoni i klonu. Almondine leżała z wyciągniętymi przednimi łapami i z odchylonym łbem, wpatrując się podejrzliwie w poruszające się zasłony. Po chwili rozdziawiła pysk w przeciągłym ziewnięciu, a on wyciągnął rękę i położył ją na jej przedniej łapie. Do wiatru nie miała zaufania. Wiatr potrafił wedrzeć się do domu i zatrzaskać drzwi. Przyglądał drobne jak włókna włoski, które łukiem otaczały jej oczy. Rano będzie spała na podłodze, pomyślał. Jeśli noc zaczynała w łóżku, zawsze kończyła ją na podłodze. Jeśli z kolei kładła się spać na podłodze, istniała szansa, że Edgar, budząc się rano, znajdzie ją na łóżku, choć najprawdopodobniej będzie stała przy oknie albo leżała w drzwiach. W tym jej postępowaniu dawało się zauważyć jakieś poczucie dobrego wychowania, choć nigdy nie udało mu się w pełni tego zrozumieć.

Patrzył na Almondine, starając się o niczym nie myśleć, kiedy powrócił do niego obraz ojca pokazującego mu palcami litery. Usiadł na łóżku. Co ojciec mówił w tych ostatnich chwilach? Jakże mógł o tym zapomnieć?

Znajdź H-A-A-coś-I.

Zacisnął powieki, próbując przywołać wydarzenia ubiegłej nocy.

Deszcz przeszedł w mżawkę. Gesty ojca stawały się niewyraźne i zupełnie zanikały. Edgar zadumał się nad obrazem uformowanych przez mgłę dłoni ojca, śledząc kolejne litery, a kiedy ponownie otworzył oczy, pomyślał, że tamtej nocy musiał źle odczytać trzecią literę. Teraz wydawało mu się, że to była litera C, nie A.

Znajdź H-A-C-coś-I.

Okupił jednak tę wiedzę pewnym kosztem. Ujrzał ojca ponownie wyciągającego do niego ręce i przypomniał sobie, jak błagał, żeby go nie dotykał, zamiast wysłuchać, co wówczas pragnął mu przekazać. Sam nie wiedział dlaczego, ale wierzył, że ojciec literował jakiś imię, imię psa. Włączył światło. Na stoliku nocnym znalazł kawałek papieru i ołówek i wypisał po kolei litery, zostawiając puste miejsce na tę nieznaną. Nawet tak niekompletny układ liter wyglądał znajomo. Tyle że Edgar nie miał pojęcia, co może oznaczać.

Almondine podążyła za nim po schodach. Matka wyłączyła światła w salonie oraz kuchni i czytała, leżąc w łóżku. Kuchenny zegar pokazywał dziesiątą.

— Edgarze? — zawołała.

Podszedł do drzwi jej sypialni.

— Przykro mi, że dziś byłam wobec ciebie taka szorstka.

Wzruszył ramionami.

— Chciałbyś jeszcze porozmawiać?

Nie. Nie mogę zasnąć. Pójdę do stodoły poszukać imion dla psów.

— Nie siedź za długo. Już masz podkrążone oczy.

Przytrzymał drzwi dla Almondine, która chyba doszła do wniosku, że lepiej spać na ganku. Udał się do warsztatu, zdjął z szafy rejestr miotów i zaczął go kartkować. Gdyby udało mu się znaleźć pasujące imię, mógłby odszukać numer psa i na tej podstawie jego teczkę.

A potem?

Nie wiedział, co będzie potem.

Niemal godzinę zajęło mu przeglądanie wpisów, początkowo rzucał okiem na kolejne strony, później już sprawdzał wolniej, przy każdym imieniu zastanawiając się nad zdrobnieniem. Nie znalazł nic — żadnej możliwości, nic nawet trochę podobnego. Utworzył listę, wypełniając

wolne miejsce wszystkimi możliwymi literami i skreślając wszystko, co wydawało się bezsensowne: „Hacdi” i „Hacąi” i „Hacwi”. Jak podczas gry w szubienicę, kiedy próbuje się odgadnąć słowo litera po literze, a przeciwnik rysuje głowę, ciało, ręce i nogi człowieka na szubienicy.

Jednak w tym przypadku eliminacja ewentualnych kandydatów okazała się zaskakująco trudna. Przyszło mu na myśl, że może chodzić o zagraniczne imię, a imiona są bardziej specyficzne niż normalne słowa. W końcu musiał po prostu zgadywać. Wykreślił wszystkie możliwości poza sześcioma:

Hacai

Hacci

Hachi

Hacki

Hacli

Hacti

Sprawdził każde z tych słów w The New Webster Encyclopedic Dictionary of the English Language, ale jak się zresztą spodziewał, nie było tam takich haseł. Po raz ostatni przekartkował rejestr miotów, szukając skróconych lub zniekształconych imion, lecz już przesuwając palcem po stronach, wiedział, że nic to nie da.

Raz po raz jego oczy powracały do „Hachi”. Brakującą literą było „H”, tego był pewien — palec wskazujący i środkowy poziomo wystawione z zamkniętej dłoni. Wyobrażał sobie dłonie ojca, półprzejryste i rozmazane przez wiatr. Problem był w tym, że wiało porywiście i Edgar ledwo widział ojcowskie znaki. Zrozpaczony odłożył rejestr miotów na szafki. Mógłby co prawda po kolei przeglądać wszystkie teczki, ale zajęłoby to całe dni, może nawet tygodnie. Oparł głowę o szafę. Kopnął w najniższą szufladę.

W szufladę z listami.

I wtedy zrozumiał. To było Hachi, tyle że stanowiło tylko część imię-

nia. Hachi i coś jeszcze. Hachigo? Hachiru? Widział to imię w jednym z listów przejranych i odrzuconych podczas szukania korespondencji od Brooksa. Rzucił się na kolana i wyszarpnął szufladę. Kiedy już wiedział, czego szuka, nie zajęło mu to dużo czasu. Rozpoznał charakter pisma, zanim jeszcze dostrzegł imię.

Hachiko.

Maj 1935

Chicago

Johnie,

pragnę Cię tylko poinformować, że moi przyjaciele z korpusu dyplomatycznego przekazali mi smutną wiadomość.

Siódmego marca na stacji Shibuya znaleziono martwego Hachiko, dokładnie w tym miejscu, w którym spotkałem go przed

280

281

tak wielu laty. Oczywiście czekał tam na Ueno. Mówiono, że jeśli tylko artretyzm pozwalał mu chodzić, nadal każdego dnia pokonywał tę samą trasę.

Załączam Ci także przesłaną mi przez znajomego fotografię pomnika wzniesionego na jego cześć. Mijał go przez większość ostatniego roku życia. Podejrzewam, że nigdy nie zwrócił na niego uwagi. To jeszcze jeden dowód na to, że nasze psy przewyższają swoich tak zwanych panów.

Sam nie wiem, Johnie, dlaczego, ale mam wrażenie, jakbym stracił starego przyjaciela, chociaż tylko dwa razy go spotkałem. Może to z powodu naszego Ouji. On i mój syn, Charles Junior, stanowią nierozłączną parę i chyba nie przesadzę, mówiąc, że udało im się zadzierzgnąć taką więź, jaka

mnie kiedyś łączyła z Luckym.

Pewną pociechę znajduję w tym, że jakaś cząstka rodo-
wodu Hachiko jest pod moją pieczę — a także pod Twoją.

Mam nadzieję, że ten wielki eksperyment przebiega pomyśl-
nie (wiem, że nie lubisz, kiedy tak to określam, ale czasami nie
mogę się oprzeć, żeby nie podrażnić się z Tobą). W zeszłym
miesiącu, przebywając w mojej dzielnicy Chicago, spotka-
łem rodzinę posiadającą psa Sawtelle'a. Dostrzegłem ich na
ulicy i jak szalony wyskoczyłem z samochodu. Może ich pa-
miętasz? Michaelsonowie. Prawdopodobnie to tylko wytwór
mojej wyobraźni, jednak mógłbym przysiąc, że w tym ich psie
dostrzegłem ślad Ouji. Czy to możliwe, żeby pochodził z jakie-
goś jego miotu?

Jak zawsze oddany

Charles Adwin

Ósmy Okręg Stanu Illinois

Izba Reprezentantów USA

W tym liście nie było nic, co wyglądałoby na istotne. Edgar nie znał
nikogo, kto nazywałby się Charles Adwin. Dlaczego ojciec polecił mu
szukać Hachiko? Kimkolwiek Hachiko był, nie żył, i to od wielu lat.

Edgar usiadł.

Ueno? Ouji?

Powrócił do szafy z dokumentami. Przeszukał jedną szufladę, ale
była jeszcze druga, wypełniona starą korespondencją i innymi różno-
ściami. Zaczął od szukania listu wysłanego z Waszyngtonu albo z Chi-
cago i o mało nie przeoczył tego, czego szukał, ponieważ była to prze-
syłka międzynarodowa. Przyjrzał się jej dopiero, ujrzawszy szczególnie
zamaszyste pismo Charlesa Adwina.

Październik 1928

Tokio

Szanowny Panie Sawtelle,

pomimo pewnych trudności udało mi się skontaktować z rodziną Hachiko i ku swemu zdumieniu odkryłem, że rzeczywiście istnieje inny miot pochodzący od tego samego ojca i matki. Nie mam pojęcia, skąd Pan o tym wiedział czy też jak udało się Panu w tak spektakularny sposób to odgadnąć. Nie będę też udawał, że rozumiem Pański program hodowlany.

Niewiele wiem o psach i jak większość ludzi po prostu je podziwiam jak każdy laik. Ale podziwiam je szczerze i osobiście znałem jednego z najlepszych. Jako dziecko miałem setera, który wabił się Lucky i pod względem moralnym górował nad każdym znanym mi człowiekiem, nie wyłączając mnie.

Tutaj, w Tokio, Hachiko jest prawdziwym fenomenem stanowiącym temat wielu rozmów wśród mieszkańców.

A wszystkie opowiadane historie są prawdziwe. Wybrałem się po południu na peron stacji kolejowej Shibuya i widziałem, jak samotnie wychodzi z tłumu i czeka na przyjazd pociągu. To prawdziwie królewskie zwierzę, bladokremowej maści, poruszające się z wielką godnością. Podeszedłem do niego, pogłaskałem go po grubym futrze i spojrzałem mu w oczy, w których dostrzegłem odbicie wielkiej duszy. Kiedy w końcu nadjechał pociąg i drzwi się otworzyły, Hachiko wpatrywał się w nie, jakby czekał, że zaraz wysiądzie jego pan, profesor Ueno, ale oczywiście profesor nie wysiadł. Ueno nie wysiadał z tego pociągu już odprawie trzech lat, odkąd dostał udaru

na uniwersytecie. Hachiko musiał już zdawać sobie sprawę, że profesor się nie zjawi, lecz i tak na niego czekał. A ja czekałem wraz z nim. Na końcu peronu ustawilo się dwóch głupich chłopców, którzy śmiali się i naigrywali z psa, i zanim się zorientowałem, co robię, pobiegłem w ich stronę i w porywie wściekłości przegoniłem ich — zachowując się w sposób, który raczej nie przystoi dyplomacie. Ale uwagę Hachiko nie jest tak łatwo odwrócić. Chciałbym podkreślić, że jego zachowanie cechowała tak wyjątkowa godność, z taką cierpliwością siedział i obserwował pociąg, że odniosłem wrażenie, iż w rzeczywistości to my jesteśmy zaślepieni, a nie Hachiko. Po długim oczekiwaniu podniósł się i samotny zniknął w tłumie. Następnego dnia ponownie pojawił się na peronie i czekał na pociąg. Wiem o tym, ponieważ również ja tam powróciłem, ściągnięty tym niemym dramatem z powodów, które niełatwo mi wyjaśnić.

Historia Hachiko nabrała takiego rozgłosu, że przewijający się przez dworzec Shibuya obcy ludzie od razu go rozpoznają. Niektórzy zaczęli wystawiać mu jedzenie. Słyszałem opowieści o ludziach wybuchających płaczem na widok tego siedzącego tam i czekającego psa. Jak już zdążyłem wyznać, również we mnie wzbudziło to pewne emocje. Podejrzewam, że nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie tak oddanego człowieka czy zwierzęcia, dopóki nie ujrzy tego na własne oczy. Już teraz mówi się o wzniesieniu pomnika na cześć tego psa.

Muszę przyznać, że byłem gotów nie spełnić Pańskiej prośby, ale po spotkaniu z Hachiko zmieniłem zdanie. Choć

miałem pewne trudności, udało mi się odnaleźć jego hodowcę. Wiązało się to z wyprawą śladami Hachiko po ulicach Tokio aż do domu, w którym mieszkał Ueno. Tam pies na krótko się zatrzymał, a ja byłem przekonany, że zaraz podejdzie do drzwi. Ale on odwrócił wzrok i ruszył dalej, do domu ogrodnika profesora Ueno, który obecnie zajmuje się psem (profesor nie miał żadnej rodziny). Ogródnik potrafił mi wskazać hodowcę, którym jest niejaki pan Osagawa. Przedstawiłem się mu, wyjaśniłem Pańską prośbę i wówczas okazało się, że niedawno pojawił się u niego nowy miot. Hodowca stanowczo sprzeciwiał się pomysłowi wysyłania psa w sugerowany przez Pana sposób. Nie wierzy, żeby szczeniak przetrwał taką podróż bez uszczerbku na ciele i umyśle, i w ogóle nie chciał o tym dyskutować. Powiedział (gdy już udało mi się go uspokoić), że może Pan w każdej chwili do niego przyjechać i zobaczyć szczeniaki, a on z chęcią z Panem porozmawia i stwierdzi, czy może być Pan odpowiednim właścicielem. Wyjaśniłem mu, że taka podróż wykracza poza Pańskie możliwości. Pan Osagawa jest bardzo oddany swoim psom. Wydaje mi się też, że ma rację w sprawie podróży szczeniaka. Chociaż używano ich do polowań na niedźwiedzie, te psy zdają się wyjątkowo wrażliwe i nawet gdyby udało nam się znaleźć dla jednego z nich miejsce na statku do San Francisco lub Seattle, pozostałyby jeszcze tysiące mil do pokonania pociągiem, zanim trafiłby do Pana, przez cały czas pozostając bez opieki. To po prostu nie jest praktyczne rozwiązanie i jestem pewien, że Pan to zrozumie.

Ale pojawiła się inna możliwość, którą chciałbym poddać

Panupod rozwagę. Nieoczekiwanym wynikiem wizyty u pana Osagawy okazała się możliwość pozyskania dla mojej rodziny jednego z tych szczeniaków. Daliśmy mu na imię Ouji, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „Książę”. To wspaniały okaz. Jest dopiero czteromiesięcznym szczeniakiem i brak mu jeszcze roztropności Hachiko, ale podobno przyjdzie to z wiekiem. Czasami stanowi dla nas prawdziwe utrapienie, lecz wierzę, że nadejdzie dzień, kiedy będę Panu dziękował za doprowadzenie do naszego spotkania. Dostrzegam w nim częściowo cechy, które pamiętam sprzed lat u Luckyego, i chociaż może być to wytwór mojej wyobraźni, mam wrażenie, że dostrzegłem również iskierkę tego, co widziałem w spojrzeniu stojącego na peronie Hachiko.

Chciałem zatem zaproponować następujące rozwiązanie.

Spodziewam się zakończyć swoją misję w Japonii za rok i wrócić do domu. Już wyrażałem chęć ustąpienia ze stanowiska. Nie mogę narzekać na życie dyplomaty, ale też nie potrafię wyprzeć

284

285

się własnych korzeni na Środkowym Zachodzie. Wiosną wraz z żoną i synem wejdziemy na pokład statku odpływającego do San Francisco i jesienią powinniśmy ponownie osiąść w Chicago. Ouji będzie miał wtedy półtora roku i jeśliby zechciał Pan przyjechać i zobaczyć go, będzie Pan bardzo mile widziany. A gdyby się okazało, że on się nadaje, a Pan byłby zainteresowany, sądzę, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby spłodzić dla Pana miot. Nawet go o to zapytałem, lecz był zbyt zajęty niszczeniem rogu mojej aktówki i nie udzielił odpowiedzi.

Przykro mi, że moja próba wystąpienia w Pańskiej sprawie przed panem Osagawą zakończyła się fiaskiem, niemniej jestem Panu zobowiązany i wdzięczny za zainspirowanie mnie do spotkania z Hachiko. Tamta chwila prawdopodobnie zmieniła moje życie. Otóż musi Pan wiedzieć, że moja decyzja o powrocie do domu dojrzała podczas tego długiego spaceru za Hachiko, kiedy przemierzał ulice Tokio. Trudno byłoby mi wytłumaczyć tamto uczucie, ale wówczas wydawało mi się możliwe — a nawet prawdopodobne — że towarzyszył nam ktoś trzeci, ktoś, kogo widział tylko Hachiko. I właśnie w tamtym momencie zrozumiałem, że już zbyt długo przebywam z dala od rodzinnych stron.

Na zakończenie chciałbym wyrazić jeszcze jedną, ostatnią myśl. Trudno mi uwierzyć, że mógł Pan poważnie traktować pomysł wysłania bez opieki szczeniaka frachtowcem czy koleją. Zacząłem już nawet podejrzewać, że Pan, manipulując mną na odległość, nakłonił mnie do zaadoptowania reproduktora do Pańskiego projektu. Jeśli tak jest w rzeczywistości, jest Pan geniuszem, jakich potrzeba w naszych służbach dyplomatycznych.

Z poważaniem

Charles Adwin,

Starszy Sekretarz Ambasady USA w Japonii

Edgar odchylił się z listem w dłoni. Nie musiał się zastanawiać nad jego znaczeniem. Ojciec wskazywał mu drogę w kierunku czegoś, co miało stanowić dowód, choć wcale nie na to, co zrobił Claude.

Nie jestem snem, mówił ojciec. To wydarzyło się wcześniej.

286

Jak dowiedzieć się prawdy

Metronom psiarni odmierzał kolejne wschody i zachody słońca. Za-

aranżowano nowy miot, pod koniec lata miały się urodzić szczeniaki. W ciągu następnym dwóch tygodni cztery psy z najstarszego miotu trafiły do nowych domów, a z tym wiązało się szaleństwo kończenia tresury, oceany i papierkowej roboty. Doktor Papineau zawsze potrafił znaleźć pretekst, żeby do nich zajrzeć, kiedy pojawiali się przyszli właściciele, roztaczając coraz większą, jak się Edgarowi wydawało, aurę pana na włościach. Edgar czuł się rozdarty między dwoma przeciwstawnymi pragnieniami: czekać i patrzeć albo uciekać. Powiedzieć matce o swoich podejrzeniach albo rzucić się na Claude'a. Za dnia w głowie huczało mu od znużenia. Nocami padał na łóżko i leżał tam całymi godzinami, nerwowym wzrokiem przebiegając po suficie. Letnie burze przyciągały go jak światło ćmy i wędrował bez celu w deszczu, drażąc własne wnętrza myślami pełnymi wątpliwości oraz niepewności co do tych wątpliwości. Rzucono na niego najdziwniejsze przekleństwo: wiedzę bez nadziei na jej udowodnienie. W równej mierze nękała go postać ojca, jak ojcowskie wspomnienia, wlane w niego tamtej nocy i natychmiast utracone. Nie potrafił ich w żaden sposób przywołać. „Tutaj” — czy to było jego wspomnienie czy też strzęp ojcowskich? A może to nieustanna analiza własnego wnętrza tworzyła urojenia, które nie pochodziły z niczyich wspomnień? Miał wrażenie, że jego umysł potrafi wyginać się i podążać za dowolną przewrotną myślą, odbijając swoje pragnienia jak kropelka rtęci podrygująca przed zwierciadłem, przynosząc wspomnienia wszystkiego, czego Edgar zapragnął, czy to prawdziwe czy fałszywe. Gdy tylko deszcz przestawał padać, czuł rozczarowanie i złość — przede wszystkim złość na ojca, a zaraz potem przerażenie własnymi myślami.

287

Pomimo zapowiedzi matki Claude nie od razu się do nich przeprowadził. Nie wystąpiła żadna wyraźna granica czy decydujący moment, w którym Edgar mógłby się sprzeciwić. Jeśli Claude spędzał popołu-

dnie na pracy w psiarni, przed wieczorem wyjeżdżał. Następnego dnia mógł w ogóle się nie pojawić albo przyjechać długo po zapadnięciu zmroku, żeby wejść i zostawić butelkę wina, podczas gdy jego samochód stał na podjeździe z pracującym silnikiem i siedzącym na miejscu pasażera kumplem Claude'a, z twarzą podświetloną światelkiem deski rozdzielczej słuchającym włączonego radia. A matka szła za Claude'em do jego samochodu.

Bądź cicho, powiedział sobie Edgar. Po prostu czekaj.

A to oznaczało siedzenie przy stole podczas kolacji i obserwowanie Claude'a, który kroił, żuł, przełykał i uśmiechał się, kiedy serce w piersiach Edgara trzepotało jak koliber. I siedzenie później w salonie, i udawanie obojętności. A rankiem oznaczało patrzenie na rozrzucone po ganku wióry z mydła i na ciastka przekształcane w żółwie w stadium wykluwania się — aż nazbyt przypominające samego Edgara, pochwyconego i unieruchomionego przez kolejne nakładające się na siebie dni. A co najgorsze, oznaczało to obowiązek pomagania Claude'owi w psiarni, gdzie wbrew swojemu postanowieniu Edgar zbyt często odpowiadał mu eksplozją gwałtownych i niezrozumiałych znaków. Ale gdy potrafił ze spokojem obserwować, widział niejednego Claude'a, lecz wielu: i spokojnego, i wesołego, i ufego, i samotnie siedzącego w towarzystwie. Kiedy ktoś ich odwiedzał, Edgar patrzył, jak Claude prowadzi gościa na dwór, na spacer przez sad jabłoniowy albo na pole czy też w górę drogą. Zawsze w jakieś ciche, ustronne miejsce. Słysząc było rozmowę i śmiechy. Pojawiał się jakiś gest zaskoczenia. Głowa pochylająca się na znak zgody.

To wszystko nie udzielało Edgarowi odpowiedzi na dręczące go pytania. W końcu miał pewność tylko co do jednego: Claude stale wracał. Cokolwiek by Claude chciał, cokolwiek by zrobił — niezależnie od tego,

jak nonszalancko się zachowywał — już zawsze będzie wracał.

Biała plama rozprzestrzeniła się, choć może tylko mu się wydawało.

W samym jej środku wyrósł samotny mlecze, równie wyblakły i bezbarwny jak otaczająca go trawa, i do połowy rozchylił kulisty dmuchawiec.

288

Edgar zerwał tego albinosa i przysunął do nosa lu-zwornią masę. Kiedy Almondine zaczęła badać to miejsce, przegonił ją i przetoczył po nim taczka z grzechoczącą w środku łopata.

Z głębi stodoły wyłoniła się matka i stanęła, patrząc na niego.

— Co robisz?

Wbił ostrze łopaty w białą plamę.

Czy twoim zdaniem to wygląda normalnie?

-Co?

To tutaj. To miejsce.

Popatrzyła na porozrzucane po trawniku splachcie martwej trawy, wszystkie zwiędłe od psiej uryny, a potem ze smutną miną na Edgara. Kiedy ponownie podniósł wzrok, już jej nie było. Wykopał dołek sięgający aż pod korzeń mlecza i wywiózł taczka ziemię na pole pod leszczyny. Dołek wypełnił wapnem niegaszonym z worków ustawionych w stertę przy tylnych drzwiach stodoły i polał to wszystko wodą, a potem patrzył, jak wapno się lasuje. Kiedy skończył, napelnił puszkę po kawie tym samym kredowym proszkiem, poszedł do leszczyny i posypał tym ziemię.

Zmierzch. Nietoperze cichutko gwizdały przez aureolę owadów zgromadzonych wokół podwórzowej lampy. Psy potrafiły już dłużej skupiać uwagę i zaczęły wykazywać ciekawe, jeszcze trudne do określenia talenty, które Edgar całymi godzinami starał się rozwijać, zamiast spędzać czas w domu. Ćwiczyli na polu przywołania z użyciem długiej smyczy

i Baboo z Tinderem pokonywały susami wyschlą trawę w kolorze cytryny, nadbiegając z najbardziej odległych miejsc. Finch i Opal uczyły się rozwiązywać proste węzły. Kiedy poleciał Essay rozplatać smycz zawiniętą wokół jej łap, przyczaiła się do skoku i dała susa, jednym zwinnym ruchem unikając mozolnego stawiania nóg przez kolejne pętle. Posadził psy kołem na strychu, zaczepił smakołyk do szmaty, którą uwiązał do żyłki przewleczonej przez blok w krokwiach. Wzywał psy po imieniu, pozwalając im wstać. Jeśli ruszył się inny pies, smakołyk wznosił się w powietrze, a wszystkie psy mruczały. Kiedy już zabrakło mu pomysłów na ćwiczenia, stanął w drzwiach stodoły, patrzył na samochód Claude'a i słuchał muzyki płynącej z okien salonu, czekając, aż pogasną tam wszystkie światła.

289

Pewnego wieczoru po kolacji Claude poprowadził doktora Papineau do psiarni, najwyraźniej nieświadom, że Edgar tam jest. Słyszając nadchodzących mężczyzn, Edgar cofnął się w ciemności za tylnymi drzwiami stodoły i nasłuchiwał. Mężczyźni weszli do kojca małych szczeniaków, po chwili wyszli i stanęli, patrząc w noc.

— Może już nadszedł czas — mówił doktor Papineau. — To, że ja zajmuję się tymi psami, już od lat jest nazbyt dobrze dochowywaną tajemnicą.

— Sam wiesz, co ja myślę — odparł Claude — ale Trudi może chcieć wysłuchać twojej rady. Wyjątkowo liczy się z twoim zdaniem.

— Nic o tym nie wiem. W przypadku Trudi lepiej czekać, aż ona zapyta, niż wyskakiwać ze swoim zdaniem.

Edgar uśmiechnął się w ciemnościach. Nie wiedział dokładnie, o czym rozmawiają, lecz pamiętał, jak tamtej nocy doktor Papineau sprowokował jego matkę i jak szybko starszy pan musiał potem spu-

ścić z tonu.

— Trzeba będzie przemyśleć kwestię twoich udziałów, jeśli w to wejdiesz. Uważam, że dwadzieścia procent będzie bardziej odpowiednie.

Doktor Papineau chrząknął, takie ciche hmmm-hmmm-hmm.

— Nigdy nie zabrałem się za sprzedaż tej działki nad jeziorem Namekegon. Nadal tam jest — powiedział. — Z iloma chciałby zacząć?

— Na razie dwanaście. Pilotowa partia na Boże Narodzenie, a w przyszłym roku coś więcej.

— Sądzę, że następnym razem będę mógł porozmawiać z Trudi.

Na chwilę zapadła cisza.

— Chyba słyszałeś, że w sobotę Stumpy organizuje tradycyjne gotowanie ryby? Pierwsze tego lata.

— Zgadza się. Łowimy palię jeziorową?

Odwrócili się i ruszyli przez psiarnię.

— Raczej sieję. Może byśmy wpadli do ciebie i zabrałbyś się z nami?

Mógłbym gdzieś się stracić, gdybyś chciał porozmawiać z Trudi.

Edgar patrzył za odchodzącymi mężczyznami. Kiedy już doktor Papineau odjechał, wszedł do domu i uderzył dłonią po nodze, przywołując Almondine, by szła z nim na górę, przez cały czas czując na swoich plecach wzrok Claude'a.

290

Z nadejściem sobotniego wieczoru Edgar wyraźnie dał do zrozumienia; że on nigdzie z Claude'em się nie wybiera. Matka udawała, że jest jej to obojętne, jakby chodziło o opornego szczeniaka, ale zdawał sobie sprawę, że wcale tak nie myśli. Gdy tylko zniknęły tylne światła impali, zaczął grzebać w szufladzie z korespondencją, potem w leżących na zamrażarce kartotekach psiarni i w brulionach. Almondine usiadła i ob-

serwowała jego poszukiwania. Przegrzebał kieszenie wiszącej w szafie kurtki i spodni Claude'a. Nie udało mu się znaleźć nic, co pozwoliłoby choć częściowo zrozumieć podsłuchaną rozmowę.

Następnie zajął się mniej prawdopodobnymi miejscami — skrzynką na amunicję z tym starym telegramem, pikapem i w końcu pokojem gościnnym. Od wyprowadzki Claude'a stał prawie pusty, lecz w wewnętrznej ścianie znajdowały się małe drzwiczki. Przykucnął, otworzył je i zajrzał do niedokończonego pomieszczenia pod krokwiami nad kuchnią.

A tam, na zakurzonym różowym materiale izolacyjnym, stał z tuzin tekturowych pudeł, poukładanych jak popadnie jedno na drugim, które jego matka spakowała tamtego zimowego dnia, kiedy zastał ją z potarganymi włosami i tak pogrążoną w żalu, że nawet go nie zauważyła. Przykląkł na legarach i wciągnął pudła do pokoju. Nosiły nadruki z rysunkiem pomidorów w puszcze, fasoli w sosie pomidorowym, keczupu, miały zamknięte klapy i były pozalepiane taśmą. Najcięższe, wypchane koszulami i spodniami, wydzielaly delikatny zapach ojcowskiego płynu po goleniu. Edgar przesuwal dloniami wzdluz wewnetrznych scianek kartonow, szukajac czegoś, co nie jest z tkaniny. W dwóch pudłach mieściły się kurtki i czapki, w dwóch kolejnych buty. W końcu otworzył mniejsze pudełko z różnościami: ojcowski zegarek ze sprężynową bransoletą, jego maszynka do golenia, kółko na klucze, pusty skórzany portfel, połyskujący na wierzchu, ale z wytartymi wyblakłymi rogami i popruty przeszyciem z jednej strony.

Z samego dna Edgar wydobyl księge pamiątkową szkoły średniej w Mellen z rocznika 1948. Za okładkę wciśnięty był dyplom ojca, wydrukowany na grubym papierze zwieńczonym u góry napisem „Mellen High School”. Przerzucał czarno-białe zdjęcia, aż udało mu się odnaleźć ojca wśród dwudziestu pięciu absolwentów, między Donaldem Roger-

sem i Marjory Schneider. Na fotografii ojciec miał poważny wyraz twarzy, często spotykany na wielu portretach, i wzrok skupiony na jakimś 291

odległym problemie. Już wówczas nosił okulary. Edgar zaczął przeglądać zdjęcia uczniów drugiej klasy. Fotografii trojga nie było - wśród nich Claude'a.

Przypatrzył się zarówno zdjęciom grupowym upozowanym, jak i nieupozowanym — drużyny piłkarskiej, klubu rolniczego, chóru, tłumy w stołówce. Nagle spomiędzy ostatnich stron wysunęły się dwie luźne fotografie. Przedstawiały ludzi i miejsca, których Edgar nie znał. Potrząsnął księgą nad kolanami. Wypadły z niej jeszcze trzy zdjęcia. Na pierwszym ojciec stał nad brzegiem jeziora i łowił ryby. Na drugim siedział w pikapie, z kilkudniowym zarostem na twarzy. Dłoń spoczywała na kierownicy, a łokieć wystawał przez okno.

Ostatnie zdjęcie zrobiono na podwórzu przed ich domem. W oddali widać było stodołę, wznoszącą się ciemnym kształtem nad pochylonym trawnikiem obok domu. Przy magazynie na mleko malutka postać ojca przyglądającego się z boku. Na pierwszym planie Claude ubrany w koszulkę z krótkim rękawem i dżinsy. Chwilę wcześniej na jego ręce wskoczył potężny, w pełni dojrzały pies. Claude śmieje się i robi krok w tył dla zachowania równowagi. Jedno z jego oczu jest czarne.

Edgar usiadł i zaczął wpatrywać się w to zdjęcie. Pies, który poruszał się w chwili naciśnięcia migawki, przedstawiał na zdjęciu prawie całkiem rozmytą plamę, ale był bardzo duży, co do tego nie było wątpliwości. Nie przypominał ich psów, a przynajmniej niezupełnie, mógł to być jakiś mieszaniec, w przeważającej części owczarek, z ciemnym pyskiem, wysoko umieszczonymi uszami i ogonem w kształcie szabli. Edgar odwrócił zdjęcie. Z tyłu widniał napis skreślony ojcowskim pi-

smem rysownika: „Claude i Forte. Lipiec 1948”.

Claude, ku zadowoleniu Trudi, przejął obowiązki związane z prowadzeniem dokumentacji psiarni. Edgar często widział go przy stole kuchennym z porozrzucanymi dookoła listami, jak rozmawia przez telefon w celu zebrania bieżących informacji i w sprawie wyszukania nowych domów dla psów. Gdy Edgar wchodził do kuchni podczas takiej rozmowy, Claude bardzo szybko się rozłączał, jakby już sama praca była dostatecznie trudna, a obserwowanie jego poczynań stanowiło dodatkowy kłopot. Kartoteki i rejestry były starannie uporządkowane i czytelne, problem polegał na poznaniu i opanowaniu rodowodów psów dostępnych do reprodukcji przy następnym miocie i zachowaniu wszystkich niezbędnych informacji w głowie. Claude oczywiście znał podstawowe reguły. John Sawtelle obu swoim synom wpoił zasady hodowli zwierząt. Ale Claude'a nie było w psiarni na tyle długo, że złożony system punktowania, przez lata udoskonalany przez jego brata, stanowił dlań czarną magię.

Z drugiej strony Claude pozostawał wyjątkowo obojętny na wszelkie osiągnięcia, jakby celowo nigdy nie okazując podziwu. Niezależnie od tego, jaki wyczyn wchodził w grę: czy pełne technicznych fajerwerków solo fortepianowe podczas rewii, czy punkty dla drużyny Bucks zdobywane hakiem w ostatnich sekundach meczu przez Kareema Abdula Jabbara, na Claudzie nic nie robiło wrażenia. Często powtarzał, że każdy może wszystko osiągnąć, jeśli tylko gotów jest powoli do tego dochodzić. Zauważał, że pianista poświęcił dzieciństwo na ćwiczenia — nic dziwnego, że potrafi przebierać palcami po klawiszach; a Jabbar urodził się wysoki i przez okrągły rok pięć dni w tygodniu gra w koszykówkę. — Każdy nabiera umiejętności w swoim zawodzie — powiedział. — To kwestia przyswojenia wiedzy. Nie ma nic normalniejszego na

świecie.

Matka śmiała się, kiedy Claude o tym mówił, uznając, że w jego ustach brzmi to wyjątkowo dwuznacznie, bo im bardziej imponujący był wyczyn, tym bardziej niezłomnie Claude stał na swoim stanowisku. Tu nie chodzi o brak szacunku, jak twierdził, ponieważ ta zasada stosuje się do wszystkich bez wyjątku: do Trudi, Edgara i przede wszystkim do samego Claude'a. I nie było kwestią, czy Claude mógłby się czegoś nauczyć - pytanie brzmiało: czy warto i ile może zabrać to czasu. W ten właśnie sposób podchodził do sprawy opanowania rejestrów hodowlanych (i nauki znaków języka migowego, jeśli już o tym mowa, mimo że codziennie mijał w salonie słownik znaków). Jeśli tylko dostatecznie długo będzie zaglądał do kartoteki, system punktowania stanie się jasny i zrozumiały, a on bez wysiłku przyswoi sobie zalety i wady różnych linii hodowlanych. Podczas rozmów telefonicznych bezmyślnie przerzucał strony teczek, którą akurat miał pod ręką, gryzmołąc linie genealogiczne na gazecie.

Ojciec planował miot dla łagodnej czarno-orzechowej suki wabiącej się Olive. Wspominał co prawda, że wyszukał doskonałego partnera, lecz

292

293

Claude niczego nie znalazł w notesie. Ojcowski notes składał się z mieszanki nieczytelnych uwag, list, przypomnień i wykresów, o czym Edgar doskonale wiedział. Ten sam człowiek, który z precyzją nauczyciela kaligrafii wypisywał rejestry, swoje notatki bazgrał jak szaleniec. Ale ponieważ zbliżał się okres rui Olive, Claude codziennie po kolacji zasiadał przy stole przed stertą szarych teczek. Pewnego późnego wieczoru wszedł do salonu.

— Znalazłem wybranego przez Gara psa do pokrycia Olive — powiedział.

Trudi podniosła wzrok znad czytanego czasopisma.

— Który to?

— Drift — odparł. — Spłodził trzy dobre mioty. Zdrowy jak koń.

Mieszka w Park City.

Matka skinęła głową. Chociaż pamiętając historie poprzednich miotów, sama miała intuicję do krzyżowania zwierząt, nigdy nie próbowała się zainteresować szczegółowymi ustaleniami, pozostawiając to ojcu Edgara. Dla niej najciekawsze były szczeniaki i drzemiące w nich, jeszcze nieodkryte talenty. Ale Edgar natychmiast dostrzegł problem i zanim zdążył się zastanowić, zaczął na migi odpowiadać.

To krzyżówka w tej samej linii. Zła.

Trudi spojrzała na Claude'a i przetłumaczyła.

— Krzyżówka w tej samej linii?

— Sprawdźmy — odrzekł Claude. — Olive została spłodzona przez...

— Wrócił do kuchni i zaczął grzebać w papierach. — A niech mnie — usłyszeli jego głos. — Olive i Drift pochodzą od tego samego reproduktora, jest tylko różnica jednego pokolenia. Nelson. Spłodzona przez Nelsona, którego rodzicami byli Bridger i Azimuth.

— I coś w tym jest nieodpowiedniego? — zapytała matka.

Pamiętasz Nelsona i Osmo? pokazał na migi Edgar.

— Ależ tak — odparła. — Marnie to widzę.

Claude wrócił do salonu, lecz nie rozumiał migania Edgara.

— To znaczy?

— To znaczy, że kilka lat temu Nelson spłodził z Osmo miot, z którego trzy szczeniaki urodziły się martwe, a reszta miała proste przednie łapy. Gar stwierdził, że to była zła krzyżówka.

On stwierdził dużo więcej, pomyślał Edgar. Ojciec uznał ten miot za katastrofę. Nie zwracał specjalnej uwagi na cechy powierzchowne,

jak maść, ale kości były ważne, a proste przednie łapy oznaczały zły kąt ustawienia, problem trudny do usunięcia z linii hodowlanej. A jednak z innymi ojcami Osmo rodziła zdrowe mioty. Ojciec prawie cały dzień spędził na szperaniu w teczkach i robieniu notatek, aż w końcu dwukrotnie stuknął w ołówek i oświadczył, że znalazł to, czego szukał: krzyżówki w linii ze wspólnym przodkiem po stronie Nelsona. Edgar siedział wraz nim, kiedy ojciec to omawiał, i jeszcze dziś miał przed oczami rysowane wówczas schematy.

— Szkoda, że nie wiedziałem o tym kilka dni temu — odezwał się Claude.

— Przecież do dzisiaj Edgar nie miał pojęcia, że bierzesz pod uwagę Drifta — odrzekła matka, zanim Edgar zdążył zareagować. Odwróciła się do niego. — W takim razie który pies mógłby być dobry? Masz jakiś pomysł?

Edgar wolałby pozostawić Claude'a w niepewności i czekać, aż sam coś wymyśli, wychodząc na ignoranta i nierozgarniętego. Udzielenie mu pomocy służyło tylko potwierdzeniu jego kretyńskiej teorii przyswajania wiedzy, ale Edgar nie miał pewności, czy Claude nie wybierze na chybił trafił, a nie zniósłby myśli, że psy mogą być skrzyżowane nieprofesjonalnie.

Gleam, pokazał na migi. Albo któryś z jego braci.

Trudi to przetłumaczyła, a Claude zacisnął usta i wrócił do kuchni, zostawiając w salonie uśmiechniętego Edgara. Matka spojrzała na niego w sposób mówiący: „Stary, nie przeciągaj struny”, i wróciła do lektury czasopisma. Wiedział, co Claude może znaleźć: Gleam był moręgowatym czterolatkiem umieszczonym na farmie na wschód od miasteczka. Mieszkający tam mały chłopak czasami biegał za Edgarem w szkole, żeby opowiedzieć mu o psie. Edgar wiedział też, że Claude nie znajdzie

żadnych przeciwwskazań do takiego krzyżowania; musiałby cofnąć się o siedem pokoleń, żeby odszukać jakichś wspólnych przodków, gdyby w ogóle zadał sobie trud grzebania aż tak daleko.

Gdy nazajutrz Edgar zszedł na dół, zastał Claude'a siedzącego przy stole przed stosem szarych teczek.

— Weźmiemy Gleama — powiedział Claude. Machnął ręką z kubkiem kawy nad rejestrami. — Chciałeś mnie sprawdzić, co? Po południu zadzwonię do właściciela psa i umówię się z nim.

294

295

Edgar próbował wymyślić stosowną odpowiedź, ale miał pustkę w głowie. Wzruszył tylko ramionami i skierował się do drzwi.

— Czekaj — rzekł Claude. — Chciałbyś coś powiedzieć? Jesteśmy tylko we dwójkę. Cokolwiek cię dręczy, zostanie między nami.

Edgar zatrzymał się.

W to akurat nie wątpię, pokazał na migi. Pomyślał o tym, jak poprzedniego wieczoru ugiął się i pomógł Claude'owi, chociaż była to ostatnia rzecz na świecie, jaką chciałby zrobić. Powoli i bardzo dokładnie, tak aby jego gesty nie pozostawiały żadnych wątpliwości, Edgar ułożył przed sobą lewą rękę pod kątem, a prawą gwałtownie przesunął pod nią z palcem wskazującym wyprostowanym jak nóż, który miał przypominać.

Morderstwo. To mnie dręczy.

Oczy Claude'a śledziły dłonie Edgara. Wyglądało, jakby przeszukiwał zakamarki pamięci, przez cały czas wymijająco kiwając głową.

Edgar odwrócił się i wyszedł na ganek.

— Chciałem, żebyś wiedział — zawołał do niego Claude z kuchni

— że naprawdę mi zaimponowałeś. Wybór Gleama, no, no...

Edgar pchnął drzwi z siatką i słuchał, jak zamykają się za nim z trza-

skiem, czując, że policzki nabiegły mu krwią. Zdobył się na to, żeby rzucić Claude'owi oskarżenie prosto w twarz, a jednak Claude odwrócił sytuację w okazję do okazania wspaniałomyślności. I przed kim? Nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć. A co gorsza, komplement Claude'a wbił go w dumę i Edgar natychmiast znienawidził się za to.

Problem — i to bardzo kłopotliwy problem — polegał na tym, że Claude, jeśli mu na tym zależało, potrafił mówić jak ojciec Edgara.

Noc. Stanął w łazience, skrzyżował ręce na wysokości pasa, ściągnął koszulę przez głowę i spojrzał w lustro. Z zapisanej wcześniej w sinozielonych plamach historii pozostało już tylko normalne blade ciało.

Wspomnienie rąk ojca zanurzających się w to miejsce. Oraz tego, jak przy najmniejszym nacisku serce Edgara mogło się zatrzymać.

Strumień pamięci przechodzący przez niego jak deszcz, teraz tak słaby i mało precyzyjny jak senne obrazy przywoływane ze snu. Nacisnął mostek kciukiem. Żebra rozpałił znajomy ból.

Szeroko zamachnął się ręką zaciśniętą w pięść.

I to wrażenie, kiedy uderzył nią w pierś! Niesamowite.

296

W ciepłe popołudnia chodził z Almondine do lasu i tam drzemali pod umierającym dębem. Czasami dla zachowania pozorów tresury zabierał z sobą Essay lub Tindera. Zawsze gdy matka upierała się, żeby spędzał noc w domu, czekał, aż ona i Claude zasną, po czym sprowadzał Almondine po schodach, całym ciężarem naciskając na skrzypiące stopnie. Stojąc w drzwiach sypialni, matka obserwowała go, jak grzebie w lodówce.

— Co robisz?

Idę do stodoły.

— Jest jedenasta!

I co z tego?

— Na litość boską, poczytaj coś, jeśli nie możesz zasnąć.

Zatrząskiwiał za sobą drzwi i maszerował przez podwórze.

Nie mógł jednak sprzeciwić się im we wszystkim. Szczególnie irytowała go od trzech tygodni odkładana sprawa nadania imion najmłodszemu miotowi. Szczeniaki pootwierały już oczy, zaczęły im się wyrzynać mleczne zęby i psiaki same wyruszały na poszukiwania. Niedługo trzeba będzie rozpocząć pierwsze ćwiczenia — słuchanie nietypowych dźwięków, ustawianie miniaturowych schodków i pierścieni oraz te wszystkie łąmigłówki dla maluchów — a wówczas muszą mieć imiona. Zaniósł granatowy słownik *The New Webster Encyclopedic Dictionary of English Language* do kojca małych szczeniaków i usiadł po turecku na słomie. Cztery psiaki przydreptały do krawędzi boksu i wlepiły w niego wzrok. Grzbiet słownika sucho zatrzeszczał, kiedy Edgar rozkładał go na kolanach. Szybko przerzucał w palcach kartki. Przed oczami migwały kolejne adnotacje, najstarsze zapisane jeszcze ojcowskim pismem, ale większość kanciastymi literami stawianymi przez Edgara. Między okładkami słownika zamieszkiwały kiedyś bardzo dobre imiona: Butter, Surrey, Pan, Cable, Argo. W niektórych przypadkach dokładnie pamiętał miejsce, w którym siedział, gdy jakieś słowo nagle podnosiło się ze strony i oświadczało, że jest imieniem. Na końcu słownika znajdował się szkic autorstwa Aleksandra McQueena, redaktora, zatytułowany „2000 imion i ich znaczenie: praktyczny poradnik dla rodziców i innych osób zainteresowanych w lepszym dobieraniu imion”. Edgar znał to na pamięć.

„Nadawanie dziecku imienia ma długotrwałe efekty”, napisał McQueen. Przedstawił siedem zasad wybierania imienia, takich jak: „Imię powinno być godne”, „Powinno się je łatwo wymawiać” i „Powinno być oryginalne”.

Im bardziej teraz Edgar zastanawiał się nad tymi zasadami, tym bardziej bezsensowne wydawały się widniejące w słowniku i jeszcze nieużywane imiona: Spire, Encore, Pretend, Herb. Mama psiaków uniosła nos, żeby obwąchać suche kartki, następnie westchnieniem wyraziła zrozumienie dla jego problemów. Edgar zamknął słownik.

Szczeniaki zasnęły poza jednym, który grymasił przy sutku, najpierw ssąc z niego mleko, potem puszczając, żeby po chwili znowu go chwycić. Wyciągnął rękę obok szczeniaka i potarł sutek w palcach, a następnie podsunął pod nos wilgotny palec i dotknął nim języka.

Na co narzekasz? zapytał na migi.

Odłożył słownik i położył szczeniaka z powrotem na miejsce, głaszcząc go dwoma palcami. Psiak ssał pierś i dopiero gdy również on usnął, Edgar przestał go pieścić.

Później zabrał cały swój miot do warsztatu i poprowadził w górę po wąskich schodach, zatrzymując się tylko, żeby wydobyć z ukrycia zdjęcie Claude'a z Forte'em wciśnięte w kopertę z listem o Hachiko. Na strychu wciąż panował upał po gorącym dniu. Szeroko otworzył drzwi z przodu strychu i wpuścił do wnętrza nocne powietrze, chłodne i gęste od pyłków. Psy mocowały się i tarzały na leżących z tyłu belach słomy, ponieważ niegdyś potężna żółta ściana stopniała i pozostała z niej niska platforma. Wkrótce będą potrzebować więcej słomy. A to będzie oznaczało dzień spędzony na strychu: najpierw czekanie przy drzwiach, aż skrzypiący przenośnik taśmowy przywiezie bele, potem wbijanie haka do przeciągania i układanie ich na krzyż aż po krokwie. Wyjrzał na zewnątrz w stronę ciemnego lasu. Zastanawiał się, czy Schultz wyobrażał sobie brygady ludzi pracujących w miejscu, w którym on stał podczas żniw, ludzi krzyczących, przeklinających, drwiącym tonem nawołujących do tych na dole, żeby przynieśli siano, kiedy oni ciągnęli za liny.

Psy w końcu się uspokoiły, więc zamknął drzwi i zabrali się do pracy. Zrzucił normalny harmonogram ćwiczeń, zamiast tego ucząc je bezsensownych i bezcelowych żartobliwych sztuczek. Miały szturchać się nawzajem. Przenosić kawałki kołków z jednego miejsca na drugie. Padać na ziemię podczas noszenia przedmiotów. Obecnie uspokajało go tylko patrzenie na psy, zrobił więc z tego zabawę, próbując różnych

rozwiązań, ustawiając przeszkody, zmieniając kolejność i sprawdzając, co z tego wyniknie. Szturchanie, jak wspólnie zdecydowali, nie oznaczało jedynie obwąchania drugiego psa, ale solidne pchnięcie nosem. A przenoszenie przedmiotu oznaczało, że nie wolno go upuścić, nawet jeśli obok toczy się piłeczka tenisowa. Edgar znalazł pióro, starą łyżkę i kawałek elektrody do spawania i kazał psom brać te przedmioty, mimo ich dziwnej struktury i smaku, do pyska zamiast kołków.

Po godzinie zgodziły się na nowe znaczenie polecenia „zanieś”, toteż zarządził przerwę. Psy wylegiwały się w luźnej słomie, a tymczasem Edgar wyjął zdjęcie Claude'a i Forte'a. Po raz pierwszy od dawna pomyślał o tamtym bezdomnym psie. Głupotą było marzyć, że mógłby wyjść teraz z lasu. Pomyślał o tamtym dniu na polu, o tym, jak błyskawicznie Claude wymierzył w łanię, gdy bezdomny pies rzucił się do ucieczki. Po chwili ponownie wsunął fotografię do kieszeni i czytał im Księgę dżungli, wymachując rękami w powietrzu.

A wył tak głośno i przeraźliwie, iż usłyszał go Tha i zapytał: „Cóż to cię boli?” A Pierwszy z Tygrysów, podnosząc pysk w stronę świeżo stworzonego nieba, które dziś już tak jest wiekowe, odrzekł: „Przywróć mi moc dawną, o Tha! Stałem się pośmiewiskiem całej dżungli! Uciekłem przed Bezwłosą Istotą, a ona obdarzyła mnie hańbiącym przezwiskiem”. „Cze-

muż to? — zapytał Tha. „Dlatego, że jestem umazany błotem trzęsawisk” — odrzekł Pierwszy z Tygrysów. „Wykąp się więc i wytarżaj w mokrej trawie, a na pewno pozbędziesz się błota” — poradził mu Tha. Pierwszy z Tygrysów począł pływać po rzece i tarzać się po trawie, aż mu cała puszcza zawirowała przed oczami, jednakże ani jedna pręga nie znikła z jego sierści. Widząc to, Tha śmiał się serdecznie. Wówczas Pierwszy z Tygrysów zapytał: „Cóżja złego uczyniłem, iż padło na mnie takie nieszczęście?” Tha odpowiedział: „Zabiłeś kozła i wprowadziłeś do puszczy Śmierć; wraz ze śmiercią zaś wtargnął tu Strach, a Plemiona Dżungli boją się jedne drugich, podobnie jak ty boisz się bezwłosej Istoty”. Pierwszy z Tygrysów rzekł na to: „One mnie nie będą się bały, boć znam się z nimi od dawien dawna”. Odrzekł mu Tha: „Idź, przekonaj się”. Wówczas

299

Pierwszy z Tygrysówjął biegać na wszystkie strony, przywołując głośno tojelenie, to dziki, to sambhury, to jeżozwierze, to inne jeszcze Plemiona Dżungli. One jednak uciekały przed swoim byłym sędzią, bo przejmował je strach wielki.

Następnie kazał psom wstać i zabrał się za ćwiczenie dwóch nowych poleceń. Zaczął od komendy „zmykaj”, ucząc je stopniowo: najpierw wystarczyło, że spojrzały w inną stronę i nie poruszały się. Przydała się wcześniejsza nauka zwracania uwagi, na co patrzy opiekun, bo psy szybko to pojęły. Następnie nakłonił je do zrobienia jednego kroku, potem kilku, aż w końcu przebiegały cały strych. Finch pierwszy to zrozumiał: nie chodziło o żadne określone miejsce, w które miały się udać, po prostu musiały się oddalić. Psy niemal tańczyły z podniecenia.

Dużo trudniej było im pojąć, że inny pies może wydać polecenie.

Na przykład jeśli Edgar chciał, żeby Baboo się położył, wystarczyło podnieść rękę do góry — ten znak psy Sawtelle'ów znały już w wieku trzech miesięcy. Ale tym razem Baboo miał się położyć po tym, jak Finch lub Essay trąca go nosem w biodro. W domu mówili na to „łączenie poleceń” — uczenie psa, że jedna czynność automatycznie pociąga za sobą następną. Łączenie powodowało, że jeden pies siadał, gdy drugi przestawał chodzić. I właśnie w oparciu o łączenie pies elegancko kończył przywołanie, bo nie tylko wracał, lecz zatoczywszy koło za panem, siadał po jego lewej stronie. A w łączeniu poleceń psy Sawtelle'ów wykazywały prawdziwy talent.

Polecił Baboo stać bez ruchu i cofnął się o krok.

Szturchnij, kazał Essay, pokazując na Baboo.

W momencie gdy Essay dotknęła Baboo, Edgar uniósł wysoko rękę. Baboo położył się. Przerwa na zabawę. Ponownie wrócili do ćwiczeń, tym razem to Baboo szturchał drugiego psa. Po tuzinie prób — przerywanych w celu pobiegania za rzucaną w ciemne kąty strychu powiazaną szmatą — wszystkie pojęły, o co chodzi. Stopniowo zwiększał odstęp między psami — najpierw półtora metra, potem trzy, sześć — i za pomocą przewleczzonego przez kółko w podłodze długiego sznura korygował je na odległość. Po kolejnych ćwiczeniach wystarczyło, że tylko lekko dał znać, a psy kładły się po szturchnięciu — nie za każdym razem, ale mniej więcej co drugi raz, dwa razy na trzy, aż w końcu mógł stać zupełnie bez ruchu i obserwować Essay pędzącą przez sl n eh, uderzającą nosem w zad Baboo, który natychmiast opadał na podłogę.

Edgar uczcił swój sukces, przewracając psy na grzbiety i przykładając ich łapy do swojej twarzy. Były przewrażliwione na punkcie swoich poduszeczek, a kiedy trzymał je przy nosie i wciągał powietrze, jego zmysły wypełniał zapach popcornu i ziemi. Psy wykręcały szyje, żeby mu się przyjrzeć,

spozierając na niego jakby wosłupieniu, wymachując łapami i skręcając się, żeby na powrót go zwabić. Klepnął je dłonią, polecając im wstać i wrócić do ćwiczeń. Skupili się na tych samych komendach. Powtarzał je w różnej kolejności, w różnych kombinacjach psich par i z użyciem różnych przeszkód. Czasami kończyły ćwiczenie szybciej, a czasami musiały dłużej zaczekać. Przewróć się na grzbiet.

Zanieś to do innego psa.

Szturchnij tamtego psa.

Zrobiło się już bardzo późno i Edgar powoli przysypiał ze zmęczenia, kiedy wybrał przypadkową kolejność ćwiczeń i patrzył, jak psy sobie radzą. Opal potruchtała przez strych z kołkiem w pysku. Szturchnęła Umbkę, a ta osunęła się na podłogę.

Na ten widok Edgar zerwał się na nogi. Poleciał im powtórzyć czynności.

Zanieś to do tego psa.

Szturchnij tego psa.

Położ się, kiedy cię szturchnie.

Nagle krew zaczęła huczeć mu w uszach. Zrozumiał, że gdzieś z najskrytszych zakamarków jego umysłu, rozdzielona na drobne fragmenty w ciągu całego dnia, wyłania się powoli jakaś myśl. Ponownie powrócili do tego ćwiczenia. Za każdym razem coraz wyraźniej widział obraz Claude'a tyłem wycofującego się ze stodoły i szukającego czegoś, co upuścił lub wyrzucił, a za nim biały śnieżny świat.

Skoro ten widok budził wspomnienia w Edgarze, czy to samo wywoła u Claude'a?

Był już zbyt zmęczony, żeby ćwiczyć z psami, usiadł więc i spojrzał na zdjęcie Claude'a z Forte'em. Po chwili zamknął oczy i ułożył się na boku, jak przez mgłę zdając sobie sprawę, że psy zgromadziły się wokół i obserwują go. Od tak dawna miotał się między jedną prawdą a drugą!

Nic nie było pewne, a nawet możliwe do poznania.

Ale teraz — być może — znalazł sposób, jak dowiedzieć się prawdy.

300

301

Nauka jazdy

Usłyszał odgłos kroków na schodach strychu i zza drzwi przedsionka wychynęła matka, ciemne włosy upięte miała w wijący się po ramionach koński ogon. Na strychu z Edgarem były Essay, Tinder i Opal, siedziały w gotowości, a on stał przed nimi, trzymając w dłoniach kawałek grubego sznura z węzłami na obu końcach, używanego do ćwiczeń aportowania. Almondine leżała rozwalona przy drzwiach.

— Może przejechalibyśmy się do miasteczka? — zapytała matka. — Moglibyśmy wpaść tam na lunch.

Trzy roczniaki, podniecone obecnością jego matki, zaczęły podnosić zady z podłogi, więc Edgar stanął przed nimi i ściągnął na siebie ich spojrzenia, aż w końcu ponownie spokojnie usiadły. Nabrawszy pewności, że się nie ruszą, odwrócił się do matki.

Chciałbym dalej poćwiczyć z Essay, pokazał na migi, choć tylko częściowo było to prawdą. Rano zaczął ćwiczenia od sekwencji szturchania i leżenia, ale psy, znużone powtarzaniem tego co wieczór, opierały się, udając, że nie wiedzą, o co chodzi. Pragnął zostać sam i pracować, żeby uniknąć sytuacji, w której widok Claude'a obok matki wzbudzi w nim jeden z tych zapierających mu dech spazmów gniewu. Na samą myśl, że mieliby w trójkę wcisnąć się do pikapu albo — co gorsza — do impali, w jego głowie rozlegało się paniczne krakanie. Po nocy na wpół zapomnianych snów, w których wielokrotnie spadał z gałęzi jabłoni w jakąś bezkształtną otchłań, już teraz był w nastroju dostatecznie ponurym i nieprzyjemnym.

— Dobrze — odparła radośnie. — Kiedyś na powrót będziesz moim synem, wiem o tym.

Usłyszał ich głosy na podwórzu, po chwili pikap zapalił i z chrzęstem ruszył po podjeździe, a Edgar i psy wrócili do swoich zajęć. Uderzeniem dłonią w nogę przywołał Almondine i na oczach roczniaków wykonał z nią kilka ćwiczeń aportowania. Kiedy Essay trzy razy z rzędu bezbłędnie przyniosła rzucony sznur, Edgar odbył te same ćwiczenia z Opal, później z Tinderem, a następnie ponownie zaczął ćwiczyć z Essay, ale tym razem, żeby jej nie zanudzić, rzucał sznur w naprędcę poukładany labirynt beli siana. Kiedy Tinder skończył aportowanie, sprowadził wszystkie psy na dół.

Postanowił wcześniej zjeść lunch i nie ryzykować spotkania z nimi w domu, jeśli matka i Claude wcześniej wrócą. Przeszedł obok impali, powstrzymując się, żeby odruchowo nie kopnąć w jej drzwi, i puścił Almondine przed sobą po schodkach na ganek. Wchodząc do kuchni, ujrzał Claude'a siedzącego przy stole. Palił papierosa, a w ręku trzymał złożoną we czworo gazetę. W pierwszym odruchu Edgar chciał się odwrócić i wyjść, zanim sprężyna w drzwiach ganku przestanie brzęczeć, jednak zmusił się do przejścia przez kuchnię, szarpnięciem otworzył lodówkę i wyłożył na stół stos produktów na kanapki. Claude wciąż czytał, kiedy Edgar nakładał na kromki chleba ser i mielonkę z przyprawami. W końcu Claude odłożył gazetę.

— Cieszę się, że przyszedłeś — odezwał się. — Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Edgar wlepił wzrok w zimną czeluść lodówki i udawał, że czegoś szuka. W końcu wysunął spod stołu krzesło, usiadł naprzeciw Claude'a i zaczął jeść kanapkę.

— Potrafisz kierować pikapem? — zapytał Claude.

Edgar pokręcił głową, zgodnie z prawdą zaprzeczając. Ojciec czasami pozwalał mu kierować z siedzenia pasażera, ale tylko przez krótkie chwile.

— No, to już jest zbrodnia — stwierdził Claude. — Kiedy Gar i ja byliśmy w twoim wieku, już od dłuższego czasu prowadziliśmy samochód. To się czasami przydaje, chyba sam rozumiesz.

Edgar oderwał róg kanapki i podał Almondine.

— Próbowałem namówić twoją mamę, że powinniśmy cię tego nauczyć, ale ona nie jest przekonana do tego pomysłu. Wolałaby, żebyś poszedł na kurs. — Słowo „kurs” w jego ustach zabrzmiało, jakby było to

302

303

coś najgłupszego na świecie. — Pewnego dnia tato po prostu zabrał nas i pokazał, jak to się robi. To wszystko. Wystarczyło jedno popołudnie wleczenia się w kółko i wiedzieliśmy, co i jak. Na początek do Popcorn Corner i z powrotem. Rutynowy przelot, jak to mówią.

Edgar pomyślał, że chyba wie, do czego Claude zmierza, i tylko skinął głową.

— Oczywiście, i tobie, i mnie jest teraz łatwiej. W tamtych czasach były tylko ręczne skrzynie biegów we wszystkich naszych autach. Ale impala to automat. Pomyślałem, że dopóki twoja mama nie wróci z miasta, możemy się tu zabawić. Zrobić coś potajemnie, coś takiego, o czym mama wcale nie musi się dowiedzieć. Jak już pójdiesz na kurs, będziesz najlepszy w grupie. A do tego zrobisz niezłe wrażenie na mamie, kiedy po raz pierwszy wybierzecie się we dwójkę na jazdę. Co ty na to?

Edgar spojrział na Claude'a.

O, pokazał na palcach, gryząc kanapkę.

K, dokończył znak.

Claude obserwował ręce Edgara i na koniec uderzył dłonią w stół.

— Świetnie — powiedział. — Kończ to jedzenie, synu, czas chwycić za kierownicę. Całe twoje życie się zmieni. — Zaszleścił zwijaną gazetą, podniósł się i zakręcił kluczykami na palcu. Edgar odłożył resztki kanapki na stół, wstał i wyszedł z Almondine depczącą mu po piętach.

Impala zaparkowana była przodem do drogi, koła po stronie kierowcy stały na trawie. Claude otworzył drzwi od strony pasażera i już miał wsiąść, ale zobaczywszy Almondine, przechylił fotel do przodu i powiedział:

— Wskakuj, kochana. Twój chłopiec zaraz cię zadziwi. — Po chwili dodał coś jeszcze. Z przedramieniem wspartym na dachu samochodu patrzył na drogę. Postukał dłonią w metal. — To jest właśnie coś, czego Gar nigdy by nie zrobił — rzekł. — On trzymałby cię pod kontrolą, jak długo by się dało.

Almondine wskoczyła na miejsce z tyłu. Ziejąc, patrzyła z samochodu na Edgara. Już od chwili kiedy Claude wypowiedział słowo „synu”, Edgar słyszał dzwonięcie w uszach, a teraz miał wrażenie, że coś wiszącego na włosku właśnie się w nim zerwało.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy.

Wychodź, pokazał Almondine. Zostajesz w domu.

304

Patrzyła na niego i tylko ziała.

Chodź, pokazał. Cofnął się o krok. Kiedy Almondine zgrabnie wyszła z samochodu, zaprowadził ją po schodkach ganku do kuchni. Kucnął przed nią, przeciągnął dłonią po jej łbie i kryzie, a potem długo wpatrywał się we wspaniałą wzór złota i brązu w jej tęczęwkach. Jesteś grzeczną dziewczynką, pokazał na migi. Wiesz o tym.

Następnie zamknął drzwi i wrócił do samochodu. Claude stał, ob-

serwując go znad niebieskiej powierzchni dachu. Umieszczone z boku samochodu trzy małe wloty powietrza skojarzyły się Edgarowi ze skrzelami rekina.

Ruszajmy.

Nie dbał o to, czy Claude zrozumiał ten znak. Ruchy ciała Edgara same mówiły za siebie.

Claude opadł na kubełkowy fotel pasażera. Opuścił szybę, a Edgar zrobił to samo.

— Odróżniasz pedał gazu od hamulca, nie? Wszyscy to wiedzą.

Podał Edgarowi kluczyki. Edgar przyjrzał się im w świetle i na próbę nacisnął pedał gazu.

— Nie trzeba pompować paliwa — powiedział Claude. — Zalejesz silnik.

Kluczyk gładko wsunął się w stacyjkę, rozrusznik impali zaterkotał i silnik ryknął, budząc się do życia. Edgar nieco zbyt długo trzymał przekręcony kluczyk, toteż rozległ się potworny zgrzyt. Puścił klucz, ale zobaczywszy minę Claude'a, ponownie go przekręcił. Zdjął nogę z pedału gazu i postawił ją na podłodze, słuchając wolnych obrotów silnika.

Claude zaczął coś mówić, ale Edgar nie zwracał na to uwagi. Spróbował nacisnąć pedał hamulca, poczuł, jak poddaje się pod jego stopą.

Drażek zmiany biegów znajdował się w kolumnie kierownicy. Pomarańczowa końcówka wskaźnika biegów umieszczona była pod prędkościomierzem. Już wcześniej widział, jak to robią kierowcy aut z automatyczną skrzynią biegów; przyciągnął drążek biegów i ustawił w pozycji D.

Samochód zaczął się toczyć do przodu.

— Doskonale — odezwał się Claude. — Łatwo i przyjemnie.

W porównaniu do prowadzenia Alicji, kierownica obracała się dziwnie gładko, jak naoliwiona. Edgar zastanawiał się, czy w impali jest

wspomaganie kierownicy. Jednak jeszcze dziwniejsza zdawała się mu
305

rozciągająca się przed nim ogromna płaska maska. Przyzwyczajony był do wąskiego pomarańczowego wydłużonego prostokąta z kominkiem wypływającym czarny dym. Miał wrażenie, że kieruje zza wielkiego niebieskiego stołu. Przytłumiony warkot silnika zdawał się dochodzić z daleka. A do tego nie widział, co robią przednie koła — musiał kierować na wyczucie.

— Bardzo dobrze — stwierdził Claude. — Teraz zjedź powoli podjazdem i zobaczmy, czy coś nie nadjeżdża. Skręć w lewo i jedź w kierunku Corners, żeby twoja mama nie przyłapała nas, kiedy będzie wracać do domu.

Edgar spojrział na niego i skinął głową. Zaczął naciskać pedał gazu i już po chwili, nawet nie zdając sobie sprawy, że podjął taką decyzję, jego stopa naciskała coraz bardziej, zaskakująco daleko, aż oparła się o podłogę.

Impala ryknęła. Autem zarzuciło na ziemi i żwirze podjazdu. Edgar mocno trzymał kierownicę i starał się mniej więcej w prostej linii prowadzić mknący do przodu samochód — może po prawej trochę zahaczał o trawę, ale lepiej tak, niż otrzeć się o dom.

— Hola, synu. Chwyciłeś tygrysa za ogon — wykrzyknął Claude, parafrazując słowa piosenki country. — Popuść! Zwolnij nieco! — dodał. W mig dojechali na koniec podjazdu. Edgar ciekaw był, z jaką prędkością jadą, lecz nie miał czasu spojrzeć na prędkościomierz, tyle rzeczy działo się naraz. Po pierwsze, z prawej strony szybko zbliżały się drzewa w sadzie. Po drugie, wykręcał szyję, żeby zobaczyć oddalającą się za tylną szybą stodołę, co nie było takie łatwe z nogą dociskającą pedał gazu. Kiedy ponownie spojrział do przodu, dłuższą chwilę się

zastanawiał, zanim zdecydował się nie wpakować samochodu prosto w las po drugiej stronie podjazdu, ponieważ zdawał sobie sprawę, że nie jadą aż tak szybko. Na drodze będą mogli zdecydowanie bardziej przyspieszyć. Kiedy za boczną szybą migła rozmyta ostatnia jabłoń, zaczął kręcić kierownicą.

Claude przestał już krzyczeć: „Hola!”, jakby jechali wozem zaprzęgniętym w konie, i wyciągnął rękę, żeby odbić kierownicą w lewo. Przez chwilę mocowali się, nie mogąc dojść do porozumienia, w którym momencie wyprostować kierownicę; Edgar uważał, że powinni to zrobić, kiedy skrzynka na listy znajdzie się w samym środku przedniej szyby, natomiast Claude wolał zrobić to wcześniej. W końcu osiągnęli kompromis. Przód impali przesunął się w lewo, samochód wykonał bardzo elegancki poślizg i obrócił się w poprzek drogi, prawie zupełnie, przy akompaniamencie ogłuszającego łoskotu żwiru miażdżonego pod kołami i wyrzucanego na blachy nadwozia. Claude już obiema rękami trzymał kierownicę; on dokładnie wiedział, w jakim kierunku powinni zmierzać.

W porządku, pokazał na migi Edgar, ty kierujesz.

Odsunął rękę, jednak nie podniósł stopy wciskającej pedał gazu w podłogę. Zwolniony z obowiązku pilnowania drogi, mógł ponownie odwrócić się i patrzeć przez tylną szybę; rozkosznie było obserwować drogę zwężającą się jak szeroki brązowy pas wyciąganego z bagażnika toffi. Mógł też sprawdzić wskazania prędkościomierza. Nie wiedział, czy urządzenie się nie myli; trudno było uwierzyć, że już jechali ponad osiemdziesiątką — nawet nie dotarli do linii ogrodzenia. Może tylko koła buksowały na żwirze. Ale z drugiej strony, gdy Claude naprowadził auto na środek drogi, rzeczywiście poruszali się bardzo szybko. Claude kiedyś powiedział, że ten samochód ma ponad czterysta dwa-

dzieńcia koni. Edgar myślał, że to dobrze; to chyba znaczyło, że jeździ szybko, bardzo szybko.

Powietrze huczało przez otwarte okna.

Może posłuchamy muzyki? zapytał na migi.

Claude coś krzyczał o pedale gazu. Edgar sięgnął mu ponad ramieniem i włączył radio. Przez ryk silnika usłyszał stalowy brzęk gitary.

Muzyka country, pokazał na migi. Moja ulubiona.

Nacisnął jeden z wielkich czarnych przycisków programowania stacji i zmienił kanał, potem następny.

Nie lubię, jak mówisz do mnie „synu”, pokazał. To nieprawda. Nie jestem twoim synem.

Wyłączył radio.

— Nie rozumiem, co mówisz — odrzekł Claude. — Zdejmij nogę z gazu.

Prawdę mówiąc, pokazał Edgar na migi, w ogóle nie podoba mi się, że jesteś w moim domu.

Claude wyciągnął rękę i próbował zmienić bieg na luz, ale Edgar ponownie wziął kierownicę w dłonie i obrócił nią w lewo. Samochodem

306

307

zakręciło na żwirze, przednia szyba wypełniła się kępą klonów. Claude puścił drążek zmiany biegów i obiema rękami chwycił za kierownicę; ku zdumieniu Edgara po raz kolejny zdołał ustawić auto wzdłuż osi drogi.

Strzałka prędkościomierza znajdowała się już w połowie między liczbami sto piętnaście a sto dwadzieścia. Impalą trzęsło, jakby jechali po pasie łożysk kulkowych. Jeszcze nigdy tak szybko nie pędziłem samochodem, pomyślał Edgar, a smaczku dodawało to, że jechali po zwi-

rowce. Przy tej szybkości dosłownie pochłaniali drogę; widział przed sobą miejsce, w którym gruntowa droga łączyła się z szerokim łukiem nawierzchni bitumicznej, ciągnącej się potem dalej na północ i zakręcającej ostro na wschód do Popcorn Corners. Przed sobą mieli mały mostek nad potokiem i Edgara zaciekawiło, czy uda im się rozpędzić impalę do stu dwudziestu na godzinę, zanim tam dotrą. Nie zdążył się jeszcze dobrze nad tym zastanowić, a już tam byli. Autem szarpnęło, a gdy ponownie znalazło się na ziemi, Edgar miał wrażenie, że jego ciało nadal szybuje w powietrzu, chociaż oczy opadły na ziemię.

Uśmiechnął się do Claude'a i zerknął na prędkościomierz. Udało się osiągnąć sto dwadzieścia. Ku wielkiemu rozczarowaniu Edgara maska samochodu była zmatowiała. Przy ładnej pogodzie z pewnością pięknie byłoby oglądać obłoki przesuwające się po rozpościerającym się przed nimi błękitnym zwierciadle. Jakby się leciało w niebo.

— Dobra — odezwał się Claude. Szybko nabrał wprawy w kierowaniu z fotela pasażera. Prawie w ogóle nie chwiali się na boki, i całe szczęście, bo droga była wąska.

— Dobra — powtórzył. — Ty tu rządzisz. Czego chcesz?

Edgar sam się nad tym zastanawiał. W rzeczywistości nie miał żadnego planu. W końcu pomysł z przejażdżką wyszedł od Claude'a. A w jego głowie wciąż huczało. Wariował od tego, nawet uderzał się w czoło nasadą dłoni, żeby to powstrzymać. Nic nie pomagało, tyle że teraz był przynajmniej powód dzwonienia w głowie. Odwrócił się i uśmiechnął z zakłopotaniem do Claudea.

Może zajedziemy aż do Popcorn Corners, pokazał na migi. Rutynowy przelot, jak to mówią.

— Nie rozumiem cię — powiedział Claude. — Wiesz, że nie potrafię...

P-O-P-C-O...

— Przestań mi tu, kurwa, pokazywać pieprzone literki na paluszkach — krzyknął Claude. — I zdejmij nogę z gazu.

I nim Edgar zdążył zareagować, Claude sięgnął obok niego ręką i przerzucił dźwignię biegu na pozycję luz. Ze swojego miejsca Claude nie widział wskaźnika biegów na desce rozdzielczej, więc musiał zgadywać i z łatwością mógł się pomylić, wrzucając wsteczny. To była naprawdę ciekawa ewentualność, której Edgar wcześniej nie brał pod uwagę. Co się dzieje, kiedy przy prędkości stu kilometrów na godzinę wrzuca się wsteczny bieg? Niech będzie przy dziewięćdziesięciu. Albo i osiem...

Silnik impali, ryczący na biegu, zaczął teraz wyć, jakby miał wyskoczyć spod maski. Claude przekręcił klucz i silnik zgasł. Potoczyli się jeszcze kawałek i w końcu zatrzymali. Przez chwilę słychać było tylko ich sapanie i jakieś stukanie czy dudnienie. Edgar spojrzął w dół i zobaczył, że to jego stopa nerwowo pompuje pedał gazu. Ciągający się za nimi pióropusz dymu dogonił ich i minął, spowijając samochód suchą brunatną mgłą. Z chłodnicy dobiegało ciche tykanie.

Kiedy nauczę się parkować przy krawężniku? zapytał na migi Edgar. Podobno to trudne.

Claude wyjął klucz ze stacyjki i rozsiadł się w fotelu pasażera. Choć najprawdopodobniej nie zrozumiał znaków Edgara, głośno się roześmiał. Już po chwili zarykiwał się ze śmiechu i uderzał dłońmi po kolanach. Edgar wysiadł z samochodu i zaczął iść drogą z powrotem w stronę domu, odległego o dwie czy trzy mile. Za plecami usłyszał zatraskiwanie drzwi po stronie pasażera i chrzęst kroków na żwirze. Rozrusznik impali zawył i umilkł, ponownie zawył i umilkł.

Edgar nie uszedł jeszcze daleko, gdy Claude zawrócił samochodem i po chwili auto toczyło się obok Edgara. Silnik wydawał bolesny dźwięk,

a pod maską coś stukalo i trzeszczało. Ua-ting! Ua-ting! Ua-ting! Ting-tingtingtingtingtingtingtingting!

— To chyba nie był najlepszy pomysł z tą jazdą — odezwał się

Claude. — Nie masz pretensji?

Edgar szedł dalej.

— Skoro tak sobie miło spacerujesz, może byś pomyślał o tym, że łączą nas pewne osoby. Na przykład twoja matka.

I mój ojciec, odparł na migi.

308

309

Claude nie mógł się powstrzymać, żeby nie spróbować odczytać znaków Edgara, chociaż wykonał je bardzo szybko. Impala sunęła powoli obok, a Claude w głowie powtarzał sobie te gesty.

— Tak, również — odparł Claude, zgadując. Następnie dodał gazu, auto zastukało i zaterkotało po drodze. Przejechał jeszcze z pół mili w stronę domu, po czym samochód ponownie się zatrzymał z poślizgiem i Claude wysiadł.

— Jesteś taki sam jak twój ojciec! Szlag by to trafił! — krzyknął, kopiąc żwir. Odwrócił się i wsiadł do samochodu, który po chwili odjechał z rykiem silnika.

Trudi

Gdyby nie dręczące ją po drodze do Mellen myśli, Trudi mogłaby się cieszyć tą jazdą, bo był to jeden z tych idealnie ciepłych czerwcowych dni, kiedy słońce dotykało skóry człowieka zmysłową kojącą dłonią. Zazwyczaj lubiła słuchać radia, ale łatwiej było jej skupić się, słuchając szumu powietrza za oknem, a teraz rozmyślała o Edgarze. Wyczuwała w nim jakiś bunt, którego nie mogła zrozumieć. Wiedziała tylko, że chodzi o Claude'a. W zeszłym tygodniu trzy razy odmówił powrotu na noc z psiarni do domu

i spał na strychu. A kiedy próbowała o tym z nim porozmawiać, albo odchodził, albo stał, zamykając się przed nią, jak to tylko Edgar potrafił. Zawsze trudno było go zrozumieć, to prawda, nawet gdy był małym chłopcem, tak skrytym i stoicko spokojnym, że wręcz nie mogła tego pojąć. Jako niemowlę prawie w ogóle nie płakał. Almondine zaspokajała jego potrzeby częściowo jako niania, częściowo jako posłaniec. Nauczyciele jego stoicyzm przypisywali brakowi głosu, ale Trudi wiedziała, że jest inaczej. W rzeczywistości już kiedy miał zaledwie rok, niesamowicie niecierpliwie starał się komunikować ze światem. W wieku dwóch lat przyswoił sobie niezgrabnie demonstrowane podstawy języka migowego i ku jej zdumieniu zaczął tworzyć własne słownictwo. W pewnym okresie — pamiętnym, bo bardzo wyczerpującym — domagał się, żeby nazywała wszystko dookoła przez cały dzień, odkąd rano podniósł powieki po moment, gdy zamykały się, a on zasypiał ze zmęczenia. Przykładał się do tego tak przerażająco zawzięcie, że chociaż osobiście odczuwała jakąś perwersyjną matczyną dumę, nie była w stanie uwierzyć, że tego typu obsesja jest czymś normalnym. W końcu w akcie samoobrony wręczyli mu słownik i zaczął nadawać szczeniakom imiona.

I

311

Od samego początku był też bardzo otwarty, inteligentny i zadawał zaskakująco wnikliwe pytania. Obserwowała go, gdy przyswajał nowe pojęcia, i zastanawiała się, jaki będą miały na niego wpływ, ponieważ w przypadku Edgara w ten czy inny sposób wszystko w końcu się uzewnętrzniło. Za to sam proces, w jaki komponował swój obraz świata, był dla niej niepojętą tajemnicą. Jej zdaniem było to jedyne rozczarowanie w wychowywaniu dziecka. Wyobrażała sobie, że Edgar znacznie dłużej będzie dla niej przejrzysty, będzie stanowił część jej osoby. Jed-

nak mimo wynikającej z codziennych zajęć fizycznej bliskości już dawno stał się dla niej wielką zagadką. Wciąż był przyjacielem. I ukochanym synem. Ale gdy przychodziło do poznania jego myśli, potrafił być nieprzejrzysty jak głąz.

Doskonałym przykładem było Boże Narodzenie, gdy Edgar miał pięć lat. Zaczął wówczas chodzić do przedszkola. Co rano stali razem na końcu podjazdu i patrzyła za nim, jak wsiadał do szkolnego autobusu, a potem, gdy wracał w południe, wysoko unosił ręce na powitanie Almondine, która niemal przygniatała chłopca do ziemi, ledwo zdążył wysiąść z autobusu, robiąc takie widowisko, że inne dzieci wykrzykiwały z okien autobusu jej imię. Tej jesieni Edgar był bardzo przejęty kontaktami z dziećmi, lecz niewiele mówił jej o przedszkolu, więc sama musiała go sondować. Co robili danego dnia? Czy przedszkolanka była miła? Czy czytała im opowiadania? Potem nakłaniała go, by opowiedział usłyszaną historię. Czasami potrzebny był znak, jakiego jeszcze nie używał, więc wspólnie szukali go w słowniku, a jeśli takiego nie było, od razu go wymyślali. W grudniu usiadł przy kuchennym stole, napisał list do Świętego Mikołaja i zakleił kopertę, nim zdążyła go przeczytać. Musiała odczekać, aż Edgar zaśnie, żeby otworzyć kopertę nad parą.

U góry listu napisał: „Zegarek kieszonkowy NA ŁAŃCUSZKU”.

Zupełnie ją to zaskoczyło. Znał się już na zegarku— nauczył się tego w wieku czterech lat — ale nigdy wcześniej nie okazywał chęci posiadania własnego. Przez kilka długich tygodni włączał informacje o czasie do wszystkich swoich wypowiedzi: „Piętnaście po szóstej zjemy kolację”, „Gdy skończę kąpiel, będzie ósma trzydzieści”... Jednak dosyć szybko przestał się tym ekscytować albo po prostu obsesja na punkcie podawania godziny weszła mu w krew i jakoś się utaiła. W każdym razie zegarek był najważniejszy na liście, zdecydowała więc, że Edgar znaj-

dzie go pod choinką. Wraz z Garem wyszukali zakład zegannislrzowski w Ashland, zegarmistrz pogrzebał na zapleczu i wyciągnął siary zegarek kieszonkowy, który mógłby się nadać dla chłopca (należało go chyba zresztą z góry spisać na straty). Przede wszystkim jednak miał długi łańcuszek. Pokrętko służące do nakręcania było misternie molutowane, a na mosiężnej kopercie wygrawerowany był kwiatowy wzór litery C. Ta litera spodobała się Trudi. Mogli powiedzieć, że C oznacza Christmas, Boże Narodzenie. Sprzedawca oświadczył, że po nakręceniu zegarek będzie chodził prawie cały dzień; może spóźniać się o pięć czy dziesięć minut, ale chłopcu to wystarczy — a nawet lepiej, bo będzie mógł często go nastawiać i nakręcać. Zapakowali zegarek, położyli go pod choinką i tak wszystko urządzili, że małe pudełeczko w zielonej folii było ostatnim, które Edgar otworzył. Popatrzył na leżący w dłoni zegarek i uśmiechnął się dokładnie tak, jak sobie wymarzyła, po czym wsunął go starannie do kieszonki piżamki.

— Nawet go nie otworzysz? — wykrzyknęła Trudi. — Naciśnij tę małą dźwigienkę! Popatrz na wskazówki!

Wyjął go z kieszonki i pozwolił, aby mu pokazali, jak się nakręca mechanizm i ustawia godzinę. Patrzył uważnie, lecz kiedy skończyli, zamknął kopertę i ponownie wsunął zegarek do kieszonki. Później przez prawie tydzień nie widzieli zegarka, aż raz Trudi weszła do salonu i zastała Edgara wymachującego zegarkiem tam i z powrotem przed oczami siedzącej Almondine. Suka dyszała, w skupieniu wodząc wzrokiem za kołyszącym się czasomierzem. Edgar zdał sobie sprawę, że ktoś jest w pokoju, i odwrócił się.

To nie działa na psy, pokazał na migi.

— Próbujesz ją zahipnotyzować? — zapytała Trudi. — To dlatego

chciałeś zegarek?

Skinął głową. Chodź, polecił na migi Almondine. Lepiej podziela na szczeniaki. Włożył kurtkę i pomaszerował do psiarni, zostawiając Trudi stojącą z otwartymi ustami.

Wówczas właśnie uzmysłowiła sobie, jak jej syn wewnątrz przeżywa rzeczy, o których ona nie miała żadnego pojęcia. Pięciolatek, dopiero poszedł do przedszkola! Nie miała pojęcia, gdzie mógł usłyszeć o hipnozie. Nie przypominała sobie niczego w telewizji, co mogłoby podsunąć mu taki pomysł. Wydawało się jej też, że w żadnej z jego książek nie było

I

o tym wzmianki. Gdziekolwiek się o tym dowiedział, całymi tygodniami, a może nawet miesiącami nosił ten pomysł w głowie, ani razu o tym nie wspominając. Tylko patrzył, myślał, zastanawiał się. Taki już był. Zdała sobie sprawę, że w pewnym sensie już go utraciła — w pewien zasadniczy sposób już z niej wyrósł. Nie starał się niczego przed nią skrywać. Gdyby wiedziała, że ma zapytać, czy interesuje go hipnoza, opowiedziałby jej o tym. Nie informował jej, ponieważ o to nie pytała.

Nasuwało się oczywiste pytanie: O czym jeszcze Edgar myślał? Czego jeszcze zdążył się nauczyć, o czym oni nie wiedzieli?

Kariera Edgara jako hipnotyzera trwała kilka tygodni. W apogeum swojej działalności drogą hipnozy nakłonił małego Aleksa Franklina, by rzucił śnieżką w ucho przedszkolanki. Kiedy Trudi próbowała się dowiedzieć czegoś więcej, okazało się, że tak twierdził Alex Franklin. Edgar powiedział tylko chłopcu, będącemu pod głębokim wpływem kołyszącego się czasomierza, żeby ugryzł kawałek śnieżki z dosyć poźółkłego śniegu. Natomiast Alex wyciągnął ręce jak potwór Frankenstein, ruszył w stronę przedszkolanki, zrobił zamach i rzucił. Edgar

nie spodziewał się tego. Później wyznał, że cała ta hipnoza jest bardzo nieprzewidywalna.

Wówczas odbyli rozmowę na temat odpowiedzialności. Podobnie jest z psami, powiedziała Trudi. Jeśli każesz im coś zrobić, ty jesteś odpowiedzialny za to, co później się wydarzy, nawet jeśli skutek jest niezamierzony. W przypadku psów ponosisz szczególną odpowiedzialność, podkreśliła, ponieważ one darzą cię tak dużym szacunkiem, że zrobią to, co im każesz, nawet jeśli dla nich będzie to absurdalne. Jeśli chcesz, żeby ci ufały, za każdym razem powinieneś brać za wszystko odpowiedzialność.

A potem pozwoliła, żeby spróbował ją zahipnotyzować, lecz nie robiła się coraz bardziej senna. Był rozczarowany, ale nie potrafiłaby go okłamać. Podobnie Gar. I Almondine, a także wszystkie szczeniaki (które chciały wytrącić mu zegarek z ręki i pogryźć go na kawałki). W końcu Edgar zupełnie dał sobie z tym spokój, chociaż zegarek wciąż nosił. Raz na jakiś czas otwierał kopertę, porównywał czas ze wskazaniami kuchennego zegara i nastawiał swój, Trudi jednak podejrzewała, że robi tak tylko w ich obecności. Zanim jeszcze śnieg zupełnie stopniał tej wiosny, znalazła zegarek zagrzebany w dolnej szufladzie jego komody,

wśród wzruszająco małej białej bielizny oznaczonej logo „Fruit of the Loom”.

Jeśli w wieku pięciu lat Edgar był skryty i nieprzenikniony, obecnie stanowił już dla niej absolutną tajemnicę. Od śmierci Gara chodził jakklunatyk, raz sprawiając wrażenie rozgniewanego, aby zaraz po chwili zrobić się ponury, a chwilę później zamyślony i szczęśliwy. Jedyne prace z własnym miotem zdawała się absorbować jego uwagę. Mówiła sobie, że nie powinna się tym przejmować. W końcu mógłby brać narkotyki (gdyby

można je znaleźć w Mellen, w co raczej wątpiła). Skoro naprawdę chce spędzać dni i noce w psiarni, dlaczego mu na to nie pozwolić?

Prawdę mówiąc, ta ostatnia mania zaczęła się długo po śmierci

Gara, w ostatnich kilku tygodniach roku szkolnego, kiedy zaczął uciekać z lekcji. Rozmawiała z dyrektorem szkoły. Nie chciała, żeby wzięli się za niego i na dobre obrzydili mu szkołę, kiedy musiał zmagać się z czymś w najtrudniejszym — tego była pewna — okresie jego życia. Był teraz nad wyraz wrażliwy i nieodpowiednie potraktowanie tego buntu mogło tylko go pogłębić. Nie uważała bynajmniej, że nauka płynąca z tresury psów zawsze może być wykorzystywana w przypadku ludzi, ale z natury rzeczy jeśli się kogoś, czy psa, czy chłopca, karało za zbliżanie się do czegoś, i pies, i dziecko nabierało przekonania, że to coś jest złe. Zbyt wiele razy oglądała, jak ludzie psują psy, zmuszając je do powtarzania zadań, których psy się bały lub które nawet sprawiały im ból. Jeśli nie wprowadzało się odmiany w tym samym ćwiczeniu, nie potrafiło się do problemu podejść w inny sposób i nie spowodowało, żeby pies cieszył się z tego, co ma zrobić, oznaczało to karygodny brak wyobraźni.

A w tym przypadku można było zastosować tę analogię. Powiedziała dyrektorowi szkoły, że dla niej nie ma znaczenia, czy Edgar w ogóle pojawi się jeszcze w szkole w tym semestrze po tym, co przeszedł, a jeśli będą mocniej go naciskać, sama zabierze go ze szkoły. Zarówno dyrektor, jak i Trudi wiedzieli, że przez te ostatnie tygodnie nauczyciele już tylko wypatrują końca roku szkolnego. Kogo obchodziło, czy on siedzi w klasie i gapi się w okno czy też w ogóle go nie ma? Ile wiejskich dzieciaków wagaruje, pytała, kiedy nadchodzi pora wystawiania żywego inwentarza na okręgowym jarmarku? A zawsze mogła się powołać na potrzebę pomocy w psiarni.

Dochodził jeszcze Claude, którego Edgar nie potrafił zaakceptować. A czy ktoś by potrafił, będąc w jego sytuacji? Po śmierci Gara ona i Edgar bardzo się do siebie zbliżyli, jakby stanowili parę, wspólnie przygotowywali kolacje, razem zwijali się na kanapie przed telewizorem, obejmując się nawzajem. Nieraz zasypiała w tej pozycji. A w inne noce, kiedy to on zasypiał, głaskała go po czole, jakby był malutkim dzieckiem. Nie było więc nic dziwnego w tym, że jest zazdrosny. Może powinna się nieco od niego odsunąć, pozwolić mu na swój sposób poradzić sobie z żalem? Tyle że kiedy ty cierpisz i twój syn cierpi, robisz to, co wydaje się najpotrzebniejsze.

Poza tym ona nie zaplanowała tego układu z Claudeem — nawet w głowie jej to nie powstało, zwłaszcza po tej paskudnej kłótni, do której doszło między nim i Garem (zupełnie dla niej niezrozumiałej — to była sprawa między braćmi, zagrzebana pod zbyt wieloma pokładami rodzinnej historii, żeby Trudi mogła wydobyć to na światło dzienne). To do czego doszło z Claude'em... cóż, po prostu pewnego ranka do tego doszło — ona była załamana, a on wyjątkowo miły. Nie uważała tego za coś złego, później nawet miała wrażenie, jakby zdjęto z niej wielki ciężar — jakby uzyskała zezwolenie na prowadzenie innego życia. Natomiast Edgar nie rozumiał, że od tej chwili wszystko będzie musiało się opierać na kompromisie. Czegoś takiego nie mogłaby głośno powiedzieć, ani Edgarowi, ani nikomu innemu, ale zdawała sobie z tego sprawę. Dane im było mieć coś prawdziwego, wspaniały świat, królestwo, raj na ziemi, a coś takiego się nie powtarza. Kiedy nadarza się druga szansa, nie można wybrzydzać. Tak, Claude oświadczył się jej; było to głupie, bezsensowne i niewarte dyskusji. A przynajmniej nie w tamtym momencie, kiedy tyle było do zrobienia. Wraz z Garem rozmawiali oczywiście o swoich wyobrażeniach, jak powinna zachowywać się ta druga osoba, jeśli jedno z nich umrze.

Ona wprost i szczerze przedstawiała jego obowiązki: „Masz resztę życia spędzić w głębokiej żałobie — powiedziała mu. — Dwa razy w tygodniu masz publicznie płakać. Miło by było, gdybyś wystawił mi świątynię w sadzie, ale zdaję sobie sprawę, że będziesz bardzo zajęty psiarnią i wygłaszaniem wykładów na temat mojej świętości, więc nie będę się przy tym upierała”.

Gar był zdecydowanie skromniejszy w swoich pragnieniach. Chciał, żeby ponownie wyszła za męża, lecz dopiero gdy spotka kogoś, kto uczyni

316

ją szczęśliwą, ani wcześniej, ani później. To był właśnie cały Gar — jeśli zadało się mu poważne pytanie, za każdym razem otrzymywało się poważną odpowiedź. Kochała go za to, a także za wiele innych rzeczy. W przeciwieństwie do Claude'a potrafił z ogromnym zaangażowaniem podchodzić do różnych rzeczy — miał obsesję na punkcie zasad i porządku, który uważał za wartość podstawową. Jak z tymi pełnymi rejestrów szafami na dokumenty. Mówiąc o tym, co miało się zdarzyć, gdyby umarł, zawsze podkreślał znaczenie psiarni; nie wyraził tego wprost, ale widać było, że oczekuje od Trudi, iż ona znajdzie sposób na dalsze prowadzenie hodowli.

Dlatego też Trudi doszła do wniosku, że Gar prawdopodobnie nie sprzeciwiałby się temu, jak sprawy się potoczyły. Zapowiadało się na to, że do końca lata psiarnia powróci do poprzedniego stanu. A w końcu im obojgu najbardziej zależało, żeby druga osoba była szczęśliwa. Może nie wszystkie proponowane przez Claude'a zmiany przypadłyby mu do gustu, lecz Gar wychodził z założenia, że już zawsze będzie hodował w jednej psiarni wyjątkowe psy dla znawców. Natomiast Claude w mniejszym stopniu przejmował się rodowodami, dzięki czemu mógł szerzej pomyśleć o innych sprawach.

Tymczasem trzeba baczniej przyjrzeć się Edgarowi, dopilnować, żeby udało mu się przejść ten zły okres. Bo nie było to nic innego — tylko zły okres. Nic poważnego się nie działo.

Wiedziałyby o tym od razu, gdyby było inaczej.

Popcorn Corners

Następnego dnia Edgar ponownie wybrał się do Popcorn Corners, ale tym razem sam, na rowerze. Pod byle pretekstem wymykał się z domu, kiedy był w nim Claude, który ostatnio bywał tam cały czas.

Wsunąwszy do tylnej kieszeni spodni zdjęcie Claude'a i Forte'a, Edgar popedałował na północ, pokonując tę samą drogę, którą wcześniej jechał z Claude'em, wzdłuż cienkiej zwirowej linii przecinającej las Chequamegon. Jakaś lokalna wywrotka minęła go z rykiem, ciągnąc za sobą płowe tumany pyłu. W powietrzu wciąż jeszcze pełno było kurzu, kiedy Edgar dotarł na bitumiczną nawierzchnię i zjechał na wąską leśną dróżkę. Minął bagna, gdzie aż roilo się od żab i węży, a później żółwia, który mozolnie posuwał się między rowami jak żywy kołpak samochodowy, dysząc z rozwartym pyskiem w kształcie dziobu.

W oddali dojrzał znak stopu. Kiedy do niego dojechał, zlustrował wzrokiem całe Popcorn Corners: karcznię, sklep spożywczy, trzy podobnie zrujnowane domy, kilka zdziczałych kurczaków żyjących w przepustach. Przetoczył się obok karczmy przyozdobionej szyldem piwa Hamm's Beer, podświetlonym, żeby ukazać piwnego misia łowiącego ryby w połyskującej Krainie Wód Błękitnych Jak Niebo, i zatrzymał się przed sklepem spożywczym, którego ściany pokryto nierówno ułożonymi białymi deskami, jakby przykrywając jakieś głębokie wykrzywienie drewnianej konstrukcji budynku. Para gigantycznych jesionów rzucała cień na witrynę sklepową i na pojedynczy staromodny dystrybutor, przechylony na bok wśród chwastów.

Mały parking był pusty. Edgar położył rower na ziemi i pociągnął za drzwi z siatką, obracając je wzdłuż wygrzebanego w ziemi śladu w kształcie ćwiartki koła. Przed nim, za długą żłobioną drewnianą ladą, siedziała Ida Paine, obdarzona jastrzębim nosem dalekowzroczna właścicielka sklepu. Stojący za nią regał wypełniały stosy kartonów z papierosami — czerwono-białe lucky strikes, morskie newports, camele w kolorze pustyni. Nastawione na stację w Ashland brzęczące radio podawało wiadomości. Edgar uniósł rękę na znak powitania. Ida w milczeniu odpowiedziała tym samym.

Znali się z Idą od dawna, choć tylko z widzenia. Pamiętał, jak ojciec przynosił go do tego sklepu, kiedy Edgar dopiero raczkował. Choć Ida nigdy słowem się do niego nie odezwała, on mógł patrzeć na nią bez końca. Lubił zwłaszcza obserwować jej dłonie, kiedy wbijała na kasie kolejne pozycje zakupów. Poruszały się zwinnie i zupełnie niezależnie od siebie, kojarząc mu się z małutkimi bezwłosymi małpkami. Jej prawa ręka przesuwiała towary po ladzie, kiedy lewa tańczyła po klawiszach wiekowej maszyny sumującej. A nieruchome oczy Idy mierzyły klientów z góry na dół źrenicami powiększonymi do wielkości ćwierćdolarówek przez okulary z soczewkami jak spodeczki. Po każdej wprowadzonej pozycji jej lewa dłoń uderzała w dźwignię maszyny sumującej z taką siłą, że mogłaby wybijać numery na dębowej belce.

Miejscowi byli do tego przyzwyczajeni, ale przyjezdni czasami zupełnie głupieli. „Wszystko?” pytała, kiedy już podsumowała zakupy, przechylając głowę i patrząc tak, że nie mogli się ruszyć. „Coś jeszcze?”. Żyłaste palce lewej ręki uderzały w klawisze maszyny i przeskakiwały na dźwignię. Bum! Ten łomot nieźle ich przerażał. Choć może chodziło o przekrzywienie głowy. Ludzie potrafili się zatrzymać i zastanawiać, czy rzeczywiście to już wszystko. Pytanie zaczynało się odbijać echem

w ich głowach, jak metafizyczna zagadka. Czy miało być coś jeszcze? Zastanawiali się, czy to przypadkiem nie jest ich Ostatni Zakup; cztery puszki frankfurterek z fasolą, paczka czipsów i pół tuzina spławików. Czy to miało być już wszystko? Czy nie powinni wziąć jeszcze czegoś? A jeśli już o tym mowa, czy udało im się osiągnąć w życiu coś znaczącego? „Nie — odpowiadali, przelękając ślinę i zagładając w bezdenne czarne źrenice Idy — to wszystko”. A czasami mówili: „Hm, paczkę luckych?”. To ostatnie padało jak pytanie, jakby już podejrzewali, że niepoprawna odpowiedź może zrzucić ich w otchłań. Papierosy często przychodzą im na myśl, częściowo dlatego, że Ida sama pali jak szatan, z jej ust stale

318

319

wychodzą białe smugi, łączące się i mieszające z gigantyczną galaktyką dymu zawieszoną nad jej głową. Ale najczęściej kiedy niewtajemniczeni stają przed Idą Paine, zaczynają myśleć, że przyszłość jest przesądzona. Dlaczego więc nie wziąć papierosów?

Kiedy na ladzie Idy lądowało coś, czego ceny nie znała, jej prawa dłoń podnosiła ten artykuł i tak długo nim obracała, aż Ida odkrywała białą nalepkę z fioletowymi cyframi, po czym rzucała okiem na przyklejoną do lady pożółkłą kartę katalogową i beznamiętnym głosem mówiła: „Dzisiaj jest przecenione”. Nigdy nie podawała ceny. Edgar przysłuchiwał się rzucanym przez nią na marginesie uwagom. Jadąc samochodem z powrotem do domu, lubił dopasowywać liczby na nalepkach do pozycji na wydruku z maszyny sumującej, który dostawali przy zakupach. Czasami po zsumowaniu pozycje się zgadzały, jednak częściej wszystko było pomieszane. Raz na próbę podliczył ceny z nalepek. Chociaż żadna z pojedynczych liczb nie odpowiadała pozycjom wydruku, suma dokładnie się zgadzała.

Szedł wzdłuż najdalszej alejki sklepu, obok mleka w puszkach, puszek z makaronem w sosie i płatków śniadaniowych. Nie chciał tu niczego, nie miał też zbyt wiele pieniędzy, lecz włókł się powoli, patrząc po półkach. Wychodzące na ulicę okno przepuszczało mniej światła, niż można się było spodziewać, a głębiej mrok panował jeszcze większy. Nie zdziwiłby się, widząc pająki tkające swoje sieci w najciemniejszych zakątkach, ale w rzeczywistości sklep spożywczy w Popcorn Corners tylko sprawiał takie wrażenie — na pierwszy rzut oka nieuporządkowany i zrujnowany, natomiast kiedy się przyjrzeć, okazywało się, że jest tu czysto i schludnie. Na tyłach mieścił się sklep rzeźniczy, królestwo wychudłego, ubranego w fartuch i białą czapę męża Idy. Kiedy Edgar był mały, wymyślił sobie, że mąż Idy mieszka za ladą chłodniczą, pośród maszynek do mięsa, noży i zapachu schłodzonej krwi i mięsa.

Jego wzrok zawsze przykuwały butelki, zwłaszcza te mniejsze. Wziął do ręki buteleczkę zmywacza do paznokci i przez chwilę niósł ją ze sobą. Znał tylko dwa zastosowania tego płynu — tym drugim było zabijanie motyli, co widział, lecz nigdy sam tego nie zrobił. Kiedy o tym pomyślał, przypominał sobie o Claudzie, Epi i płynie Prestone. Zdejmował z półek buteleczki z sacharyną, z syropem, olejem kukurydzianym, ważył je w dłoni i odkładał z powrotem.

320

Na koniec powrócił do lady. Z radiowego głośnika dobywało się sy-czenie i trzaski, a stojąca do niego tyłem Ida kręciła anteną. Po chwili odwróciła się i skupiła na nim wzrok. Pokazał na stojącą na zewnątrz gablotę z napojami chłodzącymi i Ida skinęła głową. Jej lewa ręka powędrowała w stronę maszyny sumującej, zawisła nad klawiszami i cofnęła się. Edgar sądził, że Ida zada mu jakieś pytanie, ale ona tylko stwierdziła:

— Pięć centów kaucji.

Wrzucił do jej ręki ćwierćdolarówkę i pięciocentówkę. Ida raptownie zatrzymała się, mrugnęła, po czym odwróciła się i wrzuciła monety do szuflady kasy. Po wyjściu na zewnątrz wyjął butelkę coca-coli z czerwonej chłodziarki, za pomocą wielkiego zęba w cynkowanym otwieraczu zdjął kapsel i patrzył na musujące bąbelki. Kiedy tu jechał, na błękitnym niebie pojawiły się chmury, które teraz zaczęły gęstnieć i robić się coraz ciemniejsze. Wiatr niósł resztki wiosennego chłodu.

Otwierane do góry skrzydło okienne przy kasie uniosło się. Twarz Idy Paine za siatką wyglądała szaro.

— Tęsknisz za tatą — odezwała się. — To był dobry człowiek. Tydzień wcześniej zajrzał do sklepu, a ja miałam jakieś przecucie. Nic konkretnego i pewnego. Stale mi się to zdarza. Ludzie podają mi płatki kukurydziane, zupę... — i nic. Apotem podają mi coś małego, aja czuję, jak mną to wstrząsa, tak jest naładowane. Ale to nie jest żadna wiadomość. Ludzie mogą opowiadać, że to jest wiadomość, ale się mylą. Bo rzecz w tym, że gdy dostatecznie długo nad tym się skupiasz, możesz zacząć to odczytywać. Odczytywać substancję.

Przez siatkę dostrzegał kształt jej twarzy, błysk okularów, trzepoczącą smugę dymu wypływającego z nozdrzy.

— Czasami substancja jest dobra — powiedziała. — A czasami zła.

Skinał głową. Pioruny też były gorące i zimne.

— Cóż możesz począć? — ciągnęła. — Nikt nie wie, kiedy coś takiego może się zdarzyć. Nawet waga monety może wszystko zmienić. Pewnego razu przyszedł do mnie mężczyzna i powiedział, że gdyby nie drobne w jego kieszeni, byłby zginał. Chodziło o resztę, którą wydałam mu dzień wcześniej. Coś tam mówił o dziesięciocentówce, która miała odpowiedni

rozmiar, żeby dokręcić śrubkę, a bez tego już by go nie było.

321

Nie oczekiwała od niego odpowiedzi, wiedział o tym. Stał i czekał, aż Ida coś jeszcze powie, i myślał o tych wszystkich sytuacjach, kiedy obserwował jej lewą dłoń przeskakującą po klawiszach maszyny sumującej.

— Kiedy twój tato był tu ostatni raz, kupił mleko i jajka. To wszystko. Jak zawsze wbiłam do kasy mleko, ale kiedy wbijałam jajka, było w nich tak wiele substancji, że gdy ich dotknęłam, miałam wrażenie, jakby chwyciła mnie jakaś ręka. Upuściłam całe opakowanie na podłogę. Twój tato poszedł po drugie. Aż bałam się wbijać te nowe jajka do kasy. I ogarnęło mnie takie przemożne uczucie... prawie nigdy nic takiego mi się nie zdarza... żeby policzyć mu więcej za te jajka, więcej, nie mniej. Więcej, rozumiesz? A przecież nie wolno mi tego robić. Ludzie by się wściekali. Ale twój tato spojrział na mnie i powiedział: „Płacę za oba”. Powinnam wziąć te pieniądze. To byłoby uczciwe. Ale powiedziałam: „Nie, to ja je upuściłam i nie mogę policzyć za dwa”. I kiedy zsumowałam, wyszło dwa dolary, równiutko.

Przez długą chwilę nie odzywała się.

— Równiutko — powtórzyła. — Wówczas widziałam go po raz ostatni. Powinnam przyjść, tylko że nie mogłam. To znaczy, na pogrzeb. Po chwili przechyliła głowę i jednym okiem spojrzała na Edgara jak prastary ptak uwięziony w klatce.

— Dziecko — odezwała się z mroku — chodź tu i pokaż mi, co ze sobą przyniosłeś.

Gotów był już nie wracać. Stał i wpatrywał się w rower, a potem spojrział na pomalowane w tak zwariowany sposób zewnętrzne deski i zastanowiło go, jak to się dzieje, że chociaż każda pojedyncza

deska wygląda na prostą i prostokątną, kiedy patrzy się na nie razem, sprawiają wrażenie przekrzywionych. W końcu otworzył drzwi z siatką i podszedł do lady. Z tylnej kieszeni wyjął fotografię Claude'a z Forte'em i położył ją między nimi na ponacinanym drewnie blatu.

Prawa ręka Idy zbliżyła się po ladzie i uniosła zdjęcie, żeby kobieta mogła się mu przyjrzeć.

— Tego już od dawna tu nie było — powiedziała. Przeniosła wzrok ze zdjęcia na Edgara i z powrotem. — Ale go pamiętam. I te walki psów. — Lewa dłoń położyła pięciocentówkę na ladzie. — Masz tu swoją kaucję — rzekła.

Wyciągnął rękę i postawił butelkę po coli na ladzie. Zanim zdążył ją puścić, ręka Idy, ta od maszyny sumującej, wyskoczyła do przodu. Jej palce z zaskakującą mocą oplótły nadgarstek Edgara i przygwoździły mu rękę do lady. Z kolei jego palce natychmiast się zacisnęły na żłobkowanej butelce. Zanim się zorientował, co się dzieje, druga dłoń Idy wcisnęła zdjęcie Claude'a z Forte'em w jego wolną rękę i zawinęła na nim palce Edgara, zamykając również jego drugą rękę. Następnie nachyliła się do niego nad ladą.

— Sądysz, że uda ci się znaleźć tę butelkę? — odezwała się. — Musisz poszukać butelki. Bo jeśli jej nie znajdziesz, będziesz musiał odejść. Rozumiesz? Będziesz musiał odejść. Tak właśnie mówi substancja.

Nie rozumiał jej. Ani trochę. Twarz Idy znalazła się przerażająco blisko jego twarzy, a jej palce ścisnęły jego pięść tak mocno, że zgniótł trzymane zdjęcie. Unoszący się nad jej głową dym snuł się i kłębił. Oczami duszy oglądał niezrozumiałe obrazy: ciemny brukowany zaułek, pies kuśtykający w deszczu, starszy Azjata bardzo delikatnie trzymający kawałek smukłej trzciny. Edgar spojrział na butelkę coli w mocno zaciśniętej dłoni oraz na małe palce Idy, oplatające jego nadgarstek

jak kajdanki z rozpalonego żelaza, i w tym momencie dostrzegł, że butelka się zmieniła. Przyjęła kształt staroświeckiego flakonika albo kałamarza czy buteleczki z lekiem robionym w dawnych czasach na receptę. W środku połyskiwał oleisty płyn, pryzmatyczny, przejrzysty i kleisty. Szyjka obwiązana była wstążką pokrytą znakami jakiegoś nieznanego alfabetu.

— A jeśli odejdiesz — szepnęła — nie wracaj, za nic. I nie pozwól, żeby wiatr odmienił twoje zdanie. To w końcu tylko wiatr.

Przekrzywiwszy głowę, spojrzała na niego. Mrugnęła. W tym momencie rozpoznał w niej pomarszczoną wersję małej dziewczynki z lokami Shirley Tempie, która stanęła przed nim w restauracji w Mellen i prosiła o wyjawienie nieznanego mu tajemnicy.

„Moja babcia jest taka jak ja. Wiesz, co mówi moja babcia?”

Na ramieniu Idy Paine pojawiła się wielka jak bochen chleba ręka niosąca ze sobą woń krwi i mięsa. Za starą kobietą stał rzeźnik w białym fartuchu usmarowanym czerwonymi smugami szerokości kiełbasy.

— Ido — odezwał się mężczyzna. — Ido.

— To tylko wiatr — powtórzyła. — Nic nie znaczy.

322

323

Jej palce rozprostowały się, uwalniając jego rękę. Jednocześnie Edgar poczuł, jak słabnie jego uścisk na butelce, która ponownie była tylko butelką po coli, a nie tym dziwacznym naczyniem, nad którym się mocowali. Ida pochwyciła ją i opuściwszy brodę na piersi, opadła na stół, oddychając ciężko, przeciągle. Z jej nozdrzy powoli wydobywał się dym. Kiedy jej oczy, powiększone przez szkła okularów, na moment poróżwiały, ponownie ujrzał lalkowatą twarzyczkę dziewczynki.

„Babcia mówi, że zanim się urodziłeś, Bóg powierzył ci tajemnicę,

której inni mają nie znać".

Rzeźnik wyjął butelkę po coli z zaciśniętej ręki Idy i poczłapał na tyły sklepu. Rozległ się brzęk pustej butelki wrzucanej do stojaka. Przez chwilę Edgar stał jak wrośnięty w nielakierowaną podłogę sklepu spożywczego w Popcorn Corners, podczas gdy szumiące radio podawało informacje o giełdowych transakcjach wieprzowiną.

Ani się obejrzał, jak był w połowie drogi do domu, pedałuąc jak szalony po żwirze drogi Town Line.

Zawczasu ostrzeżony nie oznaczało: na czas uzbrojony. Kiedy nadciągnęła katastrofa, rozbudziła w Edgarze tak rozległą i niewinną próżność, że spoglądając później z perspektywy na wydarzenia tamtego popołudnia, tylko samego siebie potrafił obwiniać.

Zbliżał się już do domu, pedałuąc na ostatnie niewielkie wzniesienie, za którym ich pole otwierało się zielenią na zachód, kiedy poczuł przeszywające go drżenie, zaczynające się od dłoni i ciągnące się przez barki i klatkę piersiową. Miał wrażenie, że albo zaraz go zemdli, albo skręci kierownicę w bok i runie na żwir. Nacisnął piętą na torpeda i zataczając się, usiadł w przydrożnych chaszczach.

Dostatecznie przerażające było to, co się wydarzyło, gdy Ida Paine trzymała go za rękę, ale jakby tego było mało, rozbudziło to w nim nagłe, obezwładniające pragnienie, aby powrócić myślami do ojcowskich wspomnień, wspomnień, które tak krótko zatrzymał w pamięci. Zamknął oczy i ścisnął głowę w dłoniach. Słyszał szum deszczu uderzającego w świeżą trawę i czuł, jak tysiące kropeł delikatnym chłodem pieści jego skórę. Przypomniwał sobie ojcowską dłoń przechodzącą przez jego piersi. Własne bijące serce tulone w dłoniach. Obrazy przechodziły przez niego jak przez sito. Walki psów. Pragnienie, aby stanąć między Claude'em i światem. Cała historia, której nie mógł znać. Jednak

istota tych obrazów ponownie była dla niego niedostępna, ulotna jak płomień świecy.

Muszę tam wrócić, pomyślał. Z jej pomocą przypomnę sobie. Ona coś wie o Claudzie — co mówiła o walkach psów? I kim był ten starzec w zaułku? Co trzymał? Ale kiedy przypomniawszy sobie, jak Ida później wyglądała, bezwładnie siedząc na krześle jak stara kobieta, z której zupełnie uszło życie, zaczął się zastanawiać, czy w ogóle pamiętałaby, że z nim rozmawiała. Gdyby zapytał ją o tego starca w zaułku, z pewnością nie wiedziałaby, o czym Edgar mówi. A poza tym nie odważyłby się ponownie przed nią stanąć. Jeszcze długo się nie odważy. Może nawet nigdy.

Przypomniał sobie o fotografii i sięgnął dłonią do kieszeni na pierśsiach. Pusta. Pot wystąpił mu na czoło. W pierwszej chwili pomyślał, że zostawił ją w sklepie. A jeśli tak, to będzie musiał tam wrócić. Leżąc w trawie, jak szalony przetrząsał kieszenie spodni, aż w końcu ją znalazł, zgiętą na pół i niedbale wciśniętą w prawą tylną kieszeń. Zdjęcie było w złym stanie po tym, jak zostało zgniecione w jego pięści konwulsyjnie zamkniętej pod palcami Idy. Warstwa emulsji pokryła się siateczką białych pęknięć biegnących w przeróżne strony. Spróbował je rozprostować. Pomarszczyło się w bezsensowną geometryczną płaskorzeźbę, dzielącą obrazek na trójkąty i trapezy. Jednak głównym tematem nadal pozostawali Claude i Forte. Edgar oparł rękę na kolanie i wyciągnąwszy przed siebie zdjęcie, zaczął mu się przyglądać. Wreszcie ręka przestała mu drżeć i ponownie wsiadł na rower.

Wspiął się na wzgórze, a potem zjechał na toczącym się rowerze po podjeździe domu. Był środek popołudnia. Impala stała zaparkowana za ciągnikiem, a matka Edgara właśnie szła ze stodoły do domu, niosąc w ręku plik notatek z tresury. Zawołała go, gdy obok niej przejeżdżał.

— Edgarze! Czy mógłbyś rozładować samochód? Wczoraj byłam w wytwórni paszy.

Odprowadził rower do magazynu na mleko, żałując, że nie udało mu się wrócić niepostrzeżenie i z Almondine wybrać się gdzieś, gdzie mógłby spokojnie pomyśleć, zanim stanie przed matką lub Claude'em. Na szczęście matka była zajęta; zanim zamknął drzwi do magazynu na mleko, już zdążyła zniknąć w domu. Skręcił za rogiem i wszedł do stodo-

324

325

ły po taczkę. Mijając warsztat, odruchowo zajrzał do środka. Nie szukał niczego szczególnego. Nie miał nawet pojęcia, że ktoś tam może być. Claude stał przed stołem warsztatowym pochylony nad czymś małym, być może nad zaklinowanym zatrzaskiem do smyczy, majstrując przy tym jak zegarmistrz. Almondine leżała na ziemi, lekko przekrzywiwszy biodra, i spoglądała na Claude'a, rozluźniona i zadowolona z siebie, cichutko ziejąc z otwartym pyskiem. Umieszczone wysoko okno warsztatu wpuszczało stożek światła. W powietrzu wisiały drobinki kurzu ze słomy. Wszystko skąpane w grze światła i cieni — barki i głowa Claude'a, sieczka na jego butach, zwisające z tablicy piły i młotki, wkleśnięta krzywizna piersi Almondine, zarys jej łba i uszu, sierp jej ogona przesuwającego się po zakurzonej posadzce. Almondine spojrzała na Edgara sennym wzrokiem, odprężona, a potem ponownie na Claude'a. Całość obramowana framugą drzwi wyglądała jak obraz, choć był to zupełny przypadek, coś nieprzygotowanego i nieplanowanego.

I zdaniem Edgara - pięknego.

Przestał oddychać, jakby pod wpływem tego widoku zabrakło mu tchu. Nagle cała ta sytuacja stała się nie do zniesienia. Z całą jasnością uzmysłowił sobie, że sam jest temu winien, dał się zwieść i przyzwolił

na to, stając się współwinny. Ale w tym właśnie momencie poczuł, jak w jego wnętrzu załamuje się coś ostatniego, coś, co nawet trudno byłoby nazwać. Być może nadzieja na odkupienie. Dla niego. Dla Claude'a. Dla nich wszystkich. A kiedy i to zniknęło, poczuł, że stał się kimś innym, że Edgar, który odłączył się tamtego pierwszego ranka po deszczu, w końcu powrócił i w tym nowym stanie, jako nowa osoba, uwierzył, że Almondine postąpiła niewybaczalnie, ponieważ w tak pięknej i pogodnej pozie uzupełniała prosty obrazek, jakby miejsce Claude'a było tam, gdzie stał, kiedy w rzeczywistości było zupełnie gdzie indziej. W więzieniu. Albo jeszcze gorzej.

Zmusił się, by ruszyć z miejsca. Chwycił za taczkę stojącą na końcu stodoły i potoczył ją przed sobą wzdłuż przejścia między kojcami aż na podjazd. Almondine truchtała obok niego. Pchnął taczkę, odwrócił się i uniósł dłoń nad głowę, dając Almondine znak, żeby usiadła.

Przez moment patrzyła na niego, po czym opadła na ziemię.

Odwrócił się i kopnął taczkę, tak że jej podpórki wzbily tuman kurzu z podjazdu. Almondine podniosła się i podeszła do przodu, na co Edgar

326

odwrócił się na pięcie, podniósł ją za kryzę, aż jej przednie łapy oderwały się od ziemi, i zaczął nią trząść, potrząsać i tarmosić. Następnie puścił ją, kazał jej sięść i odwrócił się. Załadował ciężkie worki z wapnem niegaszonym na taczkę, na wierzchu poukładał na krzyż torebki z karmą, obszedł taczkę i chwyciwszy za rączki, odjechał nią od pikapu. Zamierzał po prostu odejść, nie zwracając uwagi na Almondine, lecz w ostatniej chwili odwrócił się i ukląkł. Dłonie i ramiona tak mu dygotały, że omal nie stracił równowagi.

Przepraszam, pokazał na migi. Przepraszam. Ale musisz tu zostać.

Zostań.

Chwiejąc się na nogach, pchał przeładowaną taczkę po podjeździe. Kiedy próbował skrócić nią w stronę stodoły, przechyliła się i torebki pozlatywały na ziemię. Jedna pękła i wysypała się z niej zawartość. Edgar z wściekłością rozkopywał karmę, aż utworzyła na ziemi brunatny pas. Schylał się i rzucał pełnymi garściami karmy w stronę lasu, dopóki nie brakło mu tchu. Po chwili wyprostował taczkę, załadował wszystkie całe torebki i z wysiłkiem ruszył do przodu. Potem wyłonił się ze stodoły z brzęczącymi w taczce grabiami. Zgarnął na stos rozrzuconą karmę i rękami powrzucał ją do taczki. Zajęło to dużo czasu. Plamy tańczyły mu przed oczami, jakby za długo wpatrywał się w słońce.

Kiedy w końcu wyszedł ze stodoły, Almondine zgodnie z poleceniem nadal leżała za pikapem. Minął ją, idąc do domu krokiem niepewnym i chwiejnym, jakby jego kręgosłup stopił się w kamienną kolumnę, i pokazał jej, że może wstać.

Przy schodkach ganku odwrócił się. Almondine stała w słońcu i ziewając, z wyprostowanym ogonem patrzyła na niego.

Idź sobie, pokazał, Możesz iść. Idź sobie. Zmykaj!

Zanim zdążyła się ruszyć, wszedł po schodach na ganek i zniknął w domu.

Teksańczyk

Dręcząca Edgara tej nocy bezsenność przekraczała wszystko, czego dotychczas doświadczył, była jak chochlik panoszący się w jego pokoju, w jednej chwili pobudzający go do samooskarżeń, a zaraz potem do białej wściekłości. Widok Almondine leżącej jak głupiotki szczeniaka u stóp Claude'a zranił w Edgarze coś tak mu bliskiego, tak jasnego i bolesnego, że nie mógł na nią patrzeć. Siedział na łóżku, ciskając oskarżenia, argumenty za i przeciw, czując w piersiach serce rozpalone jak tłok, a jego myśli wirowały niczym muchy wokół fosforyzującego płomienia. Powinien

był działać tamtego poranka, jak tylko zrozumiał, co Claude zrobił. Już miał młotek w dłoni. A on zaczął się wahać i zwątpił, buzujące w nim płomienie przygasły i pozostały tylko żarzące się węgle. Ale wystarczył jeden podmuch czystego powietrza, by na nowo rozgorzały. Podmuchała Almondine. Nie ponosiła za to winy, wiedział o tym. Mimo to nie potrafił jej wybaczyć.

Kiedy późnym wieczorem matka zauważyła, jak traktuje Almondine, przestała udawać cierpliwość. Ma natychmiast przestać tak się zachowywać, a skoro tak postępuje, powiedziała, ma wrócić do domu i skończyć z tym absurdalnym spaniem w psiarni. Jak burza wbiegł po schodach, zatrzasnął za sobą drzwi i stanął w miejscu, chwiejąc się z wściekłości i konsternacji. Promienie wschodzącego słońca czerwieniły już las, kiedy w końcu wyczerpany zapadł w drzemkę, która nie przyniosła mu jednak ani odpoczynku, ani ukojenia. Niemal z ulgą obudził się, słysząc matkę ćwiczącą na podwórku z dwoma psami.

Usiadł na łóżku i spojrzał na zamknięte drzwi pokoju. Nie pamiętał nawet jednego poranka w swoim życiu, żeby po otwarciu oczu nie zobaczył Almondine. Gdy była młodsza (gdy oboje byli młodszy), stawała przy jego łóżku i nosem trącała wrażliwą część jego stopy, żeby go obudzić; później spała tuż przy nim, wstając, kiedy się przeciągał i ziewał. Nawet jeśli schodziła na dół przywitać wcześniej wstających, to choćby nie wiadomo jak cicho dotarł do schodów, już czekała z przednią łapą na dolnym stopniu, patrząc na niego.

Wciągnął dzinsy i koszulkę z krótkim rękawem. Słyszał skrobanie jej pazurów po podłodze korytarza. Kiedy przekręcił gałkę i otworzył drzwi, udała zaskoczenie, podskoczyła w miejscu i stanęła przed nim z szeroko rozstawionymi przednimi łapami, opuszczonym łbem i wykręconymi do tyłu uszami. Już miał jej wybaczyć, ale gdy patrzył na nią

tak radosną i zawstydzoną, ponownie opętały go wątpliwości ubiegłej nocy: jakże była uległa! Jak bardzo przypominała inną znaną mu osobę — niech więc jej sobie teraz poszuka. Albo nawet tamtego człowieka, bo jej obojętne, kto ją darzy tak potrzebnym jej zainteresowaniem. Almondine tańczyła za nim, chwytając za mankiety jego dzinsów. Chwilę zajęło jej zejście za nim po lakierowanych schodach — już nie zbiegała na łeb na szyję jak w czasach młodości, teraz ostrożnie stawiała łapy — ale kiedy szedł przez salon, śmignęła obok niego i zakręciwszy się w miejscu, stanęła przed nim, cicho skowycząc i przypadając na przednich łapach do ziemi, jakby zapraszała go do zabawy.

Polecił jej położyć się i przeszedł nad nią.

Na kuchennym stole stały dwa puste kubki po kawie, odsunięte krzesła udzielały miejsca niewidzialnym użytkownikom. Przemył kubek stojący w zlewie i nalał sobie mętne resztki kawy z dzbanka. Miała kwaśny smak. Przełknął jeden łyk, resztę wylał do zlewu.

Matka ćwiczyła z dwoma psami, Singerem i Indigo, które tego dnia miały trafić do nowego domu. Wiedział, że może być w okropnym nastroju. Rankiem w dniu, kiedy psy na zawsze ich opuszczały, mówiła wyłącznie o tym, dlaczego nie są jeszcze gotowe do odejścia. Edgar na pamięć znalazł tę litanię. Tyle czasu poświęconego na zdobycie ich zaufania! Tyle pracy włożonej w nauczanie ich języka, w którym można zadawać pytania i uzyskiwać odpowiedzi — a teraz to wszystko trzeba porzucić i utracić. Ojciec z większą powściągliwością podchodził do rozstań z psami, ale on już wcześniej raz żegnał się ze szczeniakami, oddając je do tresury.

328

329

I takie on prowadził dokładnie zaplanowaną korespondencję i rozmowy telefoniczne z nowymi właścicielami, śledząc w ten sposób losy psów,

więc w pewnym sensie nigdy ich nie tracił. Z kolei matka miotła się po domu oburzona głupotą nowych właścicieli, ich lenistwem, brakiem współczucia, rzucała papierami i trzaskała drzwiami.

Najciekawsze było jednak to, że obserwując ją podczas ćwiczeń z psami, nikt by się tego nie domyślił, nawet w dzień rozstania z nimi, ponieważ przy pracy z psami stawała się innym człowiekiem, doskonale wcielając się w odgrywaną rolę — tresera zainteresowanego wyłącznie tym, co psy w danym momencie robią. Treser nie okazywał gniewu, jeśli psy były nieposłuszne. Treser udzielał natychmiastowych i stanowczych pouczeń. W miarę jak zbliżał się czas przekazania ich do nowych domów, jedyną różnicą, jaką psy mogły zauważyć, było to, że poświęcano im mniej uwagi; a jeśli stawały się przez to nieco samotne, pomagało im to w nawiązaniu więzi z nowymi właścicielami.

Edgar nie próbował pomóc matce. Po wykonaniu porannych obowiązków zabrał Tindera oraz Baboo i powtarzał z nimi ćwiczenia wykonywane w psiarni — stanie, przychodzenie do nogi, rozplątywanie smyczy, a także to, co ćwiczyli w tajemnicy: szturchanie, upadanie, noszenie małych przedmiotów w pysku. Claude karmił z butelki jedno z nowych szczeniąt. Kiedy wyszedł z kojca szczeniaków, Edgar zabrał psy na pole.

Almondine stawała mu na drodze, gdziekolwiek szedł. Jeśli był za stodołą, leżała pod silosem. Jeśli wchodził do stodoły, czekała w cieniu okapu, starając się ściągnąć jego wzrok. On jednak za każdym razem celowo nie zwracał na nią uwagi. W końcu straciła ochotę i znalazła sobie miejsce do spania. Długo trwało, zanim się na to zdecydowała, ale zauważył moment, kiedy w końcu się odwróciła. A on jej nie powstrzymał.

Tuż przed kolacją doktor Papineau zaparkował swojego sedana za impalą na trawniku. Edgar widział, jak starszy pan klepnął Claude'a w ra-

mię i obaj udali się do domu. Niedługo potem nieznany pikap zwolnił na podjeździe, zatrzymał się, skręcił i przetoczył się obok domu. Auto było na teksańskich numerach, duże, z wymyślną budą. Matka, Claude i doktor Papineau wyszli z domu, a za nimi Almondine. Dopiero obserwując Almondine ze stodoły, z odległości trzydziestu metrów, i widząc jej niepewny, słabowity krok, wreszcie Edgar zrozumiał, jak bardzo wobec niej był okrutny. Obiecał sobie, że wynagrodzi jej to wieczorem, ale w tym momencie niewiele mógł zrobić — sytuacja wymagała, żeby jeszcze przez jakiś czas pozostał na miejscu.

Claude podszedł do okna kierowcy i pokazał, gdzie można zawrócić. Pikap wycofał, zawrócił i ponownie się zatrzymał, stając przodem do drogi. Otworzyły się drzwi i wysiadł jakiś mężczyzna. Nastąpiła krótka rozmowa. Almondine wraz z innymi przywitała gościa. Po chwili matka Edgara odwróciła się i zawołała:

— Edgarze, mógłbyś przyprowadzić Singera i Indigo?

Był to początek prezentacji, w której jemu zawsze przypadała specjalna rola. Kiedy był jeszcze mały, widok dziecka, niewiele wyższego od psów, wyprowadzającego je z psiarni robił szczególne wrażenie na nowych właścicielach. Odkąd był starszy, prezentacje nie były już tak spektakularne, ale pozostał element teatralny: po przybyciu nowego właściciela, po przywitaniu go i krótkiej rozmowie, wyłaniał się Edgar z psem (albo psami, jak w tym nierzadkim wypadku, ponieważ często rozmieszczali psy parami). Ojciec uwielbiał tę zaaranżowaną dramaturgię. Jak mawiał, nowi właściciele tylko raz poznają swoje psy. Dlaczego nie zadbać o to, żeby na zawsze to zapamiętali? Stanowiło to dodatkową gwarancję, że psy będą traktowane w odpowiedni sposób. Czasami na widok Edgara i psów nowi właściciele wydawali stłumione okrzyki; widział nawet, że matka, mimo jej straszliwych przewidywań, uśmiecha się, kiedy z obojętną miną

kroczył po podjeździe, jakby nie działa się nic specjalnego.

Psy, podniecone przyjazdem obcego, goniły się po kojcach, przepychały przez płócienne klapy na dwór, żeby rzucić okiem, odwracały się i z powrotem wciskały do środka. Edgar uciszył je i wszedł do zagrody, w której znajdowały się dwa psy przeznaczone dla nowego właściciela. Singer miał połyskującą rudawą sierść, imponującą posturę, ale bardzo spokojny charakter. Indigo była drobna jak na psa Sawtelle'ów, czarna, jakby wykąpana w atramencie, z wyjątkiem kremowej plamy na piersiach i podobnego zakrętasu na biodrach. Edgar wyjął z tylnej kieszeni spodni szczotkę z krótkimi cienkimi igłami i po raz ostatni je przeczesał. Sierść Indigo była delikatna i rozkoszna, kiedy czesał ją pod włos. Podczas szczotkowania psy dreptały w miejscu po słomie i dyszały. Singer cichym jękiem skarżył się na zwlokę.

330

331

Zaczekaj, pokazał Edgar na migi. Wkrótce się dowiesz.

Pogłaskał ich pyski i kucnął przed nimi. Zmusił je, żeby skupiły na nim wzrok, i położywszy dłonie na ich piersiach, starał się dotknąć je w odpowiednie miejsca, aby je uspokoić. Następnie założył im obroże, przywołał je do nogi, po jednym z każdej strony, oparł dłonie na ich zadach i ruszyli przez psiarnię. Gdy wyszli na dwór, stojąca przy domu grupka ludzi poruszyła się. Rozmowy ucichły. Edgar zatrzymał się na chwilę pod starą lampą na wysięgniku. Ojciec często żartował, że kiedy Edgar z psami wychodził z za tego rogu, rozlegały się anielskie chóry. — Ojej — usłyszał głos przybyłego mężczyzny.

Kiedy pokonali połowę długości podjazdu, Edgar delikatnie klepnął oba psy po barkach. Odwróciły łby i spojrzały na niego. Pstryknął palcami, zwalniając je, a one jedwabistym ruchem pomknęły do przodu, miękko

uderzając łapami po ziemi w biegu. Nastąpiło zamieszanie i prezentacja. Nowy właściciel był szczupłym szatynem, drobnej budowy, z odstającymi uszami i gęstym wąsem. Mówił z akcentem zgodnym z rejestracją samochodu, silnie przeciągając samogłoski. Znał się na psach; kiedy podsuwał im dłoń, nie wyciągał palców, tylko grzbiet dłoni; dotykał je ruchem pewnym i powolnym. Zdarzało się, że psy płoszyły się przy nowym właścicielu, ale w przypadku tego człowieka i tych psów nie było o tym mowy.

— One rzeczywiście patrzą na człowieka, prawda? — stwierdził.

Matka Edgara i Claude opowiedzieli o ćwiczeniach patrzenia, a potem przedstawili Edgara. Mężczyzna nazywał się Benson.

— Miło mi cię poznać — powiedział, ściskając mu dłoń.

Pozwolili, by spokojnie pooglądał psy i ich budowę. Edgar zaczął je wołać, żeby trochę się poruszały. Benson wiedział, na co należy zwrócić uwagę. Przyjrzał się stawom kolanowym w tylnych łapach, kościom piętowym, skomentował ich chód. Zanim skończyli, słońce już prawie zaszło, udali się więc do domu wyprzedzeni przez psy, które już czekały przy drzwiach.

— Synu — odezwał się Benson — widać, że masz podejście do tych psów, chyba nawet lepsze niż twoja mama. — Odwrócił się do Trudi. — Nie chciałem pani urazić. To miał być największy komplement. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby psy kogoś tak słuchały.

— Nie ma o czym mówić — odparła. Edgar widział, że choć nie jest łasa na komplementy, ten mężczyzna ją oczarował i dumna jest z tak

332

doskonale zachowujących się psów. — To zasługa Edgara, że wygląda, jakby robił to bez wysiłku.

— To nawet nie jest kwestia wysiłku — stwierdził Benson. — Tu chodzi o coś innego. Trudno to nawet nazwać. One po prostu chcą

wykonywać jego polecenia.

Matka Edgara roześmiała się.

— Niech pan nie przesadza z tymi zachwytnymi. Dzisiaj zachowują się wyjątkowo dobrze. Jutro dokładniej wszystko to omówimy. Indigo ma kilka złych nawyków, o których powinien pan wiedzieć. Ale to dobre psy.

— Prawdę mówiąc, przytłacza mnie myśl, że będę musiał sprostać temu wszystkiemu, do czego te psy są przyzwyczajone — zdradził Benson. — Nie wstyd mi się przyznać do tego. Zastanawiam się, dlaczego po pracy z wami miałyby słuchać takiego ignoranta jak ja.

Obu psom, a także Almondine, polecono położyć się w salonie, oni zaś usiedli do kolacji. Benson powiedział, że mieszka w pagórkowatym terenie w pobliżu San Antonio. Ciekawiło go, czy kiedyś tam byli, a kiedy zaprzeczyli, opowiedział im o wiecznie zielonych dębach, o hikorach i dziko rosnących jemiolach, i o rzece. Zapytali, jak minęła mu podróż. Jechało się długo, powiedział, ale on lubi otwartą drogę, rozwijający się przed nim długi pas asfaltu.

Edgar siedział i słuchał. Benson wynajął pokój na południe od miasta w Raju Wędkarzy. Miał zostać w okolicy kilka dni. Był bardzo rozmowny, w czym doskonale pasował do doktora Papineau, lecz jego myśli krążyły wokół filozofii i religii.

— Powiem państwu coś, co moim zdaniem jest bardzo zastanawiające — rzekł. — Biblia prawie w ogóle nie wspomina o psach. A jeśli już się w niej pojawiają, to jako uosobienie najgorszej zarazy. Ja zupełnie tego nie rozumiem, a państwo?

— Oczywiście — odparła Trudi. — W tamtych czasach na jednego psa mieszkającego z ludźmi tuzin innych wyjadało śmieci i goniło po ulicach. Psy towarzyszące ludziom były rzadkością.

Mężczyzna skinął głową i powiódł po nich wzrokiem. Edgar od-

niósł wrażenie, że ten człowiek już wcześniej stawiał to samo pytanie przy innych stołach.

— „Nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucajcie swych pereł przed świnie”. To z Ewangelii świętego Mateusza. Zawsze miałem 333

z tym trudności. Teraz jestem poganinem. Gdybym wszedł na niedzielną mszę, ludziska z mojej parafii padliby z wrażenia. Ale porządny pies jest świętszy niż niejeden z nich.

Jego słowa skłoniły doktora Papineau do rozważań na temat liczby psów w arce Noego, po czym rozmowa wróciła do Singera i Indigo. Zajmując się psami, Edgar na krótko się rozpogodził, lecz kiedy Claude zaczął opowiadać historię psiarni, na powrót sposepniał. Benson nie kwestionował autorytetu Claude'a, dla Edgara natomiast każde wypowiedziane przezeń słowo świadczyło, że jest oszustem. Claude przeszedł do opowieści o Buddym i o więzach krwi między psami Sawtelle'ów i programem hodowlanym Fortunate Fields. Zaskoczył tym Edgara, który sądził, że to, czego dowiedział się z listów, było tajemnicą lub zostało zapomniane, jednak mylił się, nie było też powodu, żeby Claude nie miał o tym wiedzieć. Opowiadał o tym, ile psów idzie do nowych domów w każdym sezonie, i o funkcjonowaniu programu wprowadzonego przez dziadka Edgara; o tym, że połowa psów trafia do rodzin, które już miały psa Sawtelle'ów, a większość reproduktorów jest wychowywana przez okoliczne rolnicze rodziny. Siedząc i słuchając Claude'a, Edgar zaczął się zastanawiać, dlaczego nie wjechał impalą w drzewa, kiedy miał okazję.

Po kolacji matka podała przyniesiony przez doktora Papineau sernik i naląła kawę. Benson zrobił uwagę na temat sernika, a doktor Papineau opowiedział stary dowcip. Edgar poczuł, że zaczyna go to wszyst-

ko złościć. Patrząc na doktora Papineau i widząc jego ojcowską dłoń na ramieniu Claude'a, myślał, jakim ten stary człowiek jest głupcem, że daje sobą tak ewidentnie manipulować. Nawet Teksańczyk zaczął go denerwować. Najchętniej jak najszybciej wstałby od stołu, żeby pozwolić psom podnieść się i mocje dotykać, lecz Benson zdawał się dziwnie niezainteresowany. Psy cierpliwie leżały, jak im kazano, Singer nawet przysypiał. Jednak wyraźnie widać było, że tylko czekają, by zerwać się na nogi i dokładnie zbadać tego człowieka.

W pewnym momencie Benson zwrócił się do Claude'a:

— Chciałbym o coś zapytać, z tym że jeśli moje pytanie jest nie na miejscu, proszę nie odpowiadać. Oczywiście zajmiemy się tym jutro, gdy będziemy omawiać dobór zwierząt hodowlanych i umowę o utworzeniu filii, ale byłbym wdzięczny, gdybym mógł rzucić okiem na psiarnię.

334

To piękna stodoła, odkąd minąłem Killeen, niewiele takich widziałem.

I chciałbym na własne oczy zobaczyć cuda, które tam się dzieją.

Claude i doktor Papineau spoglądali na tego mężczyznę, obaj podobnie zadowoleni z siebie. Edgar zwrócił się do matki.

O czym on mówi?

Lekkim ruchem ręki zbyła jego pytanie. Ponownie zapytał na migi.

Co to za umowa o utworzeniu filii?

Odwróciła się do niego i choć z pozoru była spokojna, widział, że w środku gotuje się z gniewu.

Nie teraz, pokazała na migi. Od tygodni się nie odzywałeś. Później o tym porozmawiamy.

Co on ma na myśli, mówiąc o doborze zwierząt? Chodzi o hodowlę?

Nie teraz.

Benson obserwował tę ich wymianę zdań. Odchylił się na krześle.

— Nie chciałbym wyjść na gbura, ale nie mogę się doczekać. Choć może zostawmy to na jutro.

— Nie ma sprawy — odezwał się Claude. — Muszę jednak panu powiedzieć, że nie ma tam żadnych cudów. Po prostu powolna, żmudna praca.

Claude wyprowadził Bensaona z domu, za nimi udali się Trudi i doktor Papineau. Singer i Indigo skoczyły do przodu wielkimi susami. Edgar zatrzymał się na ganku. Przypomniwał sobie, jak zeszłej jesieni grali w kanastę. „W życiu możesz wszystko osiągnąć, jeśli tylko jesteś gotów powoli do tego dążyć”, powiedział Claude. I chociaż wówczas Edgar potraktował te słowa jak wynurzenia zaprawionego piwem prowincjusza, teraz odbierał je jak przewrotne szyderstwo.

Kiedy zaczęło ci aż tak na tym zależeć? zastanawiał się, obserwując Claude'a idącego obok gościa, wyjaśniającego ich dokonania, jakby to było coś, co można skopiować, obrócić w kapitał, pomnożyć. Może w jedno z tych popołudni, kiedy siedziałeś na dachu stodoły i obserwowałeś nas? Czy zaskoczyło cię, czego dokonał twój brat po twoim wyjeździe? A może już dużo wcześniej o tym myślałeś? Jak wolno gotów byłeś do tego dążyć?

Z podwórza dobiegł go podniesiony głos Bensaona udzielającego odpowiedzi na zadane przez Claude'a pytanie.

335

— Mam dla was dobre wiadomości — mówił. — Wieczorem przed wyjazdem rozmawiałem z moim synem, Jamesem. Ogromnie zapalił się do tego pomysłu, mówi nawet, że to wyjątkowa okazja. Ciągłe powtarza: pies firmy Carruthers, kamień milowy w sprzedaży wysyłkowej: pierwsza rasa w historii oznaczona nazwą firmową. Mówi, że ma już na biurku

wzór bożonarodzeniowego katalogu wysyłkowego, ze szczeniakami na wewnętrznej stronie okładki i tego typu rzeczami. Na razie szczenięta są nie takie, jak trzeba, ale wystarczy dzień, żeby to zmienić.

Almondine podeszła od tyłu do Edgara i stanęła na progu kuchni.

Przez cały wieczór pragnął ją przeprosić, lecz teraz znowu się w nim zagotowało - widział ją, jak leży w warsztacie, niczym na obrazie skąpana wpływającym światłem, a obok pracującego Claude'a. Zatrzasnął drzwi do kuchni i upewnił się, że są dobrze zamknięte. Potruchtał za dorosłymi. Długi zmierzch zdążył już przygasnąć. Porywy wiatru trzęsły klonem. Na zachodzie sklepienie lasu drżało na tle ciemniejącej krawędzi błękitu.

— Czasami zapominam, jak to jest tak daleko od światła miasta

— mówił Benson. — Mieszkamy blisko San Antonio i nasze noce nigdy nie są naprawdę czarne. Widujecie tu zorzę polarną?

Jednak zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć, wydarzyło się coś dziwnego. Przez podwórze przeszedł porywisty wiatr, przynosząc ścianę nieustannego deszczu, przejrzystą i krótkotrwałą. Krople zalały dachy pojazdów i rozbryzgiwały się na ludziach i psach stojących przed domem. Psy warczały na wieczorne powietrze. Z podjazdu podniósł się kurz. I po chwili deszczu już nie było, przepadł gdzieś w ciemnościach nocy. Podnieśli wzrok. Na niebie nie było nic poza usianym gwiazdami polem.

— Wcale mnie to nie dziwi — odezwał się Benson. — U nas też tak bywa. Deszcz potrafi spaść z bezchmurnego nieba. A ten deszcz mógł wisieć w powietrzu w Dakocie Północnej i dopiero tu spadł na ziemię. Zatrzymali się przed stodołą, w pobliżu szarej blizny wapna znaczącej miejsce, w którym niegdyś trawa pobieliała. Mężczyzna przykucnął, żeby pogłaskać Indigo po piersi. Po raz pierwszy od kolacji dotknął któregoś z psów, a kiedy się wyprostował, wyciągnął chusteczkę z kie-

szeni, wytarł w nią dłoń i po kolei każdy palec.

— Od czasu do czasu mam takie wrażenie, że gdzieś musi padać, chociaż niebo jest bezchmurne. W powietrzu jest więcej wody, niż jesteśmy gotowi uwierzyć. Gdyby zebrać całą wodę znajdującą się w powietrzu, mielibyśmy powódź, jaką znał tylko Noe. Kiedy nie mogę czegoś pojąć, staram się tak pobudzić swoje myślenie, żeby zobaczyć padający gdzieś deszcz. Poruszająca się woda: właśnie coś takiego chcę zobaczyć. Jeśli nie pada, to wypływa z ziemi w górę gotowa ponownie spaść. Sam nie wiem, dlaczego mnie to uspokaja. Czasami wystarczy, że wzniosę się ponad wierzchołki drzew. Tam gdzie mieszkam, późnym popołudniem można zobaczyć z pół tuzina nadciągających sakramenckich burz z piorunami i zygzaki błyskawic, a deszcz pod nimi ciągnie się jak meduza. Ale czasami muszę wnieść się na tyle wysoko, żeby zobaczyć prawie cały kraj, daleko, aż po Kalifornię zanim uda mi się dojrzeć naraz deszcz i czyste błękitne niebo. To wszystko oczywiście tylko w mojej głowie. Ale gdziekolwiek jestem, jeśli uda mi się zobaczyć deszcz i niebo bez chmur, wtedy najlepiej mi się myśli... - W tym momencie Benson jakby się zreflektował. — Dobry Boże — powiedział. — Nawet nie zdawałem sobie sprawy, ile czasu spędziłem sam w samochodzie.

Trudi roześmiała się i weszli do psiarni. Zdawali się już nie myśleć o deszczu, lecz Edgar czuł go jak dłoń głaszczącą go po twarzy. Przez moment nie potrafił ruszyć się z miejsca. Kiedy ich dogonił, rozległo się szczekanie psów. Matka uciszyła je, tym niewielkim wyczynem robiąc duże wrażenie na gościu. Benson zaczął zadawać pytania: jak długo szczenięta są karmione piersią, czy gospodarze uważają za słuszne przycinanie psom wilczych pazurów przy narodzeniu, dlaczego używają siana, a nie trocin i tak dalej. Claude sięgnął do rejestru miotów, na chybił trafił wyjął jedną kartotekę i zaczął opowiadać o badaniach nad

hodowlą, o rejestrach i systemie punktowania, wypowiadając się autorytatywnie, jak człowiek prezentujący meble. Trudi zaprowadziła Benson na strych i pokazała mu poprowadzone tam linki, umieszczone w podłodze pierścienie i całą resztę.

— A jaką rolę pełni ten młody człowiek? — spytał Benson, gdy już zeszli na dół. — Jestem przekonany, że potrafi tu zarobić na chleb.

— Po pierwsze, wybiera imiona dla szczeniaków — odrzekła matka.

— I zajmuje się szczotkowaniem psów. A od tego roku ćwiczy ze swoim pierwszym miotem. Psy powinny być jesienią gotowe.

Kiedy Benson zapytał, czy mógłby zobaczyć ten miot, Claude położył dłoń na ramieniu Edgara i polecił mu przyprowadzić psy. Dotych-

336

337

czas Edgar nigdy się nie zastanawiał, kiedy jego miot miałby popisać się tym, co przez cały czas ćwiczyli. Zawsze wyobrażał sobie sytuację, w której jest on, psy i Claude, lecz nagle uświadomił sobie, że obecność innych osób nie ma żadnego znaczenia. W końcu i tak nie miał wyboru. Musiał uzyskać odpowiedź. Już nie potrafił znieść tego stanu wiedzy-niewiedzy, tych resztek wspomnień bez samych wspomnień, tego drżenia, jakie ogarniało go za każdym razem, gdy siadał przy stole naprzeciw Claude'a. Potrzebował jednej chwili nieuwagi, takiej jak wtedy, gdy Claude dostrzegł go na jabłoni. Przez twarz Claude'a przemknął wówczas wyraz zaskoczenia, poczucia winy albo przestachu, ale cokolwiek to było, zniknęło, zanim Edgar zdążył zrozumieć, co oznacza. Tym razem będzie przygotowany. Przyjrzy się dokładnie. I jeśli będzie to poczucie winy, nikt go nie powstrzyma, ani matka, ani Almondine. Tym razem nie opadnie na kolana, trzęsąc się jak nowo narodzone ciele.

— Skoro już o tym mówimy, niech pokażą, jak potrafią grzecznie

siedzieć — powiedziała matka.

Edgar tylko skinął głową. Minąwszy kojce, wszedł do pomieszczenia medycznego, wyszarpnął szufladę, w której przechowywali materiały doktora Papineau, i do kieszeni na piersiach koszuli wcisnął sześć strzykawek. Zdawał sobie sprawę, że wygląda to dziwnie, ale wychodząc, starał się zachowywać swobodnie. Wyprowadził Opal oraz Umbre i kazał im usiąść w przejściu, następnie poszedł po Pouta, Baboo, Tindera, Fincha i na koniec po Essay. Cała siódemka siedziała niespokojna i podniecona w odległości dwunastu metrów od jego matki, Claude'a i Teksańczyka.

— To nam zajmie tylko chwilę — rzekła matka. Z lekkim zdziwieniem popatrzyła na Edgara i ciągnęła: — Staramy się korzystać z każdej sposobności, żeby z nimi ćwiczyć. Kiedy przychodzi ktoś obcy, psy z natury chcą sprawdzić, co się dzieje. Wiele ćwiczeń poświęcamy na wyszukanie sposobów, jak sprawdzać ich umiejętności w nowych sytuacjach, na przykład pozostawanie na miejscu, kiedy coś rozprasza ich uwagę. Edgarze, przyślij tu jednego psa.

Najpierw powiedz im, że psy widzą wszystko, co tu się dzieje, pokazał na migi.

Co?

Powiedz to. Powiedz, że wszystko widzą i nigdy niczego nie zapominają. Zaraz zrozumiesz.

Stał i czekał. Przeszło mu przez myśl, że matka może zignorować jego prośbę, lecz odwróciła się do Bensona, Claude'a i doktora Papineau.

— Edgar prosi, żeby powiedzieć wam, że psy widzą... — na moment zawahała się, jednak mówiła dalej: — że one widzą wszystko, co tu się dzieje, i nigdy nie zapominają.

Edgar stał przed psami, pilnując, żeby żaden się nie ruszył. Dotknął Opal pod brodą. Popatrzyła na niego. Pozwolił jej odejść, a ona pomknę-

ła wzdłuż przejścia do stojącej przy warsztacie czwórki osób. Następnie wyjął z kieszeni koszuli strzykawkę. Ręka mu drżała i gdy wysuwał strzykawkę, zaczepiła o drugą, która ze stukotem upadła na posadzkę. Chwycił ją szybko i włożył do pyska Baboo.

Szturchnij, pokazał. Odwrócił się i patrzył.

Baboo potruchtał przejściem ze strzykawką w pysku. Edgar nie spuszczał wzroku z Claude'a, widząc, że dostrzegł strzykawkę. Kiedy Baboo do nich dotarł, dotknął nosem biodra Opal, a ona spojrzała na Edgara. Prawa ręką dał jej nieznaczny znak. Opadła na ziemię i położyła się na boku.

— A niech mnie... — odezwał się Benson. Nachylił się, żeby pogłaskać Baboo po pysku, i kiedy się wyprostował, w dłoni trzymał strzykawkę.

— A to co? — zapytał. Uniósł strzykawkę do światła. Zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć, Edgar posłał Pouta, który szturchnął Baboo i również Baboo się położył. Benson sięgnął do pyska Pouta i wyjął drugą strzykawkę.

— To część tresury? Noszenie lekarstw?

Na widok miny Claude'a Edgar zaczął dygotać tak gwałtownie, że musiał przykleknąć. Następny ruszył Finch, który szturchnął Pouta. Pout spojrzał na Edgara, na moment się zawahał i też położył się na ziemi. Potem przyszła kolej na Umbkę, a później na Tindera. Za każdym razem była strzykawka, szturchnięcie w biodro i pies kładł się na ziemi.

— A niech mnie — powiedział Benson. — To prawie jak... jakby... Czy one myślą...

Claude stał, obserwując to wszystko. Spojrzał na otwarte drzwi, z powrotem na psy i na Edgara.

Edgar nie miał pewności, czy ostatnia część się uda — różniła się od

pozostałych, ćwiczył to tylko z Essay. Włożył ostatnią strzykawkę do jej

338

339

pyska i polecił iść wzdłuż psiarni. Kiedy dotarła do Tindera, ostatniego stojącego psa, odwróciła się i popatrzyła na Edgara.

W lewo, pokazał.

Essay skręciła, omijając Tindera. Zbiorniczek strzykawki ustawiony był w poprzek jej pyska. Podeszła do Claude'a. Na igle założona była osłonka, ale gdy Essay przycisnęła miękki tępy koniuszek nosa do mięśnia nogi Claude'a, ten wzdrygnął się, jakby ktoś go ukłuł. Edgar ruszył w ich kierunku, bez mrugnięcia patrząc Claudeowi prosto w oczy.

— Rzuć to! — krzyknął Claude. — Rzuć to! — Znów zerknął w stronę wrót stodoły, potem w kierunku warsztatu, aż w końcu opanował się, odetchnął i popatrzył bacznie na Edgara. Pod lewym okiem drżał mu mięsień.

— Co jest, do diabła?!... — warknął i wyszedł ze stodoły.

Edgar zaczął wirować w przejściu, wykonując jakiś niesamowity euforyczny taniec. Szerokim gestem pozwolił psom wstać, więc pozbierały się na nogi i z zainteresowaniem obwąchiwały Bensaona. Matka rzuciła Edgarowi gniewne spojrzenie, ale kiedy się odezwała, mówiła głosem chłodnym i stonowanym.

— Edgarze — rzekła — mógłbyś odprowadzić psy do kojców? Chyba już dość widzieliśmy.

Widziałaś? zapytał na migi. Widziałaś jego twarz?

Bez wątpienia.

— Niesamowite! — powiedział Benson. — Co to było?

— Ja też pierwszy raz to widziałem — odezwał się doktor Papineau

— a oglądałem wiele niezwykłych rzeczy wykonywanych przez te psy.

Trudi zwróciła się do Bensaona:

— Czasami trudno to zrozumieć, widząc je w czasie przygotowań... — Idźcie — rzuciła do psów przepychających się u jej stóp. — Do budy. Zmykać. Psy potruchtały środkiem stodoły. Edgar udał się do kojca Essay, chwycił ją za kryzę i pogłaskał, potem odwiedził pozostałe psy. Grzeczna sunia. Tak. Grzeczny pies. Grzeczna sunia. Wszyscy już wyszli ze stodoły, chwając psy, i Edgar nasłuchiwał, czy rozlegnie się dźwięk uruchamianej impali, ale dosłyszał tylko pospieszne słowa pożegnania, które matka wymieniała z Bensonem.

Na dworze było już zupełnie ciemno. W domu czekały go pytania i dyskusja, a on potrzebował spokoju, żeby zamknąć oczy i jeszcze raz

340

wszystko zobaczyć — wyraz twarzy Claude'a, gdy Essay go szturchnęła, napływającą do jego policzków krew, nerwowy tik szarpiący jego powieką. Wspiął się po schodkach w warsztacie i włączył światło na strychu. Gdy tylko ucichły odgłosy samochodu Bensaona, matka wpadła do stodoły jak burza.

— Musimy porozmawiać, Edgarze. Tutaj i teraz. Chcę wiedzieć, co to miało znaczyć. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jakiego wstydu mi narobiłeś?

Widziałaś jego twarz? Widziałaś jego minę?

— Czyją minę, Edgarze? Pana Bensaona? Który uważa, że mam syna wariata? Czy Claude'a, który nawiasem mówiąc, siedzi teraz w domu wściekły jak diabli?

Przeszedł między rozrzuconymi po podłodze strychu belami słomy, zatrzymał się i podniósł wzrok na krokwie. W uszach huczał mu własny oddech.

Pada deszcz, pokazał na migi.

-Co?

Czy pada deszcz? Słyszysz deszcz?

Podbiegł do przedniej części strychu, zdjął zasuwkę z wielkich drzwi załadunkowych i szeroko je otworzył. Chwyciwszy się nadproża, zwiesił ciało na zewnątrz i spojrzał na gwiazdy płonące na bezchmurnym nocnym niebie, a potem w stronę lasu.

„Pamiętaj o mnie”.

Wsunął się z powrotem do środka.

Chodź tu, pokazał. Sama zobacz.

— Widzę stąd, gdzie jestem. Nie pada. Natychmiast tu zejdz.

Ale jego cierpliwość już się wyczerpała. Podszedł do niej i próbował pociągnąć ją do przodu. Opierała się, więc chwycił ją rękami za szyję i przechylił w stronę drzwi strychu, całym ciężarem ciągnąc za sobą.

Wokół nich zawirowały bele i krokwie. Matka próbowała wcisnąć dłonie pod jego ręce i oderwać je od siebie. Byli już w połowie drogi do drzwi, kiedy stracił równowagę i zwałili się na podłogę. W ferworze klęknął nad nią, przygwoździł jej ręce do podłogi. Oboje ciężko sapali. Puścił ją i zaczął migać jak szalony.

Pomogłaś mu? Powiedz, czy mu pomogłaś.

— Czy mu pomogłam? Komu pomogłam?

341

Pokażę ci komu.

Podniósł się, chwycił matkę za przegub dłoni i zaczął ciągnąć ją do drzwi stodoły szeroko otwartych na noc. Kiedy zdała sobie sprawę, co Edgar robi, zaczęła przebierać nogami po podłodze, starając się podnieść.

Za nimi rozległ się ochryply krzyk. Nie mowa, nie słowa, tylko przepełniony lękiem jęk. Edgar obejrzał się przez ramię. U szczytu schodów w przedsionku ujrzał światłocieniową postać mężczyzny. Puścił

rękę matki i rzucił się do drzwi z taką zawziętością, w takim wielkim podekscytowaniu i zapamiętaniu, że potknął się o belę słomy i upadł, wierzgając nogami. Kiedy się podniósł, w ręce trzymał hak do słomy. Skoczył do drzwi, ciągnąc za sobą rękę z hakiem jak wielki pojedynczy pazur. Postać cofnęła się głębiej w cień i próbowała zamknąć drzwi do przedsionka, lecz zanim się zatrzasnęły, Edgar wpadł na nie.

Drzwi huknęły. Usłyszał stęknienie i dźwięk ciała spadającego ciężko po schodach. I ciszę. Podniósł wzrok i zauważył, że hak wbił się na palec w drewno futryny. Wyrwał hak i rzucił go z brzękiem przez strych. Matka stanęła na nogi, biegła teraz w jego stronę, wołając: „Co to było? Coś ty zrobił?”, jednak w pierwszej chwili nie potrafił odpowiedzieć. Jego nerwami targał nieziemski prąd, piersiami wstrząsnął paroksyzm. Na przemian otwierał i zamykał dłonie, z trudem układając je w znaki języka migowego.

Powinienem był to zrobić już pierwszej nocy, kiedy się tu pojawił. Dopiero usłyszawszy krzyk matki, ruszył za nią do przedsionka. Stała w połowie schodów, trzymając się rękami za głowę. Na dole schodów leżał okropnie skręcony doktor Papineau, jego wykrzywione stopy spoczywały na wysokim stopniu, a głowa na posadzce warsztatu. Wyrzucona do przodu ręka wskazywała gdzieś w drugą stronę. Edgar przepchnął się obok matki i stanął nad ciałem weterynarza. Nachylił się i przyjrzał. Oczy starego mężczyzny już zachodziły mgłą.

Po twarzy idącej po schodach matki Edgara popłynęły łzy.

Edgar nie ruszał się z miejsca. Mięśnie nóg wciąż mu drżały naładowane galwanicznym prądem, który przeszedł go na strychu.

Teraz płaczesz? Uważasz, że to jest straszne? Czy ciebie nie nachodzą sny? Nie widzisz go, kiedy śpisz?

— Na Boga, Edgarze. To nie jest twój ojciec. To doktor Papineau.

To jest Page!

342

Edgar popatrzył na leżącego przed nim starca, tak teraz drobnego i słabego. Tego samego człowieka, który potrafił zebrać siły i podnieść go za koszulę ze śniegu.

On też nie jest zupełnie niewinny. Słyszałem, jak rozmawiali.

Matka schowała twarz w dłoniach.

— Co my powiemy Glenowi? — zapytała. — Nie rozumiem, co ci się stało. Będziemy musieli... musieli... - Popatrzyła na niego. — Zaczekaj — rzekła. — Muszę chwilę pomyśleć. Page spadł ze schodów.

Zaczęła migać. Musisz odejść.

Nigdzie się nie wybieram.

Właśnie że tak. Chcę, żebyś uciekł, idź na pola. Schowaj się do jutra.

Dlaczego?

Po prostu idź!

I pozbędziesz się nas obu?

Ruchy jej ręki stały się dla niego tak niezauważalne, jak dla psów jej korygujące pociągnięcia za smycz. Od policzka do kręgosłupa przeszył go gorący skurcz. Zatoczył się do tyłu i oparł o ścianę, żeby nie upaść na ciało doktora Papineau. Miał wrażenie, że twarz z boku pali go żywym ogniem.

Nie waż się tak mówić, pokazała na migi, będąc teraz Rakshą, Matką Wilczycą. Rozmawiasz ze swoją matką i zrobisz, jak ci każe. Masz iść. Nie wracaj, dopóki nie zobaczysz, że sama stoję za silosem. Wypatruj mnie wieczorem. Jeśli mnie zobaczysz, możesz bezpiecznie wracać. Do tego czasu masz zniknąć. Nie zbliżaj się, nawet gdybyśmy cię wołali. Odwrócił się i potykając, wyszedł z warsztatu na podwórze bładoniebieskie w świetle księżyca. Zmrużył oczy oślepiiony światłem

nad drzwiami psiarni. Bezchmurne niebo. Nie było czasu na zabranie sprzętu. Obszedł stodołę, otworzył drzwi kojców i wywołał swój miot. Na trawę wyskoczyło siedem psów. Razem zbiegli ze zbocza za stodołą, aż dotarli do sterty kamieni, gdzie Edgar padł bez czucia na ziemię otoczony kręcącymi się wokół niego psami. Obserwował Claude'a, który krążył między domem i stodołą. Zamknął oczy. Wiedział, że czas upływa, ale nie potrafiłby powiedzieć, czy minęła minuta czy godzina.

Usłyszał wołanie matki:

— Edgarze! Edgarze!

Jej głos brzmiał nienaturalnie, jakby dobywał się z zabawki.

343

Gwiazdy zawirowały mu przed oczami. Wręcz nie mógł uwierzyć, że w ogóle tu mieszkał.

Podniósł się. Zaczął biec, a za nim psy. Kiedy docierali do lasu, na drodze u szczytu wzgórza pojawił się radiowóz, rzucając niebiesko-czerwone pulsujące światło na drzewa i wyjąc syreną zniekształconą przez efekt Dopplera. To Glen Papineau przyjechał do swojego ojca. Już nie można wrócić po Almondine, stwierdził Edgar. I ledwo o tym pomyślał, z wielkim trudem pohamował się, żeby jednak nie zawrócić.

Słabe światło księżyca pozwalało dostrzec dwie brzozy oznaczające początek starej drogi zrywki drewna. Psy przedzierały się przez zarośla, otaczając go obłądną elipsą, tylko Baboo ciągnął się kilka kroków za nim. W lesie było dużo ciemniej niż na polu. Nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele uszli, dopóki reflektory radiowozu, podskakującego na pozostawionych przez traktor na polu koleinach, nie oświetliły pni przed nim. Między drzewami mignęły białe łodygi i bruzdy w ziemi, ale Edgar nie chciał już odwracać przyzwyczajonych do ciemności oczu. Radiowozem nie wjadą między drzewa — auto nie mogło się posuwać po drodze

zrywki drewna, a zawracając, z pewnością by utknęło.

Pięćdziesiąt metrów od potoku teren zaczął opadać. Psy rozbiegły się na boki. Kiedy dotarł do wody, klasnął w dłonie. Baboo stał w pobliżu i usiadł przy jego nodze, dysząc. Finch zmaterializował się z kępy paproci, a za nim Opal i Umbra jak cienie wyłoniły się z cienia. Po nich Pout i Tinder. W ciemnościach dopiero po dłuższej chwili stwierdził, że brakuje Essay. Ponownie wstał i klasnął w dłonie, wsłuchując się w szum płynącej łożyskiem strumienia wody. Nie mógł już dłużej czekać. Kiedy wszedł do strumienia, chłodna woda sięgnęła mu kostek. Chwyciwszy za pierwszy palik ogrodzenia, szarpnął nim w lewo i prawo, aż się obluźował ze stęknieniem. Był ciężki jak granitowy filar, tak że Edgar musiał klęknąć w wodzie, żeby go wyjąć. W końcu mu się to udało i ostrożnie oparł chropowaty koniec na płaskim głazie w strumieniu.

Dwa psy wskoczyły do wody, zanim je zawołał, ale w ciemnościach nie potrafił ich rozpoznać. Przepchnął je pod drutem, a kiedy znalazły się na drugim brzegu, otrząsnęły się z wody. Klasnął, wzywając następane. Pozostała czwórka psów chodziła tam i z powrotem wzdłuż strumienia, jednak nie chciały zrobić kroku dalej. Nad głowami zaczął błyskać promień latarki. Psy skomlać, oglądały się do tyłu. W końcu Edgar wy-

344

szedł ze strumienia, ukląkł po kolei przed każdym i wsunawszy dłonie w kryzy, przyciskał twarz do ich ciemienia. Fincha, Pouta, Opal i Umbry. Po chwili cofnął się i pozwolił im wstać. Nie od razu posłuchały, patrząc na niego niepewnie. Po chwili Finch odwrócił się gwałtownie i ruszył w górę zbocza w kierunku, z którego przyszli, a pozostała trójka pognęła za nim, przedzierając się jego śladem.

Edgar wszedł do płytkiej wody strumienia i przecisnął się pod drutem kolczastym. Stracił równowagę, próbując włożyć na miejsce palik;

dziura wypełniła się mułem i nagle Edgar znalazł się w wodzie mokry po pachy. W końcu zostawił palik przekrzywiony w strumieniu. Zależało mu, żeby ustawić go tak, jak stał, choć wątpił, żeby miało to jakieś znaczenie.

Opadł na ziemię na drugim brzegu. Powitały go nie dwa, ale trzy psy: Baboo, Tinder i Essay, która sama gdzieś przekroczyła strumień. Przepychały się i lizały go po twarzy, tańcząc wokół niego jak dzikusy wykonujące starożytny nieznany rytuał. Jakby dokładnie wiedziały, co ich czeka. Kiedy się podniósł, ręce miał upačkane gliną, która pokrywała też jego twarz, wysychając i krusząc się. Złożywszy dłonie, zanurzał je w strumieniu i raz po razie wylewał sobie wodę na głowę. Na koniec wstał, odwrócił się od tego wszystkiego, co było mu tak znajome, i w czwórkę zanurzyli się w mroczny Chequamegon.

CZĘSCIV

CHEQUAMEGON

i

Ucieczka

Słabe resztki księżycowego światła przenikały las. Nad starą drogą zrywki drewna wznosiły się łukiem liście komptonii, sięgające mu szyi i okrywające trzcinyjeżyn jak brzeszczoty w pochwie. Mgliste kiście ciemnego sumaka. Lekko fosforyzujące kolumny brzoź i osik. Sklepienie lasu rozdzielała blada zwężająca się szczelina, wyznaczając drogę wyraźniej niż wszystko, co było widać na ziemi. Obawiał się sterczących gałęzi, więc trzymał ręce przed twarzą, nie zważając na rozdzierające mu ubranie cierniste jeżyny. Od czasu do czasu stawał i klaśnięciem przywoływał psy. Przybiegały do niego, przyciskały nosy i wargi do jego dłoni, po czym ponownie znikwały, tak pewnie czując się w ciemnościach. Zatrzymał się. Zaczął szukać ich wzrokiem. Same cienie, tylko cienie cieni. Przesunął stopę do przodu i ruszył dalej. Wokół

niego świediki błyskały pokrytymi radem brzuchami. Nawołujące ich głosy już dawno ucichły w skrzypieniu pni drzew, wyginanych przez nocny wiatr jak belki ogromnego statku. Wiedział, choć nie potrafiłby powiedzieć, skąd to wie, że nie zatoczyli kola. Może mówił mu to kierunek wiatru, a może padające w kierunku zachodnim światło księżyca. Widząc kępę brzoź świecąca na niebiesko w miejscu, gdzie spodziewał się przerwy między drzewami, zrozumiał, że albo ścieżka się skończyła, albo ją zgubili.

Po chwili natknął się na psy, które czekały na niego zbite w gromadkę. Policzył nosy i przesunął dłońmi w ciemności, starając się

349

zrozumieć, co je zatrzymało. Palce musnęły jakiś drut, kolczasty i porzewiały, oraz rozszczepiony ze starości palik. Przesunął dłonią w dół sękatego drewna, aż znalazł najniższej biegnący drut, po czym cofnął się o krok, schylił i zaczął przesuwając rękę po drucie. Znalazł miejsce, w którym był na tyle luźny, żeby go unieść, zatrzymał się. Dwukrotnie klasnął i psy podeszły do niego. Dotykając ich lekko, przeprowadził je pod drutem — najpierw Essay, tak mu się wydawało, później Tindera i Baboo. Dyszały rozgrzane, przechodząc na drugą stronę. Na końcu sam przetoczył się pod spodem, podniósł się i niepotrzebnie otrzepał ubranie, i tak mokre i wiszące na nim jak splachcie wosku. Podniósł wzrok. Wyspy gwiazd na morzu czerni. Wokół widmowy las i ani śladu ścieżek. Ruszył w kierunku zachodnim, a przynajmniej taką miał nadzieję. Mijały nocne godziny.

Zatrzymał się, gdy przed nim w lesie otwarła się polana. Wysoko u góry świecił jasno księżyc, a z błękitnych bagiennych traw wznosiły się narysowane węglem szkielety drzew. Zamrugął od nadmiaru księżycowego światła na polanie i klasnął, żeby przywołać psy. Wysoko w koronie zwęglonego drzewa sowa odwróciła wklęsłą jak talerz głowę, a usa-

dowione jedną gałąź niżej jej trzy mniejsze kopie zrobiły to samo. Baboo przybiegł natychmiast. Tinder już zaczął się wciskać w wysoką trawę, ale odwrócił się i też przytruchtał. Edgar ponownie klasnął i czekał. Kiedy Essay się nie pojawiła, poprowadził Tindera oraz Baboo między drzewa i dotknął dłonią ziemi. Psy okręciły się i położyły. Odszedł kilka kroków i rozpiął rozporek. Miał wrażenie, że wypływający mocz zabiera ze sobą całe ciepło z jego ciała. Ściągnął mokrą koszulkę i dżinsy, powiesił je na gałęzi i w środku nocy stanął ubrany tylko w slipy. Chociaż też się lepiły, nie potrafił ich zdjąć. Wrócił do psów i położył się obok Baboo, który uniósł łeb, popatrzył na ułożoną na swoich piersiach rękę Edgara i ponownie go opuścił. Kiedy już się umościli, ze ścieżki wydeptanej w turzycy przez jelenie wyłoniła się Essay. Obwąchała całą trójkę, przeszła na skraj polany, popatrzyła w górę, po czym wróciła do nich i tak długo stała nad Edgarem, aż usiadł i oparł dłoń na jej zadzie. Położyła się i przycisnęła do jego pleców, mruczając, jakby wyrażała dezaprobatę. Jeden po drugim psy westchnęły głęboko i mocniej przycisnęły łby do boków.

Edgar leżał i obserwował wyginające się sylwetki sów lustrujących polanę. Zastanawiał się, czy nie powinni iść dalej, dopóki nie znajdą wody dla psów, ale po tylu godzinach ostrożnego marszu w ciemnościach ogarnęło go przytłaczające zmęczenie. Jednak gdy tylko zamknął oczy, widział doktora Papineau leżącego u podnóża schodów na strych.

Westchnął i otworzył oczy.

Jesteś mordercą, powiedział do siebie. Masz, na co zasłużyłeś.

Chwilę później już spał.

Gdy się obudził, psy stały nad nim jak zafrasowane pielęgniarki nad pacjentem, z przekrzywionymi łbami patrząc znad swoich pysków. Ziemia wokół niego wciąż jeszcze była ciepła od ich ciał. Wyjął spod kolan złożone dłonie i podparł się na nich, żeby wstać. Psy odskoczyły i zakręci-

ły się w miejscu. Essay mocno zaparła się tylnymi łapami, a przednie wysunęła tak bardzo do przodu, że ścięgnięta w jej bokach zadrżały. Baboo i Tinder ziewnęły, aż ich rozwarłe mordy lekko zatrzeszczały. Sowy gdzieś zniknęły. Wierzchołki drzew po drugiej stronie polany jarzyły się karminowo pod dotykiem wschodzącego słońca. Czuł pulsowanie w głowie. Chyba nie spali więcej niż dwie godziny.

Przez chwilę siedział z rękami oplecionymi wokół kolan, aż rozwijające się chwasty zaczęły go łaskotać w intymne części ciała. Zdjął spodnie z gałęzi. Były tak samo mokre, jak gdy je zdejmował, a do tego zimne. Już uniósł nogę, lecz na moment zatrzymał się i zajrzał do nogawek. Kiedy się ubrał, doszedł do wniosku, że równie dobrze mógłby się owinąć w zwiedłą sałatę.

Baboo został przy nim, ale Essay i Tinder zdążyły już zniknąć w wysokiej trawie, goniąc się nawzajem. Kołyszące się źdźbła znaczyły ich ślad, po chwili psy wynurzyły się na polanę, zawróciły w miejscu i z powrotem wskoczyły w trawę. Edgar głaskał szyję Baboo i patrzył. W ciągu ostatnich kilku miesięcy psy nabrały masy. Klatki piersiowe miały mocne i potężne, grzbiety szerokie i poruszały się z pełną energią lwią gracją. Klasnął w dłonie. Trawy przestały się poruszać i wyskoczyły z nich Tinder i Essay. Usadziwszy psy rzędem, cofnął się i po kolei przywoływał je do siebie. Trzykrotnie powtórzyli to ćwiczenie, po czym Edgar odłamał suchą gałąź, potarł ją w dłoniach, żeby nabrała jego zapachu, i kazał psom aportować. Przy akompaniamencie ptaków świergoczących wokół polany przeciwiczyli leżenie, przetaczanie się na grzbiecie, czołganie.

Po skończonych ćwiczeniach wszyscy, łącznie z bujającym w obłokach Baboo, byli mocno zgrzani. Edgar doszedł do wniosku, że powinni już poszukać wody. Chyba niepotrzebnie martwił się w nocy, w dolnej

części lasu Chequamegon zawsze blisko był jakiś strumień. Spojrzał w stronę, z której przyszli, a następnie poprowadził psy obrzeżem polany, wybrał odpowiednie miejsce i ponownie zanurzyli się w lesie. Po półgodzinie zeszli płytkim, porośniętym olszyną wąwozem, na którego dnie płynął głęboki na piętnaście centymetrów strumień wypełniony bladozieloną trawą rozczesywaną przez nurt jak włosy syreny. Psy natychmiast zaczęły chleptać wodę. Edgar rzucił buty i skarpetki na drugi brzeg, wszedł do strumienia i zaczerpnął wody o smaku zimnej słabej herbaty. Stał w strumieniu opływającym mu stopy, dopóki psy nie wyszły na brzeg i nie rozłożyły się obok omszałej kłody, a po chwili ruszyli w dalszą drogę.

Padające ukośnie promienie porannego słońca ułatwiły mu utrzymanie kierunku. Przemierzali wzgórze leżące na zachód od psiarni, te same, które wraz z Almondine tyle razy obserwowali, siedząc na wzniesieniu na południowym polu. Nie wiedział, jak daleko te wzgórza sięgają, ani co znajduje się za nimi. Rzadko zapuszczali się w tym kierunku, ich dawne życie, nagle tak odległe, toczyło się wzdłuż południka autostrady numer 13, gdzie na północ było Ashland, a wszystko inne — Wausau, Madison, Milwaukee, Chicago — na południu. Postanowił trzymać się dwóch zasad — nie zbliżać się do dróg i zmierzać na zachód. Kiedy musiał obejść jakąś przeszkodę, zawsze wybierał drogę prowadzącą po północnej stronie. To było wszystko, co mógł wymyślić, nie miał żadnego określonego celu czy też planu, wiedział tyle samo co wówczas, gdy zaczynał tresurę psów od tych drobiazgów na strychu. Pragnął nabrać dystansu do wcześniejszego życia. Potrzebował czasu, żeby zastanowić się nad tym, co się stało i co może z tym zrobić. Na razie chciał myśleć tylko o ich czwórce i o tym, w jaki sposób iść dalej. Już teraz zaczął martwić się o psy. Nie wiedział, skąd wziąć jedzenie.

Nie miał nawet scyzoryka.

Jednak nie potrafił przestać myśleć o tym, co się dzieje w psiar-
ni. Myślał o Almondine, o tym, że nie zdążył wynagrodzić jej swojego
zachowania. Zastanawiał się, czy bez niego będzie spać w domu. Czy
352

tego ranka matka stała za silosem, dając Edgarowi sygnał do powrotu?
A może wciąż chodzą po lesie, nawołując go? Ta myśl rozbudziła w nim
zarówno zadowolenie, jak i wyrzuty sumienia. Przez cały czas powra-
cał do niego wstrząs po wymierzonym przez matkę policzku, a także
jej wściekły wyraz twarzy. I oczy doktora Papineau, to gasnące w nich
życie, kiedy na nie patrzył.

Jego postanowienie zostało wystawione na próbę dopiero późnym ran-
kiem, kiedy dotarli do przecinającej las drogi. Pokryta żwirem i z dwóch
stron otoczona zwisającymi nad nią drzewami, niewiele różniła się od
drogi gruntowej, tak opustoszała, że bez wahania zatrzymał się na jej
środku. Słońce stało prawie w zenicie. Zmrużył oczy, wypatrując po obu
stronach skrzynek pocztowych lub znaków stopu. Nie było nic, nawet
słupów sieci telefonicznej, jedynie odcisnięte w ziemi karby jak na tar-
ce do prania. Długa pusta linia zaskoczyła go i ucieszyła, ponieważ czuł
już zmęczenie od nieustannego przyglądania się splątanym zaroślom
i wybierania odpowiedniej drogi.

Ponadto na otwartej przestrzeni łagodny wiaterek rozproszył ko-
mary, podczas tej wędrówki z psami początkowo irytujące, a w końcu
niesamowicie dokuczliwe. Ledwo trącili liść paproci lub źdźbło trawy,
a już w powietrze wzbijał się kolejny obłok żarłocznych owadów. Starając
się przed nimi ochronić, zaczął truchtać, wymachując rękami nad głową
i klepiąc się po twarzy i karku, ale gdy tylko się zatrzymywał, znów go
opadały, ze zdwojoną siłą przyciągane do jego rozgrzanej skóry.

Usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i przywołał psy. Z daleka dostrzeże nadjeżdżający samochód, a zależało mu, żeby trochę odpocząć. Wędrówka była ciężka, lecz przynajmniej znajdował jakąś pociechę w obserwowaniu psów. W psiarni Essay była najbardziej niesforna, sprawiała najwięcej kłopotów w tresurze i najszybciej się nudziła, w lesie czuła się swobodnie, szperając, zachowując się jak łowczyni i wysuwając się do przodu, gotowa stawić czoło wszelkim znalezionym osobliwościom: dziwnie pachnącemu pniakowi, przemykającemu między listowiem pręgowcowi, kuropatwie. Czasami już miała zniknąć mu z oczu, w takich chwilach odwracała się i patrzyła za siebie, choć nie zawsze, bywało, że od razu rzucała się w zarośla. Jako wędrowiec była wyjątkowo mało efektywna, pokonując dwukrotnie dłuższy dystans, niż

353
należało, ale gdy tylko Edgar próbował zatrzymać ją przy sobie, skomlała i opuszczała uszy. Baboo był mu najbardziej wierny. Jeśli Edgar polecił mu czekać, Baboo czekał jak głaz położony na ziemi przez samego Boga, zadowolony, że zna swoje miejsce. Już w psiarni widać było, że Baboo jest uroczym prostaczkiem, w lesie zaś stał się prawdziwym pragmatykiem. Truchtał za przecierającym szlak Edgarem, czasami prawie deptając mu po piętach, czasami zostając nieco z tyłu. Jednak jeśli dzieliło ich więcej niż kilka metrów, Baboo jak szalony rzucał się do przodu, żeby zmniejszyć dystans. Z całej trójki najtrudniej byłoby określić Tindera. Nigdy nie znikał z pola widzenia, ani nie trzymając się Edgara, ani nie nurkując w zarośla, ale gdy Essay powracała ze swojego wypadu, wybiegał jej na spotkanie, po czym wracał, żeby trącić się pyskiem z Baboo, jakby przynosił mu wiadomości.

Edgar usiadł w słońcu na drodze. Drugą jej stronę porastały paprocie, gęste i rozrośnięte, jakby pochodziły z czasów prehistorycznych. Po-

winni zejść z otwartej przestrzeni, wiedział o tym. Wciąż jeszcze odwlekał chwilę, gdy wstanie i stawia czoło komarom, kiedy nagle uszy Essay zadrżały i suka odwróciła łeb. Spojrzał w stronę, w którą ona patrzyła. Daleko na drodze wznosił się malutki obłok pomarańczowego kurzu, przednia szyba samochodu odbijała światło słoneczne jak lustro nadające sygnały, kiedy auto wyjeżdżało z cienia i w niego wjeżdżało. Pozbierał się i przykucnął. Samochód był bardzo daleko, toteż w pierwszej chwili uznał, że nie musi się spieszyć. Jeśli kierowca w ogóle dostrzegł Edgara i psy, najprawdopodobniej wziął ich za jelenie. Edgar klasnął w dłonie, pokazał „do nogi” i wkroczył w rozrośnięte paprocie. Psy rzuciły się za nim. Opadł na kolana w cienistej krainie zielonych traw oraz paproci i na czworakach ruszył do przodu. W głębi zarośli natrafili na gęste jeżyny z cierniami zakrzywionymi i ostrymi jak skalpel. Nawet jeśli jemu udałoby się przez nie przedrzeć, psy z pewnością by zaprotestowały. Zbeształ się za ucieczkę w nieznane. Pomyślał, że jeszcze zdążą wrócić drogą, którą tu przyszli, wycofać się na znany teren, chociaż nie weszliby dalej niż dwadzieścia metrów w las, zanim samochód nadjedzie.

Baboo i Tinder były tuż za nim, ale Essay zdążyła się już odwrócić i węsząc, szukała drogi powrotnej z zarośli. Poleciał dwóm psom czekać — Baboo natychmiast usiadł jak żołnierz — i szeroko stawiając stopy, precyzyjnie przeszedł przez paprocie, żeby klepnąć Essay w biodro. Spojrzała na niego ponad grzbietem. Poprowadził ją z powrotem, a kiedy usiadła, podniósł się z kolan i przykucnął, by zerknąć znad paproci.

Samochód był bliżej, niż Edgar się spodziewał, w odległości około stu metrów, i najwyraźniej zwalniał. Z pewnością nie udałoby im się niepostrzeżenie przejść na drugą stronę. Zagłębili się w paprocie na jakieś cztery czy pięć metrów, po drodze przecierając szeroką ścieżkę,

którą można było zauważyć z drogi, ale Edgar miał nadzieję, że z jadącego samochodu nie będzie to widoczne. Skupił na sobie uwagę psów i na moment uniósł dłoń w wolną przestrzeń, nakazując im położyć się. Psy opadły na ziemię. Essay zaskomlała, wcisnęła tylne łapy pod biodra i uniósłszy nos w snop słonecznego światła, zaczęła poruszać nim szybko, wężąc.

Jedną ręką objął Essay, drugą sięgnął w tył, aby dotknąć Tindera, mając nadzieję, że jeśli uda mu się utrzymać nieruchomo te dwa psy, Baboo pójdzie w ich ślady. Między łodygami paproci powoli przesunął się zderzak samochodu. Nagle rozległo się głośne pim!, gdy spod opony wyskoczył kamień. Edgar poczuł, jak Essay zadrżała pod jego dłonią. Przed oczami Edgara przepłynął biały przedni błotnik, a za nim opona. Czarno-białe drzwi. Kolejne drzwi. Kolejna opona. Tylny zderzak. Kiedy samochód nieco się oddalił, Edgar pstryknął palcami. Psy podniosły na niego wzrok.

Zostańcie, pokazał na migi. Popatrzył głęboko w oczy Essay i powtórzył komendę.

Dwa razy wydałem polecenie. Lepiej się nie ruszaj.

Na koniec ostrzegawczo wystawił palec przed jej nosem. Zaczęła sapać i przechyliła biodra na bok. Edgar wystawił głowę nad paprocie. Zobaczył radiowóz szeryfa pokryty grubą warstwą kurzu, jakby całą noc przemierzał okoliczne drogi. Za kierownicą siedziała samotna potężna postać z ręką wyciągniętą nad oparciem fotela. Światła stopu zamigotały. Edgar natychmiast rzucił się między paprocie.

Policzył do stu. Kiedy w południowym słońcu słychać było już tylko cykady, pozwolił psom się ruszyć. Popatrzyły na niego. Nie zareagowały również, kiedy powtórzył polecenie. W tym momencie zrozumiał, że coś się dzieje, i po raz drugi ostrożnie wytknął głowę nad paprocie.

Radiowóz stał dwieście metrów dalej. Dopiero teraz usłyszał silnik pra-

354

355

cujący na wolnych obrotach. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, a Glen Papineau stał i obserwował drogę, tak ogromny, że trudno było wyobrazić sobie, że może wcisnąć się do auta.

Edgar opadł w paprocie.

Leżeć, leżeć, pokazał psom.

Essay zamiotła ogonem i podciągnęła łapy, a Tinder wcisnął pysk w dłoń Edgara, patrząc na niego pytająco, ale ostatecznie oba psy pozostały w miejscu. Tymczasem podnosić zaczął się Baboo, częściowo zaciekawiony, a częściowo zdezorientowany. Edgar klasnął, nieco zbyt głośno. Pies znieruchomiał i spojrział na niego między łodygami paproci.

Leżeć, pokazał Edgar, gestykulując jak szalony. Zostań.

Z drogi doszedł go głos Glena Papineau.

— Edgar? — wołał Glen. — Edgar Sawtelle?

Baboo położył się na ziemi, gapiąc się szeroko otwartymi ślepiami.

Czekali. Edgar usłyszał trzask zamykanych drzwi i cichy warkot silnika odjeżdżającego radiowozu. Tym razem czekali, bo zaczął się obawiać, że to może być ślepa droga i Glen zawróci. W końcu zostawił leżące psy, a sam podkradł się do drogi.

Nie było nic widać, nawet obłoku kurzu.

Klasnął w dłonie. Psy wypadły z paproci i zaczęły podskakiwać wokół niego w szalonym tańcu „Końca Leżenia”, jak na to mówiła matka Edgara. Kilka metrów dalej znalazł ścieżkę biegnącą w las i minutę później droga zniknęła im za plecami, a oni znaleźli się w lesie efemerycznie pocętkowanym południowym słońcem.

Późnym popołudniem Edgar poczuł głód — w gruncie rzeczy głodny był

już od dłuższego czasu. Resztki nocnej paniki wyparowały już w monotonii przecierania szlaku i zaczął odczuwać zawroty głowy, był rozdrażniony, w brzuchu mu burczało. Zastanawiał się, czy psy czują się podobnie. Nie sprawiały wrażenia niespokojnych. Całe popołudnie spędzili na wędrówce przez zarośla i pokonywaniu leśnych strumyków. Na razie psy nie zjadły tylko porannego posiłku, ale on był przyzwyczajony jeść śniadanie, obiad i kolację, a nie miał nawet jednej zapalki, którą mógłby rozpaścić ogień, ani tym bardziej planu, jak zdobyć jedzenie.

Coś świtało mu w głowie, choć nie był to właściwie plan, jako że powodzenie w dużym stopniu zależało od przypadku. Po całym lesie rozrzucone były domki letniskowe i budy wędkarzy. Teren noszący nazwę Chequamegon, z pozoru jednolity las, w rzeczywistości stanowił ser szwajcarski lasów państwowych i terenów prywatnych, przy czym te ostatnie rozmieszczone były głównie wokół dziesiątków jezior. Prędzej czy później powinni natrafić na domek z zapasami jedzenia albo na samochód z obiadem jakiegoś wędkarza. Na razie jeszcze nic takiego nie spotkali. A to oznaczało, przynajmniej miał taką nadzieję, że wkrótce coś znajdą.

Problem w tym, pomyślał Edgar, wchodząc na kolejną polanę, że domki i samochody stoją przy drogach, a nie w środku lasu. A dróg należało za wszelką cenę unikać — po spotkaniu z Glenem Papineau nie miał już wątpliwości, że są poszukiwani. Gdyby ktoś ich zauważył — nawet ktoś przejeżdżający samochodem, kto później zadzwoniłby do szeryfa z wiadomością o chłopcu z gromadką psów — natychmiast by się zorientowano, gdzie teraz jest. Przedzieranie się przez las wiązało się jednak z powolnym marszem. Wątpił, żeby pokonywali więcej niż milę w dwie albo trzy godziny, zważywszy na zarośla, bagna, pilnowanie psów i uwagę, z jaką musiał stawiać kroki. Zwykle skrócenie kostki

oznaczałoby katastrofę.

Zastanawiał się, czy ktoś mógł szukać ich z psami. Otaczający psiarnię las był tak przesycony jego zapachem, pola poprzecinane siatką śladów po jego normalnych codziennych zajęciach, że tylko najlepszy, najbardziej doświadczony pies tropiący mógłby tam coś zdołać. A z każdą mijającą godziną ich trop coraz bardziej wtapiał się w ogólną mieszaninę zapachów. Pozostawało też pytanie, czy w ogóle znajdą się jakieś psy tropiące. W takich zadaniach psy Sawtelle'ów były bezużyteczne. Nie uczono ich sztuki tropienia. Potrafił sobie nawet wyobrazić śmiech matki, gdyby ktoś zwrócił się do niej z takim pomysłem; prawdopodobnie powiedziałyby, że równie dobrze mogą ich szukać z krowami.

Ale z dala od psiarni sytuacja wyglądała inaczej. Ich zapach był wyraźny i niczym nie przesłonięty, a cała ich czwórka musiała pozostawiać po sobie trop szeroki na milę, dla prawdziwego tropiącego psa wyraźny jak spalona ziemia. Chcąc urwać taki trop, trzeba by wsiąść do samochodu, tyle że podróżowanie autostopem z trójką psów było równie dobrym pomysłem, jak udanie się do biura szeryfa w Mellen. Co oznaczało, że jednak powinien trzymać się z dala od dróg.

356

357

Właśnie zastanawiał się nad tym problemem, rozważając go w myślach i próbując znaleźć jakieś inne rozwiązanie, kiedy między drzewami dostrzegł odbicie słońca w wodzie. Późnym popołudniem pochłodziło i wiatr się uspokoił. Dotarli do wody — do jeziora — i weszli na cypelek, na którym rosły turzycy i pałki. Nieregularna linia brzegowa porośnięta była gęstym lasem. Rozejrzał się w poszukiwaniu domków, lecz dostrzegł tylko sosny, odcinające się na tle nieba jak zęby piły, i ptaki nurkujące nad wodą za owadami. Za komarami, pomyślał z głęboką nadzieją. Psy

podeszły do wody, a ponieważ nigdy wcześniej nie widziały jeziora, zaczęły cofać się i podskakiwać, gdy niewielkie fale zalewały im łapy. Muszą obejść jezioro, albo z jednej, albo z drugiej strony, a ponieważ widział większą część linii brzegowej w kierunku północnym, tę właśnie drogę wybrał. W półmroku natrafili na wielkiego jak talerz żółwia jaszczurowatego, który maszerował w kierunku wody. Psy otoczyły go kołem, odskakując, gdy w ich stronę odwracał tępo zakończony łeb, szeroko rozwierając szczęki i sycząc. Edgar podbiegł i przegonił psy, pamiętając opowieści o tym, jak nawet po odcięciu głowy zęby żółwia pozostają zaciśnięte na tym, co ugryzą. Sam starał się trzymać nogi z daleka od tego zwierzęcia. Nie zamierzał sprawdzać na własnej skórze, czy te opowieści są prawdziwe.

Ledwo zostawiły żółwia w spokoju, Tinder zawrócił w miejscu, cofnął się dopiero co przebytą drogą, po czym zaczął skomleć i kopać. Chwilę później pozostałe psy przyłączyły się do niego, rozrzucając ziemię na boki. Trzaskając zębami, pożerały żółwie jaja, kiedy Edgar do nich podszedł. Sięgnął między ich pyski i wyjął jedno jajko. Czuł w dłoni jego chłód i miękkość, miało rozmiar i strukturę chropawych piłeczek pingpongowych. Na ten widok żołądek Edgara zaczął wykonywać zdradzieckie salta. Obawiając się, że zaraz więcej śliny nabiegnie mu do ust, Edgar zabrał jeszcze trzy jajka z błyskawicznie topniejącej sterty i oczyścił je z ziemi. Kiedy Baboo podniósł na niego wzrok, Edgar rzucał mu jajko, które pies chwycił w powietrzu. Pozostałe trzy wsunął do kieszeni koszuli.

Martwił go widok psów jedzących w ten sposób, ale nie mógł im zaproponować niczego lepszego. Gdy nie mogły już znaleźć więcej żadnych jajek, uderzył dłonią w udo i póki jeszcze było dostatecznie widno, zabrał się za szukanie stosownego legowiska na noc. Wybrał miej-

sce przy kępie jesionów nad wodą. Niebo nad głową przybrało barwę ciemnego kobaltu. Nagle poczuł, że jest zupełnie wykończony. Poprowadził psy do jeziora i pozwolił im się napić, a sam zdjął buty, podwinął nogawki dżinsów i wszedł do wody. Stopy wzburzyły muł na dnie, toteż chcąc zaczerpnąć czystej wody, musiał sięgnąć daleko, o mało przy tym się nie przewracając. Nawet wówczas miała smak wodorostów i błota, a między zębami pozostał mu piasek. Jeszcze raz się napił. Odprowadził psy z powrotem, niosąc buty i skarpetki w rękę. Psy natychmiast zwinęły się na ziemi. Próbował ułożyć się między nimi, ale kamień uwierał go w zębra. W ciągu dnia jego ubranie wyschło, miał jednak wrażenie, że jest oślizgłe i złachmanione, a żołądek wzdęty od wody. Obawiał się, że zaraz się zakrztusi, jeśli dalej będzie rozpamiętywał jej smak. Głód skręcał mu wnętrzności. Podniósł się i znalazł sobie lepszą pozycję, choć mógł sięgnąć tylko do Essay. Baboo wstał, mrużąc, jakby chciał powiedzieć: „Ach, no dobra”, podszedł do Edgara, dwa razy okręcił się w miejscu i położył się z pyskiem przy jego twarzy. Po chwili Tinder zrobił to samo.

Ocknął się w środku nocy. Psy leżały wokół niego pozwijane w kłębek, słychać było słowika śpiewającego pieśń pasówki białogardłej, „Old Sam Peabody, Peabody, Peabody”. Musiało mu się coś przyśnić i to go obudziło. I nagle przypomniał sobie. Wisiał w powietrzu nad schodami w warsztacie. I spadał, spadał...

Wschód słońca. Zgiełk i wrzask ptaków jakby przypalanych słonecznym światłem. Psy przeciągnęły się na swoich miejscach. Edgar natychmiast zaczął myśleć o jedzeniu — miał ściśnięty żołądek, a na zębach czuł cierpki smak miedzi, jakby minerały z ziemi przeniknęły do jego wnętrza.

Usiadł i zobaczył, że psy już węższą w zaroślach. Przywoływał je po ko-

lei i obmacywał, w poszukiwaniu igieł i rzepów, zaczynając od ogonów i przesuując dłonie w stronę łbów. Kiedy się tym zajmował, leżały, żując przednie łapy, jakby wyciągały ziarna z kolby kukurydzy. Od czasu do czasu tręcały nosem jego dłoń, protestując przeciw uszczypnięciu czy szarpnięciu. Następnie kazał psom stanąć w miejscu, po kolei z każdym odchodził, po czym wracali truchtem i pozwalał im odejść wolno, przedtem jednak sięgał do kieszeni koszuli i wyjmował żółtawe jajko. Najpierw

359

dla Tindera, następnie dla Baboo. Essay na końcu — kolejna daremna próba nauczania jej cierpliwości. Widząc, że inne dostają nagrodę, pomknęła do niego przez las, gdy tylko ruszył ręką.

W końcu udali się w dalszą drogę, cały czas mając jezioro po lewej. W porównaniu do ubiegłego dnia zarośla były dużo rzadsze i mogli szybciej się posuwać. Poranne powietrze przesycone było wilgocią, trawy zrzucały kropelki rosy, które połyskiwały na sierści psów. Po pokonaniu połowy drogi wokół jeziora dostrzegł, że woda ciągnie się postrzępionym zakolem na południe.

Właśnie trapił się kwestią żywności, gdy zauważył pierwszy domek, jednak ten widok wcale go nie uspokoił. Kazał psom się położyć i sam ruszył do przodu, ale po chwili doszedł do wniosku, że domek chyba nie jest zamieszkały. Razem wyszli z zarośli, żeby mu się przyjrzeć. Mała chałupka zapadła się już wiele lat temu. Może przed laty była pomalowana, lecz farba już dawno z niej zeszła i teraz jedynie jasnioletowy gont na dachu nie zmienił barwy na szarą. Odrapane składane krzesło stało na resztkach prymitywnego ganku, a odpadające płyty lakieru miały kolor wysuszonej musztardy od zżerającej krzesło od spodu rdzy. Wnętrze wyglądało jak pobożowisko, pełne sklejek, omszałych sprężyn z łóżka i rozpiętych między belkami jak spinakery ogromnych pajęczyn.

Całość zajmowała nie więcej miejsca niż spory namiot o boku trzech metrów. Psy krążyły po pomieszczeniu, wciskając nosy we wszystkie zakamarki i kąty, aż przywołał je, obawiając się szczurów i węży.

Godzinę później dotarli do miejsca nad wodą, w którym rozpasane zarośla ustępowały miejsca półksiężycowi żwirowatego piasku. Przy brzegu nad srebrzystą powierzchnię wystawały trzciny. Zdjął ubranie i zostawiwszy psy, sam wszedł do wody. Jezioro w tym miejscu było brunatne od taniny. Chłodne objęcia cieczy kołły swędzenie pociętego przez komary ciała. Spojrzał w dół i zobaczył średniej wielkości rybę przemykającą mu między kolanami. Psy obserwowały go, stojąc na brzegu i wymachując ogonami, lecz nie chciały wejść do wody.

Wynurzył się nagi i stojąc w wodzie do kolan, zaczął chlapać nią psy. Uciekały, ale zaraz wracały, kładąc uszy po sobie, przysiadając i uskakując przed prysznicem, może nawet przypominały sobie zabawy na podwórzu z wężem ogrodowym. Na chwilę ucieszył się, że znalazł coś, co sprawia im przyjemność, szybko jednak przerwał zabawę. Sam

360

odczuwał tylko przygnębienie, a ta rozrywka wydała mu się fałszywa, jakby tylko udawał, że wszystko będzie dobrze. Przestraszył się też, że może je zirytować. A do tego nie może dopuścić, przynajmniej dopóki nie dostaną prawdziwego posiłku. Już teraz miał wrażenie, że schudły, choć prawdopodobnie tylko to sobie wyobrażał. Zachowywały się nieco zbyt impulsywnie, jakby głód wprawiał je w zdenerwowanie. Dysząc, patrzyły, kiedy strącał kropelki wody ze swoich nóg. Po minucie czy dwóch słońce osuszyło go na tyle, że mógł włożyć ubranie. Tym razem już bez zastanowienia strzepnął spodnie, zajrzał w nogawki i stuknął butami o rękę.

Następny domek zapowiadał się bardziej obiecująco. Pomalowany na

praktyczny zielony kolor, był solidny i dobrze utrzymany. Przez dach wychodziła ocynkowana rura kominowa. Po obu stronach drzwi znajdowały się wysoko umieszczone małe okienka. Był tak schludny, że Edgar przez dłuższą chwilę przyglądał się, zanim nabrał pewności, że nikogo w nim nie ma. Mimo to podchodząc, czuł mrowienie na skórze. Drzwi były zamknięte na kłódkę wiszącą na mocnym metalowym skoblu. Gęsto pokrytą smarem kłódkę zawinięto w plastikowy woreczek, najprawdopodobniej żeby zabezpieczyć ją przed działaniem czynników atmosferycznych. Przekręcił gałkę w drzwiach i kilka razy spróbował mocno je pchnąć. Cofnął się, rozpędził i uderzył ciałem w drzwi. Odbił się jak piłka. Spróbował jeszcze raz. Cała konstrukcja domku zatrzęsała się, ale drzwi ani drgnęły. A jego rozbolał bark.

Stojące obok psy tylko przekrzywiały łby na ten widok.

W telewizji to działa, pokazał na migi. Siedźcie cicho.

Ponownie spojrzął w okna. Trójdzielne, ze szprosami i zamontowanymi u góry zawiasami, umieszczone były jakiś metr osiemdziesiąt nad ziemią. Na tyle duże, że mógłby się przez nie przecisnąć, pomyślał, z łatwością też mógłby zbić szyby, ale przełaząc przez nie, z pewnością mocno by się pokaleczył. Ponadto podczas prób wyważenia drzwi przyszło mu na myśl, że najlepiej byłoby wejść niezauważenie.

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiejś belki lub czegoś podobnego, co pomogłoby mu sięgnąć do okienka — żeby sprawdzić, czy warto zbić okno, a potem wspiąć się, gdyby się okazało, że rzeczywiście warto — lecz nie znalazł niczego przydatnego. Porozglądał się też

361

Wrócił przed domek i spojrzął na psy.

Musimy wrócić po tamto krzesło, pokazał na migi i ruszyli tam, skąd przyszli.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak daleko będą musieli się cofnąć. Mi-
nęła ponad godzina, zanim ponownie dostrzegł fioletowy gont. Kijem
zerwał pajęczyny z krzesła, a następnie wyszarpnął mebel z ganku. Z pół
tuzina pajaków odpełzło jak zgniłe jagody na nóżkach. Tworzące sie-
dzisko taśmy zwisały w brunatnych strzępach, ale sama rama zdawała
się mocna, chociaż pordzewiała. Baboo obwąchał ją z zaciekawianiem,
tymczasem Essay i Tinder położyły się. W powrotnej drodze wszyst-
kie trzy psy szły z nosami przy ziemi, najwyraźniej marząc o kolejnych
żółwich jajach. Kilka razy rzucały się za jazgoczącymi w zaroślach wie-
wiórkami, zanim się nauczyły, że to strata czasu. Sprawiały wrażenie
zniechęconych i Edgar poczuł w piersiach ukłucie niepokoju.

Mijając w drodze powrotnej małą plażę, był tak podekscytowany,
że rzucił się do biegu. Ustawił ramę krzesła pod oknem i już miał się
wspiąć, ale się pohamował, postanawiając najpierw wypróbować me-
bel. Przysiadł na poręczy. Jedna z pordzewiałych przednich nóg złamała
się jak papierowa słomka do napojów. Spojrzał na nią zaskoczony, po
czym odwrócił krzesło do góry nogami i obiema rękami mocno nacisnął
na miejsce połączenia oparcia i siedziska. Zadowolony wszedł na ramę
i oparł czubki palców na parapecie okna.

Wracając tutaj, pozwolił sobie pofantazjować, rozmyślając nad tym,
jak to wędkarz może przechowywać w tak schludnym domku przeróżne
puszkowane produkty i sprzęt, lecz przez okno zobaczył tylko złożone
pod jedną ze sklejkowych ścian gołe łóżko polowe, prefabrykowany ko-
minek pod cynkowanym kominem, małą kuchenkę naftową i latarnię.
Włamywanie się nie miało sensu; na pierwszy rzut oka widać było, że
nie znajdzie tu jedzenia, a jeśli nawet w latarni było paliwo, w co wąt-
pił, paliłoby się tylko przez kilka godzin. Z kolei kuchenka kempingowa
była zbyt nieporęczna, żeby ją nosić.

Zeskoczył na ziemię. Zły na samego siebie usiadł obok uszkodzonego krzesła. Dobry wędkarz nigdy nie zostawia jedzenia, które mogłoby

362
zwabić zwierzęta. Powinien był o tym wiedzieć, ale dał się ponieść fantazji. Bezsensownie stracili ponad pół dnia. Był już tak głodny, że odczuwał kurcze w brzuchu. Gdy tylko zobaczył ten domek, ślinka nabiegła mu do ust. Gdzieś przeczytał, że bez jedzenia można przeżyć miesiąc, lecz wydawało mu się to mało prawdopodobne. Może i tak, jeśli taka osoba siedzi w miejscu i nic nie robi, jeśli natomiast pokonuje całe mile leśnych bezdroży, coś takiego jest niemożliwe.

Tego wszystkiego było już za dużo. Po tym co wydarzyło się w psiar-
ni, cierpiąc teraz głód i obarczony troską o psy, nagle osamotniony bez Almondine, miał wrażenie, jakby wyrwano mu z wnętrza ważny organ. Przyciągnął kolana do piersi i położył się na boku. Już myślał, że zaraz się rozplacze, ale tylko poczuł pustkę w głowie, leżał więc, patrząc na korzenie i liście na poszyciu lasu, słuchając dalekich dźwięków psów szperających w zaroślach. Długo się nie podnosił. W końcu psy powróciły, najpierw Baboo, później Tinder i Essay. Dyszały, lizały mu twarz, potem ułożyły się wokół niego, mrużąc i sapiąc, aż w końcu posnęły. Wciąż dręczyła go apatia, choć już nieco mniejsza, wreszcie usiadł i rozejrzał się dookoła. W oddali charczał samolot śmigłowy. Małe czarne ptaszki z obsydianowymi dzióbkami ostrzegały się nawzajem na niższych gałęziach drzew, trajkocząc nieustannie. Zmusił się, żeby wstać, a psy zebrały się przy nim, trącając nosami jego dłonie, dopominając się o jedzenie. Ukłąkł i pogłaskał je po grzywach.

Nic nie mam, pokazał na migi. Przykro mi. I nawet nie wiem, kiedy coś będę miał.

Ruszyli dalej brzegiem jeziora. Na polanie zauważył zwisającą

z krzaka samotną dojrzłą jagodę. Było na nie jeszcze za wcześnie, ale ta tutaj wisiała i czekała. Nie sądził, żeby to była wilcza jagoda, na wszelki wypadek jednak odwrócił liście, aby to sprawdzić. Krzewy jagód zajmowały koło o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów i udało mu się zebrać z nich garść dojrziałych owoców. Skosztował jagodę, po czym kucnął i wyciągnął dłoń w stronę psów. Powąchały ten dar i oddaliły się. Nie, skosztujcie, pokazał na migi. Wracajcie. Nie posłuchały go. Gdy tylko połknął jagody, żołądek podszedł mu do gardła. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że zaraz zwymiotuje, jednak udało mu się powstrzymać.

363

II

O zmierzchu wybrał miejsce na nocleg w kępie klonów. Już się rozłożyli i na wpół drzemali, kiedy między wierzchołkami drzew odezwało się wysokie, cienkie zawodzenie, które błyskawicznie poszybowało w dół i już po chwili zakotłowało się wokół nich. Edgar spojrzał na rękę i zauważył, że jest pokryta falującym szarym futrem. Przeciągnął dłonią od łokcia do nadgarstka, pozostawiając papkę krwi i zmiażdżonych komarów. Na tej mazi natychmiast pojawiła się nowa żarłoczna warstwa. Komary zaczęły wpełzać mu do nosa i uszu. Psy podskakiwały, chwytając zębami powietrze, a Edgar wymachiwał rękami, uderzając się po karku i twarzy, w końcu rzucili się do ucieczki i biegnące z przodu psy zniknęły w mroku.

Po chwili zatrzymał się zdezorientowany i zasapany. Poszycie lasu pokryte było warstwą igieł sosnowych tak grubą, że zupełnie tłamsiła podszycie. Drżąc na całym ciele, nasłuchiwał komarów. Obłok owadów wisiał pod sklepieniem lasu, a on wraz z psami bezbronni czekali na dole. Nigdy o czymś takim nie słyszał. Psy truchtem wybiegły z otacza-

jącego go mroku i razem ułożyli się na sosnowych igłach. Leżał i patrzył w wierzchołki drzew. Był głodny, zmęczony, przygnębiony, a teraz jeszcze upokorzony. Słyszał, jak psom burczy w brzuchach.

W końcu będą musieli znaleźć drogę, pomyślał, inaczej umrą z głodu.

Trzeciego dnia nieustannie liczył: od dwóch dni psy nie jadły nic oprócz żółwich jaj. On zjadł najwyżej trzydzieści jagód. W jednej chwili wmawiał sobie, że opuszczenie sześciu posiłków to jeszcze nie katastrofa, ale już w następnej czuł, jak żołądek mu pulsuje i kurczy się. Wszędzie słyszał wiewiórki i ptaki, tyle że nie miał pojęcia, jak je złapać. W jeziorach najprawdopodobniej pełno było ryb, lecz nie miał nawet centymetra żyłki wędkarskiej, nie mówiąc już o haczyku.

Jęk opon na asfalcie usłyszeli już pół godziny wcześniej, nim doszli do drogi. Ukryci za jodłą balsamiczną obserwowali poszarpany sznur przejeżdżających samochodów, potem przemknęli na nasyp, przeskoczyli do lasu po drugiej stronie i ruszyli wzdłuż autostrady. Tak jak poprzedniego dnia podążali wzdłuż linii brzegowej, nie wychylając się z ukrycia lasu. Dwa razy zbyt głębokie lub bagniste strumienie zmusiły ich do powrotu na drogę, gdzie musieli poczekać, a potem przemknąć przez most, zanim mogli iść dalej.

364

Po południu dotarli do pola porośniętego turzycą i czeremchą wirginijską, szerokiego na jakieś czterysta metrów i kilkaset metrów długiego. W połowie odległości od znajdującej się z tyłu linii drzew Edgar zatrzymał się i spojrzał na drogę. Z jednej strony byłoby bardzo widoczni, przecinając pole w tym miejscu, z drugiej - zaczynał czuć zmęczenie, a to był wyraźny skrót. Trawa była na tyle wysoka, żeby ukryć psy. A on mógłby się schylić, gdyby na drodze pojawił się samochód. Poko-

nali już połowę pola, kiedy coś w trawie zaćwierkało, Tinder rzucił się w to miejsce, a pozostałe psy poszły w jego ślady. Edgar znalazł je tańczące wokół wejścia do jakiejś nory. Droga nadjeżdżał samochód. Edgar padł na kolana i czekał. Przez jakiś czas słyszał też odległy warkot małego samolotu, raz narastający, to znów cichnący; kiedy ponownie zaczął narastać, Edgar wyciągnął szyję i spojrział w górę. Niczego nie dostrzegł na błękitnym niebie. Mimo to z każdą chwilą warkot robił się coraz głośniejszy. W końcu samochód minął ich, więc Edgar klasnął w dłonie, przywołując psy, i rzucił się do ucieczki. Nurkując między brzoźami po drugiej stronie polany, mógł już niemal rozróżnić dźwięki pojedynczych cylindrów w silniku samolotu. Psy tym razem trzymały się blisko niego i zebrał je razem pod dereniem. Samolot nad jego głową leciał tak nisko, że Edgar odczytał emblemat służby leśnej.

Idiota, pomyślał. Miałeś trzymać się lasu.

Siedzieli w ukryciu ponad pół godziny, wsłuchując się w dźwięk samolotu prowadzącego poszukiwania, raz na północy, raz na południu. Kiedy ponownie ruszył z psami, pilnował, żeby cały czas znajdowały się pod osłoną drzew, obchodząc nawet najmniejsze polanki. Wczesnym wieczorem natrafili na żwirową drogę biegnącą przez gęsty sosnowy las. Na impregnowanych krezotem słupach wisiała rozpięta linia energetyczna. Kilkaset metrów dalej w kierunku wschodnim żwirówka krzyżowała się z drogą asfaltową. Poszli wzdłuż leśnej drogi w przeciwnym kierunku, ani razu nie wychodząc z lasu. Psy szły teraz z opuszczonymi ogonami, poirytowane i sprawiające wrażenie zdziczałych. Siedemdziesiąt godzin, odezwał się licznik w głowie Edgara. Jedno żółwie jajko na cztery godziny. A dla niego jedna jagoda na godzinę. Właściwie pół jagody.

Z ukrycia obserwowali przetaczające się obok kombi, ciągnące za

sobą chmurę brunatnego kurzu. Dotarli na skraj lasu. Przed nimi, tam
365

gdzie droga zakręcała, dostrzegł pierwszy domek, a za nim połysku-
jącą taflę jeziora. A potem cała gromadę domków wtulonych między
drzewa. Słupki ze światłami stojące wzdłuż podjazdów. Przez uderza-
jące o brzeg fale usłyszał charkotanie silnika motorówki, pokrzykiwa-
nia biegusów i mew.

Kombi pokonało zakręt i pojechało dalej. Edgar poprowadził psy
lasem, aż znaleźli się naprzeciw najbliższego domku. Na trawiastym
podjeździe nie było samochodu. Psy zorientowały się, że dzieje się coś
ważnego, krążyły w miejscu, szturchały się nawzajem pyskami i pod-
skakiwały pobudzone.

Leżeć, pokazał na migi. Zaskomlały, ale jeden po drugim posłu-
chały go.

Zostańcie, pokazał. Zostać.

Już zdążyłem nabrać złych przyzwyczajzeń, pomyślał. Mniejsza
o powtarzanie komend. Dużo gorsze było to, że tracił do nich zaufanie.
Pohamował się, żeby trzeci raz nie powtórzyć polecenia, i wyszedł na
drogę, oglądając się za siebie. Psy leżały w cieniu drzew, ziewając, obser-
wowały go. Odwrócił się i ruszył po podjeździe do domku, starając się
sprawiać wrażenie osoby tutejszej.

To nie była chatka wędkarza. Otwierane pionowo okno było otwar-
te, za siatką na owady powiewały poruszane lekkim wiatrem zasłony.
Na stojącym pod oknem laminowanym stole leżała poskładana gazo-
ta i rozsypana korespondencja. Oznaczone literkami S i P dwie cera-
miczne krowy kłaniały się sobie nawzajem. Z tyłu dostrzegł kuchnię
wyposażoną w proste szafki, lodówkę turystyczną i kuchenkę. Na bla-
cie widział porozrzucane celofanowe opakowania. Ciasteczka. Czipsy.

Bochenki chleba.

Ręce mu drżały. Sięgnął do drzwi frontowych, ale były zamknięte.

Wrócił do okna. Z tyłu domku znalazł zawarte na haczyk drzwi z siatką przeciw owadom. Potrząsnął nimi, lecz haczyk nie chciał wyskoczyć z uszka.

Odwrócił się i rozejrzał. Na plaży nikt się nie opalał. Nikt nie pływał przy brzegu. Pobiegnął między pobliskie drzewa i wrócił z krótkim, tępo zakończonym patykiem, którym oderwał siatkę wzdłuż środkowej belki w drzwiach, a następnie wsunął rękę do środka, trącił haczyk i otworzył drzwi. Przekroczył bezładny stos zabawek w saloniku i już był w kuchni, szeroko otwierając szafki. Puszki z makaronem SpaghelliOs, z wieprzowiną i z fasolą stały w równych rzędach obok opakowań makaronu Kraft Macaroni and Cheese, prażonej kukurydzy Jiffy Pop, bułek do hot dogów, chleba. W lodówce znalazł hot dogi, keczup, musztardę i marynowane ogórki. Dwa sześciopaki piwa.

Porwał wszystkie hot dogi, lecz po chwili zastanowienia odłożył jedno opakowanie z powrotem. Powyciągał puszki z makaronem, wieprzowiną i fasolą. Przetrasnął szuflady i wsunął do tylnej kieszeni spodni otwieracz do puszek. W końcu stracił cierpliwość. Zgarnął wszystko, co powyjmował, i już miał się skierować do tylnych drzwi, kiedy jego wzrok przykuło coś leżącego na laminowanym stole. Pieprzniczka w kształcie krowy stała na białej odbitce powielaczowej, na której widniał wydrukowany niebieski tytuł.

Edgar widział tylko połowę napisu: ZAGI.

Niezgrabnie odłożył zebrane produkty i wyjął kartkę spod gazety.

Z papieru uderzyła go miła woń farby powielaczowej. Zobaczył słabą odbitkę swojego zdjęcia ze szkolnej księgi pamiątkowej, a poniżej krótką wiadomość:

ZAGINIONY

18 czerwca wyszedł z domu i nie wrócił Edgar Sawtelle, wiek czternaście lat, wzrost metr sześćdziesiąt osiem, czarne włosy. Chłopiec jest niemową, ale potrafi się porozumiewać za pomocą pisma i języka migowego. Może być w towarzystwie jednego lub kilku psów. Kiedy go ostatnio widziano w okolicy Mełen, ubrany był w niebieskie dżinsy, tenisówki i koszulę z krótkim rękawem w brązowo-czerwoną kratę...

Zanim skończył czytać, usłyszał dochodzące od strony lasu szczekanie. Wcisnął kartkę do kieszeni, zgarnął puszki i kiełbaski. Po wyjściu na dwór musiał ponownie wszystko rzucić na ziemię, żeby wsunąć rękę przez rozdartą siatkę i założyć haczyk. Najlepiej jak potrafił, wygładził siatkę, pozbierał jedzenie i pomknął po zwirowej drodze.

Essay czekała na niego tuż za liną lasu, a parę kroków dalej Tinder i Baboo. Surowo kazał im leżeć i odwróciwszy się, zaczął majstrować

366

367

otwieraczem. Zawartość puszki SpaghettiOs rozdzielił na trzy szeroko rozstawione kupki. Psy jęczały. Kiedy pozwolił im wstać, dały susa i SpaghettiOs zniknęło, a on już rozdzierał opakowanie z kiełbaskami i wciskając jedną do ust, podawał je psom na wyciągniętej dłoni.

W tym momencie oprzytomniał. Wyczytał kiedyś, że ludzie rzucający się na jedzenie po długim okresie postu wymiotują, lecz czuł, że jemu to nie grozi - w jego ciele rozgościło się tylko bardzo przyjemne uczucie. Być może takie mądrości napisali ci sami ludzie, którzy potrafili wytrzymać miesiąc bez jedzenia. On i psy wytrzymali trzy dni. Ale głupotą byłoby nie zaczekać kilku minut, tak dla pewności. Psy wysprzątały miejsce, w którym przez tak krótką chwilę leżało SpaghettiOs, a Edgar

odliczał kolejne oddechy, aż doszedł do stu. Kiełbaski były słone, lecz zupełnie mu to nie przeszkadzało. Smakowały wspaniale.

Zabrał resztę jedzenia i wycofał się na niewidoczną od strony domków polanę. Już od kilku dni nie widział tak przyjaznego miejsca. Usiadł po turecku, a psy otoczyły go, patrząc jak urzeczone, kiedy jak iluzjonista wykonujący sztuczkę zaczął otwierać puszkę z wieprzowiną i fasolą.

Piraci

Wędrowali już dziesięć dni, a może nawet dłużej — Edgar zaczął tracić rachubę — i w tym czasie ustalili nowe zasady wspólnego życia.

Nie miał ze sobą żadnego sprzętu — smyczy, obroży, długich sznurów czy kółek w ziemi — nic z tych środków, których używali w psiarni do ustalania, co jest istotne: jak skończyć i jak zaczynać, kiedy trzymać się blisko, a kiedy ruszać na poszukiwania, jak zajmować się sobą nawzajem. Nie wiele miał dla nich nagród, w niektóre dni nie było nawet jedzenia, chociaż po pierwszym tygodniu — po tym jak nauczyli się korzystać z domków — rzadziej to się zdarzało. Dlatego też z konieczności zaczął baczniej przyglądać się psom, częściej się zatrzymywał, dotykał ich czulej i uważniej niż w przeszłości.

Psy z kolei nauczyły się, że jeśli czekają na niego, gdy każe im zostać i znika w domku, Edgar zawsze wraca. Wspólnie ćwiczyli wymyślone przez niego nowe umiejętności. Już dawno rozumiały, co powinny zrobić, kiedy mają czekać, zarówno na ćwiczeniach na podwórzu, jak i w miasteczku; a teraz pytał, czy będą stały na leśnej polanie, kiedy są głodne, a wokół w ziemię uderzają dzięcioły, wzbijając w górę krocionogi, albo dręczą je wiewiórki lub nad ich głowami szybuje kamień szleszczący suchymi liśćmi. Kilka razy dziennie wyszukiwał odpowiednie miejsce, osłonięte sumakiem lub paprociami, i kazał im pilnować czegoś małego — na przykład niesionego tego ranka patyka lub jakiejś szmaty.

Potem zanurzał się w las, uważając, żeby nie odejść za daleko, ponieważ nie miał jak ich korygować. Następnie do strzeżonego przez nie przedmiotu wiązał kawałek żyłki wędkarskiej, polecając im stać i ruszyć się, dopiero kiedy ten przedmiot też się ruszy. Jak już się tego nauczyły,

369

wbiegał między nie, pokazując, że mogą się podnieść, i przewracał się na nie, turlał się z nimi po ziemi, łaskotał je, rzucał im ten przedmiot, żeby mogły go łapać. Zdążył się zorientować, że każdemu z nich inaczej można sprawić radość, i starał się w ten sposób nimi zajmować.

Poznał też granice ich cierpliwości, inne u każdego psa. Kiedy Baboo miał leżeć, był nieruchomy jak głaz i w każdej chwili mógł zasnąć. Szelest kamienia przelatującego przez paprocie najbardziej rozpraszał zawsze czujną Essay. Z Tinderem nigdy nie było wiadomo, czy zostanie w miejscu czy rzuci się do ucieczki, potrafił dwa razy podskoczyć, kiedy Essay bez zezwolenia ruszyła się z miejsca, po czym lizał jej pysk, próbując ją nakłonić, by ponownie usiadła.

Wspólnie doszli do porozumienia, choć trwało to dłużej, że ucieczka jest równie ważna jak zatrzymywanie się. Po pewnym czasie mógł im polecić, żeby wyszukały jakieś oddalone miejsce i tam na niego czekały. Początkowo odważały się zrobić tylko kilka kroków, później odbiegały tak daleko, że ich już nie widział. Uzgodnili, że ważne jest, aby nie szcekały, kiedy chcą zwrócić jego uwagę czy też są czymś podekscytowane. Każdego dnia wielokrotnie to ćwiczyli, zmęczeni przedzieraniem się przez zarośla. Zaczął łączyć ćwiczenia ucieczki z pilnowaniem; kładł na ziemi przedmiot, którego miały strzec, i odchodził z psami na bok, po czym kazał im wrócić, pilnować tego przedmiotu i pędzić za nim, gdy podskakując, sunął na sznurku przez suche liście. Długie wieczorne godziny spędzał na wyszukiwaniu kleszczy i rzepów w ich sierści. Każdego

dnia wiele razy przeglądał ich łapy.

Aby mogli przetrwać, musiał też zmodyfikować swoje wyobrażenie o przyszłości. Ich wędrówka była uzależniona od jedzenia. Jaki był sens gnać na północ, jeśli w połowie drogi umrą z głodu? Musieli wybierać drogę, która pozwoli im nie tylko pozostać w ukryciu, ale również znajdować pożywienie. A to oznaczało wolniejsze tempo i trasę bardziej okrężną, niż wcześniej zakładał.

Stał się specjalistą od włamań do wakacyjnych domków i chat wędkarzy. Rano, kiedy biwakowicze smażyli bekon i podrzucali naleśniki na patelni, krył się wraz z psami w zaroślach, później domki pustoszały i tylko czekały na splądrowanie. Nauczył się wchodzić, nie pozostawiając śladów włamania, i zawsze brał tylko tyle, żeby nic nie zauważono. Ze sobą niósł niewiele zapasów, nigdy nie zabierając niczego, co mogłoby ograniczać ruchy. Otwieracz do konserw, scyzoryk i odkład zęby i dziąsła miał podrażnione od stosowanej diety, również szczoteczkę do zębów. Dziecięcą wędkę spinningową firmy Zebco, na tyle małą, że nie przeszkadzała w marszu przez las. Wędkarską torbę na ramię, a w niej splawik i kilka haczyków wpiętych w kawałek kartonu. Kiedy nabrał nieco wprawy, mógł się postarać o strawę — zazwyczaj średniej wielkości ryby, choć czasami trafiał się okoń czy sumik. Wielokrotnie kładli się spać głodni, ale rzadko wygłodzeni. Domki dostarczały im mnóstwa ciasteczek Twinkies, Suzie-Q's i Ho-Hos, szynki w przyprawach, tarty z kremem, czipsów kukurydzianych i masła orzechowego, które można było jeść prosto ze słoika, całe garście płatków Wheaties i Cap'n'Crunch, które popijali wodą sodową, oraz niekończący się sznur kielbasek, salami i sardynek oraz batonów Hersheya. Czasami zdarzało się nawet, że znajdował karmę dla psów, którą później pożerały z jego dłoni jak wyjątkowy przysmak.

Ukradł też środek Off!, balsam spokoju i zadowolenia, ambrozię dla skóry. Boski, cudowny, wspaniały Off! — a zwłaszcza jego wzmocniona wersja Deep Woods, której gorzki aromat i tłusta lepkość stały się czymś równie podstawowym jak pożywienie czy woda: dzień wolny od udręki końskich much, noc w ukryciu przed komarami. Zabierał je z każdego domku, do którego wchodził — wszystkie, co do jednego. Jeśli w jakimś miejscu spędzali więcej niż dzień, gromadził dwa lub trzy biało-pomarańczowe aerozole, a do tego też porcję antyseptycznego środka Bactine.

W deszczowe dni było im ciężko. Czasami nie mogli znaleźć lepszego ukrycia niż pień grubej sosny Banksa, a jeśli wiał wiatr, w ogóle nie mieli schronienia. W deszczowe noce przeżywali męczarnie: potężne męczące burze pośród wybuchających wokół błyskawic. Zbyt długie wpatrywanie się w migotanie deszczu kończyło się tym, że Edgar leżał zwinięty w kłębek, obojętny na wszystko, bo jeśli wpadających kroplach nie dostrzegł żadnej postaci, czuł się osamotniony, a jeśli coś zobaczył — jakiś kształt, ruch, formę — wbrew wszystkim wcześniejszym postanowieniom wydawał niemy krzyk.

Miewali problemy z innymi psami, durnymi psami, które gdy wy-czuły ich obecność, sadyły susami do lasu, nie zważając na krzyki właścicieli nawołujących, żeby wracały i żeby bawiły się z dziećmi. Niektóre przybliżały się jak klauni, inne, szukając zwady, kroczyły jak snajperzy. Zwłaszcza Baboo czuł się urażony ich zachowaniem i nie zważając na protesty Edgara, prowadził swoje rodzeństwo do szalonych ataków, aż napastnicy ze skowytem uciekali.

Przeskakiwali od jeziora do jeziora, niczym po kamieniach ułatwiających przejście przez strumień, podążając przez lasy Chequamegon na zachód. Czasami ze znalezionych w domkach ulotek Edgar dowiadywał

się nazw jezior — Phoebus, Duckhead, Yellow — ale zazwyczaj mijali po prostu „jezioro”. Nie miał mapy, zapędzali się więc czasami między bagna, a potem musieli się wycofywać. Psy już dawno nauczyły się po mistrzowsku wyszukiwać żółwie jaja; nagle któryś coś znajdował, odbiegał w bok i zaczynał kopać. Jaja dojrzewały i robiły się coraz bardziej odrażające, a wygląd był chyba proporcjonalny do smaku. Edgar jednak pomagał w kopaniu i zawsze chował do kieszeni kilka na później, na nagrody. Głośno tupiąc, przechodził wzdłuż sitowia na brzegu, a żyjące tam żaby wyskakiwały w stronę czekających psów, które łapały je i pożerały.

Gdy tylko natknął się gdzieś na zapalki, zawsze je zabierał. Za dnia nie rozpalał ogniska, obawiając się strażników leśnych, którzy z wież obserwacyjnych wypatrywali dymów, ale w nocy pozwalał sobie na małe żółte ognisko do gotowania, rozpalane cienkimi jak papier zwojami kory brzozonej. Dopiero gdy już zdusił je ziemią, usypiał wraz z psami, słuchając jazgotu i pojękiwania bobrów. A o świcie rozlegały się krzyki nurów.

Jezioro nazywało się Scotia, a na Święto Niepodległości ściągnęły tu takie tłumy biwakowiczów, że Edgar i psy musieli się wycofać bardzo daleko od domków i kempingów. Co prawda trudno by mu powiedzieć, którego dokładnie dnia wypadał czwarty lipca, bo sztuczne ognie strzelały przez trzy noce z rzędu. Poprowadził psy nad jezioro, do lasu naprzeciwko małego kempingu leżącego po drugiej stronie wody. Wybrał miejsce w głębi lądu i właśnie miał rozpalić małą piramidkę patyków i kory brzozonej, gdy z drugiej strony wody dobiegły ich turkoczące świsty. Odwrócił się i zobaczył w powietrzu czerwone smugi, a po nich rozległy się trzy głośne uderzenia. Poleciał psom przejść przez wodę na porośnięty sosnami cypelek i tam usiedli. Niebo wypełniły rzeźbione

chmury, między którymi rozbłyskiwały gwiazdy. Na kempingu płonął tuzin ognisk. Słychać było muzykę, śmiechy i dziecięce piski. Jakieś sylwetki przemykały między płomieniami i jeziorem, wymachując kosmatymi zimnymi ogniami w powietrzu. Przez plażę przeleciał ognisty chrząszcz, skwiercząc i sypiąc iskry.

Nad wodą wzniosła się kolejna porcja rakiet. Zaskwierczał sznur petard. Rozkwitały wielkie jak księżyc pojedyncze i podwójne kwiaty, po ich zgaśnięciu na ziemię spadał deszcz czerwonych i niebieskich drobin, których odbicia unosiły się z wody na ich spotkanie, by natychmiast je zgasić. Psy siedziały na zadach i razem na to patrzyli. Essay podeszła do brzegu jeziora i próbowała nosem dotknąć jednego z widmowych węgielków, a potem odwróciła się i szturchnęła Edgara, jakby prosząc o wytłumaczenie. Tylko siedział, patrząc, uniósł dłoń i pogłaskał ją po brzuchu.

Skądś z radia popłynęła piosenka. Biwakowicze zaczęli śpiewać, ich drżące głosy niosły się po wodzie. Zawył pies, rozległy się śmiechy. Pies wciąż wył, głosem wysokim i przejmującym. Po chwili Tinder uniósł pysk i zaskowytał w odpowiedzi. Essay natychmiast się poderwała i polizwała mu mordę. Kiedy Tinder nie przerywał wycia, dołączyła do niego swoim auuu-auuu-au! i w końcu Baboo uzupełnił to trio. Pies na kempingu słuchał, jakby rozważał jakąś propozycję, i ponownie zajadłował. Edgar zdawał sobie sprawę, że powinien to przerwać, ale spodobał mu się ten dźwięk. Tego wieczoru odczuwał w lesie większą niż zazwyczaj samotność i nie potrafił opanować chęci nawiązania jakiegoś kontaktu, nawet najslabszego, z tymi ludźmi i ich zabawą. Głosy psów rozbrzmiewały na zmianę zgodnym chórem, rozbawieni biwakowicze dołączyli do nich, aż w końcu wszyscy z wyjątkiem Edgara głośno wyli do nieba.

Po pewnym czasie psy umilkły i biwakowicze przestali je naślado-

wać. Przez chwilę panowała cisza. I nagle z położonych na północ od jeziora wzgórz, gdzie nie było żadnych domków i ognisk, rozległo się basowe uuuuuuuuuuhr-uhr-uh, kończące się cienkim piskiem. Edgar natychmiast rozpoznał to wycie, choć słyszał je w psiarni tylko tamtej jednej nocy — krzyk samotności tak wielkiej, że ciepło lipcowej nocy umykało do gwiazd. Essay zjeżyła sierść i podskoczyła, po niej to samo zrobiły Baboo i Tinder. Edgar położył dłonie na ich grzbietach i zmusił je, żeby usiadły, po czym odszedł na zerodowane wiatrem kamienie i czekał. Z drugiej strony jeziora doszedł go wybuch nerwowego śmiechu.

373

Dopiero po chwili, powoli, powróciły wszystkie odgłosy nocy: rzekotek i świerszczy, szum wiatru w drzewach i docierające z oddali dudnienie błyskawic, niesamowite wołania sów, słowików i lelków. Tamten skowyt rozległ się tylko raz i potem już się nie powtórzył.

Tej nocy śniła mu się Almondine patrząca nieruchomym wzrokiem i czekająca na odpowiedź na jakieś pytanie. Obudził się w ciemnościach. Kiedy znowu zasnął, ponownie ją ujrzał. Rano ocknął się samotny i zmęczony, rozmyślając o swojej tęsknocie. Tęsknił za porannymi pracami w psiarni i za prostotą śniadania przy stole. Tęsknił za telewizją — popołudniowym filmem na kanale WEAU. Za miękkością ich trawnika. Poza Almondine najbardziej tęsknił za słowami — głosem matki, słownikiem *The New Webster Encyclopedic Dictionary of English Language*, czytaniem i przekazywaniem tego na migi szczeniakom w kojcu.

Po przebudzeniu poczuł głód. Zabrał wędkę i torbę na ramię, zgarznął nogą liście na wygasłe węgle po ognisku i poszli na brzeg jeziora, gdzie dzień wcześniej łowił ryby. Wyjął z torby porwaną kobiecą pończochę, podwinął nogawki dżinsów i na bosaka wszedł do wody. Wrócił, niosąc w zaimprovizowanym saku garść drobnych rybek. Kilka mi-

nut później wyciągnął z jeziora bassę, wypatroszył go, odłożył dla psów i nałożył na haczyk kolejną drobną rybkę. Karmił psy po kolei, pilnując, żeby każdy dostał swoją porcję, usuwając łuski, odcinając mięso od kości i odrzucając szkielet, a kiedy już skończył, każdemu dał jeszcze po dwa rybnie łby, żeby sobie zabrały i schrupały. On nie jadł surowych ryb. W kierunku południowym znajdował się domek, do którego kiedyś się włamał; jeśli nie uda mu się teraz tam dostać, będzie musiał poczekać z upieczeniem ryby do wieczora.

Zostawiwszy wędkę i torbę, ruszył z psami w tamtym kierunku.

Gdy znaleźli się w pobliżu domku, kazał im zaczekać, a sam przedarł się przez zarośla, żeby lepiej się przyjrzeć. Domek stał nad jeziorem, na końcu długiej gruntowej drogi dojazdowej. Pomalowany na jasnoczerwony kolor, z oknami wykończonymi białym obramowaniem. Dwie rodziny taszczyły bagaże do samochodu. Edgar wrócił do psów i czekał. Słyszał gwar dziecięcych głosów, uderzenia drzwi, trzask-trzask-trzask, i dźwięk uruchomionego silnika. Gdy ponownie zapadła cisza, podprowadził psy i polecił im zostać na skraju polany.

374

Na zarośniętym podwórzu stał zaparkowany drugi samochód, brązowy sedan z dachem ze sztucznej skóry. Z domku nie dochodziły żadne dźwięki, jedynie po jego dachu głośno skakały dwie szare wiewiórki. Zajrzał przez okno i zapukał do drzwi. Nikt mu nie odpowiedział, więc uchylił okno do góry i wciągnął się na parapet. Kilka minut później wyłonił się, niosąc dwie kanapki z masłem orzechowym, opakowanie bekonu i pół kostki masła. W jednej tylnej kieszeni spodni miał baton Hersheya, a w drugiej Off!

Mijając ponownie samochód, przypomniał sobie połyskujące kluczyki widziane na blacie w domku. Zajrzał przez szybę od strony kie-

rowcy i zobaczył umieszczony w podłodze drążek zmiany biegów z wygrawerowanym na gałce wzorem w kształcie litery H. Nie sądził, żeby potrafił prowadzić ten samochód, ale na moment puścił wodze fantazji: siedzi za kierownicą i gnają autostradą, Essay z przodu, a Baboo i Tinder z tyłu, szyby są opuszczone, a one wystawiają łby na zewnątrz w pędzącym letnim powietrzu.

I co potem? Jak daleko zajechałyby kradzionym samochodem? Jak mieliby kupić paliwo? Co by jedli? Teraz, chociaż poruszali się w żółtym tempie, przynajmniej prawie codziennie mieli co jeść. Jazda samochodem oznaczałaby koniec czekania pod domkami, koniec ostrożności. A co gorsza, zabranie samochodu zniszczy złudzenie, że on i psy już dawno temu zaginęli. Tydzień temu samolot służby leśnej przestał przelatywać nad wierzchołkami drzew. Policyjnych radiowozów nie widział na drogach od tamtego pierwszego dnia. W domkach nie znajdował już ulotek. Ale ktoś, kto kradnie samochód, z pewnością istnieje. Taką osobę można szukać, wysledzić i złapać. I nawet gdyby jeździli bocznymi drogami (choć i tak nie miał pojęcia, którymi bocznymi drogami miałby jechać), ta ich czwórka stanowiłaby niezłe widowisko. Zabranie samochodu oznaczałoby porzucenie ich nierealnej egzystencji i wkroczenie do rzeczywistego świata.

Powlókł się do miejsca, w którym leżały dyszące psy. Usiadł, nakarmił je plastrami bekonu i nałożył na rękę kawałki masła, żeby mogły je zlizywać. Zjadły i zaczęły się dopominać o kanapki z masłem orzechowym.

Zjeżdżajcie, pokazał im na migi. Kręcił się w kółko, w końcu poddał się i każdemu oderwał po jednym rogu kanapki, wymagając od

375

nich wykonania łatwych ćwiczeń. Połóż się. Przynieś patyk. Połóż się

na grzbiecie i wystaw brzuch do nieba. Natomiast baton Hersheya, połamany, rozmiękczone i rozpuszczone na miękką masę od ciepła, zjadł sam. Oblizawszy palce, ruszył do miejsca, które wcześniej wybrał na nocny spoczynek.

Całą czwórką rozlokowali się na polanie w pobliżu miejsca, w którym łowił ryby. Edgar nasmarował się płynem Off! i zapadł w drzemkę, a psy wyciągnęły się wokół niego jak aligatory. Nad wierzchołkami drzew sunęły chmury. Przez przybrzeżne trzciny przelewały się fale, „szur, szur”, a po wodzie niosły się bezbarwne głosy — „Mamusiu, gdzie jest ta łopata? Chyba mówiłam ci, żebyś tego nie robił!”. A potem śmiech. Przeciągle „iiiiiiiiii” zachwyconego malucha. „Idź i nabierz sobie z jeziora”. Trzaskanie zamykanych drzwi samochodu, brzęk naczyń, łomot rozbijanych butelek. „Tylko nie w samochodzie, nie można”.

Śpiący Baboo skomlał przez sen i nerwowo poruszał jedną łapą, marząc o nornicach uciekających zarośniętymi tunelami. W tym śnie skurczył się do ich rozmiaru i sadył za nimi susami, szybko je doganiał pośród przemykających źdźbeł trawy, jednocześnie zachowując swoją normalną wielkość i wewnątrz, i na zewnątrz tunelu, zarówno duży, jak i mały. Podobnie pozostałe psy, wciągające w piersi ciepłe popołudnie i wypuszczające westchnienia, spały, słuchając szumu i plusku wody oraz wiatru w drzewach.

Początkowo psy sądziły, że opuściły dom dla żartu i że wkrótce wrócą. Obecnie wyglądało na to, że ich świat zerwał się z kotwicy i dom podróżuje wraz z nimi, a ziemia obraca się pod ich łapami. Strumień. Las. Skraj bagna. Jezioro. Księżyc. Wiatr. Słońce przypiekające je teraz przez czubki drzew. W psiarni często sypiały obok Edgara — na strychu, w jego pokoju w domu, a nawet na podwórzu — ale nigdy tak jak w te ostatnie noce, nigdy nie leżały zwinięte przy nim tak blisko, że kiedy rzucał

się przez sen, one zrywały się na nogi i stojąc w miejscu, obserwowały, jak walczy z jakimś niewidzialnym zagrożeniem. Sierść im się od tego jeżyła. Nisko opuszczały łby, warczały i rozglądały się dookoła. Był tak bezbronny z tą skórą niebieskawą w świetle księżyca, ramieniem wykręconym nad twarzą i krwią pulsującą pod skórą. W takich momentach tylko Essay odchodziła na bok, żeby zapolować w ciemnościach.

Martwiły się, gdy je opuszczał i szedł po jedzenie. Kłóciły się między sobą. Odszedł. Wróci do nich. A jeśli nie wróci, co się wówczas stanie? Wróci. Często pod jego nieobecność drzewa nachylały się wokół nich, przynosząc towarzystwo sójek i wiewiórek pochłoniętych zażartymi sporami. Czasami wracał z nieznanymi im wcześniej smakołykami. Kiedy indziej z pustymi rękami, ale zawsze gotów do zabawy.

Tego popołudnia zapomniały o troskach. Były w znajomym miejscu. Nie miały nic do roboty poza odganianiem much i obserwowaniem przesuwanego się słońca. Edgar półdrzemał, bardziej niż one zahipnotyzowany popołudniowym słońcem. Nie wyczuł wkradającego się na polanę zapachu ani nie zareagował na kolejne dźwięki, które słyszały psy. Dopiero kiedy się zerwały — najpierw Essay, po niej Tinder, a potem, szamocząc się przez wielką kupę liści, Baboo — Edgar w końcu się obudził, wstał i zobaczył, co się stało.

Zanim młodsza z dwóch dziewczynek dotarła na polanę, ona i jej towarzysza już dawno dostatecznie się nagadały. Doszły do wyciętej w lesie drogi prowadzącej do czerwonego domku. W zaroślach stał zaparkowany samochód, ale wyglądało na to, że w domu nie ma nikogo. Przeszły przez las, a potem brzegiem jeziora, szukając piaszczystego miejsca, aż dotarły na cypelek. Starsza dziewczynka odeszła na bok i usiadła, plecami opierając się o drzewo i patrząc na położony po drugiej stronie kemping. Młodsza powlokła się dalej, wzdłuż rosnących tu trzciny i turzycy.

Natrafiała na wędkarską torbę i opartą o pień drzewa dziecięcą wędkę. Rozejrzała się dookoła. Między drzewami dostrzegła polanę, na którą padał snop słonecznego światła, ruszyła więc w tym kierunku w nadziei, że znajdzie swoje ulubione białe kwiaty trójlistka.

Gdy podniosła wzrok, chłopiec już na nią patrzył. Stał po drugiej stronie polany, wysoki i wyglądający na zwinnego, z gęstymi włosami opadającymi na czoło i oczy, przez co wyglądał młodo, chociaż jego twarz zdawała się pomarszczona jak u człowieka starego. Nie zdążyła jeszcze mrugnąć okiem, jak dojrzała stojące przy nim trzy zwierzęta, jedno z przodu, a dwa po jego bokach. Wilki, pomyślała, choć oczywiście nie były to wilki. To były psy — może owczarki, chociaż nigdy takich jeszcze nie widziała. Miały sierść kasztanowo-czarną, a ich ogony zamiatały po ziemi, jakby rozciągnięte w przedłużenie tylnych łap. Najbardziej

376

377

uderzył ją jednak kontrolowany bezruch ich ciał, a zwłaszcza spojrzeń, tak na niej skupionych i uporczywych.

W tym momencie chłopiec wykonał gest i psy śmignęły przez polanę. Jeden uskoczył do lasu. Pozostałe dwa sadziły do niej prosto równymi, długimi susami, ich barki kołysały się jak u biegnącego lwa, grzbiety wyginały się w łuk i prostowały. Aż westchnęła na ten widok. Podniosła wzrok i zobaczyła, że chłopiec pokazuje na nią. Przyłożył wyprostowany palec do ust, a potem wyciągnął przed siebie dłoń, najwyraźniej dając jej znak, że powinna nie odzywać się i stać nieruchomo.

Dwa biegnące przez polanę psy zatrzymały się przed nią, po jej lewej i prawej stronie. Nie sprawiały wrażenia nieprzyjaznych, ale też nie wyglądały na całkiem łagodne. Instynktownie cofnęła się o krok i nagle usłyszała za plecami niepokojące mruknięcie. Znieruchomiała i odwró-

ciła głowę. Trzeci pies stał za nią z pyskiem przy jej kolanie. Obwąchał jej nogę i spojrzał na dziewczynkę. Kiedy z powrotem postawiła nogę, znajdujące się przed nią psy podeszły bliżej, a ona lekko się zachwiała, jakby uchwycona w powoli zaciskające się imadło. Gdy jednak odzyskała równowagę i stanęła nieruchomo, psy ponownie się cofnęły.

Popatrzyła na drugą stronę polany. Chłopca już tam nie było.

W tym momencie usłyszała za sobą głos starszej dziewczynki: „ Jess? Chodźmy. Jess?”. Chciała jej odpowiedzieć, lecz nie wiedziała, jak psy zareagują na krzyk. Prócz tego było coś fascynującego w tym, jak patrzyły na nią wzrokiem skupionym niczym laser. W tym, jak stały prawie na wyciągnięcie ręki. Miała nieodparte wrażenie, że chcą jedynie, aby się nie ruszała. I były piękne z tymi zmarszczonymi brwiami w kolorze miodu nad brązowymi oczami, które świeciły niezwykłym blaskiem... czego? Zainteresowania? Spokojnej ciekawości? Zastanawiała się, co by się wydarzyło, gdyby się do nich odezwała. Czy podeszłyby i dotknęły ją?

Już miała wcielić w życie ten pomysł, kiedy usłyszała ostre podwójne klaśnięcie. Pies po jej prawej natychmiast się oddalił, ruszając się powoli, przepadł w krzakach. Chwilę później również pies stojący za nią odwrócił się i zniknął. Trzeci pies jednak nie ruszał się z miejsca. Przez moment stał, patrząc na nią, podszedł i drżąc na całym ciele, obwąchał rąbek jej szortów. Wyciągnęła rękę. Pies cofnął się, a w jego oczach coś dostrzegła, jakby poczucie winy. W tym momencie również on rzucił się do ucieczki. Wyciągnęła szyję, obserwując jego ruchy, tak zwinne i pełne gracji. W odległości dziesięciu metrów dwa pozostałe psy czekały przy chłopcu, który klęczał i gestem przywoływał ostatniego. Kiedy pies w końcu do niego podszedł, dłonie chłopca wprawnie przesunęły się wzdłuż jego boków i nóg, jakby z przyzwyczajenia sprawdzał, czy

pies nie jest ranny. Widziana wcześniej mała wędka leżała obok niego na ziemi, torba zwisała mu z ramienia. Chłopiec podniósł się. Psy po raz ostatni spojrzały na nią znad grzbietów i już ich nie było, a zarośla powróciły na swoje miejsce.

Dziewczynka wypuściła powietrze.

„Powinnam się wystraszyć, ale nie bałam się”, przeszła jej przez głowę myśl. I nieoczekiwanie druga: „Już nic tak dziwnego mi się nie wydarzy”.

Odczekała jeszcze chwilę, a potem wydała z siebie okrzyk i pobiegła tam, skąd dochodził głos starszej dziewczynki.

Zatrzymać pozwolił im się, dopiero gdy zrobiło się tak ciemno, że przestał widzieć drogę. Dawno temu, tamtej pierwszej nocy ich ucieczki, niebo było bezchmurne, a księżyc w pełni świecił bezpośrednio nad głowami, lecz obecnie na niebie wisiał tylko topniejący sierp księżycy. Wybrał miejsce w pobliżu kępy sosen Banksa i zgarnął igły, odrzucając sklezione żywicą grudki. Poleciał psom położyć się. Wiedziały, że to oznacza noc bez wody i jedzenia, więc zareagowały chórem pomrukiwania i skarg.

Cztery i pół dnia nad jeziorem Scotia. Powinni się posuwać na północny zachód, a tymczasem ociągali się z opuszczeniem miejsca, w którym łatwo było zdobyć jedzenie, ale również zostać zauważonymi. Już kiedy to robili, zdawał sobie sprawę, że popełniają błąd. Tamto wycie w noc sztucznych ogni było tylko nieostrożnością, teraz ta blond dziewczynka dobrze przyjrzała się Edgarowi, a jeszcze lepiej psom. Gdy uciekali z polany, słyszał jej krzyki: „Hej, Dianę! DIANE! Tutaj! O Boże! Nigdy w to nie uwierzysz!”.

Kimkolwiek była Dianę, z pewnością uwierzy. I ona uwierzy, i jej rodzice uwierzą, a także uwierzą w okręgowym biurze szeryfa. Pozo-

stało mu już tylko podążać dalej, jak najdalej i jak najszybciej, zawsze trzymając się z dala od dróg — zgodnie ze starym planem. Jego jedy-

378

379

nym planem. Przy słabnącym świetle pokonali jakieś dwie mile. Jeśli następnego dnia się postarają, może uda im się przejść przez las kolejne trzy lub cztery mile.

Na szczęście nie wszystko zawalił. Krótki mocny zestaw wędkarski Zebco nie uszkodził się podczas ich szalonego biegu. Kiedy przekroczyli leśną drogę, Edgar odciął haczyk i włożył go do kartonowego opakowania, które trzymał w tylnej kieszeni spodni. Później, przeciskając się przez zarośla, trzymał wędkę pod pachą, żeby nic jej się nie stało. Drugą pomyślną wiadomością było zachowanie psów, które doskonale odegrały rolę stróżów. Przyjemnie było patrzeć, jak biegły w słonecznym świetle w stronę dziewczynki. Edgar z ogromną chęcią zostałby w miejscu i tylko na nie patrzył. Gdy ją otoczyły, wystarczyło, że chciała się gdzieś ruszyć, a nawet przestępowała z nogi na nogę, a już jeden z nich na nią naciskał, zmuszając ją do cofnięcia się. A kiedy trzeba było biec, w ciszy trzymały się blisko niego.

Essay złożyła łeb przy kolanie Edgara. Słuchając burczenia w jej brzuchu, ponownie zaczął liczyć: poruszając się na piechotę, przedzierając się przez las i zbaczając, żeby zdobyć jedzenie i wodę, mogą dziennie pokonywać trzy pełne mile. Dziewięćdziesiąt mil w ciągu miesiąca. Był początek lipca. Edgar miał nadzieję, że do kanadyjskiej granicy jest nie więcej niż sto mil. A to oznaczało, że w połowie sierpnia mogą dotrzeć tam, gdzie zamierzał.

Wkrótce potrzebna mu będzie mapa. Wciąż byli w lesie Cheamamegon, ale jeśli będą stale posuwać się do przodu, już niedługo z nie-

go wyjdą.

Następnego ranka opadła mgła tak drobna, że zaczęła się skraplać na sierści psów. W południe mgła przeszła w deszcz i gdy tylko ukazała się im sosna z wysoko wiszącymi gałęziami, rzucili się pod nią, żeby przeczekać złą pogodę. Pół godziny później ulewny deszcz był już ogłuszający. Siedząc pod drzewem, z poziomu kolan obserwowali zalewany strugami wody świat. Wybrane przez nich drzewo zrzucało wodę nieregularnie; bez żadnego ostrzeżenia zimny prysznic spadał kaskadą wzdłuż pnia, lejąc im się na grzbiety. Gdy nadmiar wody już mu nie przeszkadzał, Edgar wystawiał głowę spod gałęzi, szukając przejaśnień. Psy na zmianę drzemały i mruczały swoje skargi, truchtały w deszczu, żeby oddać mocz, i wracały, otrząsając się z wody przed drzewem albo czasami — ku ogólnemu niezadowoleniu — pod samym pnem. Powietrze pod sosną zaczęło cuchnąć mokrymi psami. Po chwili Edgar nie potrafił znaleźć sobie miejsca, które byłoby i wygodne, i suche. Zaczęły go boleć kości. Jedynie Baboo przez cały czas zachowywał kamienny spokój: leżał z łbem opartym na łapach, jak zahipnotyzowany widokiem padającej wody, czasami nawet przewracał się na grzbiet, żeby do góry nogami oglądać przebieg wydarzeń.

Początkowo Edgar myślał praktycznie: musimy iść dalej. W oparciu o własny głód oceniał, jak czują się psy. Potrafił już określić, jak długo mogą wytrzymać bez jedzenia. Jeśli potrwa to dzień, myślał, będzie im doskwierać, ale nie stanowi zagrożenia. Zdążyły się już trochę przyzwyczaić do lekkiego uczucia głodu. Pomijając niewygody, nie było nic szczególnie złego w spędzeniu dnia pod drzewem. Czy przez trzy ostatnie dni robili coś innego?

Jednakże w miarę upływającego dnia jakaś myśl nie dawała mu spokoju, myśl, którą starał się za wszelką cenę od siebie odsunąć. Po raz

pierwszy, od kiedy przekroczyli strumień ograniczający ich ziemię, poczuł autentyczną tęsknotę za domem, a gdy to już raz się zaczęło, szybko opadły go korowody wspomnień. Jego łóżko. Dźwięk trzeszczących schodów. Zapach psiarni (wyjątkowo silnie wspominany w tej chwili pod drzewem). Pikap. Jabłonie, już z pewnością ciężkie od owoców. I matka mimo mieszanych uczuć, jakie nim teraz targały. Ale najboleśniejszą tęsknotę odczuwał za Almondine. Jej obrazowi towarzyszyła przejmująca zgryzota. Podążające z nim psy były bardzo dobre, zdumiewająco dobre, lecz nie były Almondine, która nosiła jego duszę. Tymczasem nadal planował jeszcze bardziej się od niej oddalić i nie miał pojęcia, czy i kiedy powróci. Nie mógł wrócić. W pamięci miał jej ostatni obraz: zniechęcona leżała w kuchni, odprowadzając go wzrokiem, kiedy się od niej odwracał. W ostatnim roku jej pysk bardzo posiwiał. W przeszłości zbiegała po schodach przed nim i czekała na dole, a ostatnio w niektóre poranki zdarzało się, że chociaż próbowała, nie potrafiła wstać, więc podnosił jej zad i szedł obok niej, kiedy starała się zejść po schodach. Braki w zwinności w dwójnasób nadrabiała coraz większą wnikliwość — zdolnością zaglądania do jego wnętrza. Jakże mógł o tym zapomnieć? Jakże mógł zapomnieć, że w miesiącach po śmierci ojca tyl-

380

381

ko ona potrafiła go pocieszyć, obwąchując dokładnie w tym momencie, gdy osuwał się w spiralę rozpacz? Jakże mógł zapomnieć, że w niektóre dni ratowała go zwyczajnym gestem, po prostu opierając się o niego?

Almondine była jedyną istotą na ziemi, która równie mocno jak on tęskniła za ojcem, a Edgar tak ją zostawił.

Dlaczego wówczas nie potrafił tego zrozumieć? Co on sobie wyobrażał?

Wystarczyło, że zamknął oczy, i powracało uczucie ojcowskiej ręki sięgającej w głąb jego piersi, pewności, że serce zaraz przestanie mu bić. To wspomnienie było tak olśniewające jak wspomnienie własnych narodzin — doświadczenie tak intensywne, że w pełni przypomniane, zniszczyłoby człowieka. Nie potrafił oddzielić tego od obrazu ojca leżącego w psiarni z szeroko otwartymi ustami i ostatniego wydechu, który Edgar wycisnął z jego ciała. Potem pomyślał o Claudzie, o wyrazie jego twarzy, kiedy Essay potruczyła do niego ze strzykawką w pysku, i o białym mleczu oraz o otaczającej go plamie bladej trawy. I przypomniał sobie doktora Papineau leżącego pod schodami w warsztacie z otwartymi oczami i odwróconą głową.

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że chwiejnym krokiem idzie w deszczu. Nie miało znaczenia, dokąd zmierza, liczyło się tylko to, że się porusza. Kiedy spojrzął w dół, zobaczył podskakujące przy nim psy. Mokre ubranie rozgrzało się do temperatury ciała, ale deszcz splukał całe ciepło. Rzucił się w krzaki i zaczął przedzierać przez gąszcz, potykając się, podnosząc i biegnąc dalej. Po raz pierwszy od kiedy opuścili dom, ujrzeli prawdziwe łąki. Dwukrotnie przecięli zwirowe drogi — dziwne nieprzerwane linie pordzewiałego biota. Te wszystkie obrazy spływały przez niego, zmywały tamte myśli. Deszcz przekształcił się w bezsensowny stukot na jego skórze, ani ciepły, ani zimny, a on witał go z radością. Nie powinni dać się powstrzymać lipcowemu deszczowi. Niebezpieczeństwo kryło się w tak długim pozostawaniu w bezruchu. Napotykali wiele płotów, niektóre były zwalone i zardzewiałe, przez co groźniejsze, bo trudno było je zauważyć. Gdy tylko udało mu się znaleźć jakieś jagody, zrywał je z gałązek i na wyciągniętej dłoni podawał psom, które obracały je w pyskach i z ociąganiem połykały. Tektura z haczykami na ryby rozmokła mu w kieszeni i ostrza zaczęły się wbijać

w skórę. Całą godzinę stał rozebrany od pasa w dół, wyciągając haczyki i zawijając je w brzożową korę, a kiedy skończył, czubki palców miał pomarszczone i otarte.

Pod wieczór chmury popękały i deszcz ustał. Na niebie pojawiły się błękitne przecinki. Znajdowali się w miejscu, z którego widać było małą łąkę, wielkości może pięćdziesięciu akrów, na której końcu stała samotna stara stodoła. Edgar zdjął przemoczone ubranie i rozłożył je między drzewami na skraju lasu. Ledwo na niebie zapłonęły najjaśniejsze gwiazdy, przytuleni do siebie leżeli w czwórkę i spali na obrzeżach lasu Chequamegon.

Obudziwszy się rano, nie zdawał sobie sprawy, że psy gdzieś zniknęły, ani nawet jak późno już jest, jedynie że wszystkie jego kończyny toną pod masą piasku. Leżał na plecach, rękami przesłaniając twarz i pozwalając, aby promienne słońce ogrzewało mu piersi i ramiona. Brak miękkiego ciężaru psich ciał na jego ciele nie zrobił na nim żadnego wrażenia — jeszcze przez chwilę panowała tylko logika marzeń sennych, pragnienie powrotu na morze snów, z którego został rzucony na mieliznę. Gdy w końcu otworzył oczy, zobaczył przygniecione chwasty, na których miał spać Tinder, więc podniósł się i rozejrzał dookoła. Pole zarośnięte trawą i troj eścią ciągnęło się przed nim długą falą w górę do stodoły. Nad polem szybowały dwa jastrzębie, zajęte polowaniem i raz za razem nurkujące. Z traw pośrodku pola jak delfin wychynął jeden z psów — Essay? — a za nim pojawiły się pozostałe dwa, kreśląc łuki w powietrzu i zanurzając się w głębokiej trawie. Klasnął w dłonie i psy zaczęły się przedzierać przez pole, biegnąc zygzakami i podskakując, aż w końcu Essay wpadła na polanę. W pysku niosła ogromnego, długiego jak ona brązowoczarnego pończoszniaka z wypchanym brzuchem. Zatrzymała się obok Edgara i tak potrząsała węzłem, aż jego martwe ciało zwijało się i skrę-

cało w powietrzu. Baboo i Tinder dopadły do niej, próbując wyrwać jej zdobycz. Truchtala to w jedną, to w drugą stronę, w końcu Tinder złapał ogon węża. Po chwili zmagania wąż rozdarł się na dwie części, między którymi ciągnęły się trzepoczące sznury wnętrzości. Baboo i Tinder powtórzyli tę samą operację z tylną częścią węża, po czym każdy pies odszedł na bok ze swoją porcją.

O Boże, fuj! pomyślał Edgar i odwrócił się zniesmaczony nie tyle tym, że jedzą węża (choć pończoszники wstrętne śmierdziały), ile tym, że jedzą go surowego. Zastanawiał się, czy zapalki w kieszeni są suche;

382

383

mógłby im go upiec. Ale zanim zdąży się ubrać, nic już nie zostanie. Jeśli jego żołądek mógł służyć za jakąś wskazówkę, psy musiały być naprawdę wygłodniałe. Znalezienie jedzenia było sprawą najważniejszą.

Włożył wilgotne ubranie, przywołał psy i zaczęły brnąć przez perz, trojeść i dziewanny. Psy krążyły wokół niego po szalonych kolistych orbitach, jakby snując wariacje na temat jego trasy. Stara stodoła stała przy zachwaszczonej asfaltowej drodze w miejscu, z którego nie było widać żadnego domu. Była to pierwsza stodoła, jaką napotkali podczas swojej wędrówki, i Edgar uznał to za znak, że w końcu przebyli las Chequamegon i ponownie znaleźli się na terenach uprawnych. Przytknął oko do jednej z szerokich na kciuk szpar w deskach stodoły. Wewnątrz znajdowała się brona talerzowa i pług lemieszowy, obie maszyny wyposażone w metalowe kubelkowe siedzisko, oraz zdezelowany wóz na siano, którego tylna część ramy zapadła się na kształt dramatycznej maski ze zmarszczonymi brwiami. Na drugim końcu stał staroświecki siewnik złożony z pordezewiałych noży i lejków. Nieregularne pasy światła kładły się na maszynach i pokrytej pyłem z siana podłodze, a on miał wrażenie,

że zagląda przez żebra rozdziobanego przez ptaki wielkiego zewłoku na to, co cielsko wyjadło i później zostało uwięzione w pułapce.

Niezainteresowane stodołą psy myszkowały obok biegnącego wzdłuż drogi zniszczonego ogrodzenia z drutu kolczastego, obwąchując wierzbownice i powoje oplatające paliki ogrodzenia. Edgar wyszedł na drogę. Nie dostrzegł ani śladu środkowej linii. Psy zachowują się absolutnie beztrosko, pomyślał, patrząc, jak biegną do niego, jakby odczuwały ulgę, mogąc wrócić do wędrownego życia po sparaliżowaniu przez deszcz. Razem pokonali płytki rów i przeszli przez rząd drzew, pod którymi stało porządne ogrodzenie z równo naciągniętymi dwiema liniami drutu kolczastego. Psy prześlizgnęły się pod spodem, prawie nie zwalniając. Przed nimi rozciągało się biegnące w górę pole słoneczników wyższych od Edgara — całe rzędy szarozielonych łodyg zwieńczonych pokrytymi meszkiem, żłobkowanymi talerzami, wszystkie odchyłone w stronę wiszącego na niebie słońca. Szli skrajem pola słoneczników, chcąc ułatwić sobie marsz, dopóki nie zobaczyli w oddali samochodu na drodze. Edgar po raz ostatni obrzucił wzrokiem opuszczoną stodołę, po czym uderzył dłonią w nogę i dali nura w przerwę między ciągnącymi się w nieskończoność dwoma rzędami łodyg słoneczników.

Okolice Lute

Dopiero gdy dotarli do połowy pola, słoneczniki przerzedziły się i wyszli na otwartą przestrzeń, na której Edgar przystanął, żeby się rozejrzeć.

U stóp wzgórza pole kończyło się porośniętym drzewami wiejskim podwórzem. Dom był prosty, kwadratowy, z mansardowymi oknami i prostym, brunatnym asfaltowym gontem. Długa droga dojazdowa zakręcała za domem i kończyła się przed wolno stojącym budynkiem przypominającym wozownię lub szopę. Przed szopą stał zniszczony stary samochód. W okolicy nie było widać nikogo, na ganku za domem nie leżał żaden pies, ze

stojącej na tyłach podwórza małej stodoły nie dobywał się żaden dźwięk. Edgar słyszał tylko chóralne brzęczenie tysięcy pszczoł zbierających kleisty nektar z główek słoneczników. Samo pole było długie i wąskie, stanowiąc aleję z jednej strony ograniczoną ogrodzeniem z drutu kolczastego, a z drugiej gęstym pasem drzew. Nad wierzchołkami drzew wznosiła się wieża ciśnień, pękata, w niebieskawozielonym kolorze. Na niebie snuły się porozrzucane cumulusy w odcieniach bieli i błękitu, a ich cienie kładły się na pofałdowanej ziemi. Nazwa miejscowości wypisana była wysokimi białymi literami na zbiorniku wieży ciśnień: Lute.

Klasnąwszy w dłonie, przywołał psy, chwycił w dłonie ich pyski i przesuwał czubkami palców wzdłuż ich dziąseł, sprawdził, jak bardzo są spragnione. Przy okazji mógł ocenić, czy Essay jest w nastroju do ucieczki czy raczej zostanie na miejscu, czy Tinder albo Baboo są niespokojne. Kiedy z zadowoleniem stwierdził, że zostaną w pobliżu — i kiedy cała ich czwórka co do tego się zgodziła — ruszyli na skraj pola.

Terminując w złodziejskim fachu, Edgar nauczył się nie tracić czasu na zastanawianie się, czy dane miejsce jest niezamieszkałe czy tyl-

384

385

ko na takie wygląda — łatwiej było po prostu podejść i zapukać. Gdyby w środku ktoś się poruszył, zawsze mógł uciec. Ponadto głód spowodował, że stał się nieco lekkomyślny. Poleciał psom leżeć (Essay opadała centymetr po centymetrze — będą musieli to przećwiczyć i starając się iść jak najbardziej niewinnie, ruszył do tylnych drzwi. W środku nie słyszał żadnych głosów ani telewizora czy radia. Rama kwadratowego okienka koło drzwi była opuszczona i zamknięta na zasuwkę.

Zapukał. Po upływie minuty (dostatecznie długo, żeby ktoś wstał z łóżka i przeszedł przez pokój, dostatecznie długo, żeby ktoś zawołał:

„Kto tam?“, i dostatecznie długo, żeby pies zaszczekał otworzył drzwi z siatką przeciw owadom i przekręcił gałkę klamki w wewnętrznych drzwiach. Ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyły się do środka i stanął na progu schludnej kuchni z pokrytą linoleum podłogą, na której leżała bożonarodzeniowa mata. Nachylił się i jeszcze raz zapukał, tym razem głośniej. Odpowiedział mu tylko trzask wyłączanej sprężarki w lodówce. Jeszcze raz się rozejrzył, a potem zaczął się szaleńczy pośpiech.

Otworzył lodówkę. Puszki piwa i butelki coca-coli. Chwycił za colę i zaczął przetrząsać szuflady w szafkach, aż znalazł otwieracz do butelek i przyłożył odwróconą do góry dnem zimną butelkę do ust.

Z blatu przy drzwiach porwał bochenek chleba oraz paczkę czipsów i wyszedł na zewnątrz, starając się iść wolnym krokiem, chociaż dawał sobie sprawę, że w podnieceniu stąpa jak jakiś głupek, sztywno na piętach. Kępa chwastów na skraju pola zaczęła się trząść. Zanurkował, niezgrabnie dając psom znak, żeby się ruszyły, zanim zerwały się z miejsc. Nie były głupie; potrafiły rozpoznać jedzenie, gdy widziały, że się zbliża.

Rozerwał plastikową folię na chlebie i pospiesznie rozdawał im kromki, sam też połknął jedną, potem następną, popijając wielkimi łykami coli. W minutę zniknęło pół chleba. Rozerwał torebkę z czipsami i pakował je do ust, jeden słony chrupiący czips po drugim. Psy próbowały wsadzić pyski do torby. Zamknął ją i zaczął wydzielać im smakołyki, a one śledziły jego rękę za każdym razem, gdy zniknęła w worku. Uśmiechnął się, ukazując sterczące między zębami kawałki czipsów i chleba. Dopiero w tym momencie ujawniła się prawdziwa głębia jego głodu. O mało nie wpadł w panikę na widok jedzenia — musiał zachować powściągliwość, w przeciwnym razie zemdlałby w tej kuchni.

Usiadł i zaczął ponownie obserwować dom, jakby się spodziewał,

że w końcu ktoś wypadnie przez drzwi, krzycząc i wymachując pięścią. Psy ziały mu prosto w twarz, jakby pytały: na co czekasz? Chwilę później puścili się biegiem. Stracili wszelkie hamulce. Mieszkaniec domu mógł w każdej chwili wrócić i taka okazja przeszłaby im koło nosa.

Tym razem to nie będzie eleganckie, pomyślał.

Psy już od tygodni nie były w domu — a w zasadzie w żadnym budynku. Nerwowo kręciły się na progu, dopóki nie zagonił ich do środka. Weszły chyłkiem. Napełnił plastikową miskę wodą i postawił ją na podłodze. Rzuciły się do niej i chleptały wodę, już w pogodnych nastrojach, podczas gdy on opróżniał szafki, odkładając na bok znalezione jedzenie. Otworzył lodówkę i jego wzrok padł na zawiniętą w biały papier od rzeźnika paczkę. Odbity fioletowym tuszem napis głosił „Kielbaski wieprzowe”.

Jedli jak wygłodniaли królowie. Za kilka minut stąd znikną, aby już nigdy tu nie powrócić, więc dawał im tyle jedzenia, ile mogły wchłonąć. Zaniósł kielbaski do tylnych drzwi, rozerwał papier i rozsypał gumowate łańcuszki na stopniach ganku. Zanim jeszcze przestały się wic, psy już się na nie rzuciły. Na stole stał słoik miodu w karmelowym kolorze, mętnego od skryształizowanego cukru. Edgar odkręcił wieczko i zaczerpnął na palec, ile tylko się dało, a potem szczerze nałożył miodu na miskę płatków Wheaties, polał to wszystko mlekiem i stojąc w drzwiach i obserwując psy, wpychał tę mieszankę do ust. Kielbaski zniknęły, zanim on na dobre zaczął jeść; psy oblizując pyski, patrzyły na niego.

Dobra, pokazał na migi. Cofnijcie się.

Odstawił płatki, wylał wodę z miski i opróżnił do niej z pół tuzina puszek z rosółem Campbella oraz kilka z zupą kukurydzianą. Nim uporał się z płatkami, miska była wylizana do czysta. Teraz wyszedł na ganek z torebką łakoci z pianki. Trzy lśniące bielą kostki przecięły powietrze.

Jedną wsunął też sobie do ust i uśmiechając się złośliwie, zmiądzzył pod policzkiem, po czym zaczął drugą kolejkę. Dotarłszy do połowy torebki z piankami, poczuł, że jest pełny. Gestem polecił psom wrócić do kuchni i zaczął ją systematycznie przeszukiwać, oddzielając to, co mógł zabrać, od tego, co powinien zostawić. Kiedy już to zrobił, wyjął brązową torbę na zakupy ze stosu leżącego za lodówką i uprzątnął do niej puste opakowania. Otwieracz do butelek odłożył do szuflady ze sztuk-

386

387

cami, ponownie napełnił plastikową miskę wodą i dał psom się napić. Niemrawo pozbierały się na nogi z brzuchami nabrzmiętymi jak piłki. Nagle pomyślał, jaką głupotą było pozwolić im zjeść tak dużo po długim okresie głodowania. Coś takiego groziło wzdęciem. Z tym że jednocześnie ryzykowali śmiercią głodową, odpowiedział sam sobie. Wypłukał naczynie na wodę i schował je pod szafkę, skąd wcześniej je wyjął. Niewiele mogli ze sobą zabrać. Torebkę Zelków. Płaskie zamrożone opakowanie bekonu z zamrażalnika. Grzebiąc w lodówce, znalazł opakowanie duszonego mięsa, również w rzeźniczym papierze, ale było za duże, żeby je zabrać ze sobą. Odłożył je do lodówki na miejsce kielbasek. Na blacie przy drzwiach stał słoik po dżemie, a w nim ołówki, pióra i pudełko zapalek. Z przyzwyczajenia sięgnął po zapaliki („Bar i Grill w Lute”) i wrzucił je do kieszeni koszuli. Następnie przeszukał małą toaletę obok kuchni. W apteczce znalazł Bactine (zabrał to ze sobą), jodynę, środek antyseptyczny i kilka małych plastrów w woskowanych opakowaniach (tego nie wziął) oraz gazę, lecz płynu Off! nie było.

Kiedy wrócił do kuchni, zastał tam psy kręcące się bezładnie. Wygonił je za drzwi, zdjął ubłocone buty i pozmywał naczynia. Po uporządkowaniu kuchni zmoczył ręcznik wiszący na oparciu krzesła i powycierał

naniesioną przez nich ziemię. Gdy skończył, kuchnia wyglądała mniej więcej tak, jak przed ich przyjściem. Kuchenny zegar wskazywał pierwszą piętnaście. Edgar wyniósł papierową torbę z dowodami ich zbrodni do pojemnika na śmieci za szopą i wcisnął ją do środka, najpierw wyjąwszy leżący na górze oblepiony muchami worek.

Udali się na pole. Zabrał wędkę oraz torbę na ramię i ruszyli wzdłuż ogrodzenia. Kiedy znaleźli się w połowie drogi na wzgórzu, ponownie ujrzeli wieżę ciśnień z napisem Lute. Usłyszał jakiś łoskot i dopiero teraz zauważył tory kolejowe biegnące u stóp skarpy przy polu. Z południa nadciągał pociąg towarowy. Szlaban na drodze opuścił się z brzękiem dzwonka. Przed ich oczami przesunęła się lokomotywa ciągnąca piętnaście wagonów. Jak widać, trasą przy Lute jeździły pociągi. To prawdziwy uśmiech losu, pomyślał Edgar. Mogą spróbować iść wzdłuż torów.

Ale jeszcze nie teraz. Poczul ogarniający go poobiedni bezwład i chwiejnym krokiem podszedł do zwisającego nad ogrodzeniem samotnego drzewa, w którego cieniu wyciągnęły się psy. Tinder leżał na grzbiecie z łapami uniesionymi w geście poddania. Baboo i Essay, py-
388

skami zwrócone do ogrodzenia, złożyły brody na łapach i sennym wzrokiem wpatrywały się w linię horyzontu. Kiedy Edgar zbliżył się do nich, Essay głośno beknęła, oblizła wargi i przewróciła się na bok. Podobnie czuł się Edgar. Słoneczniki dobrze skrywały ich od strony domu. Usiadł obok Baboo i głaskał go po kryzie, aż ślepie psa się zamknęły. Następnie sam też położył się na trawie.

Kiedy się obudził, po niebie przetaczały się ogromne stożkowate chmury, pomiędzy których wielkie przekrzywione kolumny popołudniowego światła słonecznego ukośnie sięgały ziemi. Ziewnął i usiadł. Rozejrzał się dookoła. Chociaż zbliżał się już wieczór, uznał, że przez godzinę lub

nawet dwie będzie jeszcze dość jasno. Jeśli od razu ruszą i nie napotkają specjalnych problemów, mogą pokonać kilka mil, zanim ponownie położą się spać. W głowie dudniło mu od snu czy też uczt albo od jednego i drugiego. Również psy wyglądały na oszołomione. Chociaż podnosiły się, ziewały i otrząsały, już po chwili ponownie opadały na ziemię. Zostawił je, a sam zszedł niżej, żeby jeszcze raz rzucić okiem na dom.

Niedawno ktoś przyjechał. Przed gankiem stał zaparkowany prosty sedan, a wysoki, szczupły, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna wyjmował z głębi bagażnika torby z artykułami spożywczymi. Drzwi domku były otwarte, a zatem mężczyzna był już w środku, lecz nie wyglądał na zaniepokojonego. Edgar uśmiechnął się pod nosem. Zaczął odczuwać dumę ze swoich umiejętności włamywacza. Traktował to jak grę — ile może zabrać, zanim ludzie to zauważą? Jak powinien poukładać rzeczy, żeby ukryć, co zginęło? Ludzie się nie spodziewali, że ktoś może się włamać do ich domu i ukraść tylko trochę jedzenia, oczekiwali, że ich domy będą splądrowane — że stracą telewizor, pieniądze, samochody, zastaną opróżnione szuflady w komodach i wywrócone na drugą stronę materace. Mieszkańcy tych domków (tak przynajmniej mu się wydawało) najwyżej podrapali się w głowę, widząc uszczuplone zapasy w spiżarni. Bo kto mógł ukraść pół bochenka chleba, a potem posprzątać po sobie? Edgar wraz z psami ucztowali w miejscu, w którym mężczyzna teraz rozpakowywał zakupy, i było bardzo możliwe, że on nigdy tego nie zauważy.

Powróciwszy do psów, Edgar zauważył, że z wielkim zainteresowaniem obwąchują opakowanie bekonu, który wcześniej zabrał z kuchni

389

i

wiejskiego domu. Popatrzył na nie i aż pokręcił głową z niedowierza-

niem. Sam czuł się jak wąż, który połknął prosiaka w całości; nie chłupotało mu co prawda w brzuchu, ale sam pomyślał, że mógłby wcisnąć więcej jedzenia, wydawał się śmieszny. Odgonił psy, które posłusznie odskoczyły w tył, jednak nie spuszczały z niego wzroku, kiedy pakował ich lup do torby. Chwycił wędkę i sprowadził psy ze skarpy.

Tory kolejowe skręcały na północny zachód. Edgar czytał kiedyś, że można sprawdzić, czy nadjeżdża pociąg, przykładając ucho do szyny, więc spróbował to zrobić: pożłobiona srebrna sztaba była ciepła, lecz milcząca. Potruchtali w czwórkę wzdłuż torów na tyle daleko, że przejeżdżający kierowca nie zwróciłby na nich szczególnej uwagi — ot, chłopiec z psami. Wraz z nadejściem nocy wolniej stawiał kroki z jednego podkładu kolejowego na drugi, z zadowoleniem, a nawet dumą myśląc o tak udanym włamaniu do domku. Po obu stronach torowiska rosły karłowate drzewka. W oddali majaczył w ciemnościach niski wiadukt. Edgar przypomniał sobie zasłyszane opowieści o ludziach przejechanych przez pociąg podczas spacerów po torach i zastanawiał się, jak to w ogóle możliwe — czyż nie słyszeli dudnienia pociągu, zanim się zbliżył? Miał nadzieję, że w końcu jakiś pociąg nadjedzie, bo chciał policzyć, ile czasu upłynie między pierwszym dźwiękiem a przyjazdem pociągu.

Właśnie nad tym rozmyślał, kiedy usłyszał skowyt Tindera, tak przepełniony zaskoczeniem i bólem, że Edgar poczuł, jak ściska go w dołku z przerażenia. Wiedział, gdzie są wszystkie psy — Essay i Baboo myszkowały obok niego po podkładach kolejowych, równie zadowolone i głęboko pogrążone w myślach jak on, ale Tinder zbiegł z nasypu, żeby zbadać coś w rosnących tam pałkach. Najprawdopodobniej szukał żab, jak wcześniej wydawało się Edgarowi. Pamiętał nawet, że kątem oka zauważył, jak Tinder nagle sztywnieje i podskakuje. Był

jednak skupiony na torach, wyobrażając sobie nadjeżdżające pociągi, a przecież w zachowaniu Tindera nie było nic nadzwyczajnego — psy dziesiątki razy każdego dnia podskakiwały na widok ropuch, żab, myszy, koników polnych i kto tam wie, czego jeszcze.

Tym razem Tinder wydał z siebie przenikliwe „aj-aj” i odskoczył do tyłu. Edgar zatrzymał się i tylko na niego patrzył, w pierwszej chwili nie potrafiąc ruszyć się z miejsca, kiedy pies próbował postawić łapę. Tinder pisnął i rzucił się na ziemię między pałki, prawą łapę trzymając wysoko w powietrzu i uderzając w nią lewą.

„Waż go ukąsił”, wreszcie w głowie Edgara pojawiła się pierwsza składna myśl, która też pozwoliła mu wyrwać się z paraliżu. Przedarł się przez chwasty pod nasypem i rzucił się na kolana przy Tinderze, ale zanim jeszcze zdążył go dotknąć, zobaczył wbity w spód łapy niebieskozielony kawałek szkła, zabłocony i poszarpany, a u góry wystającą cienką igłę. Odruchowo chwycił Tindera za pysk. Kiedy w następnych dniach przypominał sobie o tym instynktownym ruchu, stwierdził, że zrobił przynajmniej jedną pożyteczną rzecz, ponieważ Tinder właśnie zamierzał chwycić szkło zębami, a to skończyłoby się równie paskudnym rozcięciem na jego pysku jak na łapie.

Tinder wyrwał się z jego uchwytu, niezgrabnie próbując się podnieść. Edgar stanął nad nim okrakiem i przewrócił go. Tinder rzucał się na boki, obu ich opryskując drobną szkarłatną mgiełką. W pewnym momencie Edgar poczuł na przedramieniu zęby Tindera, ale nie miał czasu sprawdzić, czy został ugryziony ani jak mocno. W końcu udało mu się jakoś uklęknąć nad psem. Essay i Baboo zbiegły za Edgarem z nasypu i teraz tańczyły przy pysku Tindera zatroskane, liżąc jego pysk. Na moment ciało Tindera zwiotczało, kiedy spojrzał na pozostałe psy. Teraz, pomyślał Edgar, zdając sobie sprawę, że drugiej okazji może już

nie mieć. Mocno chwycił łapę Tindera, kciukiem i palcem wskazującym złapał poszarpany klin szkła i pociągnął. Zaostrzony koniec wsunął się w psią łapę, ponownie piłując ją okrutnie. Szkło było śliskie od krwi i błota i kciuk Edgara ześlizgiwał się z krawędzi. Gdyby Tinder nie szarpnął nogą w przeciwnym kierunku, rwący ból w kciuku zmusiłby Edgara do puszczenia kawałka szkła, zanim wysunąłby go z poduszeczki łapy. Ponownie poczuł zęby Tindera na przedramieniu, tym razem zacisnęły się mocniej, ale w tym momencie było już po wszystkim. Edgar odrzucił kawałek szkła, przetoczył się na bok i leżał na ziemi, ściskając własną rękę i patrząc na postrzępione rozcięcie, które pojawiło się na mięsistej opuszcze kciuka. Rana piekła jak polewana kwasem, zaczął więc wymachiwać ręką, żeby ugasić ból.

Tinder odszedł na bok, kuśtykając, i opadł na ziemię przy nasypie.

Sądząc po tym, co Edgar czuł we własnym kciuku, Tinder musiał cierpieć katusze. Edgar ścisnął kciuk w zamkniętej pięści i pobiegł do psa,

390

391

znacząc drogę krwią wyciekającą między palcami. Usiadł przy nim, ciężko sapiąc, Essay i Baboo obwąchiwały gąszcz palek, wymachując ogonami z zainteresowaniem. Edgar ponownie podniósł się i podbiegł do nich, nagle przerażony myślą o kolejnych kawałkach rozbitego szkła, bez przerwy klaszcząc w dłonie, aż krew obryzgała mu koszulę.

Zagonił je z powrotem do Tindera, a one zajęły się obwąchiwaniem leżącego psa wzdłuż jego łap i boków, aż upewniły się, że zlokalizowały ranę.

Kawałek szkła leżał w chaszczach. Edgar wziął go do ręki. Na szerszym końcu dostrzegł trzy fałdy — gwint na nakrętkę słoika. Kawałek słoika po dzemie czy czymś podobnym, wyrzucony w krzaki z przejeź-

dżającego pociągu lub przez kogoś wędrującego po torach. Zwoje gwintu zapchane były zakrwawioną ziemią. Ze złością wyrzucił szkło między palki i spróbował wyprostować kciuk, by obejrzeć rozcięcie. Nagle gruchnął na ziemię, a chwilę później poczuł, że Essay obwąchuje go i liże po twarzy. Kiedy wreszcie zaczął widzieć coś więcej niż tylko ciemny obraz, stanął na nogi, zachwiał się i opadł na kolana.

Zaczekaj, pomyślał, wciągając powietrze. Spróbuj jeszcze raz.

Przy następnej próbie udało mu się ustać. Chwiejąc się, podszedł do Tindera, który leżał z łapą podwiniętą i odwróconą wewnętrzną stroną do góry przed pyskiem, jakby tulił osieroconą część ciała, smętnie przeciągając językiem po zranionej poduszce. Skóra psa kurczyła się, kiedy Edgar dotknął jego łapy. Tinder na moment odwrócił wzrok od rany i spojrzał na Edgara. Zdrową ręką Edgar pogłaskał psa od czubka łba wzdłuż kręgosłupa. Obmacał tylne łapy Tindera w nadziei, że pies zrozumie, co go teraz czeka. Po chwili ponownie przesunął ręką wzdłuż przedniej łapy Tindera, tym razem sięgając aż do poduszeczki, a pies nie protestował, tylko krótko mruknął przelękniony i polizał go.

Ociekająca krwią i brudem rana w kształcie półksiężyca znajdowała się pośrodku trójkątnej środkowej poduszeczki. Edgar nie próbował jej dotykać, tylko powoli — bardzo powoli — odwrócił łapę tak, żeby zobaczyć pokrwawioną sierść na górze. Delikatnie dotknął czubków pazurów Tindera, jednego po drugim, poruszając jego palcami. Kiedy dotknął drugiego, Tinder zaskowytał i szarpnął łapą. A zatem tu był problem. Coś w drugim palcu; być może kość jest cała, ale przecież tam są więzadła, ścięgna, drobne mięśnie.

392

Odłożył łapę Tindera, pogłaskał go i spróbował się zastanowić. Na próbę zgiał kciuk. Nie bolało bardziej, niż kiedy palec był wyprostowa-

ny, z czego chyba należało się cieszyć, choć pewnie im obu przydałyby się szwy. Podniósł się, wciąż czując się niepewnie, i cofnął kilka kroków, a Essay i Babbo podeszły za nim. Tinder leżał i tylko patrzył z uszami położonymi po sobie, jakby wiedział, o co Edgar zaraz go poprosi.

Chodź, pokazał Edgar.

Tinder spojrział na niego. Zaskomlał, podniósł się na trzy nogi, zranioną przednią łapę trzymając w powietrzu i obwąchując jak złamany przedmiot.

Edgar przyklęknął.

Przykro mi, pokazał na migi. Musimy to zrobić. I ponownie przywołał Tindera do siebie.

Tinder postawił łapę na ziemi i natychmiast ją poderwał. Kuśtykając, wykonał jeden krok, spojrział na Edgara i spróbował zrobić następny. Gdy w końcu dotarł do Edgara, padł na ziemię, ziejąc i nie chcąc spojrzeć Edgarowi w oczy, nawet gdy chłopiec zbliżył twarz do jego pyska.

On może doznać szoku, pomyślał Edgar. Przeciągnął palcem po dziąsłach Tindera. Były wilgotne, co było dobrym znakiem, lecz nie miał wątpliwości, że pies nie jest w stanie iść. Postawił go na nogi, wsuwając mu dłoń pod brzuch. Jedną ręką objął tylne łapy psa, a drugą przełożył pod jego klatką piersiową, uważając, żeby nie dotknąć zwisającej łapy. Pomyślał, że jeśli zrobi coś nieodpowiednio, Tinder może ugryźć go w panice, a jeśli Edgar go upuści, nie będzie miał już drugiej szansy. Ale Tinder dyszał mu prosto w twarz i czekał, aż Edgar płynnym ruchem podniósł się i wyprostował.

Powoli wspinał się na nasyp, wkopując czubki butów po kolei w żwir, zanim decydował się je obciążyć. Dotarłszy na górę, mógł robić tylko małe kroki, obawiając się, że potknie się o podkład kolejowy. W kciuku czuł rwanie, jakby cały palec mu pękł. Tinder zwisał bezwład-

nie w jego ramionach, sprawiając wrażenie pogodzonego z losem. Już samo to uzmysłowiło Edgarowi, jak bardzo psia łapa musi być poharatana.

W tym momencie przypomniał sobie o zostawionej przy torach wędze i wędkarskiej torbie. Nie zawrócił po nie. I tak nie mógłby ich teraz nieść, a wokół szybko zapadały absolutne ciemności. Będzie musiał wró-

393

cić tu później. W oddali błysnęły i po chwili zgasły reflektory samochodu przejeżdżającego przez tory pod skarpą, z której wcześniej zesli.

Skoncentrował się na tym punkcie i zrobił kolejny krok.

Zanim doszli do nawierzchni asfaltowej, trzy razy kładł Tindera na ziemi, żeby rozprostować plecy. Pies był ciężki, ważył przynajmniej czterdzieści pięć kilo, ponad połowę ciężaru samego Edgara. Podczas każdego takiego postoju Tinder próbował iść samodzielnie, ale po kilku metrach kuśtykania kładł się na ziemię. Całe szczęście (jeśli można tu mówić o szczęściu), że po torach przeszli tylko około mili. Essay i Baboo trzymały się blisko — to też było dobre, ponieważ mając zajęte ręce, Edgar nie mógłby ich przywoływać.

Wziął Tindera na ręce i ruszyli dalej.

W końcu znaleźli się na opustoszałym asfalcie. Jedyne światło padało z okien kwadratowego domku na końcu pola słoneczników. Przyptyw adrenaliny, który początkowo dodawał Edgarowi sił, skończył się i teraz, chwiejąc się na nogach, chłopiec włókł się z Tinderem na rękach. Asfalt pod stopami był cudownie płaski i gładki. Dotarli do skrzynki na listy i Edgar poszedł dalej drogą dojazdową, pod wysokimi drzewami stojącymi rzędem na podwórzu przed domem. Powietrze wokół domu jarzyło się od świetlików. Zabzyczała przelatująca obok ogrodnica niszczylistka. Essay i Baboo rzuciły się do przodu i skręciły za rogiem domu. Gdy tylko znik-

nęły im z oczu, Tinder zaczął się wiercić i Edgar przyspieszył kroku. Doszli do nieoświetlonego ganku, na którym Essay i Baboo kręciły się nerwowo. Edgar ukląkł i pomógł Tinderowi położyć się na deskach podłogi. Następnie klasnął cicho, odprowadził Essay oraz Baboo na trawę i im też polecił się położyć.

Kiedy wrócił na ganek, w oknie nad kuchennym zlewem pojawiła się twarz mężczyzny. Na ganku rozbłysło światło. Edgar spojrzął na psy. Leżały w gotowości, patrząc z zaciekawieniem. Wewnętrzne drzwi otwarły się i za siatką pojawiła się twarz mężczyzny, tego samego, którego widział po południu, gdy wyładowywał artykuły spożywcze z samochodu.

— W czym mogę pomóc? — odezwał się mężczyzna. Spojrzął na Tindera dyszącego na ganku, po czym podniósł wzrok na Edgara i dostrzegł krew. — Miałeś wypadek?

394

Edgar pokręcił głową i udzielił odpowiedzi na migi. Ten człowiek na pewno nie rozumiał migania, ale jakoś trzeba było zacząć. Przy odrobieniu szczęścia zrozumie, że Edgar w ten sposób się do niego zwraca.

Mój pies jest ranny. Potrzebujemy pomocy.

Mężczyzna obserwował ręce Edgara, który z kolei czekał, aż ten coś zrozumie.

— Jesteś głuchy — powiedział.

Edgar pokręcił przecząco głową.

— Słyszysz mnie?

Tak.

Edgar pokazał na swoje gardło i pokręcił głową. Wykonał ruch, jakby coś zapisywał na dłoni. Mężczyzna popatrzył na niego w osłupieniu, ale już po chwili powiedział:

— Och! Rozumiem. Jasne. Zaraz. — I zniknął w domu, a Edgar stał w progu kuchni, którą tego ranka splądrował.

Czekając, czuł, jak nogi mu drżą. Ukląkł przy Tinderze, pogłaskał go po kryzie i patrzył, jak pies oblizuje zranioną łapę długimi pociągnięciami języka, tocząc szklanym zdeorientowanym wzrokiem, jakby patrzył na zupełnie inny świat. W żółtym świetle ganku jego pokrwawione futro połyskiwało czernią. Edgar podszedł do Essay i Baboo, czule dotknął je pod szczękami, starając się tak kłaść dłonie, jakby wszystko było w porządku, i wspólnie obserwowali drzwi.

Mężczyzna wrócił i stanął za drzwiami z siatką, trzymając w ręce ołówek i bloczek papieru. Spojrzał na Tindera, a potem na Edgara kucającego przy dwóch kolejnych psach. Najwyraźniej wcześniej nie zauważył Essay i Babboo.

— Och... — odezwał się. Wyciągnął przed siebie rękę i lekko pomachał w powietrzu dłonią, jakby starał się utrzymać wszystko w bezruchu, zanim nie połapie się, co się dzieje. — Coś takiego!... To zdecydowanie... To zdecydowanie nie jest zwyczajna sytuacja — powiedział, patrząc z obawą na Essay i Babboo. — Te psy są przyjazne?

Edgar skinął głową. Chcąc go uspokoić, odwrócił się i kazał psom leżeć. Ten człowiek sprawia wrażenie zrezygnowanego, pomyślał. Zdawał sobie sprawę, że to dziwne, myśleć tak o kimś, kogo dopiero spotkał, lecz mężczyznę otaczała wyraźna aura posępnej rezygnacji, jakby był jedną z postaci z kreskówek, które chodzą w towarzystwie wiszą-

395

cych nad nimi deszczowych chmur i którym pieniądze wypadają z kieszeni, gdy tylko schylą się, żeby podnieść grosz. A jego reakcja na Essay i Babboo jedynie spotęgowała to wrażenie — jakby mężczyzna całe życie spodziewał się, że któregoś dnia zostanie przed domem stado dzikich

psów. Nie uśmiechał się — patrzył z rezerwą, choć nie był to nieprzyjazny wyraz twarzy — ale też nie zmarszczył brwi. Jeśli w ogóle coś można było wyczytać z jego twarzy, to najwyżej łagodną obawę, jakby wynikającą ze zniechęcenia życiem.

— Jasne — odezwał się. — Tresowane. Ale przyjazne, tak?

Tak.

Spojrzał w ciemności.

— Są jeszcze inne?

Edgar pokręcił głową i może nawet by się uśmiechnął, gdyby żołądek nie podchodził mu do gardła ze zdenerwowania. Mężczyzna otworzył drzwi z siatką i wyszedł na dwór, wpatrując się podejrzliwie w psy.

Edgar wziął ołówek i bloczek.

Mój pies rozciął sobie łapę. Potrzebuję wody, żeby ją obmyć, i garnek albo wiadro.

Obaj spojrzeli na Tindera.

— Czy ktoś z ludzi jest ranny?

Nie.

— Chyba powinienem wezwać lekarza — stwierdził mężczyzna.

Edgar gwałtownie pokręcił głową.

— Co się stało z twoim głosem? Zraniłeś się w gardło?

Nie.

— Zawsze tak miałeś?

Tak.

Mężczyzna przez chwilę się zastanawiał.

— Dobrze, zaczekaj, zaraz wracam — powiedział.

Wszedł do domu. Edgar usłyszał brzęk i stukanie, a potem szum wody w kuchennym zlewie. Chwilę później mężczyzna wyszedł, niosąc biały emaliowany garnek, z którego przelewała się woda. Pod pachą

trzymał wytarty niebieski ręcznik.

— Proszę — powiedział, stawiając garnek na deskach ganku. —

Woda jest ciepła. Możesz zacząć od tego. Przyniosę ci wiadro i zobaczę, co jeszcze mam.

396

Edgar zaniósł garnek do Tindera, nabrał wody do ręki i podsunął psu pod nos, żeby ją obwąchał. Tinder dyszał ciężko i zlizął wodę z jego palców. Edgar zanurzył szmatę w wodzie i przesunął dłonią po przedniej łapie Tindera. Pies zaskomlał, z niepokojem trącił nosem Edgara, ale pozwolił mu zetrzeć brud z łapy. Edgar wypłukał szmatę. Woda zmętniała i zrobiła się brązowa. Przyłożył twarz do pyska psa, jednocześnie raz po raz przyciskając mokrą szmatę do poduszki łapy Tindera. Po każdej takiej operacji szmata pokrywała się mieszanką krwi i błota.

Mężczyzna wyszedł z metalowym wiadrem i podszedł do wystającego z fundamentu domu kranu. Odkręcany kurek zapiszczał i wytrysnęła z niego orzeźwiająca woda. Kiedy wiadro się napełniało, mężczyzna odwrócił się do Edgara.

— Czy pies się wystraszy, jeśli postawię to tutaj?

Edgar obejmował ramieniem grzbiet Tindera. Nie sądził, żeby zbliżająca się obca osoba mogła wystraszyć psa, ale spodobało mu się to pytanie, a jego zdanie o tym człowieku poprawiło się.

Nie.

Mężczyzna przytaszczył wiadro, ustawił je w rozsądnej odległości i usiadł. Woda w małym emaliowanym garnku była już zapiaszczona i brudna, sięgnął więc po garnek, wylał wodę, zanurzył garnek w wiadrze i odstawił z powrotem.

Essay i Baboo zamruczały za plecami Edgara. Popełnił błąd, zostawiając je w miejscu, do którego obrócony był plecami, bo było bardzo

prawdopodobne, że z ciekawości zaczną się ruszać. Usiadł prosto, jedną rękę trzymając na zadzie Tindera, i pokazał mężczyźnie, żeby się nie ruszał. Mężczyzna skinął głową. Edgar odwrócił się i spojrzał na dwa psy, które podkurczyły łapy i skupiły na nim wzrok.

Chodźcie, przywołał je gestem.

Psy rzuciły się do przodu. Edgar obawiał się, że Tinder zapomni o zranionej łapie i podniesie się na ich powitanie, ale nacisk dłoni między łopatkami psa pozwolił utrzymać go w bezruchu. Essay i Baboo biegały wokół nich z podniesionymi łbami, starając się dobrze przyjrzeć nieznajomemu.

— Mam nadzieję, że nie myliłeś się, mówiąc, że są przyjazne — powiedział mężczyzna. Siedział wyprostowany, jakby kij połknął, próbując jednocześnie patrzeć na oba psy. W końcu poddał się i obserwował tylko

397
tego, który akurat znajdował się przed nim. — Powoli stary — mruknął pod nosem. — Już dobrze, dobrze.

Kiedy nieco zaspokoili ciekawość, Edgar klasnął w dłonie i pokazał im pobliskie miejsce na trawie. W pierwszej chwili nie chciały go słuchać. Jeszcze raz klasnął i wreszcie potruchtały tam, gdzie im polecił, pomrukując z niezadowolenia. Wybrał miejsce, z którego wszystko widziały, i teraz zauważył, że się odprężyły, mogąc zachować z nim kontakt wzrokowy. Odwrócił się i ponownie zabrał za czyszczenie łapy Tindera. Świeża woda znowu była brudna, lecz tym razem więcej w niej było krwi niż brudu.

— Ty też jesteś ranny — odezwał się mężczyzna. Edgar skinął głową. Wkładany do wody kciuk palii go żywym ogniem, ale też przypominał, jak czuje się Tinder, kiedy zimną szmatą przeciera mu łapę.

— Co się stało?

Edgar na chwilę przerwał mycie łapy Tindera, żeby pokazać dłoń

przebijaną dwoma palcami drugiej ręki.

— Uhm. Au — odparł mężczyzna. Przez chwilę patrzył, nic nie mówiąc. — Dobra — odezwał się w końcu. — Posłuchaj, pójdę do domu sprawdzić, co mam w apteczce. Czekał, wezmę to... — Sięgnął po garnek, opróżnił go i ponownie napełnił wodą z wiadra. — Mogę mieć merkurochrom albo wodę utlenioną.

Edgar całkowicie skoncentrował się na Tinderze. Udało mu się już zmyć większość brudu i chciał teraz oczyścić miejsca między palcami i wokół poduszcзки. Tak ustawił psią łapę, żeby całą zanurzyć w małym garnku. Woda natychmiast zrobiła się brunatna. Tinder zaskowytał i szarpnął się, ale Edgar powoli przesuwiał palce Tindera w dłoni i zdążył kilka razy zmienić wodę, zanim mężczyzna wrócił.

Przykucnął przed nimi. Postawił na ziemi zawiniętą w cynfolię metalową tackę, na której leżała kolekcja wyjętych z domowej apteczki buteleczek. Jedna z nich zawierała tylenol. Otworzył buteleczkę i wyjął dwie kapsułki.

— Może powinieneś wziąć kilka tabletek — powiedział.

Edgar natychmiast wrzucił tabletki Tinderowi do pyska i podniósłszy mu łeb do góry, zaczął go głaskać po gardle, aż pies przesunął językiem po nosie. Następnie nabrał do ręki czystej wody z wiadra i dał mu do wychłęptania. Mężczyzna skinął głową. Wyjął jeszcze dwie kapsułki, które Edgar szybko przełknął.

— W porządku — rzekł mężczyzna. — Mam też coś, co może zainteresować tych kolegów. — Odwinąwszy folię, chwycił w dwa palce kawałek zbrązowiałego duszonego mięsa, tego samego, które Edgar rano wyjął z zamrażalnika i odłożył na miejsce skradzionych kiełbasek. — Właśnie wieczorem to przygotowałem. Jeszcze nawet nie wystygło.

Edgar skinął głową i pozwolił wstać dwójce obserwatorów. W prze-

szłości, pomyślał, psy najpierw by zaczekały, aż im pozwoli, żeby przyjęły jedzenie od obcego, tego ich uczyli podczas pobytów w miasteczku. Ale to była melodia przeszłości odrzucona przez zwierzęta, które polowały na żaby, węże i jadły dojrzałe żółwie jaja. Essay i Baboo ustawiły się wokół mężczyzny i z podniesionymi uszami czekały na swoją kolej, kiedy wykładał na trawie kawałki połyskującej wołowiny. Mężczyzna sprawiał wrażenie zawstydzonego, obserwowany przez kilka par psich oczu jednocześnie. Trwożliwie pozwolił Tinderowi wziąć mięso prosto z ręki. Natomiast Edgar cieszył się ze wszystkiego, co mogło odwrócić uwagę Tindera i umożliwić mu dokładne przemycie rany. Kiedy mięso zniknęło, mężczyzna pozwolił Tinderowi zlizać gęsty sos z palców, po czym nogą pchnął tackę w stronę pozostałych psów. Skrzywił się lekko. Edgar miał wrażenie, że na szczęśliwszego chyba wyglądać już nie może.

— Co tu dużo gadać — stwierdził mężczyzna. — Z pewnością to nie jest coś zwyczajnego.

I

I

398

Henry

Edgar miał zajęte ręce, więc rozmowa wciąż była dość koślawa. Essay i Baboo leżały w trawie najedzone, obserwując wydarzenia w blasku skrywanego przez przelatujące ćmy światła na ganku. Edgar uniósł łapę Tindera i przyjrzał się obdartej ze skóry ranie pośrodku nabrzmiącej podszeczki w kształcie serca.

— Jejku, to okropnie wygląda — powiedział mężczyzna, kiedy Edgar przecierał łapę Tindera. — Będzie miał szczęście, jeśli w ogóle jeszcze na niej stanie. — Po chwili zastanowienia dodał: — A twój kciuk też nie wygląda zbyt dobrze.

Edgar wymienił wodę w emaliowanym garnku i powrócił do mycia łapy Tindera. W wodzie snuły się nitki krwi. Woda z kranu na dworze była lodowata, ale nie przeszkadzało mu to — chciał, żeby była jak najzimniejsza. Skoro on prawie nie czuł dłoni, może i Tinderowi mniej dolegała rana. Obmacywał kości śródreżca, unosząc i naciskając jego palce jak klawisze pianina, przesuwał paznokciami po pazurach Tindera, czubkami palców uciskając miękkie zagłębienia między poduszczkami. Delikatnie, bardzo delikatnie, otworzył rozcięcie, czekając, aż pies sam wskaże mu bolesne miejsce. Gdy Tinder wyrwał łapę, Edgar zamknął oczy i przycisnął twarz do kryzy psa, głaszcząc go po piersi i pysku, słuchając szumu krwi pędzącej przez psią szyję, starając się uzmysłwić Tinderowi, jak ważna jest woda, wielokrotnie prosząc go, czy mogą jeszcze raz spróbować. W końcu Tinder pozwolił, żeby Edgar podniósł jego łapę i ponownie włożył do garnka. Edgar odczekał, aż sam straci czucie w palcach, a potem zaczął kołysać raną, żeby się otworzyła i żeby woda mogła wypłukać ją do czysta.

Kiedy podniósł powieki, w garnku była świeża zimna woda.

— To naprawdę niesamowite — powiedział mężczyzna. — Czasami nie jestem w stanie rozpoznać, czy tą nogą ruszasz ty czy pies.

Edgar skinął głową.

— Dobrze go znasz, co?

Tak.

— A inne też?

Tak.

— I nie przeszkadza ci, że on trzyma twoje przedramię zębami?

Edgar pokręcił głową. Nie, nie.

Dalej zajmował się łapą Tindera. Kiedy woda w garnku pozostała czysta po wyjęciu psiej łapy, przejrzał stojące na ganku lekarstwa. Nad

garnkiem wylał na psią łapę zawartość butelki wody utlenionej. Spieniony płyn zbierał się na poduszczyce oraz na pomarszczonym białym rozcięciu na kciuku Edgara. Gdy woda przestała musować, oparł łapę Tindera na swojej nodze i delikatnie wytarł do sucha. Mężczyzna wszedł do domu i po chwili wrócił z ręcznikiem, szmatą i nożyczkami.

— Nie mam bandaża, ale jeśli chcesz, w to możesz zawinąć mu łapę — powiedział.

Edgar skinął głową i wziął do ręki ołówek i papier.

Ma pan może skarpetkę? napisał.

— Jasne — odrzekł mężczyzna i znowu zniknął w domu.

Edgar pociął szmatę na pasy i owinął nimi łapę Tindera, związując końce, żeby się nie poluzowały. Mężczyzna wrócił z białą skarpetką w ręce. Edgar zawiązał ją ostatnim paskiem materiału.

— Posłuchaj, chłopcze — odezwał się mężczyzna. — Ja muszę się przespać. Rano pracuję. — Z wahaniem spojrzął na psy. — Podejrzewam, że bez nich nie wejdiesz do domu?

Nie.

Mężczyzna skinął głową, jakby się godził na kolejne z długiej serii niepowodzeń.

— Tylko powiedz mi, że są nauczone czystości. Możesz nawet skłamać.

Edgar skinął głową.

— W takim razie wchodźcie. Rano wymyślimy, co dalej.

Przywoławszy do siebie Essay i Baboo, Edgar pospiesznie umył im łapy. Mężczyzna trzymał drzwi ze smętną ceremonialnością, kiedy mi-

400

401

jajęce go psy unosiły nosy na progu, żeby powąchać powietrze, i wchodziły do kuchni. Edgar przykląkł i podniósłszy Tindera na rękach, nie-

pewnym krokiem wszedł bokiem przez drzwi.

— W lewo — powiedział mężczyzna.

Edgar bokiem przeszedł przez krótki korytarz. Tinder po drodze obwachiwał wiszące na haczykach kurtki. Edgar wszedł do salonu, w którym stała sofa, wyściełany fotel, biblioteczka i telewizor z umieszczoną na nim fotografią. Zniszczone deski na podłodze były głęboko poźłobione i pociemniałe ze starości. Położył Tindera na dywaniku przed sofą.

Pies próbował wstać, ale Edgar tylko wyciągnął spod niego przednią łapę i ponownie go ułożył. Zanim mężczyzna wrócił z poduszką i dwoma kocami, wszystkie psy już leżały bez ruchu.

— Proszę — odezwał się mężczyzna. — Jeśli ci to nie przeszkadza, wolałbym, żebyś spał na jednym z tych koców... To błoto i reszta...

Edgar spojrział na siebie i uzmysłowił sobie, że chociaż wyczyścił psy, sam jest pokryty mieszanką krwi i brudu.

— Prześpij się, chyba nie muszę cię do tego namawiać. Po prostu lecisz z nóg. Niestety ja muszę wcześniej wstać do pracy. Obok kuchni jest łazienka. Na stoliku położyłem plastry z opatrunkiem i jakieś antybiotyki, gdybyś chciał zająć się swoim kciukiem.

Edgar skinął głową.

Mężczyzna jeszcze raz spojrział przeciągle na psy.

— Jeśli będą chciały wypróbować na czymś zęby, postaraj się, żeby zajęły się tym fotelem, dobrze? — Kciukiem wskazał na stojący w kącie wyściełany fotel obity pomarańczowo-brązową tapicerką. Wśród elementów wzoru można było dostrzec kaczuski. — Nie cierpię go — dodał.

Edgar spojrział na mężczyznę, zastanawiając się, czy przypadkiem nie żartuje.

— A tak przy okazji — rzucił. — Nazywam się Henry Lamb.

Wyciągnął przed siebie rękę. Kiedy Edgar ją uścisnął, Henry ruszył do drzwi, w których jeszcze przystanął.

— Podejrzewam, że wolisz do nikogo nie dzwonić, co? Do rodziny?

Do kogoś, kto by po ciebie przyjechał?

Nie.

— Rozumiem — burknął Henry. Zapytać musiałem.

Edgar nie miał już sił, żeby się myć. Rozesłał koc na kanapie i położył się. W głowie łupało mu ze zmęczenia, a kciuk po prostu bolał, bo musiał. Wziął plaster i nałożył gęstą warstwę maści z antybiotykiem na obtartą pomarszczoną ranę na kciuku. Wciąż jeszcze się zastanawiał, czy ma na tyle sił, żeby wyłączyć światło, kiedy owładnęło nim wyczerpanie i już się nie ruszył, z maścią i opakowaniami po plastrze leżącymi na piersiach.

Odpoczynek na sofie powinien stanowić wyjątkową przyjemność, ale okazało się, że we śnie wciąż mu czegoś brakuje. Dlaczego noc nie raczy go swoim bogactwem dźwięków? Gdzie są ciała psów, zawsze grzejące go w ciemnościach? Jak boja dryfująca od brzegu, zbliżał się w rejony snu, aż w pewnym momencie nocy pojawił się wielki skalny pyton Kaa i swoimi opalizującymi splotami owinął nogi i piersi Edgara. Widok znajomej postaci był pocieszający, lecz jakże dziwna w dotyku była gadzia skóra Kaa, jak bawełna, ciepła, pokryta meszkiem, w niektórych miejscach poprzecinana czymś przypominającym zagięty rąbek. Tuż nad nim kołysał się trójkątny łeb Kaa, sepleniąc jakieś bzdury, ale nawet ten mistrz hipnozy nie potrafił wciągnąć go w głębszy sen. Brak psów. Dławiąca cisza. Wężowe sploty.

Kiedy psy zaczęły szczekać, Edgar zerwał się z sofy zelektryzowany ich niespokojnymi głosami. Podniósł się, nie próbując nawet wyplatać z tego, o czym wiedział, że jest jedynie wytworem sennego świata, lecz Kaa

w jakiś sposób przeniknął do świata przebudzenia i przyjął postać koca ciasno owijającego nogi Edgara. Zważywszy na to, jak krótko udało mu się zachować pionową pozycję, zdążył zebrać godną podziwu liczbę informacji: zauważył Essay, Baboo i Tindera, ze zjeżoną sierścią wpatrujące się w coś po drugiej stronie pokoju, i stanowiącego przedmiot ich uwagi Henrygo Lamba, który zaskoczony stał w drzwiach swojej sypialni zawinięty w wytarty szlafrok w kratkę; za oknem salonu po podwórzu rozlewał się idealnie piękny letni poranek. Ułamek sekundy później Edgar widział już tylko nogi fotela i wykładzinę, bo zbyt pochłonięty był upadaniem na podłogę. Psy odwróciły się i popatrzyły na niego. Opuściwszy barki, zaczęły zamiatać powietrze ogonami, dysząc i przełykając ślinę w postawie mówiącej, że być może nieco przesadziły z tą reakcją. Baboo przycisnął nos do ucha Edgara i śliniąc się, próbował mu to wynagrodzić.

402

403

Henry oparł się ciężko o futrynę. Próbował się odezwać, ale tylko stęknął i powłócząc nogami, udał się do kuchni.

— Jeśli masz chęć, to tu jest kawa — wychrypiał po chwili.

Edgar polecił psom się położyć i ukląkł przy Tinderze. Łapa nadal owinięta była bandażem, co z jednej strony Edgara zaskoczyło, z drugiej zaś zmartwiło. Gdyby Tinder był zdrowy, zerwałby w nocy bandaż. Trzymając rękę pod brzuchem psa, Edgar skłonił go do zrobienia kilku kroków.

Dobrze, pomyślał Edgar, obserwując, jak Tinder trzyma łapę w powietrzu. Przynajmniej nie próbuje na niej chodzić.

Wszedł z psami do kuchni, gdzie Henry siedział przy stole, tuląc w dłoniach kubek z kawą. Edgar uchylił drzwi i po chwili Essay i Baboo truchtały wokół zachwaszczonego trawnika między domem i stodołą. Położył dłoń na

grzbiecie Tindera i wyprowadził go na zewnątrz. Pies wykonał kilka podskoków do przodu, oddał mocz i pokicał z powrotem. Kiedy wrócili do kuchni, słyhać było szum prysznic, a na blacie stał pusty kubek Henryego. Edgar nalał sobie kawy. Mleko znalazł w lodówce, natomiast cukier w małej miseczce przy oknie. Otrzymany w ten sposób napój był gorzki i gęsty, ale natychmiast go rozbudził. Chłopiec usiadł na ganku obok Tindera. Henry wyszedł z domu, w jednej ręce niosąc pobrzękujące klucze, a w drugiej pojemnik na lunch.

— Miałeś czas zastanowić się, co zrobisz dzisiaj? — zapytał, przysiadając koło nich.

Edgar pokręcił głową. Było to kłamstwo. O niczym innym nie myślał, obserwując Tindera i próbując odgadnąć, jak długo wytrzymają bandaż, gdy ruszą w drogę. I czy Tinder w ogóle będzie w stanie iść.

— Jak się czuje pies?

Edgar tylko wzruszył ramionami.

— Masz rację, pewnie jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

Siedzieli i patrzyli na Essay i Baboo.

— Posłuchaj, co ci powiem — odezwał się Henry. — Podczas kąpieli zastanawiałem się, co większość ludzi zrobiłaby na moim miejscu. To znaczy, jakie jest zwyczajne zachowanie w takich przypadkach. Prawdopodobnie wezwać policję i powiedzieć im, że mam u siebie dzieciaka i trzy psy. To był mój pierwszy odruch, więc mu nie wierzę. Mało w tym wyobraźni, rozumiesz?

Edgar skinął głową.

— Dlatego też tego nie zrobię. To znaczy, nie sądzę, żebym miał tak postąpić.

Henry odwrócił się i spojrzał na Edgara — bardzo znacząco — chociaż Edgar nie za bardzo wiedział, co to spojrzenie miało znaczyć. Po-

nownie uderzyło go, jak bardzo sympatyczna potrafi być defetystyczna szczerść tego człowieka. Henry Lamb postrzegał świat jako pełen barrier i trudności, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wyglądało na to, że nie zaskoczy go żadna zła wiadomość, że dla niego w każdej sytuacji kryje się impas, który tylko czeka, żeby się ujawnić.

— Posłuchaj — powiedział Henry. — Z góry ci mówię, że nie jestem osobą godną zaufania. Kiedyś tak było, ale to przeszłość. Żadnych obietnic. Obecnie o nic nie dbam i jestem nieprzewidywalny. — Powiedział to bez śladu ironii w głosie.

Edgar zamrugął.

— Zostawię dom otwarty. Jeśli chcesz, możecie tu zostać i poczekać, aż łapa wyzdrowieje.

Edgar skinął głową. Siedzieli na krawędzi ganku i patrzyli na słoneczniki. Było jeszcze bardzo wcześnie, słońce dopiero miało się wysunąć nad horyzont, lecz gigantyczne głowy kwiatów już przechyliły się na wschód.

— Mam nadzieję, że nie masz zamiaru obrobić mi domu.

Edgar pokręcił przecząco głową.

— Jasne, co innego mógłbyś powiedzieć? Ale jeśli cię stąd wyrzucę i pozamykam drzwi, wystarczy, że rzucisz kamieniem w okno, cóż więc by to dało? Mogę albo ci zaufać, albo zadzwonić po policję i stracić tiam to większość dnia.

Stęknął, podnosząc się na nogi, i ruszył do samochodu.

— Może jestem głupi. Wkażdym razie na wszelki wypadek powiem ci, że w domu jest bardzo niewiele pieniędzy i nie ma nic cennego, co mógłbyś wynieść i zabrać na piechotę. Nie mam żadnej biżuterii ani nic z tych rzeczy. Broni też nie mam. Natomiast kuchnia jest wypełniona po brzegi. Właśnie wczoraj byłem na zakupach. Możesz jeść, co chcesz,

wyglądasz mi na wygłodzonego. Nie wchodź do mojej sypialni. I nie grzeb przy tym samochodzie — pokazał na stojący na pustakach wrak. — A telewizor nawalił. Coś jeszcze chciałbyś wiedzieć?

404

405

Nie.

Henry wycofał samochodem. Kiedy mijał dom, nachylił się i opuścił szybę po stronie pasażera.

— A gdybyś odchodził — rzucił — zatrzaśnij drzwi. W przeciwnym razie nie rób tego, chyba że chcesz czekać na dworze do mojego powrotu. Drugie klucze mam w biurku w pracy.

Samochód potoczył się po drodze dojazdowej i po chwili rozległ się szum opon na asfalcie stopniowo zanikający w stronę Lute.

Edgar został na ganku, popijając obrzydliwą kawę Henry'ego Lamba. Dom krył się w strefie porannego cienia za polem słoneczników; na bezchmurnym niebie rozciągały się białe promienie, jakby ktoś podrzucił w powietrze cukier puder. Od strony słoneczników docierała słaba woń terpentyny.

Essay i Baboo myszkowały w okolicy stodoły. Kiedy Tinder zaszkomlał, Edgar pozwolił mu się ruszyć i pies zaczął skakać do przodu. Zatrzymał się, z powagą obwąchał zabandażowaną łapę i dalej uparcie kuśtykał, aż dotarł do pozostałych psów, po drodze lekko dotykając raną nogą ziemi. Psy obwąchały się. Po chwili Tinder przykuśtykał z powrotem na ganek i położył się, sapiąc.

Obserwacja psa pozwoliła Edgarowi stwierdzić, że miną dwa tygodnie — dwa, a może nawet trzy — zanim będą mogli ruszyć w drogę, i to przy założeniu, że w ranę nie wda się zakażenie i że nie przeciął sobie ścięgna czy więzadła na tyle ważnego, że zostanie kaleką (co delikatnie zasugerował Henry). Ironią losu było to, że zranił się właśnie Tinder, bo

jeśli któryś z psów powinien się zranić przez głupie eskapady, to raczej Essay. Tinder po prostu miał pecha — bo polował na żaby, co przynajmniej w przeszłości było nieszkodliwe.

Czy zatem mieli jakąś inną możliwość, niż przyjąć propozycję Henry'ego? Ten człowiek najwyraźniej nie miał najmniejszego pojęcia o psach. Edgar wątpił, czy Henry jest w stanie wyobrazić sobie, jak długo może potrwać rekonwalescencja Tindera czy też ile trzeba jedzenia, żeby codziennie wyżywić sto pięćdziesiąt kilogramów głodnych psów. Edgar nie miał pieniędzy i nie mógł płacić za jedzenie. A brak jeziora i domków w pobliżu zamykał możliwość łowienia ryb i włamań.

A na dodatek ten Henry był dosyć dziwny. To jego ostrzeżenie, żeby mu nie ufać — ludzie raczej nie mówią w ten sposób. Jednocześnie Henry najwyraźniej ich polubił. Edgar zauważył nawet, jak się uśmiechnął po porannym zamieszaniu. Choć może zareagował w ten sposób na widok Edgara wywracającego się na podłogę. Ale jeśli nawet Henry szczerze złożył swoją propozycję, to teraz, jadąc do pracy (gdziekolwiek to jest), może dojść do wniosku, że popełnił błąd — czy on zwariował, żeby oddać swój dom w ręce zupełnie obcego chłopaka? Zanim Edgar się zorientuje, na podwórzu zajedzie radiowóz. Po tygodniach spędzonych w lasach Chequamegon nabrał przekonania, że będąc w pełni sił, są w stanie wymknąć się każdemu pojedynczemu prześladowcy. Natomiast z kulawym Tinderem i w otwartym polu nie było szans na ucieczkę. Chyba żeby mieli dużą, bardzo dużą przewagę.

W końcu to też było jakieś wyjście. Mogli odejść, od razu. Rana Tindera będzie ich spowalniać, ale ich nie powstrzyma. Wczoraj wieczorem niósł Tindera jakąś milę — i chociaż wciąż jeszcze czuł piekielny ból w plecach, mógłby to ponownie zrobić, gdyby zaszła taka potrzeba. I co z tego, że będą w stanie pokonywać tylko milę dziennie? Jeśli oddalą się o milę

od domu Henry'ego, to tak jakby byli w innym hrabstwie, a gdy dotrą do jakiegoś jeziora, będą mogli długo odpoczywać. Dotychczas od nikogo nie byli uzależnieni i Edgar wiedział, że taki plan się sprawdza.

Kłaśnięciem przywołał Essay oraz Baboo i zaprowadził je do domu. Odkręcił wodę pod prysznicem, rozebrał się. Spojrzał na swoje odbicie w pokrywającym się mgiełką lustrze nad umywalką: krogulcza twarz ze śladami po ukąszeniach komarów, zwisające nad błękitnymi oczami spłowiałe na brąz włosy. Te tygodnie, podczas których sami musieli sobie radzić, wypaliły z niego łagodność, tak że teraz wyglądał jak pies gończy, podenerwowany i przemęczony.

Był również brudny. Brud na jego spalonym słońcem karku sięgał do ramion. Edgar ustawił temperaturę wody, wszedł pod prysznic, zasunął za sobą białą zasłonkę i namydlił się. Przez chwilę pozwalał parującej wodzie spływać po ciele. Chociaż codziennie stosował Off!, i tak każdy centymetr jego skóry stanowił pożywkę dla much końskich, śwędzików i komarów. Kiedy skończyła się ciepła woda, odsunął zasłonkę. Essay i Baboo z lekkim zdziwieniem zaglądały przez drzwi. Uśmiechnął się i chwyciwszy ręcznik, machnął nim jak toreador.

Ubrał się, nappełnił miskę płatkami Wheaties, mlekiem i miodem, po czym niosąc ją w rękę, przeszedł się po domu. Ściany korytarza po-

406

407

krywały zdjęcia — starsza para upozowana w fotograficznym atelier, pewnie rodzice Henry'ego; ubrane w piżamki dzieciaki trzymające zabawki pod świecącą choinką; młodszy Henry w holu wielkiego budynku, z niepewnym wyrazem twarzy stojący obok rodziców. Na małym stoliku dostrzegł portret kobiety o cherubinkowej urodzie z wypisaną zawijasem dedykacją: „Od kochającej Belvy”. Edgar spróbował włączyć

telewizor, ale ekran pozostał czarny, działał natomiast gramofon. Na regałach znalazł stos poradników dla mechaników samochodowych i informatory firmy Bell System — wyglądało na to, że Henry pracuje w telekomunikacji.

Sypialnia była zamknięta. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie otworzyć, ale ponieważ wszystko w tym domu było utrzymane w podobnym stylu, z łatwością mógł sobie wyobrazić proste łóżko, a na nim pościel, pogniecioną, choć nie za bardzo, i rzucony kraciasty szlafrok. Komodę. Szafę. Kolejne rodzinne zdjęcia na ścianach. Henry prosił tylko, żeby tam nie wchodzić. Nawet nie prosił ich, żeby go nie okradli — chociaż już wcześniej zdążyli to zrobić, żarłocznie i bez najmniejszych skrupułów.

Wrócił do kuchni i zaczął grzebać po szafkach. Opróżnił do miski cztery puszki duszonej wołowiny dla Essay i Baboo, a dwie z indykiem i kluskami do drugiej dla Tindera, i wystawił obie miski na dwór. Kiedy psy zajęły się jedzeniem, zerwał plaster z kciuka i przyjrzał się ranie. Rozcięcie, choć głębokie i brzydkie, było czyste. Zaczął zdejmować skarpetkę z łapy Tindera. W wyobraźni stworzył sobie obraz psa upadającego na grzbiet ze szklaną włócznią wyłaniającą się zarówno u góry, jak i pod spodem. Miał nadzieję, że w jego wyobraźni ta rana wygląda gorzej niż w rzeczywistości — że w świetle dnia nie będzie taka brzydka.

Jednak była brzydka. Na opatrunku utworzyła się brunatna plama. Tinder lizał i ciągnął rozwijane przez Edgara bandaże. Z niejakim trudem udało się chłopcu w końcu obrócić psa na bok i unieść jego łapę do góry. Poduszczyka spuchła, była dwa razy większa niż normalnie. Zmusił się do rozchylenia rany i w nagrodę ukazał mu się przejmujący obraz różowo-szarych mięśni, pośród których mignęło kurczące się białe ścięgno. W tym momencie musiał przerwać obserwację, po części dlatego, że zakręciło mu się w głowie, a także dlatego, że Tinder zasko-

wytał i wyszarpnął łapę, liżąc ją długimi, powolnymi pociągnięciami języka i patrząc na Edgara z wyrzutem.

408

Emaliowany garnek do mycia stał na blacie. Edgar napełnił go ciepłą wodą i odmierzył cztery krople płynu do naczyń. Kiedy stawiał garnek na podłodze, Tinder wykonał ruch, jakby zaraz miał się przetoczyć na drugi bok. Edgar objął dłonią pysk psa i spojrzał mu w oczy.

Musisz się przyzwyczaić, pokazał na migi. Często będziemy to robić.

Z ich punktu obserwacyjnego na polach Edgar patrzył na samochód Henry'ego, najpierw zatrzymujący się przy skrzynce na listy, a potem dalej toczący się po drodze dojazdowej. Było późne popołudnie. Wraz z psami wycofał się w miejsce, w którym spali poprzedniego popołudnia, decydując się na najlepszy, jego zdaniem, kompromis między odejściem a pozostaniem. Chociaż Tinder w ogóle nie mógł obciążać łapy, gdy tylko Edgar wziął go na ręce, rzucał się tak gwałtownie, że chłopiec natychmiast go położył w obawie, że pies skoczy i powiększy ranę. Z ociąganiem pozwolił mu samemu iść wzdłuż ogrodzenia, w związku z czym cały marsz zajął im pół godziny. Ale gdy już się usadowili, Edgar poczuł się lepiej. Rano zaryzykował i poleciwszy psom leżeć i czekać w domu, sam pobiegł po torach po pozostawione na nasypie wędkę i torbę. Obecnie sprzęt wędkarski leżał już schowany wśród słoneczników. A i oni, łącznie z Tinderem, w kilka sekund mogli się ukryć wśród nich.

Henry wysiadł z samochodu z torbą zakupów spożywczych pod pachą i pojemnikiem na obiad w drugiej ręce. Zawołał i otworzył drzwi /, od domu, po czym zniknął w środku. Zostawili dom pusty i otwarty, nie pisząc nawet kartki z podziękowaniem. Edgar wiedział, że to nieładnie, lecz nie mógł pozostawiać żadnego dowodu na to, że był tu wraz z psami, na

wypadek gdyby Henry przybył w towarzystwie... czy to dało się przewidywać, kto może się z nim przywlec albo pojawić za kilka minut?

Henry wrócił na ganek z piwem w ręce. Rozejrzył się po podwórzu.

Edgar schylił się, a kiedy ponownie uniósł głowę, Henry stał na drodze, patrząc na asfalt i kręcąc głową. Po chwili wytaszczył ze stodoły brzuchaty grill i postawił go na ganku. Przyniósł torbę z brykietami oraz puszkę z podpałką i wkrótce płomienie zaczęły buchać z czarnej półkuli, nad którą migotliwie drżało rozgrzane powietrze.

Zaraz też ustawił na trawie dwa kuchenne krzesła i stolik do kart.

Po obu stronach stolika rozłożył talerze, a miejsce pośrodku zajęła torba

z razowymi bulkami, butelki z keczupem i musztardą oraz coś, co wyglądało jak sałatka z ziemniaków albo makaronu. Plik kartek przytrzymał szklanką, do której wrzucił dwa żółte ołówki. Następnie rozwinął opakowanie, w którym nie mogło być nic innego jak kiełbaski, umieścił je na grillu, otworzył puszkę fasoli w sosie pomidorowym i postawił ją, żeby się grzała przy kiełbaskach. Gdy wszystko już smażyło się jak należy, a z grilla unosił się słup dymu, rozsiadł się w krzesła i rozłożył gazetę.

Edgar aż się uśmiechnął, patrząc na to wszystko. Jeśli Henry ich dostrzegł, mógł po prostu zawołać, zamiast odstawiać całą tę komedię. Może jednak rzeczywiście nie miał pojęcia, czy są gdzieś w pobliżu, a tym bardziej czy go obserwują. Był to ciekawy akt wiary ze strony człowieka, który mówił o sobie, że o nic nie dba i jest nieprzewidywalny. Przeciwnie, w oczach Edgara Henry jawił się jako osoba wyjątkowo godna zaufania — przygotowując kolację i odgrywając tę scenę zaproszenia przed gośćmi, których istnienia nawet nie był pewien.

I chociaż Edgar nigdy by się do tego nie przyznał, plan Henry'ego

działał. Po orgiastycznym posiłku poprzedniego dnia Edgar sądził, że przez tydzień nic nie zje, ale teraz czuł ślinkę napływającą do ust. Gdy tylko zerkał w tamtą stronę, na stole pojawiała się coś nowego. Korniszony. Piwo korzenne. Coś zawiniętego w papier od rzeźnika. Coś przypominającego ciasto beżowe. A jednak nie mogli pójść na to podwórze. Choćby czekali nie wiadomo jak długo, nie będą mieli pewności, czy ten człowiek nie umówił się z szeryfem, że zajrzy do niego powiedzmy o dziewiątej, gdy Henry upewni się, że chłopak siedzi w jego domu.

Kiedy kielbaski się upiekły, Henry jak żongler chwycił przez kuchenną rękawicę rozgrzaną puszkę z fasolą, którą wygarnął do miski. Ułożył stertę kielbasek na talerzu, postawił go na stoliku i zaczął się częstować jakby od niechcienia, nabierając górę sałatki ziemniaczanej i porcyjkę gorącej fasoli. Po chwili złożył gazetę we czworo, wymachując nią i robiąc dużo hałasu, wyjął ołówek ze stojącej po drugiej stronie stolika pustej szklanki i zaczął rozwiązywać krzyżówkę. Być może Edgar tylko to sobie wyobrażał, ale zdawało mu się, że pikantna woń pieczonych kielbasek dociera aż na pole. Natomiast Baboo na pewno tego sobie nie wyobrażał. Zbliżył się do Edgara i dyszał mu w ucho niecierpliwie. Edgar odruchowo pogłaskał psa po grzbiecie.

410

Zaczęło zmierzchać. Na bezchmurnym lazurowym niebie pojawiło się kilka gwiazd. Edgar podniósł się i lekko klasnął, żeby przywołać Essay. Kiedy nie pojawiła się przy jego boku, zrozumiał, że dyszenie Baboo nie było spowodowane jedzeniem. Obrócił się i klasnął głośniej. Kiedy ponownie spojrzął w stronę domu, Essay już zwawo truchtała w kręgu światła na ganku, elegancko tnąc powietrze ogonem i zataczając przednimi łapami szerokie luki, jakby witała dawno niewidzianego znajomego. Henry odłożył gazetę. Essay zatrzymała się przed nim w idealnym

siadzie, w odległości najwyżej dziesięciu centymetrów.

— Witaj, piesku — odezwał się Henry, odchylając się na krześle.

W nieruchomym wieczornym powietrzu jego głos niósł się po zboczu.

Nawet z tej odległości Edgar widział, jak Essay patrzy na Henry'ego wzrokiem żebraka, siedząc prosto, strzygąc uszami i wymachując ogonem.

Stojący obok Edgara Baboo zaczął skomleć i przebierać łapami.

Siad, pokazał mu Edgar.

Baboo mruknął z rozgoryczeniem i usiadł, lecz zaraz dyskretnie przesunął się w lewo, żeby lepiej widzieć. Po chwili przykuśtykał Tindera. Oba psy węszyły w powietrzu, jak marionetki przekrzywiając łby i poruszając nimi na dźwięk głosu Henry'ego.

Teraz to już nie ma sensu, pomyślał Edgar. Podszedł do Tindera i uklęknął.

Nigdzie mi na tej łapie nie pobiegiesz, pokazał na migi. Postawił psa, wsunął pod niego ręce i spojrzał mu w oczy. Kiedy już się nawzajem zrozumieli, pozwolił ruszyć się Baboo, włożył jedną rękę pod brzuch Tindera, a drugą pod jego piersi i wstał. Tindera był ciężki, ale już zaczął się przyzwyczajać do tej wagi i powoli, ostrożnie stawiając nogi, zaczął schodzić ze wzgórza.

Henry łyknął piwa i patrzył na nadchodzących. Na ostatnich piętnastu metrach Baboo wyzbył się wszelkiej powściągliwości i skoczył do przodu, kończąc bieg siadem z poślizgiem obok Essay. Oba psy patrzyły to na Edgara, to na Henry'ego. Po chwili Essay potruchtała na spotkanie Edgara i Tindera, zupełnie nie zważając na spojrzenie, jakie rzucił jej Edgar, i potrząsając głową, jakby prowadziła ich na ucztę, którą obojgu przygotowała.

Dotąd Tindera cierpliwie znosił drogę, lecz teraz zaczął się wiercić, Edgar położył go więc na ziemi. Pies trącił nosem Essay i podskakując,

zaczął kuśtykać przez trawę. Chwilę później Henry'ego otoczył krąg psów. Biorąc pod uwagę wszystkie jego przygotowania, Edgar oczekiwał radosnego zaproszenia, ale nie dość dobrze go poznał.

— Myślałem, żeście uciekli — burknął Henry, patrząc na niego ponad łbami psów. Wskazał najedzenie. — Poczęstuj się kielbaską. Nieźle je przypaliłem, ale i tak lepsze to niż nic.

Edgar wcisnął kielbaskę do bułki i nabrał sobie na talerz sałatki ziemniaczanej, a Henry wskazał na leżącą na stole białą paczkę. Edgar rozwinął ją i znalazł trzy wielkie kości, pokryte strzępami surowego czerwonego mięsa, z dużą ilością szpiku.

— Facet z mięsnego mówił, że psy to lubią — oświadczył Henry. Edgar skinął głową. Podał paczkę Henry'emu, żeby sam rozdał je psom, lecz Henry pokręcił głową.

— Dziękuję bardzo, wolałbym jutro używać wszystkich palców — stwierdził.

Tymczasem psy zdążyły zwietrzyć kości i już czekały, gdy Edgar kucnął przy krześle. Odbiegły na bok, żeby tam wypróbować zęby na otrzymanych goleniach i z rozmarzeniem w oczach wyobrażać sobie zwierzę, z którego pochodziły.

Henry wrócił do krzyżówki, jakby przybycie Edgara zupełnie go nie interesowało. Od czasu do czasu rozpierał się na krześle i stukając w ołówek, patrzył w ciemności, równie zatopiony w myślach jak psy.

W końcu odłożył ołówek i otworzył nowe piwo.

— Do diabła — odezwał się. — Potrzebuję szesnastoliterowego słowa oznaczającego naukę o motylach. Zaczyna się na L.

Edgar spojrział na niego. Wziął do ręki ołówek, napisał „lepidopterologia” i przesunął papier po stole.

Henry skupił się na krzyżówce.

— Nieźle — powiedział. — A co wymyślisz na... zobaczmy... rodzaj echa na sześć liter. Kończy się na „os”.

Edgar przez moment się zastanawiał i pod pierwszym hasłem napisał „pogłos”.

— Tak. Tak. Znowu dobrze — stwierdził Henry. — Aha... Soczewica! — wykrzyknął i wpisał kolejne hasło. — Zostało jedno. Sfera ognia i światła na osiem liter. Zaczyna się na „e”, a kończy na „m”.

Edgar pokręcił głową.

— Dobra, nieważne. I tak jest nieźle. Dzięki za pomoc. — Odłożył gazetę, podzielił ciasto na sześć części i podał Edgarowi kawałek na talerzu, sam również się częstując. Widelczykiem pokazał na Tindera, który skrzętnie obgryzał kość. — Jak jego łapa? — zapytał.

Niedobrze, odpisał Edgar. Spuchnięta.

— Najgorsze jest to, że może wdać się zakażenie, wiesz o tym?

Tak.

— Umyłeś ją dzisiaj?

Uniósł cztery palce.

Henry skinął głową.

— Chyba nie mówię ci niczego, czego byś nie wiedział?

Edgar wzruszył ramionami, nie chcąc wyglądać na niewdzięcznika.

Henry zjadł ciasto z widelczyka i popatrzył na Edgara.

— Nie chcę być wścibski... ale chyba byłoby nam łatwiej, gdyś mi powiedział, jak masz na imię?

Edgar siedział zawstydzony, podczas gdy Henry kończył swój kawałek ciasta. Chociaż przez cały dzień planował i rozmyślał, ten jeden szczegół nawet przez moment nie przyszedł mu na myśl. Nie mógł tak po prostu napisać swojego prawdziwego imienia. Po tylu latach nadawania

szczeniakom imion nie powinien mieć żadnych problemów z wymyśleniem imienia dla siebie. Ale tym razem nie miał czasu, tych dni czy nawet tygodni na zastanowienie. Próbował ukryć zmieszanie, sięgając po drugi kawałek ciasta. Popatrzył na psy. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Nagryzmołił coś na papierze i podsunął go w stronę Henry'ego. — Nathoo? — przeczytał Henry z powątpiewaniem w głosie. — Nie wyglądasz mi na Nathoo. To indiańskie imię, co?

Proszę mówić do mnie Nat, napisał Edgar.

Henry spojrzał na niego.

— Jak się wabia psy?

Na papierze pojawiły się słowa „Essay”, „Baboo” i „Tinder”. Henry powtórzył je, po kolei pokazując na psy.

Tak.

Chcąc zakończyć temat imion, Edgar stwierdził, że już czas ponownie umyć łapę Tindera. Nalał do emaliowanego garnka wodę z mydłami i zaniósł go do Tindera.

412

413

— Zajmie ci to tyle samo czasu co wczoraj? — zapytał Henry.

Edgar skinął głową.

— W takim razie ja idę spać. Rozgość się, jak już skończysz.

Pozbierał resztki z kolacji i wyniósł stół oraz krzesła. Zanim Edgar na powrót zawinął łapę Tindera, Henry udał się już do sypialni.

Edgar wprowadził psy do domu i polecił im położyć się na dywaniku w salonie.

Miał nadzieję, że problemy ubiegłej nocy to był czysty przypadek, lecz gdy tylko wyciągnął się na sofie, natychmiast zdał sobie sprawę, że stracił umiejętność spania na meblach wyściełanych, chociaż wcześniej

nie wydawało się to jakąś specjalną umiejętnością. Jeszcze kilka tygodni temu regularnie sypiał na łóżku, pod pościelą i kocami, pod dachem i przy jednym małym okienku, przez które patrzył na nocne niebo. Obecnie jego ciało uparcie twierdziło, że Edgar został zamknięty w komorze. Docierające do niego przez na wpół otwarte okno odgłosy nocy zdawały się płynąć przez długą rurę. Przeszkadzała mu sprężystość poduszek na sofie, chociaż były o wiele wygodniejsze niż wbijające mu się w boki gałązki i kłające go robactwo, ale w lesie on i psy spali, dotykając się nawzajem — jeśli jedno się ruszyło, pozostali od razu o tym wiedzieli. Teraz musiał wyciągać rękę, żeby w ogóle dotknąć psów, a nawet wówczas sięgał do nich tylko czubkami palców. I zanim zdążyłby się zorientować, do okna mógł podejść każdy, przyjaciel czy wróg.

W końcu, wciąż zawinięty w koc, wstał z kanapy i poprowadził psy przez kuchnię na szeroką płaszczyznę ganku. Ułożyli się do snu w plataninie psich i ludzkich kończyn, pod osłoną bezpiecznego domu, ośmioro oczu i ośmioro uszu zwróconych w stronę nocy. Jeden po drugim psy robiły głęboki wydech. Chłodne białe gwiazdy kreśliły łuki na czarnym niebie. Księżyc i wąska otaczająca go korona świeciły białym blaskiem. Edgar miał wrażenie, że patrzy na empireum — sferę ognia i światła — to właśnie słowo pozwoliłoby dokończyć krzyżówkę. Dlaczego nie chciał powiedzieć Henry'emu? Zastanawiał się nad tym pytaniem w przepływających wokół nich odgłosach nocy, ale nim znalazł odpowiedź, zasnął.

Zwyczajny

Śpiew ptaków. Woń parzonej kawy. Henry pchnął na zewnątrz drzwi z siatką, spojrzął na Edgara oraz psy, razem zwiniętych i leżących ze spletanymi kończynami, i tylko pokręcił głową, jakby jeszcze nigdy nie widział tak żalosnego widoku. Pierwszy wstał Baboo, rozstawiając przednie

łapy i jak pijany podchodząc sennym krokiem do Henry'ego. Edgar mocniej przytrzymał Tindera i Essay, ale już się obudziły i dyszały. Z domu docierały odgłosy wody dzwoniącej w rurach i szum prysznic. Edgar podniósł się, poszedł do kuchni, nalał sobie kubek kawy i wyniósł go na ganek. Essay przypomniała sobie o kości, dając sygnał również pozostałym psom, i już po chwili pod rozświetlającym się niebem zęby trojga zwierząt głośno szorowały po kościach. Psy ledwo podniosły wzrok na Henry'ego, kiedy wyszedł z domu z pojemnikiem na obiad w dłoni. Rzucił parę płóciennych roboczych rękawic na ganek obok Edgara.

— Chodź ze mną — powiedział. Poszedł do szopy, wyszarpnął pogięty gwóźdź ze skobla i szeroko otworzył drzwi. — Oto moja propozycja. Chcę zaparkować ten samochód — tu wskazał na zardzewiały monolit stojący na pustakach — w tej szopie.

Z zewnątrz szopa Henry'ego niczym się nie wyróżniała, może jedynie tym, że zaczynała się już rozpadać. Mogła mieć jakieś pięć metrów szerokości i dwa razy tyle długości, bez okien, ze spiczastym dachem i obłazącą od słońca białą farbą. Natomiast w środku znajdowało się miniaturowe złomowisko. Dopiero po dłuższej chwili Edgar był w stanie skupić na czymś wzrok. Ściany pokryte były samochodowymi kołpakami, zwojami drutu, tablicami rejestracyjnymi, staroświeckimi łyżkami do opon, pilami ręcznymi, grabiami, motykami, kosami, pi-

415

łami tarczowymi i całą masą wiekowych żelaznych narzędzi, pordzewiałych i dziwacznych. Pod ścianami w stosach leżały zwoje siatki ogrodzeniowej niczym skamieniałe węże. Kawalek pogiętej i pozwijanej rynny. Lustro bez ramy, a pod nim zakurzone, popękane kawałki szyb. Sterta pordzewiałych wiader, przepełnionych różnymi drobiazgami i częściami urządzeń. Z boku rozsypująca się piramida czerwo-

nych cegieł, a na niej gruby sznur, z którego wyłaziły włókna konopi. Kawałki sklejki rozłazące się jak wyciągnięta z kałuży książeczka z obrazkami. Sterty opon, stosy rozpadających się w proch gazet, poukładane przypadkowo jedna na drugiej miednice z emalią spękaną jak bioto pustyni. Przysadziste brązowe kowadło. A z tyłu czaiła się cylindryczna pralka z wyżymaczką oraz coś, co mogło być hydrantem albo częścią skrzyni biegów.

To wszystko mieściło się pod ścianami. Natomiast w samym centrum stał — a raczej zapadał się — staroświecki wóz na siano. Sprawiał wrażenie zwierzęcia z przetrąconym grzbietem, przygiętego do ziemi swoim ciężarem. Trzy koła odgięły się na boki, jakby w geście zdumienia i irytacji. Wygięta przednia oś wykrzywiła do wewnątrz czwarte koło, a cała przegniła platforma zapadała się ukośnie z tyłu do przodu pod górą drewna, gontu, futryn, zwojów drutu kolczastego i czerwonych od rdzy słupków. Gdyby wóz stał jeszcze na kołach, cały ten gruz nie zmieściłby się pod nadprożem szopy.

— Widzisz, w czym jest problem? — zapytał Henry.

Edgar skinął głową. Spojrzał na stojącą na pustakach ruinę samochodu. Jego miejsce z pewnością jest w tej szopie, pomyślał. Henry wyłuszczył swój plan — czym zająć się najpierw, czego Edgar nie powinien ruszać, dopóki razem nie będą mogli się tym zająć. Długo musiał wyjaśniać — roboty było wiele, a on szczegółowo pouczał Edgara.

— W szafce jest ubranie robocze, jakbyś brał się za jakiś chłam — powiedział, wskazując na zwój drutu kolczastego. Następnie zaprowadził go do stodoły i pokazał, gdzie znajdzie nożyce do drutu i taczkę.

Kiedy wrócili do domu, Edgar nagryzmolił prośbę o bandażę i Henry wyjął stare białe prześcieradło. Sporządzili listę rzeczy, których Edgar potrzebował z miasteczka. A potem Henry odjechał.

Baboo i Essay towarzyszyły im w szopie i teraz zaglądały do kuchni przez drzwi z siatką. Tinder dołączył do nich, stojąc na trzech łapach.
416

W jego wzroku Edgar wyczytał coś na kształt wyzwania. Jeśli Edgar go nie powstrzyma, mówiły jego oczy, zacznij chodzić.

Najpierw zajmij się łapą, pokazał na migi Edgar.

Z rany Tindera wydobywała się zielono-szara ropa, bezwonna, ale mimo to przerażająca. Na ten widok kropelki potu zrosiły włosy na całej głowie Edgara. Przyłożył wierzch dłoni do zranionej poduszczeni. Nie była nadmiernie ciepła. Zbyt brutalnie zaczął ją myć w wodzie i Tinder wyszarpnął łapę, skowycząc.

Przepraszam, pokazał na migi Edgar. Ale nie możemy jeszcze skończyć. Usiadł z wyciągniętą ręką. Po chwili Tinder podał mu ociekającą wodą łapę, a Edgar dużo wolniej ją teraz opatrywał. Następnie wyprał stare bandaż w zlewie i wywiesił je na sznurze do bielizny, żeby wyschły. Tinder zaczął skubać świeży opatrunek.

Przestań, pokazał mu Edgar. Położył kość przed nim i wrócił do sznura na bieliznę. Kątem oka widział, że Tinder ponownie zajął się bandażami, więc znowu do niego podszedł i jeszcze raz kazał mu przestać.

Możemy tak robić przez cały dzień, jeśli chcesz, pokazał na migi.

Policzył w głowie; już trzy dni minęły, odkąd ostatnio ćwiczył z psami. Ustawił je w szeregu na trawie za szopą. W porannym słońcu ćwiczyli przywołania i siad przed opiekunem, a potem aportowanie, pozostawanie w miejscu i pilnowanie. Podejrzywał, że wszystkim przypominało to o domu, ale tam tylko wykonywały kolejne ruchy, siedziały w klasie i odpowiadały na pytania, od których nic nie zależało. Biegały. Siedziały nieruchomo. Węszyły za szukanym przedmiotem. Obecnie te same czynności tworzyły między nimi więzy, na nowo ich łączyły, jakby od

początku kształtując świat. Podczas tych ćwiczeń umieszczały niebo u góry, a drzewa w ziemi. Wynajdywały kolor, powietrze, zapach i siłę grawitacji. I śmiech, i smutek. Odkrywały prawdę, kłamstwa i pozorne kłamstwa — a Essay nawet wówczas robiła stare jak świat żarty, wracając z patykiem i mijając Edgara, udawała, że go nie widzi, biegła bokiem i rzucała trzymanym w pysku patykiem, jakby pytała: „W rzeczywistości, to tylko zabawa, prawda? Bo skoro możemy to robić, to czy coś innego ma jakieś znaczenie?”.

Pierwsza część planu Henry'ego była bardzo prosta — należało wyciągnąć wszystko na ziemię i trawę i podzielić na trzy sterty: śmieci do spalania, śmieci do wywiezienia i śmieci do pozostawienia. Stare drewno miało zostać spalone wraz z gazetami i czasopismami; stare krzesła i słupki miały zostać wywiezione. Jak stwierdził Henry, kategoria obejmująca śmieci do pozostawienia była w dużym stopniu teoretyczna. A w związku z tym, że Henry nie miał pojęcia o zamieszkujących tę szopę istotach, łatwo było wyobrazić sobie szczura, który mógłby się gnieździć gdzieś tam w środku. Edgar wziął sobie wielki kij i zanim ruszył coś dużego, najpierw solidnie to wygrzmocił. Zza sklejki wypełził samotny wąż pończoszniczek, ale na razie nic więcej się nie pokazało.

W mgnieniu oka słupki leżały pozrzucone na stos na żwirze, a sterta śmieci obok wypalonej beczki. Psy podbiegały po kolei do wszystkich wyciąganych przez Edgara rzeczy i obwąchiwały je. Baboo i Essay zaznaczyły moczem stary fotel samochodowy, lecz gdy Tinder też spróbował to zrobić, okazało się, że posiadanie tylko trzech zdrowych łap rodzi problemy z równowagą. W pierwszej chwili Edgar chciał je powstrzymać, jednak doszedł do wniosku, że to nie ma sensu.

W południe rozdzielił psom resztki jedzenia, ponownie przemył łapę

Tindera i przewinał ją w zdjęte ze sznura suche bandaże. Z drogi dobiegł go dźwięk przejeżdżającego samochodu. Odruchowo podniósł głowę, żeby zobaczyć, gdzie są psy, ale nie było czym się denerwować. Baboo i Tinder spały w cieniu. Essay wybrała sobie słoneczne miejsce, z którego mogła obserwować ruchy Edgara. Wszyscy byli ukryci za domem. Przez moment jeszcze raz się zastanowił, czy mimo wszystko nie ruszyć dalej torami, szybko jednak zarzucił ten pomysł. Pominąwszy trudności, jakie sprawiałoby wędrowanie z Tinderem, pominąwszy potrzebę wody utlenionej i innych produktów, które Henry miał przywieźć wieczorem, Edgar zawarł z nim pewną umowę i już teraz gryzły go wyrzuty sumienia, że okradł tego człowieka. Nie chciał więc przynajmniej złamać umowy. A posprzątanie szopy mogło stanowić drobną spłatę długu.

Wrócił do szopy, puszczając wodze fantazji podczas pracy. Za każdym razem gdy udawało mu się wyciągnąć coś interesującego — pomarszczony i pokryty pleśnią globus albo sitko do przecierania jabłek z ułamaną drewnianą rączką — obracał to w dłoniach, strzepując brud, kurz i pajęczyny. Zastanawiał się, kto mógł tego używać. Przez ile letnich sezonów ten ktoś przykręcał urządzenie do kuchennego stołu i trzymając za obecnie złamaną rączkę, rozgniatał jabłko po jabłku, usuwając nadmiar miąższu z cylindra i precedzając sok przez rzadkie płótno? Czy nazajutrz dom pachniał cydrem? Czy podczas tej pracy na oknie zbierały się szerszenie?

Nie potrafiłby wskazać, w którym dokładnie momencie zorientował się, że nie jest sam. Pracował powoli, raz bardziej, raz mniej zamyślonny, kiedy poczuł, że włosy na karku zjeżyły mu się, jakby pod wpływem wiatru ze spływającej tam cienkiej strużki potu pozostała tylko sól, choć w pierwszej chwili nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Ale gdy to uczucie się powtórzyło, kątem oka dostrzegł stojącą w głębi szopy postać

i cofnął się, wyszedł na słońce i wpatrzył w szare kłębowisko cieni. Rzuciwszy okiem na psy leżące na podwórzu, ruszył szerokim łukiem wokół szopy. Nie było w niej żadnych okien, więc nie mógł zajrzeć do środka, mógł jedynie obserwować deskowanie, z którego farba odłaziła jak nieregularne płyty kory brzoźowej. Obszedł szopę dookoła, zatrzymał się przed jej drzwiami i osłoniwszy oczy, zajrzał do wnętrza. Widział zarys starego wozu i leżącej na nim sterty śmieci, nic poza tym. Nachylił się, żeby sięgnąć po wsadzony wcześniej w kąt za drzwiami kij, i postukał w drewnianą futrynę. Po chwili wszedł do środka i tak długo uderzał w stertę słupków, aż całą szopę wypełniła chmura różowego pyłu z rdzy. Oprócz słupków wszystko pozostawało w bezruchu. Przez chwilę stał, kiwając do siebie głową, a kiedy się odwrócił, zobaczył psy stojące szeregiem w drzwiach i patrzące na niego.

Dobry pomysł, pokazał na migi. Leżeć. Patrzcie na mnie.

Psy się ułożyły, a on ostrożnie zabrał się ponownie do pracy. Kiedy kolejny raz poczuł ciarki na karku, zmusił się, żeby najpierw spojrzeć na psy. Jedynie Baboo nie spał, leżał, dysząc beztrąsko w słońcu. Edgar powoli odwrócił wzrok w głąb szopy. Patrząc kątem oka, widział jakąś postać, lecz znikła, gdy spojrzał wprost.

Drobne fragmenty powoli układały się w całość obrazu: stary gość z przygarbionymi ramionami, mocnymi rękami rolnika i wielkim brzuchem. Ubrany w niebieskie dżinsy, poplamioną smarem koszulkę z krótkim rękawem i czapkę z wytwórni paszy, wysoko osadzoną na posiwiałej głowie. Kiedy mężczyzna w końcu się odezwał, jego głos był cichy, prawie szeptał, a wypowiedane przez niego słowa brzmiały akcentem, który Edgar znał z wielu godzin spędzonych na słuchaniu starych rolników w wytwórni paszy, mówiących „łon” zamiast „on” i „tyn” a nie „ten”.

To przez moją żonę, powiedział mężczyzna. Nic nie może się zmarnować. Niczego nie można wyrzucić.

Pamiętając, co się wydarzyło, kiedy poprzednio podniósł wzrok, Edgar ze wszystkich sił koncentrował się na odkręcaniu kół wozu. Chciała, żeby całe to cholerstwo tu zostało, na wypadek gdybyśmy potrzebowali jakichś części, ciągnął mężczyzna. Mówię ci, dużo lepiej mogłem wykorzystać tę szopę. A tak skończyło się na tym, że porządne urządzenia musiałem trzymać u sąsiada.

Edgar umieścił koła jedno na drugim i uklękawszy, zaczął układać jakieś mniejsze rzeczy, nie chcąc odrywać wzroku od rąk.

Popatrz na ten piec węglowy.

Edgar pozwolił sobie rzucić okiem w stronę potężnego metalowego kształtu za wozem. Nie śmiał bliżej się przyglądać, czuł bowiem, że wzrok ucieka mu w stronę starego rolnika, ale z pewnością przypominał piec. Dotychczas zauważył tylko coś zaokrąglonego, metalowego i nabijanego nitami.

Wtaszczyliśmy to do piwnicy, zanim jeszcze położyliśmy pierwsze deski na podłodze. Boże, ależ to było wielkie! Całe rano w trójkę z tym walczyliśmy. I ciągle lało jak z cebra. Ale to nie było jeszcze takie straszne. Wyjęcie tego, to dopiero była robota! Trza było rozwalić piec na kawałki młotem dwuręcznym. „Tylko tego nie wyrzuć — mówiła — nigdy nic nie wiadomo”.

Kątem oka Edgar dostrzegł, że mężczyzna kręci głową.

Już sam nie wiem, ile ton węgla w niego wrzuciłem. I bardzo go polubiłem. Mówiłem na niego Carl. „Muszę napchać Carla”, mówiłem, jak robiło się zimno. Albo: „Carl będzie miał dziś w nocy używanie”, kiedy nadciągała burza śnieżna.

Jak długo pan tu mieszkał? zapytał na migi Edgar. Równocześnie podniósł wzrok i znowu nikogo tam nie było. Wyniósł na podwórze kierownicę i pracował dalej, dopóki włosy na karku ponownie mu się nie podniosły.

Trzydzieści siedem lat, powiedział mężczyzna. Po piętnastu latach nic już nie dało się wcisnąć do szopy, no to pozwoliła mi co nieco wynieść. Ciągle załamywała ręce. Och, szkoda, że byłem dla niej taki niedobry. Była urocza i kochała nasze dzieci jak szalona. Po jej śmierci znalazłem pudełko po butach wypełnione drucikami służącymi do zamykania woreczków z chlebem. Były ich tysiące! Myślę, że były tam wszystkie, któreśmy przynieśli do domu. Co ona myślała? Do czego niby mogły się przydać?

Edgar nie próbował odpowiadać. Odwrócił wzrok i zdecydował na stos śmieci do wyrzucenia wynieść starą skrzynię wypełnioną porozbijanymi słoikami na przetwory. Następnie z tylnej kieszeni spodni wyjął nożyce i zaczął rozcinać splątane zwoje drutu kolczastego i palików ogrodzeniowych, rozprostowując kawałki drutu i rzucając je na stos jak łodygi żelaznych róż.

Kiedy umarła, ciągnął rolnik, pomyślałem sobie, no teraz mogę posprzątać tę szopę. Wyszedłem na dwór, otworzyłem drzwi i poczułem, że nie da rady, nie mogę tego zrobić. Po trzydziestu siedmiu latach upychania tu rzeczy nie mogę teraz zacząć tego wyciągać. To jakbym drugi raz ją grzebał. Więc wszystko tu sprzedałem i wyniosłem się do miasta. Podczas aukcji powiedziałem, że za dwadzieścia dolców oddam wszystko, co jest w tej szopie, jeśli ktoś ją opróżni. Nikt nie chciał skorzystać z propozycji.

Mimo że Edgar bardzo się starał, jego wzrok w końcu ponownie pomknął w stronę tego mężczyzny, który natychmiast zniknął. Edgar

pracował i czekał. Minęło popołudnie. W końcu Henry wrócił do domu, z karmą dla psów i innymi produktami, o które Edgar prosił, a także z kilkoma puszkami farby i pędzlami. Przywiózł coś jeszcze: płyty gramofonowe, które natychmiast ostentacyjnie wyjął z samochodu, żeby nie rozmiękły w gorącym słońcu.

Psy ganiały podniecone po podwórzu, uspokajając się szerokim ziewaniem, aż słyhać było, jak im kości trzeszczą w szczękach, dopóki Henry nie wyłonił się ponownie z domu. Edgar polecił Tinderowi zostać na miejscu, na co pies cicho się poskarżył. Pozostałe dwa zaczepiały Henry'ego, który jak łatwo było zauważyć, nie miał dotychczas zbyt wielu kontaktów z psami. Z wysoko uniesionymi rękami stał i patrzył na nie jak człowiek wchodzący do basenu. Kiedy Baboo usiadł przed nim, nie podrapał psa za uchem ani nie pogłaskał go po kryzie, tylko ku ogólnemu zaskoczeniu chwycił go za pysk i potrząsnął nim jak dłonią. Henry nie miał złych zamiarów i pewnie nawet sądził, że psu to się spodobało, natomiast Baboo tylko tolerancyjnie opuścił łeb i rzucił Edgarowi ukradkowe spojrzenie. Kiedy przyszła kolej na Essay, suka widząc, co

420

421

spotkało Baboo, tańczyła w nerwowych podskokach w pewnej odległości. Na koniec Henry podszedł do Tindera i otwartą dłonią poklepał go po łbie, jakby przyklepywał uparcie opadający na czoło kosmyk włosów. Zmierzył wzrokiem stosy rupieci, które wyraźnie urosły w ciągu dnia, a potem poszedł do szopy i zajrzał do środka.

— Jezu!... — odezwał się. — Tam zupełnie nic nie ubyło!

Edgar miał dokładnie takie samo odczucie, z ulgą zatem usłyszał, że Henry je potwierdza. Miał już ponownie włożyć rękawice robocze, kiedy Henry go powstrzymał.

— Na jeden dzień wystarczy — powiedział. — Jeśli znowu się za to weźmiesz, będę czuł się w obowiązku pomóc ci.

Edgar zamknął drzwi szopy i włożył zakrzywiony gwóźdź w pordzewiały skobel. Razem poszli do samochodu. Henry wyciągnął z podłogi po stronie pasażera dwa pokryte szronem sześciopaki. Z tyłu leżał czterdziestofuntowy worek karmy dla psów. Edgar przerzucił go sobie przez ramię, zaniósł na ganek i usiadłszy, nakarmił psy prosto z worka, podając im pokarm w stulonych dłoniach.

Tego wieczoru mieli kolację klasy pracującej. Henry siedział przy kuchennym stole, czytał gazetę i jadł odgrzane kiełbaski z sałatką ziemniaczaną. Gestem pokazał Edgarowi, żeby się częstował, równocześnie obserwując psy, jakby się spodziewał, że zaraz się rzucą najedzenie. Już miał poprosić Edgara, żeby je wyprowadził na dwór, ale przerwał w pół słowa, zmieniawszy widzieć zdanie. Złożył tylko gazetę we czworo i pochylił się nad krzyżówką, stukając ołówkiem w stół i wybierając co łatwiejsze hasła. Po jakimś czasie powiedział: „Och!” i przeszedł do salonu. Z głośników gramofonu rozległ się melodyjny trzask. Po domu popłynęły dźwięki fortepianu.

— Mówią na to Wariacja Goldbergowska — odezwał się po powrocie. W jednej ręce trzymał zniszczoną okładkę longplaya. Ponownie na nią spojrzął i z samokrytyczną skrupulatnością poprawił się: — Wariacje Goldbergowskie.

Powrócił do krzyżówki, co chwilę przesuwał się, wiercąc na krzesła i dotykając ręką czoła, jakby zdenerwowany dźwiękami fortepianu. Opróżnił szklankę z piwem, nachylił się do lodówki i wyjąwszy następną butelkę, wlewał ją po wewnętrznej krzywiźnie szklanki, a strumienie bąbelków kłębiły się, unosząc w górę.

422

— Hej, może byś coś poczytał? — odezwał się. — Jak tak siedzisz,

trudno mi się skupić. — Nie sprawiał wrażenie rozzłoszczonego, raczej nieco przygnębionego. — W salonie są czasopisma i książki.

Edgar wyprowadził psy na dwór i zaczął je szczotkować za pomocą przywiezionej przez Henry'ego szczotki igłowej. Chociaż była to tania plastikowa szczotka, mógł nią zrobić dużo więcej niż samymi palcami, których musiał używać przez ostatnie tygodnie. Podszerstek psów okropnie się zbił. Zapadł już zmrok, ale z kuchennego okna padało dostatecznie dużo światła. Kiedy się zniecierpliwiał pracą nad ogonem Essay, zabrał się za Tindera i Baboo, po czym powrócił do Essay. Przez siatkę w drzwiach sączyła się muzyka fortepianowa. W pewnym momencie skończyła się z lekkim zgrzytem igły i usłyszał kroki Henry'ego przechodzącego przez salon. Popłynęła nowa melodia. Henry wyszedł na ganek, w jednej ręce trzymając gazetę i ołówek, a w drugiej szklanekę z piwem, i usiadł wsparty plecami o białe deskowanie domu. Baboo podszedł do niego. Henry z wahaniem wsunął palce w sierść pod szczęką Baboo, starał się głaskać go, nie brudząc sobie palców psią śliną. Baboo przez chwilę wytrzymywał te pieszczoty, po czym odwrócił łeb tak, że dłoń Henry'ego znalazła się za jego uchem, i zaczął napierać na palce. — Nat — odezwał się Henry — co to będzie? „Poprawiały widzenie” na siedem liter. Zaczyna się na „b”. - Podsunął gazetę w stronę Edgara. — Dwadzieścia trzy pionowo.

Edgar rzucił okiem na krzyżówkę, odłożył szczotkę, wpisał w odpowiednie miejsce „binokle” i odsunął z powrotem gazetę.

— Zgadza się — stwierdził Henry. — Sam powinienem to wymyślić. — Uniósł szklanekę z piwem do światła na ganku i popatrzył w nią. — Binokle — powtórzył w zamyśleniu, jakby właśnie w tym momencie przyszło mu to do głowy. Odchylił głowę i oparł o ścianę domu. Kiedy przestał głaskać Baboo, pies trącił nosem jego dłoń i położył mu łapę

na nodze.

Uważaj, na migi skarcił go Edgar.

Baboo cofnął łapę.

— Wiesz co? — zaczął Henry. — Głupio się przyznać, ale nigdy nie miałem psa. Nawet kiedy byłem dzieckiem. Dużo było u nas kotów, po trzy, cztery naraz. Mój najlepszy kumpel w podstawówce miał małego cętkowanego psa, który wabił się Skoczek. Mógł ważyć najwyżej dziesięć

423

kilo. Bardzo bystry pies. Potrafił utrzymać na nosie małe przedmioty.

Wszędzie za nami chodził. Ale te psy... te psy to coś innego. Chodzi o to, jak na człowieka patrzą, i w ogóle.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Światło z kuchni padało ukośnie na deski ganku.

— Masz je od urodzenia?

Tak.

— Tresowałeś je?

Tak.

— Jak się ma ten... Tinder. Co z jego łapą?

Edgar próbował rozplatać miriady kołtunów w ogonie Essay, której niezbyt się to podobało. W końcu odłożył szczotkę i pozwolił psu odejść, a Essay podskoczyła, zakręciła się w miejscu, przyglądając się swojemu bezcennemu dodatkowi, po czym jednym susem znalazła się przy Henrym oraz Baboo i zaczęła oboje trącać nosem. Edgar podszedł do nich, odwinął bandaż z łapy Tindera i unióś ją do światła.

Henry zbliżył się do nich szybkim krokiem.

— Uff — sapnął. — Myślałem, że poprzedniej nocy tylko mi się wydawało.

Edgar przyniósł szmaty, garnek i butelkę z wodą utlenioną.

— Większej butelki nie znalazłem. Wystarczy na dłużej, jeśli namoczysz szmatę i będziesz nią wycierał — stwierdził Henry.

Edgar skinął głową. Sięgnął po gazetę. Dlaczego posadził pan słoneczniki? napisał na marginesie. Zgodnie z sugestią Henry'ego zwilżył szmatę wodą utlenioną. Krawędzie sączącej się rany Tindera poczerwieniały, a woda utleniona skwierczała pod materiałem.

— Aha. To ciekawe pytanie — odrzekł Henry. Usiadł i spojrzał na pole. — Można powiedzieć, że to eksperyment. Zazwyczaj uprawiam kukurydzę, a w tym roku chciałem coś odmienić. Żeby nie było zwyczajnie. I przyszedł mi do głowy właśnie taki pomysł. Na południu słoneczniki nie są taką rzadkością, ale tutaj nieczęsto się je widuje.

Oczyściwszy ranę Tindera, najlepiej jak potrafił, Edgar ściągnął postrzępione bandaże ze sznura na bieliznę.

To lepszy interes? napisał.

—Niespecjalnie — stwierdził Henry. — Ale mnie to nie przeszkadza. Pięćdziesiąt centów za funt nasion. Więcej zarobiłbym na kukurydzy, choć niewiele więcej. — Spojrzał na pole i zmarszczył brwi. — Co prawda, nie wiem, jak sieje zbiera. Ręcznie zajmie to wieczność. Facet, który w zeszłym roku zbierał kukurydzę, stwierdził, że mógłby załatwić jakąś specjalną przystawkę do kombajnu. Z drugiej strony, jeśli będą ładnie wyglądać, mogę je tak zostawić. To zależy. Bo trudno o bardziej przygnębiający widok niż pole pełne zwiędłych słoneczników. — Wypił piwo i popatrzył w gwiazdy. — Chyba od dawna nie miałeś okazji porozmawiać, co? Używając znaków migowych i tego wszystkiego?

Edgar tylko pokręcił głową.

— To był jakiś wypadek czy co? Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu, że pytam.

Taki się urodziłem, napisał Edgar. Lekarze nie znają przyczyny.

Potem jeszcze wzruszył ramionami i dopisał: Dziękuję za jedzenie dla psów.

Henry popatrzył na stosy śmieci.

— Co za okropny bajzel — powiedział. Przeniósł wzrok na samochód stojący na pustakach. — Jestem ci wdzięczny za pomoc. Będę musiał zabrać tę kupę złomu z deszczu, zanim rdza ją zeżre. Chyba powinienem to po prostu sprzedać. - Nie spuszczać wzroku z samochodu, wyciągnął kolejną butelkę piwa. — Jakoś nie mogę się z nim rozstać — stwierdził.

Edgar skinął głową. Nałożył czystą skarpetkę na łapę Tindera i związał, palcem wskazującym zabraniając psu gryzienia węzła. Tinder zaczął dyszeć, jakby zdumiony tym, że Edgar odczytał jego myśli.

— Nat — odezwał się Henry. — Czy mówiono kiedyś o tobie, że jesteś zwyczajny?

Edgar podniósł na niego wzrok.

— No wiesz... zwyczajny. Po prostu... jak by to powiedzieć... zwyczajny. Jestem pewien, że nikt nigdy ci tego nie zarzucił.

Nie. Edgar spojrzał na niego. Niczego takiego nie pamiętam.

— Jasne, tak też myślałem. Biegasz sobie z tresowanymi cyrkowymi psami, nic dziwnego. Jezu. Chcesz usłyszeć coś śmiesznego? Bo o mnie tak powiedziano. Moja własna narzeczona... to znaczy, była narzeczona. Mieliśmy się w pobrać w marcu, a tu nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, wszystko odwołała. Powiedziała nawet, że mnie kocha, ale doszła do wniosku, że jestem zbyt zwyczajny, a coś takiego po latach może

424

425

zniszczyć nasze małżeństwo. „Chodzi o to, że wyglądam zwyczajnie, czy co?” zapytałem. „Nie, po prostu ogólnie jesteś zwyczajny”, odparła. „Tak

zwyczajnie wszystko robisz, zwyczajnie wszystko postrzegasz, myślisz i mówisz. Po prostu zwyczajnie". Powiedziała, że jak już raz przyszła jej do głowy ta myśl, nie mogła się od niej uwolnić. Patrząc na mnie, za każdym razem czuła miłość, ale jednocześnie też zwyczajność. - Pociągnął duży łyk piwa. — No to pytam cię, czy to ma jakiś sens?

Edgar pokręcił przecząco głową. Bo rzeczywiście, dla niego nie miało to żadnego sensu. On lubił zwyczajne rzeczy, zwyczajne dni, zwyczajną pracę. Słuchając słów Henry'ego, poczuł, jak ściska mu się serce na myśl o codziennych obowiązkach w psiarni — bo jeśli one nie były czymś zwyczajnym, to co takie jest? Poza tym chociaż Henry nie wydawał mu się osobą niezwykłą, nie widział powodu, dlaczego miałyby to być obraźliwe. A skoro już o tym mowa, co to w ogóle znaczy, jeśli o kimś mówi się, że jest zwyczajny?

— No kurczę, jasne, że nie — oświadczył Henry w nieoczekiwanym wybuchu oburzenia. Ale już po chwili jakby opadł z sił. — Jednak miała trochę racji. Bo co ja zrobiłem, co byłoby niezwykłe? Codziennie jeżdżę do biura centrali, a pod koniec dnia wracam do domu. Mam dom jak wszyscy. Sadzę uprawy na polu i każdej jesieni je zbieram. Mam samochód na pustakach, przy którym sobie dłubię. Lubię chodzić na ryby. Czy jest w tym coś niezwykłego?

A ona jest zwyczajna? napisał Edgar.

Henry spojrział na Edgara, jakby nigdy wcześniej o niczym takim nie pomyślał.

— Cóż, podejrzewam, że nie zauważyłbyś Belvy w tłumie ludzi na ulicy. Ale gdy się ją pozna, okazuje się bardzo niezwykła. Na przykład ma jedno oko błękitne, a drugie piwne, więc od razu widać, że nie jest zwyczajna. Ponadto jest ateistką. Mówi, że gdyby Bóg istniał, miałyby oczy takiego samego koloru. Sam wierzę w Boga, tyle że nie chce mi się

marnować całego ranka na kościół. Wydaje mi się, że Bogu jest obojętne, czy czcisz go w kościele czy jadąc do pracy. Zdaniem Belvy to nie znaczy, że jest się ateistą czy wierzącym, tylko że jest się leniwym.

Wierzy pan w duchy?

— Nie zdziwiłbym się, gdybym je zobaczył — odparł Henry, jakby potwierdzało to jego najczarniejsze podejrzenia. Ale chciał rozmawiać
426

o Belvie; sprawiał wrażenie, że potrafi wyobrazić ją sobie stojącą tam przednimi. -Szkoda, nie widziałeś jej kostek u nóg... wspaniałych, delikatnych kostek, jak u posągów. Byliśmy ze sobą dwa lata. — Westchnął głęboko. — Teraz chodzi z jakimś facetem z banku.

Czy przydarzyło się panu coś niezwykłego?

— O niczym takim nie wiem — odrzekł, a w zasadzie wystękał Henry. Chwilę później pstryknął palcami. — Zaraz, zaczekaj. Chciałbyś wiedzieć, co przydarzyło mi się najbardziej niezwykłego? W zeszłym roku pojechałem do supermarketu. W samym środku dnia, sklep był prawie pusty. Chodzę między regałami, kupuję mleko, zupę, ziemniaki. I pamiętam, że potrzebowałem chleba. Idę więc do regałów z chlebem. Na końcu regału na półkach leżą całe rzędy chlebów. Pcham wózek w tamtą stronę. I wiesz, co się wtedy stało?

Edgar wzruszył ramionami.

~ To jasne, że nie wiesz — stwierdził Henry. — Bo to nie jest zwyczajne. Zanim doszedłem na koniec regału, jeden z bochenków nagle napęczniał i spadł na podłogę. Nikt go nie dotknął, po prostu sam rozciągnął się jak akordeon i już. Bach. Podniosłem chleb i odłożyłem go z powrotem na półkę. Następnie ruszyłem z wózkiem do regału z przyprawami. Ale teraz dopiero będzie coś niezwykłego: zmierzam już do kasy i ponownie skręcam koło regałów z pieczywem. I co słyszę za ple-

cami?

Popatrzył na Edgara znacząco.

Co? zapytał na migi Edgar, chociaż chyba powinien się już domyślić.

— Bach! — powiedział Henry. — Właśnie tak. Odwróciłem się i na podłodze leżał ten sam bochenek chleba.

Co pan zrobił?

— Nie jestem idiotą. Oczywiście kupiłem go. Odłożyłem na półkę chleb, który zazwyczaj kupuję.

I był lepszy?

— Niewielka różnica — stwierdził Henry, wzruszając ramionami.

— W następnym tygodniu wróciłem do poprzedniego. — Pociągnął długi łyk piwa. — No i sam widzisz. To szczyt. Wierzchołek. Apogeum. Właśnie tak egzotyczne życie Belva odrzuciła.

Nie każdemu to się przydarza, napisał Edgar.

427

Henry wzruszył ramionami.

— Wspaniale byłoby zobaczyć UFO, ale nie sądzę, żeby miało mi się przydarzyć coś takiego.

W tym momencie fortepianowa muzyka zaczęła przeskakiwać, Henry wszedł więc do domu, żeby poprawić igłę. Baboo zbliżył się do drzwi i zajrzał przez siatkę do wnętrza. Wyglądało na to, że Baboo podjął już jakąś decyzję co do Henryego — Edgar widział to przez cały wieczór. Kiedy Henry ponownie usiadł, Baboo stanął przy nim, gapiąc mu się prosto w oczy i czekając, dopóki Henry się nie domyślił, że pies chce, żeby podrapać go pod brodą albo po łbie czy grzbiecie tuż przed ogonem. Nawet na trzeźwo Henry nie zauważyłby, jak zręcznie Baboo układał jego dłoń, gdy chciał, żeby go pogłaskał.

Henry odchylił głowę, oparł ją o ścianę domu i po chwili usnął, mrużąc coś pod nosem. Edgar i psy zostali sami, wpatrzeni w letnią noc. Muzyka przypomniła Edgarowi o tamtym sylwestrze, całe wieki temu, o tym, jak tańczył z matką i ojciec odbił mu partnerkę, a potem rodzice we dwójkę kołysali się w świetle lampek choinkowych, Edgar zaś skradł kawałki sera, żeby rozdać je tym samym psom i wraz z nimi świętować. Wówczas prawie w ogóle ich jeszcze nie znałem, pomyślał.

W pewnym momencie muzyka się skończyła i Henry się obudził.

— A gdybym tak wstąpił do marynarki? — odezwał się z żarem, odpowiadając na jakiś argument we śnie. — Gdybym gdzieś popłynął? Do Birmy na przykład. Po pewnym czasie przestałbym być zwyczajny. Jasne. Ale skąd Belva będzie o tym wiedzieć? Tu jest problem. Muszę przestać być zwyczajny właśnie tu, na miejscu, w Lute. — Nachylił się do przodu i spojrzał zapuchniętymi oczami na Edgara. Po chwili chyba zdał sobie sprawę z tego, co się stało, ponieważ podniósł się i ziewnął, przeciągle i teatralnie. — No dobra — rzekł. — Wystarczy. Mam dość.

Edgar wraz z psami udali się za Henrym do domu. Być może rankiem Henry'ego rozbawił ich widok śpiących na ganku, lecz Edgar wolał nie wystawiać jego cierpliwości na próbę. Kiedy wszedł do salonu, psy już leżały zwinięte na dywaniku. Wyłączył światło na stoliczku, zwiesił rękę i położył ją na Tinderze. W ciemnościach pomyślał o tym starym człowieku w szopie. Po chwili sprawdził, czy koc nie zawinął mu się wokół nóg. Podczas tych wszystkich dni wędrówki przez Cheąamegon ani razu nie zapomniał skontrolować, czy w nogawkach nie ma pajaków, a już pierwszej nocy pod dachem dał się oplatać kocowi.

Zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Leżąc na kanapie, nie miał tego trapiącego go w poprzednie noce wrażenia, że znalazł się w potrza-

sku, i doszedł do wniosku, że gdzieś w głębi duszy postanowił zaufać Henry'emu i uwierzyć, że w tym miejscu mogą spać w nocy spokojnie. Może to pojawiło się zaledwie kilka minut temu. Może wówczas, gdy obserwował Baboo.

Po chwili odezwała się ta część jego mózgu, która zajmowała się liczeniem, zaczynając swoją litanię: trzy dni w jednym miejscu. Początek sierpnia. O ile szybciej będą musieli iść, kiedy wreszcie zagoi się rana Tindera? Jak długo będą mogli tu jeszcze zostać? Jak daleko zajdą, zanim zrobi się zimno? Jak daleko w ogóle są w stanie zajść? W końcu Edgar powoli podniósł się z sofy, trącając przy okazji jednego psa, i pośród chóru postękiwań i pomruków ułożył się tak, że dotykał ich wszystkich.

Proszę, powiedział do siebie na wpół ostrzegawczo, na wpół błagalnie. Tylko się do tego nie przyzwyczajaj.

428

Lokomotywa nr 6615

Przez sześć dni Edgar pracował w szopie Henry'ego. Każdego ranka mył i opatrywał łapę Tindera. Na bandażach przestały się już pojawiać plamy z sączącej się rany, ale jeśli Edgar zbyt mocno ją czyścił, woda po myciu barwiła się na kolor różowy. Mimo jego starań, żeby Tinder spokojnie leżał i nie chodził, zawsze gdy Essay i Baboo mocowały się na podwórzu, kuśtykał do nich z ciężącą mu jak kula armatnia łapą w poszarzałej skarpecie. Zdarzało się, że zaskowytał i przewrócił się, lecz zaraz szybko ponownie podskakiwał. Wieczorami słuchali trzeszczących płyt z płytoteki, którą Henry przywoził do domu, muzyki skomponowanej przez rosyjskich generałów: Czajkowskiego, Rimskiego-Korsakowa, Szostakowicza. Przy kolacji Henry przeklinał nad krzyżówką, a Edgar czytał informacje na okładkach płyt. Później Edgar zajmował się łapą Tindera i uczył Hen-

ry'ego języka migowego.

W sobotni rano Henry wyjechał z listą sprawunków. Planował wrócić wczesnym popołudniem, jak powiedział, ale biorąc pod uwagę jego zezowate szczęście, równie dobrze może wrócić wieczorem, tracąc w ten sposób cały dzień. Po jego odjeździe Edgar stanął w szopie i zastanawiał się, za co wziąć się najpierw. Ze ścian zniknęły porządki narzędzia i tarcze pił. Rozpadający się wóz był już w połowie odkopany. Edgar właśnie zmagając się z owalnym lustrem ściennym, przedziwnym zbiegiem okoliczności ocalałym, kiedy poczuł na karku mrowienie parującego potu, znak, że w najdalszym kącie szopy pojawił się stary rolnik.

Z tym lustrem nie potrafię się rozstać, powiedział. Należało do mojej córki przez cały czas jej dorastania. Pewnie widziało ją częściej niż ja, widziało wszystko, co się działo, od kiedy była niemowlęciem do cza-

430

su, aż skończyła dwadzieścia lat. Nieraz się zastanawiam, czy czasem to wszystko wciąż gdzieś tam w środku nie siedzi. Jak coś codziennie odbija tę samą osobę, to może pozostaje na tym jakiś ślad?

Edgar przeciągnął szmatą po szkle i spojrzął w lustro. Powierzchnia była zakurzona, a srebrna powłoka wyżarta w czarne wyspy. Cekał na pojawienie się upiornych powidoków: niemowlęcia na rękach matki, dziewczynki rozczesującej włosy, młodej kobiety beztrąsko wirującej w sukni przed balem na zakończenie szkoły. Widział tylko nachylające się do niego z lustra własne odbicie.

Nikogo tam nie ma, odparł.

Och, westchnął mężczyzna. Cóż, myślałem, że może jednak...

Edgar już zdążył się nauczyć, że jeśli chce, aby ten człowiek mówił, musi czekać i nie odzywać się. Oparł ponownie lustro o wóz i zabrał się za zbieranie leżących dookoła kawałków porcelany, wrzucając je na-

stępnie do wyszczerbionego ceramicznego naczynia.

Przez całe lata nie zaznałem tu szczęścia, rzekł mężczyzna. Zwłaszcza pod koniec lat pięćdziesiątych. Za Eisenhowera. To były złe czasy.

Był pan rolnikiem?

No.

Nie lubił pan pracy na roli?

Nawet nie pytaj! Czasami po prostu tego nienawidziłem. Czy wiesz, jak wcześnie trzeba wstać, żeby wydoić krowy? Jeśli przyjdiesz za późno, próbują nadepnąć ci na nogę. Jak cię widzą o dziesiątej rano z taborem i wiadrem, to lepiej idź środkiem obory, bo ani chybi zaraz dostaniesz pięciokilogramowym kopytem. Walną cię prosto w jajka, jeśli tylko uznają, że mogą spróbować. Znam jednego gościa, któremu coś takiego się przytrafiło. Rzucił rolnictwo i wyniósł się do Chicago, jak tylko znowu zaczął chodzić.

Edgar zastanowił się nad jego słowami.

Czy ten człowiek nie nazywał się przypadkiem Schultz?

To był Naw, jeden z synów Krasussa, odrzekł mężczyzna. W każdym razie chociażby z samej obawy wstajesz, kiedy jest jeszcze ciemno jak w grobie, a one wciąż są trochę śpiące. Doisz, aż nie czujesz rąk. Potem sprzątasz łopata boksy, co też nie należy do przyjemności. Nigdy nie mogłem wyjść z podziwu, ile kupy potrafi zrobić krowa. Trochę siana wchodzi do środka, a tyle wychodzi krowiego łajna. Skąd to się bierze?

431

Nie znam się na krowach, pokazał na migi Edgar po dłuższej przerwie.

A to dopiero tylko robota przed śniadaniem, ciągnął mężczyzna.

Potem trzeba się zajmować sianiem i zbieraniem plonów. Coś zawsze się zepsuje. Cielaki rodzą się w wielkich niebieskich łożyskach z żyła-

mi grubości palca. A tu zapalenie sutka. A tu robaki. Widziałeś kiedyś krowi magnes? Wręcz niewiarygodne. Wygląda jak ogromny metalowy pocisk. Wsadzasz coś takiego krowie prosto do gardła, a po roku lub dwóch wychodzi z drugiej strony pokryte gwoździami, śrubami, kawałkami drutu. Słyszałem, że jeden facet znalazł w ten sposób zegarek. Ścinaliśmy paszę na kiszonkę do pierwszego śniegu i zastanawialiśmy się, czy przypadkiem wszystko nam nie pozdycha, bo składaliśmy ją mokłą. Połamane ogrodzenia, krowy wałęsające się po lesie... Czasami wracałem w nocy do domu tak skonany, że nie wiedziałem, czy potrafię podnieść widelec do ust.

Jeśli panu się nie podobało, dlaczego pan nie zrezygnował?

I co miałbym robić? Znałem się tylko na rolnictwie. Problem polegał na tym, że byłem przeklęty. To, że tego nie lubiłem, wcale nie znaczyło, że się na tym nie znam. Na przykład potrafiłem wywoływać pogodę. Wychodziłem na pole w jakiś wiosenny dzień i myślałem: teraz możemy zasiać. W wytwórni paszy mówili mi: „George, wszystko ci przemarźnie. Za wcześnie za to się zabierasz i stracisz trzy czwarte zasiewów”. Aleja miałem nosa. I zawsze miałem rację, bo nawet jeśli spadał śnieg, to tylko cienka warstewka. Okoliczni rolnicy zaczynali siać, gdy tylko usłyszeli, że kupiłem nasiona.

Moim zdaniem to chyba nie jest przekleństwo.

Jak najbardziej, tyle że jesteś za młody, żeby znać się na takich sprawach. Bo co ci z tego, że znasz się na czymś, co cię w ogóle nie obchodzi? To nawet dosyć często się spotyka. Wielu lekarzy nie cierpi medycyny. Większość z waszych biznesmanów traci apetyt na widok rachunku. To powszechne. Nasz stary Bert pod miastem on wręcz gardzi tym swoim sklepem spożywczym. Mówi, że przez tę rutynę umrze z nudów; ciągle tylko zamówienia, magazynowanie, zamartwianie się

tym, czy produkty się nie popsują. Powiedział mi kiedyś, że częściej śni o pomidorach niż o własnej żonie.

Co by pan robił, gdyby pan zrezygnował?

432

Byłbym maszynistą. Nie ma lepszej roboty na świecie. Ruszasz korbą, a tu dziesięć tysięcy ton ładunku rusza w drogę. Byłeś kiedyś w lokomotywie?

Nie.

Byłem raz w Duluth i poszedłem na stację rozrządową, żeby popatrzyć sobie na lokomotywy. Wdałem się w rozmowę z jednym gościem, który znał przechodzącego maszynistę. Powiedział do niego: „Hej, Lem, chodź no tu”. I tamten facet, ubrany w kombinezon i czapkę konduktora, jak pokazują w telewizji, podszedł do nas. A ten gość mówi: „Ten pan nigdy nie widział wnętrza lokomotywy”. „To prawda?” pyta Lem, idzie do telefonu i gdzieś dzwoni. Może do zawiadowcy, nie wiem. Po chwili odwiesza słuchawkę. „Chodź pan”, mówi. Idziemy po peronie, mijamy te wszystkie wagony samozsypne, cysterny i wagony służbowe, a on rzuca mi przez ramię: „Co by pan chciał zobaczyć? Parowóz czy spalinówkę?”. „Parowóz”, mówię. I prowadzi mnie do lokomotywy numer sześć sześć jeden pięć. Numer wypisany był z boku dużymi literami. Była to jedna z tych wielkich maszyn z odgarniaczem jak bujne wąsy, pokryta nitami wielkimi jak twoja głowa i z wiązarami grubymi jak noga. Czarna, jakby wyrzeźbiona w litym bloku rudy. A on tylko pokazuje i nazywa kolejne części. Zbiornik powietrza. Cylinder. Skrzynia z piaskiem. Zbieralnik pary. Wtryskiwacz. Koło napędowe. A potem wdrapuje się po drabince i kiwa ręką, żebyśmy szedł za nim. Stajemy w budce maszynisty i on dalej nazywa części. Otwór paleniska. Nawrotnik. Regulator. Przepustnica. Ta lokomotywa była zimna i martwa, kiedyśmy w niej

stali, bo miała być naprawiana, tak powiedział Lem, ale nawet w takiej czuło się drzemiącą w niej moc.

Głos męczyzny przybrał tęskną nutę.

Jeśli była kiedyś taka chwila, kiedy chciałem zostawić to wszystko, to właśnie wtedy. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Miałem pięćdziesiąt lat. Stałem tak przez chwilę i chłonałem to wszystko. Wtedy Lem powiedział, żebym usiadł na miejscu maszynisty i wychylił się za okno. „Musiałbyś pan nałożyć czapkę i okulary, gdybyśmy rzeczywiście jechali”, powiedział mi. „Za oknem przelatywałyby rozżarzone węgle. Chyba wiesz pan, co się dzieje, jak ktoś jest na tyle głupi, żeby wystawić głowę bez osłony?” mówi. A potem nachyla się i pokazuje mi prawą stronę twarzy. Cała jest pokryta bliznami po poparzeniach, jakby w skó-

433

rze mieściły się małe kratery. „Właśnie coś takiego”, mówi. Ale śmiał się przy tym jak nie wiem co. Tylko czekałem, jak między jego zębami pojawią się węgielki. A po jego minie widziałem, że jest jednym z tych szczęśliwców, jednym z tych ludzi, którzy lubią robić to, co potrafią. To rzadko się zdarza. Coś takiego od razu widać.

Edgar pozwolił sobie ostrożnie przesunąć wzrok tak, że stary rolnik mu się pojawił na skraju obszaru widzenia. Zatopiony w myślach stał z brodą opuszczoną na piersi.

Ale powiem ci coś jeszcze, odezwał się mężczyzna po dłuższej chwili. Kiedy tam siedziałem i w padającym deszczu wychylałem się przez okno, wyobrażając sobie strumień rozgrzanych do czerwoności węgielków opływających moją twarz jak świetliki i oglądając zbliżający się wiadukt, co było moim odwiecznym marzeniem, wiesz o czym wtedy myślałem?

O gospodarstwie?

Jakbyś zgadł. Byłem tam, siedziałem w parowozie, jednym z naj-

piękniejszych urządzeń wymyślonych przez człowieka. Był wspaniały: wielki, ciężki, kojarzył mi się ze śpiącym olbrzymem. Już jak byłem małym chłopcem, zawsze wyobrażałem sobie, że prowadzenie pociągu musi być czymś najwspanialszym, zwłaszcza na otwartym wiejskim terenie, przy wyjącej szeroko otwartej przepustnicy, kiedy cały świat przecięty jest przez dwa tory, po których pędzisz w dal. Wręcz czułem to, nawet w tej zimnej, martwej lokomotywie czułem, jak to musi być. I kiedy wychyliłem się na deszcz, a mechanik opowiedział mi o latających iskrach i pokazał swoją twarz, nie mogłem pozbyć się myśli o tym całym błocie na pastwisku, w które te stuknięte cholerne krowy rano wleżą, jeśli nie trafią na pastwisko. I czy przecieka dach strychu na siano. Jeśli więc to nie jest przekleństwem, co w takim razie nim jest?

Zanim Edgar zdążył odpowiedzieć, z podjazdu dobiegł go dźwięk nadjeżdżającego samochodu Henry'ego. Edgar zdjął rękawice i wyszedł na słoneczne światło. Musiał przykleknąć przy Tinderze i objąwszy ręką szeroką pierś psa powstrzymać go, kiedy Henry wysiadał z samochodu. Wraz z Tinderem obserwowali, jak Essay i Baboo kręcą się w miejscu i podskakują.

Wieczorem Henry zaproponował przejażdżkę do miasta. Edgar odmówił. Henry już dawno się domyślił, że Edgar nie chce być widziany, i podkreślił, że po zapadnięciu ciemności mogliby pojeździć względnie bezpiecznie. Zaskoczył tym pomysłem Edgara, który tak się przyzwyczaił do wędrowania za dnia i spania w nocy, że nigdy nawet o tym nie pomyślał, nawet gdy stał nad jeziorem Scotia i patrzył na samochód. Z nastaniem zmroku ustąpił. Zapakowali psy do samochodu, brązowego sedana z przestronnym, choć śliskim siedzeniem z tyłu. Edgar posadził Tindera na podłodze z przodu. Baboo i Essay starały się utrzymać równowagę na tylnym siedzeniu.

— Kiedy ostatnio siedziałeś w samochodzie? — spytał Henry, gdy jechali po podjeździe. Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia. — Zaraz... Akiedyte psy były ostatnio w samochodzie? Czy one nie rzygają podczas jazdy?

Edgar tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Świetnie — stwierdził Henry. — W razie czego ty po nich posprzątasz. Zgoda? Bo inaczej natychmiast zawracam.

Chyba chciał jeszcze dalej narzekać, ale Baboo wychylił się do przodu i obślinił mu ucho.

— Choroba — powiedział Henry. — Nie cierpię, jak tak robią.

W rzeczywistości wcale tak nie było. Edgar wyraźnie to widział.

Każdy by to zauważył.

Po wjechaniu na asfalt skierowali się w stronę miasteczka. Światła reflektorów wychwytywały pojedyncze mlecze wysuwające łąby między szczelinami w asfalcie. Minęli przepust przy strumieniu, w którym między pałkami kołysało się odbicie księżyca.

Lute było miasteczkiem położonym na rozdrożu, z jedynym skrzyżowaniem strzeżonym przez czerwone światło sygnalizatora wiszącego jak latarnia na krzyżujących się drutach. Na wszystkich rogach stały idealnie dopasowane dwukondygnacyjne ceglane budynki, jak czterej weterani kucający nad garnkiem z fasolą. Drogeria Rexall, bar z grillem U Mike'a, sklep z artykułami żelaznymi sieci True Value oraz lokalny sklep spożywczy.

— Po piątej wszystko zamknięte na cztery spusty — rzekł Henry, pokazując ręką na budynki. — Życie towarzyskie zaczyna się o szóstej trzydzieści, kiedy Mike otwiera bar.

Tego wieczoru na życie towarzyskie składały się trzy samochody stojące na małym parkingu przed restauracją, oświetloną przez nie-

434

435

ziemski blask wiszącego nad drzwiami szyldu Pabst Blue Ribbon („Podajemy najlepsze piwo... na świecie!").

Z drugiej strony miasteczka na tle nocnego nieba wznosiło się blade wielokomorowe serce wieży ciśnień, uwiązane do ziemi przez cztery metalowe nogi i centralną łodygę rury spustowej. Gdy znaleźli się poza miastem, jechali bez celu, gdzie oczy Henry'ego niosły, a niosły na północ. Henry lubił szybką jazdę. Zaskoczył tym Edgara, ale też sprawił mu przyjemność. Już zapomniał o ciężarze przyspieszenia. Krążyli po labiryncie bocznych dróg. Essayi Baboo jeździły po śliskiej powierzchni tylnej kanapy, kiedy Henry przyspieszał na zakrętach. Za oknami migały im moczary, lasy i jeziora. Tinder wykręcał szyję, chcąc wyjrzeć za okno. Światła reflektorów zbliżały się do nich podobne kulom białych płomieni. Prędkość skondensowała zapach nocy do gęstej glonowej woni wpadającej z rykiem przez okna. Henry kręcił gałką radioodbiornika w poszukiwaniu odległych stacji — Chicago, Minneapolis, Little Rock. Sygnał trzeszczał od błyskawic bez grzmotu nad Jeziorem Górnym. Na przedmieściach Ashland, w którym groziły im miejskie światła i policyjne radiowozy, Henry zjechał na pobocze i pomknął w stronę przeciwną do miasta, tym razem wybierając zupełnie inną drogę, obok stojących daleko od drogi prostych bud. Zatrzymał się przy mokradłach świecących niesamowitym blaskiem, kiedy wyłączył reflektory samochodu. Dotarłszy do torów kolejowych, Edgar spojrzął na skarpe po prawej i zdał sobie sprawę, że zatoczyli koło. Rozsiedli się na krzesłach ogrodowych. Henry wypił jedno piwo, potem drugie i w końcu podszedł do starego wraka samochodu.

— Wyjawię ci tajemnicę — odezwał się. — Ten samochód tu stał,

kiedy się wprowadzałem. Może nawet kupiłem ten dom dla tego samochodu.

Dla Edgara było to coś zupełnie nowego. Od kilku dni przechodził koło tego auta i przez myśl mu nawet nie przemknęło, że warto obejrzeć je z bliska. Samochód pysznił się szeroką maską i reflektorami ocienionymi przesadnie wystającymi brwiami. Przedni błotnik długim łukiem opadał w kierunku tylnych kół, a równoważąca go górna linia karoserii ciągnęła się w tył na kształt płetwy ogonowej. Jednak jeśli nawet w przeszłości samochód był w jakimś stopniu elegancki, teraz nic z tego nie pozostało. Karoseria była tak mocno powgniatana, że sprawiała wrażenie, jakby ktoś w nią brutalnie uderzał łyżką do opon. W tylnej części boku nadwozia rdza wyżarła kształty głównych konty-nentów. Chrom na misternym, dwupoziomym przednim zderzaku był zmatowiały jak ruda. A poza tym oczywiście samochód nie miał kół — lewitował nad żwirem na ciemnych pustakach. W sumie auto wyglądało jak zwierzę, które niemal doczołgało się do swojego legowiska, zanim wyzionęło ducha.

— Ten samochód, który właśnie oglądasz — powiedział Henry, wykonując szeroki gest ręką, jakby zwracał się do oniemiałego z podziwu tłumy — to ford fairline skyliner z roku 1957, pierwszy wyprodukowany w Ameryce kabriolet z wysuwanyym sztywnym dachem. Ani wcześniej, ani później żaden samochód tak nie wyglądał. Nawet rocznik pięćdziesiąt osiem wygląda inaczej: bez żadnego powodu Ford sknocil ten piękny zderzak i kratownicę wlotu powietrza. To wyjątkowy okaz. - Z dumą poklepał boczne lusterko, które urwało się i spadło na ziemię. — Choroba — mruknął.

Szybko chwycił lusterko i nerwowo powcisnął z powrotem wkręty w skorodowane dziury.

— Jest trochę poobijany — stwierdził — ale tylko spójrz. — Otworzył drzwi po stronie kierowcy, pociągnął za dźwignię, a klapa bagażnika uniosła się z trzaskiem, odchylając się na zawiasach w tył, nad tylny zderzak. Henry szarpnął klapę bagażnika w górę, początkowo ostrożnie, a potem mocniej, stękając i rozpaczliwie zapierając się stopami o żwir. Obszedł samochód, odpinając po drodze zatrzaski dachu. Metalowy dach oddzielił się od karoserii, zwinął do połowy w bagażniku i /akii nował. — To miało działać na prąd — rzucił Henry przez ramię; ale nie mam akumulatora.

Sięgnął na tylne siedzenie, wyciągnął młotek i bezlitośnie zaczął walić w zawias. Dach opadł w głąb bagażnika, wydając na koniec przeraźliwy metaliczny pisk, który na moment uciszył nocne ptaki. Henry zatrzaskał bagażnik i odwrócił się do Edgara, triumfujący, choć zaspany.

— Widzisz teraz, że nie mogę tak po prostu sprzedać tego samochodu. W nim tkwi jeszcze wielki potencjał. Zeszłego lata jeden facet chciał go kupić na części, ale nie mogłem pozwolić, żeby został rozebrany. Tłumaczyłem to Belvie, tyle że nie zrobiło to na niej żadnego wra-

436

437
żenią. Stwierdziła, że to szkaradzieństwo, i muszę przyznać, że obecnie tak rzeczywiście wygląda. Czy zwyczajne?... Chyba nie można tak powiedzieć.

Henry rozgadał się na temat skylinera, lecz w pewnym momencie urwał i pokręcił głową, żeby przestać o tym myśleć.

— Kogo ja chcę oszukać? — powiedział.

Nie, pokazał na migi Edgar. Ma pan rację. To nie jest zwyczajne.

Henry przyjrzał mu się badawczo, starając się uchwycić znacze-

nie tego znaku.

— Tak sądzisz?

Edgar skinął głową.

— Sam już nie wiem — stwierdził. — Zapominam się, kiedy tracę czujność. Od razu zsuwam się w zwyczajność i nawet tego nie zauważam.

Podszedł do krzeseł ogrodowych i razem z Edgarem podziwiali skylinera.

— O mało nie zawiozłem cię dzisiaj na policję, Nat — powiedział.

— Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Edgar pokręcił głową i uśmiechnął się. Nie wierzę.

— Ależ tak. Przez chwilę myślałem: „Wystarczy skręcić na następnym stopie w lewo i zajedziemy pod komisariat policji w Ashland”.

Ale szopa nie jest skończona.

— Tak, szopa cię uratowała — przyznał Henry. — Tym razem. Mogę ci poradzić, żebyś się zastanowił, jak to wszystko przedłużyć.

Możliwości Henry'ego w zakresie czytania znaków już się wyczerpały, więc Edgar sięgnął po gazetę.

Nie mógłby pan zmusić nas do wejścia, napisał. Ucieklibyśmy.

— A jak byś biegi z Tinderem?

Edgar nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. Nie wsiadłby do samochodu z Henrym, gdyby mu nie ufał. Czasami Edgar lepiej rozumiał Henry'ego niż on sam. Bo Henry, zwyczajny czy nie, nie potrafił dostrzec, że jest człowiekiem godnym zaufania. To akurat było jasne jak słońce. W niedzielę pracowali w szopie ramię przy ramieniu, chwytając się za rzeczy, które trzeba było ruszać we dwójkę, jak pralka z wyżymaczka i stary piec. Henry podłączył wąż do kranu przed domem i rozniecił ogień w wypalonej beczce. Podsykali go starymi gazetami, szarymi

popękanyimi palikami ogrodzeniowymi z poprzecznie do nich umocowanymi kawałkami drutu kolczastego, które w ogniu jarzyły się czerwono, i rozwalonymi drewnianymi krzesłami. Henry rozrąbał siekierą na dwie części dyszel wozu i wsadził do beczki pionowo obie połówki z całym przyczepionym do tego żelastwem. W powietrze wzbiła się przypominająca pomarańczowy ropień kula żaru. Gdy ogień w końcu przygasł, zrobiło się już późno. Usiedli na ganku, zajadając czipsy i patrzając w smętne resztki.

— Wiem, skąd mógłbym załatwić przyczepę, którą mógłbym to wszystko wywieźć — odezwał się Henry. — Może uda mi się to zorganizować na przyszły weekend.

W pańskim samochodzie nie ma haka, napisał Edgar na gazecie. Zanim podał Henry'emu gazetę, wpisał hasło do krzyżówki; czternaście pionowo: dziesięcioliterowe słowo oznaczające „krótki utwór łączący główne części kompozycji”. Drugą literą było N i słowo kończyło się na O.

Henry zerknął na wpisane przez Edgara hasło: „intermezzo”, po czym spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

— Nie myślałeś kiedyś, żeby wziąć udział w jakimś konkursie?

Edgar pokręcił przecząco głową.

— Powinieneś. A hak można wypożyczyć.

Tinder przykuśtykał do nich. Henry łatwo dawał się naciągnąć na smakołyki i gdy tylko Tinder zajął się czipssem, Baboo zaczął się mizdrzyć do Henry'ego. W końcu Edgar musiał powstrzymać oba psy. Między Henrym, Baboo i Tinderem zawiązała się nić sympatii. Jedyne Essay zachowywała dystans. Nie zwracała specjalnej uwagi na Henry'ego, po prostu taka już była. W przypadku Essay, bardziej niż innych znanych Edgarowi psów, na zaufanie trzeba było sobie zapracować.

W tym tygodniu zdzierał ze ścian szopy płaty starej farby i zatykał dziury. Henry kupił farbę w odcieniu „czerwona obora” do pomalowania szopy od zewnątrz. W środku mieli ją pobielić. Praca przy bieleniu ścian przebiegała w samotności — stary rolnik przestał się ukazywać, gdy tylko ostatni rupieć zniknął z wnętrza szopy. Dnie były upalne, a na niebie piętrzyły się monumentalne chmury. Każdego dnia późnym popołu-

439
dnem Henry skręcał swoim sedanem na drogę dojazdową. Po wyjściu z samochodu kuczał, pozwalając psom, by wylizały mu twarz, a później kontrolował postęp prac Edgara.

— Bardzo ładny kolor — powiedział, gdy Edgar skończył malowanie szopy z zewnątrz. — Choć przy stodole teraz dom wygląda nędznie. Wieczorami wybierali się na szalone przejażdżki, podczas których Henry z błyskiem w oku przyspieszał, wchodząc w zakręty, za oknami migwały pnie drzew, a psy ślizgały się po siedzeniu raz w jedną, raz w drugą stronę. Po powrocie Henry sięgał po piwo i sunął w stronę skylinera. Często na koniec siadał za kierownicą. Kulejący Tinder podchodził do auta i wdrapywał się na fotel obok Henry'ego.

I w którymś momencie, gdzieś między krzyżówkami, płytami z wypożyczalni i piwem, Henry poprosił Edgara, żeby nauczył go czegoś o psach. Wyszli po kolacji na dwór i Edgar pokazał mu kilka komend. Następnie wraz z Essay zademonstrowali proste ćwiczenie: kierowany aport. Edgar położył na ziemi dwa patyki i polecił Essay do nich podejść. Zadanie było pewną odmianą ćwiczeń patrzenia i wszystkie psy znały jego zasady. Kiedy Essay dotarła do celu, odwróciła się i popatrzyła na Edgara. Spojrzał na patyk po lewej, a ona natychmiast go porwała i przyniosła, wymachując ogonem. Edgar wziął patyk i przeciągnął dłonią po policzku Essay. Po kolejnym pokazie, tym razem z udziałem Baboo, przyszła kolej

na Henry'ego. Zdecydował się ćwiczyć z Tinderem, co było rozsądnym wyborem. Odniesiona rana i przymusowa rekonwalescencja nauczyły go większej cierpliwości, bardzo potrzebnej w tym momencie, ponieważ Henry początkowo był wręcz beznadziejny. Mimo to pies nie poddawał się, jakby postanowił osobiście zająć się Henrym. Momentami Tinder nawet zapominał o chorej łapie i przez kilka kroków nie utykał.

Początkowo komendy Henry'ego były mało precyzyjne, trudno by powiedzieć, czy ruch miał oznaczać przywołanie, pozwolenie na wstanie czy polecenie odejścia, jednak Tinder zrozumiał, o co mu chodzi, i podszedł do patyków. Do następnego etapu nie trzeba było żadnych specjalnych umiejętności, ale Henry'emu i tak udało się zdezorientować psa, który cierpliwie stał, nie wybierając żadnego z patyków. W tym momencie, z niewiadomych przyczyn, Henry ponownie pokazał psu, że może wstać. Uszy Tindera oklapły. Henry ruszył do przodu. Już miał w rozpaczy sam podnieść patyk i włożyć do pyska Tinderowi, kiedy

440

wkroczył Edgar, poprawnie wydając polecenie i patrząc na patyk po prawej. Tinder momentalnie chwycił go z ziemi.

Edgar stanowczym gestem pokazał Henry'emu dwa rozchylone palce.

Proszę patrzeć na wybrany cel. One potrafią rozróżnić.

— Dobra, dobra. — Henry wziął patyk od Tindera, zapominając podziękować psu, i położył na ziemi. Edgar machnął ręką na to naruszenie etykiety i wrócili na miejsce. Ale kiedy Henry zamiast komendy „naprzód” zaczął pokazywać psu, że może wstać, Edgar chwycił jego ręce i poruszał nimi, aż Henry'emu udało się poprawnie wykonać znak. Henry zaczerwienił się, jednak następnym razem doskonale pokazał komendę. Tinder bez wahania pokonał trawnik w kilku susach, popatrzył

na Henrygo i podał mu wybrany patyk.

I w tym właśnie momencie Henry to pojął — cokolwiek by „to” znaczyło — tę różnicę między wydawaniem poleceń Tinderowi a współpracowaniem z nim. Kiedy wydawał polecenie „naprzód”, już nie patrzył w swoje dłonie, tylko na Tindera; kiedy Tinder bacznie mu się przyglądał, wierzył, że pies czyta w jego twarzy. A potem zaczęła się lawina objawień podobna tej, którą kiedyś doświadczył sam Edgara. Widać to było po wyrazie twarzy Henry'ego. Edgar pomyślał o tych wszystkich listach wymienianych między jego dziadkiem i Brooksem, o niekończącej się dyskusji na temat towarzystwa i pracy psów, o tym, jak dziadek argumentował, że nigdy nie było żadnej różnicy, a poirytowany Brooks zrezygnował z dalszej dyskusji. Pomyślał też o tamtym pytaniu, które matka zadała mu milion lat temu: co sprzedawali, jeśli nie psy?

I oto przed nim stał rozpromieniony Henry Lamb. Do tej chwili Edgar nigdy nie widział, żeby na twarzy tego człowieka pojawił się uśmiech wolny od jakiegó fatalistycznej rezerwy mówiącej, że to on w końcu wyjdzie na głupca. I chociaż Edgar nadal nie potrafiłby wyrazić tego słowami, po raz pierwszy miał pewność, że zna odpowiedź na pytanie matki.

— A w ogóle to dokąd zmierzałeś? — zapytał Henry. Siedzieli przy kuchennym stole jeszcze tego samego wieczoru. — Nie chcę być wścibski. Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj.

Nie ma sprawy, odparł na migi Edgar. Napisał na kartce: „Osa-
da Gwiazdnych Dzieci” i podał ją Henry'emu. Co ciekawe, zanim

441

jeszcze słowa pojawiły się na papierze, sam nie był pewien, co ma odpowiedzieć — a na pewno nie wiedział, że wyrazi to w tak zdecydowany sposób. Ale przecież od początku kierował się na północ, czyż nie? Chciał minąć koniuszek Jeziora Górnego, a potem ruszyć

wzdłuż brzegu, żeby przekraść się na kanadyjską stronę. A potem znaleźć to miejsce, choć sam nie wiedział jak. Taki był pierwotny plan. Alexandra Honeywell mówiła, że potrzebują ludzi, którzy są skłonni ciężko pracować. A on był skłonny ciężko pracować. I dlatego podążał tam z psami.

Henry aż gwizdnął.

— To miejsce, o którym mówili w wiadomościach... ta Alexandra... jak jej tam?... koło Thunder Bay?

Edgar skinął głową.

— Znasz tam kogoś?

Nie.

— Ktoś wie, że masz tam być?

Nie.

Henry pokręcił głową.

— Przecież to kilkaset mil. I co, zamierzałeś całą drogę przebyć na piechotę?

Edgar wzruszył ramionami.

— Znając ciebie, pewnie dałbyś sobie radę. Tylko nie wiem, do czego człowiek może się posunąć, żeby zdobyć jedzenie.

Edgar przestawiał nerwowo nogi na wspomnienie splądrowania kuchni Henry'ego.

— A Tinder poradzi sobie na tej swojej łapie?

To było dobre pytanie. Z łapy Tindera zniknęły już bandaże, ale rano pies zawsze utykał. Edgar sam nie wiedział, kiedy i czy w ogóle Tinder będzie gotowy do drogi.

Wzruszył tylko ramionami. Trudno powiedzieć, trzeba spróbować.

W piątek Henry przyjechał z przyczepą zamocowaną do sedana. Wysiadł, przykucnął i uśmiechając się do Edgara, czekał, aż psy skończą go witać.

Wskazał na przyczepę, na której leżały cztery napompowane koła.

— Założyłem opony po bieżnikowaniu na felgi skylinera. Jutro mój piękny ruszy się z miejsca po raz pierwszy od... no, od piętnastu lat. —

442

Z fotela pasażera wyjął torbę z zakupami. — Kurczak z różną i sałatka ziemniaczana — powiedział. — To zwyczajne czy nie?

Zwyczajne, odparł na migi Edgar. Ale dobre.

Rozpalili grilla, położyli na nim kurczaka i usiedli na krzeselkach ogrodowych, obserwując stos śmieci.

— Już prawie przyzwyczałem się do tego widoku — odezwał się Henry. — A wstawienie skylinera do szopy to coś zwyczajnego czy nie?

To niezwyczajne, pokazał Edgar.

— Tylko sprawdzałem — rzucił Henry. Próbował rozwiązać krzyżówkę.

— „Producent monet” na siedem liter. Zaczyna się na R.

Edgar spojrział na niego.

Nie wiem.

— Mam cię! — wykrzyknął. — Tylko żartowałem. Zaczyna się na M. — Podał Edgarowi gazetę.

Mincerz, napisał Edgar i oddał mu gazetę.

— Jezu — westchnął Henry. — To już zaczyna być przerażające.

Nazajutrz podnieśli skylinera na lewarku, zamontowali koła i odrzucili na bok pustaki.

— O rany! — westchnął Henry. — Zaraz! Zaczekaj no, chwila. — Pobiegł do stodoły, wrócił z młotkiem i złożył dach samochodu do bagażnika. Kiedy skończył, nakłonili wszystkie trzy psy, by weszły na przednie siedzenia. Ponad pół godziny męczyli się, przepychając auto do przodu

i do tyłu, żeby stanęło równo przed szopą. Psy już dawno opuściły pokład, choć Henry za nimi wołał:

— Wracajcie! To prawdziwy zaszczyt!

W końcu wtoczyli auto do szopy. Henry biegał przed maską samochodu, żeby nie uderzył w ścianę, ponieważ hamulce nie działały. — Ostrożnie! — mówił. — Jeszcze... troszkę... więcej... — I nareszcie skyliner znalazł się w środku. Zamknęli drzwi, obecnie już jasnoczerwone, i Henry włożył gwóźdź w skobel.

Wziął sobie piwo i zaczął spacerować między stosami leżących na podwórzu rupieci, drapiąc się po głowie. Popatrzył na lustro i na słupki.

443

— Choroba, to skandal — powiedział. Patrząc na rozbitą porcelanową umywalkę, aż jęknął. — Jejku. Wyobraź tylko sobie, co się z tym stało.

Podszedł do ganku i usiadł.

— Nie mogę tego zrobić — stwierdził.

Czego?

— Wywieźć tego. To wszystko było tu na długo przede mną. —

Pociągnął duży łyk piwa i uniósł butelkę do światła. — Jeśli poznoszę wszystko z powrotem, to będzie coś zwyczajnego czy nie?

Edgar spojrział na niego.

Nie wiem.

Henry już postanowił.

Pracowali jak szaleni. Nie wszystko udało im się zmieścić, ale powiesili na ścianach kołpaki i stare narzędzia. Między krokwiami znaleźli miejsce na warte zachowania kawałki sklejki. Edgar umieścił u góry starą rozbitą umywalkę oraz sekator, wstawili do kąta dwa słupki. Kie-

dy skończyli, frontowa ściana szopy ozdobiona była lustrem, w którym odbijał się szeroki przedni zderzak skylinera, a dwa koła z wozu stały wsparte na zewnątrz jak wieńce z szarego drewna. Szopa była zapchana.

Nadal można było wytoczyć skylinera, choć byłoby bardzo ciasno.

— Doskonale — stwierdził Henry, cofając się, żeby obejrzeć efekty ich pracy. — Teraz jest dobrze.

Rzeczywiście jest dobrze, pomyślał Edgar. Obserwował psy obwąchujące koła z wozu, podczas gdy Henry wycofywał przyczepą na zwirowanej powierzchni. Wtaszczyli na platformę stary piec, skrzynię biegów i pralkę z wyżymaczką.

— Może byśmy tak uczcili to małą przejażdżką? — zaproponował Henry.

Edgar pokręcił głową. Nie za dnia.

— Och, daj spokój. Więcej optymizmu. Nic się nie stanie.

I może to, że właśnie Henry Lamb radził mu, by spojrzeć na świat optymistycznie, spowodowało, że propozycja wydała się rozsądna.

Dobra, pokazał na migi. Niech będzie.

Odpięli przyczepę, wpakowali się do auta i pomknęli przez fale wznoszącego się z asfaltu gorącego powietrza. Henry śmiało przewiózł ich przez samo centrum Ashland, a Edgar poczuł się jeśli nie zupełnie beztrosko, to przynajmniej zdecydowanie radośniej niż w ostatnim czasie. Właśnie zmierzali na autostradę, kiedy światła na przejeździe kolejowym zaczęły mrugać i opuściło się cienkie ramię pasiastego szlabanu. Henry zatrzymał auto, a Edgar poczuł przyływ adrenaliny. Zsunął się na fotelu, żeby nie można było dostrzec go ze stojących obok samochodów. Chyba jestem dostatecznie bezpieczny, pomyślał. Widok mężczyzny z trzema psami w samochodzie nie był rzadkością. Przed nimi przetaczał się pociąg. Światelka na przejeździe migotały i słychać było

dźwięk dzwonka. Edgar uniósł głowę, chcąc sprawdzić, czy już widać wagon służbowy, po czym odważył się rozejrzeć dookoła.

W samochodzie obok siedziała samotna kobieta.

Edgar stuknął Henry'ego w ramię i pokazał.

— Jasna cholera — odezwał się Henry. — To Belva! Zachowuj się naturalnie.

Edgar nie za bardzo wiedział, co Henry miał na myśli. Zachowywał się przecież naturalnie. Psy także zachowywały się naturalnie. Natomiast Henry z miejsca przestał się zachowywać naturalnie. Usiadł prosto, jakby kij połknął, i zaczął pogwizdywać nerwowo fiu-fni-fiu, jednocześnie bębniąc palcami po kierownicy, jakby w radiu nadawano jakąś rytmiczną balladę rockową, a nie prognozę pogody, co właśnie miało miejsce — dzisiaj czekają nas niewielkie zachmurzenia, monotonnym głosem zapowiadał spiker, a jutro możliwe gwałtowne burze. Pogoda na żniwa, pomyślał Edgar.

Kobieta musiała spojrzeć w ich stronę i zauważyć Henry'ego, bo gdy Edgar uniósł głowę, również ona siedziała prosto, patrząc uważnie przed siebie. Pociąg toczył się po torach, wagon za wagonem. Było dość czasu, żeby przeczytać litery i cyfry na ich bokach. W końcu kobieta nachyliła się i opuściwszy szybę po stronie pasażera, krzyknęła: — Henry!

Henry odwrócił się i spojrzał na nią, nie przerywając pogwizdywania. Fiu-fiu-fiu.

— Cześć, Belva! — odkrzyknął.

— Chciałam do ciebie zadzwonić!

— Naprawdę? — Henry popatrzył na Edgara i puścił do niego oko.

— Pewnie widziałaś słoneczniki.

— Co takiego?

— Słoneczniki! Podejrzewam, że widziałaś słoneczniki!

— Jakie słoneczniki?

— Ach, mniejsza o to!

— Przeprowadzam się — krzyknęła.

-Co?

— Przeprowadzam. Przeprowadzam się do Madison.

— Dlaczego?

— Skąd masz te wszystkie psy? — krzyknęła, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

— Och, sam nie wiem — odparł Henry nieprzekonująco. Uderzył pięścią w kierownicę i zerknął na Edgara skulonego pod oknem.

Zwyczajne, pokazał mu na migi Edgar.

— Jasne — mruknął Henry. Odwrócił się znowu w stronę Belyy. —

Właśnie postanowiłem sprawić sobie psa. A w zasadzie trzy psy.

— No! No! — odrzekła. — Bardzo ładne.

Bardzo zwyczajne, pokazał mu Edgar, przewracając oczami.

— Prawdę mówiąc, zawdzięczam je mojemu bratu — poprawił się.

— Ja tylko się nimi opiekuję.

Roześmiała się.

— Przecież nie masz brata, Henry. Jesteś jedynakiem.

Przez moment wyglądał na zaskoczonego.

— Proszę?... Nie, nie, nie bratu. Nathoo. Należą do mojego znajomego Nathoo. Nathoo, przywitaj się. — Gestem próbował skłonić Edgara, by podniósł się z podłogi.

Edgar pokręcił głową.

— No chodź — syknął Henry. — Pomóż mi.

Nie.

— Z kim rozmawiasz? — krzyknęła Belva.

— Z nikim... mówię do psów — odparł. — Dlaczego przenosisz się

do Madison?

Nastąpiła długa chwila ciszy, w której Edgar słyszał skrzypienie połączeń między wagonami pociągu, szcęk szlabanu, a nawet, choć słabo, radioodbiorniki grające w samochodach w pobliżu. Psy wyglądały przez okno i dyszały uszczęśliwione. Zwłaszcza Baboo wydawał się zainteresowany Belwą. Wcisnął łeb przez okno po stronie kierowcy, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

— Wiesz — w końcu krzyknęła — to z powodu Joego.

— Joego?

— Mojego narzeczonego.

— Ach... — odrzekł Henry. — Aha. Och.

— Chyba wiedziałeś, że się zaręczyłam, prawda?

— Tak, oczywiście!

— Pisali o tym w gazecie!

— Jasne, czytałem! — potwierdził. — To z pewnością straszny palant.

— Proszę?

— Powiedziałem, że wyjazd do Madison to dobry plan.

— Henry, co się dzieje? Kto jest z tobą w samochodzie?

Henry spojrzał na Edgara. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

— No chodź — syknął. — Tylko ten raz.

Po torach toczył się już wagon służbowy i Edgar pomyślał, że być może mógłby zaryzykować — szlaban zaczął się unosić i zaraz mieli ruszyć. Przecież to głupie tak się chować pod deską rozdzielczą.

Usiadł na fotelu.

Pomachał do Belvy.

W tym samym momencie spojrzał przez tylne okno sedana Henry'ego i zauważył radiowóz policji stanowej.

Glen Papineau

Glen Papineau uważał, że jest pogrążony w żałobie. Już wcześniej używał tego słowa i nawet sądził, że rozumie jego znaczenie, jednak tak naprawdę nic o tym nie wiedział. Po pierwsze, żałoba brzmiała jakoś oficjalnie, była jak etap, przez który człowiek musi przejść — ubrany w czarny garnitur i uczestnicząc w pogrzebie — ale rzeczywista żałoba nie kończyła się nazajutrz po pogrzebie ani też tydzień czy nawet miesiąc później. Tatko zmarł prawie dwa miesiące temu, a czasami Glen miał wrażenie, że właśnie przed chwilą do niego zadzwoniono.

W myślach nazywał je uczuciami dziennymi i nocnymi. Dienne uczucia nawiedzały go zazwyczaj przed porą lunchu, jak gorący koc bezwładu tak przytłaczającego, że pulsowało mu od tego w skroniach. Przedzierał się przez zajęcia w pracy, jakby zmagając się z mocnym wiatrem. Każda czynność zajmowała mu wieczność, stając się żmudnym drobiazgiem. A Glen nie cierpiał drobiazgów. Był stworzony do szerokich gestów — wystarczyło spojrzeć na jego dłonie. Człowiek z takimi rękami jak Glen mógł robić określone rzeczy, a inne były po prostu niemożliwe. Nigdy nie mógłby zostać na przykład pianistą czy weterynarzem. I bynajmniej nie dlatego, że on tak chciał, po prostu ostatnio często przyglądał się swoim dłoniom, a one same mówiły, że nie nadają się do drobiazgów.

Dienne uczucia były złe, co do tego nie było wątpliwości, ale nocne były wręcz zabójcze — ponurym młotem waliły w jego duszę, jakby ktoś obcy szeptał mu na ucho straszliwą tajemnicę, a tą tajemnicą była bezsensowność i nieuchronność śmierci. Ta wiedza nie dawała mu spać. Siedział i oglądał telewizję, a gdy miał już dość samotności, wychodził do knajpy — i chociaż publiczne picie nie było najrozsądniejszym roz-

wiązaniem dla lokalnego stróża prawa, ludzie to rozumieli. Niektórzy nawet stawiali mu piwo i opowiadali o jego tatku.

Bywały chwile, kiedy potrafił się z tym pogodzić. W końcu tatko miał już swoje lata, a Glen niejednokrotnie rozmyślał o tym, że kiedyś umrze, chociaż wyobrażał sobie raczej jakiś długotrwały i powolny proces — zmagania z nowotworem, jakieś nieokreślone pogorszenie stanu zdrowia. Zupełnie się nie spodziewał, że nadejście śmierci może być tak raptowne. Jednego dnia był tryskającym energią sześćdziesięciosiedmiolatkiem, prowadzącym gabinet, flirtującym z kobietami z ciastkarni, paplającym o swoich wakacjach na Florydzie wszystkim, którzy chcieli tego słuchać, a następnego leżał pod schodami stodoły Sawtelle'ów.

Glen, jako jedynak, był odpowiedzialny za przygotowanie pogrzebu. W szczegółowym testamencie znajdowała się informacja, że ojciec ma zostać pochowany w Park City obok matki Glena. Glen udał się do lecznicy, jak ojciec nazywał swój gabinet weterynaryjny, i spakował do pudeł zawartość ojcowskiego biurka, jego książki oraz wiszące na hakach kurtki. Jeannie obdzwoniła wszystkich klientów ojca i skierowała ich do doktora Howe'a w Ashland. W testamencie określono, że należy się skontaktować ze szkołą weterynaryjną w Madison w celu sprzedaży praktyki in toto, a nie wyprzedaży na aukcji, ale najwidoczniej nikt się nie palił do objęcia praktyki na głębokiej prowincji, Glen nie doczekał się bowiem telefonu w tej sprawie. W gabinecie panowała ciemność i cisza, pomieszczenie apteczne było zamknięte, a wszystko przykryte plastikową folią jak w kostnicy. Cała lecznica sprawia wrażenie, jakby tylko czekała na włamanie, pomyślał Glen; ktoś zdążył już nawet rzucić kamieniem w jedno z okien na tyłach domu, lecz nic nie zniknęło.

Były więc dzienne uczucia i nocne uczucia - wszystkie były złe, a on pił trochę więcej niż uprzednio. Dopóki nie zadzwonił Claude i nie po-

prosił o rozmowę, Glenowi wydawało się, że chociaż nie jest świetnie, jakoś sobie z tym radzi. Glen zaproponował, że przyjedzie do Sawtelle'ów, jednak Claude wolał się spotkać w Kotle, knajpie na południe od miasteczka. Kiedy Glen wszedł do środka, w telewizji pokazywali mecz drużyny Brewers. Z końca baru powitał go Claude. Barman Adam nalał mu piwo leinenkugel i Glen zajął miejsce obok Claude'a.

Oglądali mecz i rozmawiali o tatku, o tym, jak Claude pamiętał go z czasów dzieciństwa, kiedy weterynarz przyjeżdżał do ich psiarni.

449

Claude mówił o tatku same miłe rzeczy. Powiedział, że pominąwszy Glena, on najprawdopodobniej był dla tatki najbliższą osobą, prawie jak rodzina. Mówił, że uważał ojca Glena za wujka, co miało duże znaczenie, bo rodzina Sawtelle'ów była niewielka.

Dopiero dużo później wyjaśniła się przyczyna telefonu Claude'a.

Doktor Howe jest człowiekiem niekompetentnym, stwierdził Claude. Dopóki nie znajdą innego weterynarza, Claude sam zamierzał się zająć codzienną opieką medyczną — odrobaczaniem szczeniaków, leczeniem zapalenia sutka i tak dalej. W marynarce był sanitariuszem i wiedział, jak korzystać z leków. Glen zdawał sobie sprawę z tego, że ojciec zawarł z rodziną Sawtelle'ów jakąś umowę związaną z lekarstwami, bowiem mało praktycznie było gonić tam pięć razy na tydzień tylko po to, żeby przepisać penicylinę. Dlatego też ustawili w swojej stodole apteczkę na leki, które tatko zazwyczaj trzymał zamknięte w swoim gabinecie. I Claude zastanawiał się teraz, czy Glen byłby skłonny sprzedać część medykamentów z apteki ojca, zważywszy na to, że na razie nikt nie stara się przejąć gabinetu.

Byli już po czterech czy pięciu piwach, co na męczyzną postury Glena nie było przesadną ilością, ale przed przyjazdem zdążył jeszcze

wypić kilka w domu. Patrzyli, jak drużyna Brewers oddaje kolejny punkt. W ramach usług dla klientów baru Adam zaklął w stronę telewizora.

— Wiesz, o czym myślę, kiedy wspominam twojego tatę? — zapytał Claude. — O masakrze kaczek na asfalcie.

Glen zachichotał.

— Tak. Ten pierwszy deszcz... Pamiętasz jak te wszystkie kaczki kwakały wokół gabinetu?

Kiedy Glen miał osiem lat, władze stanowe postanowiły położyć nową nawierzchnię na Main Street i ustawić tam latarnie, wprowadzając pierwszą znaczącą modernizację, jaką Mellen widziało od objęcia urzędu przez Trumana, po długich latach popadania w zapomnienie od czasów rozkwitu gospodarki drzewnej. Ulice były w tak beznadziejnym stanie, że miejscowe dzieciaki urządzały rowerowe zawody na ulicy, starając się ominąć wszystkie łaty na dziurach. A zadanie było trudne. W niektórych miejscach wręcz niemożliwe.

Jednak zamiast kamienistego asfaltu ze żwiru i smoły, jaki kiedyś pokrywał ulicę, stanowa ekipa zastosowała nowy materiał, który spływał jak czarny dymiący klej i zastygał w gładką jak budyń nawierzchnię. Nazywało się to „mieszanka mineralno-asfaltowa” i wylewane było gorące z wielkiego pieca na kołach. Piec z mieszanką wypluwał w niebo smród przez trzy tygodnie, bo tyle trwała wymiana nawierzchni ulicy, ale warto było zapłacić tę cenę, Main Street w Mellen bowiem, wcześniej poprzecinana bliznami, uzyskała nieskazitelnie gładką czarną jezdnię.

Wszystko było klawo, dopóki nie spadł pierwszy deszcz. Pewnej nocy nad miasteczko przyleciało kilka kaczek, szukając miejsca do wodowania na Bad River. W świetle nowych latarni, które odbijało się od mokrego od deszczu asfaltu, jezdnia Main Street musiała przypominać spokojny, obfitujący w ryby strumień, bardziej zachęcający niż sama Bad

River. Dwie pierwsze kaczki podeszły do wodowania, kwacząc przy tym jak oszalale, i uderzyły w ziemię, na miejscu łamiąc sobie karki. Zaraz po nich znad drzew nadleciało główne stado, w swoich malutkich ptasich mózdkach nie potrafiąc wykoncypować, dlaczego ich pobratymcy tak dziwnie wyglądają na wodzie. Od tamtego czasu to wydarzenie znane było jako „masakra kaczek na asfalcie”.

Niektóre kaczki miały więcej szczęścia i tylko wywinęły kozła, zdeorientowane potrząsnęły dziobami i odleciały, trzepocząc skrzydłami, ale z pół tuzina pechowców skończyło na talerzach co bardziej lepszych obserwatorów. Pozostałe odniosły przeróżne kontuzje. Ludzie wybiegli z restauracji. Zaczęło się osobliwe zbieranie rannych i poszkodowanych. Ludzie wkładali okulałe, ogłuszone kaczki do pudeł, łapali je w koce albo nawet zaganiali do samochodów. Pod gabinet ojca Glena zajechała cała procesja.

— Tak się przyzwyczyły, że potem wszędzie chodziły za tatkiem

— powiedział Glen.

Claude nie pamiętał wszystkich szczegółów, ale gdy tak sobie popijali i rozmawiali, najpierw tylko się uśmiechał, a potem już głośno się śmiał, słuchając wspomnień Glena.

— Tak. Najlepiej pamiętam, jak posadził je w recepcji — opowiadał Claude — i rozmawiał z ludźmi, jakby nie było tam żadnych ptaków. „Jaka kaczka?” mówił. Pokładałem się ze śmiechu na ten widok.

Glen też to pamiętał. To było wtedy, gdy Claude pracował dorywczo w gabinecie. Pamiętał, że wówczas uważał Claude'a za kogoś wybitnego — dla Glena był nawet kimś w rodzaju bohatera. Był wysportowany

450

451

(nawet teraz nieźle wyglądał jak na — ile? — czterdziestkę?). I było coś

jeszcze: Claude zawsze miał dziewczynę, a Glen, już mając osiem lat, podejrzewał, że będzie miał z tym trudności.

— Mówiłem ci, co zrobił kiedyś w restauracji? — spytał Glen.

— Co takiego?

— Pewnego razu, gdy już pozdejmował im łubki i wiedział, że te kaczki wszystko dla niego zrobią, wsadził jedną w starą torbę lekarską, zamknął ją i poszliśmy do restauracji na obiad. Postawił torbę na siedzeniu w boksie i spokojnie czekał. Kaczka siedziała cicho jak mysz pod miotłą. Tato złożył zamówienie pierwszy, a kiedy kelnerka spisywała moje zamówienie, sięgnął do torby, otworzył ją, a ze środka wyskoczyła kaczka główka.

— Nie?!... — zareagował śmiechem Claude.

— Kiedy ja już zamówiłem, powiedział: „A od niej nie przyjmie pani zamówienia?”, na co kelnerka spojrzała na kaczkę i aż krzyknęła.

— No nie!...

— Tak! Upuściła bloczek z zamówieniami i wszystko, co miała w rękach. A wiesz, co zrobiła kaczka?

-Co?

— Wyskoczyła z torby i goniła za nią aż do kuchni, z kwakaniem deptając jej po piętach. A kobieta przez cały czas wrzeszczała.

Claude aż się trząsnął ze śmiechu i przytrzymał baru, żeby nie spaść z taboretu.

— Tato krzyknął za nią, że znajoma prosi o stynkę.

— O Boże!...

— Powiedział jeszcze, że nie może włożyć kaczki z powrotem do torby, dopóki ptak się nie naje, bo przecież nawet kaczki mają prawo do porządnego obiadu. Zwłaszcza w Mellen.

— Przestań — błagał Claude. — Proszę. Przestań już. — Po policz-

kach spływały mu Izy.

Glenowi podobało się, że potrafi do tego stopnia rozśmieszyć Claude'a. Niezupełnie zdawał sobie sprawę, jak bardzo zabawna okazała się ta historyjka, ale Claude'a ogarnęła taka wesołość, że również Glen nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. W końcu Claude otarł oczy, zamówił następną kolejkę i stuknęli się szklankami.

— Za Page'a.

— Za tatkę.

— I co się stało z tymi kaczkami?

— Nie pamiętam — wyznał Glen. — Już nigdy nie mogły latać. Wydaje mi się, że tatko oddał je jakiemuś rolnikowi koło Prentice.

Jeszcze przez jakiś czas obserwowali mecz, po czym Glen kupił sześć butelek piwa na wynos i skierowali się do gabinetu. Claude pojechał za Glenem swoim samochodem. Glen podszedł do ciemnych bocznych drzwi, wyjął cały pęk kluczy i po pijaku próbował je jeden po drugim. Po wejściu do środka pstryknął przełącznik i nad głową nieziemsko zamigotał rząd świetlówek. Pomieszczenie apteczne było po prostu schludnie zorganizowanym schowkiem za gabinetem tatki. Glen przekręcił klucz, szeroko otworzył drzwi i cofnął się.

— Czego szukasz?

Claude wszedł do środka i starannie przejrzał półki z buteleczkami i fiolkami, dwa czy trzy razy zatrzymując się, żeby bliżej przyjrzeć się etykietom, bardziej jakby oglądał wystawę, niż szukał penicyliny. Gdy zakończył szczegółowy przegląd zawartości apteki, wyjął trzy pojemniki z regału.

— To — stwierdził, podając jeden Glenowi. — Ten. I ten. — Wyszedł, pozwalając Glenowi zamknąć drzwi. — Jeśli wiesz, gdzie są paragony, mogę je wypisać — powiedział.

— Weź to. Taniej będzie, jak sobie weźmiesz, niż gdybym miał się spowiadać prawnikowi.

— W takim razie dziękuję — odparł Claude. — Może będę mógł się jakoś odwdzięczyć.

— Nie ma sprawy — rzeki Glen, machając wielką dłonią. — Daj spokój.

Zamknęli lecznicę i podeszli do samochodów. Glen sięgnął na tylne siedzenie, wyjął dwa piwa i stanęli, patrząc w nocne niebo. Po chwili cisza stała się niezręczna. Glen zdawał sobie sprawę, że Claude'owi chodziło o coś więcej niż o lekarstwa. Przez ostatnie dwa miesiące Glen był w dość częstym kontakcie z Claude'em i Trudi. W noc śmierci Page'a Edgar uciekł z kilkoma psami z domu. Dla takiego dzieciaka widok dwóch mężczyzn umierających w tym samym pomieszczeniu to było zdecydowanie za dużo. Początkowo myśleli, że ukrywa się w lesie. Później, że zostanie złapany podczas podróży autostopem. Tak najczę-

452

453

ściej kończyli mali uciekinierzy. Codziennie rano policja drogowa publikowała listę znalezionych uciekinierów, ale nigdy nikt nie pasował do podanego rysopisu. Glen oczywiście uruchomił pocztę pantoflową w okolicach Mellen: Walt Graves, który dostarczał przesyłki na tereny wiejskie, zobowiązał się porozmawiać ze wszystkimi adresatami; odwiedzwszy centralę telefoniczną, Glen zasugerował, żeby telefoniści dzwoniли do niego anonimowo, gdyby usłyszeli coś interesującego w rozmowach zasłyszanych w telefonach towarzyskich. Służba leśna przez krótki czas odbywała loty poszukiwawcze. Ale ostatecznie Edgar był jednym z wielu uciekinierów i niewiele można było zrobić, jak tylko czekać, aż w końcu gdzieś się pojawi, i wówczas odesłać go do domu.

Dlatego też Glen nie pytany sam się odezwał:

— Wiesz, że do was zadzwonię, jeśli pojawią się jakieś informacje.

Claude w ciszy sączył piwo, wyraźnie pogrążony w myślach.

— Zazwyczaj uciekinierzy, przynajmniej ci, którzy nie starają się uciec przed jakąś trudną sytuacją, sami wracają do domu, zanim zrobi się zimno. Albo go ktoś znajdzie, albo sam wróci.

— Jasne — odrzekł Claude. I po chwili dodał: — Ale mówiąc między nami, nie jestem przekonany, czy to będzie najlepsze rozwiązanie. Może lepiej, że go tu nie ma. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile napsuł jej krwi przez ostatnie dziewięć miesięcy. On ma w sobie coś takiego... to wariat.

— Jest w takim wieku. A do tego musiał być niesamowicie wstrząśnięty tym, co się stało z Garem. Gdy z nim rozmawiałem, niewiele pamiętał z tego dnia.

Claude zainteresował się tą informacją.

— Trudi też o tym wspominała — stwierdził. — A w ogóle co powiedział? Pamiętał coś? Czy zupełnie nic?

— Ach, jasne, sporo pamiętał. Co robił z psami, co jadł na śniadanie. Ale im bliżej byliśmy momentu, gdy znalazł Gara, tym obraz stawał się bardziej mglisty.

— Uhm — odrzekł Claude. Wpatrywał się bacznie w Glena. — Zawsze wydawało mi się dziwne to, jak go... znalazł. Nie chciałem pytać o to Trudi, żeby nie przywoływać nieprzyjemnych wspomnień. Ale chcesz mi powiedzieć, że niczego nie słyszał? Wołania Gara o pomoc, szczekających psów, niczego takiego?

— Jak o tym rozmawialiśmy, nie pamiętał. To było już następnego dnia. Zgodnie z procedurą powinienem od razu z nim porozmawiać, ale tatko wpadł we wściekłość, kiedy to zaproponowałem. Był przekonany, że

to może zaczekać, a ja też widziałem, że dzieciak jest zupełnie roztrzęsiony. — Glen wzruszył ramionami i łyknął z butelki. — Choć teraz mogłoby być inaczej. Ludzie czasami przypominają sobie po pewnym czasie.

— Pewnie tak — odrzekł Claude. — Ale skąd można wiedzieć, że takie wspomnienia po miesiącach odpowiadają rzeczywistości?

Glen zastanowił się nad wcześniejszymi słowami Claude'a, który stwierdził, że Edgar to wariat. Spojrzał na niego.

— Jeśli dobrze pamiętam, o tobie też mówiono, żeś wariat. Może to cecha rodzinna.

Claude skinął głową.

— Robiłem to i owo. Co prawda nie w jego wieku, ale wiem, co masz na myśli. Ja nie mam pretensji do szaleństwa. Ale w przypadku Edgara to jest coś innego.

Glen przyjrzał się mu uważnie.

— Co to znaczy: innego?

— No wiesz, ja szalałem tak jak większość chłopaków, chciałem zmienić świat. Wydawało mi się, że wszystkim trzeba potrząsnąć. Nigdy nie zamierzałem nikogo skrzywdzić. A Edgar... sam nie wiem. Nie zawsze potrafi panować nad sobą. - Claude urwał. Wyglądało, jakby szukał słów. Pociągnął duży łyk piwa. — Nie wiem, jak ci to powiedzieć — zaczął — z drugiej strony, nie chciałbym niczego trzymać w tajemnicy.

— Czego mianowicie?

— O twoim tatku.

— A co z nim? Pewnie chcesz mi powiedzieć, że z niego też był nicpoń? — Glen roześmiał się na tę myśl. Gdyby jego ojciec nie został weterynarzem, pewnie byłby nauczycielem. A raczej dyrektorem szkoły.

Lubił występować w roli autorytetu, pouczać ludzi.

— Nie, nie o to chodzi — odparł Claude. — Chyba rozumiesz, że

wszystko co ci powiem, znam z drugiej ręki, bo nie było mnie tam, gdy to się wydarzyło, jasne? Byłem w domu i pierwsze co zobaczyłem na własne oczy po wejściu do stodoły, to leżącego tam Page'a.

W tym momencie Glena przeszedł chłód, choć letnia noc była ciepła.

454

455

— Chodzi o to, że po ucieczce Edgara dowiedziałem się od Trudi, iż Page nie potknął się tak po prostu. Chyba spadł ze schodów, bo gonił go Edgar.

Nastąpiła długa cisza, podczas której Glen czuł, jak krew tętni mu w uszach.

— Gonił go?

-Tak.

— Chcesz powiedzieć, że gonił tatkę, żeby go uderzyć?

— Tak. Właśnie to miałem na myśli.

— Dlaczego miałby to robić?

— Cóż, tego my sami nie jesteśmy w stanie pojąć. Po śmierci Gara zamknął się jak ślimak w skorupie. A jeśli Edgar postanowi się zamknąć, nikt na to nie może nic poradzić. Tamtego wieczoru rozmawialiśmy z pewnym hodowcą zainteresowanym założeniem filii naszej psiarni. Miał nawet bardzo ciekawe pomysły na nawiązanie kontaktów z firmą Carruthers, która prowadzi sprzedaż wysyłkową. Edgar bardzo się tym przejął. Otworzył wielkie drzwi załadunkowe na strychu, zaciągnął tam Trudi i o mało jej nie wypchnął. Kto wie, co by się stało, gdyby się nie zatrzymał. Nie był też specjalnie szczęśliwy w związku z tym, że ja tam zamieszkałem, ale to mogę zrozumieć. Prawdą jest, że większość nocy spędzał na strychu stodoły. Jakby tam było jego miej-

sce, a nie w domu.

— Claude — rzekł Glen. — Na Boga...

— Sam nie wiem, Glen. Może Trudi się myli. W sumie nie ja powinienem ci o tym opowiadać. Bardzo długo nad tym się zastanawiałem i wychodzi na to, że w każdym razie to był głupi wypadek. Wystarczy sięgnąć po jutrzejszy „Milwaukee Journal” i zajrzeć na stronę z nekrologami; mogę się założyć o pięćdziesiąt dolarów, że znajdziesz tam kogoś, kto zginął w wyniku jakiegoś głupiego wypadku. Pamiętasz, jak Odin Kunkler spadł z jabłoni, kiedy chciał strącić z gałęzi jeżozwierza? Połamał sobie obie ręce, a przecież mógł rozbić głowę. Kto wie, od czego to zależy? Nawet jeśli Trudi ma rację, Edgar przecież nie tknął twojego tatki. Po prostu biegł w jego stronę, a Page spadł.

— Ale i tak to jest nieumyślne spowodowanie śmierci — odrzekł Glen.

— Poza tym...

456

— Co poza tym?

— Cóż, nie wiem, jak blisko byłeś ze swoim tatą. Niektórzy są nawet zadowoleni, kiedy ich staruszek odchodzi.

— O Boże!... Kurwa mać... Jezus Maria, Claude! Zdarzało się nam pokłócić, ale przecież wszyscy tak mają, nie? A on był moim ojcem. — Glen spojrzał na Claude'a, jakby chciał sprawdzić, czy nie chce go sprowokować, lecz Claude sprawiał wrażenie autentycznie szczerego. Może tylko nieco zaskoczonego gwałtownością reakcji Glena.

— Aha. Sam rozumiesz, nie zawsze tak jest. To znaczy, między ojcem i synem. Nie miałem pewności.

— To teraz już wiesz.

— Nie chciałem cię urazić, rozumiesz? Po prostu mówię, co myślę.

Uważam, że człowiek powinien mówić uczciwie — rzekł Claude. — Posłuchaj, jeśli chcesz, możesz nas podać do sądu. W końcu twój tato był na terenie naszej posiadłości i rzeczywiście spadł z naszych schodów. To, czy Edgar go wystraszył i przez to spadł ze schodów czy nie, pewnie nigdy nawet nie będzie brane pod uwagę; zręczny prawnik może argumentować, że nie mieliśmy czegoś, co mieć powinniśmy, na przykład odpowiedniej poręczy czy czegoś tam. Chociaż jeśli chodzi o poręcz, to mamy...

— Nie bądź śmieszny.

— Wiesz, że nauczono mnie, że kiedy trudno powiedzieć, co jest czarne, a co białe, sami musimy stwierdzić, co jest słuszne. I nie mówię o sądach; chodzi o to, że ludzie sami powinni decydować. Ale jeśli chcesz sprawiedliwości sądowej, proszę bardzo. Możesz zamknąć psiarnię, twoja wola. Już nie będzie psów Sawtelle'ów, koniec z hodowlą. Jeżeli tak zdecydujesz. Nie mogę oczywiście mówić w imieniu Trudi. Ona jest strasznie związana z tymi psami, zwłaszcza po ucieczce Edgara. Kiedy mają być przekazane do nowych domów, muszę się z nią spierać o każdego z osobna.

— Dobrze wiesz, że nie chcę niczego takiego.

— Nie chcesz? Zaczekaj trochę, sam zobaczysz. Może jutro obudzisz się zniechęcony i przygnębiony. Tak to się już odbywa. Nie będziesz zły, jeszcze nie, tylko przygaszony, jakbyś stracił całą energię. Ale następnego dnia albo jeszcze kolejnego obudzisz się i zanim zdążysz się zastanowić, ubierzesz się i skierujesz kroki do gabinetu taty, i dopiero na ulicy przy-

457

pomnisz sobie, że tatko odszedł już na zawsze. A wówczas to poczujesz. I właśnie wtedy wpadniesz w złość. Powodem będzie jakaś nic nieznamcająca błażostka. I dlatego, Glen, nie mów mi teraz, jakiej sprawiedli-

wości chcesz. Takiej obietnicy nie jesteś w stanie dotrzymać.

— Ale mogę powiedzieć ci tyle: nie zamierzam skarżyć ciebie czy Trudi za coś, co zrobił Edgar.

— A dlaczego, do diabła, nie? — zapytał Claude. — Jest nieletni.

Trudi jest jego matką, a ja stryjem. Trudi go wychowała. Musiała coś źle zrobić, w przeciwnym razie nie goniłby Page'a.

— Nie, nie, wcale tak nie jest. Chociaż... czyja wiem?... może i tak.

Pomyśl tylko o mnie: zawsze byłem co najwyżej przeciętniakiem. Ale tatko starał się jak mógł. Zawsze mówił mi, jak... dlaczego powinienem...

W tym momencie Glen uzmysłowił sobie, że płacze. Czuł się zażenowany, lecz to wszystko samo z niego wypływało strumieniem, którego nie potrafił powstrzymać. I w tym momencie zrozumiał, że jeszcze nie zakończył swojej żałoby — a w zasadzie może ledwo co ją zaczął. Osoba, która skończyła żałobę, nie wylewa łez do piwa.

— Nie wiem, czy pamiętasz, ale ze mnie był niezły leser — odezwał się Glen, kiedy już zapanował nad szlochem. — Ty może nie wiesz, jak czuje się człowiek, który zdaje sobie sprawę, co jest złe, a mimo to popełnia takie czyny. Jakby nad tym nie panował. Aleja wiem. Tatko zawsze był przy mnie w tamtym czasie, kiedy już myślałem, że skończę w poprawczaku.

Claude sącząc piwo, pokiwał głową.

— Cóż za ironia, że skończyłem jako gliniarz, nie sądzisz?

— Moim zdaniem to do ciebie pasuje. Uważam, że wykonujesz porządną robotę.

— Dziękuję — odparł Glen. — Staram się. — Chciał jeszcze coś powiedzieć, coś jeszcze podkreślić, lecz w końcu wypite piwa skumulowały się i zapomniał. Nawet gdyby był trzeźwy, kręciłoby mu się w głowie od tego wszystkiego, a Claude dodatkowo potrafił wszystko zagmatwać.

— Powiem ci coś — w końcu odezwał się Claude. Glen widział, że

jest tym wszystkim zakłopotany, może nawet bardziej niż on. — Ty tu masz władzę. I ty wiesz, i ja wiem, więc nie ma co udawać, że jest inaczej czy myśleć, że w tej chwili już wiesz, co będziesz chciał z tym zrobić. Nadejdzie ten dzień, kiedy wpadniesz w złość. A ja mogę tylko proponować, żebyś do mnie zadzwonił, kiedy to się stanie, żebyśmy sobie

458

gdzieś usiedli, napili się piwa i pogadali, co z tym zrobić. Przynajmniej tyle mogę zrobić: wysłuchać cię.

Glen spojrzał na niego. Claude wyglądał, jakby sam zaraz miał się rozplakać.

— Był taki czas, kiedy staruszkowie mieli odpowiedź na wszystko — rzeki Claude. — Twój tato, mój tato...

-Tak.

— A teraz przyszedł czas na nas. To my mamy znać odpowiedzi.

— Jeszcze nie wszyscy odeszli.

— Nie. Ale większość.

— Wciąż jest Ida Paine.

Claude wzruszył ramionami.

— Ida Paine była tu zawsze — powiedział. — Ida Paine będzie tu jeszcze długo po tym, jak my odejdziemy.

— Byłem w jej sklepie nie dalej niż w zeszłym tygodniu. Jeszcze bardziej skóra mi przy niej cierpnie, jeśli to w ogóle możliwe.

— Powiedziała to? — zaciekawił się Claude, a Glen nie musiał pytać, co miało znaczyć „to”. — Popatrzyła na ciebie przez te okulary z musztardówek i powiedziała t o?

— Ależ tak. „To wszystko?” — wychrypiął Glen, nieźle naśladując szorstki od papierosów głos Idy. — „Coś jeszcze?”

Choć było to zabawne, żaden się nie roześmiał. Nikt się nie śmiał

z Idy Paine.

Claude wyprostował się i ruszył do samochodu.

— Pamiętaj, co mówiłem.

Glen zasalutował po pijanemu.

— Tak jest! Przyjąłem. Bez odbioru.

Po chwili Claude odjechał, tylne światła jego samochodu powoli malały, w miarę jak auto wspinało się na wzniesienie na południe od miasteczka. Glen nie czuł się jeszcze gotów do odjazdu. Oparł się o bagażnik samochodu, chwiejąc się w świetle księżyca i kontemplując ciemną sylwetkę ojcowskiej lecznicy. Była piękna letnia noc, rzekotki robiły dookoła melodyjny harmider, a na niebie paradowały gwiazdy i galaktyki. Gdy miał pewność, że nikt nie zobaczy, jak bardzo się rozkleił, Glen Papineau uniósł butelkę piwa ku niebu i pozwolił ponownie popłynąć łzom.

— Twoje zdrowie, tatku — szepnął. — Zdrówko.

459

Wiatr

Wystarczyło to jedno paraliżujące spojrzenie przez tylną szybę sedana Henryego, aby sobie uświadomił, że ich pobyt tutaj właśnie się zakończył. Gdy tylko pociąg przejechał, a radiowóz policji stanowej skręcił w boczną drogę, Edgar wskoczył na tylne siedzenie i przez pozostałą część drogi pilnował, by Tinder i Baboo grzecznie leżały, chowając głowę i żywiąc nadzieję, że siedząca z przodu obok Henryego Essay nie zwróci niczyjej uwagi. Pod żadnym pozorem nie powinien był zgodzić się na przejażdżkę w biały dzień. Gdyby policjant w radiowozie przez nieco dłuższą chwilę na nich popatrzył albo gdyby był nieco mniej rozproszony, albo gdyby tego ranka przypomniano mu o wciąż niezamkniętej sprawie osobliwego uciekiniera z trójką psów, kogut na dachu radiowozu zacząłby wirować i to byłby koniec.

Jeszcze zanim wjechali na drogę dojazdową, Edgar postanowił natychmiast odejść. Henry powstrzymał go. Wyciągnąwszy mapę, obliczył odległość między Lute i Thunder Bay. Okazało się, że to ponad dwieście mil. Zwrócił mu uwagę na to, że z na wpeł wyleczoną łapą Tinder nie da rady przejść takiego dystansu.

— I to pod warunkiem, że udasz się prosto przez miasto, przez Superior. Jak zamierzasz to zrobić, jeśli tak boisz się zostać zauważonym?

Nie wiem, napisał Edgar. Jakoś sobie poradzimy.

— Posłuchaj — oświadczył Henry—jeśli upierasz się, żeby to zrobić, pozwól, że podwiozę cię do granicy. Znam tu wszystkie boczne drogi. Możemy omijać autostrady. Mógłbym nawet przewieźć was bokiem koło Superior. A stamtąd już prosta droga do autostrady North Shore.

Chciałbym zobaczyć mapę, na migi pokazał Edgar.

Sam prześledził trasę, lecz nie miał specjalnego wyboru. Dzięki Henry'emu w ciągu dnia zaoszczędzą kilka tygodni. Będąc blisko granicy, mogliby wybrać odpowiednie miejsce i dalej już podążyć na piechotę. Następnie, jak sądzili, do Thunder Bay było jeszcze pięć dni marszu, może dziesięć, jeśli będzie musiał pielęgnować Tindera. W istocie rzeczy przyjęcie propozycji Henry'ego zdawało się jedyną szansą na dotarcie do Osady Gwiazdnych Dzieci.

Dobrze, pokazał na migi Edgar. Ale wyruszamy jutro.

Tej nocy odczekał, aż Henry zaśnie, udał się do szopy i otworzył drzwi. Przepchnął się obok błotnika skylinera, wspiął się przez drzwiczki i usiadł za kierownicą, opierając dłonie na rurkowanym okręgu kierownicy.

W ciemnościach ledwo widział swoje ręce.

Jest pan tu? zapytał na migi.

Czekał. Nastąpiła długa cisza. W końcu stwierdził, że to nie ma sensu, i ruszył w drogę powrotną do domu. Nagle przyszło mu na myśl, że

nie zaszkodzi spróbować. Uniósł ręce w ciemnościach.

Czy widział pan to we mnie? zapytał na migi. To coś wyjątkowego? Nazajutrz Edgar zajął się uspokojeniem psów, ćwicząc z nimi na podwórzu — aporty, siad przed opiekunem, chodzenie przy nodze. Tak długo byli z Henrym, że psy już nie trzymały się go tak ochoczo, ale skoro teraz znowu wyruszali w drogę, ta umiejętność miała być im potrzebna. Henry zadzwonił do pracy i poinformował, że jest chory, lekko kaszląc do słuchawki i uśmiechając się do Edgara. Wyjechali tuż po dziesiątej, kiedy zdaniem Henry'ego ruch powinien być najmniejszy. Tinder siedział z przodu, Edgar z tyłu z Essay i Baboo oraz zestawem koców, starając się pohamować drżenia ciała. Kazał psom położyć się i przykrywał je kocami, gdy tylko pojawiał się jakiś samochód. Henry nie odzywał się. Położył ramię na oparciu, wspierając dłoń na barku Tindera.

Po godzinie byli na zachód od Brule. Henry przeciął autostradę nr 2. Powiedział, że myśli o pewnym miejscu, gdzie mogliby się zatrzymać i zrobić psom przerwę — zna małą zatoczkę, którą odkrył wraz z Belwą podczas zwiedzania linii brzegowej.

Jedźmy dalej, pokazał mu na migi Edgar. Nie potrzebują tego.

460

461

— Chyba żartujesz? — odparł Henry. — Te psy to maszyny do sikania. Nie mam zamiaru sprawdzać, jak to wszystko się wyciera z zakamarków mojej pięknej winylowej tapicerki.

Essay chyba wyczula okazję. Patrzyła w twarz Edgara, dysząc niecierpliwie.

Przestań, polecił jej na migi. Wpędzisz nas w kłopoty.

Gdy wyruszali z dolinki Henry'ego, słońce świeciło między poje-

dynczymi białymi chmurkami, ale w miarę jak zbliżali się do Jeziora Górnego, chmury zlewały się w gęstą niebieską masę burzowego frontu. Zanim Henry dojechał do przydrożnej zatoczki i wyłączył silnik, słońce skryło się za nadciągającymi chmurami.

Henry wysiadł z samochodu. Edgar został na tylnym siedzeniu, wypatrując nadjeżdżających samochodów.

— Odpręż się — powiedział Henry, pukając w boczną szybę. — Nie chcesz zobaczyć jeziora? Rozejrzyj się. Tu nikogo nie ma.

Miał rację, ale na samą myśl, że miałby stanąć na otwartej przestrzeni ze wszystkimi trzema psami, Edgar czuł zdenerwowanie. Już wykorzystał cały zapas przysługującego mu szczęścia. Z drugiej strony pogoda psuła się, więc raczej długo tu nie zabawią. A podczas deszczu trudniej będzie wypuszczać psy na dwór.

— Popatrz — namawiał Henry. — Nikogo na kilometr. Spodoba ci się tu. Chodź za mną.

Poprowadził ich niewyraźną ścieżką przez kępy sosen wirginijskich i klonów. Drzewa były gładkie i wilgotne od porastającego je zielonego mchu, a ziemia śliska, dodatkowo zdradliwa w chłoszczących zarośla porywistych uderzeniach burzy. W powietrzu unosił się zapach jeziora. Zanim jeszcze Edgar dostrzegł wodę, usłyszał dźwięk fal rozbijających się o brzeg. Wyłonili się w pobliżu ustronnej zatoczki, niewiele większej od podwórza Henry'ego. Z tyłu zamknięta była urwistą skałą, wysoką na sześć, a może nawet dziewięć metrów, tworzącą nieregularny łuk pokryty szarymi półkami i dziurami spowodowanymi erozją. Niektóre z nich były tak duże, że wyglądały jak jaskinie. Kolonia ptaków wodnych skrzeczała i trzepotała skrzydłami przy wierzchołku, gdzie znad skały zwisał kawał darni i korzenie drzewa.

Edgar natychmaist się zorientował, dlaczego Henry'emu tak spodo-

bało się to miejsce. W słoneczny dzień było przytulne i odosobnione — w takim miejscu Edgar mógłby się odprężyć, patrząc na płaski, pokryty wodą horyzont bez obawy, że ktoś go zobaczy. Wzdłuż całej linii brzegowej widać było jedynie drzewa na skalistych urwiskach. Żadnych domów, dróg, na jeziorze nie było nawet łódek.

Edgar i Henry pokonywali jeszcze ostatnie metry ścieżki, gdy psy wpadły na plażę pokrytą wyrzuconym na brzeg drewnem. Woda na jeziorze pociemniała i wzburzyła się pod wiszącym nad nią sztormem. Migocząca nitka błyskawicy połączyła niebo i powierzchnię wody. Na widok Tindera, który zatrzymał się i uniósł łapę przy większym kawałku leżącego drewna, Henry spojrzał znacząco na Edgara. Pies tylko zaznaczał teren, ale Henry uznał to za potwierdzenie, że rzeczywiście potrzebował przerwy w podróży.

— Mówiłem ci. Nie przejmuj się. Po prostu musisz wiedzieć, jak odpowiednio interpretować ich zachowanie — powiedział skromnie.

— Gdybyś został tu dłużej, mógłbym cię nauczyć, skąd wiem o takich rzeczach. Ludzie sądzą, że do tego trzeba jakiegoś specjalnego talentu, ale ja mówię im...

W tym momencie szeroko otworzył usta i uniósł rękę, na coś wskazując. Coś się działo na jeziorze. Kiedy schodzili na plażę, czoło nawałnicy obniżyło się, chmury poczerniały i zaczęły się kotłować. Na powierzchnię wody wyskoczył mały obłoczek pary, po chwili zniknął, aby zaraz ponownie się uformować.

— Tornado — stwierdził Henry. — To znaczy, trąba wodna. O Jezu, tylko na to popatrz!

Edgar odwrócił się i to co zobaczył, natychmiast przykuło jego wzrok. Wciągający w górę wodę z jeziora lej zmieniał się od dołu do góry, początkowo był przejrzysty, później biały, aż wreszcie zrobił się

szary. Za pierwszym lejem pojawiły się dwa następne, jak wełniste rury opadające z chmur. W piersiach poczuli nadciągające dudnienie. Psy zjeżyły sierść i uniosły łby.

— To nic dobrego — odezwał się Henry. — Nie podoba mi się to.

Wznoszące się nad wodą trzy leje wyglądały, jakby stały nieruchomo, a równocześnie gnały do przodu. Edgar nie odczuwał potrzeby ucieczki, ukrycia się - chciał jedynie stać i patrzeć. Najdalszy słup wyglądał jak cienka nitka wijąca się nad wodą. Najbliższy brzegu, odległy może o milę, zgęstniał, tworząc potężny wir, który zwężał się w szpic na powierzchni wody. Wszystkie trzy zmierzały na wschód, przecinając jezioro; jeśli nie zmienią kierunku, przejdą przed zatoczką, i to w niewielkiej odległości. Edgar zastanawiał się, czy tamta burza, która jak korkociąg wykręciła deski w dachu ich stodoły, też tworzyła takie leje.

Henry ani przez moment nie podzielał jego zafascynowania. Odwrócił się do wiodącej do lasu stromej ścieżki, podbiegł kilka kroków, poślizgnął się, zatrzymał i odwrócił.

— Hm, nie... Musimy się gdzieś schować. Lepiej nie siedzieć w samochodzie, jeśli tu nadciągną — stwierdził. — Powiadają, że dobrze znaleźć jakiś przepust, jeśli to możliwe. — Rozejrzał się dookoła i zwrócił uwagę na zakrzywiającą się za nimi skalną ścianę. — Spróbujmy wejść do jednej z tych grot — powiedział. — Nie ma czasu szukać czegoś innego.

Środkowy wir podniósł się z jeziora. Był na tyle blisko, że wyglądało, jakby miał się roztrzaskać o wodę, gdy ponownie opadnie. Jeszcze chwilę wcześniej sprawiał wrażenie szerokiego i ospałego. Teraz był bardziej zwarty, jakby się skulił, szybciej wirował i stawał się coraz głośniejszy.

— Nat? — odezwał się Henry. — Nat? Słyszysz mnie? Musimy się ukryć. Natychmiast.

Edgar niechętnie oderwał wzrok od tego, co się działo na wodzie.

Właśnie klasnął w dłonie, przywołując psy, kiedy pierwszy poważny podmuch wiatru uderzył go z całą siłą w plecy, aż potknął się i o mało nie upadł. Gdy udało mu się zebrać psy, Henry już stał przy skale.

— Tutaj i tutaj — komenderował, pokazując i starając się przekrzyczeć ryk. — Musimy się rozdzielić. Wszyscy nie zmieścimy się do jednej.

Henry wyszukał dwie wnęki na wysokości około półtora metra nad ziemią — nisze wydrążone w skale przez tysiącletnie uderzenia fal. Żadna nie była zbyt głęboka, mogły mieć najwyżej półtora metra. W skale znajdowały się też głębsze wnęki, ale były zbyt małe albo zbyt wysoko położone, żeby się do nich dostać bez uciążliwej wspinaczki.

Edgar skinął głową w stronę Henry'ego i pobiegł z Baboo przy nodze, a za nimi, nieco z tyłu, Essay i Tinder. Nisze leżały w odległości kilkunastu metrów od siebie, lewa była większa, tyle że położona wyżej i bardziej niedostępna. Edgar wybrał ją dla siebie i dwóch psów.

Gestem polecił Tinderowi udać się do Henry'ego, po czym odwrócił się do Baboo.

Skacz.

Pies spojrzał na niego, jakby się upewniał, czego Edgar od niego chce.

Tak, pokazał na migi. Skacz.

Baboo przykucnął i wskoczył na skalną półkę. Gdy tylko wylądował,

Edgar odwrócił się do Essay, która cofała się w stronę wody.

Chodź, pokazał jej. Skacz.

Essay otrząsnęła się i cofnęła jeszcze dalej, więc Edgar podbiegł do niej.

Żadnych sztuczek, pokazał. Chodź.

Włożył jej ręce pod brzuch i zaczął pchać do przodu. Wykręcała się mu i łapała pyskiem za jego ramię, aż w końcu wyrwała się i wskoczyła

obok Baboo na półkę, skąd teraz obydwie psy patrzyły na niego. Sufit wnęki nad nimi był poczerniały od sadzy — ktoś pewnie kiedyś rozpałił tam ognisko. Jej znajdujące się na wysokości głowy Edgara dno było wymiecione do czysta przez wiatr i wodę. Edgar cofnął się, starając się nie odrywać wzroku od oczu psów, i na moment zerknął w stronę Henry'ego i Tindera stojących na piasku.

— Nie pozwala mi się podnieść — powiedział Henry. — Sam nie chce podskoczyć, a inaczej nie da się tam wejść.

Edgar popatrzył na pustą dziurę w skale. Była dostatecznie duża, żeby pomieścić człowieka i psa. Henry miał rację: skała pod wnęką była zupełnie gładka i Tinder nie mógłby się po niej wspiąć.

Podszedł do Tindera i wziął jego łeb w dłoń.

Musisz spróbować.

Henry wspiął się na półkę, a Edgar cofnął się z Tinderem o kilka kroków, następnie podbiegł do ściany i uderzył w nią otwartą dłonią.

— Chodź, Tinder! — zawołał Henry. — Nie daj nam zginąć.

Początkowo Tinder stał w miejscu, ziejąc i zerkając za siebie na ryżące po jeziorze wiry. Dźwięk docierał już ze wszystkich stron, zbierany przez skalną ścianę i odbijany z powrotem w stronę wody. Ponaglany przez Edgara i Henry'ego oraz szczekanie innych psów, Tinder dwa razy próbował pokuśtykać do przodu, ale zatrzymywał się i położywszy uszy po obie, patrzył na Edgara.

W tym momencie Essay i Baboo zeskoczyły z półki i puściły się pędem po piasku; Edgarowi udało się chwycić w dwie ręce Essay, lecz Baboo gnał dalej. Dobiegł do Tindera, trąciły się nosami i nie tracąc ani chwili,

464

465

Baboo odwrócił się w miejscu i pomknął do skalnej ściany. Tinder został

w miejscu. Baboo wrócił do niego, szczeknął i szturchnął go nosem. Tym razem oba, i Baboo, i wyraźnie utykający Tinder, rzuciły się do biegu. Gdy dotarły do skały, Tinder niezgrabnie wyskoczył w powietrze, skowycząc i wymachując łapami. Wylądował ciężko na półce, ale tylne nogi zsuwały mu się z krawędzi, rozrzucając drobiny piasku w powietrzu. Na szczęście Henry zdążył już złapać go za przednie łapy i wciągnął do niszy. Baboo elegancko poszybował obok niego, na małej półce jednak nie było dość miejsca dla trójki, więc natychmiast zeskoczył na ziemię. Dobiegający od strony jeziora huk przenikał Edgara na wskroś. Szturchnął Essay i Baboo w stronę drugiej wnęki i tym razem psy skoczyły bez wahania. Edgar wspiał się za nimi.

— Nat? — usłyszał krzyk Henry'ego. Spojrzał po skalnej ścianie.

Henry klęczał na drugiej półce z dłońmi złożonymi przy ustach. — Woda wzbierze. Zostańcie w grocie.

Więcej słów nie było trzeba, zwłaszcza że w szalejącej wicherze Edgar i tak nic by już nie usłyszał. Odwrócił się do psów.

Znajdowali się w niskim płytkim zagłębieniu, które raptownie zwężało się w jajowatą wnękę. Edgar miał nadzieję, że uda mu się zasłonić ciałem wejście, ale szybko zauważył, że to niemożliwe, mógł zakryć najwyżej połowę otworu. Pospieszenie cofnął się, ocierając głowę po osmolonym suficie, i odwrócił w stronę jeziora. Uniósł nogę, dając znak Baboo, żeby się położył, a drugą chwycił go w nożyce. Następnie polecił położyć się Essay — ku jego zaskoczeniu posłuchała — i objął ją obiema rękami. Nic więcej nie mógł już zrobić. Jeśli psy wpadną w panikę, będzie mógł je przytrzymać w miejscu przynajmniej przez chwilę, może dostatecznie długą, żeby się uspokoiły.

Wciśnięci w ciasną dziurę czekali, wyglądając na jezioro. Dwie trąby wodne były już bardzo blisko, rycząc we wszelkich tonacjach i okta-

wach przedzierały się przez powietrze. Bliższa wisiała w odległości jakiejś ćwierć mili niczym kabel zrzucony z chmur na kulę pary wodnej na powierzchni jeziora. Fragment chmury obrócił się wokół jej trzonu i zniknął. Na skalach rozbryzgiwały się całe bryły wody, wydobywane z Jeziora Górnego i rzucone na ląd.

Pod wpływem nadciągającego sztormu Edgar przypomniał sobie, jak ojciec stał w drzwiach stodoły podczas burzy i patrzył w niebo. Nawet gdy starał się głębiej wcisnąć psy w grotę, zastanawiał się, czy ojciec w takim momencie postępowałby tak samo.

Zgodnie z przewidywaniami Henry'ego woda zaczęła się podnosić; miejsce, w którym po raz pierwszy dojrzeli wiry, było już zalane rozbijającymi się na brzegu falami. Wiatr wciskał się w nozdrza i usta Edgara, nadymając mu policzki i próbując unieść powieki. Zasypywał ich piasek i drobne kamyki. Edgar sądził, że te dźwięki i podmuchy wiatru przestraszą psy, lecz one nie reagowały — nie protestowały, kiedy je przytrzymywał, ale też nie przyciskały się do niego w poszukiwaniu otuchy. Po plaży toczył się szary kawał wyrzuconego na brzeg drewna, nagle ożywiony odbijał się od ziemi to jednym, to drugim końcem, uciekając w popłochu; psy odwróciły pyski i spoglądały za nim.

W pewnym momencie przed nimi przemknął najmniejszy z wirów, rozkwitająca woda muskała powierzchnię jeziora jak odwrócona do góry łodygą róża. Postrzępiona smuga światła spłynęła w dół niczym wąż, ściągnięta przez rosnące tuż przy brzegu drzewo. Rozległ się dźwięk bardziej przypominający wybuch niż grzmot, który jednak natychmiast zniknął w ryku wichury. Kiedy Edgar ponownie spojrzął na jezioro, na powierzchni pozostał tylko największy lej, tak przysadzisty i czarny, jakby wciągał w siebie i niebo, i ziemię.

Następne wydarzenia mogły trwać najwyżej dziesięć sekund. Włókni-

sty lej, który przed chwilą gdzieś zniknął, znowu się pojawił, jak macka podskakując i wirując na powierzchni wody, cofał się wzdłuż wcześniej przebytej drogi. Wijąca się szara nić jego cielska zaczęła nagle zmierzać w stronę wielkiego wiru, przyciągana jego siłą. Na moment rozdzieliły się, po czym splody, mniejszy zawijał się spiralą wokół większego, aż został wchłonięty. Choć niezupełnie. Wirująca wstęga oderwała się i młóciła powietrze nad jeziorem, zanurzając się do połowy w wodzie, póki nie wyparowała. Tymczasem większy lej zmienił kolor z ziemistego na upiornie biały, górując blado nad zatoczką, gwałtownie przesuwając się w przód i cofając.

Niewiarygodne, pomyślał Edgar, kiedy siedzieli chłostani przez wiatr. To co oglądał, było naprawdę niewiarygodne.

Już wcześniej widział rzeczy niewiarygodne, natychmiast sobie odpowiedział. I uciekł przed nimi.

W tym właśnie momencie Essay postanowiła zeskoczyć ze skały.

Chwilę wcześniej obejmował mocno jej pierś, ale nagle wyslizgnęła mu się tak łatwo, jakby była wysmarowana tłuszczem. Pomknęła przez zatoczkę, pod naporem wiatru pędząc krótkimi susami. Baboo szczechnął i zaczął przebierać tylnymi łapami po nagiej skale, lecz Edgar zgiął się w pół i objął go mocno ramionami, ściskając mu pysk dłonią, żeby pies przestał się rzucać. Prawie natychmiast zrozumiał, że Baboo nie zamierzał podążyć za Essay — jego nie pociągnęła ta jej wizja, wewnętrzny przymus czy cokolwiek zmusiło ją do biegu na spotkanie ryczącego na nich z wody filara. On tylko próbował przywołać Essay z powrotem.

Biały lej zakołysał się i ruszył do przodu, teraz już w odległości niecałych dwustu metrów, a może jeszcze bliżej, nie dalej niż środek dolnego pola od domu Sawtelle'ów, i tam znieruchomiał, kołysząc się nad jeziorem. Essay stanęła przed nim, ujadając i warcząc, z ogonem opuszczonym jak turecka szabla. Gdy obróciła się bokiem, siła wiatru poderwała jej tylne

łapy i suka przetoczyła się jak beczka dwa razy, zanim się pozbierała i ponownie stawiała czoło wiatrowi, tym razem mocno stojąc na nogach.

Coś uderzyło z łoskotem o plażę przed skałami i w powietrze wytrysnęła różowa fontanna krwi — jakaś gigantyczna ryba z rozerwanymi trzewiami, które spływały po kamienistej zatoczce.

Essay próbowała ruszyć do przodu. Gdy tylko unosiła łapę z piasku, jej ciało kołysało się niepewnie na wietrze. W końcu huragan przycisnął ją do ziemi. Leżała z uszami płasko stulonymi, z pomarszczonym pyskiem i rozciągniętymi łapami, jak hieroglifowy wizerunek psa, rykiem wiatru obnażona, jak się Edgarowi zdawało, do samej swojej istoty, szalonej i jednocześnie najprawdziwszej. Gdy tylko wiatr na moment ucichł, sierść na jej grzbiecie natychmiast się zjeżyła. Po chwili uderzył z jeszcze większą siłą. Nabrzeżne drzewa wiły się, wyginały i prostowały, a trzask łamanych gałęzi przypominał wystrzały z karabinu.

Powinienem tam pójść, pomyślał Edgar. Przecież pies zginie. Ale wówczas ucieknie też Baboo.

Miał czas rozważyć to w głowie, porównać jedną i drugą stratę, i doszedł do wniosku, że nie może podjąć decyzji. To ona dokonała wyboru, myślał—właśnie tego zawsze chciał jego dziadek, co jakiś czas pisał przecież o tym w swoich listach. Dlatego też w końcu Edgar został w skalnej niszy pod ostrzałem kamieni ciskanych przez wiatr. Ze zdwojoną energią chwycił Baboo i zerkał tylko na Essay odepchniętą do linii drzew, przyczajoną i cofającą się. Choć poruszała pyskiem, do nich nie docierał żaden dźwięk.

I w tym momencie naszła go myśl: to się nie uda. Nigdy dostatecznie daleko się nie oddalę. Mogłem wcale się stamtąd nie ruszać.

Na jeziorze coś się zmieniło. Lej znieruchomiał, zwęził się, zbielał, po chwili zrobił się jeszcze bielszy i uniósł się nad wodę. Para wodna u jego podstawy opadła na jezioro, jakby nagle czar prysł. Jego trzon

zwinął się w powietrzu nad nimi niczym zwisający z chmur wąż. Wiatr zelżał, a jego ryk przycichł. Dotarł do nich słaby odgłos ujadania Essay, na które Baboo odpowiedział szczekaniem. Z drugiej strony zatoczki dobiegł Edgara również głos wtórującego im Tindera.

Nad ich głowami wir wiatru przesunął się przerażająco w powietrzu, gotując się do ponownego uderzenia, tym razem już bezpośrednio w łódź, jednak nawet na chwilę się nie zatrzymując, zawrócił w stronę obłoków i zniknął, jakby gonił jakiegoś prześladowcę. Uderzająca fala spienionej czarnej wody z jeziora sięgnęła niemal podnóża skały, a następnie wycofała się, zabierając ze sobą połowę wody zalewającej zatoczkę. Ucichły łaskoty, wiatr po ostatnim porywie uspokoił się. Słychać było szum i huk fal rozbijających się wzdłuż całego brzegu.

Gdy tylko Edgar poluzował chwyt, Baboo zeskoczył ze skalnej półki i podbiegł do Essay, która już triumfalnie truchtała przed cofającymi się falami. Baboo towarzyszył jej przez kilka metrów, po czym odwrócił się, w kilku susach znalazł się przed skałą, na której leżeli skuleni Henry i Tinder, i zaczął tam dreptać w oczekiwaniu na nich.

Sprowadzenie Tindera na dół okazało się skomplikowaną sprawą.

Skała była mokra i śliska, a Tinder opierał się, kiedy chcieli go sobie podać. Henry w końcu wziął go na ręce i zsunął się z niszy, balansując ciałem, żeby utrzymać psa, i po drodze ocierając sobie plecy o skałę. Gdy postawił go na mokrym piasku, pies pokuśtykał do wyrzuconej przez wiatr ryby i obwąchał ją. Krople deszczu — prawdziwego deszczu, nie nawianej z jeziora wody — zaczęły spadać na ziemię. Ogromna masa drewna unosiła się na powierzchni jeziora na podobieństwo splątanych żeber wydobytego z dna żaglowca.

Samochód oblepiony był zielonymi liśćmi. W szybie po stronie pasażera widniało długie białe pęknięcie. Zapakowali psy do środka i długo

siedzieli, dysząc i słuchając nierównego bębnienia deszczu po dachu.
— Z tym psem jest coś nie w porządku — odezwał się Henry. — To co zrobił, raczej nie było zbyt rozsądne.

468

469

Edgar skinął głową. Pomyślał jednak: skąd my to możemy wiedzieć? Zamknął oczy i zobaczył obraz Idy Paine pochylającej się do niego nad ladą. „Jeśli odejdziesz — szepnęła — nie wracaj, za nic. I nie pozwól, żeby wiatr odmienił twoje zdanie. To w końcu tylko wiatr”.

To tylko wiatr. Próbował to sobie powtórzyć.

Wziął do ręki papier i ołówek leżący na siedzeniu.

Zawróćmy, napisał.

— To rozumiem — stwierdził Henry. Przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał na drogę, zmierzając w kierunku, z którego przyjechali. — Przynajmniej jedno z was myśli rozsądnie.

Edgar uśmiechnął się ponuro, z twarzą zwróconą w stronę deszczu i mijanych drzew. Gdyby Henry znał drugą możliwość, pomyślał, jeszcze mniej by mu się to spodobało.

W drodze powrotnej Henry nie włączał radia. Jechał, nic nie mówiąc, z wyjątkiem jednego momentu, kiedy ni z tego, ni z owego pokręcił głową i mruknął: „A niech to!...”.

Następnego sierpniowego popołudnia, upalnego i parnego, samochód Henry'ego toczył się po leśnej drodze w pobliżu jeziora Scotia, gdzie Edgar z psami spędzili Święto Niepodległości w czasach, które obecnie wydawały się mu okresem wędrówki bez celu. Woda skrywała się za drzewami i listowiem. Z wnętrza samochodu wszystko wyglądało obco. Zdążyli minąć podjazd do małego czerwonego domu, poza sezonem zamkniętego na głucho, zanim Edgar go zauważył.

Zatrzymajmy się, pokazał na migi. To tu.

— Na pewno?

Edgar spojrział jeszcze raz i skinął głową. Rozpoznał białe wykończenie, frontowe drzwi oraz okno, przez które się wczołgał. Pamiętał smak czekoladowego batonu, który stąd skradł, i jak roztopił się w tylnej kieszeni jego spodni, kiedy karmił psy masłem wyciekającym mu między palcami.

Henry wcisnął przód samochodu w zarośniętą drogę dojazdową i wyłączył silnik.

— Mówię po raz ostatni — odezwał się. — Mogę cię zawieźć, gdziekolwiek zechcesz. Mnie jest obojętne.

Dziękuję, pokazał na migi Edgar. Jednak nie.

470

Zdawał sobie sprawę, że Henry wolałby usłyszeć coś więcej, lecz to co Edgar chciał zrobić nad tym jeziorem — kogo miał nadzieję znaleźć i na co w związku z tym liczył — wymagało, żeby szedł pieszo. Nie potrafili znaleźć słów na objaśnienie swoich nadziei, podobnie jak jego matka nie była w stanie znaleźć słów na określenie wartości ich psów.

Wysiedli z samochodu i Edgar wyjął z bagażnika wędkarską torbę i wędkę. Zawiesił sobie torbę na ramieniu. Psy węszyły dookoła, aż zaspokoili ciekawość i przytruchtały do samochodu, pierwszy przykuśtykał Tinder, a za nim Baboo i Essay. Edgar ukląkł przed Tinderem i pogłaskał go po pysku. Po raz ostatni uniósł zranioną łapę psa, żeby przesunąć czubkami palców po okaleczonej poduszeczce. Obserwował, czy Tinder się nie wzdrygnie, ale pies patrzył na niego spokojnie. Cała opuchlizna zeszła już zupełnie, choć drugi palec wciąż odstawał. Odłożył łapę Tindera na ziemię. Tinder podniósł ją ponownie i podał mu ją.

Zostań, pokazał mu Edgar. Zrobił to odruchowo i natychmiast tego

pożałował, bo nie to chciał psu przekazać. Już miał się podnieść, lecz znowu przyklęknął.

Uważaj na Henry'ego. On jeszcze niewiele wie.

Następnie wstał i wyciągnął rękę, którą Henry uścisnął.

— Wystarczy, że wrócisz i powiesz jedno słowo — odezwał się Henry. — Do tego czasu dobrze się nim zaopiekuję.

Nie. On należy do pana. Sam wybrał.

Bo rzeczywiście tak było. Edgar widział to po Tinderze, który siedział z pogodnym wzrokiem, dysząc i lekko opierając się o nogę Henry'ego. Widział to w samochodzie, kiedy wracali z Jeziora Górnego, i po powrocie późnym wieczorem w domu Henry'ego. Edgar odnosił wrażenie, jakby Tinder wciąż jeszcze wykonywał ten skok na półkę, aby dołączyć do Henry'ego, i w ten czy inny sposób miał już codziennie to robić przez całe swoje życie.

Edgar odwrócił się i ruszył po podjeździe w stronę domku, Baboo i Essay podążyły za nim. Tylko raz się obejrzał. Henry i Tinder stali przy samochodzie, patrząc za odchodzącymi. Kiedy dotarli do jeziora, Baboo zauważył, że Tinder nie idzie z nimi. Spojrzał na Edgara, zawrócił w miejscu i potruchtał do samochodu. W połowie drogi zatrzymał się. Edgar odwrócił się i uderzył dłonią w udo. Baboo zrobił kilka kroków w jego stronę, obejrzał się na stojących przy samochodzie Henry'ego i Tindera, zaskowytał żałośnie i usiadł.

471

Edgar przez chwilę stał, patrząc na psa, po czym podszedł i przed nim ukląkł.

Musisz mieć pewność, pokazał mu na migi.

Baboo dyszał, nie spuszczać z niego wzroku. Rzucił okiem nad ramieniem Edgara w stronę Essay. Po dłuższym czasie podniósł się i razem wolno ruszyli do samochodu. Ostatnie pięć metrów Baboo pokonał

kilkoma susami i wskoczył na tylne siedzenie, dołączając do Tindera.

— To nie o mnie chodzi, prawda? — zapytał Henry. — Nie może zostawić Tindera?

Tak.

— Myślisz, że poradzę sobie z dwoma?

Edgar skinął głową.

— Nie mam nic przeciwko temu. Kurczę, zupełnie nie mam nic przeciwko temu.

Edgar przez długą chwilę patrzył na obydwa psy, starając się zapisać ich obraz w pamięci. Kiedy Essay podbiegła do nich, Baboo wyskoczył z samochodu na jej spotkanie. Zaczęły krążyć wokół siebie, goniąc za ogonami, jakby od dawna się nie widziały, na koniec Baboo oparł pysk na jej karku.

Edgar odwrócił się i ruszył w stronę domku. Nie przywoływał psów, w ogóle nie rzucił im żadnego polecenia. Nie potrafiłby się teraz obejrzeć. Zarośla uderzały go w twarz, ale w rozrywającym mu głowę dudnieniu prawie tego nie zauważał. Zacisnął powieki, pozostawiając tylko małe szparki, jednak łzy i tak spod nich wypływały. W końcu przy jego boku pojawiła się Essay. Chwilę później skoczyła do przodu i zniknęła w zaroślach.

Koniec z poleceniami, pomyślał. Już nigdy. Równie dobrze jak on wiedziała, gdzie są, i mogła sobie biegać, jak chciała.

Za jego plecami samochód Henry'ego zawarczał, budząc się do życia. Wbrew sobie Edgar śledził uchem ten dźwięk toczący się po drodze do momentu, gdy nawet stojąc nieruchomo, słyszał już wyłącznie dźwięki lasu.

Powrót

Tę noc spędzili na cyplu, z którego oglądali sztuczne ognie znikające we

własnym odbiciu i gdzie wycie psów sprowokowało jeszcze jednego obserwatora do ujawnienia swojej obecności. Nazajutrz ruszyli wokół jeziora. Ocienione miejsca nad wodą wychodziły na pałki i rozległe obszary lilii wodnych. Gdziekolwiek stąpnęli, spod stóp wskakiwały im do wody żaby lamparcie. Ryb było mnóstwo, a biwakowiczów niewiele. Większość domków już zamknięto na głucho, okna pozabijano sklejkami, a włamywanie się do nich nic by nie dało. Henry zaopatrzył go w zapałki, haczyki i mały scyzoryk z sękatą brązową rękojeścią inkrustowaną kością słoniową. Przez trzy kolejne noce przesuwali swój obóz dalej w głąb niskich wzgórz, które od północy okalały jezioro Scotia. Essay przyzwyczaiła się do samotnego życia szybciej, niż Edgar się spodziewał. W nocy tulili się do siebie, szukając schronienia przed chłodnym powietrzem. Zdawała sobie sprawę, że czekają na coś lub na kogoś. Raz na jakiś czas wstawiała i chodziła dookoła, węsząc za dwójką rodzeństwa. Dni stawały się coraz krótsze. Sierpniowy zmierzch zapadał o siódmej, a noc nadciągała godzinę później. Wieczorem czwartego dnia, kiedy małe ognisko wypaliło się i pozostał z niego tylko żar, w zaroślach błysnęła para oczu. Nie był to jeleń czy szop, których ślepia w pomarańczowym świetle ognia błyszczą zielono. Te ślepia odbijały się na czerwono, gdy ogień był czerwony, na żółto, gdy był żółty, na moment znikając i zaraz ponownie rozbłyskując. Ich właściciel nadchodził pod wiatr, z przyzwyczajenia, jak sądził Edgar, po tak długim czasie spędzonym w lasach. Edgar położył rękę na grzbiecie Essay. Podniósł odłożony wcześniej na bok kawałek ryby i rzucił na drugą stronę ogniska.

473

Forte wyszedł z ciemności. Cichym krokiem zbliżył się do podarunku. Na jego widok Essay naprężyła się, lecz Edgar, mocniej przyciskając dłoń, poprosił ją, żeby się nie ruszała. Nie wydał polecenia. Uważał, że

nie ma już do tego prawa, że już dawno temu popadł w niełaskę, choć dopiero ostatnio to zrozumiał. Sierść bezpańskiego psa była w tych samych kolorach, jakie zapamiętał, złocistożółta i czarna na grzbiecie, a na szerokiej piersi w kolorze blond. Jedno ucho zwisało poszarpane w jakiejś dawnej walce. Ale nabrał ciała, nogi miał grube i mocne.

Z gardła Essay wydobył się ostrzegawczy warkot i Forte wycofał się w ciemności. Edgar długo w noc dokładał do ognia, pochylony nad węglami jak pomarszczony starzec, bardzo zmęczony, choć przez cały dzień niewiele zrobili. Rankiem również Essay gdzieś przepadła. Wróciła w południe, dysząc i z sierścią pełną rzepów. Tymczasem Edgar nałowił już dużo ryb. Usmażył je na patykach i zrobili sobie ucztę. Kiedy Essay odwracała pysk, nakłaniał ją, żeby jeszcze zjadła, bo zależało mu, żeby później nie była głodna. Złowił jeszcze więcej ryb i usmażył je, rozmyślając o tym, jak Henry siedział przy stoliku do kart za domem i piekł kielbaski, kiedy on z psami obserwowali go z ukrycia wśród słoneczników.

W wodzie odbijał się błękit wieczoru. Utkane gwiazdami welony chmur pierzastych. Późnym wieczorem ponownie zjawił się Forte. Tym razem Essay potruchtała na jego spotkanie i obwąchała jego boki, a on stał nieruchomo i czekał. Po chwili zamienili się rolami. Kiedy dużo później Forte odszedł, stos odłożonych przez Edgara ryb zniknął.

Nazajutrz zaraz po przebudzeniu zabrał się za łowienie ryb. Smażył je i układał w stertę. Z otaczającego ich lasu docierały gwizdy. Kiedy już najedli się do syta, wcisnął resztę ryb do torby, zostawił dziecięcą wędkę na ziemi i wyruszyli w drogę. Tym razem nie sprawiała im żadnych trudności. Nie potrafił pojąć, dlaczego w tamtą stronę tak wiele czasu zajęło im pokonanie tak mizernej odległości. W ciągu dnia przebyli jedną czwartą drogi powrotnej. Od czasu do czasu rzucał strzęp smażonej

ryby na ziemię, żeby zostawić trop. Ciekaw był, czy uda mu się rozpoznać pokonywaną przed tygodniami drogę. Udało mu się.

Essay raz na jakiś czas znikwała na godzinę lub dłużej, ale on wciąż szedł dalej. Potem rozlegał się szelest w paprociach, suka wyskakiwała na polanę i pędziła do niego, wymachując w powietrzu ogonem. Pod koniec dnia doszli nad znajome jezioro i Edgar rozpałił małe ognisko. Spał przy gasnących węglach, jakby wymieniał je za sny.

Wiedział na pewno, że Forte podąża za nimi, choć drugiej nocy jeszcze tylko o tym marzył. Przez cały dzień, gdy szli, skubał ryby - kawałek dla siebie, kawałek dla Essay i kawałek rzucał na ziemię. Essay grzebała w ziemi w poszukiwaniu żółtych jaj, lecz sezon na jajka już się skończył. Z krzaków zwisały pojedyncze jagody ugotowane we własnych skórkach. W połowie dnia zatrzymali się nad jeziorem. Edgar rozebrał się, wszedł do wody i stał tam dopóty, dopóki skóra mu się nie ochłodziła, a świeże ukąszenia komarów nie przestały swędzieć. Z nadbrzeżnych trzciny podniosła się czapla, biała i archaiczna. Poszybowała nad wodą i usiadła przy brzegu w bezpiecznej odległości, skrzeczeniem wyrażając swój sprzeciw wobec płoszenia ryb przez Edgara. Ale czapla myliła się. Edgar jadł tylko ryby przyniesione w torbie, odgrzewając je najpierw na ogniu. Miał już serdecznie dosyć ryb.

Resztki zapasów położył na skraju ogniska, choć podejrzewał, że to nie jest najlepszy pomysł. Torba była usmarowana tłuszczem z ryb. Najprawdopodobniej wszystkie okoliczne niedźwiedzie wiedziały już, gdzie ich znaleźć, podobnie jak Forte - co do tego Edgar się nie mylił. Kiedy obudził się rano, bezpański pies uniósł pysk i popatrzył na niego znad jarzącego się żaru. Edgar nie ruszał się. Essay stała obok, podeszła do Forte'a, obwąchała go i oba psy zatoczyły wokół siebie koło. Forte wyciągnął szyję i na drżących nogach obwąchał Edgara. Edgar pogłaskał

Essay pod brodą, a potem przesunął rękę na szyję Forte'a.

Kiedy wstał, pies cofnął się kilka kroków. Z jednym poszarpanym uchem wyglądał zarówno komicznie, jak i przebiegle. Edgar odwrócił się do niego plecami i zaczął zbierać swoje rzeczy. Kiedy się obejrzał, Forte'a nie było. Podobnie jak i Essay.

Teraz stale rozmyślał o Almondine. Od przynajmniej dwóch miesięcy jej nie widział i nagle poczuł się, jakby odcięto go od jakiegoś fundamentu jego własnej istoty. Zanim minie następny dzień czy też kolejny, ponownie będą razem. Być może zapomniała już o jego przestępstwach, za które tak bardzo chciał odpokutować. Wszystko co mu się przydarzyło po odejściu z domu, kierowało jego myśli w jej stronę. Inni ludzie

474

475

marzyli o znalezieniu osoby, której dusza stanowiłaby zwierciadlane odbicie ich własnej, ale ona i Edgar byli jakby razem stworzeni, razem dorastali i choć mogłoby się to wydawać dziwne, to ona była jego drugą połową. Za coś takiego wiele można wycierpieć. Zdawał też sobie sprawę, że jest już stara, a on roztrwonił część ich wspólnego czasu, krążąc po lesie ślepy, zdezorientowany, zatrzymując się i ponownie ruszając, niezupełnie zdając sobie sprawę, co ma robić. Gdyby nie ta przedziwna interwencja, być może już nigdy by jej nie zobaczył. Być może dopiero po osiągnięciu starości uświadomiłby sobie, jak wiele stracił przez tę decyzję, jak bardzo usychał z dala od niej.

Kiedy odchodził, miał mętlik w głowie, ale w drodze powrotnej wszystko robiło się jaśniejsze. Wiele z tego, co wówczas wydawało się niewyraźne, stało się oczywiste. Zanim jeszcze opuścił tę zatoczkę nad jeziorem, ogarnęło go pragnienie powrotu do domu. Rozumiał słuszność decyzji Tindera i Baboo. Henry był osobą marudną, pełną wątpliwości

i zmartwień, lecz zarazem człowiekiem lojalnym. Edgar zastanawiał się, co by się z nimi stało, gdyby Tinder skaleczył się w łapę o milę dalej. Tak wiele w świecie zależy od przypadku. Gdyby dzień wcześniej wyruszyli z domu Henry'ego, byłiby już pewnie w Kanadzie, może nawet w Osadzie Gwiazdnych Dzieci. Życie jest jak rój przypadków czekających na wierzchołkach drzew i spadających na przechodzące dołem istoty, gotowych żywcem je zjeść. Człowiek pływa w rzece przypadków i zbiegów okoliczności. Chwytasz się tych najszcześniejszych — pozostałym pozwalasz przepłynąć obok. Spotkałeś dobrego człowieka, pod którego opieką pies będzie bezpieczny. Rozglądałeś się dookoła i odkryłeś coś najniezwyklejszego na świecie, siedzącego przed tobą i na ciebie patrzącego. Niektóre rzeczy były pewne — one już się wydarzyły — ale przyszłości nie da się przewidzieć. Może tylko Ida Paine to potrafi. Dla wszystkich innych przyszłość nie jest sprzymierzeńcem. Człowiek ma tylko swoje życie, z którym może się targować. Tak właśnie Edgar to czuł. Mógł się zakopać w Osadzie Gwiazdnych Dzieci albo wymienić coś, co miał, za coś, na czym mu zależało. To coś wyjątkowego. Tak czy owak, jego życie potem będzie wyczerpane.

Tak rozmyślając, siedł skrajem błotnistej polany. Po drugiej stronie Essay podskakiwała, kręciła się i szczypała Forte'a, który podążał za nią, nagle niezgrabny i zachowujący się jak szczeniak. W końcu, przez nieporadność i niezdarność Forte'a, wywiązała się między nim bójka. Była to jednak udawana bójka i już po chwili Essay rozbawiona przytruchtała do Edgara, nie zważając na tamtego gamonia.

Spali daleko od wody i wszelkich znanych mu punktów orientacyjnych. Rozpalił ogień, żeby było cieplej, i pozwolił płomieniom buzować. Forte zwinął się pod młodym kasztanowcem i obserwował Edgara. Tego wieczoru chłopiec przekroczył krąg światła, usiadł przy bezpańskim psie

i zaczął wyjmować mu rzepy z sierści. Kiedy skończył, pogłaskał zwierzę po kłębie. Forte obwąchał mu nadgarstek. Edgar przypomniał sobie tamte noce w ogrodzie, kiedy Forte srebrzył się w świetle księżyca i drżał pod dotykiem jego dłoni. Po chwili Edgar wrócił na swoje miejsce przy ognisku. Przed zaśnięciem pomyślał jeszcze, jak cieszy go to, że nie musi jeść ryby, nawet jeśli oznaczało to, że spał będzie głodny.

Nazajutrz wyruszyli w kierunku wschodnim, nieodmiennie podążając w stronę źródła cieni. Essay i Forte gdzieś zniknęły. Kiedy ponownie ją zobaczył, suka pysk miała umazany na czerwono świeżą krwią. Ukląkł przy niej i przeciągnął palcami wzdłuż linii dziąseł, wzdłuż kryzy i nóg, ale to nie była jej krew. Forte'a nigdzie nie było widać.

Wyszli na polanę pełną drzew okaleczonych przez płomienie, na której zatrzymali się tamtej pierwszej nocy, tam gdzie sowy kręciły głowami, żeby im się przyjrzeć. Edgar rzucił się do biegu. Sumak płonął czerwienią w miejscach, w których kiedyś stały zielone parasole. Kiedy Edgar spojrział w dół, zauważył biegnącą przy jego nodze Essay.

Z lasu wyłoniła się stara droga zrywki drewna. Doszli do ogrodzenia, które ciągnęło się środkiem strumienia. Korytem płynęła tylko strużka, a wyrwany przez Edgara z ziemi palik stał przekrzywiony w mule i błocie. Edgar wszedł do wody i uniósł drut kolczasty. Essay prześlizgnęła się pod spodem, prawie nie zmieniając kroku. Po drugiej stronie otrząsnęła się, chociaż nie było takiej potrzeby, i czekała. Woda w strumieniu przemykała po piasku i kamieniach. Edgar stał, czekając na Forte'a. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że jeśli pies będzie chciał to zrobić, sam znajdzie sposób na pokonanie ogrodzenia. Przewrócił palik i przeszedł przez druty, nie kłopotząc się stawianiem go na miejsce, gdy ponownie wkraczał na ich ziemię.

Almondine

Jeśli jeszcze nie spała, leżała w cieniu i czekała na powrót snu. We śnie wszystko było jak kiedyś, gdy byli całością, a on, różowiotki i niezgrabny, biegał wokół niej na krótkich nóżkach. Tamte piękne noce, gdy drewniane belki domu wciągały dla nich powietrze, a w jej stawach nie znalazło się jeszcze ani jedno ziarnko piasku. Wówczas nie trzeba było go szukać.

W jej snach był zawsze, wymachując chabrami, które miała powąchać, wygrzebując osobliwości, które miała wydłubywać z jego zaciśniętych pięstek w obawie, że znalazł coś niebezpiecznego. Zupełnie inaczej było na jawie, w której czekało ją tylko niekończące się poszukiwanie.

Przez całe swoje życie zawsze znajdowała to, czego kazano jej szukać, i zawsze to było to samo. Teraz zaginął naprawdę, zniknął, być może odszedł do innego świata, do jakiejś nieznannej krainy, z której nie może powrócić. Szafa była równie zdziwiona jak ona, łóżko nie odpowiadało na pytania. Nie było też wykluczone, że poznał tajemnicę ucieczki, a okno nie było za małe, żeby przez nie się prześlizgnął. Tutaj, śpiąc w nocy na jego łóżku, pierwsza zauważyłaby jego powrót. Choć była już stara, wciąż chciała go o coś zapytać, chciała mu coś pokazać. Martwiła się o niego. Musiała go znaleźć, takiego, jaki był lub zmienionego, ale przede wszystkim musiała wiedzieć i posmakować wtedy soli z jego karku.

W życiu nauczyła się, że czas żyje wewnątrz ciebie. Ty jesteś czasem, oddychasz czasem. Gdy była młoda, czuła nienasycony głód, chciała go więcej i więcej, choć sama nie rozumiała dlaczego. Teraz w jej wnętrzu drzemała kakofonia czasów, która ostatnio zagłuszała cały świat. Wciąż miło było położyć się pod jabłonią. Również piwonia, ze względu na zapach, była przyjemna. Idąc przez las (ostatnio nieczęsto) wybierała dro-

gę wzdłuż ścieżki, po stronie wewnętrznej robiąc miejsce dla chłopca, żeby mógł przed nią biec. Trudno byłoby wybrać, czy woli czas na zewnątrz od czasu w środku. Oczywiście wciąż było coś do zrobienia. Te młodziaki w stodole tak niewiele wiedziały, a ona tak wielu wcześniej nauczyła. Chociaż wątpiła, czy warto w ogóle próbować, robiła to, gdy ją poproszono.

Zwolniła. Gospodarstwo tańczyło jej przed oczami. Jabłonie sprzeczały się z wiatrem, zjednoczone splatały przeciw niemu konary, z kosami, wróblami, sikorami i sowami wieńczącymi ich korony. Ogród wykrzykiwał swoją zieloną dziecięcą woń, tę mieszaninę wymyśloną przez jelenia lub, jak jej się teraz wydawało, na odwrót. Stodoła rzucała okazywały cień na podwórze, delikatnie trzymając go za ciemne nadgarstki i pozwalając mu się kręcić, wykręcać, wyciągać po ziemi wieczorem, ale nigdy nie pozwalając mu się wymknąć. Gdy zamykała oczy, wszystko szybciej się wokół niej kręciło. Chmury przetaczały się po niebie, ona leżała pod nimi i w tej wędrówce cienia i żółtego światła słonecznego dom szeptał tajemnice do ucha pikapowi, podróżnikowi, który jednak słuchał dopóty, dopóki jego zagorzały empiryzm nie nakazał mu oddalić się w panicznym przerażeniu, żeby sprawdzić takie pomysły wśród swoich kolegów. Klon wznosił błagalnie pranie do światła i każdego dnia, jako jedyną odpowiedź, otrzymywał (jasne płomienie) rój os. Skrzynka na listy stała po żołniersku przy drodze, raz po raz chwytając człowieka i uwalniając go.

Wśród nich wszystkich chodziła kobieta, na nic nie zważając, po raz kolejny przeprowadzając szczeniaki przez coś, czego już z pewnością się nauczyły — głupiutkie szczeniaki, które powodowały, że oni wszyscy zatrzymywali się i patrzyli, taką już miały moc. Almondine siedziała, obserwując je, i nagle ni stąd, ni zowąd chłopiec siedział przy niej, obejmu-

jąc ramieniem jej kłęb. Szczeniaki miały w sobie tak mało czasu, że ledwo trzymały się ziemi. Sądziła, że podobnie było kiedyś z nią. Po chwili odwróciła łeb i spojrzała, a Edgara znowu nie było. Czy rzeczywiście tu był? Czy może to tylko jakiś fragment czasu mieszkającego w niej? Odpowiedź na to pytanie miała coraz większe znaczenie, nawet gdy zaczęły opuszczać ją siły i brakowało ich, aby go odnaleźć. Ukształtowali się nawzajem w ciepłe słońca świecącego jaśniejszym blaskiem, słońca,

478

479

którego światło po cichu odeszło z tego świata. Wiedziały o tym sosny górujące nad podwórzem przed domem; pewnej nocy udusiły się, kiedy na podwórze napłynęła oceaniczna mgła, ale tylko ona to zauważyła. Przez trzy dni leżała pod nimi pogrążona w żałobie. Wiewiórki, niczego nie szanujące, splądrowały ich szczątki. Noce robiły się ciemniejsze, gwiazdy oszalały. Spała przy jego łóżku, bo jeśli gdzieś miał wrócić, to właśnie tu. Oszukiwał ją — tak sprytnie się schował! Jakież to będzie spotkanie, kiedy wkońcu wyjdzie ze swojej kryjówki, jak będą się śmiać, jak bardzo radować! Najwspanialsza sztuczka, którą na pewno jej wyjawia - cały czas tu był i patrzył, kiedy go szukała! Cały czas! Ta myśl była tak zdumiewająca, że Almondine aż się podniosła i dysząc, pokręciła łbem. W tylu miejscach jeszcze warto ponownie sprawdzić. Ale są puste, wszystkie bez wyjątku, i wszystkie wydzielające z siebie karę, beznamiętne, niefrasobliwe, obojętne.

I w końcu późnym rankiem, kiedy niebo rozbrzmiewało nad głowami, podjęła decyzję. Podniosła się z miejsca, w którym spała w salonie. Weszła do kuchni i swoją długą miękką szczękę oparła na nodze kobiety, starając się wyraźnie dać do zrozumienia, że będzie musiała poszukać gdzie indziej. Kobieta pogłaskała ją w zamyśleniu, Almondine

poczuła znajomą dłoń na swoich bokach i pieśczoły za uszami. Była za to wdzięczna. Drzwi nie były zamknięte na zasuwkę. Nadal miała dość siły, żeby je otworzyć. Przeszła między porastającymi długie zbcocze rzędami drzew sadu i zaczęła przy najwyższym drzewie.

Może podróżuje. Więc i ona teraz to zrobi.

Z daleka słyszała zbliżanie się podróżnika. Odkąd tylko sięgała pamięcią, przejeżdżali przez ich podwórze znajomi pikapu, wymieniający dane empiryczne, oparte na faktach, matematyczne — handlarze niepoznawalnych wielkości. Długości geograficzne i azymuty. Sekansy i triangulacje. Gdy była młoda, uważała ich za intruzów, ale nauczyła się nie zwracać na nich uwagi, a swoje obawy uważać za niemądre. Byli niegroźni, z im tylko znanych powodów wałęsali się to tu, to tam. Choć byli ostentacyjni, rubaszni i głupi, dużo świata widzieli.

Zbliżał się z drugiej strony wzgórza; wzbijana przez niego chmura pyłu wypełniała powietrze między drzewami. Błysnął jego przód. Nie bała się. Trzeba próbować nowych rzeczy. Wewnątrz piastowała obraz chłopca z tamtego pierwszego poranka, gdy leżał rozbudzony w sennych ramionach matki. Wówczas myślała, że to co się wtedy zaczęło, będzie trwać wiecznie. A jednak jego nieobecność zbyt się przedłużała, żeby wszystko mogło być w całkowitym porządku. Na podwórzu nic o nim nie wiedziano. Ani w domu. Było tylko zapominanie, powolne, bardzo powolne, wyczuwała to, a w końcu istnieją pewne granice, ile można przetrzymać, będąc oddzielonym od swojej istoty?...

A w takiej sytuacji zawsze nieuniknione są poszukiwania.

Podróżnik był już blisko. Jeśli ten nic nie będzie wiedział, zapyta następnego. I następnego. Któryś będzie wiedział. Zadała pytanie pikapowi, ale milcząco przyznał się do niewiedzy. Ostatnio go nie woził, chociaż nie zaprzeczał, że wcześniej woził go wielokrotnie. Aż do tego

ranka nigdy przez myśl jej nie przeszło, żeby zapytać innych podróżników. Jakby coś jej podszeptało ten pomysł.

Wyszła na ostry czerwony żwir drogi. Tak bardzo pograżyła się w myślach, że prawie była nieobecna. Miała w sobie ten czas, kiedy on spadł z jabłoni, z tego drzewa, od którego właśnie odeszła. Z łomotem wylądował na plecach. I czas w zimie, kiedy nałożył na jej pysk tyle śniegu, że cały świat zrobił się biały, a ona przekopywała się w poszukiwaniu jego rąk w rękawiczkach. Zamknięte w niej były niezliczone poranki spędzone na obserwowaniu jego oczu otwierających się z trzepotem powiek przy przebudzeniu. Ale ponad wszystko pamiętała ich wspólny język, razem przez nich wymyślony, język, w którym można było wyrazić wszystko co ważne. Nie miała pojęcia, jak postawić podróżnikowi pytanie o to, co pragnęła wiedzieć, ani też w jakiej formie może nadejść odpowiedź. Podróżnik tymczasem był już przy niej, zły i zaganiany, i wkrótce miała poznać odpowiedź. Obłok kurzu jak chmura burzowa ciągnął się za nim ze wzgórza.

Stała bokiem na żwirze, odwróciła łeb i zadała swoje pytanie.

Zapytała, czy widział jej chłopca. Jej istotę. Jej duszę.

Jeśli podróżnik nawet ją zrozumiał, w żaden sposób tego nie okazał.

CZEŚĆ V

TRUCIZNA

Edgar

Szli spowici cieniem drzew ciągnącym się przez zachodnią część pola. Przed nimi czerwone deskowanie stodoły jarzyło się fosforyzująco w świetle zachodzącego słońca barwy wina z korzeniami. Na północnym skraju pola dwie lanie przeskakiwały przez ogrodzenie — każda wykonywała po dwa susy, nonszalancko, jakby na moment zamierając w powie-

trzu i dopiero po namyśle opadając na ziemię — i przedzierały się przez leszczyzny i sumak. Nagrzane powietrze wisiało nieruchomo, suche trawy kaleczyły nogi Edgara. Pole usiane było łodygami dziko rosnącej kukurydzy z postrzępionymi i obgryzionymi do trzciny liśćmi, a stroiczki stały brunatne i poskręcane od upałów. Wszystko już kruche i trzaskające, jakby pozwijane z bibułki papierosowej.

Zanim Edgar dotarł do sterty kamieni, Essay zdążyła przebiec przez podwórze, wprowadzając znajdujące się w stodole psy w euforię. Przysiadł na głazach i zaszuchał się. W równym stopniu targały nim tęsknota i lęk, lecz słuchając głosów psów, odczuwał przyjemność podobną tej, jaką starcowi sprawia słuchanie kołysanki. Wsłuchiwał się po kolei w pojedyncze głosy i nadawał im imiona. Ze swojego miejsca widział tylko dach domu wiszący ciemną plamą nad podwórzem. Czekał na ukazanie się jakiejś ludzkiej postaci, ale przed jego oczami błyskało tylko ciało Essay, wydłużone i nisko przecinające trawę, gdy zataczała kolejne kółko.

485

Podniósł się i pokonał pozostałą część drogi. Dom był ciemny. Na trawie stała zaparkowana impala. W ogrodzie dostrzegł zielony zagon ogórków i pnącza dyń, a z tyłu, już pod lasem, z pół tuzina słoneczników pochylało nad tym wszystkim swoje przekrzywione głowy. Zajrzał przez okna do salonu w nadziei, że zobaczy Almondine, chociaż od początku wiedział, że gdyby była w domu, już dawno znalazłaby sposób, by z niego wyskoczyć.

Gdy wszedł do stodoły, psy wsparły łapy na drzwiach kojców, witając go jodłowaniem, wyciem i skowytem. Przechodził od jednej zagrody do drugiej, pozwalając psom skakać i drapać po koszuli, śmiejąc się na widok ich szalonych podskoków, przypadania do ziemi i tarzania się. Przywitanie z Poutem, Finchem, Opal i Umbrą zostawił sobie

na koniec. Ukląkł i bezgłośnie wypowiedział imiona w ich uszy, a one wylizwały mu twarz językami. Kiedy już się uspokoiły, znalazł puszkę po kawie i nasypał porcję karmy dla Essay. Zaczęła ją skubać od niechce-
nia, dopiero po chwili nachyliła się, jakby nagle przypomniawszy so-
bie, co to za jedzenie.

W kojcu maluchów przywitały go dwa szczeniaki — tylko dwa z miotu ośmiu psiaków, które się urodziły przed jego odejściem. Były już odstawione od piersi, grubiutkie, brzuszki im się trzęsły, a ogonki biły w ziemię. Przykucnął i podrapał je pod brodą.

Jak was nazwali? Gdzie są pozostałe?

Poszedł do warsztatu. Popatrzył na szafy z dokumentami i na sto-
jące na nich książki. Słownik The New Webster Encyclopedic Dictio-
nary of the English Language w jego ręce był dziwnie lekki. Zapach
kartek przypominał kurz drogi. Oparł się o ścianę i pomyślał o dziadku,
o niekończących się ostrzeżeniach Brooksa, przypomniał sobie o Ha-
chiko. Pośród bezładnej mieszanki korespondencji wyszukał list z To-
kio i wyciągnął pogiętą fotografię, którą kiedyś tam ukrył. Spojrzał na
Claude'a i Forte'a przez siateczkę pęknięć w emulsji, po czym wsunął
zdjęcie do kieszeni.

Zamknął psiarnię i udał się do domu. Klucz do drzwi kuchennych
wisi w piwnicy na gwoździu. Edgar jadł prosto z lodówki, a wylewająca
się z niej mgła spływała prosto na jego stopy. Chleb, ser i pieczony kur-
czak bez kości. Następnie, z pięciolitrowym kubłem lodów waniliowych
pod pachą, przeszedł się po domu, wybierając lody łyżką i rozglądając
486

się dookoła. Kuchenny zegar. Kuchenka. Lampka nocna. Meble w salo-
nie, w półmroku skamieniałe jak widma. Ubrania wiszące w szafie mat-
ki. Wszedł po schodach i usiadł na swoim łóżku. W powietrze wzbił się

obłoczek kurzu. Na deskach podłogi leżało kilka martwych much, wysuszone niebiesko-zielone łupinki z celofanowymi skrzydełkami. Nawet mu przez myśl wcześniej nie przeszło, że może nikogo nie być w domu. Nie wyobrażał sobie, że przywita się z domem, zanim zobaczy matkę. A przede wszystkim zanim zobaczy Almondine. I choć wcześniej wyobrażał sobie, że znowu będzie spał w tym łóżku, patrząc teraz na nie, nie wiedział, czy to w ogóle jest możliwe.

Odłożył lody z powrotem do lodówki, a łyżeczkę wrzucił do zlewu. Essay drapała w drzwi na ganku. Wyszedł na dwór i szeroko otworzył drzwi, pozwalając jej przebiec się po domu i wykonać własną inspekcję. Kiedy wróciła, siedział przy stole na miejscu ojca. Przez długi czas nie ruszał się z miejsca, czekając. Trudno mu było nie myśleć o tym, jak teraz wszystko będzie wyglądać. Na koniec postanowił się umyć. Kiedy podniósł twarz znad ręcznika w łazience, na parapecie ujrzał żółwia z zielonego mydła, wykończonego z wyjątkiem jednej pomarszczonej tylnej nogi.

Udał się do kuchni, gdzie znalazł ołówek i kawałek papieru. Już przyłożył grafit do papieru, ale powstrzymał się i wyjrzał za kuchenne okna. Były otwarte, podparte patykami, a nocny wiaterek, gorący jak wyziewy jakiegoś zwierzęcia, poruszał zasłonami z kraciastej bawełny. Na gałęziach za oknem kołysały się ciemne dojrzałe jabłka. Ponownie przyłożył ołówek do kartki. „Zjadłem, gdy was nie było - napisał. - Wrócę jutro”. Następnie wyjął z kieszeni zdjęcie Claude'a z Forteem i położył je obok tej wiadomości.

Pozwolił Essay samej wybrać, czy woli zostać czy iść z nim. Zeszła po schodach ganku już spokojna, zaspokoiwszy ciekawość. Wsadził klucz do kieszeni i przez chwilę stał w miejscu, nie mogąc się zdecydować, gdzie ma się przespać. W tak gorącą noc na strychu będzie duszno. W magazynie na mleko znalazł stos jutowych worków i razem z Essay wyszli

na pole. Na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno, ale w docierającym z podwórza słabym świetle widział swój cień kładący się pod nogami. Dotarłszy do wąskiego końca lasu przy wielorybiej skale, strzepnął kurz z worków i rzucił je na ziemię. Essay kręciła się w miejscu, znowu rozwiązując odwieczną zagadkę układania się do snu. Ostatecznie spoczęła

487
odwrócona do niego grzbietem, z pyskiem wspartym wysoko na przednich łapach. Nad ich głowami rozblęła zorza pasmami niesamowitych neonowych świateł. Skupił wzrok na wiszącym w powietrzu i migającym przez siano ziarenku światła na podwórzu, wdychając wypełniającą nocne powietrze woń pyłków kwiatowych i zgnilizny.

Spali, kiedy pikap wspiął się na wzgórze. Księżyc już wzeszedł i otaczające ich pola pokryły się solą i srebrem. Edgar usiadł na workach i obserwował samochód, który zawrócił i zatrzymał się przy ganku wśród szalonego szczekania witających go psów. Essay podniosła się i zaskowytowała. Edgar położył jej dłoń na biodrze. Obwąchała go i po chwili odwróciła łeb, żeby dalej patrzeć.

Samochód wypluł z siebie postaci Claude'a i matki Edgara. Claude uniósł klapę na pace samochodu i wyjął dwie torby z zakupami, a tymczasem matka Edgara zatrzymała się, żeby uspokoić psy. Drzwi na ganku otworzyły się ze skrzyknięciem, po czym zatrzasnęły. W szerokich oknach salonu pojawił się przyćmiony blask kuchennego światła. Claude jeszcze dwukrotnie przechodził między gankiem a pikapem. Gdy robił to po raz ostatni, stanął i rozejrzał się po podwórzu, po czym zamknął pakę na aucie, wszedł na ganek i wyłączył światło.

Siedzący pod rozgwieżdżonym niebem Edgar czekał na Almondine.

Nie wyskoczyła z platformy pikapa. A tego przecież oczekiwał. Po prostu ją przeoczyłem, powiedział sobie. Zamknął oczy, żeby ponownie zo-

baczyć tamten widok. Ale ona od razu by go wyczuła. Czuł, jak targają nim sprzeczne uczucia: z jednej strony chciał raz na zawsze zamknąć ten etap życia, z drugiej wolałby, żeby on nigdy się nie skończył, zdając sobie sprawę, że to co będzie później, jedynie zredukuje przeszłe wydarzenia, aż zostaną z nich tylko wspomnienia, porzewiała historia, ledwo pamiętane marzenie.

Skoro nie było jej w domu, musiała pojechać z nimi do miasteczka.

Albo jedno, albo drugie. Innej możliwości nie było.

Spojrzał na stojącą samotnie pośrodku pola kępę brzoź. Była połowa sierpnia i kiedy się podniósł, łodygi tymotki sięgały mu prawie do pasa.

Ruszył niepewnym krokiem, rozcapierzonymi dłońmi uderzając w ich wiechy. Pnie brzoź przekrzywiały się i rozmywały, liście w ich koronach blado drżały. Po chwili stanął w szerokim kręgu skoszonej pod drzewami trawy. To tu znajdował się dobrze mu znany biały krzyż nad grobem mar-
488

twego noworodka, a także ten nowszy, dla jego ojca. koło nich zaś widniał nieoznaczony jeszcze wydłużony prostokąt świeżej ciemnej ziemi.

Zaparło mu dech. Poczul się jak marionetka, której odcięto sznurki.

Leżał z czołem przyciśniętym do ziemi, z nozdrzami pełnymi zapachu żelaza i gliny, kurczowo chwytając i wypuszczając ziemię z rąk. W głowie słyszał ryk oceanu. Cała jego pamięć, cała przeszłość, wezbrała w nim, ogarniając go od wewnątrz. Obrazy Almondine. Jak bardzo lubiła masło orzechowe, ale orzechów już nie; jak wolała fasolkę półksiężycowatą od kukurydzy, lecz nie chciała jeść groszku; jak najbardziej na świecie uwielbiała miód i jak zlizywała go z palców Edgara, z jego ust, ze swego nosa, na który go nakładał. Jak lubiła wyrywać mu coś z ręki, a potem pozwalała to odebrać. Gdy brał w dłonie jej brodę, opuszczała leb coraz niżej aż do ziemi i potem w tej pozycji pozostawała. Jak odmienne było głaskanie jej dłonią i czubkami

palców. Jak kładł rękę na jej boku, kiedy spała, a ona nie musiała otwierać oczu, żeby zrozumieć, co się dzieje, i tylko jej oddech się zmieniał.

Przypominał sobie czasy dzieciństwa, gdy Almondine była młoda i hałaśliwa, bardziej zdając mu się dzikim koniem niż psem, gdy potrafiła przemierzyć podwórze szybciej niż jaskółka i dogonić go, kiedy biegł po polu, na które teraz spoglądał. Lubił jej się wymykać — żeby go gonila, żeby patrzeć, jak ona mknie. Potem do niego dobiegała, wówczas odwracali się i razem pędzili po polu w kierunku gąszczy malinowych krzewów, do miejsca, które lubił po prostu dlatego, że mógł przez nie przejść bez szwanku, bo był tak mały. Ale pewnego razu coś tam zobaczyli — jakieś zwierzę, którego nigdy wcześniej nie widział, z szerokim pyskiem, szpiczastym nosem i wielkimi gładkimi czarnymi pazurami. Zaskoczyli je wtedy - odwróciło się do nich przodem i odezwało się charczącym kaszlem, sycząc i kopiąc w ziemię, omyłkowo wzięwszy ich szalony bieg za atak. Za jego zadem sypały się rozrzucone grudy. Edgar zrobił krok w tył, lecz zwierzę, niczym przywiązane do niego niewidzialną nicią, skoczyło do przodu na podobną odległość, z oczami jak z czarnego marmuru wlepionymi w niego, jakby zobaczyło potwora, gardłowo dysząc, i raz po razie odwracało się, żeby klapnąć szczęką przed swoimi tylnymi łapami, i obracało się z powrotem, by znowu na nich spojrzeć, a z pyska zwisała mu broda białej piany.

Edgar, sparaliżowany widokiem zwierzęcia przesuwanego się bokiem do przodu po każdym zrobionym przez niego kroku, nie wiedział, jak długo Almondine stała przy nim. Nagle znalazła się między nimi,

489

zasłaniając mu widok i tak mocno uderzając go w biodro, że o mało nie upadł. Nie wbiegła, nie użyła żadnych czarów znanych z zabaw, niczego specjalnego czy pomysłowego, nie poruszała się z taneczną gracją. Po prostu weszła między nich, nawet nie machnęła ogonem. Po chwili

obróciła się i polizała go po twarzy, a Edgar ze zdumieniem zrozumiał, co ona robi. Gdyby się ruszyła, odsłoniłaby go, więc nie mogła się ruszyć. Prosiła go, by odszedł, mówiąc, że to on może ją uratować, a nie na odwrót. Nie zaryzykowałyby starcia z tym zwierzęciem. Ale odejść mogła, dopiero kiedy Edgar się oddali, i to na tyle daleko, że ta istota nie rzuci się za nim w pogoń. Oderwała wzrok od tamtego zwierzęcia tylko na chwilę, na tyle, żeby Edgar wszystko zrozumiał.

Wycofując się, patrzył na nią stojącą tam całą wieczność. Kiedy dotarł do stodoły, przykucnęła, dała susa i już po chwili pojawiła się u jego boku. Pamiętał też, jak następnego dnia zobaczyli tamto zwierzę na drodze - martwe i pokryte muchami.

I była Almondine bawiąca się z nim przy łóżeczku. Tańcząca dla niego, lekka jak piórko.

Pomyślał o ojcu, jak stał w drzwiach stodoły i patrzył w niebo w kierunku nadciągającej burzy, podczas gdy matka krzyczała: „Gar, chodź do domu, na Boga!”. Czasami tak bywa. Człowiek staje przed czymś i czeka, co się wydarzy, i to wszystko. Boisz się, lecz to nie ma znaczenia.

Trzeba stawić temu czoło. Niczego nie da się przechytryć. Jeśli Almondine zachowywała się wesoło, była wesoła, mimo że o tym wszystkim wiedziała, równie wyzywająca jak przed tym wściekłym zwierzęciem.

I to nie były jakieś makabryczne myśli, tylko rzeczywisty świat. Czasami spojrzano się temu czemuś prosto w oczy i to coś zniknęło. A czasami nie. Trąba powietrzna mogła porwać Essay nad jeziorem, ale tak się nie stało, i nie było w tym nic szczególnego, może poza jej przekonaniem, że to ona ją przegoniła.

Planował wejść rano do domu. Nie wiedział, co może się wydarzyć.

Jego wiadomość znalazł Claude. Edgar to zrozumiał. Gdyby matka ją przeczytała, wybiegłaby na dwór, wykrzykując jego imię. W domu jed-

nak było ciemno i nikt z niego nie wybiegł.

Oparł dłoń na grzbiecie Essay i razem obserwowali podwórze. Czuł się pusty jak wydrążona tykwa. Wiedział, że tej nocy już nie zaśnie. Umieszczone na słupie światło podwórza wznosiło się wysoko i jasno nad sadem, a jego blask okrywał dom, podwórze i wszystko poza tą ciemnością i czerniejącym u góry niebem. Po chwili Claude zszedł z ganku i ruszył podjazdem. Pod tylnymi drzwiami stodoły pojawiła się smuga światła. Po kilku minutach smuga zgasła, a Claude przeszedł z powrotem do domu, wspiął się po schodkach ganku i nie zatrzymując się, zniknął w ciemnościach.

490

Trudi

Trudi leżała w łóżku, w półśnie rozmyślając o psach — o tej szczególnej nucie poruszenia, jaką usłyszała w ich głosach, gdy tylko wysiadła z pikapu. Coś jakby rozgorączkowanie, choć niezupełnie to, ale wystarczyło, żeby się zatrzymała i rozejrzała po podwórzu. Nie dostrzegła żadnych typowych przyczyn poruszenia — ani jelenia buszującego po ogrodzie, ani skunksa przemykającego w cieniu czy też szopa zerkającego czerwonymi ślepiami spod jabłoni. I gdy tylko gestem poleciła psom ucichnąć, natychmiast się uspokoiły. Doszła do wniosku, że wpłynęła na nie późna pora ich powrotu albo spektakularna pełnia księżyca wiszącego nad wierzchołkami drzew. Nie dawało jej jednak spokoju poirytowanie, które słyszała w ich głosach. Podobnie chyba też czuł się Claude; kiedy o rym rozmyślała, usiadł na łóżku i we wpływającej przez okno błękitnej poświacie księżyca zaczął się ubierać.

— Idę zajrzeć do szczeniaków — szepnął.

— Pójdę z tobą.

— Nie. Śpij sobie. Zaraz wrócę.

Sprężyna w drzwiach ganku wydała żelazny jęk i Trudi została sama.

Podejrzewała, że psy nie były jedyną przyczyną wyjścia Claude'a. Z jakichś nieznanых jej powodów wstydził się swojej bezsenności do tego stopnia, że kiedy go pytała rano, od jak dawna nie śpi, nic nie odpowiadał. Początkowo wychodziła chyłkiem za nim, jeśli budziła się, a jego nie było, i patrzyła, jak spaceruje po podwórzu z rękami w kieszeniach, z opuszczoną głową, dopóki miarowy rytm kroków, krok po kroku, krok po kroku, nie uwolnił go od tego, co w nim siedziało. Ale najczęściej Claude'a dręczyły deszczowe noce. Siedział na ganku, przeciągając

492
czubkiem scyzoryka po kostce mydła, i w jego rękach wyłaniała się taka czy inna figurka, następnie rzeźbiona w mniejszą i jeszcze mniejszą, aż zupełnie zniknęła. Znalezione w śmieciach okruchy i wióry najwymowniej świadczyły, jak długo siedział w ciemnościach.

Trudi miała własny powód do wyjścia na dwór. Byłaby to okazja, choć spóźniona, by stanąć za silosem — by dać nocny sygnał Edgarowi, że może bezpiecznie wrócić do domu. Ale zanim zaparkowali samochód i wnieśli zakupy do domu, zrobiło się już bardzo późno i zupełnie ciemno. Mimo to gdyby udało jej się znaleźć możliwość dyskretnego wyjścia, i tak by spróbowała.

Ta umowa z Edgarem była jedyną informacją związaną z tamtą nocą na strychu, którą nie podzieliła się z Claude'em, pozostawiając go w przekonaniu, wraz z Glenem i wszystkimi innymi, że Edgar uciekł ogarnięty panicznym strachem na widok Page'a leżącego tak blisko miejsca, gdzie zmarł Gar. Sama dokładnie nie wiedziała, dlaczego zataiła to przed Claude'em, skoro o wszystkim innym mu powiedziała. Może po części dlatego, że jej zdaniem miało to być krótkotrwałe oszustwo. Już następnego wieczoru weszła w wysoką trawę i stanęła twarzą do zachodzącego słońca, spodziewając się, że zobaczy Edgara wyłaniającego się

z lasu podobnie jak Gar, tak dawno temu, gdy jego mieniąca się postać pojawiła się między osikami. W końcu obawiając się, że Claude zacznie ją wypytywać, weszła do domu głucha na szept podpowiadający jej, że Edgar tam jest i patrzy, ale postanowił jej nie wierzyć.

Podobnie było następnego wieczoru. I we wszystkie kolejne.

Cóż ją opętało, że kazała Edgarowi uciec? Niemal natychmiast zdała sobie sprawę, że było to zbyteczne i głupie, lecz zdążył już zniknąć.

Wystawanie za silosem przybrało formę codziennej pokuty za popełniony błąd, nie przynoszącej jednak ukojenia. Pociechę znajdowała tylko w tym, że psy, które poszły z Edgarem, nie wróciły, co oznaczało, że nadal gdzieś tam są. A to z kolei znaczyło, że jest bezpieczny. Wciągnęła nerwowo powietrze, rozmyślając o tym: był wszystkim, co pozostało z jej rodziny, i nie wiedziała, gdzie się podziewa.

Ale czasami Trudi nachodziła myśl, że Edgar wrócił, tylko raz, właśnie w wieczór, kiedy nie mogła znaleźć wymówki, aby wyjść na dwór, i straciwszy nadzieję, odszedł już na zawsze. W takich chwilach przed jej oczami pojawiał się obraz czarnego ziarna, już rozwiniętego w ide-

493

alnie czarne pnącze z łodygą i liśćmi — obraz z tamtych dawno minionych dni po ostatnim poronieniu.

(Noc była gorąca. Jej myśli zaczęły się unosić gdzieś między zadumą a snem; bezustannie krążąc i wirując. Oddala im się zupełnie niczymś wiadomy pasażer własnego umysłu.)

Tak byli oboje z Garem przekonani, że z ciężą wszystko jest w porządku ! A później w Trudi wytworzyła się pustka, jakiś surowy, wydarty światłem słonecznym środek — coś potwornego, co szeptało, jak łatwo spaść ze schodów. Znaleźć spokojne miejsce nad rzeką i wejść do wody. Spożywanie posiłków zmieniło się we wsypywanie piasku do ust. Sen

w duszenie. Ulgę przynosiły tylko chwile, w których sięgała w głąb siebie i obejmowała to miejsce. Wiedziała, że w ten sposób tylko rozczula się i uzala nad sobą, ale w tym miejscu czas tak kojąco się kurczył. Kiedy otwierała oczy, był ranek. Gar podawał jej kubek z kawą. Gdy odchodził, zamykała oczy i był już inny poranek, a dzień minął.

Każda spędzana w ten sposób godzina zatruwała ją, Trudi zdawała sobie z tego sprawę, jednak to wrażenie było przemożne, zniewalające, w równej mierze przepelnione strachem, jak i pragnieniem. W końcu zbudziła się powodowana przewrotnie egoistyczną troską o Gara, ponieważ ucieczka do tego czarnego centrum nie przynosiłaby już jej spokoju, gdyby również on został tam wciągnięty. Zmusiła się do wstania z łóżka i zeszła na dół. Gar nie posiadał się z radości. Zostawił ją samą na ganku, a potem wrócił, tuląc w rękach tego dzikiego szczeniaka, tak wyziębionego, że ledwo oddychał, czarno-szaro-brunatna kulka w jego rękach, z błyszczącymi ślepkami i łapkami przebierającymi po dłoni Gara. To właśnie była pierwsza rzecz, która ją poruszyła — pierwsza konkretna rzecz — od urodzenia martwego dziecka. Gdy tylko dotknęła wilczka, wiedziała, że nie przeżyje, ale jednocześnie miała pewność, że muszą spróbować.

Łóżeczko dziecinne już od tygodni było gotowe. Chciała, żeby w nim szczeniak zdecydował, czy będzie żył czy umrze. Żeby te przygotowania nie były bezcelowe. Gdy Almondine obudziła ją w nocy, Trudi nachyliła się nad drewnianą barierką, zaniósła szczeniaka do fotela bujanego i położyła go sobie na fałdach koszuli nocnej. Kołysała się i patrzyła na szczeniaka. Czy on też ma swoje czarne miejsce? zastanawiała się. Nie był ranny. Czy może tak po prostu wybrać życie? A jeśli woli umrzeć, dlaczego tak bardzo walczy? Przesunęła palcem po kostkach jego żeber, po ledwo wyrosłej sierści na brzuszku. I jakoś tak się stało, że zawarli między sobą umowę; Trudi sama nie wiedziała, jak do tego doszło, tak

jednak się stało. Po chwili szczeniak zamknął oczy i wydal ostatnie niki westchnienie.

Czym innym jest żyć w świecie, w którym śmierć jest jakąś odległą postacią, a czymś zupełnie innym trzymać ją w dłoniach, Trudi zaś w ciągu ostatniego miesiąca już dwa razy musiała to robić. Pomyślała, że tej nocy zawarła pakt z samą śmiercią: Trudi może zostać, jeśli pozwoli również zostać śmierci. Wybierając życie, zdecydowała się na sprzeczność. Minęła noc. Zanim Gar znalazł ich nazajutrz, wielka fala smutku podniosła się w niej i cofnęła, pozostawiając to czarne miejsce zmniejszone do wielkości ziarenka.

Później przelała swoje życie na tych kilka otaczających ją istot — na Gara, Almondine oraz na psy i na ich szkolenie. Zamknęła na glucho tę zwiędłą cząsteczkę, lekceważąc ją i zalewając gorączkową pracą. Mijały lata. Na świat przyszedł Edgar, wieczna tajemnica dla nich wszystkich, może poza psami. Trudi rzadko wracała myślami do tamtej nocy. Zaczęła wierzyć, że to czarne miejsce opuściło ją, a wszelkie próby przypominania sobie mogą jedynie na powrót je przywołać.

Myliła się. Po pogrzebie Gara, gdy w pełni rozwinęło się w niej zapalenie płuc, w jej snach ponownie pojawiło się to drobne ziarno. Jego łuska pękała. Z powstałej szczeliny kielkowała nić delikatna jak jedwab. Nazajutrz znikała jak płochliwe zwierzę. Ale najbardziej rozgorączkowane sny dopiero miały nadejść, a w nich sama nakłaniała kosmyk do wyjścia. Owijał się wokół jej bioder, talii i piersi. Wił się przez jej włosy i po twarzy, aż zupełnie ją oplatał każdym centymetrem swojej aksamitnej czerni. Początkowo przynosił ukojenie, lecz pewnego ranka, budząc się, odkryła, że kosmyki utworzyły wokół niej klatkę. Na moment wpadła w przerażenie, dopóki nie przypomniała sobie, jak to działa; nabrała powietrza i sięgnęła w głąb.

Wkrótce potem podjęła pewne decyzje, być może nawet niesłuszne. Wmówiła sobie, że niechęć Edgara do Claude'a będzie maleć, jednak teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie dlatego właśnie syn nie wraca. Nie potrafiła stawić czoła tej myśli, podobnie jak innej: że Edgar może w ogóle nie wrócić. O tych sprawach mogła myśleć tylko przelotnie, angażując zaledwie część umysłu. I z takimi sprzecznościami nauczyła

494

się żyć. W lipcu Claude umówił się na umieszczenie w nowych domach dwóch psów z miotu Edgara — Opal i Umbry, bliźniaczek, jak je nazywał Edgar — ale gdy zbliżył się termin oddania psów, Trudi się zaparła. A w zasadzie wpadła w histerię na myśl o czymkolwiek, co mogłoby zredukować obecność jej syna w domu. Trzeba było odwołać umowy o sprzedaży psów. Żeby załagodzić sytuację, zgodziła się oddać w zamian dwa szczeniaki. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie zrobili.

(Claude wrócił do sypialni. Usiadł na skraju materaca i zaczął rozpinąć koszulę. Westchnęła i przewróciła się na drugi bok.)

Przez całe tygodnie po przebytych zapaleniu płuc zmuszała się do wyjścia do psiarni, udając, że wraca do zdrowia. Nie, nie udając — rzeczywiście wracała do zdrowia, lecz tylko fizycznie. Kiedy rano Edgar wsiadał do szkolnego autobusu, cisza w stodole była nie do zniesienia. Słuchanie muzyki jeszcze gorsze. Almondine przychodziła do niej i zwinęta spała obok, przynosząc nieco pociechy, ale ciężar przytłaczający Trudi był tak wielki i łóżko przyciągało ją z taką siłą, że najczęściej późnym rankiem była już w domu i spała wyczerpana.

Pewnego wczesnego popołudnia na końcu podjazdu pojawił się samochód Claude'a. Trudi obserwowała z ganku, jak Claude szeroko otwiera wrota stodoły i wchodzi do środka. Usiadła w salonie i czekała.

W końcu sama udała się do stodoły. Zobaczyła, że Claude waży jakiegoś szczeniaka i coś zapisuje. Popatrzył na nią, nic jednak nie powiedział. Przez prawie cały pierwszy tydzień nie odzywali się do siebie z wyjątkiem drobnych pytań, najpilniejszych problemów. Trudi nie była zadowolona z obecności Claude'a i nie potrafiła tego ukryć; chciała powiedzieć mu, żeby sobie poszedł, ale wiedziała też, że potrzebna jej pomoc. Codziennie przed powrotem Edgara ze szkoły Claude wsiadał do samochodu i odjeżdżał, czasami rzucając tylko przelotnie „Cześć”. Dwukrotnie zanim podniosła wzrok, jego po prostu już nie było.

W sobotę, kiedy Claude nie przyjechał, poczuła ogromną ulgę.

W niedzielne popołudnie złapała się na tym, że wygląda przez okno.

Impala pojawiła się ponownie w poniedziałek późnym rankiem. Trudi leżała w łóżku, nie potrafiąc się z niego podnieść. Poczowała złość. Czego on chce? Milczący czy nie, Claude miał jakiś powód, żeby tu przyjeżdżać. Tymczasem ona wolała być sama. Cała energia, jaką była w stanie z siebie wykrzesać, szła na mozolne wykonywanie codziennych obowiązków i opiekę nad Edgarem. Sztywnym krokiem udała się do stodoły. Claude klęczał na podłodze pomieszczenia medycznego. Wszystkie szuflady i szafki stały otworem. Wokół niego stały i leżały fiolki z tabletkami, nożyczki z nierdzewnej stali, opakowania gazy i butelki środków odkażających. Zamierzała kazać mu wyjść, w zamian wyrwało się jej pytanie:

— Powiedz mi tylko jedno. Brakuje ci go?

Claude podniósł się, spojrzał na nią i zwilżył wargi. Odetchnął głęboko, aż ramiona mu się uniosły.

— Nie — odrzekł. I po chwili dodał: — Ale pamiętam o nim. Pamiętam go takiego, jaki był.

Spodziewała się usłyszeć jakieś gładkie kłamstwo. Nawet miała nadzieję, że tak będzie, łatwiej byłoby wówczas kazać mu się wynieść.

Claude natomiast wypowiedział te słowa, jakby wręczał jej prezent. Jakieś zadośćuczynienie. Zapadła cisza, podczas której przeszło jej przez myśl, że być może nawet przeprosi ją za tę odpowiedź (co też byłoby fałszywe), lecz Claude tylko czekał. Jego postawa i wyraz twarzy mówiły, że odejdzie, jeśli Trudi mu każe. Nadal nie rozumiała, co Claude robi, widziała jednak, że nie zamierza się jej narzucać. Przychodził - tak jej się przynajmniej wydawało - z jakiś jemu tylko znanych powodów, żeby ukoić swoje wspomnienia lub uczucia związane z Garem. A może miało to być zadośćuczynienie za to, że nie oplakiwał śmierci brata.

— Jeśli zamierzasz nadal tu przychodzić, mógłbyś przynajmniej zapytać mnie, co trzeba zrobić — powiedziała.

— No to co trzeba zrobić?

W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że pomieszczenie medyczne wygląda katastrofalnie i trzeba by je dokładnie posprzątać, wyrzucić przeterminowane leki, poukładać wszystko od nowa. Ale stali w samym środku tego pomieszczenia, a on właśnie tym się zajmował.

— W zimie siadła jedna opona w Alicji — odezwała się.

— W porządku. Co jeszcze?

— Nic. A raczej wszystko.

— Nie sprzątaj kojców — powiedział. — Zajmę się nimi, jak tu skończę.

A oto co się stało: gdy Trudi czuła się najbardziej bezbronna, dosłownie w obecności Claude'a szansę na odzyskanie gruntu pod nogami) po

496

wstrzymanie tego procesu osuwania się w nicość, którego będąc sama, nie potrafiła kontrolować. Poprosiła go, żeby opowiedział jej jakieś swoje wspomnienie o Garze.

— Co chciałabyś wiedzieć?

— Cokolwiek. Opowiedz swoje najwcześniejsze wspomnienie z nim związane. Co pamiętasz jako pierwsze.

Zatrzepotał powiekami i odwrócił wzrok.

— Może ci się to nie spodobać — odparł. — Znałem nieco innego Gara niż ty.

— Mnie to nie przeszkadza — stwierdziła. — Po prostu mi powiedz.

— Ale pomyślała: „Taką mam właśnie nadzieję. Gdybyś znał takiego samego Gara, oboje bylibyśmy zgubieni”.

— Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to pamiętam burzę śnieżną — powiedział. — Początek burzy. Pierwszej w moim życiu. Mogłem mieć najwyżej trzy lata, bo tak wielka ilość śniegu była dla mnie szokiem. Staaliśmy w salonie i przez okno wyglądaliśmy na podwórze i ciągnące się dalej pola. Wszystko powoli znikało: najpierw drzewa na końcu pola, potem całe pole, a na koniec nawet stodoła. Pomyślałem, że świat już na zawsze się zmienia. Byłem ogromnie podniecony i koniecznie chciałem wyjść na dwór. Pamiętam, że pragnąłem zobaczyć, ile śnieżynek mogę złapać w dłoń. I czy uda mi się prześledzić trasę jednej z nich aż na ziemię i patrzeć, jak ona ląduje. Chciałem je skosztować. Nie rozumiałem, że są zimne, i nie wiedziałem, dlaczego Gar nie pozwala mi wyjść. Choć teraz gdy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że jemu nie chodziło o zimno. Jemu zależało tylko, żeby nikt...

— Nie zrobił śladów na śniegu — szepnęła.

Claude spojrzał na nią zaskoczony i skinął głową.

— Zgadza się. Powiedział mi, że jeśli zaczekamy do rana, to kiedy się obudzimy, będziemy zdumieni. Pikap zniknie. Ze stodoły zrobi się igloo. Tylko nie wolno nam deptać śniegu, póki pada. Ale ja wbiłem sobie do głowy, że dzieje się coś wspaniałego, że wyzwoliła się jakaś siła,

a rano wszystko wróci do stanu normalnego, i rzuciłem się do biegu. Zanim się zorientowałem, Gar już stał między mną a drzwiami do kuchni, odpychając mnie i krzycząc.

Tak, pomyślała. Pamiętała te wszystkie burze, kiedy Gar stał w drzwiach stodoły i patrzył w niebo. Poczowała, że ściskanie w żołądku ustępuje. Claude nie znał innego Gara, tylko młodszego. Roześmiała się. To niewiarygodne, potrafiła się roześmiać. Później oczywiście płakała, tak jak płacze ktoś, kiedy w końcu nakłada się balsam na oparzenie. Ale najbardziej niewiarogodne było to, że tej nocy po raz pierwszy od śmierci Gara mogła wypocząć.

Następnego dnia krzyknęła na Claude'a od drzwi ganku i naląła mu kawy. Zapytała go, czy wówczas w końcu wyszli na śnieg czy zaczekali do rana. Zdawała sobie sprawę, że wkracza na niebezpieczny grunt i że jeśli zbyt mocno naciśnie (a taki był jej pierwszy odruch — chwycić nieć opowieści przytoczonej przez Claude'a i z całych sił za nią pociągnąć), on może zamilknąć. Zaczęło się swoiste uwodzenie. Tak. Erotyczna gra. On tego pragnął bardziej niż ona, lecz ona też nie była niechętna. W zasadzie to nie była rzeczywista wymiana: coś za coś. Czasami gdy kończyły się jej pytania, sama prowadziła go do sypialni, a w tym akcie zawsze wyrażała się odrobina wdzięczności. Choć również egoizmu. A nocami spała. Błogo spała.

Jak na ironię, im bardziej wspomnienia Claude'a o Garze uwalniały Trudi od dręczących ją niepokojów, tym bardziej przechodziły one na Claude'a. Słuchając jego opowieści, w końcu była w stanie pożegnać się — pożegnać się z młodym Garem, Garem nastolatkiem, Garem, jakiego nigdy nie знаła, ale w ten czy inny sposób spodziewała się poznać. Claude mówił o starszym bracie tonem chłodnym i beznamiętnym. Dowiedziała się o rzeczach, które tylko brat mógł znać, zwłaszcza młodszy

brat dorastający w cieniu Gara, obserwujący go, naśladowający, podziwiający i potwornie z nim walczący.

Czy mogła cokolwiek z tego wytłumaczyć Edgarowi? Jak mogła wyrazić, że potrzebuje Claude'a, ponieważ on znał Gara i nie został zdruzgotany przez jego śmierć? Jak mogła wytłumaczyć, że gdy najbardziej brakowało jej Gara, dzięki rozmowie z Claude'em i wysłuchiowaniu jego opowieści mogła przez moment pamiętać, naprawdę pamiętać, że Gar istniał? Jak mogła wytłumaczyć, że potrafi wstać rano z łóżka, bo istnieje szansa, że znowu otrze się o Gara?

I powoli poznawała Claude'a. Był mistrzem w sztuce odwracania uwagi. Znajdował wręcz niezdrową przyjemność w kuszeniu psów, kiedy z nimi ćwiczyła. Gdy pewnego dnia powtarzała z nimi przywołania, przeszedł przez podwórze z kartonowym pudłem pełnym wiewiórek — wówczas jeszcze nie wiedziała, co jest w środku. Kiedy psy były w połowie drogi do niej, jednym szarpnięciem podniósł klapę i trzy szare smugi przecięły trawnik. Psy odwróciły się gwałtownie i rzuciły w pogoń.

— Nieźle — powiedziała ze śmiechem. — Jak to zrobiłeś?

— Och. Pradawna chińska sekreta — odparł.

Talent Claude'a—jeśli tak można to nazwać — był tym bardziej zaskakujący, że przychodziło mu to bez wysiłku. Wyglądało na to, że wie o wszystkich okolicznych rozrywkach w odległości dnia drogi. Ludzie sami, nieproszeni, informowali go o różnych uroczystościach, dużych i małych. Od planu staruszków z wytwórni paszy, którzy wybierali się skosztować serwowane w lokalnej restauracji nowe klopsiki, po mecze bejsbolowe i potajemne walki. Tego wieczoru wybrali się na zakupy do Park City, a wylądowali na jakimś weselu, na podwórzu znajomego kuzyna człowieka, którego Claude raz spotkał w Dziupli. Tylko na godzinkę, obiecywał Claude, a do domu wrócili tuż przed północą. Bę-

dać sierotą, do dwunastego roku życia wielokrotnie przekazywaną od jednych krewnych do drugich, Trudi nabrała samodzielności wiejskiej dziewczyny, ale jak nie ulec czarowi, kiedy wita cię grupa ludzi prawie nieznanym — ludzi wśród których od lat mieszkała, lecz nigdy się z nimi nie spotkała? Jak to możliwe?

Porównywanie Claude'a i Gara nie było najlepszym pomysłem, zdawała sobie z tego sprawę, pod tym względem jednak stanowili przeciwieństwa. Gar raczej starał się unikać zamieszania, nawet radosnego, woląc obsesyjny porządek. Uwielbiał wręcz te swoje rejestry hodowlane — tyle szuflad wypchanych kartotekami, zdjęciami, notatkami, rodowodami! Równie żarliwie wierzył w moc doboru hodowlanego, jak w tresurę — uważał, że w naturze psa nie istnieje nic, czego nie dałoby się przystosować do pożytecznej pracy. Właśnie przystosować, a nie zmienić, i dopiero na koniec przekształcić. A tego ludzie nie rozumieli. Ludzie, którzy nie poświęcili temu problemowi wielu lat ciężkiej pracy, byli zdania, że tresura oznacza narzucanie psu swojej woli. Albo że tresowanie wymaga jakichś czarodziejskich zdolności. Oba te poglądy były mylne. Prawdziwa tresura polegała na obserwowaniu, słuchaniu, ukierunkowywaniu żywiołowości psa, a nie na jej tłumieniu. Nie można zmienić rzeki w morze, ale można ją poprowadzić innym kanałem. Tej 500

dyskusji nigdy na poważnie nie dokończyli. Gar twierdził, że jej sukcesy w tresurze stanowią dowód na to, iż jego zapisy, odpowiednio zinterpretowane, z każdym pokoleniem przybliżają psy do jakiegoś ideału, choć sam nie potrafił określić jego cech. Z kolei Trudi wiedziała swoje. Tresura, jeśli w ogóle coś o niej można było powiedzieć, z latami stawała się tylko trudniejsza.

Z kolei Claude prawie w ogóle nie zwracał uwagi na rejestry. Dla

niego były jedynie środkiem prowadzącym do celu. Bardziej trapił się, w jaki sposób wzbudzić zainteresowanie przedstawicieli firmy sprzedaży wysyłkowej Carruthers po tym, jak nie powiódł się pomysł utworzenia filii psiarni u Bensona, tego Teksańczyka, który dostatecznie dużo widział w wieczór ucieczki Edgara, żeby nabrać obaw, a nie oczekiwanego entuzjazmu.

Być może te rozrywki nie były przypadkowe. Gdy tylko zaczynała się pograżać w myślach, Claude wręcz zrywał się, żeby ją z nich wydobyć za pomocą wina czy muzyki, czegoś prostego, co można było zrobić od razu. Wypad do kina w Ashland. Przejazdźka bocznymi drogami przez polany porośnięte bujną roślinnością. Spacer przy wodospadzie, tam gdzie rzeka Bad z ogłuszającym rykiem roztrzaskuje się na granitowych słuzach. Nieraz zgadzała się na ten ostatni pomysł; stojąc na kładce nad szarą otchłanią, wyciągał butelkę brandy i razem obserwowali, jak zaciśnięta w powietrzu pięść wody wznosi się i opada. Pociągnąwszy kilka razy z butelki, szeptał słowa Coleridge'a: „Aż pośród roztańczonych głazów na świat święta rzeka wytrysnęła. Przez pięć mil wiła się labiryntem meandrów pośród pól i lasów, aż dotarła do bezmiernych człowiekowi grot i tam z łoskotem skończyła swój bieg w martwym oceanie”.

Przeniósł stary gramofon z warsztatu do domu. Uwielbiał każdą muzykę — big bandy, Elvisa, Rolling Stonesów. Jedynie muzyka klasyczna nudziła go swoją uporządkowaną jałowością. Zwłaszcza upodobał sobie głosy — krzyczące, błagające, śmiejące się — a jego ulubieńcami byli piosenkarze wspaniale śpiewający melodyjne piosenki. Lubił Franka Sinatrę za pierwotną siłę jego interpretacji. Lubił Eydie Gorme za jej promienną niedoścignioność („Blame It on the Bossa Nova” wprowadzała go w komiczny stan podniecenia). Jednak szczególną słabość miał do piosenkarzy śpiewających w stylu sweet — na przykład do Per-

ry'ego Como czy Mela Torme'a, którym Trudi gardziła. Opuszczając igłę
501

gramofonu na płytę Mela Torme'a, Claude ogłaszał ściszym głosem:
„Oto Welwetowa Mgła!” i patrzył na Trudi szeroko otwartymi oczami,
jakby występowali w scenie z horroru. Taki był właśnie Claude — pod-
stępem skłaniający ją do śmiechu właśnie dlatego, że ona się opierała.
Trochę ją to złościło, ale tak naprawdę chciała, żeby znowu to zrobił,
jak dziewczynka klaszcząca i wołająca do iluzjonisty, by wypuścił jesz-
cze jednego gołębia z rękawa. Tylko że w przypadku Claude'a ten gołąb
zdawał się wyłaniać z jej wnętrza.

(Jej umysł tkwił w półmroku cząstkowej świadomości, w którym
myśli pękają i dryfują jak kry. Claude leżał obok, potężny, ciężki, gorą-
cy. Była zadowolona, że zajrzał do psiarni. Pierwszą informacją, jaką
podzieli się z Edgarem, będzie wiadomość o Almondine; nie wiedziała,
jak to odbierze. Jutro musi zadzwonić do Glena Papineau. Ale przecież
gdyby miał jakieś wiadomości, sam by tu przyjechał, żeby osobiście im
je przekazać. Ponadto musiała zachować ostrożność; za każdym razem
gdy go pytała, ryzykowała, że w głowie Glena związek między Edgarem
a śmiercią Page'a stanie się wyraźniejszy.)

Edgar

Siedział nad grobem Almondine, wpatrzony w dom i ogromną stodołę,
i zastanawiał się, czy to wszystko dzieje tylko w jego wyobraźni, choć
zdawał sobie sprawę, że to nieprawda, podobnie jak tamtej nocy w desz-
czu dobrze wiedział, co było rzeczywistością, a co nie. Przypominał sobie
tę pierwszą noc, kiedy Claude się u nich zatrzymał, jak razem z Almondine
wymknęli się do stodoły. I jak znaleźli Claude'a śpiącego na strychu, choć
tak naprawdę wcale nie spał. Leżał wpatrzony w krokwie nad głową.
— Jest tu tak samo jak kiedyś. Twój tato i ja znaleźliśmy wszystkie za-

kamarki. Chowaliśmy tu papierosy, a nawet alkohol. Nasz stary wiedział, że chowamy to gdzieś na strychu, ale był zbyt dumny, żeby szukać. Kiedyś, przed laty, rozebrali ścianę w domu i odkryli zapiski Schultza. A innym razem Edgar natknął się z przodu strychu na luźne deski w podłodze, które dało się unieść. Pod spodem było wolne miejsce na tyle duże, żeby włożyć tam paczkę papierosów lub buteleczkę whiskey. Edgar znalazł tylko koronkę pajęczyny i zakrętkę butelki, więc wówczas zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

Zakrętka.

Ktoś schował tam kiedyś butelkę.

„Moja babcia jest taka jak ja. Wiesz, co mówi moja babcia?”

Próbował sobie przypomnieć, czy zaglądał pod te deski po tamtej pierwszej dziwnej rozmowie z Claude'em.

„Sądysz, że uda ci się znaleźć tę butelkę? Musisz poszukać butelki. Bo jeśli jej nie znajdziesz, będziesz musiał odejść. Tak właśnie mówi substancja”.

Edgar podniósł się. Księżyc późno dziś wstał i teraz otoczony aureolą przyćmiewał najbliższe gwiazdy. Essay gdzieś odbiegła, zajęta

503

poszukiwaniami na oświetlonym księżycowym blaskiem polu, więc nigdzie jej nie widząc, ruszył przed siebie. Dwa psy zaczęły ujadać, kiedy zbliżył się do psiarni. Nie przejmował się tym hałasem, wiedział, że nie potrwa zbyt długo. Poczul nawet jakieś mroczne podniecenie na myśl, że tej nocy zaalarmowało je coś innego niż włóczący się po sadzie jeleni czy sowa spadająca na królika w wysokiej trawie.

Otworzył tylne drzwi psiarni. Na posadzkę padł ukośny prostokąt księżycowego światła z cieniem Edgara pośrodku. Przed ucieczką mógł wejść do stodoły w samym środku nocy i psy nawet by nie pisnęły, ale obecnie w każdej chwili mogły podnieść rwetes. Po omacku dotarł do

pomieszczenia medycznego i przekreślił włącznik światła, natychmiast czując, jak zwężają mu się źrenice. Ruszył wzdłuż kojców, kucając przed każdym i dotykając psów, spoglądał w odbicie światła w ich oczach i na migi pokazywał, żeby były cicho. Uspokoiwszy je, wyszukał w warsztacie latarkę i zgasił światło w pomieszczeniu medycznym. Stanął przy tylnym wejściu i rozejrzał się w poszukiwaniu Essay, lecz nigdzie nie było jej widać, więc zamknął drzwi.

W ciemnościach usłyszał głucho elektromechaniczne brzęczenie.

Omiatał światłem latarki przejście między kojcami, aż na jednym z grubych filarów znalazł aparat telefoniczny. Pociągnęli linię do stodoły, ale dzwonek przesłuchu był taki sam jak w przeszłości. Podniósł słuchawkę do ucha. Przez sygnał zgłoszenia docierała do niego cicha rozmowa, dwa nieznane głosy, męski i kobiecy.

Wszedł do warsztatu i wspinał się po schodach, zmuszając się do przejścia obok miejsca, w którym tamtego dnia leżał doktor Papineau. Na górze powietrze wciąż było nagrzane po upalnym dniu. Jedna trzecia przestrzeni strychu zastawiona była świeżą słomą, bele sięgały aż po kratownice. W innych okolicznościach Edgar rozkoszowałby się panującym tu zapachem. Przywodził na myśl cały spędzany tu czas, bele porozsuwane w improwizowane zagrody, szczeniaki przewracające się i wierzgające tylnymi łapkami, uczenie ich siedzenia w spokoju, kiedy zajmował się nimi, używając szczotki z krótkimi igłami i cążków do pazurów, wertowanie słownika i wybieranie imion...

Poszukiwania rozpoczął w pobliżu drzwi do przedsionka, półkolistym ruchem przesuwając promieniem latarki po podłodze i rozkopując słomę, aż wreszcie, w pobliżu dalszego kąta z przodu strychu, zauważył

504
koniec deski, której szukał. Jedna z jej krawędzi była rozłupana śrubo-

krętem lub nożem. Edgar kucnął, otworzył scyzoryk Henry'ego, wsunął ostrze do szpary i dopiero wtedy zauważył gwoździe po obu stronach i odcisnięte w drewnie ślady uderzeń młotka. W kącie znalazł krótki łom. Deska uchyliła się na pół centymetra, zanim stare drewno puściło i łom spod niej wyskoczył. Tyle wystarczyło, żeby unieść główki gwoździ. Dziura pod deską wyglądała tak samo, jak ją pamiętał: kilkanaście centymetrów wolnej przestrzeni nad jedną z szerokich głównych belek, w której wyłobiono zagłębienie, równie puste jak wówczas, gdy je odkrył. Ale zakrętka i pajęczyny zniknęły. Zauważył też jeszcze jedną różnicę: świeże ślady po dłucie powiększały pierwotne zagłębienie o przynajmniej centymetr z każdej strony. W przeciwieństwie do starszych, starannie wykonanych wyłobień, o gładkich powierzchniach i równych krawędziach, nowe wyglądały jak wyskubane w drewnie. Przeciągnął palcami po drzazgach. Na starej belce pozostało kilka wiórów bursztynowego drzewa.

Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała tamta butelka, ścisłana między nim a Idą Paine. Korek z niekształtnego kawałka szkła. Wstążka z literami nie do odcyfrowania. Oleista zawartość liżąca wewnętrzne ścianki. Spojrzał na swoją dłoń, starając się określić wrażenie, jakie pozostawił na niej dotyk wyłobionych śladów. Usiadł i poświecił po żółtej ścianie sterty beli. W snopie światła unosiły się łupiny plew. Chwyciwszy za miotłę, zamiótł słomę sprzed frontowej ściany i przeszedł się po podłodze, stukając w deski. Dziesiątki schowków, jak powiedział Claude. Edgar mógł tu spędzić czas do wschodu słońca i nadal ich wszystkich nie sprawdzić.

Na wybiegach za psiarnią rozległo się chóralne szczekanie. Uchylił załadunkowe drzwi, spojrzął w dół i zobaczył Essay. Zbiegł po schodkach, otworzył tylne drzwi stodoły i tak długo uderzał dłonią w udo, aż

w końcu do niego przytruchtała. Zaprowadził ją do kojca Fincha i Pouta, otworzył prowadzące do środka drzwiczki i zanim zdążył cokolwiek pokazać, już weszła i wszystkie trzy psy rozsiadły się na słomie.

W pomieszczeniu medycznym przepłukał wodą puszkę po kawie, wylał brud do zlewu, ponownie ją napełnił, łyknął trochę i zabrał ze sobą na strych. Wsunął deskę na miejsce, już bez gwoździ, w szparę i nogą rozrzucił po niej kawałki słomy, żeby nie wyglądała na zamiecioną. Za-

505

częły mu się kończyć baterie w latarce. Wyłączył ją, potrząsnął, chwilę odczekał i ponownie przesunął kciukiem włącznik. Żarnik rozbłysnął żółtym światłem, ale już po chwili znowu przygasł i żarzył się pomarańczowo. Światła było dość, żeby wspiąć się na stos beli. Wdrapawszy się na górę, wcisnął latarkę w zakrzywienie krokwi i przetoczył kilka bel słomy na boki, aż utworzyły zagłębienie, do którego się wsunął i wyłączył latarkę. W ciemnościach czuł, jak wokół niego tężeje gorąco pod krokwiemi. Z wysiłkiem nabierał powietrze.

Minęło dużo czasu, zanim jaskółki zaczęły swoje trele z umieszczonych pod okapem gniazd. Pierwsze cykady wykrzyczały swoje skargi. W oddali zaskrzypiały drzwi ganku i rozległy się głosy dwóch psów. Usłyszał stukot drzwi z przodu stodoły, gdy ktoś otwierał zasuwkę.

I głos Claude'a odbijający się echem po psiarni. Edgar zastanawiał się, ile czasu zajmie Claude'owi odkrycie Essay. Gdy przez szpary pod okapem zaczęło wpływać światło, przechylił do ust puszkę po kawie. Woda miała smak żelaza, kurzu i krwi. W końcu usnął, ale nie dane mu było spokojnie spać. Najmniejszy dźwięk wytrącał go ze snu. Pod pokrywającymi go plewami czuł się jak pod warstwą popiołu. Co chwilę coś go drapało albo gryzło, na przemian tracił i odzyskiwał świadomość, nie wiedząc, co poza czekaniem może jeszcze zrobić.

Glen Papineau

Choć nie wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak przewidywał Claude, raz zasiane ziarno doprowadziło Glena do rozmyślań o Edgarze Sawtelle'u.

Claude obawiał się, czy Glen nie zdecyduje się wnieść sprawy do sądu, ale jemu coś takiego nawet przez myśl nie przeszło. W końcu w ostatnich kilku miesiącach Claude okazał się bardzo fajnym gościem, świetnym kumplem. Ciąganie ich po sądach byłoby nieuczciwe. Podobnie jak on byli załamani śmiercią jego ojca, a do tego martwili się losami uciekiniera. Doświadczyli już tylu nieszczęść, że nawet ktoś najbardziej zawistny nie mógłby życzyć im czegoś gorszego.

Nie, myśli w jego głowie układały się mniej więcej w taki sposób: a co będzie, jeśli Edgar w końcu się znajdzie? Co będzie, jeśli pewnego ranka Glen wejdzie do biura i okaże się, że właśnie nadeszła telegraficzna wiadomość z opisem tego chłopca? Czy od razu zadzwoni do Sawtelle'ów? Czy będzie wolał najpierw sam to sprawdzić? To byłby ludzki odruch — zweryfikować informację, zanim rozbudzi ich nadzieje. Zależało to będzie oczywiście od miejsca pojawienia się Edgara. Często uciekinierzy byli znajdowani zaskakująco blisko domów, co w przypadku Edgara oznaczałoby Ashland, Superior, Eau Claire lub jedno z dziesiątków małych miasteczek po drodze — skąd można by łatwo go odebrać. Glen wyobrażał sobie nawet, że mógłby pojechać aż do Madison, gdyby natomiast było to dalej, Edgar równie dobrze mógłby przebywać w Kalifornii.

Ale... ale gdyby znalazł się gdzieś blisko? I gdyby kontaktujący się z Glenem policjant był takim samym gliniarzem z małego miasteczka

507

jak on, a Glen mógłby po prostu wejść do jego biura i powiedzieć: „Zga-

dza się, to on"? To byłoby słuszne postępowanie — osobiście zidentyfikować dzieciaka, zanim się zadzwoni, uniknąć pomyłek i niepotrzebnego rozbudzania nadziei w Trudi. Chwilę porozmawiają, podpiszą dokument o przekazaniu kurateli, a potem już Glen i Edgar będą sam na sam w radiowozie. Oczywiście dowiedzie Edgara na miejsce całego i zdrowego, co przecież nie znaczy, że nie będzie mógł zatrzymać się po drodze i zadać mu kilku pytań. Porozmawiać o tym, co wydarzyło się na strychu. I poznać prawdę, jakakolwiek ona będzie.

Wyobrażanie sobie tej prowadzonej w radiowozie rozmowy było dla Glena najłatwiejsze, ponieważ właśnie w tym miejscu najlepiej mu się myślało, za kierownicą, obok przesuwających się za oknami drzew, pól i domów. Lubił czasami trochę pofantazjować. Jedyne co go naprawdę wkurzało, to że inni policjanci — i używał tego słowa z pewną rezerwą, ponieważ sugerowało jakąś godność i honor, a nie wszyscy mogli się tym pochwalić — wyśmiewali się z niego. Glen miał przezwisko, o którym wiedział, już od dzieciństwa ciągnęło się za nim. „Wól”. Nie cierpiał, gdy ludzie tak go nazywali. Po skończeniu szkoły średniej Mellen High miał nadzieję, że już się tego pozbył, ale w szkole policyjnej w Madison jakoś się o tym dowiedziano. Nie pomagał mu też jego wygląd. Wystarczyło, że ktoś na niego spojrzał, i od razu myślał: „To na niego muszą wołać Wól”, a usta takiego człowieka same układały się w to słowo. Wkrótce ktoś go zobaczył w niebieskim mundurze i jego los był przesądzony w związku z niezapomnianym, choć naciągany skojarzeniem z legendarnym drwalem Paulem Bunyanem, a raczej z towarzyszącym mu zwierzęciem pociągowym: niebieskim wołem o imieniu Babe.

Samo przezwisko nie martwiło go tak jak skojarzenie, że jest niezgrabny lub głupi. Ale ludzie zazwyczaj widzą to, co chcą zobaczyć. Mali chudzielcy wyglądają na inteligentnych. Wielkie chłopy wyglądają na

tępaków. Nawet policjanci, szkoleni, żeby nie zwracać uwagi na pozory, dają się na to nabrać. Widząc nadchodzącego niebieskiego wolu o imieniu Babe, widzieli tępaka i każde, nawet najmniejsze potknięcie tylko potwierdzało tę teorię.

Na przykład przesłuchanie tego chłopca. Na odprawie w Ashland wysnęło mu się, że Edgar nie odpowiadał na piśmie na zadawane pytania, tylko Trudi tłumaczyła jego odpowiedzi, na co zebrani zaczęli rechotać. Pomyśleli sobie: oto Wół Papineau robiący coś najgłupszego na świecie. Nie rozumieli, natomiast, że jego tatko spędził tę noc u Sawtelle'ów. Tamtego ranka przyjechał do biura Glena jeszcze przed nimi i powiedział, jasno i wyraźnie, żeby załatwił to szybko, bo Trudi i jej syn są wykończeni i ledwo się trzymają. Zmuszanie Edgara do ponownego przeżywania tamtych doświadczeń nic dobrego by nie przyniosło, a mogłoby jedynie mu zaszkodzić. Dlatego też Glen obiecał zrobić to jak najsprawniej.

Dodatkowo poprzedniej nocy wysiadł kocioł i tego ranka Glen spędzał każdą wolną minutę na przekonywaniu go, żeby zaczął działać. Kiedy nadszedł czas przesłuchania, być może rzeczywiście nie był do niego tak przygotowany, jak by sobie życzył. Tak, polecił Annie przepisać zeznania na maszynie i podać im do podpisu, ale nie powstrzymało to tych imbecyli w Ashland od odegrania całej scenki, w której jeden zadawał pytania, drugi wymachiwał w odpowiedzi ramionami, a trzeci sypał niedorzecznymi wyjaśnieniami. Doszło do tego, że gdy tylko Glen o coś pytał, zaczynali udawać język migowy, a któryś mądry nachylał się w jego stronę i szeptał: „On mówi, że tego nie zrobił”, co natychmiast wzbudzało niepowstrzymany śmiech: durny niebieski wół o imieniu Babe.

Dlatego też rozmyślanie o ponownym przesłuchaniu Edgara zawsze poprawiało mu nastrój. Choć to niekoniecznie oznaczało, że Glen będzie

miły. Podczas patroli, kiedy nie miał nic ciekawszego do roboty, wyobrażał sobie, jak spogląda w lusterko wsteczne i widzi w nim siedzącego z tyłu Edgara. Wtedy Glen miałby zadać swoje pytanie: „Do diabła, co się stało, Edgarze, na tym strychu? Pamiętaj, że mówimy o moim ojcu. Mam prawo znać prawdę. Chcę tylko jednego: usłyszeć, co się stało”. I wówczas, jak sobie wyobrażał Glen, Edgar Sawtelle robił coś, czego nigdy, przenigdy wcześniej nie zrobił: odpowiadał na głos.

Mówił: „Przepraszam”. Właśnie to, po prostu: „Przepraszam”.

W wyobraźni Glena głos chłopca był chropawy, jak u starca, ponieważ nigdy go nie używał. Satysfakcjonujące było to, że Edgar zdecydował się swoje pierwsze słowa skierować do Glena, zdając sobie sprawę, że w jakiś sposób przyczynił się do śmierci tatki, nawet jeśli jej nie spowodował. A to świadczyło o prawdziwej skrusicie.

Jak już raz Glen wbił sobie w głowę ten krótki filmik, nie potrafił przestać o nim myśleć. Zaczął powtarzać go sobie w przeróżnych miejscach.

508

509

Czasami byli sami na wiejskiej drodze, w odległości wielu mil od najbliższego gospodarstwa czy samochodu; czasami właśnie zaparkował radio-wóz przed ratuszem — tym razem miała to być scena „To twoja ostatnia szansa, zanim wejdziemy do środka”. Czasami stali w korku w Ashland. Ale gdziekolwiek miało to miejsce, Glen zawsze spoglądał w lusterko i zadawał pytanie, a Edgar Sawtelle zawsze głośno mu odpowiadał. Glen nawet zaczął już wygłaszać swoją kwestię na głos podczas jazdy.

— Do diabła, co się stało, Edgarze, na tym strychu? Pytam, bo to był mój ojciec i chyba mam prawo poznać prawdę.

Za pierwszym razem zabrzmiało to głupio i nawet się zaczerwienił.

Odruchowo popatrzył, czy dziwnym zbiegiem okoliczności przycisk mikrofonu nie jest wciśnięty i nie poszło to w fale eteru (już sobie wyobrażał, jak tę scenę odgrywają w szatni w Ashland). Ale wszystko było w porządku, bez świadków. A do tego miało właściwości oczyszczające. Jeszcze raz to zrobił. Nawet wziął do ręki mikrofon, udając, że go włącza, i postawił to pytanie, rozjarzonym wzrokiem patrząc w lusterko. Czasami nacisk kładł na słowie „ojciec”, a czasami na „prawdę”. Ostatecznie zdecydował się akcentować oba, tylko troszkę bardziej słowo „ojciec”, żeby wyraźnie podkreślić, że mówi jako członek rodziny, a niejako policjant.

Sprawiło mu to ogromną satysfakcję.

Mniej satysfakcjonujące było to, że nikt mu nie odpowiadał.

I tak to wyglądało przez kilka tygodni. W pewnym momencie, jak człowiek otrząsający się ze snu, zdał sobie sprawę, że zaczyna być od tego uzależniony, zachowuje się dziwacznie, toteż musi z tym skończyć. Podobnie jak w przypadku innych zajęć, które mógłby wymienić, trochę z tym przeholował: takich rzeczy nie należy robić, nawet jeśli sprawiają przyjemność. Nikt nie musiał mu o tym przypominać. Sam wiedział, że to niezdrowe.

Chcąc się oczyścić, postanowił porozmawiać z Claude'em. Tym razem Claude przyjechał do jego domu. Usiedli w salonie i aż do wczesnych godzin rannych rozmawiali. Po wypiciu dostatecznej ilości piwa (co w przypadku Glena, w miarę jak upływały letnie miesiące, zaczęło oznaczać dwanaście butelek; przestał bywać w Czajniku czy w Dziupli, zaczął nawet jeździć do Ashland po zapasy), Glen wybełkotał, na czym ma polegać ten jego mały plan.

Zwierzanie się Claude'owi było naprawdę dobrym posunięciem.

Claude powiedział dwie rzeczy. Po pierwsze, zaczął nabierać przekonania, że Edgar może nie wrócić. Skoro nie ma go tak długo — prawie dwa

miesiące — musi być bardzo zdeterminowany, żeby nie wracać. Do tego czasu mógł już dotrzeć do Kanady, Meksyku czy nad któryś z oceanów. Po drugie, i ważniejsze, uważał, że reakcja Glena jest absolutnie rozsądna. W końcu czy Glen chciał zrobić Edgarowi krzywdę? Oczywiście, że nie. On chciał tylko postawić mu pytanie, czyż nie? Czyż obaj w ostatnim roku nie stracili ojców? Czyż Edgar nie chciałby zadać takiego samego pytania, gdyby ktoś wiedział, co się stało z jego ojcem? Kurczę, jasne, że tak. Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, to gdyby sytuacja się odwróciła, nawet Edgar z pewnością nie odmówiłby sobie zadania Glenowi jednego cholernego pytania. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej Glenowi zdawało się, że gdyby Edgar faktycznie się pojawił, Claude nie miałby nic przeciw temu, żeby Glen wziął chłopaka na przejażdżkę przed jego powrotem do domu. Gdyby udało się coś takiego zorganizować. A zdawało się to możliwe, ponieważ gdyby miał wracać do domu, prawdopodobnie byłoby to pod eskortą policjanta.

Oczywiście zawsze może wrócić do domu autostopem, stwierdził Glen.

Ale nawet wówczas, myślał na głos Claude, może coś dałoby się zrobić. Claude mógłby zadzwonić i poinformować Glena, że Edgar się zjawił. Tego lata zainstalowali telefon w stodole — mógłby po prostu tam zajść i podnieść słuchawkę. I którejs nocy, pod nieobecność Trudi, Glen zająłby się nim. Claude przymknąłby oczy. Zgodzili się, że nie jest to idealne rozwiązanie; lepiej byłoby, gdyby Glen zadał mu to swoje pytanie, zanim Edgar dotrze do domu. (Ponieważ, myślał Glen, co by było, gdyby w odpowiedzi usłyszał coś więcej niż tylko „przepraszam”? Wówczas musieliby pojechać do aresztu w Ashland, przejść przez całą przykrą machinę sądu dla nieletnich, a to z kolei oznaczało, że niezależnie od tego, co się stało na strychu, Edgar wyszedłby z tego czysty

w wieku osiemnastu lat. A przynajmniej dla niektórych nie byłoby to zbyt sprawiedliwe.)

Glen przejmował się logistyką. Jak właściwie miałby wsadzić chłopaka do swojego samochodu, gdyby był już w domu? Raczej mało prawdopodobne, żeby udało mu się tak po prostu namówić Edgara na prze-
510

511

jażdżkę. Raczej chłopiec walczyłby jak diabli, aby tego uniknąć, a bijatyka z dzieciakiem nie mieściła się w tym jego wymyślonym filmie. A to dlatego, że „Wół” Papineau wyżej cenił finezję niż siłę, czego ci idioci w Ashland nie byli w stanie zrozumieć. Jeszcze w czasach gdy uprawiał zapasy, kiedy napierał na stu pięćdziesięciokilogramowych olbrzymów, którzy splatali ręce na jego karku, właśnie finezja zawsze pokonywała brutalną siłę. Dzięki finezji wiązał gości w supły. I te umiejętności gdzieś jeszcze w nim pozostały. Zupełnie niedawno z nich skorzystał, kiedy Mack Holgre, po kłótni z żoną, zdecydował się spróbować sił z Glenem.

Ponadto, jak to sobie Glen wyobrażał, jednym z powodów, dla których chłopiec powinien chętnie mówić otwarcie — w ogóle mówić! — było to, że już sama obecność w samochodzie jasno oznaczała, że jeśli się wytłumaczy, wróci do domu. Glen oczywiście nie powiedziałaby mu tego, na tym właśnie polegała finezja.

Ale gdyby chłopak już był w domu...

Kiedy Glen głośno się nad tym zastanawiał, Claude uśmiechnął się w ten swój zabawny, nieprzyjemny sposób i podał mu świeżo otwartą butelkę piwa. Widząc ten gest, Glen odprężył się, bo jeśli Claude Sawtelle na czymś się znał, to z pewnością na istocie koleżeństwa. Claude rozsiadł się wygodnie na krześle. Pociągnął długi łyk piwa i spojrzał na Glena.

— Czy opowiadałem ci kiedyś — odezwał się — o działaniu prestone?

Kiedy Claude zadzwonił tej nocy, powiedział tylko, że Edgar zostawił wiadomość na kuchennym stole. Nie wiedział, czy chłopiec ukradł samochód czy zrobił coś innego. Najprawdopodobniej wrócił do domu autostopem i teraz kryje się gdzieś w lesie. Z pozostawionej wiadomości wynikało, że nazajutrz ma wrócić do domu, więc jeśli Glen zamierza zadać mu to swoje pytanie, o którym rozmawiali, powinien szybko wziąć się do roboty.

Zaczął się nad tym zastanawiać: przez cały czas wyobrażał sobie, że Edgar siedzi z tyłu jego radiowozu. Za dnia. Na wsi. W miasteczku. Teraz wyglądało na to, że ma się to odbyć na wsi i w nocy.

Jeśli w ogóle się tym zajmie. Gdy okazja była już w zasięgu ręki, Glen zaczął mieć wątpliwości, czy to rzeczywiście jest taki świetny pomysł. Claude doskonale odczytał jego myśli.

— Teraz wydaje się to dosyć głupie, nie?

— Tak — przyznał Glen. — Takie trochę dziwaczne.

— Cóż, nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli tego nie zrobisz — stwierdził Claude. — W końcu tylko ty będziesz musiał z tym żyć. Ja sobie jedynie pomyślałem, że pewnie nie uda się już tego zrobić, kiedy chłopak znajdzie się w domu. Gdybyś tylko widział Trudi, jak się wścieknie...

— O tak, znam to, znam...

— W takim razie wiesz, co by się stało. Kiedyśmy o tym rozmawiali, wydawało się, że mógłbyś po prostu do nas przyjechać i zabrać go, ale teraz sędzę, że to mało realny pomysł. W każdym razie jeśli zależy ci na tym, żeby z nim porozmawiać, to chyba ostatnia okazja.

Glen przyznał, że prawdopodobnie pod tym względem Claude się nie myli.

— Co w takim razie myślisz? — zapytał Claude.

Glen przez chwilę milczał.

— Czy napisał, gdzie idzie?

— Nie. Tylko: „Zjadłem, gdy was niebyło. Wrócę jutro”. Mam kartkę przed nosem.

— Co powiedziałaś Trudi?

— A jak myślisz?

— Dobra. Myślę, że nie zaszkodzi, jak się przejadę.

Claude się rozłączył, a Glen dalej trzymał w dłoni słuchawkę, w której rozlegał się przerywany sygnał. Pomyślał o tej sztuczce z prestone, którą wytłumaczył mu Claude, o niczym takim wcześniej nie słyszał, ale w końcu prestone zawiera prawie czysty eter. A Glen wiedział, gdzie może znaleźć zapas prawdziwego medycznego eteru. Uśmiechnął się na tę myśl, ponieważ spodobało mu się, że w czymś może być trochę lepszy od Claude'a. Glen znalazł pustą butelkę po whisky, dosyć sporą i z zakrętką, włożył ją do kieszeni i wyszedł z domu.

Zaparkował radiowóz na trawie na tyłach lecznicy, otworzył boczne drzwi i przeszedł między przykrytymi meblami i stolami do badań. Otworzył drzwi do małego pomieszczenia aptekarskiego. Nie musiał się rozglądać. W myślach już wcześniej zlokalizował to, czego potrzebował: trzy puszcзки stojące rzędem na górnej półce, każda z pękatym zamknięciem w kształcie grzybka. Na wydrukowanych w kolorze kremowym i brązowym etykietach widniał napis:

512

513

Eter Səuibb

Do znieczuleń, Farmakopea USA

V4 funta

TRUCIZNA

Poniżej szeroko rozstrzelonymi zielonymi literami napisane były słowa: „Zabezpieczony miedzią!”. Glen był nieco zaskoczony, że Claude nic nie wspomniał o tych małych puszczech tamtej nocy, kiedy przeglądał zawartość apteki. Stanowiły osobliwość, a Claude niewiele rzeczy przeoczył. Ale w końcu nie dorastał jako syn weterynarza. Może nie zdawał sobie sprawy z tego, co widzi.

Glen zdjął puszkę z półki, pozbierał jeszcze kilka innych rzeczy i wyniósł wszystko na dwór, zamykając za sobą drzwi. Środek był mocny — lepiej przy nim nie majstrować, jeśli wentylacja nie pracuje na pełnych obrotach, bo można samemu wysłać się w kosmos. Z tylnej kieszeni wyjął butelkę po whisky i odkręcił zakrętkę, następnie kluczykiem do radiowozu zrobił dziurkę w grzybkowatym korku zamykającym eter i zaczął przelewać płyn do butelki. Eter kapał i bulgotał, srebrzyście przejrzysty jak woda. Glen postawił puszkę, żeby powiększyć dziurkę, lecz nie miał lejka, tak że nawet po zrobieniu większego otworu zajęło mu to dużo czasu.

Nie był tak głupi, aby sądzić, iż opary nie wydobędą się z butelki po whisky, ale tatko nauczył go pewnej sztuczki. Wychodząc z pomieszczenia, zabrał ze sobą gumową rękawiczkę, którą teraz naciągnął na szyjkę butelki i zakręcił zakrętkę, mocno ściskając lateks. Później oderwał zbędną część gumy, pozostawiając tylko małą falbankę poniżej zakrętki.

Pomachał butelką pod nosem. Zaletą eteru jest to, że łatwo go wyczuć, jeśli się wydziela. Zaimprovizowana uszczelka z gumowej rękawiczki działała bardzo dobrze. Wyczuł tylko delikatną woń, pozostałość kropli szybko parującej z ciepłego metalu. Kwiatowy odór benzyny łaskoczący dno jego zatok. Puszkę po eterze wyrzucił do lasu, chwycił butelkę w dwa palce i zaniósł do radiowozu, a tam umieścił ją na szerokim przednim siedzeniu po stronie pasażera.

Glen świetnie znał okoliczne boczne drogi. Jeśli będzie czujny, pomyślał,

może dojrzeć dzieciaka idącego drogą albo przecinającego pole. Może również pojeździć w okolicy ich domu i poszukać podejrzanie zaparkowanych samochodów. Zazwyczaj siedziały w nich pary obcałujących się dzieciaków z liceum, ale tym razem może trafić na Edgara śpiącego w ukradzionym aucie.

Najpierw podjechał od południa, lecz nie dostrzegł ani idącego Edgara, ani samochodów zaparkowanych w kilkunastu zatoczkach parkingowych na poboczu, często używanych przez myśliwych. Przy wzgórzu w pobliżu domu Sawtelle'ów Glen zawrócił autem na trzy razy, skierował się w stronę autostrady i następnie zatoczył koło od północy. Po drodze natknął się tylko pikapa Jaspiera Dillona; popsuty samochód już od prawie dwóch tygodni stał w okolicy starego cmentarza w Mellen. Zatrzymawszy auto, poświecił latarką po pokrytej warstwą kurzu platformie pikapa i przez szybę do wnętrza kabiny na wypadek, gdyby Edgar korzystał z tego samochodu jako schronienia na noc, ale w kabinie znajdowała się tylko zatłuszczona skrzynka na narzędzia i dwa zgniecione opakowania po marlboro. Wrócił do radiowozu i odjechał. Zbliżył się już do podwórza domu Sawtelle'ów tak bardzo, że widział światło na końcu ich sadu. Zaparkował samochód mniej więcej pięćdziesiąt metrów od granicy lasu, wsunął do kieszeni butelkę, kilka szmat oraz latarkę i ruszył dalej na piechotę.

Przeszedł przez całe podwórze, trzymając się bardziej oddalonej od domu zwirowej drogi. Jakiś pies w ciszy biegał wokół stodoły. Zanim zdążył zauważyć Glena, policjant odwrócił się i wzdłuż ogrodzenia udał się na północ od domu. Na końcu ogrodu Sawtelle'ów trafił na wąską ścieżkę wydeptaną w lesie. Na otwartej przestrzeni spóźniony księżyc dawał wiele światła, ale znalazłszy się w lesie, Glen musiał przesunąć przełącznik latarki i przesunąć jej promieniem po splątanych, czarnym

w nocy listowiu, żeby widzieć, dokąd idzie.

Po trzydziestu metrach zdał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Jeśli Edgar kryje się gdzieś w lesie, Glen z latarką z pewnością na niego się nie natknie. Chyba że chłopiec będzie mocno spał przy płonącym ognisku. Ale dlaczego Edgar w ogóle coś takiego robił, skoro zamierzał nazajutrz wrócić do domu? Dlaczego po prostu nie poszedł do domu, zaoszczędzając sobie kłopotów? A jeśli nawet rzeczywiście był w lesie, teren Sawtelle'ów obejmował... no, ile? dziewięćdziesiąt akrów, może sto?... Glen mógłby przez tydzień szukać w jasnym świetle dnia, a i tak go nie znaleźć.

514

515

Zawrócił i cofnął się do drogi, a gdy tam dotarł, zatrzymał się i popatrzył w stronę ich domu. Albo jest w tej stodole, pomyślał Glen, albo całe mile stąd. A każda próba wejścia do stodoły skończyłaby się piekielnym hałasem, którego narobiłyby psy. To na pewno się nie uda.

Idąc po chrzęszczącym mu pod butami żwirze, skierował się do radiowozu. Coś mówiło mu, że nie powinien przejeżdżać obok domu Sawtelle'ów, skoro już zadał sobie tyle trudu, żeby go ominąć. Z wyłączonymi reflektorami po raz kolejny zawrócił na trzy i ruszył w stronę Mellen.

Może po drodze do domu zajrzy jeszcze w kilka bocznych dróg.

Księżyc świecił jasno. Zarośla kładły się na drogę, zielone i hipnotyzujące przepływały w długich światłach reflektorów; czerwone latarnie ślepiów spoglądały na niego z plątaniny dostatecznie często, żeby przełamać monotonię tego widoku i nie pozwolić mu zasnąć. Dopiero gdy oddech nieco mu się uspokoił, Glen zdał sobie sprawę, że dyszy.

Musiał głęboko odetchnąć, by przerwać to sapanie.

Na asfaltowej nawierzchni radiowóz nabrał dostatecznej prędko-

ści, żeby gładko przemykać przez noc po nierównej drodze. Nad jezdnią unosiły się kosmyki mgły, skraplając się na przedniej szybie niczym jakieś senne litery, którym Glen pozwalał się nagromadzić, by po chwili zetrzeć je jednym ruchem wycieraczek. Dopiero teraz wreszcie się uspokoił. Po chwili już odruchowo spojrzął w lusterko wsteczne.

Z wielką powagą, prawie nieśmiało, pozwolił sobie zadać swoje pytanie - głośno, po raz ostatni.

Edgar

Śledził poranne prace w psiarni, przysłuchując się im ze swojego ukrycia na strychu. Sierpniowe słońce rozpałało dach stodoły, tak że powietrze pod krokwiemi wyciskało z jego skóry kropelki potu. Dla zabicia czasu liczył łebki gwoździ wbitych w nowe deski pokrycia dachowego, przypominając sobie, jak w przeszłości liczył tamte jasne nakłucia w deskach dachu. Wokół drzwi załadunkowych sączyło się światło, wypełniając przestrzeń rozcieńczoną, niezmienną poświatą brzasku. Matka do późnego ranka ćwiczyła z dwoma szczeniakami, później z sześciomiesięcznymi psami i roczniakami, a na koniec ponownie wróciła do szczeniaków. Edgar zamykał oczy i słuchał, jak cichym, spokojnym głosem przymila się do nich, widział, jak ćwiczy z maluchami szalone chodzenie przy nodze, a innym każe aportować, przez cały czas je sprawdzając, poprawiając, pytając, co to znaczy i nie znaczy stać, patrzeć, przyzywać, podążać za opiekunem. Zapadł w przesycony tymi dźwiękami półsen, w którym sam urósł i ogarnął strych, stodołę i podwórze. Trzask drzwi na ganku towarzyszący wejściu Claude'a do domu. Bliźniaczy dźwięk telefonów, zarówno na dole, jak i w kuchni. Sójki kłócące się pośród dojrzewających jabłek. Samochód na luzie przetaczający się po drodze, chrzęszczący żwirem pod kołami, gdy mijał granicę lasu przy ogrodzie.

Kiedy zbliżało się południe, usłyszał tłumiony stukot kroków na

prowadzących na strych schodach, ale całkowicie rozbudził się, dopiero kiedy otwarły się drzwi do przedsionka. Rozpłaszczył się w zagłębieniu między belami, czując pot spływający po twarzy. Nastąpiła długa chwila ciszy. W końcu rozległ się trzask zamykanych drzwi i kroki na schodach. Przesuwana brama na dole zatrzasnęła się z hukiem, zamy-

517
kając na zewnątrz psy, kiedy Claude czyścił zagrody. Edgar usiadł, napił się z puszki po kawie, nie poddając się błaganiom własnego ciała, żeby oblać twarz wodą. Po chwili przyczolgał się do miejsca, w którym zakrzywiające się w kącie deski połączeni dachowej przechodziły w ściany, podniósł się na kolana, wypuścił z siebie strumień moczu i patrzył za nim, jak znika w słomie.

Gdy już upał i ciasnota zrobiły się nieznośne, powoli zsunął się ze sterty beli przez kolejne warstwy orzeźwiającego powietrza, aż stanął na nogach drżących od tak długiego przypiekania i ze strachu, żeby nie narobić hałasu. Ledwie dotknął podłogi, opadł na leżącą z boku belę. Nad głową wyczuwał żar, z którego uciekł, wiszący pod krokiewiami jak uchwycona w potrzask bestia czyhająca na jego powrót, i wciągał w płuca chłodne, ożywcze powietrze haustami, czekając, aż krew w jego żyłach schłodzi się, a pot wyschnie na skórze. Ale już po chwili nabrał przekonania, że nieopatrznie zdradził swoją obecność i że z pewnością Claude stoi teraz na dole, patrzy w sufit i nasłuchuje.

Byłe do zachodu słońca, powiedział sobie.

Przeciągnął wilgotnym przedramieniem przez twarz i ponownie wdrapał się do tego pieca.

Po południu drzwi przedsionka otworzyły się i w wolną od słomy przestrzeń na początku strychu wkroczył Claude.

— Edgarze?... — odezwał się łagodnie. I po długiej przerwie zno-

wu: — Edgar?...

Edgar wcisnął się w zagłębienie między belami i wstrzymał oddech. Kiedy dudnienie w głowie stało się już nieznośne, pozwolił sobie wypuścić powietrze tak wolno, że o mało się nie udusił. Na słomie słychać było kroki. Przez stertę beli przeszło drzenie. Coś ciężkiego łupnęło o podłogę. Bele ponownie zadrżały i rozległ się kolejny łoskot. Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę Edgar był pewien, że Claude zaczął rozbierać monolit słomy, aby się do niego dostać.

Drzenie i łomoty nie ustawały, powtarzając się miarowo. Chociaż między belami i krokwiemi prawie nie było miejsca, Edgar powoli przeciskał się do przodu. Claude pracował pod długą zachodnią ścianą, jego głowa znajdowała się ponad półtora metra poniżej Edgara. W roboczych rękawicach z grubego płótna ściągał belę po beli i zrzucał je na podłogę. Praca nie była łatwa — bele ułożone były w stos w ten sposób, że jedna para leżała wzdłuż, a kolejna w poprzek, żeby utworzona kolumna się nie rozpadła. Zdążył już wykonać półkolistą wyrwę, głębszą na dole niż u góry, a dolna część pleców jego koszuli mokra była od potu. Edgar słyszał, jak Claude sapie w upale. Gdy na podłodze leżało już trzydzieści czy czterdzieści beli, Claude przerwał pracę, zdjął rękawice i chwyciwszy leżący na podłodze młotek, ukląkł w utworzonej wyrwie, częściowo schowany przed wzrokiem Edgara. Rozległ się pisk gwoźdźcia wyciąganego z suchego drewna i stukot desek. Claude odchylił się i zatarł dłonie, jakby nad czymś się zastanawiając, po czym wziął rękawice robocze i nałożył je, dokładnie powcisnął palce.

Edgarowi przez myśl przeszedł pomysł, żeby zrzucić na niego belę słomy. Dwadzieścia czy dwadzieścia pięć kilogramów gęsto upakowanej słomy, zrzucone z takiej wysokości, mogłoby powalić Claude'a. Ale co by na tym zyskał? Claude nie leżałby w nieskończoność. Poza tym

Claude już niespokojnie spoglądał w stronę drzwi do przedsionka; w tak małej przestrzeni usłyszałby go i podniósłby wzrok, zanim Edgar zdążyłby przesunąć belę na krawędź i zrzucić.

Po chwili Claude cofnął się od sterty beli. Położył na podłodze coś małego i połyskującego: buteleczkę, staromodną, z korkiem z niekształtnego kawałka szkła i szyjką obwiązaną wstążką z czarnymi znakami.

Claude wpatrywał się w nią równie jak Edgar zafascynowany. Następnie wciąż w rękawiczkach przesunął buteleczkę pod ścianę strychu i ukrył ją, przysypując stertą słomy. Zaczął na powrót układać bele w stos. Edgar się wycofał. Wkrótce usłyszał kroki na podłodze strychu, trzask zasuwki w drzwiach przedsionka i kolejne kroki, tym razem na schodach. Oczekiwał, że usłyszy odgłos butów Claude'a na podjeździe, ale do jego uszy docierał tylko z podwórza głos matki zachęcającej szczeniaki. Podsunął się na łokciach do przodu. Claude nie kłopotał się wciskaniem najwyżej leżących beli na miejsce. Edgar zauważył przy podłodze wybrzuszenie w uporządkowanej ścianie żółci. W miejscu, w którym Claude na chwilę przykrył buteleczkę słomą, dostrzegł teraz tylko nagie deski.

Przechylił puszkę po kawie do ust i zlany potem zszedł na podłogę. Odciągnął na bok bele przerzucane przez Claude'a. Podłogowa deska rozszczepiła się w miejscu, z którego wyciągnięto gwóźdź. Wcisnął czubek scyzoryka Henry'ego do szczeliny i podważył deskę. Sam nie

518

519

wiedział, co spodziewa się tam znaleźć. Dziura była wysuszona na wiór i pusta, jak ta, którą znalazł poprzedniego wieczoru, tylko głębsza. Bez problemów mogła się w niej zmieścić butelka, którą Claude odłożył na bok — butelka, która nie była wytworem jego wyobraźni. Ani jego, ani Idy Paine.

Ona istniała. Widział ją w świetle dnia, chociaż tylko przez chwilę. Podeszedł do przedniej ściany i lekko uchyliwszy drzwi załadunkowe, przycisnął oko do szpary, mrużąc oczy w jasnym blasku dnia. Poczuł na twarzy powiew świeżego powietrza, rozgrzanego przez sierpniowe słońce, niemniej kojąco chłodzącego po tym, co musiał znosić pod dachem stodoły. Zawiasy drzwi załadunkowych znajdowały się po stronie bliższej domu, toteż widział tylko pole, po którym koniki polne skakały niczym petardy odpalone przez padające promienie.

Nagle na żwirze rozległ się dźwięk kroków Claude'a. Pikap ruszył z miejsca, na luzie przejechał obok stodoły i ponownie się zatrzymał. Trudi zawołała szczeniaki. Nie będzie trzymać ich zbyt długo na upale, pomyślał. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym zamknął drzwi strychu i podeszedł do schodów.

Trudi

Kiedy Trudi znalazła się w cieniu stodoły, odwróciła się, przyklęła i przywoławszy psy, nakłoniła je do wejścia na długie betonowe przejście w psiarni. Chociaż były już za duże, żeby spać w kojcu małych szceniaków, trzymanie tam czteromiesięcznych psiaków w sierpniowym upale nie było takim złym rozwiązaniem. Dorastające psy nadal mają trudności z regulacją temperatury ciała i nie zawsze wykazują się dostatecznym rozsądkiem, żeby schować się przed słońcem. Szczelnie zamknięte kojce małych szczeniaków często były najchłodniejszym miejscem w psiarni.

Właśnie zamykała zasuwkę drzwi do ich zagrody, gdy poczuła na sobie jego ramiona. Wydała króciutki okrzyk, ale już jedną dłonią zakrył jej usta, a przed oczami pojawiła się druga, błyskawicznie pokazując na palcach litery.

Cicho. Tylko migaj. Dobrze?

Skinęła głową. Puścił ją i cofnął się, a ona odwróciła się i spojrza-

ła na Edgara.

Stał z palcem przyłożonym do ust. Wystające kości policzkowe i linia szczęki, tak ostro przechodząca w kierunku szyi, powodowały, że zdawał się cały zbudowany ze ścięgien i kości. Na czoło opadały mu zmierzwi-
one, zbrązowiałe od słońca włosy, złachmanione ubranie cuchnęło, jakby od kilku dni nie wychodził ze stodoły. Ale jego oczy były zdumiewająco, nieomal nadnaturalnie wyraziste, patrzyły na nią spokojnie z twarzy po-
bruzdzonej śladami wyżłobionymi w brudzie przez pot. Na jego widok zupełnie nie mogła pozbierać myśli, które dopiero po chwili ułożyły się w wyraźne, możliwe do nazwania uczucia, jakby jej umysł zbyt wolno adaptował się do błysku jasnego światła: nieodparta ulga, bo syn jest
521

bezpieczny; wściekłość, bo tak karygodnie długo go nie było; konsterna-
cja, bo jego wygląd świadczył o długiej, okropnej podróży. Zanim zdą-
żyła ubrać choć część z tych myśli w słowa, popatrzył obok niej, przez
drzwi kojca małych szczeniaków, do głównej części psiarni.

Gdzie Claude? zapytał na migi.

Zmienia olej w samochodzie. Gdzie byłeś? Jak się czujesz?

Wyciągnął rękę i zamknął drzwi.

Zamierzałem nie wracać. I niewiele brakowało, bym nie wrócił.

Ale dlaczego? Zaraz nazajutrz wyszłam dać ci znak. Powiedziałam
im, że uciekłeś, bo byłeś zdenerwowany po tym, co się stało ojcu.

Szukali mnie.

Oczywiście, że tak. Byłeś uciekinierem. Ale już wszystko w porząd-
ku. Powiedziałam im, że to był wypadek... Urwała i poprawiła się: To
naprawdę był wypadek.

Znalazłaś moją wiadomość?

Jaką wiadomość?

Nie było cię wczoraj wieczorem, gdy przyszedłem do domu. Zostawiłem wiadomość na stole.

Nie było żadnej wiadomości.

W takim razie znalazł ją Claude.

Musiała zastanowić się przez chwilę nad znaczeniem jego słów.

Chcę, żebyś coś zrobiła, pokazał na migi.

Po prostu chodź do domu. Nie odchodź już.

Jeśli to zrobisz, obiecuję, że zostanę. Ale przez jedną noc muszę tu być sam. Chcę, żebyś po zmroku za wszelką cenę zatrzymała Claude'a w domu.

Dlaczego?

Bo on coś tu schował.

Claude?

Tak.

Co mógł schować?

Wpatrywał się w nią, jakby próbował coś odgadnąć.

Co? Co to jest?

Widziałaś go?

Claude'a?

Nie. W deszczu. Widziałaś go?

Zamrugła. Nie miała pojęcia, o czym Edgar mówi. Pokręciła głową. Przez cały ten czas wyobrażała sobie, że syn wróci i wszystko będzie dobrze, lecz zamiast tego Almondine odeszła, a ze stojącym przed nią Edgarem najwyraźniej nie wszystko było dobrze. A raczej było bardzo niedobrze. Stał przed nią wygłodniały i oszalały.

Po prostu wróć do domu.

Nie chcę, żeby wiedział o mojej obecności.

Mówiłeś, że już o tym wie.

Tak, ale nie wie, że byłem tutaj. Że byłem w stodole.

Dobrze.

Nie płacz. Odetchnij spokojnie.

Dobrze.

Nie możesz mu powiedzieć. Jeśli mu powiesz, znowu odejdę. Przystęgam. I już nigdy nie wrócę. Już nigdy mnie nie zobaczysz.

Pokręciła gwałtownie głową i pokazała na migi: Nie, nie.

Wiesz, że to zrobię.

Tak.

I dopilnujesz, żeby nie wyszedł z domu po zapadnięciu ciemności?

Mogę powiedzieć, że chciałabym się gdzieś wybrać. Możemy pojechać do miasteczka.

Nie. Zatrzymaj go w domu.

A jeśli mi się nie uda?

Musisz. Włącz światło na ganku, gdyby ci się nie udało. Włącz je, jeśli mam trzymać się z daleka.

Dobrze.

Gdy już to załatwię, wrócę do domu na dobre, obiecuję.

Dobrze.

W tym momencie trzasnęły drzwi pikapu i w przejściu rozległy się kroki Claude'a. Edgar cofnął się do najbliższego kojca małych szczeniaków i przylgnął do ściany. Szczeniaki zaczęły skomleć i podskakiwać.

— Wszystko w porządku? — zawołał Claude.

— Jasne — odparła Trudi, nabierając powietrza w płuca i starając się mówić radośnie. — Muszę tylko nauczyć te huncwoty spokojnie siedzieć podczas czesania.

— Pomóc ci?

— Nie. Zawołam, jeśli będę potrzebowała pomocy.

522

523

03

— Dobra. Za dwadzieścia minut skończę z samochodem — powiedział. Usłyszała, jak Claude zabiera coś z warsztatu i wychodzi na dwór.

Edgar wyslizgnął się z kojca małych szczeniaków.

Wróć po zapadnięciu zmroku, pokazał na migi. Pamiętaj, jeśli światło na ganku będzie się palić, wróć dopiero jutro.

Edgarze, muszę ci coś powiedzieć. Coś złego.

Odwrócił się do niej.

Wiem. Zeszłej nocy byłem pod brzożami.

Tak mi przykro, Edgarze.

Pokręcił głową i szybkim ruchem przetarł oczy, po czym precyzyjnie przesunął się obok niej i popatrzył na przejście między kojcami.

Zostawiłem Essay z Poutem i Finchem.

Co?

Jest w jednej zagrodzie razem z Poutem i Finchem. Claude na pewno znalazł ją dzisiaj rano, kiedy je karmił.

Nie. Powiedziałyby mi o tym.

On ma nadzieję, że znowu odejdę.

Zanim zdążyła o cokolwiek jeszcze zapytać, Edgar przemknął obok niej i wybiegł przez tylne drzwi. Trudi poszła za nim i stanęła na progu, patrząc, jak jej syn przecina pole i nawet na moment nie zmieniając kroku, znika w gęstwinie. Wróciwszy do środka, zatrzymała się przy jednej z zagród i poskrobała w drewnianą ramę drzwi. Finch i Pout precyzyjnie przesunęły się korytarzykiem z zewnętrznej zagrody. Chwilę później dołączyła do nich Essay. Również psy obserwowały odejście Edgara.

Edgar

Dotarłszy do strumienia, zdjął koszulę, zanurzył ją w chłodnej płytkiej wodzie i wytarł skórę z potu oraz plew. Dzień był gorący, nawet bardzo gorący, wilgotne powietrze lepiło się do ciała, a Edgar stał i czekał, aż kropelki wody z niego wyparują. Następnie udał się pod olbrzymi ginący dąb w najdalszym zakątku ich terenu w nadziei, że spotka tam Forte'a. Drzewo stało czarne i prawie całe bezlistne poza kilkoma wysoko położonymi gałęziami. Gdy tylko rozsiadł się między jego sękatymi korzeniami, natychmiast zrozumiał, dlaczego tutaj tak podobało się temu bezpańskiemu psu: z miejsca, w którym siedział, Edgar dokładnie widział ścieżkę w obu kierunkach. Chociaż nie mógł dostrzec ani strumienia, ani drogi, z pewnością zauważyłby człowieka zbliżającego się z jednej czy drugiej strony, a pień dębu był dość szeroki, żeby za nim się skryć. Ale nie sądził, żeby mu to było dziś potrzebne. Claude nie miał żadnego powodu, by szukać go właśnie w tym miejscu. Nigdy nie towarzyszył Edgarowi i jego ojcu w spacerach wzdłuż ogrodzenia i nic nie wiedział o znaczeniu tego drzewa.

Edgar położył się na plecach i obserwował mozaikę nieba przesuwającego się pomiędzy nagimi gałęziami. Przed jego oczy stale powracał obraz doktora Papineau, starego człowieka skręconego i umierającego u podnóża schodów na strych. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, marzenie, żeby doktor Papineau nie spadł, żeby nie umarł, wydawało się zbyt wygórowane, teraz Edgar myślał już tylko o tym, że bardzo chciałby porozmawiać z Glenem Papineau. Czuł, że nie spocznie, póki tego nie zrobi, ale też nie potrafił wyobrazić sobie, jak miałby przelać swoje uczucia w słowa. „Żal” brzmiał zbyt prosto. Być może słowo „boleść” byłoby najodpowiedniejsze. Była to jednak boleść zmieszana z gniewem, a nie znał słowa, które potrafiłoby to wyrazić. Choć nawet gdyby je znał, nie oddawałoby wszystkiego.

Rozmyślał również o tym, co powiedział matce, i o tym, czego nie powiedział. Musiała uwierzyć, że ponownie ucieknie, jeśli mu nie pomoże, dlatego też nie wspomniał o tym, co usłyszeć chciała najbardziej — tak ogromnie ucieszył się na jej widok, że mało serce nie wyskoczyło mu z piersi, kiedy jej dotknął. Podczas włóczęgi wspomnienie matki traciło na realności: szczegóły twarzy, zapach, otaczająca ją przebogata charyzmatyczna aura. Tak bardzo pragnął jej powiedzieć, jak wiele się nauczył w trakcie tego życia z psami dzień i noc, o pracy i o Henrym Lambie, o Tinderze i Baboo, o słonecznikach, sztucznych ogniach, o tym starcu, który mówił do niego z kąta szopy Henry'ego. Pokusa powrotu z nią do domu była tak wielka, że w końcu musiał uciec, zanim powzięte postanowienie załamał się pod ciężarem jego samotności.

A właśnie samotność odgrywała tu główną rolę: bliskość domu i świadomość, że Almondine odeszła, przepełniły go nieznanym wcześniej przygnębieniem. Myślał o listach wymienianych przez Brooksa i jego dziadka, o tych wszystkich dyskusjach na temat psów i co z tych psów może powstać - jak to Brooks stwierdził, że może lepiej byłoby wyobrazić sobie ludzi, którzy mogą się stać bardziej odpowiedni dla psów, a nie na odwrót.

Po ubiegłej nocy, podczas której niemal oka nie zmrużył od upału, ani popołudniowe słońce, ani piski wiewiórek nie mogły zbyt długo przeszkadzać mu w zaśnięciu. Właśnie rozmyślał o Brooksie i psach, kiedy wyczerpanie i smutek połączyły siły i pozbawiły go przytomności. Z nieba lał się żar sierpniowego słońca. Cykady urwały swój mechaniczny wrzask, gdy chmura przechodziła przez słoneczną tarczę. Po chwili niebo znowu było bezchmurne, a one podjęły swoje cykanie.

Obudził się, słysząc trzaski dobiegające z zarośli wzdłuż strumienia.

Zanim zdążył się ruszyć, na polanę wypadła Essay i podbiegła do niego, ziejąc i obwąchując go jak szalona. Ktoś założył jej obrozę, której część, tuż

przy klamerce, obwiązana była prymitywnie szarą taśmą izolacyjną. Polecił Essay usiąść, zdjął jej obrożę i odwinął taśmę. Pod spodem znalazł złożoną we troje fotografię, tę samą, którą zostawił na kuchennym stole obok wiadomości: zdjęcie Claude'a trzymającego Forte'a na rękach. A w środku trzy banknoty studolarowe, dwudziestkę i dziesiątkę. Oraz klucz do impali.

Glen Papineau

Było późne popołudnie, kiedy Claude zadzwonił do biura Glena, wprawiając go w wyjątkowe zakłopotanie. Niewskazane było prowadzenie tego typu rozmów w pracy, lecz nie zdążył nawet zaprotestować; Claude mówił pospiesznie i Glen się zorientował, że rozmowa potrwa kilka sekund.

— Co się stało ubiegłej nocy?

— Nic. W okolicy nie stał zaparkowany żaden samochód. Podwórce było puste. Przeszedłem się wzdłuż waszego ogrodzenia, ale to nie miało sensu.

— Nie pokazał się tu.

— Claude, jestem przekonany, że on jest w stodole. Czy nie mówiłeś, że przed ucieczką często sypiał na stryszku?

— Może był tam zeszłej nocy, ale teraz go nie ma. Za dnia na strychu jest gorąco jak w piekle.

— Sądysz, że on wróci?

-Tak.

— Do stodoły czy do domu?

— Nie wiem. Mam przeczucie, że zamierza zabrać impalę i uciec. Właśnie zauważyłem, że zginęły mi zapasowe kluczyki.

Glen przez moment zastanawiał się nad tym. To mogło wszystko ułatwić. Mógłby gonić go radiowozem i w razie czego powiedzieć, że rozpoznał samochód, lecz nie kierowcę.

— Dobra. Przyjadę wieczorem.

— Zaczekaj, aż się ściemni. Dopilnuję, żebyśmy nie wychodzili z domu. Może nawet zabiorę Trudi do Ashland. W każdym razie jeśli w stodole dostrzeżesz światło, to będzie znaczyć, że jest tam Edgar.

526

527

— A jeśli on przyjdzie do domu?

— Wówczas włączę światło na ganku. Jeśli zobaczysz światło na ganku, możesz sobie odpuścić. Będziemy musieli wymyślić coś innego.

— Włączone światło na ganku oznacza, że on jest w domu?

— Tak. A jeśli sądzisz, że jest w stodole, podejdź od strony południowego pola i wejdź przez drzwi z tamtej strony. Będzie większa szansa, że psy cię nie zauważą.

Na tym rozmowa się zakończyła. Kiedy wybiła piąta po południu, Glen pojechał do domu. Dzień był skwarny, a wieczór niewiele chłodniejszy. Facetowi wielkości Glena niełatwo było ochłonać. Usiadł w kuchni, wypił piwo, potem kolejne. Spojrzał na stojącą pośrodku stołu butelkę po whisky. Eter jeszcze wczoraj wylał na trawnik — to materiał bardzo łatwopalny i nie należy go stawiać byle gdzie, zwłaszcza jeśli nie jest szczelnie zamknięty. W miejscu, gdzie pozbył się eteru, już teraz widniała brunatna nerkowata plama.

Tuż przed zachodem słońca pojechał radiowozem do lecznicy. Zabrał puszkę z eterem, ale tym razem nie kłopotał się otwieraniem, po prostu położył ją na siedzeniu samochodu i pojechał na drogę Town Line. Zaparkował samochód w zaroślach po przeciwnej stronie wzgórza niż dom Sawtelle'ów. Następnie wsadził do kieszeni szmatę i butelkę, zabrał ze sobą resztę sprzętu — otwieracz, opakowanie sześciu piw z wciśniętą do środka puszką eteru — i ruszył drogą. Na grzbiecie

wzgórza, po stronie przeciwnej do farmy Sawtelle'ów, wznosił się naturalny nasyp. Glen wdrapał się z trudem po skałach i usiadł w miejscu, z którego mógł obserwować dom i ogromną stodołę.

Roztaczająca się przed nim sceneria była niesamowicie piękna. Widział wszystko aż na podwórze i wzdłuż ciągnących się na zachód łagodnych wzgórz. Ten kto podjął decyzję o zbudowaniu tu domu, zrobił mądrze, pomyślał, umieszczając go w dolinie, osłonięty od wiatru, a jednocześnie otoczony z dwóch stron przez pola. Na podwórzu stał i pikap, i impala. Światło na ganku było wyłączone, co oznaczało, że Edgar nie przyszedł do domu. Glen pomyślał sobie, że siedzi tu jak na policyjnym stanowisku obserwacyjnym. Nigdy niczego takiego nie robił — w okolicach Mellen nie było to zbyt potrzebne. Spodobała mu się ta myśl. Zmierzch powoli wysysał światło z horyzontu na zachodzie i na wieczornym niebie zaczęły się prezentować gwiazdy, a on otworzył sobie butelkę leineya.

528

Przez dłuższy czas obserwował pole, ale mógł podziwiać tylko dzieła natury. Powtarzał sobie w głowie, jak postawi Edgarowi pytanie, jak będzie starał się podkreślić, że pyta jako jedyne dziecko tatki, a nie jako przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości. Za jego plecami księżyc wznosił się na tyle wysoko, że Glen dostrzegał liście drżące na długim wąskim pasie klonów, który wcinał się w pole jak smukły palec lasu wskazujący miejsce, gdzie pochowali Gara - wyspę brzóz pośrodku tego migoczącego jeziora roślin łąkowych.

Rozmyślał o tym, co może się wydarzyć. Gdy Edgar będzie już półprzytomny, zanieś go do samochodu. Chłopak waży najwyżej pięćdziesiąt pięć kilo. Z takim ciężarem Glen potrafiłby sprintem pokonać pole.

A kiedy Edgar się ocknie, będą już jechać jakąś boczną drogą.

Dostrzegł niewyraźną szarą sylwetkę przedzierającą się przez tra-

wy, w połowie drogi między drogą i znajdującym się z tyłu lasem. Postaci towarzyszył pies. Pod brzoźami zatrzymali się. Glen chwycił puszkę z eterem, zszedł po skarpie i przeciął drogę, ani na moment nie spuszczać wzroku z tamtej dwójki. Nie miał najmniejszych wątpliwości, kto to jest, lecz teraz musiał zachować ostrożność. Czekał, chcąc zobaczyć, czy zapali się światło w stodole czy też nagle z rykiem obudzi się silnik impali. Postać zniknęła w ciemnościach za stodołą. Rozległo się szczekanie psów, ale zaraz ucichło.

Dopiero gdy Glen sięgnął do tylnej kieszeni, chcąc wyjąć butelkę po whisky, przypomniał sobie, że zostawił ją na nasypie. Puszka eteru była zbyt pękata, żeby schować ją do kieszeni. Spojrzał na trzymaną w ręce butelkę z piwem. Opróżnił ją duszkiem, zrobił dziurkę w grzybkowym korku i przyłożył puszkę z eterem do szyjki butelki. Kłębiące się opary spływały po butelce, przelewając się po jego palcach srebrzystymi falami, po czym rozpraszają się w nocnym powietrzu. Na koniec wcisnął róg szmaty do szyjki butelki i pomachał tym wszystkim pod nosem. W nozdrzach nawet go nie zaswędziało. A gdyby nawet wyciekło nieco eteru, Glen tym się nie przejmował. Byle co nie ruszy Wołu Papineau. Rzadko, bo rzadko, ale czasami przydawała mu się własna masa.

Wepchnął butelkę po piwie do tylnej kieszeni i spojrział na zegarek.

Jeśli w ciągu pięciu minut na ganku nie zapali się światło, powiedział sobie, Edgara Sawtelle'a czeka przejazdźka.

529

II

Edgar

Podeszli wzdłuż południowego ogrodzenia i przecięli nisko falujące pole. Tym razem Essay z zadowoleniem biegła tuż przy nim. Wysuszone tra-

wy lechtały Edgara po nogach. Lelek dźwięcznie zagwizdał z lasu. W oddali odpowiedział mu smutno drugi. Zatrzymali się pod brzożami i obserwowali podwórze. Pickup stał zaparkowany obok magazynu na mleko, a impala w zatoczce przy ganku. Światło na podwórzu rzucało żółty blask na przysadzisty obelisk stodoły, w cieniu pozostawiając tylne podwójne drzwi. Ani pomiędzy skrzydłami drzwi, ani pod nimi nie dostrzegł smużki światła. A co najważniejsze, światło na ganku było zgaszone. W takim razie Claude był w domu.

Po dotarciu do stodoły Edgar zatrzymał się, odsunął zasuwkę na tylnych drzwiach i otworzył je. W środku panowały ciemności i piżmowy zapach psów spotęgowany zamkniętym pomieszczeniem i upałem. Dwa psy zaszczekały na powitanie, ale zanim rozszczekały się na dobre, Edgar i Essay weszli do środka. Włączył światła w przejściu i ruszył wzdłuż zagród, uciszając psy, a kiedy już się uspokoiły, podszedł do kojca, w którym stał Finch i Pout, otworzył drzwi i wpuścił Essay do środka. Obwąchała rodzeństwo i odwróciła się do niego. Edgar przykucnął przed drzwiami do zagrody.

To już ostatni raz, pokazał na migi. Jeszcze trochę.

Zabrał z warsztatu wiadro i ruszył z nim wzdłuż przejścia. Przez całą jego długość od głównych drzwi do tylnych stawiał wiadro do góry dnem, wdrapywał się na nie i oblizując palce, żeby się nie poparzyć, odkręcił żarówki - wszystkie oprócz jednej, najbliższej tylnych drzwi. Podobnie robił w tamte wieczory, gdy matka leżała w domu z zapaleniem

530

płuc, a on spał na zaimprovizowanym łóżku z beli słomy. Krocząc wzdłuż przejścia, obmyślał plan poszukiwań. Na strychu nie było sensu szukać. Claude uznał, że buteleczka nie jest tam bezpieczna i na pewno jej tam nie odłożył. Mogła być w warsztacie, pomieszczeniu medycznym lub za

jakąs luźną deską. Mogła też być w jego samochodzie, ale akurat w to rozwiązanie Edgar wątpił. Skoro Essay przybiegła do niego z kluczem, w impali nie mogło być nic godnego uwagi. Ponieważ widział, jak Claude pociera jedną ręką o drugą i wkłada rękawice, zanim wziął buteleczkę do ręki, uważał, że w domu raczej też jej nie będzie — Claude wolałby nie trzymać jej bliżej siebie, niż jest to niezbędne. Niemniej Edgar był również przekonany, że nie wyrzucił buteleczki i jej zawartości. Mógł to zrobić już przed miesiącami, lecz przechowywanie jej w taki, a nie inny sposób świadczyło o jakimś zafascynowaniu i jednocześnie przestraszu.

Zaczął od pomieszczenia medycznego. Na ścianie naprzeciwko wejścia wisiało kilka lakierowanych szafek. Lekarstwa znajdowały się tylko w dwóch, w pozostałych były sterty ręczników, waga i rzadko używane drobiazgi. Przejrzał wszystkie szafki po kolei, otwierając drzwiczki, zaglądając do wnętrza, podnosząc zawartość i odkładając na miejsce, zanim przeszedł dalej, zmuszał się do powolnego oglądania i sprawdzenia dwa razy, chociaż wewnętrznie czuł, że powinien się spieszyć. Nie chciał mieć później wątpliwości i jeszcze raz sprawdzać. Po przejrzaniu szafek zaczął grzebać w szufladach pod blatem, w trakcie pracy zauważając, że potrafi przebiec palcami zawartość każdej szuflady, niczego nie ruszając z miejsca i mając zarazem pewność, że nie przeoczył przedmiotu tak dużego jak buteleczka.

Nie było jej tam. A przynajmniej w żadnym z miejsc, jakie przyszły mu na myśl. Aby poszukać zakamarków i luźnych desek, potrzebował latarki. Udał się do warsztatu, ale przypomniał sobie, że latarka jest na stryszku, gdzie ją zostawił. Wszedł więc po schodkach i niemal po omacku wspiął się na bele słomy. Kiedy przesunął włącznik, włókno w żaróweczce rozjarzyło się jak węgielek i po chwili przygasło. Wyszukał nowe baterie w jednej z wielu szuflad komody stojącej pod ścianą po drugiej stronie warsztatu.

Wrócił do pomieszczenia medycznego, zastanawiając się, jak sięgnąć do desek między belkami sufitowymi. Trzeba postukać w każdą i sprawdzić, czy któraś nie jest luźna. Do tego mógł przynieść drabinę z magazynu na mleko albo stojąc na podłodze, stukać w nie kijem od 531

grabi. W zamyśleniu zauważył, że wszystkie psy stoją przy drzwiach swoich kojców, ponownie zdenerwowane jego bieganiną po psiarni. Ale wszystkie były cicho, jak im polecił. W końcu nieraz do późna pracował w stodole. Wkrótce się uspokoją.

Wciąż zadumany skręcił do pomieszczenia medycznego. Zdążył jedynie zdać sobie sprawę z jakiegoś aromatycznego zapachu i kątem oka dostrzegł stojącą z boku postać. W tym momencie stodoła zawirowała wokół niego. Wielka jak kodet twarda dłoń przycisnęła do jego twarzy mokry materiał. Oczy natychmiast zaczęły mu łzawić. Zakrztusił się i odruchowo wciągnął powietrze. Jakby ktoś zanurzył mu twarz wbutwiejących kwiatach. Tego zapachu nie można było pomylić.

Prestone. Eter.

Latarka stuknęła o podłogę. Wbił palce obu dłoni w zakrywającą mu twarz rękę, ale przytrzymujące ją nadgarstek i ramię były grube, z mięśniami jak powrozy, i nie potrafił podważyć ich nawet o centymetr. Właściciel ręki nawet nie próbował się ruszać. Stał i trzymał szmatę przy twarzy Edgara, kiedy on wymachiwał rękami.

— Zaczekaj — odezwał się mężczyzna. — To potrwa tylko minutę. Nie zaskoczył go głos Glena Papineau. Tylko Glen miał tak wielkie ręce. Edgar zaprzestał prób zerwania materiału z twarzy i zaczął wymachiwać pięściami do tyłu, lecz nadaremnie. Glen po prostu drugą ręką objął klatkę piersiową Edgara i unieruchomił jego ramiona; w dłoni trzymał butelkę po piwie, zatykając otwór kciukiem.

Edgar wstrzymał oddech i liczył kolejne uderzenia walącego jak szalone serca.

— Im dłużej czekasz, tym głębszy oddech zaczerpniesz — powiedział Glen i mocniej przycisnął twarz Edgara.

Miał oczywiście rację. Po chwili — niewiarygodnie krótkiej chwili — Edgar zaczął się dusić i po raz kolejny wciągnął w płuca przyprawiający o mdłości zapach. A potem, ponieważ płuca wciąż mu płonęły, musiał to zrobić jeszcze raz, i jeszcze.

Wszystko ucichło. Przez chwilę stali nieruchomo i Edgar słyszał tylko swój sapiący oddech. Zrobił się senny — dokładnie tak, jak jego zdaniem mieli czuć się ludzie wpatrujący się w kieszonkowy zegarek, który w dzieciństwie otrzymał na Boże Narodzenie. Zegarek nie przynosił skutku, natomiast to działało, tyle że w rytm oddychania, a nie kołysania dewizki. Ogarnęła go obojętność, miał nawet wrażenie, że tonie - w tym przypadku w kwiatach. Zaprzestał walki. Oddalił się od własnego ciała, unosił się nad nim, początkowo w odległości zaledwie kilku centymetrów. Zapach eteru powoli się rozwiewał. Po osiągnięciu pewnego punktu Edgar przestał się oddalać.

Ściany pomieszczenia zaczęły się poruszać. Czuł, jak podeszwy jego butów szorują po podłodze. Przy drzwiach do pomieszczenia medycznego Glen zatrzymał się, lekko przykucnął i mocniej zacisnął ramiona, żeby pewniej przytrzymać Edgara. Ruszyli wzdłuż przejścia między kojcami. Edgar ponownie powrócił do swojego ciała. Jedna jego ręka wysunęła się z uścisku Glena i bezwładnie zwisała nad podłogą.

Doszedłszy do zamkniętych tylnych drzwi, Glen położył go na betonie. Na moment z twarzy Edgara zniknęła szmata i przed jego oczami pojawiła się ręka Glena trzymająca butelkę po piwie. Glen uniósł kciuk i przyłożył odwróconą do góry dnem butelkę do szmaty.

Edgar miał trudności ze skupieniem wzroku, nie mówiąc już o skierowaniu go tam, gdzie by chciał. Przestał patrzeć na rękę Glena. Jedno oko samo postanowiło się zamknąć. Przez drugie dostrzegł stos płaskich brązowych worków, jakieś zamazane bryły. Chwilę później na jego twarzy znowu znalazł się materiał.

Glen wzmocnił uścisk, gotów się wyprostować. Brązowe bryły przybrały postać worków z wapnem niegaszonym ułożonych w stertę przy tylnych drzwiach. Z rozcięcia w najwyższym worku wystawała puszką po kawie używana do rozrzucania wapna.

Żebra Edgara ugięły się, kiedy Glen go dźwignął, aby poprawić chwyt, po czym chłopiec został uniesiony w powietrze. Zobaczył swoją rękę wyciągniętą do przodu. O jego palce otarła się krawędź puszką po kawie, postrzępiona w miejscu, w którym otwieracz przebił metal, i na dłoni Edgara pozostał tylko proszek, suchy jak księżycowy pył. Spróbował i nie trafił. A jednak gdy w końcu udało mu się skupić wzrok, trzymał puszką w ręce, która w przedziwny sposób sama poprawiła błąd.

Glen sięgał do zasuwki w drzwiach. Edgar zamknął oczy i z całej siły chwycił brzeg puszką po kawie. Była tylko do połowy pełna, ale i tak ciężka jak kowadło. Potrafił się jedynie zdobyć na spazmatyczne szarpnięcie w górę, po którym ręka mu opadła, a puszką po kawie załomotała o posadzkę.

532

533

Na jego głowę i ramiona posypała się gruba warstwa wapna. Pamiętał, żeby zamknąć oczy, lecz usta miał otwarte, zwiotczałe od wysiłku i działania eteru. Język i gardło momentalnie pokryła mu gorzka pasta, a kiedy mimowolnie ją połknął, poczuł w ustach palenie i zebrało mu się na wymioty. Glen zaczął kaszleć. Przestał ścisnąć pierś Edgara, cofnął ramiona.

Przez długą chwilę Edgar wisiał w powietrzu. Zdawał sobie sprawę, że koniecznie powinien podkurczyć nogi, ale zanim zaczął coś robić, sto- doła zakręciła się wokół niego, jakby znalazł się w środku wirującego bąka, posadzka ruszyła gwałtownie w jego stronę, a przed zamkniętymi oczami ponownie rozbłysły sztuczne ognie nad jeziorem Scotia.

Edgar zakrztusił się i ocknął. Zanim zdążył otworzyć oczy, usłyszał głos Glena Papineau szepczący jego imię.

— Edgarze? — mówił. — Edgarze, jesteś tu? — Następnie Glen zamruczał pod nosem — O Jezu... — Chwilę później rozległ się łomot czegoś spadającego na podłogę.

Edgar wyciągnął rękę i ostrożnie przesunął palcami po powiekach. Rzęsy miał zlepione wapnem i musiał się w pełni skoncentrować, żeby usunąć je dłońmi. Spróbował powoli rozchylić jedno oko, dostrzegł szparę światła, otworzył drugie, zamrugał i rozejrzał się po betonowej posadzce psiarni. W powietrzu unosiła się chmura wapna, rozproszonego i osiadającego na wszystkim dookoła. Glen musiał zachwiać się na nogach i upadł do tyłu. Leżał na boku, jego kędzierzawe włosy poszarzały, a twarz pokrywała gruba warstwa pyłu. Oczy miał zamknięte, oblicze wykrzywione grymasem bólu.

— O Jezu... — powtórzył. Podniósł dłonie do twarzy i przycisnął palce do zamkniętych oczu. Wiązadła w jego szyi wyprężyły się, Glen kopnął w podłogę i rozległ się kolejny łoskot. Wielkimi dłońmi zaczął bić się po twarzy, jakby starał się stłumić ogień. Z ogromnym wysiłkiem zapanował w końcu nad nimi i teraz leżał, dysząc ciężko. — Edgarze, jesteś tu? — powtórzył pytanie. Głos miał zachrypnięty, lecz przedziwnie spokojny. — Mógłbyś dać mi trochę wody? Ja tylko chciałem zadać ci pytanie... Nie chciałem cię skrzywdzić, naprawdę. Ale teraz potrzebna mi woda do oczu. O Jezu... Edgarze?

Edgar jednak pogрузył się w jakimś nierealnym stanie, miał wrażenie, że patrzy na świat przez lornetkę od zlej strony. Gdy tylko spró-

534
bował unieść głowę, poczuł uderzenie bólu i zrobiło mu się niedobrze. Kwiatowy zapach eteru opanował wszystko, był niemal równie silny jak wówczas, gdy do twarzy przyciśniętą miał szmatę. Spojrzał na podłogę i zauważył rozbitą butelkę po piwie, z której eter rozbryzgał się dookoła w srebrzystych kałużach. W powietrzu nad nimi unosiły się opary.

Edgar podniósł się na kolana. Tylne drzwi stodoły były w zasięgu ręki. Próbował wstać, ale osunął się na ziemię, zaczął więc czołgać się do nich, aż udało mu się wsunąć palce w metalowy pierścień rączki zasuwki. Gdy w końcu lewa strona podwójnych drzwi otworzyła się, jak pijany podążył za nimi w nocne powietrze.

Zaczął uderzać otwartą dłonią w drzwi.

Glen zwrócił twarz w stronę dźwięku i podniósł się na czworaki.

— O Boże, o Boże, o Boże... — szeptał.

Podczołgał się do przodu i zatrzymał, by otrzeć twarz i oczy. Edgar ponownie uderzył w drzwi i Glen ruszył z miejsca, po chwili znowu przystanął i zaczął bić nasadą dłoni we własne oczy. Nagle wrzasnął, piskliwie i jakoś dziwacznie, a potem przycisnął twarz do posadzki i ciągnął ją po ziemi, z każdym krokiem krzycząc coraz głośnieiej.

— Boże, pali! Proszę, dajcie mi coś! Boże, Jezu... Dajcie mi coś.

Edgar puścił drzwi i próbował się cofnąć, ale zatoczył się i upadł w zarośla. Nad nim wznosiła się czarna bryła stodoły, wielki czarny pas wycięty z gwiaździstego nieba. Usiadł i potrząsnął głową, lecz to był błąd - ból ponownie o mało nie doprowadził go do utraty przytomności. Jednakże świeże nocne powietrze powoli niweczyło działanie eteru, tak że był już w stanie skupić wzrok. Za moment uda mu się stanąć

na nogach.

Wszystkie psy stały w kojcach wpatrzone w Glena Papineau, który czołgał się przejściem. Edgar tego właśnie nie chciał; pragnął, żeby psy wyniosły się ze stodoły, żeby były z dala od tych oparów. Glen dotarł do progu, przesunął palcami po dolnej części drzwi, po czym stanął na nogi, obracając twarz to w jedną, to w drugą stronę. Gdy po raz kolejny spróbował unieść powiekę, jego ciałem wstrząsnął spazm, z gardła wydobył się ochryply nieartykułowany krzyk i Glen zataczając się, po-
pędził na oślep przed siebie.

W tym momencie spełniło się życzenie Edgara, bowiem wszystkie psy zakreśliły się w miejscu i rzuciły do zewnętrznych wybiegów. Patrzył,
535

jak nurkują pod płóciennymi klapami wyjść i znikają. W stodole pozostało tylko widmo oparów eteru, drżące i wznoszące się pod samotną rozgrzaną żarówką.

Znalazłszy się na dworze, psy zaczęły szczekać. Glen Papineau zatoczył szerokie koło na południowym polu i pojawił się w podwórzowym świetle jak aktor wkraczający na scenę: potężny, z szerokim karkiem, głową i ramionami pokrytymi pyłem i pobrużdżonymi śladami łez, zjedną ręką przyciśniętą do twarzy, jakby chciał zerwać maskę, a drugą młócającą powietrze. Chwiejnym krokiem ruszył w stronę zaparkowanej przy stodole Alicji. Gdy jego grube paluchy dotknęły chłodnicy, zatrzymał się i przesunął nimi po krawędzi kratownicy wlotu powietrza oraz po odchodzącej farbie z przedniego mostu. Opadł na kolana i przycisnął czoło do blisko siebie osadzonych przednich kół.

— O Boże... — stęknął. — Nie wiem, gdzie jestem. Czy to światło? Czy ktoś mnie słyszy?... Claude! Claude!... Nawet nie otworzą drzwi!
Proszę, proszę o wodę do oczu!

W tym momencie Edgar usłyszał matkę wołającą z ganku na tyłach domu.

— Glen? Glen! Co ty tam robisz?

Edgar zajrzał do stodoły. Wszystkie zagrody z przodu były puste, ale niektóre psy stojące na wybiegach, gdy usłyszały Glena i Trudi, nie widząc ich, wróciły do środka. Edgar stał w miejscu, starając się zachować równowagę. Ujrzał matkę biegnącą przez podwórze.

Odwrócił się i potykając, ruszył wzdłuż zbocza za stodołą, jak najgłośniej klaszcząc w dłonie. Gdy dotarł do drzwi wybiegów, zaczął walić w drewno i siatkę, starając się narobić jak najwięcej hałasu i w ten sposób wywabić psy na dwór. Jeden po drugim przeciskały się przez płócienne klapy i truchtały w jego stronę.

Szedł wzdłuż rzędu zagród, polecając psom nie ruszać się, kiedy tylne drzwi stodoły rozświetliły się blaskiem, olśniewającym i błękitnym. Na moment brzozy na południowym polu znalazły się w lodowej iluminacji, ich cienie legły z tyłu na morskiej pianie wysuszonych traw. Edgar poczuł ciśnienie w bębenkach powoli przekształcające się w niesamowity dźwięk, jakby ktoś chwycił niebo za rogi i potrząsnął nim.

536

Trudi

T eżała w łóżku i czekała, nasłuchując kroków Edgara na ganku. Nie -Lrfpotrafiła zrozumieć, czego chciał szukać w stodole, ale też nie dbała o to. Gotowa była spełnić wszystkie jego zachcianki, byle tylko wrócił do domu. Już od dawna było ciemno, toteż powinien niedługo skończyć. Pomyślała, jaki był wymizerowany. Przypomniła sobie wyraz jego twarzy, gdy wspomniła o Almondine.

Psy zaczęły szczekać. I nagle przez szczekanie przebił się męski głos,

jęczący czy też płaczący. Usiadła w łóżku.

— Co to było? — odezwała się. — Co to?

Myślała, że Claude śpi, lecz na ten dźwięk zerwał się jak oparzony i usiadł obok niej. Chyba też nie spał. Na jego twarzy malowało się zdumienie, które jednak wyglądało na pozorne, a pod nim skrywał się niepokój.

— Nie wstawaj — powiedział. — Pójdę sprawdzić. — Już wkładał ubranie. Ponownie usłyszeli męski głos. Docierał z podwórza na tyłach domu. Trudi nie była w stanie zrozumieć słów, ale wyraźnie brzmiał w nich strach i ból.

— To chyba Glen — rzekła.

— O Jezu!... Pewnie wyje po pijaku. Ostatnio daje w gaz. W zeszłym tygodniu spotkałem go, miał nieźle w czubie jeszcze przed zachodem słońca. Powiedziałem mu, żeby wpadł do nas, gdyby chciał pogadać. Ale nie sądziłem, że przyjdzie w środku nocy.

Trudi pospiesznie się ubrała, wybiegła na ganek za domem. Claude zatrzymał się w drzwiach i patrzył na podwórze. Pikap stał zaparkowany w tym samym miejscu, w którym go zostawił po południu, ustawiony

537
przodem do zaczepu ciągnika. Psy krążyły tam i z powrotem po wybiegach, szczekając i spoglądając na południowe pole. W pierwszej chwili Trudi nie dostrzegła nic szczególnego. I nagle coś zauważyła: Glena. Klęczał przed ciągnikiem, wsparty czołem o blisko rozstawione przednie koła, jakby zanosił błagania.

Claude stał jak wmurowany. Przepisnęła się obok niego i pobiegła przez trawnik. Glen szlochał. Jego włosy, twarz i ramiona pokrywała warstwa białego proszku. Za nim cień stodoły przecinała smuga migoczącego światła, w której dostrzegła Edgara. Gdy tylko ich spojrzenia

się spotkały, odwrócił się i chwiejnym krokiem wszedł do środka. Trudi nie mogła ruszyć się z miejsca rozdarta dwoma pragnieniami; jedna jej połowa krzyczała: „Biegnij do Edgara!”, a druga chciała tylko odwrócić uwagę blisko stojącego za nią Claude'a od widoku syna. W głowie dominowała myśl, że Edgar znowu może uciec. W pierwszym momencie nawet nie skojarzyła obecności Glena z Edgarem. Chciała tylko, żeby wszyscy się odwrócili i patrzyli w stronę domu.

— Glen — odezwała się. — Co się stało?

— Trudi... proszę... przynieś wody — odparł Glen. — Muszę prze-
myć oczy.

Mówił drżącym głosem. Na zmianę to chwycił za przód traktora, to zbliżał dłonie do twarzy, jakby ogromną siłą woli starając się nie dotknąć oczu. Wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby. Łzy żłobiły ślady w białym proszku pokrywającym jego policzki. Claude też już podszedł i ukląkł przy Glenie.

— Dobra, stary — powiedział. — Czas do łóżka. — Wsunął ramię pod grubą rękę Glena i zaczął go stawiać na nogi.

— Nie — sprzeciwiła się Trudi. — Zaczekaj.

Claude spojrzał na nią, ukazując starannie zaaranżowany wyraz zaskoczenia na twarzy. Przeciągnęła palcem po policzku Glena i przyłożyła opuszkę do ust. Pieczenie w ustach i wstrętny kredowy smak wapna niegaszonego nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Spojrzała na białą jak mąka twarz Glena.

— Co ty tam robiłeś?

— Zapytasz go w domu — rzucił Claude. — To wapno.

— Wiem, co to jest — odrzekła. — Najpierw nam wyjaśni, co tam robił.

Ostatnie słowa wykrzyczała.

— Ja tylko chciałem zadać mu pytanie — odparł Glen. — Claude, powiedz jej! Miałem tylko zadać mu pytanie.

Odwróciła się do Claude'a, lecz pokręcił głową i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to tylko pijackie gadanie.

— Kłamca — stwierdziła.

I zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, wplotła palce we włosy na czubku głowy Glena i szarpnęła jego twarz do góry, a drugą ręką wymierzyła mu w policzek. Rozległ się trzask skóry uderzającej o skórę. Glen zakołysał się i o mało nie upadł, ale tylko zaczął jęczeć i kurczowo chwycić się za oczy.

— Poczekasz tu — powiedziała — dopóki się nie dowiem, czy mój syn jest bezpieczny.

Wyplątała palce z włosów Glena i wstała. Psy na wybiegach przed stodołą przywarły do drzwi zagród, szczekając i skowycząc, i z wyciągniętymi szyjami patrzyły, co się dzieje. Do uszu Trudi dobiegały zza stodoły trzaski i huki. Ktoś otwierał drzwi do kojców. Zdążyła zrobić tylko kilka kroków w tamtą stronę, kiedy z tylnych drzwi wypłynęła pierwsza napęczniała lazuruwa bańka gazu. Powoli uniosła się w powietrze, po drodze zmieniając kolor z błękitnego na żółty. Na moment oświetliła pole i w połowie drogi do okapu zniknęła niczym porwana w górę. Rozległ się cichy świst zapalanych oparów jak przy rzuceniu zapalniczki do grilla nasączonego płynem do rozpalania. Po chwili z drzwi buchnął drugi płomień, bardziej pomarańczowy od pierwszego, który sam siebie pożarł, zanim jeszcze zdążył się wznieść. W nieruchomym powietrzu nocy nad drzwiami zaczęła się sączyć smużka dymu. Przemknęła w górę po czerwonym deskowaniu i zgromadziła się pod okapem. Z obrzydliwą szybkością rozlała się w szarą wstęgę, która spowiła wejście do stodoły.

Trudi z wahaniem przystanęła, czując pustkę w głowie. Kręciła się

w miejscu, nie potrafiąc zdecydować, w którą stronę najpierw ruszyć. W stodole doszło do rozległej niewielkiej eksplozji. Dlaczego? Przecież nie przechowywali tam materiałów łatwopalnych. Wcześniej był w niej Glen. Pokryty był wapnem niegaszonym. Czy Glen zamierzał spalić stodołę? Czy rozlał tam benzynę? Dlaczego?... Claude podniósł Glena na nogi. Zmierzali w stronę domu, Glen potężną ręką obejmował ramiona Claude'a. Czy Claude nie słyszał tego dźwięku? Mówił coś pośpiesznie

538

539

do Glena, ale Trudi nie była w stanie zrozumieć jego słów. W pewnym momencie Glen potknął się i obaj runęli na ziemię.

Dopiero gdy Opal obiegła tylny narożnik stodoły i przemknęła obok, Trudi nabrała pewności, że Edgarowi nic się nie stało: to on wypuszczał psy z kojców. Pobiegnęła wzdłuż umieszczonych z przodu stodoły zagród, otwierając je, klaszcząc w dłonie i krzycząc:

— Wychodzić! Chodźcie! Wychodzić!

Gdy dotarła do końca stodoły, po podwórzu biegały swobodnie dwa tuziny psów, a kolejnych dwanaście czy czternaście wybiegało zza stodoły. Psy zbierały się w grupki i rozbiegały, wpadały na siebie i rozdzielały, pędząc za stodołą i po podwórzu, wokół domu i ogrodu. Claude'owi udało się podnieść Glena na nogi i teraz obaj brnęli pośród kłębiących się wokół psów.

— Zmykaj! — krzyczał Claude na psy i: — Chodźmy, chodź — do Glena.

— Dzwon po straż! — krzyknęła Trudi. — On podpalił stodołę!

Claude odwrócił się na moment, popatrzył na nią, skinął głową i ruszył dalej. Objęci ramionami dokuśtykali do schodków ganku, tam Claude posadził Glena i wbiegł do domu.

Dwa psy zaczęły na siebie warczeć. Trudi podbiegła do najbliższego, złapała go za ogon i pociągnęła do tyłu, krzycząc do drugiego:

— Idź! Rusz się! Zmykaj! - Puściła psi ogon, szybkim krokiem podszła do przodu i potarmosiła psa za kryzę. Podniósłszy wzrok, zobaczyła dwa psy biegnące przez sad w pobliżu drogi. — Hej, wy tam! — zawołała. — Do nogi!

Psy zawróciły w miejscu i zaczęły się zbliżać, lecz zamiast podejść do niej, dołączyły do jednego z krążących po podwórzu stad. Zaczęła metodycznie przywoływać psy, po kolei każąc im się położyć, ale przez cały czas zerkała przez ramię, wypatrując Edgara. Ilekroć spoglądała w tamtą stronę, ze stodoły wydobywało się więcej dymu.

Zważywszy na panujący w tym momencie chaos, była zaskoczona, że tyle psów siedzi grzecznie, choć każdy sprawiał wrażenie, jakby gotów był rzucić się do ucieczki, gdy tylko ona się odwróci; z wyciągniętymi szyjami patrzyły za innymi szalejącymi po polu, krążącymi wokół domu i wbiegającymi na schodki ganku, na których siedział Glen Papineau z twarzą wtuloną w dłoń.

540

Edgar

Czternaście wybiegów wcinało się w długi nocny cień stodoły. Edgar szedł wzdłuż nich chwiejnym krokiem, w ciemnościach dłonią szukając drewnianych zasuwek, otwierając kolejne drzwi i nie czekając nawet na wyjście psów. Wciąż miał przed oczami błysk ognia wijącego się jak fioletowy wąż. Gdy otworzył ostatni, położony najbliżej silosu wybieg, psy krążyły już wokół niego w ciemnościach, trącąc się nawzajem łapami i brykając w podnieconych koślawych podskokach. W pewnym momencie z podwórza dobiegi go głos Glena Papineau. Opal i Umbra zatrzymały się, przechyliły łby, po czym odwróciły się i bok w bok przemknęły przez

stado, zakręcając wokół brzuchatego silosu.

Tak, na migi pokazał pozostałym psom. Machnął rękami wzdłuż bioder, żeby psy się ruszyły. Ruszać! Zmykać! Obróciły łby i przysunęły pyski do jego dłoni, po czym jeden po drugim pomknęły obok silosu i została przy nim tylko siedząca na trawie Essay. Przesuwała nosem po pluszowym futrze porastającym tylną część jej zadniej łapy. Edgar przykląkł i odsunawszy jej pysk, przeciągnął dłonią po przypalonym futrze. Szorstkie jak drut. Druga plama na ogonie. Płomień musiał ją dosięgnąć, gdy wychodziła, pomyślał, ale na szczęście zdusiły go płócienne klapy. Essay niecierpliwie odepchnęła pyskiem jego dłoń i zaczęła lizać łapę, prychając, żeby usunąć zapach z nozdrzy. Pozbierała się na nogi i otrząsnęła.

Edgar wskazał w stronę silosu. Ty też ruszaj. Zmykaj.

Spojrzała na niego, zamruwała, po czym odwróciła się i dała susa w blade światło jak cień wyłaniający się z cienia, istota stworzona w locie, z uszami sterczącymi do przodu, szeroko otwartymi oczami, rozwartym pyskiem, po raz pierwszy w oczach Edgara przypominając wilka.

541

Pobiegł na tyły stodoły. Wstęga dymu wypływała spod nadproża nad podwójnymi wrotami i wznosiła się w niebo. Ile czasu zajęło uwolnienie psów? Minutę? Dwie? Dlaczego ze stodoły wydobywa się tyle dymu? Z miejsca, w którym stał, widział Glena siedzącego na stopniach ganku z twarzą schowaną w dłoniach. Wokół niego półkolem stało kilka psów z przechylonymi łbami. Na podwórzu koło domu niespokojnie leżało kilkanaście psów usadzonych przez Trudi, a dwukrotnie więcej wciąż biegło swobodnie, zbierając się w stadka i przemykając po sadzie, rozdzielając się i łącząc w chaotycznym balecie. Patrzył, jak matka zatrzymuje jakiegoś psa, wołając go po imieniu, po czym podchodzi do niego i oburącz zmusza, aby się położył. W pewnym momencie za-

uważyła spojrzenia psów i odwróciła się. Jednocześnie zaczęli wymieniać znaki.

Szczeniaki są z tobą?

Nic ci nie jest?

Nie.

Tak.

Przyprowadzę je.

Zanim zdążyła coś jeszcze pokazać, wbiegł przez podwójne drzwi.

Wewnątrz stodoły panował niesamowity żar. Jedyna świecąca się żarówka mrugała, a dym kłębił się i przepływał koło niej pod sufitem i wychodził na nocne powietrze. W powietrzu czuło się zapach hikory i płonącej słomy. Edgar zauważył szmatę nasączoną przez Glena eterem, zwęgloną i otoczoną pomarańczową obwódką. W dwóch kojcach wciąż jeszcze słoma się paliła żółtymi rozproszonymi płomieniami. Szeroko otworzył drzwi i rozkopywał słomę, dopóki żar nie zrobił się czarny. Rozejrzał się dookoła. Deski ścian były nadpalone. Konstrukcje zagród poczerniały. Jeszcze w trzech innych zagrodach znalazł kopcące się sterty niedopalonej słomy i zdusił je nogami. Poprzeczne belki nad głową były czarne od sadzy, ale nie paliły się. Jednak dymu nie ubywało. Z zewnątrz do jego uszu dotarła wymiana okrzyków między matką i Claude'em. Pobiegnął wzdłuż stodoły w poszukiwaniu źródła dymu, lecz dostrzegł tylko pomarańczowy blask między dwiema deskami w suficie. Kiedy spojrzał jeszcze raz, tam już też zrobiło się ciemno.

Nagle usłyszał cienie zawodzenie dobiegające z kojca małych szceniaków. Powietrze wewnątrz było czystsze. Mocne ściany pomieszczenia

542

powstrzymały prawie cały dym, wpuszczając tylko cienie opary, mimo to dwa szczeniaki wpadły w niemal histeryczną panikę. Ledwo otworzył

zasuwkę w drzwiach, przedarły się obok niego, zamiotły zadami na zakręcie i już ich nie było. Wybiegł za nimi. Już doszedł do siebie po oparach eteru, ale huczało mu w głowie. Znalazłszy się na dworze, wciągnął w płuca świeże powietrze i uniósł dłoń, dotykając guza, którego nabił sobie, gdy uderzył głową w posadzkę. Nawet nie czuł bólu, jedynie czarną dłoń nieświadomości przesuwającą się przed oczami. Kolana mu zadrzały i szybko oderwał palce.

Przez drzwi wydobywało się prawie dwa razy więcej ciemniejszego dymu, niż kiedy wchodził do środka. Edgar przebiegł podwórze do stojącej pośród psów matki. U jej stóp czekały i tarzały się obydwa szczeniaki. Położyła rękę na ramieniu Edgara, potem dotknęła jego policzków.

— Nic ci się nie stało?

Pokręcił głową.

— Wszystkie psy są na dworze?

Tak.

— To nie zbliżaj się do stodoły. Ona spłonie.

Nie. Zgasilem wszystko, co się paliło. Dzwoniłaś po straż?

Pokręciła głową.

— Nie możemy się dodzwonić.

Co?

-Jak nam zakładali telefon w stodole, najpierw tam poprowadzili linię. Claude próbował dzwonić z domowego aparatu. Albo przewody się spaliły, albo było zwarcie.

Nie. Nie. Nie. W stodole jest światło. Telefon w środku może działać.

— Posłuchaj mnie, Edgarze. Nikt nie może wejść do stodoły. Spójrz tylko na dym. Popatrz. Stodoła się pali.

Wystarczyło rzucić okiem, żeby przyznać jej rację. Dym zaczął wypływać spod okapów, wznosząc się i topiąc gwiazdy w hebanowych strumieniach. Ten widok przytłoczył Edgara jakimś gigantycznym ciężarem. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak sucha i wątła jest drewniana konstrukcja stodoły. Mógł zgasić wszystko w zasięgu wzroku, ale coś się tliło w ścianach i suficie. Nawet gdyby w tej chwili zadzwonili, przyjazd

ochotniczej straży pożarnej z Mellen musi trochę potrwać. Może nawet z pół godziny. A do tego czasu cała stodoła będzie w ogniu.

Nieoczekiwanie przed jego oczami przemknął obraz ojca leżącego na posadzce warsztatu. Skradający się w jego stronę śnieg. I to, jak ojciec już nie patrzył na Edgara. Nie oddychał. „Te rejestry to nasza biblia — powiedział kiedyś. — Bez nich nie wiedzielibyśmy, jakie znaczenie miał dany pies”.

Edgar odwrócił się i ujrzał matkę spoglądającą w stronę domu.

Glen pólleżał na stopniach ganku, przyciskając ręcznik do twarzy. Stojący obok Claude mówił coś cichym, ponagającym tonem i próbował zabrać mu ręcznik, żeby chlusnąć garnkiem wody w oczy Glena.

— Dlaczego Glen to zrobił? — odezwała się matka. — Niech go diabli!...

Miał ze sobą eter. Wytrąciłem mu go z ręki.

— Co on robił z eterem?

Eter był w butelce. Przyłożył mi szmatę do twarzy.

Spojrzała na szary proszek pokrywający włosy i ubranie Edgara.

— Rzuciłeś w niego wapnem?

Tak.

— Ten błysk to były opary eteru.

Tak. Pewnie rozgrzana żarówka spowodowała wybuch.

— Co on chciał zrobić?

Nie wiem.

Kręciła głową.

— To przecież nie ma sensu — stwierdziła. — Skąd w ogóle wiedział, że ty...

W tym momencie głos uwiązał jej w gardle. Chyba dopiero teraz zauważyła, że Glen Papineau jest ubrany po cywilnemu. Miał na sobie dzinsy i kraciatą koszulę z krótkim rękawem udekorowaną teraz śliniaczkiem wapna. Claude w końcu namówił go, by odłożył ręcznik, i widzieli, jak odciąga mu powiekę i zlewa jego szeroką twarz wodą. Kiedy poczuł ją w oczach, jego plecy wygięły się w łuk. Odepchnął Claude'a i ponownie się skulił.

— Skąd on wiedział? — powiedziała. Wzięła drżący oddech. Łzy rozlały się jej po policzkach. Zacisnąwszy dłonie w pięści, ruszyła w kierunku ganku. Po chwili wydłużyła krok i rzuciła się do biegu, a jej głos przeszedł w zawodzenie, w którym w kółko powtarzało się to samo pytanie.

Edgar zmusił się, by odwrócić się od domu i od rzeczywistych, żywych psów leżących na ziemi u jego stóp. Poradzą sobie przez kilka minut, jakie zajmie mu zrobienie tego, co zamierzał. Podbiegł do frontowych wrót stodoły, odtoczył ciężką żelazną sztabę i szeroko otworzył skrzydła. Ogarnął go kłęb szarego dymu przesycony wonią palonej słomy i drewna. Cofnął się. Po minucie poziom dymu ustabilizował się na wysokości mniej więcej półtora metra nad posadzką stodoły.

Jeśli się schyli i pójdzie pod tym sufitem dymu, z łatwością dojdzie do drzwi warsztatu. Szaf na pewno nie da się ruszyć, ale mógłby wynieść pojedyncze kartoteki. Najcenniejsze są te najpóźniejsze, obejmujące pięć ostatnich pokoleń. Ile razy uda mu się wejść? Ile kartotek

może zabrać naraz? Pomieszają się, lecz później będzie miał czas, żeby je uporządkować. Pozwolił sobie rzucić okiem w stronę ganku. Matka stała przed Claude'em i Glenem.

— Skąd wiedziałeś, Glen? — krzyczała. — Skąd wiedziałeś, że Edgar tam jest?

Obok Glena na stopniach stał Claude. Pochylił się i zaczął coś mówić.

— Zamknij się, Claude. Zamknij się. Chcę to usłyszeć od Glena.

Ale Glen siedział w milczeniu, kołysząc się i przyciskając ręcznik do twarzy. Trudi uklękła i chwyciwszy głowę Glena w ręce, odwróciła ją do siebie.

Edgar doszedł do wniosku, że jeśli jeszcze chwilę będzie na to patrzył, nie powstrzyma się i pobiegnie do domu, do Claude'a, a wtedy wszystkie nadzieje szczyzną. Nabrał kilka głębokich oddechów i nie czekając, aż wrócą wątpliwości, bez dalszego zastanawiania wbiegł do płonącej stodoły.

Gorący dym kłębił się nad jego plecami. Na samym końcu stodoły samotna żarówka mrugała między fałdami dymu. Gdyby szedł prosto do warsztatu, znalazłby się tam w kilka sekund, ale idąc z opuszczoną głową i rozglądając się za płomieniami, potrzebował więcej czasu. Dotknął klamki w drzwiach do warsztatu i jak kasiarz potarł kciukiem po czubkach palców, sprawdzając temperaturę. Gorące, choć nie cieplejsze od

544

545
pozostałych części stodoły. Otworzył szeroko drzwi. Zassany dym wniknął w ciemności i wyrównał poziom między przejściem a warsztatem.

Edgar poczuł, że oczy zaczynają go piec, po twarzy spłynął mu potok łez. Przedarł się przez wejście i pstryknął włącznik światła, zapalając żarówkę wiszącą na oprawce pod sufitem. Odetchnął z lekką ulgą. Znal

to pomieszczenie doskonale i nawet w zupełnych ciemnościach trafiłby do szaf z dokumentami, ale po omacku nie potrafiłby znaleźć poszukiwanych rejestrów, a nie miał czasu na szukanie latarki.

Otworzył górną szufladę szafy po prawej. Ukazała mu się zbita masa papieru poprzedzielana setki razy, z biegnącym pośrodku długim postrzępionym garbem umieszczonych na szarych teczkach zakładek indeksujących. Na wszystkich widniały ołówkiem wypisane imiona. Cotton. Vesta. Hoop. Frog. Wsunął dłonie w tę masę, niezgrabnie wyciągając naręcze i rozsypując po drodze notatki, zdjęcia i spinacze. Niczego nie podnosił, tylko odwrócił się i popędził wzdłuż przejścia. Papiery były ciężkie, z szelestem przesuwały się w jego ramionach. Po chwili znalazł się na podwórzu, w czystym powietrzu. Na końcu trawnika zatrzymał się, schylił i rozsypał dokumenty na ziemi.

Przez mgnienie poczuł coś nowego, coś niemożliwego i zupełnie niepasującego do rzeczywistości. Uczucie euforii. Jakby cofnął się do tego momentu, gdy ojciec leżał na posadzce warsztatu, i odkrył coś, co mogło ojca uratować. To uczucie ustąpiło równie szybko, jak się pojawiło. Ale natychmiast zrodziło się w nim jakieś wewnętrzne pragnienie, aby powróciło. Pobiegł do stodoły i nie zważając na nic, przedarł się przez dym, młócąc powietrze rękami, po czym wypełnił ramiona kolejną porcją szarych teczek zawierających dokumenty i fotografie. Był już prawie przy podwójnych drzwiach, gdy betonowa posadzka nagle się uniosła; zobaczył jeszcze, jak przechyla się w jego stronę, lecz nie zdążył już zareagować i uderzywszy barkiem w zawiasy drzwi po prawej, upadł, wymachując nogami w powietrzu, ale mocno przyciskając papiery do piersi.

Uderzenie ocuciło go. Przez moment leżał na progu stodoły, częściowo w jej środku, a częściowo na zewnątrz. Po kilku haustach świe-

żego powietrza zebrał się na nogi i niepewnym krokiem wyszedł na trawę. Dotarli do sterty wcześniej uratowanych dokumentów, zgiął się wpół, a papiery same rozsypały się z trzepotem na ziemi.

„Pamiętaj o mnie”.

I głos matki z oddali:

— Edgar! Nie wchodź tam!

Stała przy ganku. Glen potężną ręką trzymał przegub jej dłoni wyglądającej jak słomka ściśnięta w imadle. Edgar popatrzył na matkę i pokręcił głową. Nie było czasu na dyskusje. Ani nie czuła, ani nie słyszała tego co on. Nie rozumiałyby słuszności takiego postępowania. On zaś nie potrafiłby wyrazić słowami przepływających przez niego uczuć.

Matka przybiegłaby go powstrzymać, ale nie potrafiła się wyrwać z żelaznego uścisku Glena. Odwróciła się i wolną ręką zaczęła bić go po twarzy. Czując uderzenia, potężny mężczyzna podniósł się. Był zdezorientowany, dręczony okrutnym bólem i tylko rzucał głową na boki, żeby uniknąć ciosów. Stał nisko na szeroko rozstawionych nogach. I nagle jednym płynnym ruchem przeciągnął swoją grubą nogą pod jej nogami, złożył matkę Edgara w pół w ramionach i razem upadli na trawę. Zanim jeszcze znaleźli się na ziemi, Glen zdążył unieruchomić jej nogi, ściskając je między swoimi.

— Co się dzieje? — zapytał. Głos miał przepełniony bólem i przestraciem, lecz nie słychać w nim było najmniejszego wysiłku fizycznego, jakby te wszystkie odruchy zapaśnika same się obudziły, żeby go obronić. — Dlaczego nikt mi nie pomaga? — krzyczał. — Czy nikt nie rozumie, że nic nie widzę?

Edgar westchnął i odwrócił się. W oczach pozostał mu przez chwilę widok splątanych postaci Glena Papineau i matki, wijącej się i walczącej w jego ramionach. Oraz Claude'a stojącego na ganku kilka stop-

ni wyżej.

Podpierając się rękami, schylony sunął do warsztatu, teraz już uważając, żeby nie unieść głowy w warstwę dymu, wstrzymując oddech jak najdłużej, dopóki nie zaczęło mu rozsadzać piersi. Zdołał zebrać resztę kartotek z pierwszej szuflady. Kiedy szedł z pełnymi rękami, dużo trudniej było utrzymać nisko głowę. Oczy mu łzawiły i zamiast światła w warsztacie widział tylko rozmazaną tłustą żółtoszarą plamę. Musiał uważać, żeby nie wciągać w płuca otaczającego go powietrza. Potworne zawroty głowy po ostatniej próbie były dostatecznym ostrzeżeniem. A i tak czuł dym palący go w tchawicy i płucach. Wybiegł na dwór, roz-

546

547

sypał papiery na ziemi i opadł na kolana. Podejrzewał, że ktoś normalny pewnie by się rozkaszał, ale on tylko odczuwał dziwne zamroczenie. Pochylił się i próbował sprowokować kasłanie i sapanie, żeby usunąć z siebie dym.

Podniósł głowę i zauważył Essay, która stała przed nim, wymachując ogonem. Wysoko postawione uszy sygnalizowały uwagę, a błyszczące oczy wesołość. Miały dokładnie taki sam wyraz, jak gdy paradowała wokół zatoczki po ustąpieniu tornada. Zdawała się gotowa podążyć za nim do stodoły. Chwycił jej kryzę w dłonie, chcąc nią potrząsnąć i odstraszyć, lecz powstrzymał się. Skończyli już z poleceniami. Położywszy dłoń pod jej brzuchem, ściągnął na siebie jej uwagę.

Uciekaj, pokazał na migi, wkładając w ten gest całą siłę, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. Wiem, że to rozumiesz. Wiem, że to twój wybór. Ale proszę. Zmykaj!

Essay cofnęła się o krok, nie spuszczając wzroku z Edgara. Popatrzyła w kierunku pozostałych psów krążących pod jabłonią. Ponow-

nie zwróciła pysk w stronę Edgara, lekko wierzgnęła i wytrzymała jego spojrzenie.

Tak, pokazał Edgar na migi. Tak.

Skoczyła do przodu, przeciągnęła językiem po jego twarzy i rzuciła się w stronę stada psów, które już zdążyły się podnieść i wszystkie, łącznie z tymi, które wcześniej matce udało się usadzić, goniły po podwórzu. Ogromnie chciałby wiedzieć, czy Essay go zrozumiała, żeby się jednak upewnić, musiałby machnąć ręką na rejestry i pobiec za nią.

Odwrócił się znów do stodoły. Już miał wejść przez podwójne wrota do jej zadymionego wnętrza, kiedy przypomniał sobie o magazynie na mleko i o tym, co tam można znaleźć. Obszedł stodołę od przodu, podszedł do drzwi magazynu i otworzył je szeroko.

Przyrzekł sobie, że zrezygnuje, gdy tylko zobaczy pierwszy ogień.

Claude

Aniech się spali, pomyślał Claude.

stał na dolnym stopniu schodków ganku, obserwując rozgrywającą się katastrofę i zastanawiając się, co tu począć. Z pewnością nie uważał za katastrofę tego, że stodoła się spali. W końcu była ubezpieczona, psom na dworze nic nie groziło, nawet jeśli teraz biegały luzem. W najgorszym wypadku strata stodoły może na kilka miesięcy przysporzyć im nieco kłopotów i niedogodności — będą musieli gdzieś umieścić psy, ale z łatwością znajdą rodziny, które chętnie je tymczasowo przyjmą — a z drugiej strony, realnie rzecz biorąc, dzięki temu będą mieli lepszą, nowocześniejszą stodołę, zanim spadnie pierwszy śnieg. Katastrofą nie było też to, co się przydarzyło Glenowi; chociaż Claude przepłukał mu oczy wodą zaraz po dojściu do domu, wapno zdążyło już wyrządzić makabryczne szkody. Jednak trudno było żałować Glena. Ten gość musiał użyć dość prestone, żeby wystrzelić raketę. Tego Claude z pewnością

mu nie proponował.

Nie, katastrofą było to, że Edgar wciąż biegał do psiarni po te rejestry, raz za razem wracając do warsztatu i szaf z dokumentami, mimo że spod okapu stodoły wypływały kłęby dymu. Edgar nawet wziął sobie taczkę z magazynu na mleko i na oczach Claude'a szerokim łukiem toczył ją w stronę wrót stodoły.

Jakby tego wszystkiego było mało, Glen zamknął Trudi w jakimś zapaśniczym chwycie. Lada moment Claude będzie musiał coś powiedzieć lub zrobić, żeby Glen ją puścił, na razie nie wiedział, jak ma zareagować. Mężczyzna tak oplótł potężnymi kończynami ciało Trudi, że jego uścisk przypominał Claude'owi korzenie w Angkor Wat powoli kruszące

549

starożytną kamienną świątynię. Wyglądało na to, że Glen nie zamierza przestać, dopóki sam nie straci przytomności. Jednak Claude nie chciał interweniować, dopóki nie uzyska pewności, że stodoły nie da się uratować. Stodoła miała pójść na straty. Dlatego powiedział Trudi, że telefon nie działa. Teraz prawdopodobnie już rzeczywiście nie działał.

Było coś urzekającego w widoku dymu wznoszącego się ze stodoły, czernią pokrywającego czerń i wymazującego z nieba szeroki pas gwiazd.

Ten obraz przypominał Claude'owi o tym, jak wielka jest ta stodoła. Po powrocie do domu ponownie uderzył go jej rozmiar, ale później dosyć szybko w jego oczach stała się normalna, podobnie jak w czasach dzieciństwa, kiedy to stodoły innych wyglądały przy niej jak miniaturki.

Ogrom dymu buchającego sponad dachu na powrót sprowadził wszystko do właściwych proporcji i Claude z podziwem pomyślał o człowieku, który ją zbudował — cóż on zamierzał, żeby stawiać coś takiego?

Lepiej się temu przyjrzeć, pomyślał. Obserwował dym sączący się ze szpar wokół wielkich drzwi załadunkowych na strychu — drzwi, które Ed-

gar szeroko otworzył tej nocy, gdy zepchnął Papineau ze schodów; drzwi, przez które jeszcze dwa tygodnie wcześniej wciągnęli ładunek sześciu wozów z belami słomy, w pocie czoła ciężko pracując przez cały dzień. Dziwne: tyle dymu buchającego na zewnątrz, zwijającego się i kłębiącego, i żadnego dźwięku, nawet śladu płomieni. Claude dostatecznie dużo wiedział o pożarach, żeby zdawać sobie sprawę, że w tym momencie trwa faza, podczas której ogień - czy też to, z czego ogień ma się zrodzić - tli się w starym drewnie, prawdopodobnie również w słomie, podążając ukrytymi ścieżkami i drózkami w poszukiwaniu paliwa i tlenu. Ponownie spojrzął w niebo. W świetle bliskiego pełni księżycy nie było widać nawet jednej chmurki. Edgar wyłonił się z dymu, pchając taczkę wyładowaną papierami.

Ten widok zmroził Claude'a. Miotająca się bezskutecznie Trudi zaczęła krzyczeć do Edgara, żeby nie wchodził do stodoły. Ale nic mu bezpośrednio nie zagrażało. Warsztat był oddalony od wejścia do stodoły o kilka kroków i jeśli tylko cała konstrukcja nagle nie stanie w płomieniach, raczej nie powinien dać się złapać w środku. Na razie Edgar przynajmniej pozornie postępował słusznie, ratując teczki. Przydadzą się później. Nie są niezbędne, lecz warto je mieć.

Problemem była buteleczka. Nie ma co się oszukiwać, Claude stracił zimną krew — była dobrze schowana na strychu, ale gdy się okazało, że Edgar może zacząć tam szperać, wpadł w panikę i wyciągnął ją. Po tamtym wieczorze z Bensonem i niesamowitej inscenizacji był przekonany, że Edgar raz już ją znalazł. Powinien był zaraz nazajutrz opróżnić ją do strumienia, o czym wielokrotnie myślał, nigdy jednak nie udało mu się odpowiedzieć na pytanie, co będzie potem. Czy zawartość po prostu zapadnie się w ziemi, zniknie? Czy też podąży jakimś podziemnym kanałem i wróci do domu, do studni — do niego? A co ważniejsze — choć z trudem się do tego przyznawał — gdy już raz straci to, co w buteleczce się burzyło, nigdy

tego nie odzyska, a myśl, że to może rozwiązać nawet najtrudniejsze jego problemy, już zbyt głęboko zagnieżdżyła się w głowie Claude'a. Ta świadomość dawała mu pewność siebie, podobnie jak niektórzy ludzie czerpią pewność siebie ze sterty pieniędzy w banku czy z pistoletu umieszczonego w schowku samochodu. Czasami buteleczka stawała się niemal żywą istotą. Jakby mówiła: „Moje istnienie ma cel”. Kiedy tego słuchał, ogarniała go euforia i nienawiść do samego siebie. Ale jeśli teraz zachowa ostrożność, buteleczka spali się, a wraz z nią to wszystko, co w nim najgorsze.

Jeśli zachowa ostrożność... Jeden błąd już popełnił. Bo ledwo wyjął buteleczkę ze strychu, natychmiast się zorientował, jak niewiele jest miejsc, w których mógłby ze spokojnym sumieniem ją schować. Nie było czasu, żeby wszystko przemyśleć. W każdej chwili mogła wejść Trudi i nie miał pojęcia, jakiej odpowiedzi mógłby jej udzielić na pytanie, co robi z buteleczką obwiązaną wstążką z literami alfabetu hangyl, zawierającą płyn przypominający najczystszy, najlepiej wydestylowany jad. Schowanie jej w domu nie wchodziło w rachubę; czułby strach na myśl, że jest tak blisko. Z obawą brał ją nawet przez rękawice robocze. Po wydarzeniu z Garem stał pod prysznicem tak długo, aż zupełnie opróżnił z ciepłej wody bojler w swoim wynajętym mieszkanku, a kiedy zbioru i k ponownie się nagrzał, jeszcze raz wylał jego zawartość na siebie.

Kiedy zabrał buteleczkę ze strychu, miał kilka możliwości. Pomieszczenie medyczne wydawało się złym miejscem — Trudi czasami tam wchodziła, mogła otworzyć szufladę, pomyśleć: „A co to takiego?”, odkręcić zalakowany korek, unieść buteleczkę do nosa... Pozostawał zatem warsztat, do którego Trudi wchodziła tylko po to, żeby udać się na strych. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ustawić jej na widoku, na regale, jakby to było coś bezwartościowego. Wśród tak wielu drobiazgów jeszcze jedna buteleczka wcale by się nie wyróżniała. Z pewnością natomiast wyróż-

550

551

nialaby się w oczach kogoś, kto by jej szukał, i stale przyciągałaby wzrok Claude'a. Zawinał ją więc w upaprnaną olejem szmatę i zagrzebał w stercie starych listów z ryłu dolnej szuflady najstarszej szafy na dokumenty. Te szafy obchodziły tylko Edgara, lecz nawet on najprawdopodobniej Jiie interesował się plikiem starych listów. Claude był przekonany, że to dobre miejsce. Jednak gdy tylko buteleczka została bezpiecznie schowana, znowu poczuł niepokój, poszedł więc do pomieszczenia medycznego, wybrał z szafki strzykawkę i zawiniętą w szmatę umieścił koło buteleczki.

Claude wciąż stał na schodkach ganku, obserwując rozgrywającą się przed nim scenę. Glen zarzucił nogę na biodro Trudi i przewrócił ich tak, że leżeli na boku twarzami do stodoły. Claude prawie nie widział Trudi zza szerokich pleców Glena. Westchnął i zszedł ze schodków na trawnik. Trudi przestała stawiać opór i jak urzeczona patrzyła przed siebie, szepcząc coś, co brzmiało jak: „Nie, nie, nie teraz”, i obserwując Edgara, który wybiegał ze stodoły z kolejną partią rejestrów. Psy goniły na wszystkie strony. Dwa podbiegły do Trudi i Glena, obwąchały ich i odskoczywszy, pognały dalej. Claude ukląkł przy Glenie i sięgnął ponad jego ramionami, próbując oderwać potężną prawą rękę zapaśnika od miejsca, w którym zaciskał ją na lewym nadgarstku.

— Glen, wystarczy — odezwał się sam zaskoczony swoim spokojnym głosem. — Puść Trudi. Dopóki jej nie puścisz, nie możemy ci pomóc.

Glen nie zareagował, natomiast Trudi na dźwięk swojego imienia zaczęła się miotać. Mimo że była gibka i silna, nic to nie dało. Przy Glenie była malutka. On tylko napiął barki i mocniej zacisnął ramiona, dopóki się nie uspokoiła. Odwróciła głowę w stronę Claude'a. Płakała.

— Zatrzymaj Edgara. Claude, proszę. Nie pozwól mu tam wchodzić.

Claude tylko skinął głową. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Podniósł się i ruszył przez podwórze, starając się pozbierać kołaczące się po głowie myśli. Nie lubił podejmować decyzji w ten sposób; potrzebował czasu do namysłu, ale teraz nie mógł usiąść i zastanowić się. Oczywiście może zatrzymać Edgara, przewrócić go i przytrzymać tak, jak Glen trzymał Trudi, aż pożar obejmie stodołę i już nikt tam nie wejdzie. W oczach Trudi będzie to wyglądać, jakby ratował Edgara, a tymczasem buteleczka w warsztacie pęknie, a jej zawartość wyparuje w płomieniach. Później trzeba się będzie zająć Glenem. Był ślepy, jego oczy już wyglądały jak wytrawione kule. Tylko dzięki swojej sile nadal był przytomny, chociaż z bólu częściowo odchodził od zmysłów. Ślepotą dopiero później go przytłoczy — po tylu wspólnie przegadanych wieczorach Claude nie miał co do tego żadnych wątpliwości. A kiedy to się stanie, Claude może utrzymywać, że tylko starał się niewinnie pocieszać Glena, który ogarnięty zalem źle zrozumiał jego intencje, a Trudi pewnie w to uwierzy. W końcu Glen próbował porwać Edgara. A jeśli to dostatecznie nie obciąży Glena, wystarczy przypomnieć, że kiedy Trudi go uderzyła, zaczął stosować na niej te swoje chwytty zapaśnicze, jęcząc, kołysząc się i nie chcąc jej puścić.

Ale pozostanie jeszcze Edgar. Ten chłopiec (widząc go, trudno było nawet myśleć o nim w ten sposób, posiwiały od wapna, wysoki i chudy jak tyka) może zgłaszać jakieś pretensje, chociaż wszelkie rzeczywiste dowody już dawno rozwieją się w chmurach. Tyle że Claude też ma pytania, które może zadać. Co tak naprawdę stało się Page'owi na strychu? Przy odrobinie szczęścia mogą znaleźć w kieszeni Edgara klucz do impali, a także kilkaset dolarów. Czy kogoś zdziwi, gdy się okaże, że uciekinier chciał ukraść samochód?

Może się udać, pomyślał Claude. Musi tylko powstrzymać Edgara

— ratując mu życie w oczach Trudi — i czekać. A później wszyscy poczują ulgę, będzie to wszystkich nowy początek. Pożar, a potem odbudowa wszystko odmieni. To może być punkt zwrotny.

Tak rozmyślając, Claude zmierzał w stronę stodoły, kiedy nagle poczuł tępy nacisk na udzie. Spojrzał w dół. Przy nim stała Essay. Nos przyciskała do jego nogi, tuż nad kolanem, a Claude'owi serce aż zadrżało, bo przez moment miał wrażenie, że w jej pysku dojrzał strzykawkę. Jednak oczy go zmyliły. Niczego nie trzymała w zębach. Przypomniał sobie tamten wieczór w psiarni, kiedy Edgar odegrał tę swoją sztuczkę. Essay stała teraz przed nim, z otwartym pyskiem i błyszczącymi figlarnie oczami, patrząc zdecydowanym wzrokiem, jakby się spodziewała, że zaraz na jego twarzy pojawi się ta sama mina co wtedy. Czy to możliwe, że chłopak jest tak zdeterminowany, iż ponownie chce odegrać tamtą sztuczkę?

I nagle Claude'a opuściła cała pewność siebie. Nie myślał dostatecznie przenikliwie. To się nie uda. Z pewnością nie, skoro wystarczy, że pies na niego spojrzy, a jemu już zaczynają drżeć dłonie i w głowie huczy krew. Łudził się tylko. Już zawsze będzie musiał w ten sposób patrzeć w oczy Gara.

552

553

Nie, nie Gara — Edgara.

Dlaczego tak pomyślał? Jeszcze dobrze nie postawił sobie tego pytania, a już znał odpowiedź: ponieważ Edgar, po odjęciu z jego twarzy całej dziecięcej łagodności, oświetiony ukośnie padającym blaskiem podwórzowej lampy, z włosami siwymi od wapna, zbyt przypominał swojego ojca. Ponieważ, kiedy niósł w ramionach teczki, siedł tak samo przygarbiony jak Gar wnoszący i wynoszący z kojca małe szczeniaki. Ponieważ zdarzały się noce, kiedy stukot owada o szybę w sypialni powodował, że Claude

zrywał się z łóżka, adrenalina zaczynała krążyć w jego żyłach, serce skakało jak szalone i musiał się przejść, żeby się uspokoić, a potem nie mógł się położyć. Już lepiej siedzieć, patrząc w noc, i w ten sposób się przespać, jeśli w ogóle zaśnie. I ponieważ widząc teraz minę Essay, pomyślał o tamtym poranku, gdy podniósł wzrok znad zlewu i za oknem ujrzał Edgara na jabłoni, i o tym, że w końcu to on musiał się odwrócić.

Claude ponownie spojrział w dół i zauważył, że suka już uciekła i dołączyła do jednej z grupiek rozbrykanych psów na podwórzu. Podszedł do podwójnych wrót stodoły i pochyliwszy się, wszedł do środka. Powietrzem na wysokości jego pasa dało się oddychać, chociaż czuł, że śmierdzi i piecze w oczy. Widział przed sobą tylko na metr. Znalazłszy się w drzwiach warsztatu, dojrzał zarys taczki stojącej na ukos pośrodku i Edgara wyszarpującego górną szufladę z szafy. Chłopiec stał wyprostowany tylko przez chwilę wystarczającą, żeby wyciągnąć zawartość szuflady, i zaraz ponownie się schylał.

Obejrzał się i zobaczył Claude'a w drzwiach. Na moment znieruchomiał, ich spojrzenia się spotkały. Potem odwrócił się i chwycił kolejną partię teczek z otwartej szuflady. Szuflady w szafach bliżej drzwi były wysunięte do połowy i opróżnione — Edgar zbierał rejestry od najnowszych po najstarsze. A to tłumaczyło, dlaczego jeszcze nie wyszedł na podwórze z buteleczką w dłoni.

Claude minął Edgara i podszedł do ostatniej szafy. Wysunąwszy górną szufladę, zaczął wybierać z niej kolejne naręcza rejestrów i wrzucać je do taczki, napelniając ją tak szybko, jak tylko potrafił, chociaż już zaczęło się z niej przesypywać. Edgar dalej zajmował się dolną szufladą sąsiedniej szafy, co chwilę odwracając się z dźwiganymi dokumentami. Część papierów nie trafiła do taczki i rozsypała się wachlarzem w stronę wejścia. Następnie Edgar wyprostował się, chwycił za rączki taczki i zniknął w dymie.

Edgar

Pluł sobie w brodę, że wcześniej nie pomyślał o taczce. W ten sposób mógłby wywieźć bezpiecznie na zewnątrz wszystko, całą ich historię. Pracując jak szalony, przerzucił już zawartość jednej szafy do metalowego pojemnika taczki. Dym w stodole był tak gorzki i gęsty, że musiał opaść na kolana, chcąc zaczerpnąć nieco lepszego powietrza przy podłodze.

Ponownie się podniósł, zanurzył ręce w szufladzie, odwrócił się i wrzucił naręcze papierów do taczki. Jakże szumiało mu w głowie przy tej pracy, jakże euforyczne było to trzepoczące w nim uczucie wybawienia! Miał wrażenie, że udało mu się zawrzeć nową umowę, podobnie jak wówczas gdy zimą obserwował jabłonie, i teraz pracował z wielkim przejęciem. Jego umiłowanie porządku, choć ograniczone, protestowało przeciwko bezładności tych poczynań, przeciwko wywracaniu do góry nogami schludnego pochodzenia kolejnych pokoleń psów. Ale nie potrafił się zatrzymać. Zamierzał całą resztę wrzucić do tej ostatniej taczki, lecz dokumenty już się piętrzyły nad brzegiem. Jeśli coś jeszcze dołoży, teczki zsuną się i rozsypią na zakręcie, a potem zginą w dymie.

Spojrzał na drzwi warsztatu, kiedy stanął w nich Claude, nisko pochylony i mrużący oczy w dymie. Jego twarz pozbawiona była wyrazu, a raczej przedstawiała całą ich mieszankę - każdy przelotny, niedokończony i niepasujący do następnego. Edgar pomyślał, że ktoś inny, obserwując to z własnego punktu widzenia, mógłby dostrzec w tej twarzy troskę czy obawę albo strach, pragnienie lub odrazę. Dla Edgara jednak to co widział, było zupełnie niezrozumiałe, nieczytelne, do niczego nie zobowiązujące i tak naprawdę niczego nieukazujące. Jak zwykle w odniesieniu do Claude'a. Edgar nawet na moment nie zapomniał ani tego,

co widział na strychu, ani też tamtego strumienia wspomnień, który przepływał przez niego w deszczu. Kiedy tu wracał, nie miał określonego planu, chciał tylko powiedzieć prawdę i stale ją powtarzać, choć nie miał żadnych dowodów.

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, Claude już go minął, wyszarpnął górną szufladę ostatniej szafy i zaczął wrzucać naręczą dokumentów do taczki. Nic nie powiedział, nawet nie spojrzał Edgarowi w oczy. Gdy Edgar zrozumiał, co Claude robi, ponownie zajął się teczkami i przez chwilę pracowali ramię przy ramieniu. Taczka szybko się przepełniła. Nie było czasu na wyjaśnienia ani też języka, którym można by to uczynić. Edgar po prostu chwycił ręczki taczki i wybiegł przez drzwi. Trudno było iść z nisko pochyloną głową, a tylko wtedy dało się oddychać, i dwa razy musiał się zatrzymać, żeby ustabilizować stertę papierów.

Gdy tylko znalazł się na dworze, rzucił się na kolana i zmusił do kaszlu; tym razem niemal rozdzierającego mu gardło. Następnie wstał i przewrócił tawkę, patrząc na rozsypujące się po trawie dokumenty, na porozrzucane białe i kremowe kartki, jakby zapisane we wszystkich językach świata, niektórych starożytnych, a innych dopiero czekających na wymyślenie. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział zdjęcia, rodowody, arkusze rejestru i notatki. Historia czterdziestu pokoleń psów.

Pięćdziesięciu.

Popatrzył w kierunku domu. Matka nadal leżała skrępowana ramionami Glena Papineau. Widząc Edgara, przestała się szamotać i odwróciła twarz w jego stronę.

— Daj spokój, Edgarze! Daj spokój!

Nie mogę, odparł na migi. Jeszcze nie.

Odwrócił się z powrotem do tłącej się psiarni. Krzyki matki splecione z jękami Glena składały się na irytujący duet. Początkowo wąska

smuga dymu przekształciła się już w mętną masę buchającą z górnej połowy wejścia do stodoły. Zastanawiał się, czy słoma na strychu płonie. Nie było widać nawet najdrobniejszych języczków ognia, chociaż z kalenicy wypływały pióropusze czarnego dymu.

Zdawał sobie sprawę, z czym wiąże się powrót do warsztatu. Claude nie przyszedł, żeby mu pomóc. A jednak każda uratowana teczka przywracała na miejsce kawałek świata, który uważał już za utracony na zawsze. Od tak dawna żył oddzielony — od ojca, od siebie, a teraz od

556

Almondine. Tego co zamierzał zrobić, nie można było kwalifikować w kategoriach mądrości czy głupoty, odwagi czy brawury, przenikliwości czy nieświadomości. Rzecz w tym, że już nie potrafił się podzielić; nie potrafił wybrać między wewnętrznymi nakazami. Powrócić do życia czy się zemścić? Walczyć czy odejść?

Wewnątrz stały jeszcze dwie szafy wypełnione teczkami i listami od Brooksa, rejestr miotów i The New Webster Encyclopedic Dictionary of the English Language z esejem Aleksandra McQueena o znaczeniu nadawania imion i niezliczonymi stronami uwag, śladów wszystkich znanych Edgarowi psów. Biegnąc truchtem, pchał przed sobą taczkę i po raz ostatni przekroczył podwójne wrota stodoły. Jeśli się pospieszy, obróci w trzy minuty. A jeśli będzie potrzebował więcej czasu, miał pomysł, jak rozgonić dym na tak długo, żeby zabrać wszystko, co jeszcze pozostało.

Pomysł, który przyszedł mu do głowy już dawno temu, we śnie.

Claude

Gdy tylko Edgar zniknął wklębach dymu za drzwiami warsztatu, Claude wyrwał dolną szufladę szafy i spod masy listów i wycinków prasowych wygrzebał zawiniątko. Owinięta w pokrytą olejem szmatę strzykawka wy-

sunęła mu się z rąk i wpadła do szuflady. Przez chwilę macał dłońią po papierzyskach, aż palce wyczuły okrągły plastikowy zbiorniczek. Wycofał się, depcząc fotografie i rodowody rozrzucone po posadzce niczym pisana ręką szaleńca historia psiarni. Dotarł do stołu warsztatowego, odwrócił się tyłem do pomieszczenia i przykląkł.

Zawinał rękę w szmatę i chwycił buteleczkę, po czym wyjął korek i zachowując ogromną ostrożność, odłożył go na ziemię do kąta, jak najdalej od siebie. Przekręcił osłonę igły. Każdy jego ruch był rozważny, lecz pracował w pośpiechu i przypadkowo dźgnął się lekko końcówką igły w prawą dłoń. Gwałtownie cofnął rękę, zanim jeszcze zdążył poczuć ukłucie. Nakłucie było zbyt małe, żeby pojawiła się choćby kropelka krwi, ale czubek igły zabarwił mikroskopijny czerwony menisk.

Kiedy znów spojrzał na buteleczkę, opalizujący strumyczek wspiał się po szyjce. Włożył igłę w końcówkę strzykawki. Ciarki przeszły mu po skórze na widok płynu tak ochoczo zasysanego do maleńkiej stalowej arterii. Potrzebował tylko kropelkę, tymczasem do zbiorniczka dostało się pół centymetra sześciennego cieczy, zanim przyłożył kciuk nad tłoczkiem, a nawet wówczas, czując tę uporczywie pchającą w górę siłę, miał wrażenie, że jakieś dziczące zwierzę chce wyrwać się z klatki. Z wysiłkiem wcisnął prawie wszystko z powrotem do buteleczki. Kiedy odsuwał strzykawkę na bok, w powietrzu zakołysała się srebrzysta nić. Przyłożył końcówkę igły do szkła, obrócił ją i cofnął, pozostawiając kropkę czystego oleju, która zadrzała, opadła i zsunęła się po wewnętrznej krzywiznie szyjki butelki. Odłożył butelkę, nie zamykając jej, odrzucił na bok szmatę i odwrócił się, trzymając strzykawkę na wyciągniętej ręce. Teraz już tylko czekał.

W gęstym dymie majaczyły stojące naprzeciwko szafy na dokumenty, zamglone i odległe. Nie miał pewności, czy Edgar zamierza tu wró-

cić, ale gdyby zrobiło się niebezpiecznie, Claude w każdej chwili mógł wyrzucić strzykawkę i w kilka sekund wynieść się ze stodoły. Ogień nie rozprzestrzenia się aż tak szybko, pomyślał. Spojrzał na świecąca w oprawce pod sufitem gołą żarówkę i zastanowił się, kiedy roztopi się izolacja na przewodach. Dym niósł wstrętny, cuchnący zapach palonego ciała. Pewnie jakieś gniazdo myszy, pomyślał, albo ptakprzyduszony pod okapem. Tyle dymu i wciąż żadnego dźwięku ani płomienia. Z podwórza dochodził go płacz i krzyki Trudi.

W tym momencie pojawił się Edgar z pustą taczka, tak nisko nad nią pochylony, że płozy szorowały po betonowej posadzce. Weisnął przód taczki pod prowadzące na strych schody, rzucił się na kolana i wyszarpnął najniższą szufladę najstarszej szafy — tę, w której schowana była buteleczka — po czym zaczął wyciągać listy i dokumenty. Claude stał w miejscu. Przypomniawszy sobie, jak stary zielarz użył zaostzonej trzcinki. I jak później drżała mu zwiędła ręka. W porównaniu z tym co on teraz odczuwał, tamta reakcja wydawała się bardzo łagodna, bo nagle Claude wyraźnie zdał sobie sprawę z całego mechanizmu nerwów, mięśni i ścięgien poruszających jego palcami. Strzykawka zaczęła dygotać w jego dłoni. Wolną ręką ścisnął drżący nadgarstek tak mocno, aż wewnątrz zatrzeszczały kości.

Przeszedł przez warsztat.

Po chwili było po wszystkim.

Cofnął się, sięgając w tył ręką, żeby zamknąć drzwi warsztatu. Nagle zęby zaczęły mu dzwonić, a kiedy mocno je zacisnął, z ust wyrwał się jęk. Musisz wziąć się w garść, pomyślał. Teraz trzeba tylko przytrzymać Edgara w tym pomieszczeniu i chwilę poczekać. Ale serce miało się w klatce żeber, a pędząca w żyłach krew zdawała się ciężka jak rtęć. Przycisnął plecy do drzwi i osunął się na beton, dopiero teraz zauważa-

jąc, że nadal trzyma w dłoni strzykawkę. Konwulsyjnym szarpnięciem odrzucił ją na bok. Tak jak wtedy przy Garze.

558

559

Edgar wrzucał dokumenty do taczki, jakby nic się nie stało. Raptownie przysiadł na piętach, popatrzył w górę i w tył jakby przestraszony jakimś dźwiękiem. Zwrócił wzrok w stronę Claude'a, ale spojrzenie nie zatrzymało się na nim. Wstał i ruszył przez warsztat, przesuwał dłońmi po półkach pod schodami, i zaczął czegoś szukać w kącie, gdzie stały narzędzia na długich styliskach.

Kiedy się odwrócił, w rękach trzymał widły.

O Boże, pomyślał Claude.

Jednak Edgar nie patrzył na Claude'a. Podszedł na środek pomieszczenia i nisko się nachylił, żeby jego twarz znalazła się poniżej gęstej masy dymu. Przez chwilę siedział w kucki, mrużąc oczy i ocierając Izy, a równocześnie lekko się kołysał, próbując coś zlokalizować na suficie koło oprawki żarówki.

Na koniec wstał i uderzył widłami w górę, prosto w dym.

Edgar

Wpierwszej chwili pomyślał, że coś na niego spadło i sparaliżowało mu nerw, jak czasami bywa po uderzeniu w łokieć. Dreszcz przejmującego zimna w karku, nic więcej. Zdążył jeszcze sięgnąć do szuflady i chwycić kolejne naręcze listów i dokumentów, odwrócić się i wrzucić je do taczki, zanim lodowata fala spłynęła mu po krzyżu w stronę kończyn, docierając do pachwin, kolan, pach i dłoni. Dziwne, niewyobrażalne wrażenie. Sięgnął ręką w tył i dotknął karku. Odwrócił się. Nic nie spadło. Claude zamknął drzwi warsztatu i przysiadł niezdarnie pod nimi, jakby czymś przestraszy sapał przez otwarte usta.

I nagle, z niewiadomego powodu, dym zgęstniał trzykrotnie, tak że już ledwo widać było ściany pomieszczenia. Światło pod sufitem skurczyło się do pomarańczowego, poczernionego dymem kryształu. Edgar doszedł do wniosku, że powinien zmusić się do kaszlu, więc pochylił się i wsparł łokcie na kolanach, lecz niewiele to dało. Musi usunąć ten dym z pomieszczenia; dusił się od niego. Podszedł do leżących w kącie narzędzi. Grabie. Motyki. Może być cokolwiek. Do ręki wpadły mu widły.

Gdy się obrócił, ściany zawirowały wokół niego. To eter, pomyślał, ponieważ znów odnosił wrażenie, jakby się od siebie oddzielił, podobnie jak wówczas gdy Glen trzymał szmatę przy jego twarzy — uczucie, że znalazł się poza własnym ciałem i na siebie patrzy. Ale to wrażenie było też inne, spowodowane bowiem tamtym paraliżującym uczuciem, które przez niego przepłynęło. Miał nieodparte przekonanie, że coś wcześniej na niego spadło. Dotknął głowy. Palce były suche, ani śladu krwi.

Starając się zachować równowagę, przeszedł na środek pomieszczenia. Sufit ginął w kłębach dymu. Przy każdym oddechu Edgar czuł drapanie w płucach. Ze wszystkich sił starał się skoncentrować. Próbował

561

przypomnieć sobie, w którym miejscu w stosunku do lampy na suficie jest kłapa do zrzucania słomy. Zatoczył się dwa razy i musiał uważać, jak stawia nogi, żeby się nie przewrócić.

Na koniec spróbował na chybił trafił. Uniósł widły i uderzył w górę.

Zęby trafiły w drewno. Pchnął i poczuł mocny, nieustępliwy opór. Szarpnął widłami w dół, uwalniając ich zęby, i ponownie dźgnął w dym, bardziej w prawo. Tym razem coś się poddało. Poczuł, jak kłapa unosi się o centymetry i blokuje przekrzywiona w otworze. Zaparł się i jeszcze raz ją dźwignął - teraz uniosła się i przesunęła po podłodze strychu nad jego głową.

W tym momencie widły spadły z brzękiem na podłogę. Edgar le-

żał na plecach, choć nie pamiętał, żeby się przewrócił. Powietrze przy posadzce było rozkosznie czyste. Dym wirował i kłębił się wokół otworu w strychu, falując łagodnie - Edgar jakby obserwował ruchy żywej istoty. Udało się dokładnie tak, jak myślał, tak jak stało się w jego śnie nazajutrz po tym, gdy ojciec pojawił mu się w deszczu. Ten widok nappełnił go uniesieniem i smutkiem. Dym wznosił się na strych, rozciągając się pod samym otworem i kotłując się, kiedy przez niego uchodził. Na strychu nic nie widział, ani stert beli słomy, ani belek, urządzeń czy żarówek pośród krokwi. Tylko wznoszące się w górę tysiące warstw szarości. Pomyślał, że może dostrzeże płomienie, lecz nic takiego tam nie było. Tylko nieustanny pęd dymu.

Po wytoczeniu ze stodoły ostatniej taczki z dokumentami zamierzał coś zrobić, coś ważnego. Nie miał pretensji do Glena Papineau. Jak sam Glen powiedział, chciał tylko zadać Edgarowi pytanie. Ale to Edgar miał coś jemu do powiedzenia i teraz, zamknąwszy oczy, wyobraził sobie, że Glen stoi przed nim, a on mówi słowa, które Glen może usłyszeć.

Przykro mi, powiedział. Wyobraził to sobie najlepiej, jak potrafił, koncentrując się z całych sił. Przykro mi z powodu pańskiego ojca. Czuł, jak coś w jego wnętrzu ustępuje. Jakby bariera została zniesiona. Leżał na ziemi, obserwując dym pełzający po suficie. Po chwili z jakiejś kryjówki obok szaf wysunęła się Almondine. Podeszła, spojrziała na Edgara i polizała mu twarz.

Wstawaj, powiedziała. Pospiesz się. Dyszała. Uszy miała nastawione do przodu i mocno stulone, jak zawsze gdy była podenerwowana, ale jej ruchy były wyważone i spokojne. Nie zaskoczyło go, że słyszy jej głos. Jakby przez całe życie słyszał go w głowie.

Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę, pokazał na migi.

Zaginąłeś.

Tak. Zaginałem.

Nie musiałeś wracać. I tak bym cię znalazła.

Jednak musiałem. Zrozumiałem pewne sprawy, gdy mnie tu nie było.

I musiałeś wrócić.

Tak.

Co zrozumiałeś?

Zrozumiałem, co robił mój ojciec. Dlaczego ludzie chcą mieć psy

Sawtelle'ów. Kto powinien je mieć. I co jest potem.

Od początku to rozumiałeś.

Nie. Nie w ten sposób.

Przez chwilę tylko na siebie patrzyli.

Tyle się wydarzyło, pokazał na migi.

Tak.

Usiądź tu, przy mnie. Chciałbym ci o kimś opowiedzieć. Nazywa się Henry.

Wstawaj, odrzekła. Wyjdź na dwór.

Powiedziałem mu, że nazywam się Nathoo.

Mówiąc te słowa, roześmiał się lekko, bo wiedział, że ona to zrozumie.

Ludzkie imię Mowglięgo.

Tak.

Tak było lepiej?

Zastanowił się nad jej pytaniem.

Początkowo. Później nie miało to znaczenia. Chciałem powiedzieć mu prawdę, ale nie miałem okazji.

Almondine usiadła i spod ściągniętych brwi patrzyła na niego oczami przypominającymi wypolerowane na gładko drewno wiśniowe.

W tym momencie przyszła mu do głowy zupełnie nowa myśl: nie mógł

powiedzieć, że Nathoo jest jego imieniem ani że nie jest jego imieniem, bo nawet „Edgar” było czymś innym niż jego prawdziwego imię — to imię, którym Almondine obdarzyła go w jakiejś odległej przeszłości, długo przed tym, zanim on nauczył się przechowywać w czasie wrażenia w formie wspomnień, i jakkolwiek to imię brzmiało, nie można go było wyrazić w ludzkim języku czy gestach, nie mogło też istnieć poza

562

kształtem jej pyska, blaskiem jej oczu, układem jej warg, gdy na niego patrzyła.

Baboo i Tinder zostali z Henrym.

Tak.

Tamtego dnia nie powinienem był się odwracać, kiedy ujrzałem cię z Claude'em. Nie wiem, co się ze mną stało.

Zaginąłeś.

Zaginąłem.

Wstawaj, powiedziała po raz ostatni.

Chodź tu, odparł. Połóż się koło mnie.

Almondine ułożyła się, opierając klatkę piersiową o jego bok. Zbliżywszy pysk do jego twarzy, popatrzyła na niego, a potem jej wzrok powędrował tam, gdzie on patrzył, w górę, w stronę sufitu.

Ledwo zamknął powieki, zaraz drgnął i otworzył je, bojąc się, że

Almondine odeszła, lecz nie musiał się martwić. Leżeli na posadzce, patrząc na wijący się po suficie dym. A w zasadzie to już nie był dym, tylko rzeka, szeroka i spokojna, nieustannie płynąca znikąd donikąd.

Oboje leżeli na brzegu tej rzeki, a ona przepływała obok nich jak tamten wylewający strumień. Może i ta rzeka też kiedyś była podzielona przez ogrodzenie. Ale teraz już nie jest.

Na drugim brzegu pojawiła się jakaś postać, odległa, mimo to rozpoznawalna — ktoś, kogo tak wiele razy pragnął zobaczyć od tamtej nocy, kiedy psy wyły w deszczu, a świat zaczął się obracać wokół nowej i tak okropnej osi. Tamtej nocy chciał coś powiedzieć, coś najważniejszego, jak mu się teraz wydawało, ale kiedy ta chwila nadeszła, stchórzył, cofnął się ze strachu i ta szansa została utracona, a później był już potępiony.

Położył palce na futrze pod gardłem Almondine. Kolejne oddechy wpływały w nią i wypływały, wpływały i wypływały. Zamknął oczy, sam nie wiedział na jak długo. Kiedy ponownie je otworzył, rzeka płynęła jak przedtem, lecz mężczyzna w jakiś sposób ją przekroczył, wychodząc im na spotkanie.

A może to oni ją przekroczyli. Nie był tego pewien. Tak czy owak, cieszył się z tego. Poczł, że po raz pierwszy ma w sobie głos, którym może powiedzieć to, co już dawno chciał powiedzieć. Mężczyzna był tuż przy nim. Edgar nie musiał wykrzykiwać tych słów. Mógł nawet szeptać, gdyby chciał.

Uśmiechnął się.

— Kocham cię — rzekł Edgar Sawtelle.

Claude siedział wsparty plecami o drzwi warsztatu, czekając, licząc i obserwując leżącego przed nim Edgara. Dym wznosił się gwałtownym wirem i znikał w ciemnym prostokącie u góry. Przez jedną okropną chwilę Claude myślał, że to nie zadziałało, ale mylił się. Zamiast rzucić się na Claude'a, chłopiec użył wideł do otwarcia kłapy na strych. A kiedy upadł, leżał wpatrzony w strych i poruszał rękami nad klatką piersiową w potoku znaków, o których zrozumieniu Claude nawet nie mógł marzyć. Trwało to bardzo długo. W końcu, jakby Edgar powziął jakąś decyzję, jedną rękę ułożył sobie na piersiach, a drugą na podłodze przy nodze i już się nie poruszył.

Claude pomyślał o tamtym zlanym deszczem zaułku w Pusanie — jak oglądał starca opuszczającego czubek zaostzonej trzciny na kłęb kalekiego psa—jakiż ten ruch był delikatny — i jak ten pies przestał chłep-

tać zupę z glinianego garnka, podniósł wzrok i padł na ziemię. Trwało to tylko chwilę. Claude odniósł wrażenie, że zawartość buteleczki nigdy nie działa w ten sam sposób. Może z czasem traciła moc. A może u każdej osoby wykorzystuje coś innego. Chciałby cofnąć się w czasie i poprosić starca o wyjaśnienie. Buteleczka stała po drugiej stronie pokoju pod stołem warsztatowym. Musiał się pohamować, żeby nie podejść tam i nie włożyć z powrotem szklanego korka — ponownie ją zamknąć, przynajmniej na razie, póki musiał przebywać z nią w tym samym pomieszczeniu. Powstrzymywał go tylko strach przed zbliżeniem się do jej zawartości. Obawiał się, że gdyby znowu dotknął buteleczki, nie potrafiłby jej potem zostawić.

Zastanawiał się, czy powinien wynieść ciało Edgara na dwór. Mógłby przerzucić chłopca przez ramię, jak robią strażacy, i chwiejnym

564

565

krokiem wyjść na podwórze. Tak byłoby lepiej dla Trudi, pomyślał, i spełniłby jej prośbę. Albo też mógłby powiedzieć, że chłopiec stracił orientację, wszedł w zadymiony środek stodoły i chociaż Claude długo go szukał, w końcu musiał ustąpić przed dymem i wyjść przekonany, że Edgar z pewnością opuścił stodołę tylnymi drzwiami. To drugie rozwiązanie było lepsze — musiałyby jednak wyglądać, że bardzo długo go szukał — tak długo, jak długo jest w ludzkiej mocy. Niebezpiecznie długo. Zmusił się do pozostania przez minutę. Skoncentrował się na opanowaniu drżenia kolan. Czekanie nic go nie kosztowało poza tym, że wdychał nieco dymu i był zmuszony patrzeć na leżącego przed nim chłopca. Jeszcze przez długą chwilę czuł wewnętrzne drżenie, gdy jego wzrok zatrzymywał się na Edgarze, ale to było głupie. Bo w rzeczywistości chłopiec wyglądał bardzo spokojnie.

I nagle ze strychu doszedł go jakiś dźwięk. Jęk coraz wyższy, aż przechodzący w pisk, jak dźwięk otwierania puszki. Spojrzał w górę. Chociaż dym nie zmienił swojego charakteru, a w otworze nie pojawiły się płomienie, nagle doszedł do wniosku, że niebezpiecznie jest pozostawać w stodole choćby sekundę dłużej. Chłopiec w jednym miał rację — otwarcie klapy pozwoliło oczyścić warsztat z przeważającej części dymu. Ale już wówczas Claude uważał, że z pewnych innych względów nie był to najlepszy pomysł, a im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniejszą miał chęć pozostać w stodole. Wyciekający spod drzwi czarny dym zaczął powoli ogarniać go z obu stron.

Podniósł się i natychmiast zakręciło mu się w głowie. Cofnął się od drzwi, starannie omijając ciało Edgara. Z rękami wspartymi o kolana wciągał czyste powietrze. Chwycił za klamkę drzwi warsztatu i otworzył je. Jakby odsunął na bok jakąś tamę. Ściana gryzącego dymu rzuciła mu się do gardła, zmuszając go do cofnięcia się w kąt. Ukląkł i zaczął kaszleć, a kiedy ponownie podniósł wzrok, dym pędził w stronę otwartej klapy na strych. Nie wznosił się, pędził. I po raz pierwszy przez tę zasłonę szarości Claude ujrzał rozświetlone na pomarańczowo wnętrze strychu. Robiło się coraz jaśniejsze.

Na czworakach wyszedł do przejścia między kojcami. Powietrze kotłowało się wokół niego jak przetaczane w beczce. Był już przy podwójnych wrotach, gotów przez nie wyjść, kiedy coś go powstrzymało i zmusiło do przeciągnięcia kłykciami po zachodzących łzami oczach. Dokładnie w miejscu, w którym dym buchał w światło osłoniętej lampy, za drzwiami stała postać mężczyzny. Na oczach Claude'a postać rozsyłała się i zniknęła. Claude zacisnął powieki. Kiedy ponownie je otworzył, postać powróciła, bardziej utworzona z tego dymu niż nim spowita. Patrząc przez tę sylwetkę, Claude widział porozrzucane na trawie

dokumenty wyniesione przez Edgara.

Glen, pomyślał w pierwszej chwili. Ale głos Glena docierał z podwórza. A nawet jeden rzut oka wystarczył, żeby Claude rozpoznał sylwetkę brata.

To na pewno hipoksja, która wywołała halucynacje, euforia od nadmiaru dymu — coś takiego przydarza się nurkom, kiedy brakuje im tlenu. Ukląkł i przycisnął twarz do betonowej posadzki, żeby wciągnąć w płuca trochę czystego powietrza. Gdy się podnosił, zgasła ostatnia żarówka pod sufitem stodoły. Osłonięta lampa na dworze świeciła jeszcze dostatecznie długo, by Claude zdążył wyraźnie zobaczyć, że to rzeczywiście jest Gar, nie miał już żadnych wątpliwości.

I nagle zrobiło się zupełnie ciemno. Przez chwilę próbował się zmusić, by zrobić krok do przodu, po czym odwrócił się w stronę wnętrza stodoły. Na jej końcu czekały drugie drzwi. Mógłby pokonać długość psiarni i w ten sposób dotrzeć do czystego powietrza letniej nocy — jeśli się pospieszy, zajmie mu to kilka sekund.

W ciemnościach odnajdował drogę, wyobrażając sobie układ korytarzy po obu stronach, długie proste przejście, przed nim drzwi do kojca małych szczeniaków, po kolei mijane belki strychu nad głową. Do biegu zmusiły go dopiero trzaski drewnianej konstrukcji, wijący się wysoko w górze huk, który mówił mu, że wszystko lada moment runie. A przecież to było niemożliwe. Ledwo widział płomienie.

Uniósł wzrok, słysząc ten dźwięk. Przez szczelinę w dymie ukazała się nika para pomarańczowych linii. Uderzyło go ciepło w twarz. Zdążył zrobić ledwie ze dwa kroki w pełnym biegu, gdy tuż przed nim rozkwitł i natychmiast rozproszył się bezkształtny biały płomień, a Claude znalazł się na betonie. Dopiero po chwili poczuł ból i zrozumiał, że wpadł na jeden z filarów stojących rzędem w przejściu. Sięgnął

ręką i wymacał słup, pokryty sadzą i ciepły, ale nie widział go. W gardle czuł palenie, jakby połknął kwas. Kiedy pozbierał się na nogi, atak kaszlu o mało ponownie nie przygiął go do ziemi.

566

567

Padając po uderzeniu, obrócił się. W pierwszej chwili nie wiedział, w którą stronę zmierza. Wydawało mu się, że pośród dźwięków walącej się konstrukcji słyszy, jak ktoś woła jego imię.

— Kto tam? — krzyknął. — Kto?...

Odpowiedzi nie było - tylko jego głos powracający beznamiętnie przez dym. Jeszcze raz krzyknął. Wsłuchując się w odbicie echa, zorientował się, gdzie jest. W dymie po lewej wypatrzył przyćmiony prostokąt światła. Drzwi, ale frontowe czy tylne? Odwrócił się od nich i z wyciągniętymi rękami ruszył przed siebie, starając się poruszać po jak najprostszej linii.

Czubkami palców dotknął drewna, następnie zawiasu i drutu w drzwiach do kojca. Cofnął się i skorygował kierunek w prawo. Wystarczy, że będzie trzymał się prostej linii przejścia i znajdzie tylne drzwi. To nie powinno być trudne. Zrobił kolejny krok w ciemnościach. Co jakiś czas jego dłonie opierały się o drut w miejscu, w którym nie powinno być niczego. Przejście zdawało się skręcać na lewo, ale gdy on szedł w lewo, ono skręcało w prawo, jakby w uszach nie słyszał naprężonego do granic wytrzymałości płonącego drewna, tylko samą agonię wykręcanych boleśnie wielkich dźwigarów.

W końcu wzdłuż przejścia powiał wiatr, przeciągając dymem po jego twarzy niczym wstęgą rozgrzanego jedwabiu. Choć teraz miał powód do paniki, ogarnęło go jakieś zdumiewające uczucie, tak cudowne, jakby przez całe życie na nie czekał. Zatrzymał się. Ucichły nawet dźwię-

ki wydawane przez konstrukcję i pozostał tylko głuchy ryk wiatru. Stał w ciemnościach z zamkniętymi oczami, pozwalając, aby dym go pieścił. Po chwili uniósł ręce i przeplótł palce między oczkami gorącej drucianej siatki, wiedząc, że ona tam na niego czeka.

Trudi

Ani Claude, ani Edgar już bardzo długo nie pojawiali się u wejścia do stodoły. Trudi wołała, aż zupełnie zdarła sobie gardło, krzycząc głosem wysokim w niemym lamencie, a jej ciało szamotało się i wiło w klatce ramion Glena. Po jakimś czasie umilkła. Zaczęła wyobrazać sobie, że to nie ręce Glena ją oplatają, tylko czarna winorośl, rozrosła i mocna, która wciska korzenie w glebę, starając się mocno przyciągnąć do Trudi ziemię, a potem wypuszcza je we wszystkich kierunkach, by jej wąsy mogły chwycić w kleszcze i zagarnąć sam czas, a czas, jak powoli zwijający się sceniczny prospekt, poplątał się; ta czarna winorośl ściągała w dół płótno prospektu, by wyjęte z kół zębatach leżało niedbale rzucone pod wielkim proscenium, za którym w głębi sceny leżały porozrzucane wszelkiego rodzaju urządzenia i przyrządy, bezimienne i nigdy wcześniej niewidziane.

Trudi nie potrafiła oderwać wzroku od tych wszystkich rzeczy, których z takim wysiłkiem starała się nie widzieć. Gdy już dostatecznie długo oglądała płótno, tak że żadna jego część nie pozostała przed nią ukryta i co do żadnej nie miała wątpliwości, czarna winorośl zwolniła uścisk, czas ponownie zaczął się nawijać na swoich wrzecionach i toczyć do przodu, a Trudi znowu leżała na trawie podwórza. Powoli, bardzo powoli jej twarz odwracała się, aż światło rzeczywistego świata zamigotało w szklistym półksiężycu jej oka.

Na jej oczach płomienie zaczęły się przebijać przez długi, pokryty gontem dach stodoły — nie były to już małe pomarańczowe liźnięcia, które tak okropnie zdobiły filigranem okap, ale prawdziwy, żywy

strzelający w powietrze ogień, który zniknął i ponownie wybuchnął, jakby rzucał się rozpaczliwie, by pochwycić noc i wciągnąć ją do środka. Wy-
569

soko nad dachem stodoły błysnęła kula ognia, wijąc się w słupie dymu jak szkarłatna róża, rozkwitająca i szybko znikająca. Ze środka lewiatana wydobył się niski, przeciągły jęk. Centralna belka dachu zapadła się. W tym momencie skłębiony dym zadrżał i cofnął się do wnętrza stodoły, jakby cała konstrukcja wciągnęła swój dziewiczy oddech, i zaczęło się piekło. Wręcz błyskawicznie: w jednej chwili było tylko mnóstwo dymu, a w następnej wszystko stało w płomieniach. Przebudzenie pożogi osmalilo twarz Trudi. Rzucane przez płomienie światło na czerwono malowało okoliczne pola i lasy.

Gdy przeszła przez nich fala gorąca, Glen Papineau puścił Trudi i wstał. Podniósł ręce i zaczął uderzać się po twarzy, piersiach i włosach, wzbijając wokół siebie aureolę wapna.

- Czyja płonę? - krzyczał. - Boże! Czy się zapaliłem?

Ale Trudi nawet się nie poruszyła i nic mu nie odpowiedziała. Jej tam nie było. Nie zdawała sobie sprawy, że jest wolna. Glen Papineau odszedł chwiejnym krokiem, kierując się południkami gorąca. Trudi leżała na trawie z oczami utkwionymi w otwarte wrota stodoły i w płomienie, które wysuwały się z nich jak jarzące się kończyny.

A Glen Papineau, oślepiiony byk, toczył się przez podwórze, potykając się, upadając, ponownie się podnosząc i przez cały czas rycząc:

„Co się stało? Co się stało? Na Boga, co się stało?”.

Psy sawtelle

Swoje życie mierzyły bliskością tej cichej, skrytej istoty, ciemnowłosego chłopca o oczach jak niebo, który przeciągał dłońmi wzdłuż ich boków, po ich łapach, kłębach i pyskach, chłopca, którego widziały od momen-

tu swoich narodzin, chłopca, który każdego ranka pojawiał się, niosąc im wodę i jedzenie, a każdego popołudnia szczotkę. Który ogłosił ich imiona z kart książki. Uczyły go, kiedy go obserwowały; bo same nauczyły się, słuchając Almondine. I chociaż rzadko widywały ogień, rozumiały, co on oznacza: obserwowały płomienie wznoszące się w nocne niebo i wystrzelujące z drewnianej konstrukcji iskry, lecące w górę, wciąż w górę, oraz nietoperze wlatujące w dym, zwijające się i gwałtownie spadające, i wiedziały, że nie mają domu.

Biegały wokół ognia, aż ich piersi się wzdęły, a języki zwisały luźno z pysków. Na utworzony przez chłopca stos dokumentów opadły rozżarzone węgielki i kilka kartek zaczęło się zwijać i wznosić płomieniami w powietrze. Ogień przeskoczył na drzewa w sadzie, gnany wiatrem i współczuciem, aż w końcu tylko dom, młody klon i szorująca palcami po domu stara jabłoń mu się oparły. Pomiedzy drzewami trzepotały czerwone smugi światła. Brzozy i białe krzyże na południowym polu jarzyły się jak rubiny. Rzucane ze szczytu wzgórza cienie psów kładły się ciemną plamą na lesie. Od dachu stodoły z trzaskiem odrywały się wielkie splachcie brunatnej smoły, aż w końcu cała konstrukcja stała się przejrzysta, ukazując tylko rozżarzone żebra. Druciane siatki z kojców spływały jak woda i wyparowywały w ogniu. Wykonana z włókna szklanego buda pikapu pomarszczyła się w kłębach dymu i zapadła do wnętrza, buchając perłowożółtym obłokiem. Rozciągnięte między sto-

571

dolą i domem przewody dymiły się, leżąc pozwijane na ziemi. Po chwili opony pikapu nabrzmiały i wystrzeliły z hukiem, a samochód przechylił się zawietrzną stroną w stronę płomieni, nie mając na tyle zdrowego rozsądku, żeby się ratować. W oddali, na odległym krańcu świata, na wezwanie ognia rozjarzyła się burzowa chmura, ale jeśli nawet te obło-

ki nadejdą, pozostanie im już tylko skontrolowanie kości, spopielających i ledwo się tłących.

Kobieta leżała jak długa na poskręcanej od gorąca trawie między domem i płomieniami, głucha na ich wołanie, głucha na krzyki stojącego nad nią oślepego mężczyzny, nieświadoma i nieczuła, jakby opuściła własne ciało, pozostawiając je dyszące na brzegu świata. Te z nich, które rozumiały, widziały, że czas w niej wyparował pod wpływem żaru ognia, i być może nawet sądziły, że może powstać przemieniona w łabędzia lub gołębicę.

Żar narastał. Najpierw ściągnął je ku domowi, a później do ogrodu za klonem. Płomienie odbijały się echem między rozjarzonym sadem i splekanym kamiennym cokołem stodoły. Nie wszystkie psy były równie wspaniałe; niektóre walczyły między sobą, inne kuliły się ze strachu, a jeszcze inne kręciły się po idiotycznych ścieżkach wokół rozgrywającego się spektaklu i napastowały oślepego mężczyznę, kiedy ciągnął kobietę po trawie. Niemniej były świadkami, wszystkie co do jednego, wyszkolone i wychowane do patrzenia, nauczone przez swe melancholijne matki używać oczu, nauczone przez samego chłopca, że należy czekać na gest, który nadaje sens światu, kiedy sensu nie ma. Pośród nich dwa szczeniaczki skomlały i płakały, przyciskając się do każdego, kto nie warczał na nie. W końcu wszystkie ustawiły się wokół półkuli ognia. Niektóre odwróciły łby, spoglądając w noc. Inne opadły na brzuchy i wsparły pyski na przednich łapach, patrząc w płomienie jak sfinks na zachód słońca.

Wówczas Essay pobiegła na pole. Kilka psów podążyło za nią, wśród nich psy z jej miotu, a także te dwa szczeniaczki, powolne i dezorientowane. Dotarła do sterty kamieni i zaczęła, aż wszystkie psy zgromadzą się wokół niej, następnie łukiem zawróciła w stronę podwórza,

warcząc na każdego, który chciał podążyć za nią. Kręciły się w miejscu i czekały. Kiedy zjawiała się ponownie, znów podążało za nią z pół tuzina psów, reszta nie chciała odejść od aureoli żaru. Essay przebiegła przez 572

środek sfory, a potem skrajem pola, migocząc grzbietem poczerwieniałym od blasku płomieni. Gdy dotarli do starej drogi zrywki drewna, bez wahania przemknęła obok brzóz i opuściła pole w pobliżu jego południowo-zachodniego krańca, na ukos przecinając las. Znalazłszy się między drzewami, zwolniły kroku. Psy rozproszyły się wokół niej.

Po kolei pokonywały kolejne ogrodzenia. Niektóre psy odpadały ze sfory, gubiły się lub zniechęcały, ale Essay nie zatrzymała się i nie zawracała. Mogły za nią iść, mogły też nie iść, ona tylko wyraźnie przedstawiła im tę możliwość. Nocne ptaki potępiały ich pochód. Rodzina jeleni zerwała się ze swoich legowisk. Essay prowadziła psy, sprawdzając drogę, choć była tak wyraźnie oznaczona, że niektóre psy ją wyprzedzały. W pewnym momencie, zauważywszy, że zgubiła szczeniaki, zatrzymała się i cofnęła po własnych śladach. Znalazła je skulone pod przewróconym drzewem, skomlące i drżące w świetle księżyca. Nachyliła nad nimi pysk, a one polizały ją, stukając ogonkami po paprociach, na co Essay w ramach rewanżu przesunęła mordą po szyjach szczeniaków, obwąchała ich boki, łapki i brzuszki, po czym odwróciła się i potruchtała dalej. Tak namówione ponownie ruszyły za nią.

Las ciągnął się dookoła. Noc upływała. Podążały ścieżką przez bagna i przechodziły w bród przez strumienie, aż ciemne sklepienie ustąpiło miejsca głębokiej barwie pomarańczowej, gdy niebo zapłonęło od tego, co pozostawiły za sobą. W tym momencie Essay wyszła z lasu. Przed nią rozciągało się opadające pole, od wielu sezonów leżące odłogiem i gdzieniegdzie porośnięte sosnami wirginijskimi. Wilgotna ciężka

trawa gięła się w ciszy poranka. Za nią rozległ się chrapliwy krzyk sfory przedzierającej się przez zarośla. Gdy słońce wyłoniło się znad wierzchołków drzew, wszystko wokół niej się zaiskrzyło.

Na zachodzie, po drugiej stronie pola, skrajem lasu kroczył Forte, jego sylwetka sunęła tam i z powrotem po cienkiej warstwie mgły płożącej się po ziemi. Na wschodzie, gdzie pole osiągało najniższy poziom, między drzewami migało kilka świateł i miejscami przezierał dach domu. Essay słyszała otaczający ją oddech ziemi. Gdyby nie biała wieża wznosząca się nad wierzchołkami drzew i światła reflektorów połykających na odległym asfalcie, wyglądałoby to jak scena z początków świata. W uszach brzmiało jej coś na kształt piosenki czy wiersza. Tam był Forte. Tam była wioska. Jeden po drugim psy sawtelle wybiegły

573

spomiędzy pni drzew i ruszyły skrajem lasu, aż wszystkie razem stanęły obok niej, i Finch, i Opal, i Umbra, i Pout, i dwa bezimienne szczeniaki, i wszystkie pozostałe, które szły razem przez noc. Ich spojrzenia powędrowały za wzrokiem Essay, najpierw na wschód, potem na zachód, po czym wszystkie zaczęły się kręcić wokół niej, liżąc jej pysk, dając do zrozumienia, czego pragną, a potem już tylko czekały.

Essay weszła w trawę. Stała z łapą przysuniętą do piersi i nosem wzniesionym wężąc w powietrzu, obserwując. Przez chwilę w rozjaśniającym się świetle poranka wszystko na polu było nieruchome. Po raz ostatni obejrzała się za siebie, na las i przebytą drogę, i kiedy już nabrała pewności, że są wszystkie razem i że nie pojawi się więcej żaden pies, odwróciła się, dokonała wyboru i ruszyła na drugą stronę.

Podziękowania

Napisanie niniejszej książki zajęło mi wiele czasu, dlatego wielu osobom winny jestem podziękowania. Moja agentka literacka, Eleanor Jackson,

przez cały czas niestrudzenie mnie wspierała, będąc mi zarówno doradczynią, jak i przyjaciółką; jest najrozsądniejszą idealistką, jaką można spotkać. Współpracująca ze mną w wydawnictwie Ecco redaktorka Lee Boudreaux z niespożyłą energią pracowała nad poprawieniem tekstu, podając w wątpliwość każdy wers, każde słowo, każde moje przekonanie, a mimo to zawsze potrafiła mnie rozśmieszyć. Dzięki jej staraniom efekt końcowy jest nieporównywanie lepszy i mam wobec niej wielki dług wdzięczności. Abigail Holstein, również pracująca w wydawnictwie Ecco, wiele ciężkiej pracy włożyła w przeglądanie rękopisu, zawsze w odpowiednim momencie służąc mądrą radą.

Wyrazy wdzięczności niech przyjmą moi nauczyciele prowadzący zajęcia na organizowanych dla pisarzy warsztatach Warren Wilson MFA Program for Writers: Ehud Havazelet, Joan Silber, Margot Livesey, Richard Russo i Wilton Barnhardt, jak również reszta tamtejszej kadry — za bagaż pomysłów i talentu, jakie co roku w styczniu i lipcu przywożą do Swannanoa. Zwłaszcza Richard Russo nie szczędził mi czasu i dobrego słowa. Dziękuję Robertowi Boswellowi za tak ważne warsztaty w Aspen i późniejsze szczodre rady. Dziękuję również Robertowi McBrearty'emu, prowadzącemu wykłady na University of Colorado, a także za niezastąpione rady na temat pisania i samego życia podczas warsztatów i niezliczonych lunchów. W końcu dziękuję Vermont Studio Center za przyznane mi stypendium pisarskie, podczas którego powstały fragmenty części trzeciej.

Następujące osoby podzieliły się ze mną swoim darem spostrzegawczości, czytając pierwsze wersje książki: Barbara Bohlen, Carol Engelhardt, Charlene Finn, Nickole Ingram, Karen Lehmann, Cherie McCandless, Tim

575

McCandless, Brad Reeves, Nancy Sullivan, Audrey Vernick i Karen Wolfe. Litościwie wskazywały mi słabości kolejnych wersji, co pomogło mi poprawić tekst, ale też zwróciły uwagę na ich zalety, wzbudzając we mnie nadzie-

ję. Żaden pisarz nie mógłby życzyć sobie lepszego zespołu doradców. Informacje fachowe otrzymałem dzięki uprzejmości: Maury Quinn-Jones z St. Joseph's Hospital w Marshfield, w stanie Wisconsin, na temat podstaw patologii mowy; Petera Knoksa z University of Colorado na temat łaciny, Jima Barneta na temat języka japońskiego; Roba Obe-
rbrecklinga na temat pożarów konstrukcji budowlanych; Rogera Sophera i dr. Williama Burtona na temat własności eteru; oraz Lisy Sabi-
chi, doktor weterynarii, która musiała się zmagać z najdziwniejszymi pytaniami, jakie można zadać weterynarzowi. Jestem wdzięczny jej za cierpliwie udzielane mi odpowiedzi, jak również za wyjątkową opiekę, jaką otoczyła dwa psy, które miałem zaszczyt poznać. Dla własnych celów przekręciłem różne podane mi przez te osoby fakty, a wynikające z tego błędy i nieścisłości są wyłącznie moją winą.

Istnieje przebogata literatura traktująca o biologii psów, poznawaniu przez nie świata i metodach tresury. Lista źródeł, z których czerpałem wiedzę, byłaby zbyt długa, żeby ją tu przytoczyć, i bez wątpienia niekompletna, ale wszystkich zainteresowanych zbeletryzowanymi w mojej książce metodami tresury stosowanymi przez rodzinę Sawtelle'ow chciałbym odesłać do pracy autorstwa Vicki Hearne *How To Say Fetch!*, stanowiącej doskonale wprowadzenie do tej tematyki. Z ogromną przyjemnością przeczytałem również *A Journey into Mellen*, obejmujący całe stulecie zbiór artykułów prasowych z Mellen, skondensowanych i skompilowanych przez zespół ochotników, a następnie zredagowanych przez Joego Barabe'a. Na koniec chciałbym złożyć spóźnioną prośbę o wybaczenie dwóm autentycznym autorom książki *Psy robocze*, Elliotowi Humphrey'owi i Lucienowi Warnerowi, za wymyślenie im współautora; John Sawtelle potrzebował przyjaciela, który zrozumiałby jego projekt i który mógł udzielić mu lekcji na temat pracy w *Fortunate Fields*.

Jednak przede wszystkim niniejsza książka zawdzięcza swoje istnienie Kimberly McClintock, wyjątkowej artystce, kochającej i rozumiałej partnerce, mojej najbardziej zagorzalej orędowniczce, a także pierwszej, ostatniej i najbardziej wymagającej czytelniczce. Każda strona książki przesycona jest jej zachętami i mądrością.